PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 113.

ROK DZIEWIĄTY. — TOM XXXIV.

KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC.

1892.

KRAKÓW.
DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego
1892.

ZATARG SZKOLNY CHEŁMIŃSKI

1554—1557.

Po niedługim czasie zgłaszam się znowu, ażeby czytelnikom *Przeglądu Powszechnego* opowiedzieć drugi epizod z życia Hozyusza. O s o b a jego ma urok nieprzeparty, tem przyjemniej tedy jest badać wątek dzieł jego. Hozyusz, jako człowiek, to jeden z tych rzadkich wielkich typów w dziejach, które świecą nietylko potęgą ducha, ale zarazem etyczną swą wartością. W nim się można do syta rozkoszować tym klejnotem przymiotów, jakim jest zgodność słów z myślami, a czynów ze słowami. On robił zawsze wyłącznie to, co uważał za dobre, nie zważając na żadne względy. Dziś, kiedy kwestye zasadnicze zwykły ulegać tuzinkowym względom ubocznym, nie zawsze godnym myślącego człowieka, a nieraz sprzeciwiającym się jaskrawo etyce chrześcijańskiej; w czasach, które nietyle są „wiekiem nerwowym“, ile doprawdy okresem „bez dogmatu“ — tkwi w lekturze listów kardynała warmińskiego pewna ulga dla umysłu, żeby oderwać myśl od bezbarwnego otoczenia, obcując w duchu z wielkim charakterem, który nigdy nie miewał wątpliwości, co począć, jak postąpić, bo jednę znał tylko regułę życia: żyć według zasad, które się wyznaje. Zdaje mi się, że choćby kto największym wrogiem był Kościoła, nie może odmówić swej czci i hołdu Hozyuszowi, bo on życiem swem całem hołd składał ustawiczny

kardynalnym a surowym i wiele wymagającym postulatom etyki chrześcijańskiej; on każdym dniem swego żywota wznosił pomnik temu stałemu, wśród zmiennych obrazów dziejowego kalejdoskopu niewzruszonemu pojęciu, które na zawsze pozostanie nietykalnem kryteryum ludzkich czynów: pojęciu ludzkiego sumienia.

Opowiadanie nasze osnute jest na tle walki katolickiego i protestanckiego obozu w połowie XVI. wieku. Ażeby niejeden szczegół nie raził następnie czytelnika, niech mi wolno będzie podać na początku kilka ogólnych uwag, które wytłumaczą dziwne nieraz dla nas stosunki Hozyusza do współczesnych osób świeckich i duchownych.

Współcześni Hozyusza mało się znają na teologii, a opanowani są teologicznym dyletantyzmem. Dużo najszlachetniejszych przymiotów: dobrej woli, zapału, poświęcenia dla sprawy, szło wówczas niestety na marne, skutkiem tego, że zaprzęgło się w służbę protestantyzmu. Zamiast pchnąć naprzód rydwan postępu dziejowego, reformacya go wstrzymała; ona wytworzyła te Kościoły narodowe i te despocye państwowe, które, nienaturalne same w sobie, mogły być tylko przejściowemi fazami w pochodzie dziejowym, a jedne zajęły niepotrzebnie trzy wieki czasu, drugie jeszcze trwają. Nie byłoby ich, gdyby nie uszczuplenie panowania katolickiego Kościoła!

Ilekroć dyletantyzm jakiegokolwiek rodzaju obejmie zbyt szerokie koła, zawsze z tego wyniknąć muszą złe następstwa. Niema zaś fatalniejszego dyletantyzmu, od teologicznego! Dziś, wobec religijnego indyferentyzmu, niełatwo uprzytomnić sobie te czasy, kiedy to w każdym człowieku tkwił kawałek... księdza, kiedy to niejeden czeladnik lepiej znał Pismo św., niż dziś początkujący student teologii! Wzruszamy dziś na to ramionami, bo już wiemy, że cała ta rzesza „biegłych w Piśmie“ nie umiała za to katechizmu, który dziś na pamięć umie dziatwa szkolna; oni znali tylko rzekomo to, na czem się w rzeczywistości nie znali. Tej rzeszy dyletantów zawdzięczają swe istnienie akatolickie Kościoły w Europie. Nie brakło przed Lutrem herezyarchów (a lepszych odeń teologów), ale nie wytworzyli oni nic

trwalszego, bo u współczesnych nie panował obłęd dyletanckiego teologizowania.

Moralne powodzenie Kościoła zawisło zawsze od stopnia wykształcenia ogółu duchowieństwa i od poziomu studyów teologicznych w danym okresie. Podobnie, jak w innych dziedzinach życia poglądy nasze są tylko spopularyzowaniem wyników odnośnych umiejętności, tak samo przekonania religijne są prostem spopularyzowaniem studyów teologicznych. W XVI. wieku uważali się w najlepszej wierze za katolików nieraz ludzie, uznający tylko trzy Sakramenta, nie wierzący w Świętych obcowanie, nie chcący ani słyszeć o supremacyi papieskiej... Tak jest, społeczeństwo katolickie nie znało należycie swojej religii. Ale bo też na przełomie XV. i XVI. wieku wszystkie kierunki umysłowego życia poczyniły właśnie znaczne postępy, podniosły się wszystkie objawy duchowe, tyle nauk poczęło puszczać świeże latorośle — tylko teologia leżała odłogiem; wykształcenie religijne nie dotrzymało kroku [1]. Kościół, pozostawszy nieco w tyle, przestał na chwilę przodować społeczeństwu swych wyznawców, przestał ich prowadzić; zapragnęli tedy oni prowadzić jego. Brak należytego postępu w rozwoju teologii, i — co z tem nieodłącznie się zawsze wiąże — słabsze, niżby należało, oddziaływanie Kościoła na warstwy inteligentne, jest przyczyną rozwielmożnienia się owego dyletantyzmu, który wyniósł protestantyzm na piedestał nowego Kościoła.

Niski poziom nauk teologicznych sprawiał, że duchowieństwo było bezsilne w walce z tym dyletantyzmem; powiedzmy otwarcie, było do tej walki zupełnie nieprzygotowanem. Odwrócić księdza od Kościoła, przekonać go argumentami, że racya jest po tamtej stronie, było, niestety, zadaniem wówczas bardzo łatwem, bo on nie umiał na tyle teologii, żeby te argumenta odeprzeć zwycięsko. W najlepszej wierze gotów był każdej chwili szych wziąć za złoto! Kto nie opanował należycie swego przedmiotu, dla tego każda dysputa, każde zetknięcie się z odmiennem zdaniem, musi być niebezpiecznem. To też w drugiej

[1] Wyjątek stanowi Hiszpania; to też tam nie było reformacyi.

ćwierci XVI. wieku było w środkowej Europie zaledwie $^{5}/_{100}$ duchowieństwa stanowczo i świadomie opornych protestantyzmowi; natomiast ilość stanowczo mu przychylnych możnaby obliczyć na $^{40}/_{100}$ [1]; a reszta, $^{55}/_{100}$, była indyferentnych, którzy zgoła nie wiedzieli, co o tem sądzić, i milcząc wyczekiwali, co to będzie. W takich zaś razach, nie tamować prądu, znaczy niemal to samo, co przyczyniać się do jego wzrostu; w praktycznem obliczeniu można tedy powiedzieć, że przez jakich 30 lat w XVI. wieku, $^{95}/_{100}$ duchowieństwa było dobrym przewodnikiem protestantyzmu. To nie przesada! Gdzie nie było protestanckich księży, tam też nie było protestantów, a te kraje, które dziś są zupełnie protestanckie, zawdzięczają to tej okoliczności, że pierwszymi protestantami byli tam — biskupi.

Reformacya była w dziejach Kościoła kryzys o wiele cięższą nawet, niż się dotychczas przypuszcza; nikt bowiem dotychczas nie uwzględnił tego zasadniczego momentu, że jest ona w znacznej części dziełem samegoż duchowieństwa, za mało pouczonego w teologii. Ale też tryumf Kościoła tem większy, że wyszedł wzmożony sam w sobie nawet z tak głębokiej przepaści [2].

Hozyusz zwraca uwagę historyka przez to, że on należał do tych wyjątków, którzy (poza Hiszpanią) już w pierwszej połowie XVI. w. — dzięki ścisłemu wykształceniu teologicznemu — rozumieli, że nowe tezy nie dadzą się pogodzić z duchem Kościoła, że te nowinki religijne, to nie reforma, ale herezya. Wśród polskiego duchowieństwa był on skutkiem tej jasnej świadomości wyjątkowem zjawiskiem. On jeden tylko uważał protestantów od samego początku za kacerzy, a co do reformy, stał na tem stanowisku, że polegać ona musi przedewszystkiem na ścisłem przestrzeganiu tego, co już jest. Wszyscy sądzili, że zepsucie wynika z istniejących przepisów kościelnych, a on spostrzegł zaraz, że wynika właśnie z nieprzestrzegania ich.

---

[1] Zakonnicy gromadnie rzucali habit, plebanowie całemi dyecezyami wprowadzali nowinki religijne.

[2] Co byłoby dziś z protestantyzmem, gdyby nawrócić $^{40}/_{100}$ pastorów, a gdyby ich tylko $^{5}/_{100}$ było stanowczo przeciwnych powrotowi na łono Kościoła?!

Z tej świadomości, że protestanci są kacerzami, wynikała w ówczesnych stosunkach koniecznie — dążność prześladowcza. Powszechną bowiem i niewzruszoną wówczas było zasadą, że heretyków należy tępić dopóty, aż się ich wytępi; pod tym względem nie miał nikt najmniejszych wątpliwości, ani w katolickim ani w protestanckim obozie. Wszelkie wmawianie w ludzi XVI. w. choćby najmniejszego przebłysku tolerancyi wyznaniowej, jest anachronizmem, z którym umiejętne dziejopisarstwo stanowczo już zerwało. Gdyby w połowie XVI. wieku zdawano sobie należycie sprawę z kwestyj dogmatyki i symboliki, prześladowania religijne byłyby się zaczęły już wtenczas. Niema też żadnego upadku kultury, żadnego obniżenia się zasad publicznego życia w wieku XVII., w stosunku do wieku XVI. Wiek następny zastosował w praktyce zasadę wyznawaną również przez wiek poprzedni, tylko że wiek XVI. miał wątpliwości, czy rzeczywiście z heretykami ma do czynienia, które to wątpliwości w następnym wieku zniknęły. O ile zaś w XVI. wieku tu i ówdzie przedarła się świadomość zasadniczej różnicy protestantyzmu a katolicyzmu, nie brak już w tym okresie przykładów prześladowania. Rozpoczynało się ono zaraz wszędzie, gdzie tylko przestano wierzyć w możliwość zjednoczenia religijnego. Tak było w XVI. w. w Anglii i w państwach skandynawskich. Obóz protestancki opatrzył się wcześniej, że o pojednaniu mowy być nie może, i wcześniej też rozpoczął prześladowanie, które prowadził o wiele zawzięciej i bezwzględniej, niż katolicy, gdzie tylko równie silną posiadł władzę i równe miał do tego środki. Prześladowanie, jako środek nawracania, uważano za obowiązek państwowy i społeczny tak samo w wieku XVI., jak w XV. i XVII.

Hozyusz, przekonany silnie o kacerstwie protestantów, również silnie był przekonany o potrzebie i obowiązku prześladowania ich. Z zapatrywaniami temi występował jawnie, bez ogródki, a skutkiem tego osobistość jego na tle współczesnego społeczeństwa polskiego razi niewtajemniczonych w dziejowe *arcana*. Taki prześladowca na tle społeczeństwa tak tolerantnego, jak żaden inny naród! — powiedziałby niejeden, a raczej niemal

każdy. Historyk jednak wie, że ta polska tolerancya, to złudzenie! Ta rzekoma tolerancya przeciągnęła się u nas długo w wiek XVII., z tej prostej przyczyny, że u nas ogół inteligencyi później znacznie zaczął sobie zdawać sprawę z istotnego stanu rzeczy, bo studya teologiczne dłużej niż gdzieindziej leżały odłogiem. Tak wielki uczony w zakresie teologii, jak Hozyusz, patrzał na sprawę jasno już w XVI. wieku; a że patrzał na nią oczyma swego czasu, to rzecz naturalna. Hozyusz, o ile mógł, prześladował, a inni, bez wyjątku, byliby robili tak samo, gdyby tak samo jak on myśleli o dogmatycznej i symbolicznej stronie nowinek religijnych. Ale tego nikt nie rozumiał; wszyscy wierzyli, że pomimo „trzech Sakramentów“ i t. p. wymysłów, nastąpić może zjednoczenie religijne; wszyscy się spodziewali, że sobór będzie mógł zawrzeć jakiś kompromis z protestantami. Dlatego to Hozyusz był u nas tak izolowanym. Dwór królewski i senatorowie uważali gorliwość Hozyusza za niewczesną przesadę, samo duchowieństwo wyższe patrzało z zadziwieniem na tego zelanta, nie rozumiejąc, o co mu chodzi, a szlachta i mieszczaństwo widziały w nim po większej części tylko ciemiężyciela. Później dopiero, znacznie później, powstało grono ludzi, podzielających zapatrywania Hozyusza. Narazie nie miał on poparcia w swej propagandzie katolickiej ani z dworu, ani od prałatów, ani też od swych dyecezyan; i z góry, i z dołu, patrzano na jego działalność w najlepszym razie obojętnie, a po większej części niechętnie.

I z tego zdawał sobie Hozyusz sprawę; wiedział, co czyni i w jakich warunkach; wiedział, że będzie musiał płynąć przeciw prądowi i to bardzo silnemu, a jednak nie wahał się rzucić w wir tego prądu. Przypatrzmy się bliżej temu mężowi, który na własną rękę gotów jest wyzwać całe społeczeństwo.

Młodość Hozyusza — to temat jeszcze do opracowania, a temat ciekawy. Tutaj poprzestaniemy tylko na kilku datach. Urodził się w r. 1504 (dnia 5 maja) w Krakowie [1], z ojca Ulryka,

[1] Dawniej sądzono, że w Wilnie. W metryce Uniwersytetu Jagiellońskiego zapisany jako „Stanislaus Udalrici de Cracovia dioecesis eiusdem“.

mieszczanina krakowskiego, pochodzącego z Badenii, i z matki Anny. Ojciec został wkrótce mincerzem królewskim w Wilnie, następnie też burgrabią; tam też podążył Stanisław, małem jeszcze będąc dzieckiem, i tam pierwsze odebrał nauki. Powrócił do Krakowa w r. 1519, ażeby się wpisać w poczet uczniów Jagiellońskiej szkoły, gdzie już w następnym roku został bakałarzem; widocznie tedy przybył z dobrem przygotowaniem naukowem. Zwrócił na siebie uwagę biskupa krakowskiego, Jana Konarskiego, który mu powierzył wychowanie synowców. Z tych lat pochodzą pierwsze jego próby literackie, a są to nic nie znaczące epigramy do słynnych kalendarzy Mikołaja Szadkowskiego w r. 1522, 1523 i 1524. W r. 1523 epigramy poświęcone były pochwale Krzyckiego i Tomickiego, w r. 1524 nadto na cześć Kalimacha, w dziele tegoż, wydanem wówczas przez Krzyckiego. Po śmierci Konarskiego, w r. 1525, przeszedł na dwór Tomickiego, któremu również wychowywał synowców, i kierował naukami młodzieży, utrzymywanej przez biskupa; Tomicki założył bowiem formalną szkołę u siebie, głównie dla synów znakomitszych rodów. Trwało to do r. 1529, a przez ten czas Hozyusz występował coraz śmielej na niwie literackiej. Był wielkim wielbicielem Erazma Rotterdamczyka, do krakowskiego wydania *Hyperaspistesa* dodał epigramaty, a list Erazma do Zygmunta I. sam też wydał. W r. 1528 spotykamy się z pierwszą pracą teologiczną (choć teologii systematycznie jeszcze się nie uczył), mianowicie z parafrazą psalmu 50. Przetłumaczył też z greckiego na łacinę i wydał św. Jana Chryzostoma, porównanie stanu mniszego a królewskiego. Miał już widocznie trochę sławy uczonego, skoro taki wybitny pisarz, jakim wówczas był Krzycki, powierzył mu wydanie swej książki *De sacrificio missae.*

Tomicki poznał się na zdolnościach i na charakterze Hozyusza i pragnął dla niego karyery, dla korzyści powszechnej. Najlepszym sposobem otrzymania stanowiska w Polsce w w. XVI., było pojechać do Włoch i wrócić ztamtąd doktorem praw. Tak też uczynił Hozyusz i wrócił w r. 1533 z tym tak poszukiwanym natenczas włoskim tytułem akademickim. Był jednak początkującym dopiero człowiekiem, choć liczył już lat 29; stano-

wiska określonego nie posiadał, a całe jego oparcie stanowiła łaska mecenasa Tomickiego. Na dworze nie znano go jeszcze przez kilka lat następnych; jak niewiele mógł zdziałać przez swe stosunki, okazuje się z tego, że w r. 1534 nie zdołał uzyskać dla brata urzędu menniczego wileńskiego, który długie lata sprawował ich ojciec. Rok 1535 spędził znów w kancelaryi Tomickiego, a po jego śmierci wydzierają go sobie nawzajem polscy dygnitarze kościelni. Chojeński, biskup płocki, prosi go do swego towarzystwa, nie wyznaczając mu żadnych wyraźnych urzędowych obowiązków; przystał do niego Hozyusz (bo z dawnych jeszcze lat był Chojeńskiemu zobowiązany), podczas gdy biskup krakowski, Latalski, napróżno używał prośby i groźby, żeby go w Krakowie u siebie zatrzymać. Latalski był z urzędu kanclerzem Jagiellońskiej szkoły, mógł sobie tam znaleść uczonych dworzanów; ale ta krakowska uczoność znaczyła mało, a w dziedzinie prawa nic; dobry prawnik mógł wtenczas wykształcić się tylko we Włoszech. Chojeński został wkrótce kanclerzem, Hozyusz tedy przenosi się wraz z nim na dwór królewski i już w r. 1537, nie mając bynajmniej święceń kapłańskich, otrzymuje od Zygmunta Starego kanonię warmińską, a następnego roku tytuł królewskiego sekretarza [1], za poparciem Samuela Maciejowskiego. Była to już wyraźna zapowiedź dobrego losu; każdy, kto w przyszłości miał zająć stanowisko wybitne, jeżeli go do tego nie upoważniało samo urodzenie, przechodził przez „sekretaryat królewski“.

Życie dworskie nie przypadało jednak Hozyuszowi do smaku i tylko namowy Maciejowskiego, który poznał się na człowieku, utrzymywały go na dworze królewskim. Król i Maciejowski obdarzali go coraz nowemi beneficyami; został kanonikiem krakowskim i sandomierskim, proboszczem gołąbskim, otrzymał nadto prebendę na zamku wileńskim, a w kapitule warmińskiej postąpił na kantora — wszystko to, nie będąc jeszcze wyświęconym na kapłana. Tymczasem jednak, właśnie podczas pobytu

[1] Tytuł ten był odszczególnieniem dla urzędników kancelaryi; ilość sekretarzy była prawdopodobnie nieograniczoną.

na dworze, począł się jego umysł zwracać ku systematycznym studyom teologicznym. Przyszły przewodniczący soboru trydenckiego miał już lat 32, kiedy począł seryo o nich myśleć w r. 1536; a gdy nareszcie po dalszych siedmiu latach zdecydował się zostać księdzem, odprawiając prymicye na Skałce w Krakowie w marcu 1543, liczył już lat 39! Aż do tej chwili liczyć można młodość Hozyusza; był długo młodym, to też do późnej starości dochował w sobie rzadką rzutkość i przedsiębiorczość.

Jakiż ksiądz miał powstać z tego 39-letniego prymicyanta? Czego się po nim miał spodziewać Kościół rozdwojony w sobie już od 1517 r.?

Prymicye, jak dziś, tak też w XVI. w., były „weselem księdza". Hozyusz odprawił je w ten sposób, że nikt, ani nawet domownicy jego nie wiedzieli o niczem, jednego tylko kapłana zaprosiwszy z sobą do oddalonego od wrzawy miejskiej kościoła swego patrona, a następnie przez cały tydzień nikogo nie przyjmował, Bogu wyłącznie ten czas poświęcając. Na takie prymicye mógł się zdobyć chyba tylko taki Hozyusz; uroczyste odprawienie ich uważało się zawsze za obowiązek niemal, a nieco zabawy przy tem nie zgromiłby największy zelant. Nie gromił też Hozyusz — ale dla siebie nie chciał tego. Był to ksiądz nietylko z powołania, ale z nadzwyczajnego powołania, rozumiejący je tem lepiej, że się w nim w dojrzałym dopiero wieku obudziło. Wyświęcając się, miał przed sobą pewien cel ściśle określony i jasno wytknięty, a tym było: walka z protestantyzmem. W tym celu uczył się teologii i nie został księdzem wcześniej, aż sądził, że będzie mógł do walki teologicznej wystąpić.

Już był w r. 1526 zdeklarował się przeciwnikiem Lutra w epigramie na cześć Erazma Rotterdamczyka. W dwa lata po wyświęceniu mianowała go kapituła krakowska inkwizytorem herezyi; wybrano go też do komisyi, mającej zbadać akta kanonizacyi św. Jacka; dosadnie charakteryzuje go fakt, że spalił książkę napisaną przeciw papieżowi, nie czytając jej wcale. Z Fryczem Modrzewskim polemizował w r. 1547 o to, że Frycz przypuszczał, że Kościół może zbłądzić. Nie mogło być wątpli-

wości, w jakim kierunku działać będzie Hozyusz. Jeżeliby król chciał mieć biskupem katolika nietylko gorliwego, ale z usposobieniem wielce wojowniczem, miał w Hozyuszu materyał do tego najlepszy. Zygmunt Stary sam katolikiem był i wolał biskupów prawdziwych, niż malowanych; sympatye jego osobiste były po stronie „papistów“, i zapewne gorąca wiara Hozyusza zdobywała mu tem bardziej królewskie poważanie; ale drażnić protestantów król słusznie nie pozwalał, po Hozyuszu zaś należało się tego właśnie spodziewać. A jednak chciał go mieć biskupem — ale biskupem pruskim!

Prusy były już niemal nawskróś protestanckie. Na wschodzie, w Prusiech Książęcych, biskupstwa katolickie już zniknęły; nie istniały już dyecezye sambijska i pomezańska. Na zachodzie, Gdańsk był istnym kantorem apostołów „piątej ewangelii“ na całe państwo Jagiellońskie. Cała zachodnia część Prus Królewskich, tj. Pomorze, należała do dyecezyi kujawskiej, gdzie nieszczególni prałaci wówczas zasiadali; nie mając biskupa na miejscu, tem łatwiej oswoili się z myślą, że można się bez niego obejść wygodnie. Pozostawał środek kraju: dyecezye chełmińska i warmińska. Pierwsza z nich, nie należąc do prowincyi polskiej, ale do ryskiej metropolii, usuwała się zpod kontroli władzy kościelnej prymasa lub synodu polskiego, a podlegała arcybiskupowi, który był niewątpliwym, zdeklarowanym protestantem: był to Wilhelm Brandeburski, brat rodzony księcia pruskiego, którego tylko przymus okoliczności i nacisk króla polskiego wstrzymywał od jawnej sekularyzacyi. Dyecezya zaś warmińska podlegała tylko wprost samej Stolicy apostolskiej; wyjątkowo swobodne stanowisko hierarchiczne tutejszego biskupa wymagało podwójnej przezorności w obsadzaniu tej stolicy. Zważmy nadto, że biskupi pruscy byli zarazem świeckimi książętami; każdy z nich miał tu też swoje państewko. Krzyżacy, podkopując bezustannie tę świecką udzielność swoich biskupów, nie zdołali jej jednakże zgnieść do szczętu. Polskie rządy nie pielęgnowały też obcej sobie instytucyi państw kościelnych, a jednak świadomość udzielności pozostała żywą na głównej stolicy biskupiej w Prusiech, mianowicie w Warmii, bo tu udzielność

mogła się oprzeć na znaczniejszym obszarze. Poddani biskupa warmińskiego byli gorliwymi protestantami i coraz trudniej było tu o dobrego katolika; ludność nie z biskupem swoim, ale z sąsiednim władcą, z księciem pruskim, sympatyzowała. To wszystko musiało dawać wiele do myślenia w czasach, kiedy reformacya zagrażała rewolucyą stosunków polityczno-prawnych, kiedy protestantyzm gotował się w niejednem miejscu Europy „burzyć i rozwalać trony".

Przyszłość Prus, głównie zaś stosunek ich do Korony, zależał też wielce od osobistości biskupa warmińskiego; tem bardziej, że biskup ten był pruskim prymasem i niejako wice-królem; on sejmom przewodniczył i zwoływał narady senatu. Znaczenia warmińskiego biskupa polskie rządy nietylko nie zmniejszyły, ale owszem podniosły je znacznie. Zależało też jak najbardziej na tem, ażeby mieć tu prałata związanego jak najbliżej z dworem królewskim.

Ze względu na protestantyzm, wywiązywała się jeszcze jedna, a wielce ważna sprawa. Zakon krzyżacki, dotknięty sekularyzacyą Prus, nie uznał jej bynajmniej, a opierając się na banicyi, wydanej przez Rzeszę i cesarza na Albrechta Pruskiego, marzył o odzyskaniu Prus. Wojna o Prusy trwoży umysły niemal nieustannie za obydwóch Zygmuntów, a ten stan rzeczy kazał baczyć tem bardziej na roztropne obsadzenie stolicy warmińskiej, oddzielającej właśnie posiadłościami swemi Prusy Królewskie od Książęcych. I wogóle, wobec tego *odium*, które wywołała sekularyzacya Prus Krzyżackich, zależało prawdopodobnie rządowi królewskiemu szczerze na tem, ażeby Warmia pozostała katolicką, ażeby tu utrzymać dawny stan rzeczy pod względem religijnym i polityczno-prawnym; jedno z drugiem wiązało się jak najściślej.

O ile konserwatywna polityka wpływała na nominacyę biskupów pruskich, nie mogła wynaleść lepszego kandydata nad Stanisława Hozyusza. To widać jawnie już z tego, co się dotychczas o jego osobie powiedziało, i gorące życzenie Zygmunta Starego w tej mierze tłumaczy się łatwo.

Ale w polityce królewskiej względem Prus nie wszystko

było konserwatywnem. Dążono właśnie do zniesienia odrębności Prus wobec Korony. Trzeba było złamać niejeden przywilej pruski, uważany za przestarzały zabytek z połowy XV. wieku, złamać go wbrew oporowi senatu i sejmu pruskiego. W tych sprawach zależało na osobie biskupa warmińskiego jak najwięcej, a na każdym senatorze pruskim bardzo wiele. Trzeba było starać się poobsadzać te godności swoimi. Przeszkodą do tego był przywilej, dozwalający tylko pruskim indygenom piastować godności, czy to świeckie, czy to duchowne. Świeckich senatorów powoływać do Prus z Korony było niemożebnem, bo i w Koronie obowiązywało prawo, że tylko obywatel danego województwa może w niem sprawować dostojeństwa. Ale nie tyczyło to prałactw; mianowanie Koroniarza na biskupstwo pruskie nadawało się tedy bardzo na próbę zrobienia zasadniczego wyłomu w przywilejach pruskich. Ponieważ wiemy, że przywileje te złamać chciano, możemy się domyślać, że w polityce Zygmunta Starego przemawiało za Hozyuszem i to, że nie był Prusakiem. Ponieważ zaś Hozyusz znał język i obyczaj niemiecki, i sprawami pruskiemi gorliwie się zajmował, można się było spodziewać, że Prusy z mniejszym oporem zniosą naruszenie swych praw w tym wypadku; mogło się zdawać, że osoba Hozyusza nadaje się w sam raz na pomost od państwowego separatyzmu pruskiego do ścisłego związku z Koroną.

Zapewne! wyłom pierwszy nie miał być ostatnim i król spodziewał się, że w Hozyuszu znajdzie powolne narzędzie polityki unii. Co do służbistości spodziewanej Hozyusza względem dworu, zachodził przemawiający za nim w tej mierze precedens jeden ciekawy z r. 1545. Chodziło o odebranie Gdańszczanom intratnego starostwa Puckiego, które posiedli prawem zastawu jeszcze za Kazimierza Jagiellończyka; król energicznie zabrał się do sprawy i zwrot Pucka niemal że wymusił. Gdańszczanie chcieli przynajmniej *decorum* jakieś dla siebie ocalić, ażeby oficyalnie sprawę jako wykup zwykły przedstawić, a z drugiej strony, co im się nieprawnem w postępowaniu króla wydawało, na osobisty nacisk despotyczny króla zganić; zwłaszcza zaś, nie chcieli dopuścić do oficyalnych wzmianek o królewskich komi-

sarzach, bo odmawiali królowi prawa wysełania do Prus swoich komisarzy. Te punkta miały się uwidocznić w stylizacyi dekretu królewskiego. Hozyusz, który całą sprawę pucką wziął w swoje ręce, gdy inni się usuwali, podjął się też zredagowania dekretu najzupełniej po myśli królewskiej, czem nie bardzo u Gdańszczan popularności sobie przysporzył. W trudnej i dość delikatnej nawet tej sprawie, okazał się tedy jak najpowolniejszym. Takiego właśnie potrzebował tam król.

W następstwie okazać się miało, że dwór zawiódł się wielce na Hozyuszu, o ile z innych, niż z kościelnych względów, do Prus go wysłano; Hozyusz nie ze służbistości, ale z przekonania dał się użyć w sprawie puckiej, a ilekroć zapatrywania jego nie licowały następnie z polityką unii, był zupełnie nieużytym i bronił sam gorliwie przywilejów pruskich. Ale narazie tego się po nim nie spodziewano wcale.

Ostatni wakans na pruskich biskupstwach zaszedł w r. 1537 po śmierci Maurycego Ferbera, biskupa warmińskiego; miejsce jego zajął w roku następnym dotychczasowy biskup chełmiński, znany Dantyszek, a chełmińskim został kustosz warmiński, Tiedemann Giese. Hozyusz rozpoczynał wtenczas dopiero zawód publiczny, wróciwszy zaledwie przed czterema laty z akademij włoskich, od niedawna dopiero z kanclerzem Chojeńskim na dworze królewskim mając zatrudnienie; znaczyło i tak dużo, że otrzymał wtenczas właśnie kanonię warmińską. Potem nie było już wakansu, aż do roku 1548; Dantyszek umarł w tym roku 27 października, a zatem w siedm miesięcy już po Zygmuncie Starym. Zygmunt August atoli wypełnił wolę ojca co do Hozyusza: Giese postąpił na stolicę warmińską, a jego miejsce w Chełmży zajął 1549 r. Hozyusz.

Jak sobie postępował na stolicy biskupiej wobec protestanckiego zalewu, wiemy już poniekąd z poprzedniego artykułu[1]: że za główny środek katolickiej propagandy uznał odrazu szkolnictwo, i zaraz na początku szkołami się zajął. Gdy w r. 1551

[1] Por. *Przegląd Powszechny* 1891, kwiecień i maj: „Szkoła Hozyusza w Prusiech".

został biskupem warmińskim, rozszerzył jeszcze bardziej swą działalność: po różnych próbach (nie zawsze szczęśliwych), postanowił nareszcie szkołę swoją połączyć ze słynną szkołą chełmińską; chcąc atoli do tego doprowadzić, należało przedtem ten zakład naukowy wyrwać z rąk protestantów — i ten epizod działalności Hozyusza będzie nas tu bliżej zajmować.

* * *

Szkoła chełmińska ma ciekawą historyę. W XIV. w. noszono się przez jakiś czas z myślą założenia tu uniwersytetu; wielki mistrz krzyżacki Zöllner von Rotenstein wystarał się już nawet o potwierdzenie u papieża Urbana VI. (w r. 1387), ale Zakon nie chciał dać potrzebnych pieniędzy, sprawa poszła w odwłokę, a potem jej całkiem zaniechano. W drugiej połowie wieku XV., już po pokoju toruńskim, chciano tu znowu założyć jaką szkołę wyższą i powołano w tym celu Gerhardytów *(fratres bonae voluntatis)*, którzy jednakże, nie znalazłszy również należytych środków pieniężnych, na mniejszem, niż zamierzali, poprzestać musieli. W r. 1505 miasto dotychczas wolne, przeszło na własność biskupa chełmińskiego (który jednak rezydował i nadal nie w Chełmnie, lecz w Chełmży i w Łobawie), straciło przez to na znaczeniu i wpływie w sejmie pruskim. W r. 1508 pojawia się projekt założenia głównej na Prusy szkoły — czegoś w rodzaju akademii — ale nie w Chełmnie już, lecz w Elblągu; dopiero kiedy sam biskup chełmiński zabrał się do dzieła, nastały dla szkoły lepsze znowu czasy. Jan Konopacki, biskup chełmiński, nadał jej po wieczyste czasy znaczne dochody i skłonił magistrat, że poszedł za jego przykładem. Po jego przeniesieniu na stolicę warmińską, szkoła jednak całkiem upadła. Następca jego, Dantyszek, zajął się zakładem wprawdzie, sam 40 grzywien rocznie ofiarował i poruszył tę sprawę na sejmie malborskim 1536 r., ażeby założyć zupełne *gymnasium* — ale sam wkrótce, podobnie jak jego poprzednicy, przeniósł się do Warmii, a tymczasem minęły już czasy sposobne do zakładania wyższych szkół przez pruskich biskupów. Już reformacya „pełnemi żaglami“ do Prus napłynęła, ludność sympatyzowała z założonem tymczasem protestanckiem

gimnazyum w Elblągu. Mówiono na sejmie r. 1540 z ubolewaniem o upadku chełmińskiej szkoły, ale niczego na jej podniesienie nie uchwalono — prawdopodobnie dlatego, że zostając pod władzą biskupią, musiałaby być katolicką; jakoż biskup wypędził był właśnie rektora chełmińskiego, Wilhelma Gnapheusa, który jawnym okazał się protestantem. W r. 1543 mówi się jeszcze o reformie starej szkoły, o rewindykacyi jej dochodów i. t. p., ale było już stanowczo zapóźno; następnego roku powstał w Królewcu protestancki uniwersytet księcia Albrechta Pruskiego, młodzież tam się pogarnęła, stany pruskie przestały się o Chełmno troszczyć. Cała sprawa przestałaby prawdopodobnie być aktualną, gdyby nie ta okoliczność, że w Królewcu wybuchły wkrótce gwałtowne spory teologiczne, a znaczna część protestanckiej ludności przestała być zadowoloną z nowego uniwersytetu, na którym zawiodła się w swych przekonaniach religijnych; wiadomo, że w Prusiech kwitnęło w najlepsze sekciarstwo, jeden protestant zarzucał drugiemu ustawicznie nieprawowierność. Skutkiem sekciarskich waśni wypędzono z Królewca jednego z profesorów uniwersytetu, Jana Hoppego (Hoppius), i ta okoliczność stała się punktem wyjścia nowej reformy szkoły chełmińskiej. Ówczesny biskup, Lubodzieski, zwyczajem swych poprzedników, przypominał także mieszczaństwu potrzebę rewindykowania dawnych i dodania nowych funduszów na szkołę — ale, aż do wypędzenia Hoppego z Królewca, napróżno. Gdy atoli pod wpływem tego zdarzenia powstała w Chełmnie myśl, poparta przez protestanckich senatorów pruskich, ażeby Hoppego do Chełmna powołać, fundusze zaraz się znalazły, i w marcu 1554 r. nowego rektora instalowano, szkołę znacznie rozszerzywszy, tak, że miano w niej wykładać nawet retorykę, poetykę i filozofię. Był widoczny zamiar, żeby skorzystać ze sposobności i wytworzyć w Chełmnie umysłowe ognisko protestanckiego ruchu.

Wszystko to stało się z wiedzą i przyzwoleniem biskupa chełmińskiego, Lubodzieskiego. Prałat ten jest ciekawym okazem polskiego biskupa z połowy XVI. wieku; nie podaję tu jego charakterystyki, ponieważ będziemy mieli sposobność poznać dokładnie to kunktatorskie usposobienie przy konkretnych szcze-

gółach z jego dalszego zachowania się. Narazie wystarczy proste zwrócenie uwagi czytelnika, że ten biskup, który pozwolił bez najmniejszych trudności powołać na stanowisko rektora w swojej dyecezyi profesora z Królewca, miał najbliższym sąsiadem takiego Hozyusza, tudzież, że powołanie Hoppego nastąpiło właśnie w czasie, kiedy ten Hozyusz zwrócił uwagę na chełmińską szkołę, ażeby połączywszy z nią swoją szkołę, uczynić z niej ognisko katolickie. Zamiary Hozyusza doznały niespodzianej porażki, a niezwykł był dawać za wygraną! Należało przewidywać, że rozpocznie wojnę ze swym sąsiadem-biskupem o szkołę, którą już począł uważać za swoją, że nie dopuści, ażeby w niej protestantyzm zapuścił korzenie.

Hozyusz zapewnił sobie w bardzo dobry sposób wpływ na osobę Lubodzieskiego; postarał się sam dla niego o kanclerza, na którym mógł polegać. Ów Szymon Marycki, którego Hozyusz pragnął z początku pozyskać na rektora dla swojej szkoły, został następnie w r. 1551 z jego polecenia kanclerzem biskupa chełmińskiego. Osobiście Hozyuszowi zobowiązany, mecenasem swoim go nazywający, był też bardziej Hozyusza urzędnikiem przy boku Lubodzieskiego, niż tego ostatniego.

Marycki wyrzekał ciężko na Prusy: „bodajm był nigdy nie przyszedł do tego kraju; nie znajduję tu nic katolickiego!“ wołał w liście do Hozyusza [1]. Z biskupa i pana swego był bardzo niezadowolony; zdarzało się przecież, że Lubodzieski w uroczyste święto nabożeństwa całkiem nie odprawił. Już w r. 1553 strofować go począł surowo Hozyusz, „ażeby pomny swych obowiązków, robił to, do czego go stanowisko jego zobowiązuje“; ażeby też pamiętał odprawić nabożeństwo na — Boże Narodzenie! *(sic!)* [2]. To jedno upomnienie wystarczy do scharakteryzowania wyznaniowego stanowiska Lubodzieskiego! Stosunek do Hozyusza zaostrzył się oczywiście po powołaniu Hoppego. W lipcu 1554 Hozyusz zmówił się z prymasem Dzierzgowskim i podkanclerzym Przerembskim, ażeby na chełmiń-

[1] *Hosii Epistolae* nr. 1182.
[2] Tamże nr. 1145.

skiego swego kolegę wywrzeć nacisk. Kanclerz prymasa, Gabryel Grabowiecki, jeździł właśnie na dwór królewski do Wilna; wracając, wstąpił do Lubodzieskiego i nastraszył go, że go na dworze królewskim oskarżają o luteranizm, że król sam osobiście o wszystkiem poinformowany; jeżeli chce się oczyścić i naprawić sobie opinię, niech szkołę chełmińską z gruntu zmieni *(omnino evertat);* tak przynajmniej radzi i tego żąda podkanclerzy. Zmowa ta na nic się zdała; Lubodzieski pomyślał sobie zapewne, że choć król wie o wszystkiem, kto wie, czy się bardzo o to gniewa? Odparł przezornie, że właśnie napisał do króla o radę i czeka odpowiedzi, gotów zastosować się we wszystkiem do jego życzenia [1]. Był to dowcipny i udatny wykręt; wiadomo, że Zygmunt August w pierwszych latach swych rządów uchodził za zwolennika reformacyi. Fortel się nie udał, Hozyusz radnierad musiał rozpocząć jawną z Lubodzieskim wojnę.

Pośrednikiem tych relacyj dwóch biskupów był oczywiście Marycki, którego Hozyusz dlatego właśnie na tem miejscu ulokował, ażeby Lubodzieskiego, poprostu powiedziawszy, pilnował. Lubodzieski bowiem — powiada Hozyusz — „jest w tym wieku, że potrzebuje męża uczonego, uczciwego a katolickiego, któryby mu wskazał i wytłumaczył wszystko, co do jego obowiązków należy“ [2]. Musiał się tedy Marycki wywiązywać i w tej sprawie szkoły chełmińskiej z niewygodnej i bardzo przykrej roli powiernika Hozyusza, a dozorcy tego, którego był sługą; zobaczymy, jak przykrą była ta rola i jak mu się dała we znaki, gdy sprawa poszła na ostre.

We wrześniu otrzymał Marycki od Hozyusza rozkaz, ażeby się z Lubodzieskim stanowczo co do Hoppego rozmówił i to w jak najkrótszym czasie. Biskupa nie było w Chełmży; Marycki, nie tracąc czasu, zaraz za nim wyjechał; a spotkawszy się z nim w Starogrodzie, tam mu „porządnie“ wyłożył wszystko, co Hozyusz w jego usta włożył. Szkoda, że nam Marycki nie zostawił szczegółowej relacyi z tej konferencyi; byłby to

[1] Tamże nr. 1259.
[2] Tamże nr. 1254.

niezawodnie jeden z najciekawszych pomników ówczesnego stanu naszego episkopatu. Z jednej strony taki Hozyusz (boć Marycki był w tym wypadku tylko prostym jego figurantem), a z drugiej strony Lubodzieski, charakter złożony ze samych niejasności i wątpliwości. Tamten, stający okoniem przeciw prądom porywającym całe rzesze koło niego, gotów zawsze płynąć przeciw wodzie, jeden z tych rzadkich umysłów, które narzucają społeczeństwu swoje pomysły, bez względu na opinię i bezpośrednie chwilowe następstwa, nie liczył się z żadnymi względami, byle tylko stało się to, czego on pragnie. Ten drugi żadnych zasadniczych pragnień nie miał, obojętny wobec kierunków rozbieżnych, całą sztukę życia zasadzał na tem, żeby brać świat takim, j a k i m j e s t i do niego się zastosować; nie z przewrotności, nie ze złości, lecz tylko dla słabości woli i towarzyszącego jej zwykle ubóstwa ducha, ponieważ kwestya: jakim świat być p o w i n i e n, była dlań poprostu nieprzystępna; słaby duch niesiony wirem prądów, a gdziekolwiek zaniesiony, wszędzie osiedlić się gotów, byle mieć spokój od wszystkiego. Siła a bezwładność, czynna oporność a bierność, świadomość celu a obojętność, zapał do sprawy powszechnej a ciasny horyzont osobistych interesów — takie przeciwieństwa stanęły naprzeciw siebie w Starogrodzie we wrześniu 1554, z powodu szkoły chełmińskiej.

Domyślać się można, że Hozyusz kazał Maryckiemu, żeby swemu biskupowi oświadczył wprost, że z powodu Hoppego podejrzanym jest i on o herezyę i wzywał go, żeby otwarcie, a nie dwuznacznie, zdeklarował się, czy go za katolika nadal uważać należy, czy też za protestanta[1]. Takie zapytanie musiało być taranem dla Lubodzieskiego; wiedział, że Hozyuszowi wymijającej odpowiedzi dać nie można, że tu zachodzi proste *aut-aut*. Była jednak inna jeszcze droga: nie odpowiadać wcale, bo

[1] Domysł na podstawie słów z listu Maryckiego do Hozyusza, pisanego na wyraźne zlecenie Lubodzieskiego: „ut omnem de se suspicionem haereseos... exueret et hoc idem aliis per R. Ptem. V. persuaderet". *Hosii Epistolae* nr. 1277, na samym końcu.

do odpowiadania obowiązanym wcale nie był. Można było całkiem swobodnie, i dodajmy, że legalnie, dać Hozyuszowi do zrozumienia, że nie ma prawa narzucać się drugiemu, sobie zupełnie równemu biskupowi, w roli inkwizytora. Miasto Chełmno było wyłączną własnością Lubodzieskiego, szkoła zależała tylko od niego i chełmińskiego magistratu; to też gdyby biskup chełmiński był umysłem samodzielnym, byłby zapewne odpowiedział, że wolno mu w swojej szkole trzymać kogo mu się podoba i dopóki mu się podoba; byłby odparł, że w Chełmnie on, a nie kto inny, jest od tego, ażeby oceniać, czy pewna osoba stosowną jest na rektora czy nie; a co się tyczy prawowierności, wszak on podobnie jest biskupem, jak Hozyusz, a więc równie kompetentnym do jej stwierdzania. Warmiński pasterz bowiem dopuścił się bądźcobądź wielce niedyskretnego uczynku, wtrącając się tak gwałtownie w sprawy cudzej dyecezyi[1], jakby był zwierzchnikiem swego sąsiada; a gdyby Lubodzieski był chciał narazić się Hozyuszowi, mógłby Hoppe spokojnie zestarzeć się w Chełmnie, a Hozyusz nicby nie wskórał, bo nie miał żadnej legalnej podstawy zaczepienia go. Gdyby Lubodzieski był w duchu naprawdę protestantem, byłby sobie żartował z srogiej miny Hozyusza; obawiać się nie miał czego. Kurya była daleko, a episkopat zależny był bezpośrednio nie od papieża, ale od króla. Zwracam uwagę na te okoliczności celem zaznaczenia, że właściwie nie było żadnej rady na tę protestancką szkołę; to właśnie charakteryzuje Hozyusza, że zabierał się do dzieła bez względu na to, czy należało się spodziewać powodzenia, czy klęski, lubił podejmować się zadań, które powszechnie za niewykonalne mogły uchodzić; czy w Prusiech, czy potem na widowni całej Europy stojąc, zawsze był pod tym względem jednaki. Hasłem jego było: na przebój!

Tak też było z Lubodzieskim; zuchwała zaczepka Hozyu-

[1] Podobne wypadki zdarzały się Hozyuszowi częściej; wojowniczy ten książę Kościoła nigdy zaczepki nie unikał, a bardzo często umyślnie jej szukał.

sza była wiatrem, który tę trzcinę pochylił aż do ziemi. Nie miał żadnego zasadniczego powodu obstawać przy Hoppem, bo mu protestantyzm był równie obojętnym, jak gorliwość w wierze Hozyusza; chcąc go zatrzymać, byłby się musiał narazić na pewne nieprzyjemności i szykany, którychby mu warmiński kolega zapewne nie poskąpił. Dla osobistego spokoju — i z pewnością tylko dlatego — wolał poddać się odrazu życzeniu Hozyusza, chociaż ten objawił je w takiej formie, że wyglądało to na przysłanie rozkazu.

(C. d. n.).

Dr. Feliks Koneczny.

PIĘKNO W SZTUCE[1].

Już wiemy, że w sztuce jest pewna twórczość — na prawa tej twórczości rzuciliśmy okiem... Ale co jest tej twórczości końcem? co sztuka stworzyć usiłuje? Oczywiście — piękno. Od tego się nazywa sztuką piękną, i tem się różni od nauki i od rzemiosła.

Nie możemy więc zamknąć tego szkicu o zadaniu sztuki, bez spotkania się z zagadką piękna. Estetycy szukają od wieków definicyi piękna. Starzy filozofowie, jak Plato, Augustyn, Tomasz z Akwinu, mówią o „blasku prawdy", o „blasku doskonałości", o „jedności z rozmaitością i blaskiem"; — ojciec nowożytnej estetyki, Baumgarten, widzi w pięknie „doskonałość uzmysłowioną"; — inni „ideę w zjawisku", „ducha w materyi"; — inni „zgodność formy z ideą"; — inni jeszcze szukają istoty piękna w kongruencyi ustroju przedmiotu z normalnym ustrojem podmiotu ludzkiego... W każdem z tych orzeczeń czujemy coś prawdziwego; ale skoro próbujemy je stosować do rzeczy konkretnych, spostrzegamy, że są nieużyteczne, nie znajdujemy związku między temi abstrakcyami a rzeczywistością. Ztąd ciągłe próby, aby te orzeczenia poprawić. Jeden z nowszych estetyków[2], przytoczywszy długi szereg prób i wysileń swych poprze-

[1] Patrz *Przegląd Powszechny*, styczeń i marzec b. r.

[2] Lemcke, *Esthetik.*

dników, powiada, że to Syzyfowa praca: a to rzekłszy — zabiera się sam do dźwigania wiecznie staczającego się kamienia. Akademia francuska przed kilkoma laty ogłosiła konkurs za najlepsze orzeczenie piękna — a skończyło się na tem, że żadna z przedłożonych prac nie została uznana za godną nagrody.

Zkąd taka trudność w tej definicyi? Czy nie ztąd może, że się od niej zawiele wymaga? W zakresie estetyki nie trzeba i nie można szukać takich orzeczeń, jak w sferze czystego myślenia. W matematyce, w logice, gdzie myśl oderwana panuje, definicya prawdziwie przedmiot określa — i dlatego pokrywa się z przedmiotem; już mniejsza jest ścisłość definicyi w metafizyce i w naukach przyrodniczych, gdzie myśl bada rzeczy od siebie niezależne; — ale gdzie oprócz myśli wchodzi w grę uczucie, tam już pojęcia tracą wyraźne granice — i ztąd, gdy chcemy zdawać z nich sprawę, nie możemy właściwie określać *definire*, tylko wskazujemy, objaśniamy najwydatniejszy punkt — każąc resztę ocenić w przybliżeniu; — podobnie jak w tęczy, nie możemy oznaczyć, odkąd dokąd rozciąga się barwa żółta, ale wskazujemy miejsce gdzie jest najżółciejsza i drugie miejsce gdzie jest najbardziej zielona. I nietylko piękno, ale wszystkie wogóle pojęcia, z których estetykę budujemy — jak „charakter“, „nastrój“ *(Stimmung)*, „płaskość“, „wzniosłość“, „komiczność“. „romantyczność“ i t. p. — tak samo wyłamują się zpod logicznych definicyj, i tylko wspomnianym sposobem omówić się dają: nie przez określenie granic, ale przez pewne wyjaśnienie i wskazanie cech najwybitniejszych, w rzeczach, które owe przymioty najpełniej posiadają.

Takie tylko orzeczenie piękna jest możebne. A z tego punktu widzenia wszystkie wyżej wspomniane orzeczenia są dobre, każde z nich jakąś stronę piękna przybliżenie wytyka i wskazuje. Żadne atoli nie może służyć ani być istotnie zrozumianem bez konkretnych wyjaśnień i wypełnień — których bądźcobądź szukać trzeba w obserwacyi, w podglądaniu i rozbiorze zjawisk, którym piękno przypisujemy, jakoteż stanów duszy, w których piękna używamy.

Puśćmy się na chwilę w tę drogę — nie żeby ją dokładnie

zbadać — byłoby to za wielkie przedsięwzięcie! — ale żeby zobaczyć przynajmniej, którędy ta droga prowadzi.

Pięknem nazywamy to, co nam się podoba. Nie każde jednak upodobanie tu mamy na myśli — nie takie, jakie nam sprawia wyborna potrawa, lub interes korzystny — ale jakieś szczególne, czyste, delikatne, bezinteresowne, które harmonijnie nastraja i podnosi duszę. — Jakże się to szczególne upodobanie w nas wytwarza?

Wchodzi piękno do duszy przez zmysły — takiem jest powszechne prawo ziemskiego poznawania. Więc pierwszym warunkiem piękna jest: dogodzić odpowiedniemu zmysłowi pewnem dostrojeniem, zgodnością z organicznemi jego prawami. Dlatego muzyka i poezya schlebiają uchu dźwięcznymi głosami i rytmem, obraz i ornamentyka podchlebiają się oku blaskiem i harmonią barw... Jeżeli zmysł jest obrażony, to odrazu powstaje niesmak — i delikatny czar piękności już się rozwiał. Najlepszy mazur Szopena, odegrany na złym fortepianie, jest nieznośną kakofonią. — Jeżeli zaś zmysł zadowolony, czy już jest wrażenie piękności?

Gdyby nic więcej nie było w naszem „ja“, prócz zmysłów — jak w pewnem znaczeniu o zwierzętach powiedzieć można — wówczas upodobanie nasze kończyłoby się na jaskrawym kolorze i miłym dźwięku. Ale u nas jest coś głębszego, poza zmysłem. Wrażenie przez zmysł odebrane budzi wyobraźnię — wyobraźnia potrąca uczucie, porusza serce — a na to wszystko patrzy rozum, który nawet kiedy się zdaje najbierniej zachowywać, zawsze przecież swemi wskazówkami i wymaganiami wpływa na ruchy innych sił duszy. Otóż, jeżeli która z tych sił czyli władz wewnętrznych [1] będzie niezadowoloną z przedmiotu, który wszedł do duszy przez zmysły, powstanie zawsze jakiś rozdźwięk, zamęt, jakiś rozstrój w upodobaniu estetycznem — które właśnie

[1] Nie chcę się tu spierać o kwestyę metafizyczną: czy te władze duszy są istotnie władzami, czy tylko szeregami pewnych zjawisk psychicznych. Odnośnie do kwestyi estetycznej, którą traktujemy, to rzeczy nie zmienia.

zupełnego zestrojenia i harmonii z duszą wymaga. Pewien utwór muzyczny może być miłym uchu, a urażać uczucie niezgodnością z jego prawami — już to nie będzie piękna muzyka. Pewna budowla może swą polichromią podobać się oku, a brakiem proporcyi, nieracyonalnem zawieszeniem mas niedość widocznie podpartych, urażać wymagania rozumu — już to nie będzie piękna architektura. Może też poezya głaskać ucho rytmem, ornamentyka wabić oko żywością barw — a być jałową dla wyobraźni — ani jedna ani druga piękną nie będzie. Ostatecznie więc przedmiot, który mamy uznać za piękny, wnikając do głębi naszego „ja“, zadowolnić musi wszystkie władze i siły duszy, z któremi się w naszem wnętrzu spotyka. Pod takim tylko warunkiem sprawi nam estetyczne upodobanie, prawdziwe i niezamącone, i wyrwie nam z duszy ten hołd: oto rzecz piękna!

Ale jakże przedmiot może zadowolnić władze duszy, jeżeli nie przez pewną kongruencyę, przez zgodność z istotnemi prawami i wymaganiami tych władz wewnętrznych — podobnie jak w sferze zmysłów wspomniana harmonia barw i głosów zależy na ich zgodności z fizyologicznemi prawami wzroku i słuchu? Tak wracają nam tutaj owe prawa ducha, o których mówiliśmy w rozprawie o twórczości w sztuce — jedność, symetrya, równowaga, celowość, wolność... — prawa, według których, jak widzieliśmy, artysta instynktowo tworzy, a których doskonałe zrealizowanie daje — jak teraz widzimy — zupełną kongruencyę przedmiotu z wymaganiami podmiotu, a więc urzeczywistnia piękność.

Tu już usprawiedliwia się nam i to nowożytne orzeczenie piękna, jako prawidłowości przedmiotu zgodnej z prawidłowością podmiotu — i to starsze, które upatruje w pięknie jakieś przejawianie się ducha w materyi: ponieważ ta kongruencya z duszą, która jej takie upodobanie sprawia, zależy właśnie na tem, że ślad ducha i jego praw w przedmiocie się znajduje.

Lecz nie koniec na tem: dusza ludzka przedstawia się nam obecnie jako miara piękności — ale czy każda dusza jest zarówno tą miarą? Rozumie się, że o ile jakiś człowiek jest duchowo

nierozwinięty, albo w pewnej części swej duchowej istoty „atrofiowany“, o tyle jest niezdolny normalnie odczuć i ocenić piękno. Wiadomo, że dzicy ludzie nic nie oceniają z europejskiej muzyki, tylko hałas i takt; i dopiero wtedy okazują głośno swe zadowolenie, kiedy się odzywa wielki bęben z czynelami. Nie znaczy to, żeby inne przymioty i delikatności muzyki nie miały istotnej i ogólno-ludzkiej wartości, ale pokazuje to tylko, że u tych ludzi wrażliwość uczuciowa nie doszła do tego stopnia rozwoju i wydelikacenia, jakiego trzeba, by wyższą harmonię tonów odczuć i ocenić. Gdyby powszechne głosowanie ludzkości miało decydować, co z dwojga piękniejsze: czy Salomon w całym przepychu oryentalnego władcy, czy lilia polna, pewnieby największa ilość głosów padła na kapiącego złotem Salomona: — nie żeby zdanie Chrystusa, który uznał lilię za piękniejszą, było błędnem, albo czysto subjektywnem, ale że do należytego ocenienia wdzięków lilii, zależących na rytmie linij i najdelikatniejszych przejściach barw, potrzeba pewnego wykształcenia umysłu, do jakiego większa część ludzi nie dochodzi.

Dalej, o ile w jakimś człowieku popędy duszy są krzywe, zbaczają od zasadniczych natury ludzkiej wymagań — o tyle znowu niedoskonałą jest on miarą piękna i mniej kompetentnym jego sędzią. Człowiek, który ma zmysł moralny zwichnięty lub przytępiony — a ilu takich jest! — nie oceni należycie pierwiastku piękna moralnego, ani w życiu ani w sztuce; nie spostrzeże on nawet, nie uczuje uszczerbku, jaki czyni w piękności to co obraża moralność — a przecież jestto prawdziwy uszczerbek: bo zmysł moralny bezsprzecznie do kompletu wykształconej duszy ludzkiej należy, a więc to co go uraża, nie jest zdolne sharmonizować się z duszą zupełnie i sprawić jej niezamącone upodobanie, pięknu właściwe [1]. — Ludzie znów, będący pod wpływem narzuconej mody, lub błędnej doktryny estetycznej — jak formalistyczny pseudoklasycyzm przeszłego wieku i niemniej sztuczny pseudorealizm dzisiejszy — przez to samo uniezdolnieni są

[1] Obszerniej tego dowodziłem w rozprawie: „O związku sztuki z moralnością“ — w *Przeglądzie Powsz.*, rok 1887, tom XIV., i w osobnej odbitce.

w pewnej mierze do odczuwania i do sądzenia objawów piękna, wychodzących poza ich formułki. Nie szczery rozum i uczucie ludzkie w nich sądzi, ale po części ten nowotwór psychiczny, który się w ich umyśle wyrobił i którego pozbyć się nie mogą.

To wszystko nas prowadzi do wniosku, że właściwą miarą piękna jest ostatecznie człowiek idealny: tj. podmiot, w którym przypuszcza się naturę ludzką, rozwiniętą wszechstronnie i doskonale, podług istotnych tejże natury praw i wymagań.

W rzeczywistości wszyscy niedoskonałymi jesteśmy, i przeto w upodobaniach i sądach swoich o pięknie skłonni jesteśmy do brania osobistych, może zwichniętych, może zdrożnych zachcianek, za wymagania natury i normy piękności — i dlatego też sąd każdego z nas o pięknie ma tylko względną wartość — proporcyonalną do zbliżania się każdego do ideału ludzkiej natury. Lecz pod warstwą mniej lub więcej grubą tych zmiennych naleciałości, tkwi zawsze w nas rodzimy grunt ludzkiej natury; co w nas jest najgłębszego, jest zdrowem i szlachetnem, prawdziwie ludzkiem. I ztąd w pewnej mierze prawdziwe piękno rozeznać i sądzić o niem możemy — i na tej podstawie możemy się w tych sądach spotykać i porozumiewać między sobą — i dlatego pewne rzeczy i pewne dzieła sztuki, które do samego gruntu natury naszej trafiają, są dla wszystkich i nieśmiertelnie piękne [1].

Ale ztąd także wynika, że piękno jako takie jeszcze dalej i wyżej sięgnąć może, niż do kongruencyi z duszą każdego z nas. Jeżeli przedmiot prawidłowością swoją odpowiada harmonijnie wymaganiom mej duszy, znajduję w nim spokojne estetyczne upodobanie — przyznaję mu już piękność; ale jeśli przedmiot posiada ten charakter zgodności z duchem w stopniu daleko wyższym od stanu mojej duszy, wówczas jeszcze lgnę do niego, czując w nim to tajemnicze z duszą pokrewieństwo — ale zarazem czuję się podniesiony, porwany ponad siebie, ku ideałowi wyższemu i lepszemu od siebie. O takiej rzeczy mówimy,

[1] Sam Taine tem tłumaczy nieśmiertelność klasycznych arcydzieł poezyi i dłuta, że są oparte na najgłębszym i niezmiennym gruncie natury ludzkiej. Por. *Philosophie de l'art*, tom I.

że nas „zachwyca“, że „porywa“, że w „ekstazę“ wprawia, *qu'elle nous ravit* — są to wszystko słowa, które wyrażają to pociągnienie duszy w górę ponad siebie. Pochodzi to pociągnienie w górę nie jedynie i może nie zawsze z bezwzględnej wyższości duszy artysty nad duszą patrzącego, ale także z tej już nam znajomej zdolności ludzkiego ducha do wznoszenia się ku absolutowi [1] — zdolności, która pozwala mu wzlatywać chwilami w swych pomysłach, aspiracyach i odgadywaniach daleko wyżej, niż stoi w rzeczywistości. A kiedy nadto człowiek posiada przywilej, te poloty swej duszy w marmurze, na płótnie, w rytmicznem słowie skrystalizować — wtedy powstaje dzieło sztuki z a c h w y c a j ą c e. Słowo to, które przez nadużycie w bieżącej literaturze tak bardzo zblakowało, ma przecież ścisłe i głęboko psychologiczne znaczenie, które się dopiero wtedy rozumie, kiedy się arcydzieła tej miary w odpowiednim nastroju i skupieniu ogląda.

Prowadząc jeszcze dalej ten rozbiór, i z podmiotu, któryśmy dotychczas analizowali, przechodząc na przedmiot — doszlibyśmy wkońcu do konkluzyi, że piękno, które ma człowiekowi idealnemu odpowiadać i bezwarunkowo mu się podobać, musi być przedmiotową doskonałością, ideałem objektywnym, przedstawiającym się w świetle dla człowieka przystępnem. I z tego punktu tłumaczy się definicya piękna Baumgartena: „doskonałość uzmysłowiona“ — jak również one stare: „blask doskonałości“ — lub co na jedno wychodzi, „blask prawdy“, bo prawda w platońskiem znaczeniu doskonałość obejmuje. Chyba może te stare orzeczenia jeszcze wyżej ponad człowieka się wznoszą, i przez ów blask rozumieją najogólniej jakąś intelektualną widzialność doskonałości, przez którą ona daje się duchowi z radością poznać i pokochać.

Cały ten rozbiór idei piękna zrobiliśmy głównie na tle sztuki: bo sztuka, będąc naszym, ludzkim utworem, jest nam

[1] Patrz „Twórczość w sztuce“, ostatnie z wyliczonych praw ducha.

poniekąd bliższą niż natura. Piękno w sztuce lepiej rozumiemy — w naturze czujemy je raczej i odgadujemy. Jej kompozycya przechodzi naszą miarę — podobnie jak wysoce skomplikowana kompozycya nowożytnych muzyków lub ornamentatorów przechodzi miarę i zdolność analizy prostych ludzi, pozwala im jednak czuć nieokreślenie jakąś dla nich tajemniczą piękność.

Bliżej wszakże przypatrując się temu pięknu natury, i w niem znajdziemy jakieś pokrewieństwo z tem, cośmy uznali za piękno w sztuce, jakiś odblask pierwiastku duchowego w materyi. Cała natura, z punktu estetycznego uważana, przedstawia nam igrzysko opanowania materyi przez jakiś pierwiastek wyższy, który ją opromienia, kształtuje, ożywia — im wyżej w sferze życia, tem więcej racyonalności i duchowości przejawia — i przez to właśnie piękność urzeczywistnia [1].

Już w świecie mineralnym jawi się ta piękność pod wpływem światła, przychodzącego z góry, nieważkiego, zjawiskowo niemateryalnego. Światło, ta antycypacya ducha w materyi, pieszcząc się z kruszcami i głazami, wywołuje w nich życie barw — łamie się i drga we fali — odbija się w chmurach kolorami tęczy — wszystko czego dotknie, przepromienia w jakąś wyższą formę... A najpiękniejsze rzeczy w świecie nieorganicznym są właśnie te, które najwięcej ze światłem się kojarzą: jak kryształ, lub kropla rosy promienna słońcem [2]. Jeżeli zaś, prócz światła, jakieś inne ruchy materyi nieżywotnej przedstawiają nam coś pięknego, to właśnie takie, które antycypują poniekąd cechy żywotności — a więc znowu ten wyższy pierwiastek w materyi pozornie przejawiają:

---

[1] Następującą kartkę o pięknie natury wydrukowałem już przed kilkoma miesiącami w II. wydaniu „Celowości w naturze“. Ale ponieważ te myśli są mi tu potrzebne, a nie chcę czytelnika odsyłać do tego drugiego wydania „Celowości“, które jeszcze w niewielu jest rękach, więc bez ceremonii powtarzam tę kartkę.

[2] Uwagi godną jest rzeczą, jak w strefach polarnych, gdzie niema piękności życiu właściwej, natura zdaje się chcieć nagrodzić ten brak spotęgowaniem piękna nieorganicznego, fajerwerkami zórz północnych, cudną grą światła w lodach i falach, którą podróżnicy z prawdziwym zachwytem opisują.

jak falowanie morza, lub kapryśne podrygi strumyka. Komuż się nie wydało, że morze i strumyk żyją?

W świecie roślinnym, ten pierwiastek świetlany i ożywczy działa już nietylko z zewnątrz, nie igra przelotnie, jak w kropli rosy i po obłokach, ale wciela się, i od wnętrza roślinę organizuje tym ruchem życiowym, który już daleko wyraźniej coś myślnego przejawia. Roślina sama zwalcza bezwładność, podnosi się od ziemi, na spotkanie światła. Szuka ona nietylko harmonii w wewnętrznym ustroju, ale i w kształtach zewnętrznych rytmu, symetryi — nie tej geometrycznej, co minerał, pod wpływem samych sił mechanicznych — ale subtelniejszej, idealniejszej, pogodzonej z pewną swobodą, która jest znowu antycypacyą wolności, duchowi właściwej. Ubiera się roślina w barwy, ale delikatniej, nie tak jaskrawo, jak surowe minerały: przeważnie powleka się łagodną zielonością, której wszelkie tony harmonijnie kojarzy; a w porach kiedy ma rodzić, przystraja się kwiatem, w którym gromadzi wszystkie wdzięki, wszystkie delikatności rysunku i barwy.

W zwierzętach już znać wyższe wcielenie tej iskry, która już nietylko tworzy i organizuje, ale uświadamia, odzwierciedla w swem wnętrzu przedsobny świat — i jako taka objawia się w ich oczach, w ich głosach i swobodnych ruchach, wyłamujących się z niewoli materyalnej ciężkości.

Lecz i tu po stopniach dopiero ta piękność się roztacza: na najniższym szczeblu, w koralach, znajdujemy jakieś piękno według typu mineralnego, i to zewnątrz żyjątek przez ekskrecyę osadzone. Coś podobnego w miączakach, których barwna skorupa jest raczej mieszkaniem niż częścią organiczną; motywa estetyczne, jakie w nich spotykamy, zdają się jeszcze do wzoru roślinnego należeć. W owadach już jest nieco wyższa, im właściwa piękność, ale tylko powierzchowna, nie wyrażająca ich treści. Są to zawsze robaki — tylko pięknie pomalowane i z przyczepionemi powierzchownie skrzydłami.

W kręgowcach dopiero przejawia się ta piękność, której szukali Grecy w swej architekturze: tj. harmonijna forma, dyskretnie tłumacząca wewnętrzną strukturę i siły. U ryb to uczłon-

kowanie jest jeszcze mało uwydatnione; za co estetyczny zmysł natury obdarza je błyszczącą i polichromiczną łuską. Coś podobnego powiedzieć trzeba o wielkiej części płazów. Ptaki kryją jeszcze nieco swe kształty w obfitem upierzeniu; ale samo to upierzenie bywa prześliczne, a nadto obdarza je lotem — tak swobodnym, tak rytmicznym, tak wspaniale tryumfującym nad więzami ciężkości i wzbijającym się w świetlany przestwór — że trudno ruch estetyczniejszy pomyśleć — i tenże ruch staje się dla nas symbolem duchowego piękna uczuć i myśli. U ptaków też zdarzają się harmonijne głosy, które wprowadzają w estetykę natury nowy, wyższy czynnik, i antycypują zjawiskowo harmonię uczuć, światu zwierzęcemu obcą.

Ale najwyższy rodzaj piękności natury spotyka się u ssących, gdzie idea życia wciela się w całej pełni i objawia w najbardziej rytmicznem zestrojeniu części, w największej rozmaitości, sile i łatwości ruchów. Czy można sobie wystawić bardziej skomplikowany mechanizm, jak ów skład kości, muszkułów, nerwów, żył, przyrządów trawienia, oddychania i t. d., z których zbudowane są te zwierzęta? — a czy może ten cały mechanizm objąć się i wyrazić w piękniejszych formach i ruchach, jak takiego lwa, tygrysa, kota, psa, konia, sarny, wiewiórki i tym podobnych?

Prawda, że nie wszystkie zwierzęta są piękne; owszem, powiedzieć można, że im wyższe sfery natury, tem częściej pojawia się pewna brzydota — bo warunki piękna są delikatniejsze a łatwiejsze od nich zboczenie [1]. Te przeciwieństwa jednak nie

[1] W naturze martwej, jeszcze niema brzydoty, są tylko braki piękności — gdzie jest brak światła, kształtu określonego lub żywej barwy. W roślinności znajduje się brzydota rzadko w typach zdrowych, najczęściej zaś tylko w jednostkach skarłowaciałych lub martwych. U zwierząt, zwłaszcza w wyższych rodzajach, częste są zboczenia od wskazanych warunków estetycznych, które wprowadzają pierwiastek brzydoty obok piękności, a niektóre gatunki zupełnie brzydkimi czynią. Takim pierwiastkiem brzydoty bywa najpierw pewien powrót gatunków wyższych do znamion typu niższego, nieharmonizujących z innymi ich przymiotami: — np. pełzanie u kręgowców, odtwarzające typ robaka, a nie dające miejsca uczłonkowaniu, które już niższe gatunki posiadają; podobnie skorupy u żółwiów, pancerze u wielu szczerbaków, które cofają się aż do muszli i minerału, a lokomocyę tych zwierząt czynią nad wyraz niezgrabną. — Drugim elemen-

uwłaczają ogólnej piękności przyrody — lecz owszem uwydatniają samą normę piękna, zpod której panowania się wyłamują — upewniają nas o jej rzeczywistości, i dają nam ją lepiej ocenić i odczuć. Są to, mówi św. Tomasz, „cienie w obrazie“, które przyczyniają się do piękna całości.

Nareszcie w człowieku, cała ta piękność organizacyi pod lekką przysłoną miarowo i harmonijnie uwydatnionej, nierównie jeszcze bogaciej niż u zwierząt i doskonalej się urzeczywistnia. A oprócz tego przejawia się w nim coś nieskończenie wyższego — dusza rozumna, która wygląda przez oczy, igra na ustach, każdemu ruchowi, każdej pozie ciała swoje piętno nadaje, i odbija w nich wewnętrzny swój świat uczuć i myśli.

Jeżeli naturę bierzemy w przeciwstawieniu do człowieka i z wyłączeniem jego, wówczas powiedzieć możemy, że jej piękno, acz niedoścignione w właściwych sobie wdziękach i żywotności, jednak niższego jest rzędu, uboższej treści, niż piękno sztuki: bo choć przymila się duszy, niemal udaje duszę, jednak istotnie jej nie posiada, jak sztuka. Piękno natury, ze swoją ta-

tem brzydoty bywa pewne zalanie form, mających organizacyę uwydatnić — zkąd powstaje masa bezkształtna, także cofająca się zjawiskowo ku najniższym, nieuczłonkowanym typom życia: ztąd brzydkość zwierząt sztucznie wypasionych, tudzież wieloryba, hipopotama, foki, morsa, i podobnych, przeważnie zresztą przeznaczonych do krycia się w wodzie. — Potrzecie, brzydką bywa wszelka nierytmiczność w uczłonkowaniu: odnóża za cienkie względem ciała, jak u świni — albo za krótkie, jak u kreta — albo przednie nieproporcyonalne z tylnemi, jak u kangura, którego też chód jest dziwnie niezgrabny; u innych, to zbyt gruba skóra, to gardziel wisząca, to uszy za wielkie, to ogon za szczupły... rozstrajają harmonię typów. Najwięcej może szpeci przesadne uwydatnienie organów niższych funkcyj zwierzęcości, a utajenie wyższych: ztąd szpetność świni, tapira, mających ogromne ryje a maleńkie oczka. Zwierzę pokrewne foce, *spalax typhlus*, wygląda najprzód jak bryła bez uwydatnionych kształtów, przytem oczy ma niedostrzegalne, a wreszcie ogromne wystawia zęby, których wargi pokryć nie mogą...

Ciekawe i głębsze myśli o tym pierwiastku brzydoty w naturze skreślił Włodzimierz Sołowiew w artykule Красота въ природѣ (umieszczonym w Вопросахъ философіи и психологіи, zesz 1.), z którego tu korzystałem. Szkoda tylko, że autor zaprawia swój pogląd na naturę filozofią pesymistyczną, o której kiedyindziej dałem wyobrażenie.

jemniczą głębią, ze swą nieskończonością szczegółów i przestrzeni, nie poddającą się naszej analizie, więcej nam daje do marzenia, więcej myśleć każe o czemś poza sobą... jestto, że się tak wyrażę, rodzaj piękna romantycznego; — piękno sztuki, będąc, jak powiedziałem, dla nas zrozumialszem, przedstawia nam coś bardziej skończonego, większe zrównanie między formą a treścią — jestto, w przeciwieństwie do natury, piękno bardziej klasyczne — a więc, w odnośni do naszego poznania, doskonalsze. Piękno natury podlegając nieuchronnemu prawu stawania się, życia i śmierci, panującemu w przyrodzie, zadawalnia w nas potrzebę urozmaicenia, wynikającą z niewyczerpanej naszego ducha żywotności; — ale sztuka zadawalnia niemniej silną żądzę stałości, pochodzącą z tęsknoty duszy za nieśmiertelnością — i dlatego przelotne piękności natury, które najżywiej do duszy przemówiły, sztuka w biegu chwyta i uwiecznić usiłuje.

Jeżeli zaś bierzemy naturę w pełni, jako obejmującą człowieka, właściwą swą koronę, i wszystkie piękności duchowego jego życia — wtedy trudno nie przyznać, że sztuka wobec niej bardzo maleje... Jedno wejrzenie jasnych oczu dziecka więcej posiada wdzięków, niż wiele Madon Rafaela. Jeden czyn szlachetnego poświęcenia się dla drugich więcej zawiera piękna (w tej sferze piękno estetyczne zlewa się w jedno z etycznem), więcej ma w sobie siły do zachwycenia nas, niż dziesięć tragedyj Szekspira.

Sztuka jednak posiada jeszcze, w przeciwieństwie do natury, ten wielki przywilej i to posłannictwo — na tej uwadze kończymy nasze studyum — że biorąc z natury piękno, tak fizyczne jak moralne, może je izolować od zboczeń i zwichnięć, na jakie myśl boża wśród stworzeń jest wystawiona, rzadko na niższych przyrody stopniach, częściej na wyższych, najczęściej w najwyższej, to jest etycznej sferze — i tym sposobem wznosić się może ku czystemu ideałowi. Nie znaczy to bynajmniej, żeby brzydota fizyczna czy moralna żadnego nie miała prawa bytu w sztuce; owszem, gra ona w sztuce rolę niezmier-

nie ważną (którą kiedyindziej starałem się bliżej określić [1]), ale rolę z natury rzeczy tylko pomocniczą, wysługującą się pięknu bądź siłą kontrastu, która piękno wydobywa, bądź walką, która piękno jeszcze uszlachetnia i droższem nam czyni; — właściwym atoli przedmiotem i końcem sztuki jest nie co innego, tylko sama piękność.

Ztąd też istotnie wynika dodatni jej wpływ w sferze moralności, który już Grecy postrzegali, mówiąc, że sztuki „oczyszczają namiętności". Jeżeli piękno jest ustrojem rzeczy, harmonizującym z duszą wzorową, a sztuka jest takiego piękna organem, to rzecz naturalna, że obcowanie z nią nastraja nasze dusze do tejże harmonii. Jeżeli sztuka daje nam prawdziwe piękno głębiej zrozumieć, delikatniej czuć i w niem się kochać, jeżeli brzydkość etyczną, nie bałamucąc naszych uczuć, przedstawia szczerze jako brzydkość — pozwalając nam się nią brzydzić, dając zrozumieć jej wewnętrzną logikę, prowadzącą do zniszczenia — to jasna rzecz, że taka sztuka, będąc piękną i prawdziwą, przez to samo jest też dobrą i zdrową. Napróżno silił się panujący do niedawna kierunek narzucić kult brzydoty, doprowadzony aż do estetycznego absurdu: *le beau c'est le laid;* napróżno z lubością roztaczał przed oczyma naszemi wszelkie karłowatości, zgnilizny fizyczne i moralne ze wszystkich steków świata, ozłacając wszystko blaskiem artystycznej faktury — dusza wobec tych płodów zaciekawioną bywała brutalną ich śmiałością, z jednej strony czuła się pociągniętą wdziękami wykwintnej formy, z drugiej czuła w głębi niesmak do treści, doznawała jakiegoś zamącenia i rozterki swych estetycznych i etycznych uczuć — a wkońcu znękana, odwracała się ku prawdziwej, harmonijnej piękności, jak roślina ku słońcu. — Napróżno znów dzisiaj inna szkoła predykuje płaskość w sztuce: z zasady wymaga, żeby każdy obraz przedstawiał widok banalny, żeby każdy charakter w dramacie lub powieści był średni, każdy czyn pospolity, każda twarz i każda dusza ordynarna — a cała piękność utworu jedynie z artystycznego przedstawienia

[1] Por. „O związku sztuki z moralnością".

wynikała. — I ten niemniej ekluzywny i niemniej doktrynerski system nie odpowiada aspiracyom ludzkości [1], i przyszłości nie ma: bo nie godzi się z istotnem zadaniem sztuki. — Nie tak pojmowali sztukę mistrzowie, których dzieła przetrwały lub przetrwać mają wieki. Kiedy posługiwali się brzydotą i płaskością, to jedynie, jak powiedziałem, na korzyść piękna — czcili zaś samą piękność. I dlatego w dziełach swego dłuta, pendzla i pióra rozlali, zagęścili tyle piękności — w twarzach, w charakterach, w samej natury widokach! I dlatego to zbiorowe wrażenie, jakie z oglądania ich dzieł odnosimy, jest pewne podniesienie duchowe i upojenie pięknością.

Piękność artystycznego wykonania — przyznałem to nieraz — jest bardzo ważnym, bardzo pociągającym w sztuce czynnikiem — ale bezwarunkowo wyżej stoi i szczytem sztuki jest: w pięknej formie piękna treść.

Ks. Maryan Morawski.

[1] Sami siebie obserwując, zauważyć możemy, że kiedy mamy do wyboru między utworami równie doskonałej faktury, a nie jesteśmy pod wpływem innych niż estetyczne pobudek — to instynktem serca zwracamy się ku temu, w czem jest piękniejsza treść. Przypominam sobie, jak niedawno temu, kiedy wyszły *Les nouveaux pastels* Bourgeta, podawano je sobie z rąk do rąk, zachwalając: „jakie to piękne! ale zwłaszcza pierwszy szkic *le Saint!!*“ Pytałem: czemu ten pierwszy szkic ma być piękniejszy od innych? przecież artyzm Bourgeta jest we wszystkich szkicach równie znakomity? Otóż dlatego, że w pierwszym oprócz artyzmu formy, jest piękność przedmiotu, postać moralnie śliczna.

OJCIEC SŁOWEŃCÓW:

Dr. JAN BLEIWEIS.

Nie brak u nas słowianofilów rozmaitego kierunku i odcienia, ale wśród tych marzycieli, śniących o wielkich przeznaczeniach szczepu słowiańskiego, jakże mało znajomości składowych części tej olbrzymiej rodziny, jak w gruncie wiele obojętności na rozrost poszczególnych gałęzi rodowego drzewa, jaka nieświadomość pojedyńczych typów, dziejów, usiłowań i dążności! Prasa nasza peryodyczna najwymowniej świadczy, jak mało dbamy o pobratymcze wiadomości, któreby przecież najcenniejszemi dla nas być powinny! Prędzej usłyszymy, co się dzieje w Kongo, aniżeli co się myśli i zamyśla wśród Wendów, Łużyczan, Słoweńców.

Któż z nas zasłyszał kiedy imię d-ra Jana Bleiweisa? Otrzymujemy z pola jego znojów i zachodów, z dziedziny jego ojczystej i „rodzonej“, krótkie o nim wspomnienie, które pozwala nam wniknąć w najmniej znany zakątek słowiańskiego świata, a zarazem wskazuje raz więcej, czego zdolnym jest mąż, dobrą ożywiony wolą, co potrafi człowiek pojedyńczy, gdy dobrem sercem siły swe i życie odda umiłowanej sprawie.

Dosłownie niemal czerpiąc z biografii nakreślonej przez wiernego czciciela i druha „Ojca Słoweńców“, słuszna, abyśmy tu przytoczyli rzewny jego pracy początek. „Naród słoweński — pisze p. Piotr Miklavec, któremu niniejsze zawdzięczamy wspo-

mnienie — to prawdziwe dziecię boleści, dziecię cierpienia. Całe jego dzieje świadczą głośno, że Opatrzność na to tylko go stworzyła i dała mu się w dziejach ludzkości pojawić, aby drugim służyć; w całym bowiem przeciągu lat, odkąd słychać o narodowości słoweńskiej, nigdy się ona zupełną swobodą ani niezawisłością nie cieszyła. A wraz i inne Słoweńców usiłowania i zamiary, nigdy im bodaj wielkich nie przyniosły korzyści. Słusznie też powiada ich poeta, iż ‚Słoweńcowi zawsze szczęście łże', albo że ‚Słoweniec szczęścia nie zna'. Chociaż-bo zaświta kiedy lepszej jutrzenki zorza, już wraz czarne nadciągają chmury, nigdy nie pozwalając doczekać dnia swobody i pomyślności".

A jednak nie ulega wątpliwości, iż razporaz wydziedziczone plemiona miewać zwykły przesłańców, przybliżających wschód „słońca zbawienia". Niestety! sporadyczne to objawy, których stratę całe społeczności tem dotkliwiej odczuwają, iż zwykle dla podobnych ludzi nie masz zastępców ani następców, gdy odchodzą przed czasem z pola znoju i szlachetnych zapasów. Takim był i dr. Bleiweis, pierwszy Słoweńców przywódca, od r. 1881 nie zastąpiony a opłakiwany przez lud, któremu długo przewodniczył, zostawiając go dziś w ciężkiem osieroceniu. Jakie były dzieje tego prostego a niepospolitego męża — biograf nam jego opowiada.

„Dr. Jan Bleiweis urodził się na dniu 19 listopada 1808 r. w miasteczku Kraniu (Krainburg), w Krainie. Ojciec jego, z włościańskiego pochodzący stanu, osiadłszy w rzeczonem miasteczku, chwycił się szczęśliwie handlu, na którym prędko się wzbogacił. Rychło utracona małżonka zrodziła mu z kolei sześcioro dziatek, pięciu synów i jednę córkę. Pomiędzy niemi był nasz Jan najstarszym. Pierwotnie nazwisko rodziny miało brzmieć po słoweńsku Plaweż, przerobione na Bleiweis przez urzędników germanizujących niemiłosiernie wszelkie miejscowe nazwy i miana". Ileż w ten sposób wielka rodzina słowiańska ponosi strat znaczących! Wszakże świeżo wyniesionym został do czci ołtarzy Morawianin Dworzak, stale Hofbauerem nazywany, skutkiem urzędowego niemczenia imion słowiańskich, które wówczas było na porządku dziennym.

Po ukończeniu szkoły elementarnej w swoim „rodnym kraju“, jak pisze biograf, Jan Bleiweis udał się do Lublany, gdzie przeszedłszy wszystkie klasy gimnazyalne, następnie pospieszył na wszechnicę wiedeńską, ażeby tamże słuchać medycyny. Rozprawa jego doktorska o pijawkach i ich zastosowaniu lekarskiem powszechną nań zwróciła uwagę powag miejscowych. Mimo uzyskanych stopni, dr. Jan postanowił nie opuszczać jeszcze Wiednia, lecz z pomocą rządowego stypendyum uczyć się dalej, i to weterynaryi, upatrując osobne dobrodziejstwa w zawodzie ubezpieczającym wieśniakom i rolnikom zdrowie domowego inwentarza, onego najpewniejszego źródła pomyślności gospodarskiej i bogactwa. Uzyskawszy posadę nauczycielską, przez całych lat jedenaście mieszkał w Wiedniu, i tu się ożenił z panną Fellner, z którą, jak pisze jego biograf, „żyć miał w sworności aż do swego grobu“ [1]. Po pierwszej łacińskiej rozprawie, Bleiweis w 1836 r. napisał pierwszą w niemieckim języku książeczkę o leczeniu najzwyczajniejszych chorób końskich. Że prosta rzecz praktycznie i mądrze musiała być wyłożoną, najlepszym dowodem liczne jej wydania i przedruki. Dopiero w 1842 r. wrócił dr. Bleiweis do Lublany, mianowany tamże profesorem przy szkole lekarskiej. Zaledwie się w ojczystej stolicy osiedlił, krańskie towarzystwo rolnicze naznaczyło go swoim sekretarzem.

Wraz rozpoczęła się nowa w życiu jego epoka. Zdobywszy sobie wszechstronne wiadomości i fachową naukę, w najlepszych latach wracał teraz w rodzinne strony, aby swych „ziemiaków“ nauczać, jak mają pracować z pilnością i pracowitością dla szczęścia, oświaty i pomyślności narodu.

W r. 1843, po długich korowodach i prośbach, za wstawieniem się arcyksięcia, czyli jak go nasz autor stale nazywa, „arcywojewody“ Jana, towarzystwo rolnicze kraińskie otrzymało pozwolenie wydawania gazety w języku słoweńskim. Czasopismo to otrzymało miano *Novice,* na redaktora powołano sekretarza związku, d-ra Jana Bleiweisa. Pierwszy numer ukazał się na

[1] Z umysłu przytaczamy niektóre pobratymczego języka wyrażenia, których trafność w przekładzie straciłaby na sile.

dniu 5 lipca 1843; zrazu gazeta wypełnioną była wyłącznie sprawami rolniczemi i przemysłowemi, iecz jej redaktor, rychło poznawszy swego narodu potrzeby, odgadł, iż podobna wyłączność treści zacieśniłaby ramy nowego dziennika, jął tedy doń przyjmować pieśni, rozprawy historyczne lub filologiczne, słowem wszystko, co mogło obchodzić i zajmować słoweńskich czytelników. Kraińscy, karyntyjscy, styryjscy i inni „pobrzeżni ziemiaki", przychylnie powitali *Novice*, tak iż po czteru miesiącach istnienia nowe czasopismo liczyło już ośmiuset prenumeratorów, czego się zrazu wcale spodziewać nie było można. Zwłaszcza duchowieństwo słoweńskie udzieliło redaktorowi *Novic* osobliwego poparcia. Poczytywano sobie za zaszczyt prace swe w łamach gazety rolniczej ogłaszać, a mężowie, którzy poprzednio nigdy pióra do ręki nie brali, próbowali teraz po słoweńsku pisać. Skupił się tedy około d-ra Bleiweisa zastęp wszystkich pisarzy, patryotów i przyjaciół słoweńskiego plemienia, cały zaś świat słowiański przychylnie witał na swych zagonach *Novice*. Z niepozornej rolniczej gazetki, skromne *Novice* wyrosły w głos potężny, budzący do życia, uczący jak pracować należy, po całym obszarze krajów słoweńskich. Dzielnym, roztropnym i mądrym kierunkiem wydawanego przez się pisma, dr. Bleiweis nieprzeliczone oddał swej ojczyźnie usługi. A najprzód rozwinął w kraju umiejętne rolnictwo, podstawę dobrobytu i rozwoju narodowego. Od r. 1843 co tydzień *Novice* uczyły wieśniaka, jak ma chodzić koło roli i bydła, jakie sadzić drzewa, jak hodować pszczoły, urządzać pasieki, winnice i t. p., otwierając sobie coraz to nowe źródła dochodu i dostatku. Ciągłe nawoływanie włościan do oszczędności, trzeźwości i pracy, oczywiście nie mogło bezskutecznem pozostać. Z wzrostem zamożności, rosła i oświata, i patryotyczna świadomość słoweńskiego ludu. „Gdzie panuje nędza — dodaje trafnie nasz biograf — tam też zwyczajnie jest ciemnota doma".

Novice miały i tę zasługę, że ześrodkowały wszystkich pisarzów słoweńskich w jedno przyjacielskie koło, które poprzednio żadnego nie posiadało organu. Teraz zaczęli się wszyscy nawzajem poznawać, uczyć i kształcić obopólnie. Nowa gazeta stała się zarazem i szkołą pisania. Kto się chce poznajomić z hi-

storyą rozwoju piśmiennictwa słoweńskiego po dni nasze, najlepiej ją zbada w rocznikach *Novic*, stanowiących prawdziwe zwierciadło, w którem wiernie się znaczy i odbija każdy postęp słoweńskiego ducha i mowy.

Bez walki i głośnych sporów, *Novice* wprowadziły ortografię czeską. Ortografia słoweńska, różniąca się od całego świata słowiańskiego, rozdzielała odeń Słoweńców murem abecadłowym. *Novice* zarównały ową przepaść zrównaniem pisowni, która dziś jednolicie służy Czechom, Chorwatom i Słoweńcom, zadatkiem szczepowej jedności. Gdy zaś niektórzy Słoweńcy próbowali urobić nowy język, powstały z mieszaniny chorwackiego i słoweńskiego narzecza, *Novice* umiarkowanem postępowaniem przeszkodziły tej nowatorskiej mrzonce, zachowując i rozwijając język słoweński na niewzruszonych podwalinach mowy ludowej.

One też rozwinęły w prostym ludzie chęć do czytania, do najbiedniejszych chat niosąc oświatę, która tylu „straconych ziemiaków“ napowrót patryotycznej świadomości odzyskiwała. „U nas zaś — pisze biograf d-ra Bleiweisa — gdzie tak szczupłym jest patryotów poczet, każdy pojedyńczy mąż wiele znaczy, każda też zdobycz podwójnie cieszyć winna“. *Novice* przygotowały też pole Stowarzyszeniu św. Hermagora, liczącemu już dziś do 46.000 członków, których nie byłoby ani połowy, gdyby zacne czasopismo nie było zbudziło wśród ludu ochoty do kształcenia się i czytania.

Największą może zasługą *Novic* jest niewątpliwie dzieło zlania się poszczególnych słoweńskich narzeczy w jeden piśmienny język słoweński. Poprzednio w Styryi pisano po styryjsku, w Krainie po kraińsku, w Karyntyi po karyntyjsku. Przy tak małoliczebnym narodzie, podobna rozterka językowa nie pozwalała o żadnem, nawet duchowem, marzyć zjednoczeniu. *Novice* umiejętnie zabrały się do dzieła porównania z sobą odrębnych dyalektów, używając potrochu metody, która uprzedziła zjednoczenie Włoch arcydziełem Manzoni'ego: *I promessi Sposi*, urobionem z poszczególnych gwar italskich, artystyczną zebranych i dobranych ręką. Rolnicze czasopismo dawało w swych łamach gościnność każdemu wyrażeniu, które uważało za dobre, zkąd

urobił się obecny język piśmienny, którym dziś piszą wszyscy wykształceni Słoweńcy, tak iż niema już różnicy w książkach drukowanych w Celowcu, Lublanie, Gorycyi lub Maryborzu. Ocenić można łatwo doniosłość takowego zwycięstwa i postępu.

Budzą się i inne narodowe aspiracye. Założywszy wątłe podwaliny duchowego połączenia, *Novice* podniosły niebawem myśl zlania wszystkich krajów słoweńskich w jednę administracyjną całość. Samych Słoweńców jest obecnie 1,200.000 dusz, osaczonych potężnymi sąsiadami: Niemcami, Włochami i Madziarami, z których żaden nie sprzyja ich narodowości i narodowościowym dążnościom. Wciąż tedy dobijać się trzeba praw, ubezpieczających byt tej garstki, zewsząd przez obce i niechętne plemiona zacieśnionej. „Jak łatwo mogłoby upaść nasze męstwo — pisze rzeczony biograf — gdyby nie pokrzepiająca nas w politycznych walkach myśl, iż poza nami stoją wszyscy Słowianie. I myśl ta dawa nam moc i dzielność i stateczność. Przeświadczeni jesteśmy, że jeśli nie my, to przynajmniej nasi synowie i wnuki doczekają lepszej przyszłości. Przekonani jesteśmy, że musi raz i dla Słowian zaświtać zorza dni lepszych, że kiedyś będzie i nam wolno rozwijać się swobodnie, bez obawy tego, co nam jutrzejszy dzień przyniesie. Oczekujemy tego wszystkiego w sojuszu ze światem słowiańskim. Dlatego *Novice* poznajamiały swych czytelników z tamtem Słowiaństwem, a chociaż nie budziły w sercach przesadzonych żądz i nadziei w pomoc słowiańską, uczyły ciągle nie zakładać rąk bezczynnie, lecz ustawicznie pracować, zmierzając do tego, aby nas świat słowiański poznał i wespół z nami działał. *Fac et spero!* Oto godło, którego mamy się trzymać, którego trzymały się też *Novice*“.

Przytoczyliśmy z umysłu cały ten ustęp, imponujący siłą nadziei, owej dźwigni, która się w naszych rękach i duszach obecnie kruszy, grożąc nam niemocą i ubezwładnieniem zwątpienia. „Ten tylko żyje, żyć będzie i godzien jest życia, kto wszystkiego się nadziewa i wszystko wytrwa“, jak mówi Apostoł narodów.

Nie dziw więc, że Słoweńcy już za samo wydawnictwo *Novic* upatrują w d-rze Janie Bleiweisie jednego z najprzedniej-

szych dobroczyńców swego plemienia. Nie brakowało wszakże cierni i trudności na drodze zasług, którą kroczył redaktor *Novic*. Nie oszczędzały go podłe oszczerstwa, a nawet denuncyacye, obwiniając go o panslawizm. Skargi te niesłuszne doszły raz do rąk samego „arcywojewody“ Jana, który za przybyciem do Lublany uciszył szkalowania, wnosząc toast na cześć d-ra Bleiweisa, w którym między innymi powiedział, iż „powinnością każdego człowieka jest kochać swą ojczyznę i szanować swój narodowy język“.

Mimo rozszerzonego zakresu, polityka nie dotarła do *Novic* aż po r. 1848, kiedy towarzystwo rolnicze przestało własnym wydawać je nakładem. Zaczem przeszły one na własność księgarza Blaznika, który żadnego prawie nie dawał wynagrodzenia d-rowi Bleiweisowi za rozliczne jego redaktorskie trudy. A tymczasem, aczkolwiek był on duszą *Novic*, nie trzeba mniemać, aby innym jednocześnie nie oddawał się pracom, z których przynajmniej ważniejsze przypomnieć się godzi. Najprzód już w 1843 r. wydał w Lublanie t. zw. *Bukwę za knuta*, księgę dla wieśniaka, zawierającą praktyczne wskazówki co do kupna, chowu i leczenia bydła. Później napisał rzecz, wzywającą do litości nad zwierzętami p. t. *Miloserčnot do živali*. Opatrzona rysunkami książeczka, uczyła kmieci, iż Bóg im dał zwierzęta do pomocy w pracy, iż one mu niosą pokarm, odzież i rozmaite korzyści. Za ten dar winien być człowiek Stwórcy wdzięcznym, a biednych zwierząt nigdy nie męczyć ani dręczyć. Książę Maksymilian Bawarski za tę książkę przysłał d-rowi Bleiweisowi medal brązowy i list pochwalny. Znając dokładnie wady, przymioty i potrzeby ludu wiejskiego, wydawał jeszcze z kolei dr. Bleiweis przeróżne dziełka i podręczniki praktyczne, np. o kuciu koni, o jedwabnictwie, o hodowli bydła i rozpoznawaniu zdrowego mięsa, oraz unikaniu niebezpiecznych pokarmów mięsnych, i zaraz szerzonych ich pożywaniem. Prócz tego, pod jego kierunkiem wychodził rokrocznie w trzydziestu do czterdziestu tysiącach egzemplarzy kalendarz, zatytułowany: *Velika Pratika*, w którym niósł Słoweńcom mnóstwo pożytecznych rad, dotyczących gospodarstwa, w ostatnich zaś latach dołączał i niemało wiadomości z zakresu

piśmiennictwa i polityki. Ponieważ ów kalendarz dochodził tam nawet, dokąd nie docierały *Novice,* nie dziw, iż rosła sława imienia d-ra Bleiweisa między Słoweńcami, którzy go zaczęli nie inaczej, jak ojcem swoim mianować, zwłaszcza z powodu jego roztropnego w polityce przewodnictwa.

Dr. Bleiweis był członkiem korespondentem wszystkich towarzystw rolniczych w Austryi, nie wyłączając lwowskiego i czerniowieckiego. Kraiński związek gospodarski, którego od r. 1843 był wzorowym sekretarzem, ofiarował mu w r. 1875 srebrny puhar ze stosownym napisem, wyrażającym powszechną dlań cześć i szacunek.

Ale dzielny pracownik nie zamykał się w obrębie wydawnictw czysto tylko ludowych i praktycznych. Już w r. 1849 wydał *Latopis słowenskiego społku* w Krainie, gdzie się znalazło miejsce i na wiele historycznych artykułów. Gdy w r. 1850 wprowadzano do szkół język słoweński, Bleiweis wespół z innymi autorami zebrał i wydał cztery podręczniki gimnazyalne, doskonałe wzory dla późniejszych tego rodzaju naśladowców.

W kalendarzu słoweńskim pomieścił dobrze opracowane życiorysy różnych znakomitości swego kraju, żeby tylko wspomnieć: W. Wodnika, Japla, Stanicza, Wraza, Miklosicha, dziejopisa kraińskiego Wajkarda, Walwazora, Zygę Zoisa i t. p. Prócz własnych prac, zamieszczał w kalendarzu wiersze Przeszerna, Koseskiego, Dežmana, Cegnara, Łukasza Svetca, Mencingera, Hicingera i Stefana. Warto wspomnieć drukowane tamże prace beletrystyczne Trstenjaka, Vertovca i innych.

Kalendarz ten, prócz pochopu, jakiego udzielił ruchowi literackiemu, tę jeszcze korzyść przyniósł rozbudzeniu ducha słoweńskiego, że za jego pomocą zdobył dr. Bleiweis olbrzymi fundusz, potrzebny na wydanie słoweńsko-niemieckiego słownika, który podziśdzień nie jest jeszcze ukończonym. Znalazł się szlachetny mecenas dla tego pożądanego przedsięwzięcia w osobie biskupa Alojzego Wolfa, prawdziwego Słoweńców dobroczyńcy. Nietylko za życia udzielał on hojnych datków szacownemu wydawnictwu, ale jeszcze po śmierci w r. 1859, zostawił fundusz

blisko stu tysięcy reńskich na ukończenie księgi, która po wsze czasy nosić ma nazwisko Słownika biskupa Wolfa.

I wraz świadomość narodowa jęła się coraz więcej ożywiać wśród Słoweńców, poczęto zakładać jednę czytelnię po drugiej, a jednocześnie Bleiweis zwrócił uwagę i na teatr i na sztukę dramatyczną, jako na ważny w odrodzeniu ducha czynnik. Sam napisał kilka sztuk, z których najwięcej zasługuje na uwagę: *Zupanowa Micika,* oraz *Wdowiec i wdowa.* Kiedy jeszcze w teatrze lublańskim nigdy słoweńskie nie brzmiało słowo, za staraniem d-ra Bleiweisa kilkakrotnie powiała tam pieśń słoweńska, zawsze z największym przyjmowana zapałem. Ta wszechstronna czynność wzbudziła mu nieprzyjaciół, którzy go usiłowali szkalować i pomawiać o działanie zapomocą rubli rosyjskich. Rychło się okazała płonność owego niecnego oszczerstwa, które biograf Bleiweisa z oburzeniem wspomina, dodając, iż dziwnem zaiste byłoby przypuszczenie, aby pod takim przywódcą natchniona pieśń słoweńska miała srebrnymi opłacać się rublami!

Od samegoż założenia w 1864 r. *Matycy Słoweńskiej,* dr. Jan Bleiweis nie przestał do śmierci być jej najpilniejszym filarem, stał na czele *Latopisa* związku, i zamieszczał w nim nietylko własne artykuły, lecz i korespondencye znamienitszych Słoweńców, które tym sposobem zachowywał potomności. Przyczynił się jeszcze do rozpowszechnienia dobrych książek, wiele poważnych dzieł wydając jako *Dodatek do Novic,* żeby tylko wspomnieć *Chemię rolniczą* i *Winogrodnictwo* Vertovca, *Dziewkę Orleańską* Koseskiego, *Złotą wioskę* Malawaszycza, Dzieje powszechne i inne, które wzbogaciły nieobfite dotąd piśmiennictwo słoweńskie.

Ale nietylko literacka działalność, lecz przedewszystkiem i polityczna czynność i powaga d-ra Bleiweisa przyczyniała się do rozsławienia jego imienia w kraju i za granicą. Zrazu był on tylko profesorem szkoły rolniczej w Lublanie, później wezwano go do Pragi Czeskiej, ale odmówił tej posady, ażeby swoich Słoweńców nie opuszczać. Rząd go tedy mianował radcą zdrowia i członkiem komisyi higienicznej, a i na tem polu niemałe położył zasługi. Należał i do komisyi chowu koni w Krainie, stał na czele weterynaryi krajowej. Wszystkie atoli zasługi na tem

polu zebrane, bledną wobec znakomitych usług, jakie oddał swemu krajowi po r. 1848, gdy dla Słowian w Austryi lepsze zaczęły świtać czasy. Należał do wszelkich zebrań i narad miejskich w Lublanie i ziemskich w Krainie. Wybrany do pierwszych zaraz stanów, zwołanych po r. 1848, udał się w deputacyi do Wiednia, dla wyrażenia tamże gorących życzeń Słoweńców, domagających się połączenia ludów Krainy, Styryi, Karyntyi i Pobrzeża w jednę administracyjną całość, stawiającą silną groblę przeciw wszelkim wrogim Austryi zachciankom. Arcyksiążę Jan wielce przychylne podał ucho na żądania deputacyi, ale niestety! przedłożony wówczas projekt jeszcze podziśdzień nie doszedł do skutku.

Właściwa atoli polityczna działalność Bleiweisa zaczęła się po wprowadzeniu w życie konstytucyi. Wybrany w r. 1860 posłem do sejmu ziemskiego z okolicy Lublany, przez ośmnaście lat pełnił chlubnie poselskie obowiązki, niemało oddając usług swemu narodowi. Nawet przeciwnicy jego osoby i plemienia skłaniali czoło przed jego doświadczonem słowem, płynącem z duszy i serca całkiem oddanych ojczyźnie. Odzywał się zawsze pierwszy, ilekroć chodziło o podniesienie rolnictwa, przemysłu, dobrobytu krajowego. Bronił też wytrwale maluczkich od zbytnich podatkowych ciężarów, wstrzymywał zakładanie instytucyj zbyt kosztownych, usiłował poprawić warunki zdrowotności publicznej. Ale nadewszystko starał się o równouprawnienie języka słoweńskiego po szkołach i urzędach. Czego nie mógł dostatecznie żywem wypowiedzieć słowem, to uzupełniał w swych *Novicach,* stojąc tak w ustawicznym sojuszu z narodem, który w nim coraz więcej upatrywał ojca. Nietylko Kraina, lecz cały świat słoweński kierował się słowami męża, który nie przestawał nieść swoim ukrzepienie i lepszej przyszłości nadzieje. Chociaż już na swych barkach dźwigał brzemię sześciu krzyżyków, choć tyle trudów przez cały ciąg życia dobrem ponosił sercem, nic go oderwać nie mogło od czynnego służenia sprawie, którą umiłował.

To też gdy w r. 1878 przypadła siedmdziesięcioletnia rocznica jego urodzin, cały naród zgotował mu w tym dniu wspaniałą owacyę. Niejednokrotne już zaszczyty na niego spływały

w uznaniu tylu i tak wszechstronnych zasług. Z tej okazyi, sto pięćdziesiąt gmin nadało mu obywatelstwo honorowe, a cesarz Austryi nadesłał order żelaznej korony, z przywilejem szlacheckim i tytułem rycerza Trsteniški, co jak raz przypadało do charakteru męża, który w każdej potrzebie krajowej, prawdziwie w rycerski potykał się sposób.

Ów dzień tryumfu był mu wynagrodzeniem za wiele przykrości, których nawet w własnym obozie doznawał. Kilku młodych publicystów, wykształconych na uniwersytecie wiedeńskim, jęło się skłaniać ku jakiemuś *sui generis* liberalizmowi, wytwarzając sobie partyę „młodych“, która w swych czasopismach na każdym kroku potępiała „starych“, nie wyłączając nawet uwielbionego „Ojca Słoweńców“, choćby dlatego samego, iż on ich zawsze do umiarkowania i trzeźwości wzywał. W tymże atoli dniu narodowego hołdu, nie było różnicy między „młodymi“ a „starymi“, między liberałami a klerykalnymi; każdy bowiem miał sobie za obowiązek przyłożyć rękę do uczczenia zasłużonego starca, którego zawód chylił się już ku zachodowi.

Wzmiankowanego tedy wieczora (18 listopada 1878 r.), zebrało się przeszło pięciuset mężów, z różnych ziemi słoweńskiej zakątków, w wspaniałym korowodzie z pochodniami na cześć jubilata. Pochód ten, do którego przyłączyli się śpiewacy, muzykanci i mieszczanie lublańscy, stanął przed mieszkaniem Bleiweisa, gdzie nie było końca pieśniom słoweńskim, oraz okrzykom *Żywio* i *Slava*. Nazajutrz wszyscy posłowie słowiańscy, oraz mnóstwo deputacyj z miast i wsi, zebrało się w głównej sali biblioteki lublańskiej, dla wręczenia jubilatowi dyplomów i listów z powinszowaniami. Znalazł się tam i kwiat inteligencyi chorwackiej; nie dziw też, jeśli dr. Bleiweis, podniesiony tym widokiem, powtarzał z wzruszeniem: „Chętnie teraz oczy zamknę, widząc, że tylu mam dzielnych wokoło siebie!“

I rzeczywiście miał to być ostatni błysk zachodzącego życia. W trzy lata później, na dniu 19 listopada 1881 r., nagła śmierć zabrała Słoweńcom ich ojca. Przeczucie narodowe, które rzadko omyla, zrozumiało, iż nierychło podobny znajdzie się przywódca. Wprawdzie naznaczono d-ra Łukasza Svetca na-

stępcą d-ra Bleiweisa, lecz nie posiada on podobno zdolności odpowiadających podobnemu stanowisku, i mało o nim słychać w codziennych za sprawy ojczyste walkach. Tych zaś nigdy nie brakuje.

Biograf Bleiweisa rzecz swą pięknie kończy, przypominając, że jeśli „Ojciec Słoweńców“ mianowany został pod koniec życia „rycerzem“, każdy Słoweniec, teraz zwłaszcza gdy owego hetmana i pierwszego bojownika nie stało, powinien imać się podobnego rycerstwa, ponieważ praca i służba narodowa jest dziś bardziej niż kiedykolwiek bojem i walką. „Wojsko jest gotowe, brak w nim tylko karności, brak wodzów, brak zwłaszcza takich, którzyby potrafili zastąpić niezapomnianego d-ra Bleiweisa, Słoweńców rodzica“.

Na tem się zamyka wspomnienie, napisane serdecznie przez wdzięcznego rodaka. Jeśli je w znacznej części tu podaliśmy, to nietylko z pobratymczego uczucia dla Słoweńców, lecz jeszcze, jak to powiedzieliśmy na wstępie, i dla zachęty ludziom dobrej woli. Przykład to bowiem wymowny, jaką siłą stać się może podobna dobra wola w społecznych robotach i patryotycznych zapasach, jak wiele zdziałać jest w stanie każdy, kto czystemi i prawemi ożywiony jest chęciami, choćby nie rozporządzał znacznymi środkami, których zwykł udzielać majątek, wysokie stanowisko społeczne. Gorące, miłością, czynnem poświęceniem bijące serce, najpewniejszym węgłem przyszłości i każdej budowy dla dobra ogółu podjętej.

M.

DZISIEJSZY SOCYALIZM WOBEC ŚWIATŁA ROZUMU.

IV. Co sądzić o rozwiązaniu kwestyi socyalnej, podanem przez socyalistów?

W poprzednich artykułach staraliśmy się dać pogląd na rdzeń dzisiejszej kwestyi socyalnej. Widzieliśmy w nich, że punktem jej środkowym, około którego wszystko się obraca, jest kwestya robotnicza. W artykule bezpośrednio poprzedzającym, nakreśliliśmy system ekonomiczno-polityczny, postawiony przez socyalną demokracyę; obecnie wypada nam ten system rozebrać, przynajmniej w zasadniczych jego punktach i w najważniejszych postulatach, by się przekonać, czy zgadza się ze zdrowym rozsądkiem, i czy przeto może usunąć rzeczywiste trudności kwestyi socyalnej [1].

Dwie rzeczy rozróżniamy w tym systemie: 1) idee zasadnicze i najważniejsze postulata same w sobie; 2) aparat naukowy, czyli zasady scyentyficzne, położone jako podwaliny całego systemu.

Pierwszemu punktowi jeszcze ściślejsze zakreślić należy granice. Wśród mnóstwa socyalnych demokratów, bardzo wielu marzy jeszcze o podziale dóbr, tj. że mienie bogatych powinno być rozdzielone pomiędzy ubogich w równych częściach,

[1] W kwestyach, o których tu mowa, odsyłam czytelnika prócz tekstów cytowanych w ciągu tego artykułu, jeszcze do następujących autorów: Leroy-Beaulieu, *Le Collectivisme;* — Fr. Hitze, *Kapital und Arbeit;* — V. Cathrein, *Moralphilosophie;* — Schäffle, *Quintessenz des Socialismus.*

ponieważ każdy ma równe prawo, jako oparte na równej naturze ludzkiej. Jestto mrzonka, której niedorzeczność wpada odrazu w oczy. Mniej napozór niedorzeczny wydaje się inny wniosek z teoryi „równouprawnienia“: mianowicie równość pracy. Wszyscy powinni pracować, i to przedewszystkiem rękoma, potem głową. Próżniacy, używający wszelkich rozkoszy obok uginających się pod pracą ubogich robotników, to urąganie równouprawnieniu. Kobieta nie stoi niżej od mężczyzny, jest mu zupełnie równą, a więc i dla niej równa praca, równe używanie. Ztąd wynika, że kto dzisiaj idzie za pługiem lub pasie bydło, jutro może być profesorem, głoszącym w szkole ostatnie wyniki umiejętności. Dzisiaj szewcem lub krawcem, a jutro wziętym lekarzem albo chirurgiem. O uzdolnienie każdej jednostki do wszelkiej możliwej pracy, w nowem państwie ludowem, troszczy się doskonałe wychowanie publiczne, wobec którego pedagogia starego świata jest dzieciństwem. — Takie to prawdy ogłasza się biednym ludziom, i każe się im w nie wierzyć bardziej, niż w Ewangelię! Przechodzi ludzkie pojęcie, do czego są zdolni najuczeńsi nawet przywódcy socyalizmu w zakresie mrzonek o „socyalistycznym raju przyszłości“.

Czytającemu dzieło Bebla p. t. „Kobieta“, albo J. Sterna „Tezy o socyaliźmie“, rzuca się w oczy następujący dylemat: Albo oni wierzą w swoje mrzonki i uważają je za możliwe do zrealizowania, a wtedy należy wątpić o ich zdrowych zmysłach; albo też nie wierzą w nie i oszukują tylko socyalistycznych swych czytelników, rachując na ich bezmyślność i brak logiki; — w pierwszym razie państwo socyalistyczne jest niemożliwe, ponieważ tak naiwni ludzie nie są zdolni do zakładania nowych społeczności; w drugim, bo idyoci nie potrzebują państwa, ale szpitala. Na dowód tego com powiedział, przytoczę tylko mały wyciąg z dzieła Bebla p. t. „Kobieta“. W artykule „o pracy“ powiada nam ten autor, że skutkiem doskonałego uregulowania i mądrego zastosowania środków i materyałów roboczych, praca tak będzie w y d a j n ą, że 2—3 godzin dziennej roboty zupełnie wystarczy na zaspokojenie wszelkich potrzeb społeczeństwa. Oczywiście p. Bebel, będąc zajęty swą agitacyą socyalistyczną, nie

miał nigdy sposobności przypatrzyć się pracy w polu, inaczej bowiem musiałby przyznać, że nie można zrobić umowy z deszczem, wiatrem i słońcem, by się stosowały do życzenia rolnika i pozwalały mu przy 3-godzinnej pracy dziennej uprawić rolę, zwieźć plony i t. d. Zapewnia nas dalej p. Bebel, że praca nie będzie ciężarem, i że wskutek tego próżniacy przestaną istnieć; cała moralna atmosfera w państwie socyalistycznem będzie każdego zachęcać do współzawodnictwa z drugimi (str. 160 i indziej); że praca będzie tylko zabawą, odpoczynkiem dla urozmaicenia jednostajności życia; dziś np. posiedzisz na szerokim zydlu, jutro postoisz przy tokarni, a pojutrze znajdziesz się na katedrze profesorskiej i t. d. Lecz może kto powie: ale zkądże ta zdolność każdej jednostki do wszelkiej pracy? w starym świecie potrzeba było całego życia na przygotowanie się do jakiegokolwiek zawodu, a niejeden i przez całe życie swoje był w tym zawodzie partaczem — w nowem zaś państwie każdy ma się stać w okamgnieniu mistrzem we wszystkiem: na ten zarzut odpowiada p. Bebel, że wyłoni się nieznany dotąd świat zdolności, gdyż umysły nie będą gnębione i ogłupiane przez dzisiejszy system kapitalistyczny (str. 163).

Co do życia towarzyskiego czyli etyki praktycznej, to głosi p. Bebel, że egoizm i troska o dobro ogółu w zupełnej będą harmonii (str. 156), że przeto i zbrodniarzy już mieć nie będziemy, a skutkiem tego sądy karne i więzienia nie będą potrzebne (str. 179). Z tego samego powodu wojna nie będzie już miała racyi bytu, a wieczysty pokój zapanuje na ziemi wolnej od koszar i obozów.

A jakże wspaniale opisuje p. Bebel przyszły rozwój cywilizacyi! Uczonych i artystów zjawi się moc niezliczona (str. 161); tysiące wspaniałych talentów, artystów na wszystkich polach sztuki, wyrastać będzie jak grzyby po deszczu. Nie będą się oni wprawdzie kształcić zawodowo, bo wszyscy muszą przecież brać udział w pracy produkcyjnej, ale to tem lepiej, bo zamiłowanie i talent nie będą krępowane więzami pedantyzmu. Zabłyśnie złoty wiek dla nauki i sztuki, jakiego świat nie widział (str. 185). Dobrze się zasłużywszy około społeczeństwa, tj. tro-

chę więcej niż 3 godziny dziennie poświęcając pracy, będzie się można puścić w podróż, zwiedzać obce kraje, badać inne części świata, uczestniczyć w wyprawach naukowych i kolonizacyjnych (str. 188). Inni zaś, którzy nie uczynili nic wielkiego dla ogółu, muszą naturalnie zostać w domu i dalej ślęczyć nad codziennem swem zajęciem. I otóż wyłom w przyobiecanej równości!

Ażeby też rolnicy przy tych obietnicach nie czuli się poszkodowanymi, mówi się im, że państwo socyalne pustkowia i wydmy nawodni zapomocą kanalizacyi, osuszy błota i bagna, pobuduje najdoskonalsze drogi i środki komunikacyjne, słowem całą ziemię zamieni w jeden wielki ogród. Nadto muzea, teatra, sale koncertowe, domy gry i hotele, biblioteki i czytelnie, najdoskonalsze zakłady naukowe, nie będą, jak dziś, monopolem wielkich miast, ale się powznoszą równomiernie po całym kraju. Parki i ogrody, łaźnie publiczne, szpitale i t. d., wszystkim innym potrzebom zapobiegną (str. 177 i nast.). Czegóż chcesz więcej wieśniaku!?

Jak powiedziałem, są to mrzonki, nie zasługujące na poważny rozbiór. Dlatego przechodzę do tych idei socyalistów, które mają przynajmniej jakiś pozór rozsądku.

1. Główną zasadą socyalizmu we wszystkich jego kształtach i odcieniach jest: Wywłaszczenie prywatnych posiadaczy ze środków roboczych i z dóbr produkcyjnych, a oddanie tychże na własność ogółu. Najprzód musimy się zapytać: kto będzie w socyalno-demokratycznem społeczeństwie owym posiadaczem, do którego będą należały wszystkie środki pracy? Nie mogą nim być oczywiście pojedyńcze gminy, a tem mniej pojedyńcze grupy robotnicze; tj. rola i wszystkie narzędzia rolnicze, wszystkie potrzebne budynki, które teraz należą do prywatnego właściciela w jakiejś wsi lub gminie, nie mogą przejść w posiadanie całej gminy; że fabryka wraz z wszystkiemi maszynami, ze wszystkim zgromadzonym materyałem roboczym, będąca dzisiaj własnością prywatną, nie może przejść w posiadanie robotników

w niej zatrudnionych. Dlaczego? Bo w ten sposób nie osiągnęłoby się celu, do jakiego dąży socyalizm.

Onem wielkiem złem czasu, zkąd cała nędza pochodzi, jest, według zdania socyalistów, anarchia, nieład produkcyi i konkurencya. Lecz konkurencya nie zniknie zaiste z powierzchni ziemi, jeśli własność prywatna przejdzie na rzecz gminy. Miejsce prywatnych kapitalistów zajmą pojedyńcze gminy i wystąpią z sobą do walki, jako bezładni producenci i konkurenci. Anarchia produkcyi pozostałaby w takim systemie taż sama, gdyż każda gmina tyleby produkowała, ileby tylko mogła; a skutki zbyt wielkiej produkcyi w stosunku do zbyt małej konsumpcyi byłyby o wiele fatalniejsze, ponieważ nie cierpiałby już tylko człowiek prywatny, ale gmina, jako taka. Nadto mogłaby się jedna gmina przez większą pilność lub szczęśliwszy zbieg okoliczności nieproporcyonalnie zbogacić, a inna skutkiem mniej pomyślnych warunków do zupełnej przyjść nędzy. Czyżby bogatsze gminy nie ubiegały się w takim przypadku i o polityczną przewagę nad biedniejszemi? A wtedy cóż się stanie z rządem demokratycznym? Nadto niepodobna, aby jedna gmina niezależnie od drugiej mogła opatrywać wszystkie swe potrzeby, a ztąd będzie konieczność handlu z innemi gminami. Tak np. jedna okolica ma doskonały grunt pod buraki, i dlatego też wyłącznie je uprawia i przerabia w cukrowniach, ale za to zboża tyle ma zaledwie, ile potrzeba na chleb; nie ma żelaza, płócien, fabryk sukna i t. d. Czyż więc nie powstanie w stosunku do innych gmin ta sama konkurencya, jaka dzisiaj istnieje między osobami prywatnemi? Mówią wprawdzie socyaliści o federacyi gmin, która ma zapobiedz tym nadużyciom. Lecz czy te federacye będą w socyalistycznej rzeczypospolitej trwalsze, niż w dawnym świecie? Bardzo o tem można powątpiewać.

Jedno jeszcze. Jeżeli każda gmina będzie ekonomicznie niezawisłą i wszystkie środki pracy będą wspólną własnością, czyż wtedy członkowie gminy, żyjący z jej wspólnej własności, będą mogli przenosić się do innych gmin? — i czy te inne gminy będą obowiązane bezwarunkowo przyjmować tych obcych przybyszów i przypuszczać ich do udziału w swej wspólnej wła-

sności? Jeśli nie, jeśli członkowie jakiejś gminy są zniewoleni w niej pozostać, to cóż się stanie z ową tak zachwalaną wolnością w państwie socyalizmu? Jeśli będzie wolno się przenosić, to opuszczona gmina nie potrafi wskutek ubytku sił roboczych regulować pracy i wykonywać jej tyle, ile koniecznie potrzebuje; a w cóż się natenczas obróci ów tak miły obowiązek tylko 3-godzinnej pracy dziennej? Z drugiej strony, gmina przepełniona przychodniami będzie miała wprawdzie sił roboczych aż nadto, ale pytanie, czy jej surowe materyały, rola i t. d., wystarczą na wyżywienie wszystkich, bez ujmy dla pierwotnych mieszkańców? Czy w takim razie nie będzie zbyt częstych powodów do niezadowolenia i sporów?

Ztąd się pokazuje, że niepodobna jest, aby gminy były wspólnymi właścicielami wywłaszczonej posiadłości prywatnej, w ich obrębie leżącej. Ale może będzie lepiej oddać własność prywatną w ręce całego narodu, czyli mówiąc po dawnemu, w ręce pojedyńczych państw? Niechaj wszelka posiadłość przejdzie na własność narodu, a wszyscy jego członkowie niech się staną robotnikami, i z tej ogólnej własności niech ciągną korzyści i zaspokajają swe potrzeby.

Łatwo to powiedzieć, ale bardzo trudno przeprowadzić w praktyce. Wszystkie prawie trudności, któreśmy wyżej poznali, pozostałyby i w tym razie, tylko na większą skalę, a nadto powstałby cały zastęp nowych. Weźmy tylko jeden wzgląd pod uwagę.

Przypuśćmy, że w miejsce dawnego porządku rzeczy nastąpiło państwo socyalistyczne; że niema już książąt, ministrów, całej hierarchii urzędniczej — a natomiast wydział centralny, przez lud obrany, ujął w swe ręce ster całego życia ekonomicznego. Doskonale! Tylko pytam się, czy kierownictwo to będzie możliwe bez osobnej władzy, nadanej tej reprezentacyi ludowej? Socyaliści w rodzaju Bebla czują nieopisany wstręt do wszelkiej władzy, i udają głębokie przekonanie, że taki wydział centralny, byle tylko nakreślił plan produkcyi, wprowadzi w ruch i utrzyma w porządku i ładzie całą machinę produkcyjną na terytoryum najobszerniejszego nawet państwa. Czyż hipoteza

taka nie jest utopią? Jednolita forma i świadoma swego celu organizacya tak rozgałęzionej produkcyi może być jedynie utrzymaną przez władzę, któraby wszystkich ściśle i bezwarunkowo obowiązywała; w przeciwnym razie nastanie najzupełniejsza anarchia, źródło wszelkich nieszczęść społecznych, ustawicznego nieładu, wiecznej niezgody — a obiecywany raj na ziemi, nakształt poronionego płodu, umrze zanim przyjdzie na świat.

Jeżeli w przyszłem państwie socyalistycznem ma istnieć dobra organizacya pracy, któraby dla jasno określonego celu potrafiła zużytkować wszystkie zbiorowe zasoby kraju: pola i lasy, fabryki, środki przewozowe, narzędzia robocze, handel, szkoły i t. d. — to istnieć musi także naczelna władza, ogarniająca wszystko i w ostatniej instancyi wszystko rozstrzygająca. Nadto będzie ona musiała z konieczności ustanawiać liczne władze podrzędne: prowincyonalne, okręgowe, gminne, któreby, każda w swoim obrębie, przeznaczały każdemu pracę, rozdzielały przedmioty na użytek każdego przeznaczone, od zapasowych, niezbędnych do dalszej produkcyi. Zkąd wynika, że w tym nowym raju socyalnej demokracyi stalibyśmy na tem samem stanowisku, co dawniej; byliby w nim rządzący i rządzeni, zupełnie jak dzisiaj. A jeżeli teraz prywatni właściciele w swoich fabrykach, właściciele większych dóbr ziemskich dopuszczają się w swoich majątkach nadużyć, uciskając i wyzyskując robotników, czyżby tego daleko łatwiej i na daleko większe rozmiary nie mogły także czynić rozmaite władze socyalno-demokratyczne? Dzisiejszy prywatny właściciel zawsze się spodziewa dłuższego życia, więc jego chciwość zysków i używania rozdziela się na ten długi przeciąg czasu; gdy tymczasem demokratyczny urzędnik parę lat tylko stoi u steru gospodarstwa ludowego — więc będzie się starał w tych kilku latach zebrać tyle, żeby mógł potem żyć wygodnie; więc będzie do tego dążył, ażeby z podwładnych sobie robotników jak największe zyski wycisnąć.

Albo może socyalna demokracya wynalazła lekarstwo na chciwość zysków i używania? Może w nowem państwie socyalistycznem zniknie żądza zbogacania się i opływania w rozkosze, do których otwierają przystęp bogactwa? Może religia chrześci-

jańska przejmie i przeniknie wszystkie serca i wszczepi w nie zamiłowanie ubóstwa w duchu i panowanie nad wszelką pożądliwością — te najwyższe zasady życia, opartego na religii? O gdyby to masami proletaryatu i robotników owładnął duch zaparcia, zamiłowanie pracy, duch ofiary na korzyść bliźnich i dobro ogółu, duch posłuszeństwa i poddania się pod rozporządzenia najwyższych kierowników pracy, gdyby zawsze gotowymi byli ulżyć bliźnim we wszelkich ciężarach, krótko mówiąc, gdyby wszyscy byli takimi, jakimi chce ich mieć Ewangelia — to wtedy możeby ustrój społeczny według modły socyalnej demokracyi dał się zrealizować! — ale bez praktycznego chrystyanizmu (a ku niemu socyaliści największy wstręt czują) nadzieje socyalno-demokratyczne pozostaną w dziedzinie mrzonek, nie dających się wprowadzić w życie. Możemy więc długo jeszcze czekać na to niebo na ziemi, przez socyalną demokracyę nam tak uroczyście obiecywane; bo odebranie ludziom prywatnej własności i zamiana jej na własność ogółu, z pewnością nam go nie przyniesie.

2. Postąpmy krok dalej w rozbiorze głównej zasady socyalizmu. Wszelkie środki pracy, posiadłość ziemska, fabryki, wszelkie narzędzia i maszyny, surowy materyał i t. d. mają przejść na własność ogółu — a tylko środki utrzymania, które jako nagroda za pracę będą wydzielane, mogą być uważane za własność prywatną. Taki jest dogmat socyalnej demokracyi.

Lecz czemże są te środki do pracy i do utrzymania? jakież jest rozgraniczenie? Póki idzie o rozgraniczenie ich teoretyczne, póty niema trudności; różnica jednak między nimi w praktyce nabawia socyalnych demokratów niemałego kłopotu, ponieważ jedna i ta sama rzecz nieraz uważaną być może raz jako środek do zaspokojenia potrzeb życia, drugi raz jako środek produkcyi. Tak np. dom, ogród, jako środek utrzymania są własnością prywatną, tj. dopóki właściciel ich używa, czyli mieszka w domu i na swój użytek obraca owoce z ogrodu; gdyby jednak zechciał dom wynająć, lub sprzedać owoce, albo przez suszenie, marynowanie i t. d. zwiększyć ich wartość, ażeby lepiej je sprzedać, wtedy środek utrzymania zmieniłby się w środek

produkcyi, a tem samem posiadacz tej prywatnej własności zrzeczby się jej musiał na korzyść ogółu. A któż własny dom dozwoli sobie tak łatwo zprzed nosa zabrać? Ustawa ta dla ojca rodziny takie ma znaczenie konkretne: ten dom i ogród, to twoja własność, ale pod tym tylko warunkiem, że ty sam dom ten zamieszkiwać będziesz i sam używać owoców z twego ogrodu, to zaś co się zostanie po zaspokojeniu twych potrzeb, oddasz do spiżarni państwowej. Ciekawy jestem, ileby też z tych owoców ten gospodarz oddawał? Czyby się wtedy z nimi obchodził z prawdziwą oszczędnością i gospodarnością? Czyby się starał o powiększenie wydajności ogrodu, przez lepsze uprawianie go? Z pewnością, nie! Owszem, kradłby dobro ogółu, marnował i zaniedbywał jeszcze lepiej, niż dzisiaj. Gdyby kto chciał wszystkiemu temu złemu zapobiedz, jakiego musiałby użyć policyjnego dozoru, jak surowe wydać prawa? Socyalistyczne państwo już dlatego tylko byłoby państwem nawskróś policyjnem, z tysiącem różnych udręczeń, o których my w dzisiejszem państwie żyjący nawet pojęcia nie mamy. O jakże więc rozkosznie się przedstawia socyalistyczne państwo!

Socyalistyczny filozof, Paulsen[1], chcąc ujść powyższych trudności, pozwala uważać za dobra prywatnego użytku nietylko meble, ozdoby, dzieła sztuki i książki, ale i domy i ogrody; a więc pozwala je jak dzisiaj sprzedawać, wydzierżawiać, dziedziczyć. Ależ w takim razie cios śmiertelny zadaje socyalistyczno-demokratycznemu ustrojowi! Wtedy mogłaby własność prywatna przez pilność, oszczędność, kupno i spadkobierstwo wzróść do takiego stopnia, żeby posiadający ją bez wszelkiej pracy z procentów jedynie mógł się utrzymywać. Żyć zaś z procentu, to przecież według socyalistycznego katechizmu jest największą zbrodnią. Albo czyby taki procentowicz zechciał stanąć w szeregach robotników, którzy z tego tylko żyją, co zarobią? czyby wtedy bogactwa już żadnego nie wywierały wpływu na życie i obyczaje socyalistów? Któż temu uwierzy?!

Nie wiedzie się więc jakoś z tem rozróżnieniem dóbr pro-

[1] *System der Ethik*, str. 716 i nast.

dukcyjnych od dóbr do używania przeznaczonych; a na tak chwiejnych podstawach nie można wznieść silnego gmachu państwa. Fundamenta socyalizmu kruszą się, nim na nich cokolwiek wybudowano!

3. Z postulatem o wspólnem posiadaniu wszelkich środków produkcyjnych ściśle się łączy drugi postulat: z b i o r o w e j p r o d u k c y i. Własność ogółu musi przez pracę tak być urządzoną, ażeby można było osiągać dochody, wystarczające nietylko na pokrycie wszelkich wydatków społecznych, ale zarazem na utrzymanie każdego członka społeczeństwa. W tej pracy wszyscy muszą brać udział, jednak nie według własnego upodobania (byłoby to anarchią pracy), ale każdy jak kółko w tej wielkiej maszynie, to ma robić, co mu nakażą. Jest rzeczą oczywistą, że jeżeli praca z jednej strony ma przynosić stały zysk, a z drugiej nie ma produkować nadmiaru artykułów, dla których niema zbytu, i które tem samem w magazynachby się niszczyły: to musi ona być odpowiednio rozdzieloną, musi być pracą, która świadomie wywięzuje się ze swego zadania, czyli produkcyę z potrzebą i popytem do zupełnej doprowadza równowagi. Określenie tej równowagi, to niełatwe zagadnienie w państwie socyalistycznem. Władza najwyższa, kierująca pracą zbiorową, musi przedewszystkiem dobrze poznać, jak wielki jest popyt, a więc i cena, wszelkich artykułów, odpowiadających potrzebom pracującej gminy, aby zarobek mógł na wszystko, tj. na życie, odzież, wychowanie i kształcenie, a nawet na niezbędne rozrywki wystarczyć.

Trzeba przedewszystkiem poznać, czego wymaga sama produkcya, ile potrzeba surowego materyału, jakich i ile maszyn i narzędzi, czego i ile do ich utrzymania, naprawy i sprowadzania. Jeżeli to wszystko wiadomo, wtedy trzeba rozdzielić pracę społeczną; trzeba jasno poznać, ile sił do pracy zużytkować można, jakie uzdolnienie i do jakiej gałęzi pracy ma każdy robotnik, bo zdolność wszystkich do wszystkiego, to czysty nonsens; trzeba jeszcze dostatecznej powagi, któraby obowiązywała robotnika do pełnienia włożonego nań działu pracy. Wszystko to jest niezbędnem do takiej organicznej pracy, ażeby wytknięty

sobie cel rzeczywiście mogła osiągnąć. Socyalistyczni autorowie są przekonania, że to wszystko najmniejszej nie przedstawia trudności, że to poprostu zabawa dla przyjemnego przepędzenia czasu. Przypatrzmy się temu nieco bliżej, a poznamy, jak i tu strasznemu podlegają złudzeniu.

Zastanówmy się nad samem oznaczeniem produkcyi, i to z jednej tylko strony, tj. o ile się tyczy potrzeb pojedyńczych robotników i ich rodzin. Chociaż bowiem socyalistyczne państwo nie uznaje małżeństwa, a tem samem we właściwem znaczeniu nie uznaje rodziny, jednak coś z dawnego ustroju musi pozostać; i tak, matka przez lat kilka ma wychowywać dziecko, zanim będzie je można oddać do wychowawczego zakładu ludowego. Jak oznaczyć potrzeby jednostki? Jest tu tylko dwojakie wyjście: albo państwo orzeczeniem prawomocnem naznaczy, ile każdy dziennie ma dostawać mięsa, chleba, odzieży, i tak aż do najniższych potrzeb, niezbędnych w życiu codziennem, albo pozostawi każdemu do jego uznania.

Jeśli władza ludu przez swe prawomocne orzeczenie ma oznaczyć ilość tych artykułów, to chciałbym zaiste widzieć, jak się do tego weźmie. Ile tam będzie różnorodnych a sprzecznych między sobą zdań przedstawicieli ludu, co za swary i kłótnie, co za partye powstałyby na tych zgromadzeniach, przy obradach nad jednym tylko artykułem spożywczym — a przecież o tysiącu ich trzeba będzie decydować! Debaty nad budżetem w państwie dzisiejszem w porównaniu do tych burzliwych kongresów socyalistycznych, to tylko zabawa. Nigdyby nie doszli do konkluzyi, wszystkich zadawalniającej. A gdyby jakie zdanie uzyskało większość głosów, to jakież z dniem każdym wzrastające niezadowolenie, jaka zawziętość opanowałaby pokonaną mniejszość! boć tu przecież chodzi o rzeczy, niezbędne w codziennem życiu każdego człowieka. I takie tyrańskie ma być niebem na ziemi?! Czyż samo ubóstwiane wszechwładztwo ludu nie zrzuciłoby z siebie co prędzej tak ciężkiego jarzma?!

Lecz może oznaczenie dziennych i rocznych potrzeb zostawione będzie woli każdego? Każdy więc przychodzi i oznajmia, jakich artykułów w roku, miesiącu i dniu każdym potrzebuje.

Co za mnóstwa urzędników będzie wtedy potrzeba, ażeby wszystkie te rzeczy dla milionów ludzi spisać i zesumować! Statystyczne biuro, jakiego jeszcze na świecie nie było, biuro centralne z całymi tysiącami urzędników, musi być najprzód założone w socyalistycznem państwie. Wszelkie te życzenia milionowego ludu mają być przyjęte i przekazane naczelnej władzy gminnej, zajmującej się produkcyą. Komuż jednak powierzą kontrolę, czy żądania odpowiadają wartości pracy? Czy samowładny naród zastosuje się chętnie do zdania kontrolujących urzędników, gdy zmniejszą przedłożony wykaz potrzeb, ponieważ praca z żądaniami się nie zgadza? Otwarte to nietylko drzwi, ale i bramy wszelkim oszustwom i stronniczemu rzeczy traktowaniu. Jeżeli zaś żadnej nie będzie kontroli, czy będzie można wtedy przeprowadzić stosowny a sprawiedliwy podział? Jak niesforne będą żądania rozmiłowanych w zbytku, strojach i lenistwie ludzi, wychowanych według zasady: jak najmniej pracować, a jak najwięcej używać!

Mógłby być jeszcze trzeci sposób oznaczenia, tj. każdy oznaczałby swe potrzeby według taksy dziennego zarobku. Ale natenczas socyaliści strasznieby zawiedli robotników, którym obiecują[1] złote góry. Bo czyż dzienny zarobek wystarczy na zaspokojenie wszelkich zachceń?

Nie możemy więc od socyalistycznego państwa niczego innego się spodziewać, jak albo największego ograniczenia wolności (jeżeli zgóry postanowionem będzie, ile z poszczególnych artykułów na każdego przypada) — albo też największej nierówności, a ztąd niesprawiedliwości w rozdzielaniu dóbr (jeżeli stosować się będą do życzeń każdego) — albo wreszcie pozostanie i w nowem państwie socyalistycznem wszystko po dawnemu (jeżeli potrzeby w miarę codziennego zarobku zaspakajane będą). Dlatego prawdziwie dziecinną jest idea J. Sterna: Każdemu, mówi on, kto się wykaże, że odrobił pewne *quantum* włożonej na siebie pracy, przysługuje n i e o k r e ś l o n e p r a w o do wszelkich spożywczych artykułów, i to w nieokreślonej ilości. Wcho-

[1] Stern, *Thesen*, str. 28.

dzi np. taki robotnik do magazynów publicznych i zabiera odzież, która mu się szczególniej podoba, w restauracyi zajada co chce i pije co lubi, prócz tego mieszka w domu urządzonym z komfortem, zastosowanym do osobistych jego życzeń i upodobań. A kto temu nie wierzy, jest wielkim zacofańcem *(grosser Philister)* [1].

Z praktycznej więc strony rzecz biorąc, już samo oznaczenie potrzeb każdego robotnika napotkać musi, jakeśmy to widzieli, na niedające się niczem pokonać trudności; a cóż dopiero, gdy się przypatrzymy drugiemu czynnikowi produkcyi ogółu, tj. ugrupowaniu pracy i rozdzieleniu jej na pojedyńcze prowincye, obwody, gminy, robotników i robotnice.

Suma potrzeb ogółu w pewnym określonym przeciągu czasu, jest miarą ilości przedmiotów, które w tym samym czasie praca ma wyprodukować. Aby jednak pewną pracę w oznaczonym terminie z wszelką pewnością módz wykonać, potrzeba pewnej określonej liczby robotników, posiadających odpowiednie uzdolnienie do pracy, prócz tego i surowy materyał musi być na miejscu. A teraz przypuśćmy np., że w gminie jest pewna liczba robotników, z których jedna część posiada odpowiednie uzdolnienie do wykonania tej pracy, inni do innej i t. d. Musi więc być ustanowiona jakaś najwyższa rada gminna, któraby pracę między najodpowiedniejsze indywidua rozdzielała; tego znów nie będzie mogła dokonać, jeśli przed zaczęciem jakiejś pracy nie będzie dokładnie znała tych sił i zdolności, które mają pracę wykonać. Ztąd nieuchronnem jest prawo, aby przed wykonaniem jakiegoś zamówienia lub partyi produkcyi żaden robotnik od pracy się nie usuwał. A wtenczas, gdzież się podzieje ta złota wolność, dozwalająca robotnikowi podług upodobania z miejsca na miejsce się przenosić? A nietylko swoboda zmiany miejsca przerzedzać może, którą ostatecznie w karby ująć byłoby można, ale i choroby epidemiczne i nieszczęśliwe wypadki, nieraz dziesiątkują liczbę robotników. Czy może pozostałych robotników będzie można zmuszać, aby zdwojoną pracą nagradzali powstające ztąd braki? Ale jakieżby to wywołało niezadowolenie — bo suma

[1] Tamże, str. 12.

pracy każdego przewyższałaby w takim razie o wiele miarę nań przypadającą! Może najwyżsi kierownicy pracy mogliby temu zapobiedz, przysyłając innych robotników na pomoc? Lecz któż wtedy z miasta gęsto zaludnionego i z żyznych okolic zechce się udać na jałowe lub wymarłe pustkowie? Trzebaby do przeprowadzenia takich rozporządzeń żelaznej ręki; a wolny naród, czy będzie chciał się jej poddać? Teraz prywatny interes ciągnie często robotnika na najodludniejsze miejsca, lecz tam interesów prywatnych nie będzie; każdy robotnik wszędzie, gdzie tylko jemu osiedlić się spodoba, będzie musiał znaleść pracę.

Może kto na to odpowie: przecież robotnik, dawne miejsce pracy opuszczający, będzie musiał na innem to samo *quantum* tej samej pracy wykonywać? Prawda! Ale czyż może ze sobą zabrać maszyny i wszelkie mu potrzebne narzędzia? A jednak jest to konieczne, bo przecież środki pracy zastosowane są do ilości robotników, a nieczynnie stojących maszyn i narzędzi, czekających na przypływającego robotnika, nie będzie można utrzymywać, żeby zbyt nie obciążać budżetu produkcyi. A tego rodzaju trudności nietylko w jednej gminie zajść mogą, lecz jednocześnie w tysiącu innych, i to nietylko w wyrabianiu jednego, lecz wielu przedmiotów. Ilość więc potrzebnej pracy alboby się wcale osiągnąć nie dała, albo tylko przy wielkiej surowości i nieugiętości dyrygujących; pierwszego skutkiem byłby brak potrzebnych artykułów, drugiego ścieśnienie wolności — obudwu razem: żarzewie nieustającego niezadowolenia, grożącego nieszczęściem państwu czy narodowi.

Ale może te zawikłania, wynikające z przenoszenia się robotników, to tylko utwór zbyt wybujałej fantazyi wrogów socyalizmu? Jak dziś ludzie po większej części na jednem miejscu stale przebywają, takby przecież i w państwie przyszłości być mogło. Być może, ale pod jednym warunkiem, tj. jeśliby socyalizm nie targał wszelkich węzłów, które serce człowieka do rodzinnego miejsca całą siłą przywiązują. Cóż to bowiem jest, co nas do ojczystej zagrody tak mile przykuwa? To tysiące węzłów, które acz drobne i nic napozór nieznaczące, są jednak dziwnie potężne, i nieprzezwyciężoną siłą tęsknoty za ziemią ro-

dzinną zmuszają nas do niej powracać z najdalszych i najpiękniejszych nawet ale cudzych krajów. Są to wspomnienia mile i wesoło spędzonych lat młodzieńczych — to ten ubożuchny nieraz domek, ten strumyczek wśród suchych wijący się piasków, zimne sterczące skały, lasek smugą światła oblany; to węzeł małżeński, który nietylko wiąże męża z żoną, lecz tem samem nawiązuje różne stosunki pokrewieństwa i przyjaźni; to cała historya rodziny wraz ze wszystkimi uśmiechami szczęścia i wspólnie doznanymi smutkami; to ten choćby najmniejszy ale własny kawałek pola, do którego przyrosło serce; to wreszcie groby ukochanych zmarłych, które odnawiają w pamięci wszystkie szczęśliwe chwile wspólnie spędzone, wszystkie rodzicielskie i rodzinne pieszczoty. Zdaje się, że to niepotrzebny sentymentalizm, jednak nie można się bez niego obejść, bo w sercu człowieka, jeśli ono nie jest zatrute niszczącemi wszystko namiętnościami, dźwięczy żywo struna romantyzmu.

Wszystkie te węzły targa państwo socyalne. Nie będzie tam małżeństwa i rodziny z jej tradycyami, nie będzie krewnych ani własności, coby przykuwali serce, nie będzie czuwania nad kolebką dziecięcia kochającej matki, ani ciężkiej nieraz lecz miłością ku obojgu osłodzonej pracy ojca. Tam tylko jedno prawo: *Ibi patria, ubi bene:* tam moja ojczyzna, gdzie mnie czeka najwięcej używania. Bo wszakże socyalista wszędzie tych samych spodziewa się rozkoszy, a jeśliby ich w jednem miejscu nie znalazł, chwyta za kij wędrowny i idzie dalej szukać nieba na ziemi, bo w życiu przyszłem wyrzekł się wszelkiej nadziei.

Ale nowe obszary trudności nam się ukażą, jeśli się zastanowimy nad jednym problemem, którego w poprzednim punkcie nie rozebraliśmy szczegółowo. Wspomnieliśmy, że aby pewne *quantum* pracy w oznaczonym uzyskać czasie, trzeba mieć do tego pewną liczbę robotników, z którychby każdy miał odpowiednią zdatność. Czego innego np. wymaga się od palacza w giserni, a czego innego od modelatora odlewów. Nieraz fabryczna robota na tysiące różnych dzieli się odcieni, a każdy z nich każe przypuszczać odpowiednią znajomość przedmiotu; przez ile to rąk przechodzi np. talerz lub taca, zanim je można postawić na

stole! Czyż każdy zna się na tych różnorodnych gałęziach pracy? Czy ten, który np. talerz wypala, umie go też pomalować? Krótko mówiąc, przy pracy fabrycznej baczyć trzeba nietylko na ilość, ale i na jakość robotników.

Jakże więc będzie z odpowiedniemi zdolnościami? Mimo wszelkich pięknych słówek, i w złotej epoce socyalizmu skończeni rzemieślnicy i mistrze nie będą z nieba spadać. Aby zaś dojść do umiejętności w wyrabianiu choćby jednej rzeczy, trzeba lata całe poświęcić na kształcenie się i ćwiczenie. Bo sam talent, bez szkoły i pracy nad nim, nie rozwinie się dostatecznie. Jakże często widzimy, że bardzo wiele obiecujące zdolności marnieją z powodu ubóstwa i nędzy! Jakżeż więc będzie w państwie przyszłości?

Wstąpmy na chwilkę do socyalistycznego zakładu wychowawczego. Tam dziecko, pozbawione opieki macierzyńskiej, tresują na przyszłego robotnika. Kto się tam troszczy o słabo z początku przejawiające się talenty? Jeżeli dziś niedbali rodzice często tego nie robią, czyż na to zdobędą się ludzie obcy? Według jakiej zasady jedne dzieci do tego, drugie do innego przydzielone będą zajęcia? Czy decyduje o tem dyrektor zakładu, czy też zostawia się do wyboru samemu chłopcu lub dziewczynce? W pierwszym razie znowu ginie spora miarka złotej wolności, a przecież nic niema droższego dla człowieka, nad wolny wybór stanu i zajęcia. I najuboższy człowiek w dzisiejszym ustroju społeczeństwa może dziecku zostawić całą swobodę w wyborze rzemiosła. Jeżeli dziś kto z przymusu chwyta się pewnego zajęcia, to jest to wyjątek; w państwie atoli socyalistycznem taki przymus byłby regułą. Razem z utratą tej najpiękniejszej części wolności ludzkiej, ginie u wielu jednostek i wszelka chęć do pracy. Taki przymusowy wybór stanu byłby też często niepowetowaną stratą na całe życie. Gdy bowiem dziś człowiek dojrzały lub młodzieniec spostrzeże, iż nieodpowiedni uczynił wybór, jeżeli ocknięte zdolności wskazują mu, że ku innemu skierować je trzeba zajęciu, to chociaż nieraz z nielada wysiłkiem i ciężką ofiarą, ale może jednak jeszcze innej poświęcić się pracy. W państwie złotej wolności socyalistycznej, byłoby to poprostu niemo-

żebnością, i każdy przez całe swe życie musiałby jęczeć pod wtłoczonem na siebie jarzmem przymusowej pracy.

Ażeby ocalić zdeptaną wolność, nie pozostałoby nic innego, jak zostawić każdemu dowoli wybór pracy. Ale tu socyalizm, uniknąwszy Scylli, wpada na Charybdę. Nie podlega najmniejszej wątpliwości, że między różnemi rzemiosłami, jedne są lżejsze, przyjemniejsze, zaszczytniejsze, inne cięższe, przykrzejsze, podlejsze. Radykalnej tej różnicy nie zniesie żaden socyalizm. Zamiatanie ulic, czyszczenie kanałów, będzie niemniej w państwie socyalistycznem, jak i dziś, koniecznem, a jednak jestto tak nieponętne zajęcie, że od niego każdy będzie się chciał uwolnić. Wprawdzie socyaliści obiecują całą tę różnicę zajęć zatrzeć, przez to że roboty wstrętne będą spełniać bardzo estetyczne maszyny. Właśnie wpadł mi w rękę numer socyalistycznej gazety: *Vorwärts*. Jest tam sążnisty artykuł wstępny o maszynie do czyszczenia butów, w którym to *Vorwärts* cieszy się nadzieją, że ta maszyna wszystkich uczonych dawnego autoramentu w ogromne wprawi kłopoty, „przedewszystkiem zaś, mówi, profesorów ekonomii nacyonalnej, którzy z takiem lekceważeniem, jak gdyby to najsilniejszy był ich argument, pytali się nas, kto też w przyszłem państwie buty czyścić będzie". Na to odpowiedź dała wynaleziona maszyna; a niebawem pojawią się i inne, które ludzi zastąpią w niemiłych zajęciach, i rozbiją wszelkie niedorzeczne pytania, kto tą lub ową robotą w państwie socyalistycznem zajmować się będzie — tak przynajmniej uroczyście przepowiada *Vorwärts*. Niech i tak będzie; niech techniczny rozwój przysporzy maszyn do wykonywania wszelkich niskich i wstrętnych zajęć; czyż jednak tem samem znikną wszelkie te prace, które li tylko ręka ludzka jest w stanie wykonać? Wszakże maszyna tylko wtedy pracuje, gdy ludzka ręka i głowa, jako kierowniczka, z nią się połączy; dodajmy do tego, że samo czyszczenie i utrzymywanie maszyny nie jest zbyt zaszczytną robotą. W niskiej pracy, którą maszyna wykonywa, musi i człowiek brać udział, a oprócz tego sam maszynę obsługiwać. A więc i w państwie socyalistycznem różnica między szlachetną a wzgardzoną pracą istnieć będzie. Któż więc dobrowolnie przyłoży ręki do tych zajęć?

W dzisiejszym ustroju państwa nie braknie rąk do tego rodzaju prac; ubóstwo i brak wykształcenia do innych zajęć, jest tego przyczyną. I wszyscy tacy robotnicy są zadowoleni, byle tylko mogli jakkolwiek utrzymać życie. A jeżeli zniechęcenie i tu do niejednego serca się wkradnie, to nie tak z powodu jakości roboty, jak raczej z przeciążenia przy zbyt niskiej płacy; a to znów otwiera wstęp socyalistycznej propagandzie. Ale w przyszłej epoce socyalistycznego dobrobytu, kiedy ubóstwo raz nazawsze będzie wypędzone, a każdy będzie miał równe prawo do każdej pracy, któż się zniży do tego rodzaju zajęć, lub któż starać się będzie je poznać i nauczyć się ich? Trzebaby na to niemałego zaparcia się siebie, które jedynie religia dać może, ale dla niej niema miejsca w państwie socyalistycznem. Wszyscyby się tam rwali do łatwych a miłych prac, trudne i przykre leżałyby odłogiem; a jednak i te są bezwzględnie p o t r z e b n e dla dobra jednostek i ogółu, i zaniechanemi być nie mogą.

Schäffle szuka innego punktu wyjścia z tego zaklętego koła, i sądzi, że znalazł je w lepszem i hojniejszem wynagradzaniu tych zajęć. Niech tylko, mówi, zamiatającym ulice, czyszczącym kanały, tłukącym kamienie, dadzą większą płacę, a przed kandydatami do tych robót nikt się nie będzie w stanie opędzić; inne zaś prace, mające więcej amatorów, mają być szczuplej opłacane. Ma więc tu dopomódz system regularyzacyi *(Regulierungs-System)*. Ale wszakże ze systemem regularyzacyi upada najsilniejszy filar socyalizmu: t e o r y a w a r t o ś c i p r a c y, tj. że cena tejże zawisła li tylko o d ł o ż o n e g o n a n i ą c z a s u; ani sposób wykonania, ani to, czy więcej ręka czy głowa nad tym przedmiotem pracowała, ani żadne inne okoliczności, jak np. rzadkość materyału, nie wchodzą wcale w rachubę i nie stanowią bynajmniej o cenie. Tę zasadę „system regularyzacyi“ obala do szczętu.

Może kto powie, że obliczanie wartości pracy podług czasu już dziś zarzucono, jako przestarzałe. Przypuśćmy, że tak — to czegóż to dowodzi? Oto, że runęła jedna z głównych podstaw socyalizmu.

Bebel inne znów lekarstwo wynalazł na spełnianie niskich

i wzgardzonych prac: „Niech się każdy do nich zabiera po kolei". A zatem ci, co dziś są kominiarzami, jutro będą zamiatać ulice, pojutrze tłuc kamienie i t. d. A więc znowu zaparcie samego siebie, złożenie miłości własnej na ołtarzu ogólnego dobra socyalizmu. Nie będzie jednak tego rodzaju ofiara, według p. Bebla, zbyt trudną, ponieważ w nowem państwie socyalistycznem zniknie wrodzony człowiekowi niedorzeczny wstyd i nierozsądne pogardzanie jakąkolwiek pracą. Będzie więc dużo sposobności do okazania tej cnoty, bo tego rodzaju zajęć, czy w życiu społecznem, czy zwłaszcza w kółku familijnem, dość znaczna jest liczba. Ile to takich posług wymaga np. schludność mieszkań, czystość bielizny, przygotowanie pokarmów i t. d. — a proszę nie tracić z pamięci, że w państwie socyalnem nie będzie żadnej służby, tylko sami wolni obywatele i obywatelki! Bebel wprawdzie twierdzi, że w socyalno-demokratycznem państwie nie będzie prywatnych mieszkań, tylko publiczne hotele, w których każdy, jak długo zechce, będzie mógł przebywać; publiczne restauracye, w których kto tylko przyjdzie, będzie mógł dowoli jeść i pić; publiczne, dla wszystkich, pralnie, z których będą odbierać swą bieliznę nietylko czystą, ale i naprawioną; publiczne szpitale, gdzie każdy chory wszelkie znajdzie wygody i lekarstwa. Choćbyśmy to wszystko za dobrą przyjęli monetę, czy przez to niskie posługi się zmniejszą? Nic nie pomoże — będą musieli panowie socyaliści jeden po drugim chwytać się tych prac: dziś do kuchni, jutro do stajni, pojutrze do wspólnej pralni, lub usługiwać chorym po szpitalach. Lecz czyż ludzie wprzęgnięci przymusowo w to jarzmo kolejnego spełniania posług, wywiążą się ze swego obowiązku z zadowoleniem obsługiwanych? A nadewszystko, gdzież się podzieje wobec takiej twardej konieczności ona sławna wolność czynienia, co się komu podoba? czyż niewola ta nie będzie stokroć cięższą, niż jakakolwiek inna? Mnie się zdaje, że gdyby rzeczywiście powstać miało takie państwo, to dzisiejsi socyaliści pierwsiby się starali zrzucić z siebie nowe więzy, a wskrzesić dawny porządek rzeczy.

Wynik z rozbioru tej kwestyi jest jasny: zbiorowej pro-

dukcyi grozi w państwie socyalnem wielkie *fiasco*. Lecz są i inne jeszcze uwagi, które do tych samych prowadzą wniosków.

Jaką też będzie pilność przy pracy zbiorowej? Boć przecież jakiejś pilności potrzeba koniecznie, inaczej nałożone *quantum* nie będzie odrobione w oznaczonym czasie. Główną pobudką do pracy jest zawsze własny interes. Im więcej i lepiej kto pracuje, tem też więcej zarabia. Socyalizm nie zna interesu prywatnego, spekulacya na większą płacę jest niemożebną. Pocóż więc natężać się przy pracy? Dziś praca na utrzymanie jest jedną z najdzielniejszych zachęt do pilności, ponieważ leniwca nikt do roboty nie najmie, i będzie musiał głód cierpieć. Nie tak między socyalistami, bo tam każdy za swą pracę, choć najgorzej wykonaną, utrzymanie mieć będzie. Wszakże w nowem państwie żebraków nie będzie... Socyaliści wprawdzie szczególny kładą nacisk na wspólne czuwanie nad sobą i wzajemną kontrolę, zachęcającą do pracowitości: ale czyż nieraz we wspólnym interesie pracujących nie będzie wspólnie sobie dopomagać raczej w lenistwie, niż we wzajemnem dozorowaniu siebie? A choćby rzeczywiście wszyscy tę wzajemną kontrolę wykonywali na seryo, to ile ztąd będzie kwasów, kłótni i zatargów? jak częstoby ją uważano za niesprawiedliwe ciemiężenie, ile stronniczości i faworyzowania jednych nad drugich?

Wprawdzie Bebel nas zapewnia, że na podstawie zupełnej wolności oparta organiczna praca, pobudzi tak wielką, miłą żądzę twórczości, i spowoduje tak wielkie współzawodnictwo i zapał do pracy, jakich nigdy i nigdzie w dawnym systemie być nie mogło. Prócz tego ten sam duch, ożywiający robotników, sprawi, że roboty ich będą w całem słowa znaczeniu doskonałe; co do postępu zaś i rozwoju, dążącego do coraz to nowszych wynalazków technicznych, to będzie sprawą rozbudzonego uczucia honoru, wskutek czego inteligentni robotnicy będą się wzajemnie prześcigać w wynajdywaniu coraz nowszych ulepszeń. Niech nam jednak p. Bebel wybaczy, że to, co mówi, będziemy tymczasem uważać za czczą frazeologię. Idealizm, nieodzowny w każdego rodzaju twórczości, niszczą z gruntu zasadnicze poglądy socyalizmu: jego bowiem bożyszczem jest najskrajniejszy ma-

teryalizm konkretny, czyli używanie. Co nie przynosi żadnego gatunku rozkoszy, nie ma tam najmniejszej racyi bytu, a z drugiej strony szukanie i dążenie do rozkoszy wyższych, duchowych, nie zgadza się z prawem bezwzględnej równości. Pracowitość takich ludzi nie może być wytrwałą i sprężystą, bo brak im ducha, który prze do pracy, dając w niej zamiłowanie. Socyalistyczne państwo, to państwo lenistwa i wszelkiej miernoty. Postęp, rozwój w dziedzinie techniki i sztuki w państwie socyalistycznem, to czysta mrzonka i niepodobieństwo. Wszelkie obietnice, jakiemi socyaliści się popisują, to zamki na lodzie.

Dzisiaj, jeżeli ktoś zrobi jaki wynalazek, zapowiadający prawdziwą korzyść, znajdzie zawsze nakładcę wśród prywatnych przedsiębiorców, jeżeli sam go spieniężyć nie może. W interesie każdego prywatnego fabrykanta jest, by z wszelką oszczędnością czasu i narzędzi o ile można najstaranniej swe artykuły wyrabiał. W socyalno-demokratycznych zaś stosunkach nie byłoby tak łatwo znaleść nabywcę dla wynalazku. Trzebaby przedtem projekt przedłożyć najwyższej radzie pracodawczej, ta zaś przedstawiłaby go najwyższej władzy ludowej. Lud zaś wogóle wszelkie innowacye podejrzewa, i chce nadewszystko się naocznie przekonać o ich użyteczności. A wogóle zachowuje się w stosunku do innowatorów i wynalazców raczej podejrzliwie lub zazdrośnie, niż zachęcająco. Cóż wreszcie wynalazca otrzyma w nagrodę za tyle czasu strawionego, za tyle doświadczeń, połączonych nieraz z ogromnymi kosztami? Nie! nie może swym wynalazkiem się wzbogacać, bo niewolno mu wyróść nad socyalno-demokratyczną miarę równości! Raczej więc socyalizm jest przeszkodą ludzkiej twórczości i postępu. Wszyscy tam bowiem bez wyjątku zajmować się mają pracą produkcyjną, bo ta jest jedynym obowiązkiem obywateli; prócz tego każdy po kolei zajmować się będzie musiał pracami niskiemi, na naukę więc i sztukę zabraknie czasu, boć zamało go będzie, gdy każdy 3 tylko godzin ma pracy poświęcać dziennie — tyle bowiem czasu pracy, według obrachowania socyalistów, kompletnie wystarczy na potrzeby ogółu w jakimkolwiekbądź kierunku.

Gdyby wszystkie te twierdzenia rzeczywiście na pewnych

oparte były danych, jakże niewielu jednak poświęciłoby się naukom i sztukom? Któżby chciał chwycić za paletę, przedtem napracowawszy się w kuźni? Kto po mozolnej pracy fizycznej zechce grzebać w książkach, by wniknąć w tajniki wiedzy? I jakież widoki mieć może oddający się nauce lub sztuce w państwie socyalistycznem? Prawnie żadnych! Praca artysty lub myśliciela, która więcej zużywa sił żywotnych, niż praca ręczna, nie cieszy się tam szczególnem uznaniem: tam się ceni wyłącznie praca produkcyjna, zaspakajająca potrzeby ogółu.

Różne gałęzie wiedzy i sztuki bardzo słabo nieraz się łączą z wyrobem artykułów do używania przeznaczonych, np. filozofia, historya, porównawcze badanie języków i inne.

Lecz może statut Bebla będzie odrzucony i zawezwani będą uczeni i artyści z profesyi, by stanęli na czele szkół i uczelni? Wtedy inne nasuwa się pytanie: Jak i według jakiej miary praca ich nagradzaną być winna? Może tak jak praca tłukącego kamienie, lub dziewki folwarcznej? A może też większe dadzą im wynagrodzenie? Pierwsze byłoby zupełnie zgodnem z ich zasadami, lecz nie przysporzyłoby uczonych ni artystów; drugie byłoby grzechem przeciw kardynalnemu prawu państwa socyalistycznego i byłoby tylko nowym praktycznym dowodem, że całe to prawo równości zapłaty jest niedorzecznem i jako takie upaść musi.

Zbierzmy krótko, cośmy dotychczas powiedzieli. O ile pięknym i wiele obiecującym na pierwszy rzut oka jest system socyalno-demokratyczny, o tyle przy bliższem rozbiorze zasadniczych jego idei przedstawia się, jako nie dający się urzeczywistnić; opiera się bowiem jedynie na czczych marzeniach, które ogłupionego i niezadowolonego robotnika wprawdzie może otumanić, ale myślącemu człowiekowi żadnej nie daje gwarancyi, żeby kiedyś w czyn mógł być wprowadzonym. Wszystkie te idee mają tyle tylko wartości, o ile wspierają agitacyę mogącą wywołać rewolucyę, ale nie są to cegły, z którychby trwały gmach państwowy dla dobra ludzkości można było zbudować.

(C. d. n.).

Ks. Antoni Langer.

LISTY Z PODRÓŻY PO AZYI.

(Ciąg dalszy).

Bang-kok, 8 stycznia.

Rano asystowaliśmy obrzędowi brahminów, zwanemu *Tiepin-Tscha.* Brahmini egzystują w tym kraju, jednak ściśle nauce Buddy wierni, są, o ile mi wiadomo, w znacznej mniejszości. Obrzęd dzisiejszy, nie religijny, ale oparty na prastarym zwyczaju, jest rodzajem *cerealiów,* jakby dorzynków, a przytem zdaje się być połączonym z dorocznem objęciem urzędu przez naczelnika gminy wyznaniowej brahminów. Przepraszam za to powtarzające się ciągle „zdaje się", ale nikt tu uczciwie i wyczerpująco a pewnie na nic nie chce odpowiadać, tem mniej jasnych wyjaśnień dawać. Europejczycy tu żyjący, to gromada kupców, którzy tylko o ceny i targi się troszczą, nic prócz tego nie widząc; Syamczyków zaś trudno zrozumieć!

Festyn więc ów polega na ogromnie długiej procesyi, w której młodzi i starzy, poprzebierani najdziwaczniej: jedni za aktorów, w najfantastyczniejszych maskach i zbrojach, przypominających owe chińskie stereotypowe smoki, drudzy przebrani za rolników, rękodzielników, wojowników i t. d., postępują pełni namaszczenia. Nareszcie niosą w lektyce wyniosłej pod baldachimem i wachlarzami żywego przedstawiciela boga Wisznu, otoczonego licznym pocztem służby, niosącej godła potęgi i bogactwa; więc

miecze, ślicznie w srebro i złoto oprawne, dzidy, spluwaczki, puszki z liśćmi bettelu, korony w formie czapek złocistych, ręczniki i t. d. i t. d. Ubrany w istotnie wspaniałe suknie, ze złotej przejrzystej jak gdyby koronki, z orderami syamskimi na szyi, mając palce i piersi okryte dyamentami, na głowie koronę w rodzaju czapki, w jaką zwykle bywa strojny sam Wisznu — siedzi ów proboszcz brahminów z miną arcy-seryo na swojej *sedia gestatoria.* Wkoło niego dworzanie i muzykanci, z których jeden dmie w piszczałkę, inni biją w bębny najrozmaitszego gatunku i kalibru. Przybywszy na miejsce przeznaczenia, wysiada ów *pontifex* i udaje się do przygotowanego na ten cel namiotu. Naprzeciwko namiotu stoi niesłychanej wysokości (może 20—25 metrów) rusztowanie, w którego środku wisi na czerwonych sznurach ogromna huśtawka, mająca rzekomo przedstawiać węża, który odegrał w historyi Wisznu wielce ważną rolę; naprzeciw tej huśtawki, na niebotycznej prawie żerdzi, wisi w papier owinięta paczka rozmaitych srebrnych monet.

Zaczyna się ceremonia; na huśtawkę wyłazi czterech mężczyzn w pełni wieku, strojnych w dziwnej formy czapki papierzane. Zapomocą sznura rozkołysują z dołu huśtawkę, która jak szalona lata przez kilka chwil; podczas tego, kto z huśtających się najbliżej żerdzi z pieniędzmi przebiega, powinien w lot chwycić u s t a m i, bez użycia rąk, ową wiązkę z pieniędzmi! Zwykle po kilkakrotnych usiłowaniach udaje mu się to, poczem wśród objawów ogólnej radości i wesołości, już bez pomocy sznura ci poczciwi ludziska dla pokazania swej siły huśtają się jak waryaty. Figiel ten powtarza się cztery razy — poczem ceremonia skończona; reprezentant boga Wisznu wsiada napowrót do swej lektyki, i znowu tym samym porządkiem co pierwej procesya wraca zkąd przyszła.

Przy tej ceremonii poznaliśmy JE. pana Ministra rolnictwa, który także swoją obecnością ową ceremonię zaszczycił. Figura okropna — ale mówi po angielsku; był dwukrotnie w Europie, chodzi w czysto syamskim narodowym stroju, dla odróżnienia zaś od pospólstwa, nosi stary, wypłowiały, czarny melonik na głowie i ogromny parasol.

Zwiedzanie zaczynamy od świątyni Wat-Poh — pyszna, dobrze utrzymana świątynia, a raczej całe *palladium*, miasto świątyń. Wszystkie praczedye [1], a jest ich wokoło samejże świątyni istny las, od dołu do góry kryte mozaiką z różnokolorowych kafelek. Niektóre kafelki górą polerowane, przypominają stare *limoges*, w prześliczne kwiaty i bukiety zdobne, jedyne w swoim rodzaju. Wrota świątyni samej, historyę Buddy przedstawiające, istne arcydzieło; inkrustacye perłową macicą w hebanie, ale tak gęsto i misternie, że wrota całe jak srebrne wyglądają. Wkoło fryz szeroki, same kwiaty i rośliny, między niemi gdzieniegdzie malutkie stworzonka jakieś lub ptaszki. Środkiem figuralne obrazy, forma ich niezmiernie długa a wązka; obrazy nie dzielą się na pola, ale stanowią jednę wielką całość, mimo że najrozmaitsze, do siebie nie należące przedmioty na nich przedstawiono. Robota mistrzowska, dokładna i czysta; godzinami patrzećby można. Rysunek w perłowej macicy, cieniowany techniką przypominającą *les grisailles*.

Przeszedłszy szerokie brukowane podwórze, strzeżone dokoła przez brązowe, cudowne Radjasy [2], wchodzimy do długiego, wązkiego a niskiego krużganku, zupełnie prawie od światła i słońca przez bardzo wystający dach zakrytego. W nim Budda setki razy przedstawiony samotrzeć z dwoma uczniami, jak prawi kazanie. Ugrupowanie zawsze bardzo proste: trzy figury

---

[1] Praczedya, to rodzaj jakoby sarkofagu, zawierającego w sobie rzekomo relikwię Buddy. W różnych stronach krajów, przez buddystów zamieszkałych, różnie przechowują te relikwie. Na Cejlonie służą ku temu małe kapliczki, tworzące z resztą świątyni jednę całość. Tu każda taka praczedya stoi osobno, zwykle ich całe mnóstwo wkoło głównej świątyni się roi. Forma ich także rozmaita, najczęściej dołem prostokąt, przechodzący potem w stożek, ku górze zakończony cieniutką igłą. Wiara każe, ażeby w każdej praczedyi była relikwia — czy rzeczywiście ona tam jest, nikt nie wie, bo praczedye mają zwykle u podstawy nie więcej, jak 2—3, może 5 metrów średnicy i nie widać w nich po większej części żadnego otworu, co najwięcej zagłębienie, niżę, w której stoi figurka lub płaskorzeźba Buddy, Amidy i t. d. Dziwnie te praczedye syamskie przypominają szczyt dachu jednej z kopuł Petropawłowskiej cerkwi w Petersburgu, tej gdzie groby carów.

[2] Radjas = smok, mistyczny król zwierząt. W świątyni Wat-Tjang są to konie brązowe.

obok siebie, dwie niższe, jedna środkowa najwyższa; z rękoma podniesionemi, tak że całą dłoń widzowi pokazują. Figury same z drzewa lub gliny palonej, pokryte lakiem, na którym gruba pozłota. Przedostajemy się na mały pusty dziedzińczyk. Tu znów istny las porcelanowych praczedyj, dalej wielki basen, otoczony wysoką kamienną balustradą, a ocieniony kilku pysznemi drzewami. Jestto mieszkanie świętego krokodyla (ogromna bestya). Potem widzimy ogromnych rozmiarów jakby świecznik porcelanowy, kształtem naśladujący drzewo bambusowe — i stajemy nareszcie przed bardzo długim, niezbyt wysokim budynkiem, główną świątynię przypominającym, gdzie odwiecznie leży umierający Budda. Figura sama z cegły, lakiem i grubą powłoką z szczerego złota pokryta, ma 160 stóp ang. długości i zajmuje cały budynek. Budda leży wsparty na prawej ręce; stopy jego, wielkości mniej więcej średnio wielkiego stołu, okryte cudowną mozaiką z perłowej macicy w hebanie; cała powierzchnia świętych podeszew podzielona na równe kwadraciki. Pojedyńcze pola (15—20 cm w kwadrat) wypełnione cudownie wykonanemi płaskorzeźbami, wyobrażającemi najrozmaitsze, z życiem ziemskiem Buddy mające jakikolwiek stosunek zwierzęta, istniejące i mitologiczne. Są tu więc i krowy i słonie, konie i Radjasy i Hanumany [1].

Każdy Wat (czyli takie *palladium*) otoczony malutkimi, zwykle balustradą kamienną zamkniętymi, jak gdyby ogródkami. Tu widać cały malutki światek, sztuczne skały, a na nich i wkoło nich w sztucznych grotach i na małych łączkach pasą się maleńkie kamienne zwierzęta wszelkiego rodzaju; chodzą, siedzą i modlą się w malutkich pagodach ludzie i bonzowie. Wszystko to razem znowu cerkwie przypomina, zwłaszcza szyzmatyckie.

Ginę formalnie z rozpaczy, że z tych świątyń ani nic ukraść ani kupić nie można; a takby się chciało choć po jednym z tych przepysznych smoków brązowych i porcelanowych i kamiennych kupić — zabrać choć kilka takich tabliczek czy kafelek fajansowych — choć po kawałku takich drzwi hebanowych perłową

[1] Hanuman, to rycerski półbożek, wielce potężny, o którym później.

macicą wykładanych! Są to rzeczy, o których my pojęcia nie mamy, a rzeczy prześliczne, jedyne w swoim rodzaju, zupełnie odrębnego stylu. Kradli tu zdaje się nieraz Anglicy i inni; to też teraz argusowem na nasze palce patrzą okiem. Bardzo grzeczni ci mnisi co nas oprowadzają, ale zostać samemu choćby na minutę — nie dadzą.

Bang-kok, 10 stycznia.

Prawdziwa to pańszczyzna pisać choćby nawet taki dzienniczek, gdy musisz wśród dnia nalatać się niemało, zwiedzać piękności miasta, ogrody, oddawać wizyty, skupować co się da z ciekawości, wybierać fotografie, ba! nawet na dobitek pisać i odpisywać sprawozdanie do ministerstwa spraw zagranicznych boć mam charakter *attaché ad honores* nie od parady. Przytem proszę nie zapominać, że temperatura fatalnie wysoka!

Wczoraj nareszcie zwiedzić mogliśmy pałac królewski i wspaniałą świątynię Wat-Pra-Khao. Zaczynamy od muzeum narodowego, na wzór europejski przez obecnego króla stworzonego. Nagromadzono tu, co i jak się dało. Piękne okazy rajskich ptaków, słoni i krokodylów, cudnych motyli, obok wielkiego zbioru minerałów, drogich kruszców i kamieni, szafirów, rubinów i szmaragdów, w które ten kraj, zwłaszcza część jego północna, podobnie jak Birma, obfituje. Są tu wyroby ze srebra i złota, wyroby tkackie, pyszne tkaniny złote i srebrne. Jest stara porcelana i majoliki; niektóre wcale piękne, niezmiernie dziś rzadkie, bo ich już nie wyrabiają od czasu, jak Chińczycy zalali kraj swymi tańszymi, a do gustu krajowego zastosowanymi produktami. Wreszcie misternie wyrabiane w drzewie, kości lub kruszcu modele używanych w kraju czółen i czółenek, modele domostw pływających; arcyciekawie przedstawione walki Buddy i Siwy z książęciem ciemności; dalej nieudałe, bo nowoczesne próby wykładania perłową macicą w hebanie. Tam błyszczy się zdala, bo główne miejsce zajmuje, charakterystyczne znamię XIX. w., istny arsenał miniaturowych armat, moździeży, strzelb, karabinów: to dary rozmaitych europejskich dworów. Widocznie w chwili

organizowania armii swojej, chciał król Czulalonkorn pokazać swoim jenerałom, jak oni i ich podkomendni powinniby wyglądać; dlatego całą wielką szafę, najporządniej z całego muzeum utrzymaną, zapchano figurkami z drzewa, przedstawiającemi rozmaitych żołnierzy armii narodowej w pełnym galowym mundurze. Nietylko jednak chciał król pokazać, jak wojak syamski ma wyglądać w pokoju i na placu parady; całe bitwy i ewolucye odtworzył z takich figurek. Kończymy zwiedzanie muzeum, admirując zbiór monet syamskich od najdawniejszych aż do dzisiejszych czasów. Dawniej moneta przybierała tu najrozmaitsze formy, bo nawet formę srebrnej kuli. Dzisiaj zastosowano się do zwyczaju reszty świata. Tekal jest jednostką monetarną, równa się mniej więcej dolarowi. Wybicie tej srebrnej monety wzięły na siebie Niemcy; srebra dostarczał skarb syamski. Złe języki twierdzą, że tekal, powróciwszy do Syamu z Europy, stracił dużo ze swej wartości; wiele owego, na monetę przeznaczonego srebra, miało ugrzęznąć w kieszeniach uczynnych przyjaciół.

Z muzeum wyszliśmy na piękną łączkę, gdzie zaprezentowano nam trzy święte słonie, t. zw. białe. Jak wiadomo, biały słoń, albinos, jak wogóle albinosy wszystkich gatunków zwierząt, uważane są w Syamie za królów swego gatunku. Owa władza albinosów nad zwykłymi śmiertelnikami w każdej grupie zwierząt, została im rzekomo nadaną przez króla zwierząt Radjasa. Legenda twierdzi, że pies, chytry a przemyślny, chcąc się pozbyć niewygodnego a absolutnego pana, którym był Radjas, zaprowadził go nad brzeg kryształowego strumyka, płynącego u stóp góry, na której Radjas wraz z małżonką i dziećmi przemieszkiwał. Tu pies wskazał w zwierciedle krynicznem odbijający się wierny portret jego królewskiej mości. Radjas, zobaczywszy swe odbicie, w przekonaniu, że to rywal, ryknął straszliwie i rzucił się z wściekłością w przepaść; jak gdyby jednak przeczuwając swój bliski zgon, nim skoczył, mianował albinosów swymi następcami, wice-królami nad zwykłą bracią. Zaciekłość swą przypłacił wielki władca fauny roztrzaskaniem czaszki o skałę na dnie wody! Królowa-wdowa, klnąc i rycząc tak strasznie, że drzewa

schły od strachu, porwała swe dzieci i uwiodła w głęboką a daleką puszczę, gdzie schowana nazawsze przed okiem ludzkiem, żyje dotychczas. Raz tylko niebaczny człowiek, odkrywszy miejsce schowania królowej zwierząt, postanowił ją ztamtąd wypłoszyć i upolować. Wówczas wydała ona znowu ryk ów straszny, a od ryku tego popękały bębenki w uszach nieszczęsnego śmiałka, który martwy upadł na ziemię, a duszę jego porwał Hanuman, książę ciemności.

Ztąd poszła cześć okazywana białemu słoniowi. Każdy król syamski stara się koniecznie dostać białego słonia; znalezienie go bowiem jest dowodem przychylności bogów. To też za każdem nowem panowaniem, cały Syam szuka i poluje na słonia albinosa. Kto go odnajdzie i sprowadzi żywego, ten zapewnił sobie los na całe życie, bo hojność monarsza nie zna granic w tych razach. Obecny król, który zdaje się być we wszystkiem od Buddy w sposób szczególnie łaskawy traktowany, ma aż trzy białe słonie. Niech tylko sobie nikt nie wystawia istotnie białego słonia! O białości tu mowy niema zupełnie. Najbystrzejsze oko nie jest w stanie nic białego na tym słoniu odkryć. Widzieliśmy trzy; wszystkie trzy były zupełnie koloru zwykłego słonia, z tą różnicą, że oko jest białe, tj. blado-niebieskawe, jaśniejsze niż zwykle, i że na grzbiecie i około głowy słonie te są nieco jaśniejsze, mają jakby plamy koloru cielistego. Najstarszy z tych białych słoni liczy, jak mówią, lat 125, wysokości ma 11 stóp angielskich; kolos to niewidziany, ma przepyszne kły, tak długie, że z przodu się krzyżują; jest najbardziej czczony, a bardzo zły. Ten ma istotnie uszy zupełnie cielistego koloru. Ale nie trzeba zapominać, że służba stajenna królewska posiada cały arsenał środków, by skórę słonia białego, u zwykłych słoni nigdy nie mytą, wymywać i nadawać jej nieco jaśniejszy od zwykłego kolor.

Po tych trzech niby białych kolosach, z których najbielszy najbardziej na nasz widok ryczeć i trąbą ku nam istotnie groźnie wymachiwać począł, wyprowadzono największego wzrostem słonia Syamu. Maści zupełnie prawie czarnej, miał przeszło 12 stóp. Wyznaję, że ztąd niechętnie odchodziliśmy; podczas wyprowadzania tych słoni, zawiązała się ciekawa rozmowa: Syamczycy

widocznie lubiący te stworzenia, a przytem cieszący się bardzo z naszej rzetelnej admiracyi, a niemniej z naszego strachu przed trąbą i rykiem tych bestyj — Syamczycy na chwilę zapomnieli o swej zwykle znudzonej facyacie, ożywili się — i było to bardzo ciekawe. Dobrze nam tam było, bo jakieś instynkta łowiecko-sportsmeńskie zadrgały podobnie w naszych sercach; zrozumieliśmy się, mimo że im po syamsku, a mnie po polsku fantazya jakieś dziwne, dalekie, mgliste, ale wielce czarowne obrazy przed oczyma snuła. Zamyśliliśmy się wszyscy, zapatrzeni na te pyszne bestye; po dobrej dopiero chwili ruszyliśmy zwiedzać dalszą część pałacu królewskiego.

Po drodze do pałacu musimy przejść, a więc i obejrzeć, dzieło najnowsze, i jak twierdzą miejscowi, najwspanialsze w stolicy: to ów Wat-Pra-Khao. Budować zaczęto ten istny las świątyń, praczedyj, pawilonów, wież, jeszcze w roku 1782, dokończył budowy w sto lat później, bo w roku 1882, król Czulalonkorn. Poddani poczytują mu to dzieło za największą wobec Boga i ludzi zasługę. Według opinii publicznej, owe niezwykłe łaski Buddy tem dziełem pozyskał sobie Czulalonkorn; Budda bowiem lubi, by mu świątynie stawiano. O ile pomnę, dzisiejszy Wat-Pra-Khao jest odtworzeniem podobnej świątyni, która niegdyś w Ajutii, dawnej stolicy, istniała. Wystawiono ją raz dlatego, że każdy władca wogóle stara się wybudować choć jeden przybytek bogom; a potem, bo tu postanowiono umieścić słynną statuetkę Buddy, rzekomo wielu cudami słynącą, pochodzącą z jakichś czasów dawniejszych jeszcze od przedhistorycznych, a wykonaną z kryształu i szmaragdu; ciało jest kryształowe, draperya i ozdoby szmaragdowe. Wysokości ta figurka może mieć $1^1/_2$ stopy; czy piękna jest, nie wiem, bo tak wysoko stoi, tak otoczona wazonami, kwiatami lotusu, kadzidłami — zresztą, jak zawsze, taka panuje we wnętrzu świątyni tajemniczo-uroczysta ciemność, że trudno bardzo dokładnie się przyglądać wyobrażeniu bóstwa, choćby nawet przyzwoitość i wzgląd na oprowadzających nas bonzów na to pozwalały.

Dziedziniec, a raczej dziedzińce świątyni, jej zewnętrzna forma, jak zawsze w Syamie, najpiękniejsze, najbardziej błyszczące,

zdobne w tysiączne sposoby. Bruk i tu, jak w pałacu, prześliczny. Wkoło głównej świątyni, cały znowu odtworzony *kosmos;* w malutkich nibyto ogródkach, na malutkich skałach, pasą się malutkie zwierzątka, chodzą malutcy ludzie, stoją malutkie świątynie. U wejścia do samego *atrium,* gdy w innych świątyniach stały smoki lub konie, tu brązowe sówki misternej roboty na kolumnach niewysokich siedzą.

Złota tu nie żałowano. Praczedya główna, zdala oko ciągnąca, choć kształtem mniej elegancka od innych, bogactwem zewnętrznem imponuje; od dołu do góry cała okryta mozaiką szklaną i złotą. Odrzwia znowu hebanowe, wykładane perłową macicą, bardzo kosztowne i kunsztowne — ale robota nowożytna. Niestety, i w Syamie nowożytni nie mają takiej jak starożytni cierpliwości, ani tak lekkiej jak tamci ręki. Wykładania te mniej cienkie, mniej delikatne jak stare. W kompozycyi brak tej naiwnej, ślicznej prostoty dawnych dzieł; ni porównać tych odrzwi do owych, któreśmy w Wat-Poh podziwiali, lub do wykładań perłową macicą na stopach śpiącego Buddy.

Posadzka w głównej świątyni cała składana z płasko-rzeźbionych w deseń płyt mosiężnych. W praczedyi, gdzie się istotnie przechowują rzekome relikwie Buddy, wkoło jakby tumulusu pokrywającego świętość, cała posadzka przykryta matą z szczerosrebrnego drutu plecioną. Ściany przedstawiają rozmaite duchy niebiańskie, niby aniołów, adorujących nieustannie śmiertelne wielkiego proroka szczątki. W jednym z tych pawilonów — już nie pomnę w którym — przechowują się starodawne, sanskrytem i syamskim, pewnie i tybetańskim językiem pisane biblie. Samych ksiąg świętych nam nie pokazują — ale mniejsza o to; najpiękniejszy i najciekawszy, to właśnie ich schowek: pyszna, staroświecka szafa, w formie ośmiokąta, ze wszech stron zamknięta, cała z hebanu, najpyszniej wykładana perłową macicą. Ta technika wykładania w drucie perłową macicą, musi chyba być jednym z najstarodawniejszych sposobów ornamentacyi, bo u najpierwotniejszych ludów się znajduje; jak niemniej i u ludów, które lat temu setki, w cywilizacyi swej stanęły i już naprzód nigdy nie poszły.

Tak pięknych, jak staro-syamskie okazy wykładania perłową macicą, nigdzie, ani w Korei, ani w Chinach, ani nawet w Japonii nie widziałem. Trudno, ba nawet niesposób wdawać się w opis całej świątyni, boć to istne morze, las pawilonów. Każdy prawie w szczegółach inny, a wszystkie oryginalne i przepyszne, choć niekoniecznie ładne. Istny to ogród, gdzie dziesiątki praczedyj wyrosły, każda lśniąca, błyszcząca, barwna, każda mniej więcej inną wzorzystą mozaiką porcelanową lub fajansową od dołu do góry pokryta. System bowiem syamski budowania, obliczony więcej na efekt niż na trwałość, nie zna bynajmniej palonej cegły. Wszystko jest z niepalonych, tylko na słońcu lekko suszonych cegieł, formalnie najpierw lepione, a dopiero na ten tułów, istnie z błota sklejony, przylepiają zewnętrzną, fajansową lub inną ornamentacyę. Proceder nader prosty, ale bardzo zmyślny, bo jakżeby inaczej te tafelki, te kwiatki, te talerzyki, których tysiące na taką mozaikę się składa, jakżeby się one trzymać mogły?

Formalnie oszołomieni tem mnóstwem ornamentów, tą grą krzykliwych barw, a może najbardziej nieustannem wytężeniem uwagi, przy temperaturze bajecznej, bo już południe było niedaleko, przechodzimy z świątyni do pałacu, tuż obok leżącego. Prawie miło było znaleść się znowu na wolnem, świeższem nieco powietrzu, wśród zieloności ogrodu pałacowego. Wat-Pra-Khao, niech mi daruje Jego Królewska Mość i jego architekci, nie godzien starych świątyń. Wszystko tu bogatsze, świeższe, bardziej błyszczące, bo złota nie żałowano — ale ani materyał taki dobry, jak u starych, ani robota tak delikatna, ani kompozycya tak prosta, a jednak tak śliczna. Figuralne przedstawienia, podobniejsze nibyto do natury, bardziej realnie traktowane niż stare; cóż, kiedy tamte nawet w swej niezgrabności tyle mają prostodusznego wdzięku.

Tyle o świątyni. Dłużej pisać ni chcę ni mogę; dłużej pisząc, trzebaby studyów wieloletnich i całych tomów, a na to nie mam ani zdolności, ani czasu, ani wiedzy nie posiadam. Kiedyś ktoś o tem napisze, bo napisać warto; wszakże to obok japońskiego i chińskiego trzeci, zupełnie odrębny styl.

W pałacu zaczynamy od biblioteki. Chciano się popisać

przed Europejczykami — europejskiemi książkami. Liczy ona około 300 książek, same prawie angielskie; są i znakomite dzieła, ale zdaje mi się, że ich nigdy nikt nie czytuje.

Wychodzimy na dziedziniec, który mi idącemu na audyencyę tak niesłychanie zaimponował. Jest też on istotnie imponujący. Brukowany, nie jak myślałem, marmurem, ale płytami kamiennemi, pięknie i równo ułożonemi. Środkiem i po bokach gazoniki na podmurowaniu, z cegły czerwonej białym kamieniem obrąbionej, a kąty gazoników, w najdziwaczniejsze formy wyciętych, zdobne w ogromne, murowane z takiej samej cegły i kamienia wazony, a w nich najrozmaitsze, wszystkie sposobem chińskim w dziwaczne figury przystrzygane drzewa. Dziedziniec naprzeciw głównego wejścia zamknięty jest frontem pałacu. Mieszanina stylów tu wprost niepojęta; bo dół pańsko-europejski, góra: styl amerykańsko-hotelowy, a dach: najczystszy styl syamski. Wszystko razem jednak, jako tło owych misternie przystrzyżonych drzewek, w bezpośredniem sąsiedztwie całego rzędu w czysto syamskim stylu trzymanych rozlicznych pawilonów i pawiloników, przy portalu zdobnym w dwie kolosalne statuy bogato złoconych słoni — wszystko to razem robi ogromne wrażenie. Wewnątrz, jak już powiedziałem przed paru dniami, urządzenie europejskie; proporcye pańskie, barwy dobrane z gustem, tylko materyał okropny wszędzie, czysta *pacotille*.

W jednym z salonów, galerya biustów gipsowych, na czarno malowanych, wszystkich monarchów Europy (cesarzowa Eugenia obok marszałka Mac-Mahona, car Aleksander II. obok królowej Wiktoryi). Sala audyencyonalna dla Europejczyków nie piękna, lecz dość okazała; naprzeciw wejścia tron, na trzech ścianach pozostałych obrazy olejne, przedstawiające poselstwa syamskie, korzące się raz przed Napoleonem III., drugi raz przed królową Wiktoryą i t. d. Dlaczego je tu umieszczono, nie rozumiem. Wytłumaczyć sobie to tem chyba można, że Syamczyków temat obrazu europejskiego nic zupełnie nie obchodzi, nie rozumieją go, tak jak my ich obrazów nie rozumiemy, i zapewne nie chcą rozumieć. W jednej ze świątyń tutejszych, nad obrazami, przedstawiającymi życie ziemskie Buddy, a rozmieszczonymi zupełnie

jak nasze stacye, wzdłuż ścian świątyni, widziałem obraz jeden, przedstawiający Napoleona I., odpływającego na Św. Helenę i żegnającego się z przyjaciołmi; drugi zaś — ktoby uwierzył! — Pana Jezusa, wskrzeszającego Łazarza! Jako ornamentykę ołtarza, u którego szczytu siedzi Budda, co chwila spotyka się jakąś lichą kopię Psychy, jakąś Wenus lub Marsa gipsowego — świętemu wszystko święte.

Swoich wasalów przyjmuje król naturalnie w osobnej sali audyencyonalnej. Tam miejsce, gdzie stoi tron, kolumnadą i złocistą kotarą odgraniczone od reszty sali. Gdy się wasale zbiorą, wówczas odsłania się nagle kotara, a zdumione oczy przerażonych już i tak wasalów (bo ich tu zwykle albo z ostatniego szeląga obdzierają, albo poprostu głowę z karku zdejmują — jak potrzeba), widzą Syna aniołów na jakiejś niby ambonie, wysokiej, złocistej, gdzie u góry umieszczono jakby łódkę z baldachimem, w której Najjaśniejszy przesiaduje. Niezbyt ciekawą jest trzecia sala audyencyonalna, gdzie się odbywają rady ministrów. Stoi tu z dziesięć rzędów skórą obitych ławek, przed któremi, u szczytu sali, znowu coś podobnego do tronu się wznosi, a przed nim drugi tron wygodniejszy, bo w formie łóżeczka czy kanapki — bo przecież król chcąc myśleć, musi leżeć. Nad tronem wisi tu wcale zresztą nieźle malowany portret brata nieboszczyka króla, więc stryja obecnego monarchy, najwyższego kapłana (bonzy), staruszka wyschłego, widocznie ascety, boć tu na seryo zdaje się biorą ascetyzm kapłańskiego stanu; w stroju ślicznym, ogólnie przez bonzów używanym. Jestto jakby chusta, okrywająca nogi po kolana i toga zarzucona przez ramiona i piersi, tak jednak, że prawie całe ramię zostaje odkryte; wszystko to razem żółtego, nieco w zielonkawy wpadającego koloru. Bonzowie młodzi noszą przytem w uroczystych chwilach coś zupełnie przypominającego pas naszych księży, również żółtego koloru, z tą jednak od naszych duchownych różnicą, że pasem tym nikt się nie opasuje, ale nosi go pięknie i równo złożony na lewem ramieniu.

Wracając do owej sali posiedzeń rady koronnej, dodać należy, że obwieszona jest cała portretami królów i królowych żyjących i zmarłych, wszystko naturalnej wielkości, niezbyt jak na Syam

złego pendzla. Kostiumy najciekawsze. — Od drzwi wchodowych licząc na prawo, wzdłuż okien, stoi cały szereg kandelabrów, czyli lamp naftowych, które trzymają rycerze skandynawscy z bronzu, z halabardami. Posadzka, z pięknej mozaiki marmurowej. Zapomniawszy wprzódy, notuję teraz, że w sali poprzedzającej pokój, gdzie nas Najjaśniejszy przed trzema dniami przyjmował, stoi w środku na bardzo wysokiem i uroczystem miejscu z bronzu ulana statua wielkiego elektora Brandeburskiego, mała kopia ozdoby Berlina. Nie mogłem się dowiedzieć, zkąd to indywiduum aż tu zajechało? Musiał się w każdym razie zdziwić elektor, że go aż do Syamu powieziono. W rzeczy samej, nic tak bardzo dziwnego: wszakże Berlin łączy z Bang-kok prawdziwa *dicke Freundschaft.* A jednak, mimo tej przyjaźni, potrafił jeden z braci królewskich swojem nietaktownem, impertynenckiem postępowaniem (wszyscy są niesłychanie źle wychowani) obrazić żonę ministra-rezydenta niemieckiego, i to tak gwałtownie, że tylko na czas interwencya króla samego uchroniła Syam od zerwania stosunków z Niemcami. Biedną panią ministrową za to, że pozwoliła sobie zerwać rosnące w jednym z kanałów Menamu, przerzynających miasto, kwiaty lotusu, czy *Victoryi regii,* w krótkiej drodze zapakowano do ciupy, i to mimo *cavassa,* mimo ekwipażu, który opodal na swą panią czekał, mimo wszelkich protestów wylęknionej Niemkini.

Nieco zadaleko zaprowadziła mnie owa statua wielkiego elektora. Z apartamentów prywatnych króla i jego rodziny, nie pokazano nam nic. Byłbym był bardzo ciekawy widzieć np. kuchnie królewskie, ale zdaje się, nie miewają oni osobnych na ten cel przeznaczonych lokalów nigdzie, nawet później w Bang-Pa-In, nie pamiętam, byśmy coś w tym rodzaju byli widzieli.

Po tak gruntownem zwiedzeniu sadyby królewskiej, zziajani, zgłodniali wracamy do domu, gdzie nas klasycznie dobry *tiffing* i przepyszny *champaigne* mrożony czeka. Po pierwszych szklankach *champaigne* i przy pysznym *lobster curry,* którego używaliśmy naturalnie z tym pysznym ryżem *ad libitum,* zawiązała się wielce miła i wesoła rozmowa, w której nasz Phya Smuth, nasz dyplomatyczny *cicerone,* zalawszy sobie nieco czuprynę, o co

przy tych skwarach nie trudno, brał nader głośny, ale i ciekawy udział.

Wczoraj na wieczorze u ministra angielskiego, spostrzegł był jeden z nas, że sługus jakiś syamski, pełniący funkcyę lampiarza, miał między innemi zapalić i lampę wiszącą u sufitu. Za krótką była figura lampiarza, by dostać aż do owej lampy, trzeba było najpierw wyleźć na stołek. Ale wylazłszy na stołek, znalazłby się wyżej od swego pana — na to pojęcia sługusa nie pozwalały; jednak trzeba było lampę zapalić. Więc chcąc te sprzeczne obowiązki połączyć, padł najpierw jak długi przed swoim panem na ziemię, i tak przeprosił, że wylezie wyżej od niego — a potem dopiero zabrał się do lampy. *Se non e vero e ben trovato*, bo choć podobną historyę słyszało się już o wszystkich wschodnich narodach, to jednak nie przeszkadza, że ona prawdziwą być może, bo bardzo licuje z uczuciem uszanowania i dobrego tonu i taktu, których każdy *hamal* na Wschodzie, jak wiadomo, ma o sto procent więcej, niż wszyscy razem prezydenci wielu arcypotężnych republik.

Nie trzeba sądzić po amerykańsku, że to służalczy duch owego lampiarza, lub może obawa kary, gdyby tego nie uczynił, rzuciła nim o ziemię. Nie, bynajmniej, to czysto i wyłącznie poczucie obowiązku, wzgląd na etykietę, którą każdy mieszkaniec Wschodu z mlekiem z piersi matczynej wyssał. Onby sobie, nie swemu panu, był uchybił, gdyby tego był nie zrobił. Jeżeli kiedyś zanotowałem, że bracia królewscy są niewychowani, to dla świętej prawdy zaraz dodać muszę, że to tylko i wyłącznie z Europejczykami lub Amerykanami takich manier oni sobie pozwalają. A dlaczego? Dlatego, że ci panowie Yankesi ich (tak jak i nas) tego nauczyli. Jestto jedna z wielkich zdobyczy wielkiej rewolucyi francuskiej, żeśmy przybrali, starzy i młodzi, wielcy i mali, maniery zacierające uszanowanie ludziom należne; i naturalnie, że te zdobycze jedne z pierwszych przynieśliśmy w darze, jako zadatek przyjaźni, owym ludom Wschodu, które z początku nie wiedziały co począć, wobec barbarzyńskiego zachowania się Europejczyków i Amerykanów: aż nareszcie, zwłaszcza młoda generacya, przyszła do

przekonania, że to tak widocznie być musi; a że u nich klimat cieplejszy, i gleba bujniejsza niż u nas w Europie, więc wszystko co tam się przesadzi, rośnie gigantycznie; to też dziś trudno doprawdy z tymi *quasi* cywilizowanymi Azyatami, nam Europejczykom obcować. A nie chodzi tu tylko o maniery — bo nareszcie pal djabli maniery! — ale bo ten wpływ poszedł dalej i głębiej, i zepsuł i zniszczył, zmroził i zwarzył wiele pięknych, szlachetnych organów duszy Azyatów. A czy bez tych organów ta dusza normalnie żyć potrafi, czy ona nie wyrodzi się, czy w danym razie i chwili nie będzie to bardzo dla istnienia samego cywilizacyi na świecie fatalnem? *Dabit se videre.*

Jeszcze **Bang-kok,** *11 stycznia.*

Jutro mamy wyjechać do Ajutii. Przygotowań niewiele, bo tylko naturalnie płócienne rzeczy się bierze — z przeproszeniem, koszule zostają w domu, niepotrzebnieby zawadzały. Tylko Biegeleben nie może mimo skwaru zdecydować się na porzucenie kołnierza krochmalonego. Admiruję go — ale go nie naśladuję.

Przybywa *photoman*, czyli fotograf. Dużo niezłych, wiele ciekawych fotografij posiada; rozumie się, że najciekawszych i najpiękniejszych rzeczy wcale nie odfotografował. Zawsze ta sama historya; przypomina mi się ów fotograf w Mostarze spotkany, który na żądanie, by przyniósł co ma widoków i typów krajowych, wystąpił z całą kolekcyą reprodukcyj 2-giej kompanii, 2-go batalionu 53-go pułku piechoty, przybyłego przed dwoma laty z okolic Berna do Mostaru. Co prawda, *die Officiersmenage* z ogródkiem i panią majorową w trzech pozach rozmaitych, arcy-wiernie była przedstawiona. Pod wieczór jedziemy zwiedzić ogród królewski. Naturalnie, że wegetacya cudowna, ale mogłoby to być wszystko piękniejsze — z Paradenią ani porównania.

Ku końcowi już pokazują nam cały szereg nieco zaniedbanie wyglądających, o jakiś mur tyłem opartych bud drewnianych: to menażerya nadworna. Oczywiście pędzimy, żeby

menażeryę zobaczyć. Dwie pierwsze klatki puste, trzecia także wydawała się pustą. Ledwie jednak Biegeleben, idący naprzód, stanął przed kratą, aż tu z ciemnej głębi owej budy ryknęło coś okrutnie i o parę cali od naszych nosów zobaczyliśmy rozwścieczoną widokiem białych panterę. Jednym skokiem była przy nas; łapą sięgała poza kraty; smrodliwy jej oddech buchał nam w twarz; a kraty się uginały pod jej ciężarem — bo były drewniane. Dalsze klatki zwiedzaliśmy już *à distance*, a Phya Smuth radził wogóle, żeby dać spokój zwiedzaniu menażeryi.

(C. d. n.).

Paweł Sapieha.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Z najnowszych powieści polskich.

Prowadząc dalej, wedle poprzednio już omówionego planu [1], przegląd powieści polskich, o których, mniejsza o to z jakiego powodu, częściej słychać, częściej w ręku czytających je widać — podajemy znowu wiązankę uwag o całym szeregu nowel i powieści z ostatnich kilkunastu miesięcy.

Szkice. Przez *Miecz. Czernedę* (M. Bierzyńskiego). Warszawa 1892.

Jak nie żałować młodego, pełnego dobrych chęci i zdolności pisarza, który sił już popróbował, niemałe nadzieje obudził, a śmierć pióro mu wydarła właśnie w chwili, w której do wyższego lotu rwać się zaczął, w której zaczął być czytanym i cenionym. Zmarły w r. 1889, trzydzieści dwa lata zaledwie liczący Bierzyński, próbował literackich sił na wielu polach, aż znalazł talentowi swemu odpowiednie w kreśleniu szkiców i obrazków, przeważnie na tle sumiennie i z miłością obserwowanego przez siebie ludu z okolic kieleckich. Szkice te, w różnych pismach peryodycznych rozproszone, teraz dopiero, gdy w jednę wiązankę zostały zebrane, lepiej dają nam poznać talent Czernedy, dokładniej stratę przez śmierć jego poniesioną, ocenić. Młody autor patrzy na lud wiejski nie przez różowe okulary, sentymentalizmem po-

[1] Por. *Przegląd Powszechny*, sierpień 1890, tom XXVII., str. 265 i nast.

wodować się nie daje; czasem zdawałoby się, że aż pozuje na „trzeźwość“, na „niemamienie się“, a pozowanie to mszcząc się, doprowadza go mimowoli czasami do niezupełnie trzeźwego pesymizmu. Ale uczyniwszy zgóry to zastrzeżenie, ileż siły w tych prostych opowiadaniach; ile gorzkiej ironii w tej np. postaci Ślizienia i historyi jego powtórnego ożenienia się; jak straszny swą prawdziwością podpatrzony epizod małego, słabego Szymka, co ponieważ pies gęsi zagryzł, „za psa“ baty bierze. Czerneda umie i piękne, szlachetne typy szkicować; dowodem Słotwiński, Zagrobina w „Niepłakanym“. Wogóle jednak najlepiej udają mu się opowieści z wieśniaczych chałup; gdy wejdzie do małomiasteczkowych domków, gdy opisuje np. „zemstę rywala“, nie jest już w swym żywiole, znać, że obraca się w kole, któremu niedość, niedość przynajmniej długo i dokładnie, we wszystkich szczegółach i szczególikach się przypatrzył.

„Talent Czernedy — kończy wydawca swą przedmowę — to talent, choć o lotach nie wysokich, ale istotny, trzeźwy“... Trzeźwa to, ale i niemała pochwała; jej powtórzeniem najodpowiedniej i nam wzmiankę tę zakończyć.

Jan Prorok. Opowieść na tle galicyjskiem z r. 1880, w dziewięciu księgach. Przez *Alfreda Nossiga*. Lwów. Nakład księgarni polskiej. 1892. (Str. 446).

Z wielką słusznością zwrócono już w paru naszych pismach, a niedość rozumiemy, dlaczego tylko w paru, szczególną uwagę na tę „opowieść“, zastanawiającą pod niejednym względem. Nie jestto powieść, nowela, romans w szablonowem tego słowa znaczeniu; autor wyżej sięgał, wyższe miał ideały, a jeśli nie zawsze i nie zupełnie wykonanie pragnieniu i marzeniu odpowiedziało, to przynajmniej śmiało można tu powtórzyć: *laudanda est voluntas*. Bohater Jan, „prorok“ — jak go w szkołach jeszcze koledzy nazwali — to nie codzienny, codzień bodaj rzadszy typ szlachetnego idealisty, gorącego, ożywionego najlepszemi chęciami młodzieńca, który radby dużo zdziałać, ludzkość, jeśliby się dało, od jednego zamachu uszczęśliwić; to poeta, artysta, nie umiejący sobie poradzić w zwykłem, prozaicznem życiu, podobnie jak sam p. Nossig, nie zawsze umie sobie poradzić z przelaniem rozpierających go uczuć i myśli w praktyczną i poczytną formę powieści. Biedny idealista na wszystkie strony łamać się musi z przeszkodami, walczyć z pokusami, z rosnącem zniechęceniem. Rodzinne koło podupadłych nie bez własnej winy przedmieszczan, napawa go tylko smutkiem i wstydem; socyalistyczni agitatorzy, redaktorzy, piękne mają na ustach teorye, ale w pra-

ktycznem życiu, zbliska, wyglądają inaczej: młodzi miejscy przyjaciele, wyborni do poczęstunku, chętnie śniadanie jedno i drugie zafundują, nawet pieniędzy pożyczą, lecz tu i koniec; w arystokratycznych domach zjeść można dobry obiad, po nim się chwilę zabawić; w teatrze — bo i w aktorskie szeregi każe autor Janowi się zaciągnąć — sieć gęsta brudnych, małostkowych zawiści, zazdrości, intryg... Prawdziwie zrozpaczyć chyba; i Jan też, bolesną, z własnej winy sprowadzoną chorobą nadomiar trafiony, myśli istotnie o pistolecie; na szczęście litościwy autor sprowadza mu anioła pocieszyciela w postaci młodej i rozumnej kobiety, która licznych, poruszonych poprzednio zagadek życia mu z pewnością nie rozwiąże, ale pomoże do ich dźwigania; wytłumaczy, że nie powinien nieroztropnie rzucać się na wszystkie strony, lecz wyuczyć się i wziąć do tego, do czego rzeczywistą zdolność i powołanie w sobie czuje — do rzeźbiarstwa.

Mniejsza o ten koniec, trochę niezgrabnie, nie wiedzieć zkąd i jak do całości przylepiony; zdawałoby się dlatego jedynie, że trzeba było koniec jakiś położyć, a po dziewiątej księdze nie chciało się pisarzowi naszemu myśleć o dziesiątej. Błąd to do darowania, bo panu Nossigowi nie chodziło o to, aby powieść napisać, ale aby pod zasłoną powieści poddać pod rozbiór stan naszego społeczeństwa, jego zasad, myśli, dążeń. Obraz wypadł niepochlebny, może aż zanadto, ale i o to nie będziemy się sprzeczać, tem bardziej, że w całej powieści bardzo jest widoczne usiłowanie sprawiedliwego, ściśle przedmiotowego rozdzielania świateł i cieni. Spór o pewne zdania, zasady, zadaleko, a co gorsza, i do niczegoby bodaj nie doprowadził. Natomiast nie można nie zwrócić uwagi, na co zresztą każdy czytający od pierwszych już stronnic musi uwagę zwrócić, że cała opowieść o wiele, o wiele jest za długą. Poetyczne opisy natury i ludzi, wedle „Pana Tadeusza“, zbyt często i szkrupulatnie wzorowane, podobają się na pierwszych stronnicach, na następnych — nudzą. Gorzej jeszcze z porównaniami, z pewnymi drobiazgowymi szczegółikami, które w naturze spotkać można zapewne co chwila, ale które w książce, zwłaszcza gdy wcale nie są estetyczne, nie wiedzieć poco i dlaczego ciągle nam mają przed oczy się nasuwać. To nie „realizm“ zdrowy; to raczej chorowanie na „realizm“. Symptomem tej samej choroby, z której pewni jesteśmy, że zdolny autor prędko wyleczyć się potrafi, to wprowadzanie do powieści, i bądźcobądź kompromitowanie nazwisk powszechnie w całej Polsce znanych. Dobrze, kiedy kończy się na zewnętrznem odfotografowaniu namiestnika, marszałka, którego z członków wydziału, słowem ludzi

publicznych, w publicznych funkcyach występujących; ale jakże, poco i naco obdarzać było samego bohatera i jego niekoniecznie sympatyczną rodzinę, nazwiskiem: Konopków; z jakiej racyi pod wymalowanemi karykaturami lwowskich hrabiów, podpisywać: Woronieccy?... Czy może jacy Woronieccy niegrzecznie kiedy samego autora u siebie przyjęli? Nieładnieby to było zapewne, ale i w takim wypadku zemsta tego rodzaju jeszczeby była nieładniejsza.

Zarzutów nie brak, możnaby ich i znacznie więcej nagromadzić, a przecież, powtarzamy na końcu, cośmy już na początku powiedzieli: „Jan Prorok“ nie jest banalną nowelą, na jednoroczne najdłużej życie skazaną powieścią. Dość w tej bryle małocennego metalu, ale nie brak i złota; a choć bryła mało jeszcze obciosana, poznać nietrudno, że ten, co koło niej pracował, jest czemś więcej, niż prostym fabrycznym rzemieślnikiem.

Jędza. Przez *Elizę Orzeszkową*. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1891.

Kto tą „jędzą“? Młoda, uboga Jadwiga Szyszkówna, która z igły utrzymywać musi i siebie i zgryźliwą matkę. Jadwiga żyje uczciwie, pracuje poczciwie, nad siły; ale mimo tego wszystkiego matka serca do niej nabrać nie może, całą miłość przelała na dwóch synów nicponiów, którzy o niej pamiętać nie myślą i gdzieś daleko na więzienie sobie zarabiają; a dla idealnej prawdziwie córki ma tylko wymówki, gorzkie szyderstwa, piekące przezwiska. I matka i trzpiotowata, „wesoło po świecie bujająca“ sąsiadka, i druga sąsiadka, typ swarliwej dewotki, ciskają razporaz w oczy biednej, zaciskającej usta ze słusznego oburzenia dziewczynie, owe: „Jędza!“, które już jakby drugiem nazwiskiem jej się stało. Raz, w wigilię Bożego Narodzenia, zabłysnął jej jakiś promyk jaśniejszy, kiedy dwaj krewni dalecy, młode, dziarskie chłopcy, do ubogiego domku w przejeździe wstąpili. Ze starszym, z Olesiem, pokochali się odrazu; on też przy odjeździe powiedział jej tylko: „Złe przeminie, a dobre nadejdzie“, ale więcej słowami przynajmniej nie powiedział, bo musiał o kawałku chleba wprzód pomyśleć, bo właśnie dopiero za tym kawałkiem chleba do fabryki jechał. Po jednym dniu promiennym popłynęły długie szeregi szarych, smutnych dni: i wciąż ta sama, nieopłacająca się, mozolna praca; i wciąż te same wyrzekania starej Szyszkowej; szyderstwa, przezwiska, plotki sąsiadek. Raz Szyszkowa, złe nowiny o synach otrzymawszy, na ziemię padła i podnieść się o własnych siłach nie mogła; w ubogim zawsze domku zagościła choroba, za chorobą pędem zbliżała się nędza. „Trzeba

mi szyć... szyć... szyć!...“ — wołała Jadwiga napół nieprzytomna z bólu, z ciągłej, dziennej i nocnej pracy. Właśnie tak wołała, gdy niespodzianie wszedł — Oleś. Zatruwająca córce życie, ale w gruncie nie zła matka, przed śmiercią jeszcze mogła młodej parze pobłogosławić.

Ciężkie życie dziewczyny, która igłą musi chleb sobie wywalczać, przykrości i niebezpieczeństwa, któremi zbyt często jest otoczona, nakreślone są w „Jędzy“ wiernie, ze zwykłym Orzeszkowej talentem, wcale nie drastycznie. Dla Jadwigi, „bohaterki“ igły, trudno nie odczuć sympatyi; jedno tylko dziwi, jak mogła ona w bohaterstwie tem utrzymać się, jak mogła wszystkie pokusy i przeszkody zwalczać, dla nieznośnej matki być zawsze najlepszą córką, żadnej nie mając podpory, żadnej przewodniej myśli, żadnego ideału, któryby jej sił dodawał, trudności osładzał. Gdyby Jadwiga od czasu do czasu myśl do Boga wznosiła, gdyby z wiszącego nad łóżkiem obrazka Ukrzyżowanego czerpała naukę, jak obowiązki spełniać i siłę do ich spełniania, zrozumiałąby była jej praca, jej cierpliwość, wszystkie jej cnoty. Niestety! p. Orzeszkowa nie chciała, może bała się zapytać, z jakiego korzenia wyrastają wszystkie te cnoty, piękne, bohaterskie czyny. Z poczucia obowiązku? A zkądże ono znowu u tej młodej dziewczyny, na badanie zimnych, filozoficznych systematów nie mającej ni czasu, ni głowy? Utalentowana powieściopisarka wystudyowała szkrupulatnie postać, ruchy, język, życiem przez siebie obdarzonych postaci; co za szkoda, że nie wystudyowała, a zdaje nam się — raz jeszcze powtórzmy — lękała się gruntowniej wystudyować ich duszy.

Klub nietoperzy. Powieść. Przez *Abgar-Sołtana.* 2 tomy. Lwów 1892. Nakładem Gubrynowicza i Schmidta.

„Nietoperze“, to kilku młodych i niekoniecznie już młodych hrabiów i prostych szlachciców, przezwanych tak dla prostej przyczyny, że nudząc się na wsi, nie wiedząc jak czas zabić, zjeżdżali się do siebie po nocach, jedli, pili, baraszkowali, a w dzień oczywiście musieli wypoczywać. Moralnym przewódcą nietoperzowej tej bandy, zepsuty hrabia Warecki; o jego poprawie, o przemienieniu go z nietoperza w człowieka, mówić co niema, jak mówić co niema o metamorfozie Jasia Mądrowskiego, bo na to — używając określenia wyszłego z ust przyjaciela — za wielki głupiec i błazen. Ale są i inni, jest przedewszystkiem bohater powieści, Wład. Kierbicz, u których błazeństwo, lenistwo zewnętrzną pianą tylko; gdy przyszła prawdziwa, głębsza miłość, zdmuchnęła tę pianę, i nad brzegiem materyalnej i moralnej

przepaści stojący już, zdawałoby się, darmozjad, hulaka, cofnął się póki czas, a choć ostatecznie nie dostał Jadwigi, tylko Marynię, został porządnym człowiekiem. Poza główną tą akcyą toczy się druga, która Jadwigę znowu doprowadza do ołtarza ze statecznym Zienwiczem. Dzieje przemiany, zaszłej w sercu i w życiu Kierbicza pod cucącym wpływem miłości, są głównem tłem całego, szkoda trochę, że nie jednotomowego opowiadania, a opowiedziane są z werwą, zajmująco i — co służyć ma za pochwałę, a bynajmniej nie za krytykę — rzeczywiście pouczająco. Gdyby usunąć parę zbyt realistycznych opisów uczt kamienieckich, powieść niby na tem nie straciła, a możnaby ją polecić szerokim warstwom czytelników.

Z różnych pułków. Nowele i opowiadania. Napisał *W. hr. Łoś.* 2 tomy. Lwów. W. Hoschek i Spółka. 1892.

Linoskoczka. Powieść. Napisał *tenże.* Nakład księgarni G. Centnerszwera w Warszawie. 1891.

Nazwisko Wincentego hr. Łosia spotykamy od pewnego czasu coraz częściej w fejletonach różnych pism, w księgarskich ogłoszeniach. Z datą r. 1891 wyszły, jeśli się nie mylimy, dwie, w trzech tomach zawarte, powieści: „Jędrzek“ i „Linoskoczka“; z datą rozpoczynającego się dopiero 1892 r., ukazało się już pięć odrębnych powieści, lub zbiorów nowel i opowiadań: „Wczorajsi“ (Serya I.); „Nokturn Szopena“; „Tajemnica piątego pułku węgierskich huzarów“; „Zięciowie domu Kohn et C-ie“; „Z różnych pułków“. Płodność bądźcobądź wielka, a choćbyśmy nawet przypuścili, że pewna część z obecnie ogłoszonych utworów, dawniej już, dajmy na to, za uniwersyteckich czasów była spisana, a w ostatnim roku wyjętą tylko została z teki i nieco przepolerowaną: to i tak pozazdrościćby trzeba autorowi szybkości pióra, które znów ze swej strony pozazdrościło chyba przysłowiowej rączości pióra Kraszewskiego, i do wyścigów się z nim zabiera. P. Łoś pisze prędko i wiele; czy jakość ilości odpowiada? Dziś wyszło już z mody, a zdaje nam się, wyszło bardzo słusznie, potępiać zgóry pisarza, patrzeć przynajmniej na niego zgóry z podejrzeniem, z nieufnością, dlatego jedynie, że więcej pracując, większą z natury łatwością obdarzony, więcej tomów przez rok napisze, niż ten lub ów z predylekcyą cytowany — czasami notorycznie nieco na lenistwo chory — geniusz napisał przez lat dziesięć. Ale z drugiej strony, smutniejszym jeszcze byłoby zabobonem wnosić z liczby książek o ich wartości, o talencie piszącego. Abstrahując zatem zupełnie od pytania, do niczego nie prowadzącego, czy p. Łoś nie zawiele atramentu spożytko-

wuje, spytamy raczej, jak i na co go spożytkowuje? Za odpowiedź posłuży słów parę o wypisanych w nagłówku: powieści „Linoskoczka“ i zbiorze nowel „Z różnych pułków“; wystarczy tem bardziej, że pod te utwory dadzą się od biedy wszystkie inne podporządkować: „cywilne“ — jeśli tak wyrazić się wolno — pod „Linoskoczkę“, „wojskowe“, pod „Z różnych pułków“.

„Pułki“ te, to bez wyjątku pułki węgierskie; bohaterami, bohaterkami, którym p. Łoś w dwóch tomach defilować każe, sami węgierscy oficerowie, węgierskie panie. Oficerowie piją, bardzo tęgo piją; pojedynkują się, polują, ujeżdżają konie, romansują, czasami się i żenią. Węgierskie panie i panny, na dalekim planie od niechcenia grubymi rysami naszkicowane, na to tylko, zdawałoby się z tych opowiadań, żyją i do życia mają prawo, aby stanowić przedmiot i cel idealnych westchnień, mniej idealnych rozmów, i różnych idealnych i nieidealnych, mniej lub bardziej awanturniczych przygód c. i kr. węgierskich oficerów. Autor ani się może domyśla, jakie wnioski rodzą się w umyśle uważniejszego czytelnika, gdy przypatruje się tym obrazkom z wojskowego życia; gdy oglądając na wszystkie strony jeden po drugim z typów nakreślonych — przyznajemy, że z pewnem widocznem zamiłowaniem, z ciepłem, aby nie powiedzieć: uwielbieniem — nie znajduje ani jednego na seryo dodatniego, ani jednego, któryby nieco z wyższego stanowiska na świat i ludzi się patrzył. Czyja w tem wina: malarza, czy malowanych? Trudno i nie chce się wierzyć, aby wyłącznie tych ostatnich; są w armii przecież, jest ich niemało i każdy z nas ich zna, ludzi głębszych, prawdziwie zdolnych, z charakterem silnym, rycerskim, nieposzlakowanym; często chrześcijan gorących i śmiałych żołnierzy, ale zarazem obywateli w najpiękniejszem tego słowa znaczeniu. Czyżby takich p. Łoś nie spotkał; a jeśli spotkał, czemuż w galeryi swej takiego typu nie pomieścił? czemu nie pomieścił, choćby dla przerwania monotonności i pewnego znudzenia, któremu obronić się trudno, oglądając różnemi nazwiskami popodpisywane, ale w gruncie wciąż te same figury, w ten sam, identycznie ten sam mundur i na zewnątrz i na wewnątrz opięte? Analizując bliżej każde z opowiadań, widzimy, nie potrzebując wcale do silnych szkieł powiększających się uciekać, że składa się ono z niecierpliwiącą regularnością z czterech, w rozmaitych dozach pomieszanych ze sobą pierwiastków: wino, szabla (pistolet), koń, zewnętrzne wdzięki kobiece: za mało to bodaj farb na 12 obrazków.

W „Linoskoczce“ postanowił sobie nasz powieściopisarz dowieść

nie nowej, lecz w życiu częste znajdującej zastosowanie, a zatem zawsze interesującej, na porządku dziennym będącej tezy: w wyborze towarzyszki życia nie oglądaj się na żadne poboczne względy, ale na charakter, na obopólne szczęście i miłość. W teoryi najsłuszniejsza to teza; i gdyby szło o teoryę, nie o praktykę, nie o bliższe praktyczne określenie owego szczęścia, charakteru i miłości, nie wiem, czyby kto przeciw niej protestował. Najlepszym dowodem — nie z winy prawdopodobnie i nie z chęci autora — jak tu nieraz teorya a rzeczywiste życie daleko od siebie odbiegają, to sama ta powieść. Młody, bogaty Jerzy rozkochał się w „cyrkówce“ Norze; ale ponieważ opiekujące się nim arystokratyczne ciotki mówić sobie o małżeństwie z nią nie dają, przeto, ulegając ich woli, żeni się z bogatą panną Sumowską i jest z nią nad wszelki wyraz nieszczęśliwy. Szczęściem, nad Jerzym czuwa opiekuńczy geniusz, w postaci uważanego powszechnie za starego „dziwaka“, siedzącego na milionach pana Leona, który magicznemi jakiemiś sztukami przyprowadza — jak z bicza trzasł — do rozwodu, i zanim się Jerzy opamiętał, już stał przed ołtarzem z ukochaną, szlachetną, idealną Norą. Rozumie się, pożycie nowej pary było o tyle szczęśliwe, o ile pożycie z Sumowską było nieszczęśliwe i niemożliwe; a zatem — teza udowodniona.

Bodaj to powieściopisarzem być! Może on sobie jakie chce postacie utworzyć, może niemi, żadnymi względami się nie hamując, gdzie i jak chce posuwać; może, gdy mu fantazya przyjdzie, czarne zrobić białem, białe czarnem! Zapewne, takiej Nory idealnej, pięknej i niewinnej jak anioł, a klnącej jak parobek (bo ten jeden błąd uważał autor za stosowne jej zostawić), nikt jeszcze podobno w cyrku nie spotkał i wątpię czy spotka. Zapewne, taki Leon, nad wszelki wyraz szlachetny, a jednocześnie bawiący się w podpalacza, ideał poczciwości, który zgóry wszystko obmyśla i przygotowuje, aby w danym razie ślub, który ma być dopiero zawartym, za nieważny ogłosić — taki Leon, albo jest wprost niemożliwym, albo jest jakimś potworem. Zapewne ciotka Marya nie ma żadnej dobrej racyi, aby nagle, pod koniec drugiego tomu, zmienić swe zapatrywania, a jeśli je zmienia, to jedynie dlatego, że *suprema lex* powieściopisarza *voluntas*. Zapewne... niejednoby jeszcze można dodać takie „zapewne“; ale jak dodawać, kiedy p. Łoś odpowiedzieć gotów danem na ostatniej stronnicy zapewnieniem: „Prawdziwa to od początku do końca historya!“ Jeśli rzeczywiście prawdziwa, składamy broń; prosilibyśmy tylko, aby w drugiej edycyi dołączonym być mógł na tytułowej kartce maleńki, wyjaśniający dodatek: „Nieprawdopodobna, a jednak prawdziwa historya“. Tylko

czy takie nieobliczalne, nieprawdopodobne postacie i dzieje odpowiedniem tłem dla powieści?

Nie kończymy oklepanym komplementem o pracowitości i zdolnościach autora, bo o tem nie może być wątpliwości; ale raczej życzeniem, aby na przyszłość nie zatrzymywał oka na samej tylko powierzchni, głębiej, z większą troską i o historyczną i o psychologiczną prawdę, powiedzmy: logiczniej, powieści swe budował.

Z mętów społecznych. Powieść. Przez *Michała Bałuckiego.*
Profesorka. Obrazek z natury. Przez *tegoż.* Warszawa.

Dwie powieści, czy dwa obrazki — mniejsza o nazwę, to pewna, że obudwom słusznie należy się tytuł „Z mętów społecznych", i gdyby i drugi z rzędu pod tym samym nagłówkiem figurował, nikt z pewnością przeciw temu nie założyłby protestu. Już to wogóle p. Bałucki we wszelkiego rodzaju „mętach" się kocha; „męty" z największą satysfakcyą opisuje, a jeśli jeszcze uda mu się w nie wmieszać jakiego przestarzałego bogacza-hulakę, nicponia-panicza, jeśli uda się rzucić trochę błota na bogaczów, na arystokratów, a po drodze i księdza uszczypnąć — to i czegóż więcej potrzeba!? Formalna to maniera, czy manja, przez długie lata, w długim szeregu tomów starannie pielęgnowana; dziś już prawie i dziwić się nie można, że skorupka, czem zamłodu i w dojrzałym wieku przesiąkła, i na starość trąci, choć z drugiej strony zataić trudno, że męty, płynące zpod pióra człowieka starego, szczególną wzniecają odrazę, jak szczególną odrazę wznieca bohater pierwszej z rzędu powieści, stary rozpustnik Hochberger. A autor, niestety! a raczej może na szczęście dla swych czytelników, na pociechę dla publicznej moralności, widocznie się starzeje. Dawniej nie byłby chyba np. oparł rozwiązania swej powieści na szeregu „przypadków", z których jeden nie wiedzieć poco i dlaczego wsadza Antkowi rewolwer do kieszeni; drugi nakazuje jego ręce w odpowiednim momencie „błądzić bezwiednie i rewolwer w kieszeni namacać" *(sic!)*. aby — strach pomyśleć! — wystrzelać bez pardonu ojca nie ojca, kochankę nie kochankę, słowem wszystkich niepotrzebnych już bohaterów. Dawniej, malując życie, nadzieje, troski wiejskiej profesorki, nie byłby przecież oparł całej swej opowieści na jednym, dajmy na to, że prawdopodobnym, że nawet prawdziwym, ale w każdym razie nader wyjątkowym wybryku kilku pijanych paniczów. Darmo, wyjątkowi tylko ludzie nie starzeją się. Najlepsi przyjaciele p. Bałuckiego, wierni dotąd

admiratorzy, powinniby mu dziś poradzić: „Złam pióro przyjacielu! lepiej to będzie dla własnej twej sławy!“

Wszechmocni. Kartka z kroniki miasta powiatowego, wycięta przez autorkę „Księżniczki“. Kraków-Petersburg 1892.

Cel, poniekąd i treść tej powieści, zawarła najlepiej sama autorka w krótkich słowach, umieszczonych przed tytułową kartką raczej jako *motto*, niż jako dedykacya: „Tym co wolą chleb czarny w domu, niż kołacz poza domem; tym co wielkich celów blisko szukają, poświęca się tę pracę“. Powagę i nie-kobiecą niemal energię w sobie łącząca pani Wilczkowa i wnuczka jej, powabna Jadwiga, szukają blisko wielkich celów; pragnęłyby też sercem całem, aby młody Jerzy, bratanek sędziwej matrony, towarzysz dziecinnych zabaw Jadwigi, w pracy tej im pomagał, aby idąc śladami dawnych Wilczków, w rodzinnym Kozłowie zamieszkał, w nim pracował. Spodziewały się, pragnęły tego tem bardziej, że w Kozłowie rozgospodarowała się formalna szajka nie urzędników, ale właściwem nazwiskiem o nich mówiąc: złodziejów i rozbójników. Burmistrz, radni, sekretarz policyi, obdzierali, gdzie, co i jak się dało; usuwali wszystkie ciężary od tych, którzy umieli do nich brzęczącą monetą przemówić, a nakładali je na naiwnych, wierzących w cnotę i sprawiedliwość miejskiego zarządu. Pani Wilczkowa wiedziała wprawdzie dobrze, co o tej cnocie trzymać, ale przekupstwem bronić się nie chciała, a do jakiegoż innego oręża uciec się sama miała i mogła? „Skoro Jerzy przyjedzie, pocieszała siebie i wnuczkę, to potrafi nas od tych gwałtów obronić“.

Jerzy przyjechał, ale przyjechał z postanowieniem wyjechania co najprędszego do Paryża, gdzie utalentowanemu młodzieńcowi uśmiechała się świetna przyszłość, o której w kraju zamarzyćby nawet nie mógł. Na nieszczęście, raczej na szczęście, spotkał się na samym wstępie z jaskrawemi aż do zbytku nadużyciami małomiasteczkowych tyranów: krew Wilczków odezwała się, miłość i litość dla wyzyskiwanych i uciemiężonych wzięła górę nad dawnymi, ambitnymi planami, których miejsce zajęła długa, ciężka walka z strasznymi, nie chcącymi placu ustąpić panami miasta. Cały Kozłów podzielił się na dwa wrogie obozy; kto żył w Kozłowie, ten stał albo po stronie sprawiedliwości, po stronie Jerzego, albo po stronie jego wrogów. Ci ostatni w wyborze broni nie byli oczywiście zbyt szkrupulatnymi, każda dobrą dla nich była, ale każda też, dzięki energii, męstwu i sprytowi genialnego Jerzego, zwracała się ostatecznie przeciw tym, którzy nią wojowali.

Na ostatnich stronnicach wódz uczciwych Kozłowian stanowczo zwalcza Kozłowian-złodziejów, a w nagrodę zwycięstwa otrzymuje rękę nie potrzebującej już dłużej ukrywać się ze swą miłością kuzynki.

Czy taki Kozłów istnieje gdzie w rzeczywistości; czy pomyśleć można miasteczko, posiadające taką kolekcyę opryszków czystej wody, którzy zamiast w kryminale, zasiadaliby w ratuszu i długie lata bezkarnie miastem trzęśli? A bohater znowu, przeciw temu wielogłowemu smokowi walczący, czy nie zbyt przypomina bohaterów z ludowych bajek, którzy magiczną siłą nikną i zjawiają się; po użyciu odpowiedniej formułki znajdują czego dusza ich pożąda, po użyciu innej przechodzą bez szkody przez ogień i wodę? Bez wątpienia, w powieści jest miejsce i na epiczny i na satyryczny żywioł, lecz muszą one w odpowiedniej dawce być użyte, w należytym stosunku ze sobą zmieszane. Autorka „Księżniczki“ umie sobie dobierać tematów ważnych i na czasie; umie opowiadać zaciekawiająco; ale brak jej nieco czulszej wagi, dokładniejszej miary. Temu również brakowi — o mało nie powiedzieliśmy: autorskiemu nietaktowi — a nie innym jakim głębiej sięgającym przyczynom, przypisujemy parę niemile ucho drażniących, doktrynerskich frazesów. Nie wspomnielibyśmy może o tem, gdyby zresztą cała książka nie była pisana z widocznie poczciwą chęcią i z widocznym talentem.

Bankruci. Przez *Alfreda Konara.* Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1892.

Jeżeli za jakie sto, dwieście lat, znajdzie się sumienny historyk literatury naszej, który przerzucać będzie powieści z ostatnich lat kilkunastu, zdumieje się pewno, jak lwią w nich część stanowią opowiadania o różnego rodzaju bankrutach, bankructwach. Darmo! tak często niestety! z nimi w codziennem życiu się spotykamy, że i powieść naszą zalewają, zalewać muszą szeroką falą. „Bankruci“ p. Konara, to nie wiejscy szlachcice, szamocący się długie lata z żydem-lichwiarzem i ustępujący mu ostatecznie pola i domu; to przemysłowcy, których dziad jeszcze, prosty rzemieślnik, ciężką, krwawą pracą zdobył fortunę; ojciec pracował, ale już mu fortuna z rąk wypadała; wnuk, Jerzy, na pana wychowany i pracować nie umiał, choć bywało, że pracować chciał. Zniechęcony do życia, nie znajdując oparcia w wyższych przekonaniach i zasadach, których wlać mu w serce zapomniano, zakończył Jerzy, jak zwykli kończyć bankruci-tchórze, ucieczką przed spełnianiem przypadających sobie twardych obowiązków: rewolwerowym strzałem. Z dwóch sióstr, jedna, pomimo tak bolesnych doświadczeń, po-

prowadzi z pewnością męża zachciankami swemi nieroztropnemi, prędzej, później do ruiny; druga zrozumiała daną sobie przez życie naukę: pracuje, jak i gdzie może, szkoda tylko, że pracuje jak z musu, z niezdrową rozpaczą, zamiast wzrok w górę podnieść, wyższymi ideałami życie ożywić, do wyższych, świętszych celów — a tych przecież nie brak — usiłowania swe skierować.

Pędzenie nie jednego tylko rodzaju bankrutów do przepaści, odmalowane przez p. Konara z niezaprzeczalną prawdą, a nieraz i siłą; czyż niema sposobu ich powstrzymać, czyż fatalnie zginąć muszą? Na te pytania autor odpowiedzi nie daje, a jeśli daje, samem skreśleniem kolei wypadków, to tak czarną i zniechęcającą, że wolelibyśmy żadnej nie słyszeć. Główny to zarzut; obok niego wspomnijmy o jednym jeszcze, choć o wiele drobniejszym, na całość nie wpływającym. Może mylimy się, ale zdaje nam się, że opis śmierci Bożykowskiego jest ze świeżego, a nadto głośnego, aby w pamięci nie miał pozostać, wypadku skopiowany; w każdym razie, wskutek tego nieprzypadkowego, czy przypadkowego podobieństwa, niemiłe on robi wrażenie.

Syzyf. Obrazy z życia wiejskiego. Przez *Klemensa Junoszę*. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1891.

„To nie powieść, to tylko jedna kartka wydarta z powszedniej, szarej księgi życia“. Słowa te prawdziwe, niestety; wszędzie pełno „Syzyfów“, „i w pałacach i w chatach, i w kurtach i w siermięgach“; ale najpełniej dziś u nas może, w tych dworkach wiejskich, do których nas autor wprowadza; w tych wioskach, których nominalny właściciel jest tylko właściwie pierwszym ekonomem lichwiarza, dla niego orze, dla niego sieje, dla niego zbiera... Pan Jan rozumie wartość ziemi, broni też swego kawałka co sił i niemal nad siły; nie dojada, nie dosypia, ale cóż kiedy krwawo zarobiony grosz tonie w kieszeni Żydów z pobliskiego miasteczka, kiedy mimo wszystkich wysileń, długi z roku na rok wzmagają się, rosną. I dobrze jeszcze, póki królem lichwiarzy z pobliskiego miasteczka był stary Maneles, Żyd dawnej daty, który ciągnął zyski, ale powoli, rachował na pewną, długoletnią korzyść, nie zarzynał ofiary, nie nakładał na nią większych ciężarów, niż była w stanie udźwignąć; młody Maneles inne miał zasady, odrazu majątek chciał zebrać i w środkach nie przebierał, a o to co z ofiarą się stanie, czy wytrzyma, czy nie padnie, głowa go już nie bolała. Pan Jan padł, i nie dziw: „od młodości aż do kresu dni swoich dźwigał brzemię nad siły, dźwigał, dźwigał, aż przerwał się i upadł. Biedny

Syzyf!“ Pracował ciężko, do upadłego, i zostawił dzieciom znacznie mniej, niż sam od ojca odebrał; a już ojciec, już dziadek, każdy mniej przekazywał potomkom, niż otrzymał od przodków.

Czy synowie pana Jana podźwigną ten kamień, pod którego ciężarem ojciec ich się złamał? Proste to zapytanie, ale jak aktualne, jak strasznej tragiki pełne; jak tragiczne zwłaszcza, gdy się pomyśli, ilu nie ma dość siły i hartu, aby choćby Syzyfami być, ale rąk nie opuszczać, nadziei nie tracić, przedwczesnemu a najzgubniejszemu ze wszystkich klęsk, zwątpieniu, się nie poddać.

Ks. Jan Badeni.

Walka o monarchię 1288 do 1294. (Ustęp z dziejów Piastowskich). Napisał *dr. Aleksander Semkowicz*. Lwów 1892. (W 8-ce, str. 52).

Autor w pracy niniejszej znowu się zajmuje jedną z tych wielu zawiłych kwestyj, w które wiek XIII. tak obfituje. Zadanie to ryzykowne wobec braku źródeł, i trzeba rzeczywiście bystrości niezwykłej, by w sposób tak przekonywający rozjaśnić pyłem wieków przyćmione niezrozumiałe dotąd wypadki po śmierci Leszka Czarnego.

Jestto chwila największego rozstroju narodowego, kiedy na kilkanaście dzielnic podzielony kraj, szarpany wieczną niezgodą drobnych książątek, wystawiony na ustawiczne napady Tatarów i Litwy, zdawał się być niechybnym łupem zalewającej go zewsząd teutońszczyzny; kiedy Henryk IV., książę Wrocławski, nietylko pieśniami swemi stwierdza iż jest niemieckim *Minnesängerem*, lecz pierwszy z Piastów, uznając się członkiem Rzeszy niemieckiej, czynem manifestuje, iż jest księciem niemieckim.

Czyż wobec tego mógłby się ktoś spodziewać, iż właśnie od owego *milde biderbe furste*, jak go współcześni Niemcy sławią, wyszła pierwsza myśl odrodzenia Polski, którą miał po latach tylu w czyn zamienić niefortunny współzawodnik jego do Małopolskich dzierżaw, Władysław Łokietek?

Testament Henryka IV., niezrozumiały dotąd przez niemieckich i polskich historyków, jest właśnie, wedle interpretacyi autora, niezbitym na to dowodem. Autentyczności tego aktu nie zdołały obalić nieuzasadnione zarzuty niemieckich badaczy. Nie aktem też abdykacyi Piastów szląskich, jak twierdzą inni, do ziem polskich jest ów testament, wydany dnia 23 czerwca 1290 r., na dzień przed śmiercią księcia Wrocławskiego; bynajmniej nie obałamucony lub nieprzytomny zapisuje Henryk na łożu śmiertelnem Małopolskie dzielnice Przemysławowi

wielkopolskiemu, lecz testamentem swym toruje drogę myśli dawno wypielęgnowanej złączenia Polski w ręku najstarszej linii Piastowskiej.

Zmiana tak zasadnicza w zmiennym umyśle poetycznego księcia zaszła, zdaniem autora, nie w przededniu śmierci, lecz trzy lata przed nią, w chwili, kiedy zwyciężony w walce z Kościołem, z żalem i skruchą leżał u stóp biskupa Wrocławskiego. Korząc się przed moralną potęgą władzy duchownej, musiał przyjść do przekonania, iż złą dotąd kroczył drogą. Odtąd nastaje zwrot w jego postępowaniu. Dawni wrogowie stają się mu przyjaciołmi. Godzi się przedewszystkiem z Przemysławem wielkopolskim, z którym dotąd w ciągłej żył niezgodzie, i serdeczne z nim zawiązuje stosunki. Nie kto inny, jak Przemysław, nakłonił, zdaniem autora, umierającego Leszka Czarnego do zamianowania Henryka wrocławskiego następcą swym w dzielnicach Małopolskich. Opanowawszy nie bez krwawych walk z licznymi współzawodnikami rozległe ziemie, postanowił Henryk koroną królewską skroń swoją uwieńczyć. Zbrodnicza ręka lekarza przerywa niestety nić jego żywota; miałażby także i złotą przędzę myśli jego zniweczyć? Otruty książę dość sił jeszcze posiada, by ideę wypielęgnowaną oddawna ocalić. Testamentem przekazuje Wrocławską dzielnicę Henrykowi głogowskiemu, Krakowskie i Sandomierskie księstwa Przemysławowi, bo ten Przemysław, pan Wielkopolski i przyszły dziedzic Pomorza, jest bezdzietny, a jego najbliższy krewny i spadkobierca, to Henryk głogowski, najstarszej latorośli Piastowskiej przedstawiciel.

Wzniosłe tendencye Henrykowego testamentu spaczyli wykonawcy. Właśnie Przemysław, ów wskrzesiciel królewskiej godności w Polsce, sprzeniewierzył się idei zjednoczenia Polski w ręku Piasta i pomógł obcemu do owładnięcia Piastowskiem dziedzictwem.

Nie dałoby się temu wiary, gdyby fakta same nie mówiły za tem. Ów przeceniony Przemysław nietylko zrzekł się dzielnic mu przekazanych, lecz nawet orężną obiecał pomoc Wacławowi czeskiemu przeciw Łokietkowi, i tylko przypadkowi zawdzięcza, że nie skalał miecza swego krwią bratnią. Co go do takiego kroku skłoniło, trudno dociec; może sprawa Pomorza — może zbyt ryzykownem było zajmować nowe dzielnice, nie zabezpieczywszy najbliższych.

Jakiem jednak prawem Przemyślida Wacław wdziera się w prastare Piastowskie dzierżawy?

Traktat spadkowy, zawarty dawniej między Henrykiem IV. a Wacławem, obalony jednak testamentem z 23 czerwca, był pierwszą podstawą zaborczych pretensyj Wacława do Polski. Uroszczeniom czeskim

nadają prawną podstawę dokumenta z dnia 25 i 26 września 1290 r., wyjednane u cesarza Rudolfa, na mocy których Przemyślida otrzymuje nietylko księstwo Wrocławskie, lecz wszystkie wskutek śmierci Henryka opróżnione „lenna cesarskie". Jakie to były owe lenna cesarskie, dowodzi późniejszy zabór ziem Krakowskiej i Sandomierskiej. Z dokumentów dalej wynika, iż w połowie stycznia 1291 r. nastąpiła rezygnacya Przemysława z rzeczonych księstw na rzecz Wacława. Rokowania z najwpływowszymi dygnitarzami ziem Krakowskiej i Sandomierskiej, na czele których stał biskup krakowski, Paweł z Przemankowa, doprowadziły wreszcie w sierpniu tegoż roku do uznania praw Przemyślidy do księstw Nadwiślańskich przez magnatów małopolskich. Pozostawała tylko szlachta, obca frymarczeniu ziemi ojców, i owe uparte książątko kujawskie, Władysław Łokietek. Przeciw nim zacytowano prawo silniejszego i miecz wkrótce wymusił uznanie praw czeskich i posłuszeństwo. Na takich to prawach oparty, posiadł w 1291 r. Wacław II., król czeski, księstwo Krakowskie i Sandomierskie, i występuje odtąd na ziemi polskiej jako twórca nowej dynastyi.

Wśród historyków panowało dotychczas mniemanie, iż Wacław opierał swe prawa do Polski na darowiźnie, nadanej przez Leszka Czarnego żonie Gryfinie, którą ta na króla Czeskiego, jako siostrzeńca, przelała.

Autor wykazuje bezpodstawność takiego zapatrywania; dowodzi, że taka donacya w owych czasach byłaby pogwałceniem prawa publicznego, które wdowy książęce, tak samo jak wdowy po osobach prywatnych, od sukcesyi mężowskiej wykluczało. „Za żart i igraszkę poczytanoby wówczas taką darowiznę" i na niej oparte prawa. Na podstawie takiego dokumentu nie mógł żadną miarą dochodzić praw swych do Polski Wacław. Nie było więc potrzeby dokumentu podobnego fałszować, bo fałszerstwo takie nie miałoby praktycznego zastosowania w onej chwili. Wiadomość o rzekomym testamencie Leszka Czarnego na rzecz Gryfiny, zaczerpnięta z kroniki Pułkawy [1], źródła czeskiego z XIV. wieku, o sprawach polskich najgorzej poinformowanego, nie zasługuje wobec powyższych wywodów na żadną wiarę.

Czyżby jednak w tej wzmiance nie ukrywało się jakieś ździebło prawdy? Otóż zdaniem autora Gryfina wykazała się przed Wacławem jakimś dokumentem, mniejsza o to czy sfałszowanym, czy autentycznym, który ją rzekomo uprawniał do księstwa Sandeckiego, nie

[1] *Apud Dobner. Monum.* III. 251.

Krakowskiego. Kronikarz czeski słyszał coś o nadaniu księstwa Sandeckiego Gryfinie, nie znając jednak takiego księstwa, zamienił je na Krakowskie. Mylną ową wiadomość przyjęli wszyscy za dobrą monetę, polscy uczeni za Długoszem posądzając Gryfinę o fałszerstwo, niemieccy i czescy bez żadnych zastrzeżeń, starając się ją, jak Fiedler, poprzeć dokumentalnemi rzekomo wzmiankami.

Z zajęciem Krakowa przez Czechów, wchodzi rzeczywiście Gryfina w posiadanie księstwa Sandeckiego. Było to wdzierstwem zuchwałem w prawa żyjącej naonczas jeszcze Kingi, wdowy po Bolesławie Wstydliwym, której prywatną własnością było księstwo Sandeckie. Otrzymała ona takowe jako zastaw za sumy posagowe, wyłożone przez nią na obronę kraju przeciw Tatarom. Już Leszek Czarny pragnął na rzecz Gryfiny wyzuć świątobliwą księżnę, założycielkę klasztoru Sandeckiego, z jej posiadłości. Ponieważ jednak Kinga włości swe zapisała klasztorowi, a sprawa oparła się o Stolicę apostolską, zamach nie udał się wcale, a Leszek nawet upokorzył się przed księżną. Dopiero z wtargnięciem Czechów do Polski dopięła wdowa Leszkowa celu upragnionego, z pogwałceniem nietylko praw Kingi, ale i Kościoła. Jako *domina de Sandecz*, dzierży Gryfina długi szereg lat księstwo uzurpowane, póki jej Łokietek ztąd około 1310 r. nie wypłoszył.

Oto wyniki naukowej tej, drobnej, ale cennej nader pracy. Wywody autora są tak przekonywające, iż chcąc niechcąc słuszność im przyznać trzeba. Na str. 18 tylko możnaby z nim się posprzeczać, iż zbytnio idealizuje Piastów wrocławskich, iż podsuwa im idee, licujące raczej z wiekiem dziewiętnastym.

W zabiegach Henryka Brodatego i Henryka Probusa nie możemy się dopatrzeć ani chęci ratowania Szląska przed rozpłynięciem się w Rzeszy niemieckiej, ani wzniosłej idei podźwignięcia Polski z upadku. Czyż bowiem sprowadzanie i protegowanie niemieckich kolonistów, czyż koligacenie się tych właśnie książąt z niemieckiemi księżniczkami, czyż niemiecki zwyczaj i obyczaj na dworze wrocławskim, do takich przypuszczeń upoważnia?

Słuszniej było powiedzieć, iż rola księcia Szląskiego poza obrębem Polski nie była dla jaśniej patrzących Piastowiczów ponętna. W Polsce, jako przedstawicielom najstarszej linii Piastowskiej, uśmiechała się im zawsze nadzieja władzy monarszej, w Niemczech czekało ich niezaszczytne miejsce na szarym końcu wśród wasalów królewskich. Za Henryka Brodatego nie było jeszcze obaw utonięcia Szląska w Rzeszy niemieckiej; a kojarzenie się jego wnucząt z innemi liniami Pia-

stowskiemi wypływało z odmiennych całkiem pobudek. O Gertrudzie i Konstancyi wiemy napewno, iż wydano je za synów Konradowych, by okupić i zapewnić sobie pokój ze strony księcia Mazowieckiego.

Dr. K. Krotoski.

Ueber Kants Transcendentale Aestetik. Eine kritische Untersuchung. Von *Marian Massonius*. Leipzig. Verlagshandlung von Gustav Fock. 1891. (XII, 178).

Tytuł niemiecki i nazwisko jeszcze mało znane w naszem piśmiennictwie, mogą dać do myślenia, że to Niemiec pisze jednę z tych niezliczonych rozprawek filozoficznych, jakie z katedr i ławek uniwersytetów niemieckich ciągle wychodzą. Tymczasem pisze Polak; zdradza to nawet stylem jasnym i zgrabną formą, w którą obleka swe myśli. Nie apoteozuje on Kanta, ale w sposób pod niejednym względem oryginalny i świeży nicuje argumenta kantowskich poglądów na przestrzeń i czas, aby pokazać, że budowa transcendentalnej estetyki stoi na piasku. Obok tego bardzo trafnego założenia, książka ta posiada wiele zalet, pomieszanych niestety z mnogiemi usterkami, tak że niczego prawie pochwalić nie można bez pewnych zastrzeżeń; ale z tych usterek młody autor pracą się wyrobi, a zalety pokazują umysł prawdziwie zdolny.

Pan M. zachował ten porządek w swojej rozprawie, jakim Kant przeprowadza założenie, że naszym pojęciom przestrzeni i czasu brakuje przedmiotowej podstawy. Ten porządek ułatwił Kantowi budowę idealizmu, bo poplątał różne zakresy myśli i zmącił pojęcia, a w zmąconej wodzie ryby łowić łatwo; ale utrudnił panu M. jego zadanie i pozbawił jego pracę połowy siły, z jaką mógł uderzyć w transcendentalną estetykę. Formalizm Kanta stanowi błąd bardzo zgodny z średniowiecznym konceptualizmem: więc po każdej porażce częściowej póty podnosić będzie znowu głowę, póki nie spotka odporu w imieniu zasad nauki poznania, jakich broni filozofia idealno-realna. W świetle tych zasad odrazu widać, w czem zbacza od prawdy wymysł sądów syntetycznych *a priori*. Bez nich można wprawdzie spostrzedz przeskoki myśli w dowodach Kanta, ale można przytem myśleć, że jeśli Kant tego nie dokazał, to może kto inny, na lepszych posadach, ten sceptyczny idealizm uzasadni. Pan M. nie opiera się wyraźnie na tych zasadach, więc choć nieraz zwalcza poglądy Kanta, jednak gmachu idealizmu w zasadzie nie obala. I tak najprzód pan M. nie wytknął Kantowi źródła pojęć czasu i przestrzeni, oraz pojęcia przyczyny; potem silił

się na nieszczęśliwą przeróbkę Kanta w podziale doraźnych sądów na syntetyczne i analityczne; nakoniec puścił płazem Kantowi gmatwaninę wprowadzoną przez niego w podziale dowodów na apryoryczne i aposteryoryczne. W tych trzech zarzutach można streścić główne braki książki pana M.

Kant szukał źródła, z którego czerpiemy ogólne pojęcia: przestrzeni, czasu i przyczyny, i znalazł apryoryczne formy myślenia, zamiast zmysłowych wrażeń, odpowiednich tym pojęciom; więc zamiast wyznaczyć źródło, które miał na podorędziu, obarczył filozofię ciężarem ani niepotrzebnym, ani niezdolnym uzasadnić przedmiotowego związku tych pojęć z rzeczywistym światem. Pan M. nie wykazuje w zmysłowych wrażeniach źródła tych pojęć, i przez to, burząc podstawę transcendentalnej estetyki, na jej miejsce nie stawia nowej. A nie byłoby to dla niego trudno, bo to prawie samo wyrywało się zpod jego pióra. Sam pan M. przyznaje, że bez myśli o przestrzeni nie można myśleć o jej własnościach, np. potrójnej rozciągłości, i że to samo zachodzi w myśleniu o czasie i jego własnościach. Otóż we wrażeniach zmysłowych mamy źródło ogólnych pojęć rozciągłości, chyżości i t. p.: więc w zmysłowych wrażeniach znajdujemy początek ogólnych pojęć: przestrzeni potrzebnej do rozciągłości, czasu potrzebnego do chyżości i t. p.

Pan M. nie zwrócił uwagi na to źródło, i przez to, razem z Kantem, zaciemnił sobie podział zdań na analityczne i syntetyczne, bo bez jasnych zasad ideologicznych, nie można jasno dokonać tego podziału. Kant nie wyszedł z tych zasad od początku, bo zamierzał doraźnem cięciem wybić Humemu broń jego sceptycznych twierdzeń o przyczynowości; dlatego pominął ideologiczne błędy Humego i zaczepił odrazu jego naukę: że z doświadczenia poznajemy tylko *hoc post illud*, ale nie spostrzegamy, że *hoc propter illud* następuje; zkąd wnosi Hume, że doświadczalną drogą nie nabywamy zasady przyczynowości, że więc ta zasada nie należy do syntetycznych; a ponieważ z drugiej strony *nihil est in intellectu, quod non fuerit in sensu*, więc ta zasada nie jest też ani analityczną: a zatem jest tylko gołosłownem twierdzeniem. Tego zarzutu nie mogąc rozwiązać, Kant chciał go obejść, i wymyślił sądy *syntetyczne a priori* — zaczem poszła konsekwentnie cała jego ideologia, osnuta na apryorycznych formach.

Pan M. uważa kantowski podział zdań za wadliwy, ale niezupełnie otrząsa swoje zapatrywania zpod wpływu Kanta: zostaje przy apryorycznych formach, a usiłuje znaleść nowe wyjście, dowodząc, że niektóre sądy nie należą ani do analitycznych, ani do syntetycznych.

Przy tej sposobności pan M. twierdzi, że podział sądów na analityczne i syntetyczne pochodzi *bekanntlich* od Kanta. Prawda, że te wyrażenia nie przychodzą wogóle u poprzedników Kanta, którzy używali nowożytnych języków, ale prawie dosłownie przychodzą te wyrażenia u greckich filozofów, a w łacińskim przekładzie u średniowiecznych perypatetyków. Używają tych wyrażeń dzisiejsi filozofowie do podziału sądów i metod; a ogół filozofów, którzy wykładali pierwszą księgę Arystotelesa, *Peri Hermenias*, dzielili za nim sądy: na zasady rozumowe, w których związek orzeczenia z podmiotem widnieje odrazu dla każdego, kto rozumie oba te pojęcia — i na zdania o wypadkach doświadczalnych, w których orzeczenie nie należy przez się do pojęcia podmiotu, ani nie wchodzi z nim w sprzeczność, ale okazuje się z nim związanem przez doświadczenie. Tak samo filozofowie, którzy wykładali drugą księgę Metafizyki Arystotelesa, rozróżniają dwie metody, i jedną wprowadzają do nauki pod nazwą drogi składu wiadomości, a drugą pod nazwą drogi rozbioru.

Ale mniejsza o to, że ten ustęp pracy pana M. zdradza jakiś brak znajomości niektórych szczegółów z dziejów filozofii: ważniejszy zarzut może spotkać jego zdanie, że sąd, który zawiera określenie jakiegoś pojęcia, nie należy ani do zdań syntetycznych, ani do analitycznych. Na dowód tej nauki twierdzi pan M., że każde określenie jest dowolne i konwencyonalne. Tu popada pan M. w pewną dwuznaczność, z której wynika jego wniosek, ale tylko pozornie. Dowolnie i konwencyonalnie używamy w określeniu tych słów, a nie innych: gdyby nie ten dowolny wynalazek i użytek słów, wszystkie narody mówiłyby tym samym językiem; ale myśl, wyrażona określeniem, nie należy do zakresu dowolnych ugód, jeżeli dajemy określenia umiejętne. Nim przyrodnicy określą elektryczność albo powszechne ciążenie, przebiegają zawiłe manowce domysłów o nieuchwytnych ciałkach i płynach i falach eteru: umiejętność do czasu cierpliwie znosi takie domysły, ale nawet w tych nieudałych określeniach wymaga podstaw podmiotowych: tem bardziej ścisłe i umiejętne określenie elektryczności wykluczy poglądy osobiste i dowolne. Stanowcze zdanie, że każde określenie jest dowolne i konwencyonalne, tak trąci Lockianizmem, tak odradza średniowieczny konceptualizm, tak sprzyja transcendentalnemu idealizmowi, że też osłabia ciosy, wymierzane przez pana M. przeciw Kantowi. Wszystkie nauki przyrodzone tracą cel teoretyczny, jeżeli ich badacze powtórzą to zdanie pana M. — rzecz nie wymaga dłuższego wyjaśnienia.

Nakoniec utrudnił sobie pan M. walkę z Kantem przez to, że bez żadnych zastrzeżeń przyjął inną jeszcze gmatwaninę pojęć, wprowadzoną przez patryarchę transcendentalnego idealizmu. Ta gmatwanina zachodzi w podziale dowodów na apryoryczne i aposteryoryczne. Do czasów Leibnitza odróżniała filozofia sądy syntetyczne od aposteryorycznych, a analityczne od apryorycznych. Podział sądów na analityczne i syntetyczne miał miejsce tylko w sądach bezpośrednich, odrazu oczywistych. Sąd wynikły z dowodu, nabywa oczywistości w świetle pojęcia pośredniego, nazywanego *terminus medius:* więc związek podmiotu z orzeczeniem nie widnieje z samego rozbioru tych dwóch pojęć: dlatego dawniej nie nosił sąd wywnioskowany nazwy analitycznego; ale ani za syntetyczny nie uchodził sąd oparty na dowodzie, bo nie jest owocem doraźnego doświadczenia. Pod inny podział podpadały sądy pośrednie, czyli na wniosku oparte: one to się dzieliły na apryoryczne i aposteryoryczne, według tego, czy pośrednie pojęcie, użyte na dowód, przedmiotowo poprzedzało wniosek, czy następowało po niem. Np. sąd, że Bóg istnieje, uchodził powszechnie za aposteryoryczny, nie nosił zaś nazwy ani analitycznego, ani syntetycznego, bo nie wynika ani z rozbioru naszego pojęcia o Bogu, ani z bezpośredniego doświadczenia, tylko z wniosków.

Po Leibnitzu, dopiero Kant pomieszał wyrazy. Niedbały o ogólny podział sądów (na oczywiste doraźnie albo pośrednio) i na szczegółowe podpodziały (doraźnych sądów na syntetyczne albo analityczne, a pośrednich na apryoryczne albo aposteryoryczne), Kant ugrzązł w plątaninie nazw, z której widać, że dzielił sądy na czysto doświadczalne i na ściśle rozumowe, według tego, czy wyrażają wypadek wprost doświadczeniem uchwytny, czy streszczają zasadę ściśle rozumową i wiadomość oderwaną. Zdawałoby się, że twierdzenia czysto doświadczalne dostaną od Kanta bez różnicy nazwę albo aposteryorycznych, albo syntetycznych, a zasady ściśle rozumowe staną pod nazwą albo apryorycznych, albo analitycznych. Tymczasem Kant jeszcze przeoczył to, na co pan M. bardzo zręcznie zwraca uwagę, że do sądów ściśle rozumowych także potrzebujemy doświadczenia, bo bez niego nie mamy osnowy do żadnych sądów. Ale do zasady ściśle rozumowej nie wystarczy samo doświadczenie, żeby powiązać ze sobą pojęcia podmiotu i orzeczenia w jeden sąd. Przeciwnie, w twierdzeniach czysto doświadczalnych, samo spostrzeżenie świadczy o związku podmiotu z orzeczeniem. Dlatego Kant nie mógł dać sobie rady z całym zastępem sądów, którym czegoś brakło do prawa na nazwę analitycznych,

a wielu niedostawało znamion właściwych twierdzeniom czysto doświadczalnym. Przeciął więc ten węzeł gordyjski zamachem na przedmiotowość wiedzy i rzucił sądy syntetyczne *a priori* na podwalinę idealizmu. Co gorsza, ten pomysł sądów *a priori* syntetycznych tak utkwił w umysłach olśnionych dyalektyką Kanta, że razporaz powstają szermierze do walki o te sądy, choć im poddają znaczenie nieznane ich twórcy.

Mimo tych uchybień, jak powiedzieliśmy, autor okazuje niemało przymiotów umysłu filozoficznego. Miłe wrażenie sprawia śmiały sposób, w jaki wyraża myśli; kiedy zabraknie utartego zwrotu, żeby odcieniować nowy pogląd, zręcznie wypływa zpod jego pióra nowy wyraz, który jasno i dobitnie oznacza barwę zapatrywań autora. Rzadko kto umie w rozprawie filozoficznej treściwie i dobitnie oznaczyć stan pytania, na które szuka odpowiedzi: pan M. posiada tę zaletę. Po zapowiedzi treści książki albo rozdziału, rozwój myśli biegnie tokiem spokojnym, który zdradza, że autor przetrawił własny pogląd. Cierpliwie śledzi bieg myśli Kanta i trafnie pokazuje jej przeskoki albo dwuznaczniki, które podcinają związek między zdaniami. Doskonale mówi Kantowi, by nie dziwił się, że nie mógł ani on sam, ani nikt na świecie znaleść odpowiedzi na niektóre pytania, bo sam postawił te pytania *à rebours*. Życzyć tylko możemy autorowi, aby dalej w tym kierunku pracował, pogłębiając jeszcze znajomość filozofii i jej dziejów.

Ks. K. Czajkowski.

Krytyka krytyki i literatury. Nieznany utwór Juliusza Słowackiego. Z autografu poety wydał *dr. B. Erzepki*. Poznań 1891. (Str. 23).

Pomiędzy papierami ś. p. d-ra Kazimierza Szulca znalazł dr. Erzepki kilka ćwiartek autografu Słowackiego. Stwierdziwszy, że tekst tego autografu nie był dotąd nigdzie drukowany, w niniejszej broszurce wydał go, dodawszy od siebie wstęp, objaśniający genezę tego maleńkiego rękopisu. Jestto artykulik przysłany przez poetę w r. 1841 do redakcyi *Orędownika*, wychodzącego wówczas w Poznaniu pod naczelnym kierownictwem J. Łukaszewicza i A. Poplińskiego. Słowacki, jak widać z tekstu (p. 13), był proszony przez redakcyę o współpracownictwo, a korzystając z zaproszenia, pospieszył z tą małą rozprawką, by dać cierpką odprawę i nauczkę *Tygodnikowi Literackiemu* Wojkowskiego za liczne zaczepki i znęcania się, często niesłuszne, nad jego utworami. Ostry i szyderczy ton, z jakim poeta uderzył tu na *Tygodnik* i całą plejadę naśladowców Mickiewicza w Wielkopolsce, odstraszył widocznie

redakcyę *Orędownika* od drukowania tej ulotnej elukubracyi, a tak przechowała się w rękopisie aż do naszych czasów.

I cóż jest jej osnową?

Juliuszowi „przyśniła się dziwna komedya“: jakoś nagle znalazł się w świątyni Sybilli w Puławach... Lecz z tej dawnej świątyni narodowych pamiątek teraz prawie nic nie zostało — wszystkie rozleciały się „jak jaskółki ze zrujnowanej świątyni“ (p. 11)... Zasmucony tym widokiem poeta, ogląda się i spostrzega... stołek Szekspira... wnet i samego Szekspira, już nie Anglika, lecz „obleczonego w ciało słowiańskie“ (p. 11). Wtem drzwi skrzypnęły i wszedł malarz karykatur, Hogart. Juliusz zdziwiony niepomału, nadstawia ucha, bo między Szekspirem a Hogartem zaczęła się żywa rozmowa.

Tu kończy się prolog Słowackiego, a następują dwie sceny. W pierwszej Hogart zdaje Szekspirowi sprawę ze swych starań o wyszukanie dla odegrania jego dramatów jakiej sceny i uspakaja go, że „jakoś to będzie“. Na to Szekspir powstaje i wzywa Hogarta, by się z nim udał do redakcyi *Orędownika*, która go właśnie prosi o współpracownictwo.

W biurze redakcyi — to już scena druga — spotykają już pp. Or. i Tyg. (personifikacye obu pism poznańskich), którzy rozprawiają żywo o interesach redakcyj. Następuje przedstawienie przybyłych gości i ironiczna, cierpka, pełna drwinek rozmowa Szekspira szczególnie z p. Tyg., który przedstawiony jako frazesowicz pusty, fanatyczny wielbiciel „jenialnych“ poetów, którzy u niego drukują swe Marzenia, Westchnienia, Ideały i Zapały... Przytem wkłada Słowacki w usta p. Tyg. cytaty rzekome z tych poetów, które są — jak wydawca wykazał — złośliwymi parodyami z utworów Mickiewicza. Po tych nudnych tyradach, pyta Szekspir: „I nie wynalezionoż u was innego słowa, niż poeta, na tych pisarzy wierszy próżnych i dźwięcznych?“ Na to odpowiada p. Or.: „Mój przyjaciel... p. Tyg.... nazywa ich powszechnie „Jenialnymi piewcami przyrody“ (p. 23). Przez cały czas Hogart rysuje sobie na paznogciach karykatury obecnych osób.

Rzecz to — jak widać z osnowy — niewielka, nie bardzo ważna i osobista; a więc „nie może mieć w literackiej spuściźnie Słowackiego donioślejszego znaczenia“, jak to sam wydawca przyznaje. Jest jednak dobrą ilustracyą stosunku Słowackiego do literatów dzielnicy poznańskiej r. 1840 i 41, i nowym objawem tej „zaciekłej nienawiści“, jaką pałał Słowacki ku współzawodnikowi swemu, Mickiewiczowi, a jakiej dał swobodny wyraz w Beniowskim:

... Bądź zdrów, wieszczu!
Tobą się kończy ta pieśń, dawny Boże!
. . . . . .
Bądź zdrów! — A tak się żegnają nie wrogi,
Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych bogi!

Wkońcu jedna uwaga krytyczna. Dr. E. twierdzi (p. 5), że Szekspir wyobraża poetę samego — i to jest widoczne każdemu — a Hogart jest poprostu osobą fikcyjną, nie zawierającą w sobie żadnej aluzyi do kogośkolwiek z żyjących. Lecz czy nie możnaby przypuścić, że obaj ci Anglicy wyobrażają jedną osobę — Juliusza, a mianowicie dwie wybitne zdolności jego poetyckiej duszy: talent dramatyczny Szekspira, zaprawiony tak często ironią karykatury nawzór Byrona?

R. K.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Mémoires de la Duchesse de Goutant. Paris. Librairie Plon. 1891.

Acz nie brak naszej epoce uczonych badaczy przeszłości, wytrawnych dziejopisów i niezmordowanych pracowników na historycznej niwie, czytelnicy współcześni, nad wyczerpujące studya i wywody, przekładają stale bezpośrednie odbicie wypadków w zwierciedle osobistych wrażeń i pamiątek, historyę widzianą nad historyę odgadnioną. Ztąd dział pamiętnikowych wydawnictw stanowi obecnie najbujniejszą gałęź literatury wszechświata, i najpełniejszego też zażywa powodzenia. Żądza prawdy, i to prostej prawdy, wypowiedzianej potocznie, bez przyprawy literackiej ani naukowej domieszki, niewątpliwie wpływa na tę ewolucyę smaku i ciekawości powszechnej. Owszem, nikną zaostrzone wymagania wobec pośmiertnych zwierzeń i rodzinnych wspomnień, a choć bywają między niemi bardzo potoczne i nikłe, każdy chętniej sięgnie po spuściznę dni minionych, aniżeli po bliższe, współczesne roboty i płody. Oczywiście, Francya najobfitszego dostarcza pokarmu miłośnikom poufnych wydawnictw, a różne przyczyny się składają na bujniejszy tamże plon pamiętnikowy. Nasamprzód wyższy stopień kultury skłania liczniejszy też zastęp ludzi do bawienia się piórem, dalej donioślejsze wypadki trwalsze echo w duszach budzą, a tych nie brakło Francyi w ciągu ostatniej lat setki; nareszcie poszanowanie rodzinnych papierów i pamiątek dochodzi do kultu wśród znaczniejszych domów, tulących się tem skwapliwiej do przeszłości, im mniej w teraźniejszości żyją.

Zanim nam przyjdzie streścić na tem miejscu rozgłośne, trzechtomowe Pamiętniki jenerała Marbota, które w tej chwili niebywałego zażywają rozgłosu, warto zwrócić uwagę czytelników i na skromniejsze wspomnienia księżnej Goutant, która za krótkich lat Restauracyi piastowała wysoką godność ochmistrzyni dzieci królewskich, *gouvernante des enfants de France*. Jak znaczne było to dostojeństwo, ocenić można choćby z faktu, iż ona to, w imieniu powierzonego swej pieczy niemowlęcia, wydawała hasło i odzew straży zamkowej.

Niniejsze pamiętniki, w późnej kreślone sędziwości, noszą znamię owego zapóźnienia, a wraz i cechę epoki. Czytaliśmy ich dużo, a wiecznie nas uderzała i zdumiewała skłonność piszących do zachwytywania i przekazywania nam samych nieledwie drobiazgów, kiedy im żyć przyszło wśród homerycznej epoki i niebywałych przełomów. Oczywiście kobiety celują w tem patrzeniu dokoła przez zmniejszające szkła perspektywy. I pani de Goutant nie wyróżnia się w tym względzie. A jednak, wśród bardzo drobnostkowych zapisków, potęga odebranych narazie wrażeń rwie ją niekiedy i podnosi w górę. Do takich ustępów należy niezrównany dramatycznością opis zamordowania księcia Berry w progach Opery, gdzie nieprzerwany balet trwał w najlepsze, podczas gdy ofiara zamachu dogorywała w loży królewskiej. Nie kusząca się o doskonałość stylu ni układu, księżna jaskrawo tę krwawą oddała scenę, uwydatniła sprzeczność ram z rozgrywającą się tragedyą, zapustną wrzawę i maski tłoczące się zewsząd dla zasięgnięcia wiadomości, nocny pochód zawezwanej do konającego ojca dzieciny, wspaniałomyślność księcia dopraszającego się jedynie przebaczenia dla swego mordercy, włoską gwałtowność uczuć neapolitańskiej księżniczki, której żal niepohamowany tak szybkich miał szukać pociech i tak łatwego zapomnienia... Wszystko to razem wzięte składa się w obraz pełen kolorytu i życia; obok którego równie trafnie wypadł opis narodzin hr. Chamborda, ostatniej, niespodzianej odrośli gasnącej już linii starszej Burbonów.

Zdaje nam się, iż katastrofy i tragedye królewskie są właściwością naszych czasów; a tymczasem dość spojrzeć wstecz, aby dostrzedz dramata, nie ustępujące w niczem scenom rozgrywającym się dziś na stopniach tronu. I tak owo ostatnie błogosławieństwo zamordowanego księcia Berry, złożone na czole jedynego dziecięcia, zwraca nas ku przyszłości owej córeczki, która jako księżna Parmy miała w jednaki sposób tracić i ojca i męża. Wogóle każdy pamiętnik uzupełnia się historyą dalszych dni, nadających prorocze niemal znaczenie potocznym

faktom. I tak np. ochmistrzyni dzieci Francyi, opisując nam zabawy swych pupilów, wspomina, jak raz na wsi bawili się w sobótki, zapalając stos gałęzi, nad którym zatykali sztandar biały. Młodziuchny Henryk zerwał się nagle, aby z płomieni ukochane wynieść godło. „Ratujmy sztandar!“ zawołał, i sam ocalenia takowego dokonał — jakby program życia, które poświęcił, a bodaj zmarnował piękną bądźcobądź wiernością barwom przodków, i uporem, który go ostatecznie pozbawił korony.

Pani de Goutant wzrastała w poufałych i przyjaznych stosunkach z domem książąt orleańskich, z którymi skrajny legitymizm jej miał ją niebawem poróżnić. Nie doczekawszy wypadków lipcowych, wcześnie się rozczarowała, gdy na balu w Palais-Royal usłyszała zastosowaną do kadryla groźną rewolucyjną nutę: *Ça ira*, i w tualetach dam dostrzegła trójkolorowe barwy. Nietajone i okazywane publicznie oburzenie, byłoby zawiodło matkę i córkę w poczet podejrzanych a wraz i skazanych, zaczem nie było innej rady, jak emigrować za drugimi. Straszne są wspomnienia ich tułaczki po krajach niemieckich, błąkanie się od miasta do miasta, wyrzucano bowiem zewsząd nieproszonych gości, a na niejednej bramie błyskał złowrogi napis, zabraniający wstępu i pobytu... Żydom i emigrantom. Przytem środki się wyczerpywały, a pani de Goutant, jak tyle innych, musiała się uciec do własnej zręczności i talentów, aby sobie chleb powszedni zabezpieczyć. Malowała tedy na kości słoniowej, różne wykończała robótki, które nabierały ceny mody i kaprysu, i opłacały jakotako życie rodziny. Dopiero przeniósłszy swe wędrowne namioty do Anglii, poprawiło się materyalne położenie wygnanek, które, podobnie jak wszyscy emigranci rewolucyi, odchwalić się nie mogą gościnności angielskiej i serdecznego współczucia chłodnych napozór wyspiarzy.

Zrazu emigranci lekko znosili swe losy, w przekonaniu, iż bardzo niedługo potrwa zamieszka rewolucyjna i że wrócą niebawem do Francyi. „Do widzenia w Paryżu!“ było ogólnem hasłem. Bieda miała ich przekonać o utrwaleniu się wygnańczej niedoli. A choć nie tracili przygodnej i przyrodzonej swobody, trudne życia warunki kształciły i hartowały potomków XVIII. wieku. Heroiczne pod nożem gilotyny, kobiety tej epoki umiały być też heroicznemi wśród udręczeń życia i niedoli wygnańczej. Gdy wypadło za interesami rodzinnymi wyjechać do bynajmniej jeszcze nie uciszonego Paryża, pani de Goutant pierwsza się ofiarowała na tę niebezpieczną wycieczkę. Zaraz na wstępie zbudziła baczność niechętnych, wietrzących w niej „arystokratkę“. Nawinął się

wtedy sławny Fulton, wynalazca parowej lokomocyi, który ofiarował wygnance pozorne śluby, osłaniające jej nazwisko i osobę mniemanym związkiem z cudzoziemcem. W każdej epoce ucisku, jednakie znaleść można szczegóły i fakta. Wszakże za dni Bismarkowskich wydalań z Poznańskiego, podobnych spróbowano forteli i środków okrążenia nielitościwego prawa, zawierając wobec niego rzekome śluby, mające na celu ubezpieczenie poddaństwa i pobytu. Co za wątek oryginalny do romansu i nieprzewidzianych komplikacyj! Pani Goutant nie potrzebowała atoli korzystać z ofiary Fultona, bo wnet lepsze dla Francyi zaświtały czasy, choć dla nieprzejednanych legitymistów cesarstwo nie przyniosło zaspokojenia, i dopiero za powrotem Burbonów ożywiają się znów wspomnienia autorki niniejszych pamiętników; z lubością opisuje ona powrót prawowitego króla, zapał stolicy, oraz dworskie współzawodnictwa, gdy przyszło do rozdawnictwa urzędów i dostojeństw.

Ludzkość nie zyskuje na uprawianiu pamiętnikowej niwy; w potocznych opowiadaniach i zwierzeniach występują jaskrawiej małostki i nikczemności, niknące w wirze codziennych wypadków. Zaczem i kwasy pierwszej emigracyi i intrygi drugiej snują się pod piórem sędziwej babuni, która z westchnieniem trafną dla wnuków robi i zostawia uwagę: *même malheur ne fait pas harmonie* — równobrzmienną ze znanym wierszem Słowackiego o tym smutku, co „zamiast nas połączyć, zaczął nam w serca jakieś jady sączyć".

Boleśnie brzmią końcowe rozdziały, opisujące nowe królewskiej rodziny doświadczenia, nowe rewolucyjne rozruchy, wywodzące ofiary pierwszego przełomu na powtórne wygnanie. Córka Ludwika XVI., która zemdlała wracając do Tuileryi i wchodząc na pokoje rodziców, przesuwa się jako cień smutny i cierpliwy przez te karty pamiątek. Pełne mając zawsze oczy łez niewypłakanych, niechętnie je lała i chyba w najpoufniejszej rozmowie wracała ku przebolałym mękom swej przeszłości. Nuży czasem egzaltacya legitymizmu pani de Goutant, trudno jednak zaprzeczyć, iż we wspaniałomyślnem przebaczaniu uraz prawdziwie królewskie przymioty uwydatniały się u potomków św. Ludwika. A dla tych co pamiętali dni terroru, jak groźne przeczucia i obawy musiały się budzić wśród nowych rozruchów! Pani de Goutant, z wielką prostotą opisująca wyjazd rodziny królewskiej po dniach lipcowych, przyznaje się, iż raz samże widok kosiarzy ją przeraził, choć to był czas żniw — tak na każdym kroku przypuszczała, iż się gromadzi motłoch rewolucyjny. Jakież np. uczucie grozy napełniło jej serce, gdy podczas przeprawy do Anglii, jeden z marynarzy zapewnił ją, iż sta-

rek wprost ku Św. Helenie żegluje! Nie wiedziała, iż na wyspie Wight znajduje się miejscowość tak nazwana, i zdawało jej się, że rozbitków królewskich Anglia podobnież wyrzuci na odludną skałę, gdzie niedawno Napoleon życie był zakończył.

Można z powyższych przytoczeń nabrać pojęcia o treści niniejszego pamiętnika. Czyta się on z prawdziwem zajęciem, a należy do rzędu tych rzadkich i trudnych do dobrania ksiąg, które mogą odpowiedzieć wymaganiom wspólnego, rodzinnego czytania. Nie pożałuje trudu, kto te kartki przewertuje; znajdzie on w nich wymowny swą prostotą obraz niestałości stosunków, która od wieku zaciążyła nad Francyą i nad każdym z kolei jej władcą, czy zwał się Burbonem, Bonapartem, czy Orleanem.

M.

Die Sentenzen Rolands, nachmals Papstes Alexander III. Zum ersten Male herausgegeben von *P. Fr. Ambrosius M. Gietl O. Pr.* (LXXII. 382 S.). Freiburg im Breisgau. Herder'sche Verlagshandlung. 1891.

Nigdy może tyle, co w ostatnich kilku latach, nie wydano cennych teologicznych traktatów, pochodzących zwłaszcza z średnich wieków, a rzucających niemałe nieraz światło na rozwój i historyę umiejętności wogóle, a w szczególności nauk teologicznych. Obok ogłoszonej niedawno temu przez Stoelzle'a rozprawy Abelarda: *De unitate et trinitate divina*, obok „Sentencyj“ magistra Omnebene, zasługują na pierwszem miejscu na uwagę wydane obecnie, za poradą i zachętą słynnego O. Denifle, przez jednego z jego uczniów „Sentencye“ Rolanda, późniejszego papieża Aleksandra III. W obszernej przedmowie wydawca udowadnia, że „Sentencye“ pochodzą istotnie zpod pióra Rolanda; zastanawia się nad stosunkiem, w jakim autor nasz pozostawał do pism i metody Omnebene, Abelarda, Hugona od św. Wiktora. Porównywając pisma Rolanda z późniejszemi pracami Bonawentury, Alberta W., Tomasza z Akwinu, ocenić dopiero możemy, jak między XII. a XIII. wiekiem teologia wspaniale i wszechstronnie się rozwinęła. Roland cytuje jeszcze Ojców Kościoła z niezawsze krytycznych rękopisów; z uchwałami soborów i synodów niedostatecznie jest obznajomiony; na dyalektycznem i filozoficznem polu obraca się nieumiejętnie: — u bezpośrednich wielkich jego następców braków tych i usterek ani śladu. Samo wydanie nadzwyczaj jest staranne i zjednało sobie jednomyślne pochwały fachowych sprawozdawców.

Les monarchistes sous la troisième République. Par *Louis Teste.* Paris 1891. (P. 252).

Ludwik Teste, znany dziennikarz paryski, zwykł co lat parę puszczać w świat obszerniejszą i gruntowniejszą polityczną broszurę, w której wszechstronniej i z większą swobodą omówić może pewną jakąś, najbardziej na czasie będącą, powszechne zainteresowanie budzącą kwestyę. Broszury te: „Notatki o Rzymie i Włochach", „Wstęp do konklawe", „Rzeczpospolita a sądownictwo", „Leon XIII. i Watykan", „Aleksander III. i Rosya", zjednały autorowi rozgłos i imię, którego same dziennikarskie, choć najświetniej pisane artykuły, nigdyby mu dać nie mogły; ostatnia z ich rzędu: „Monarchiści pod trzecią rzeczą-pospolitą", rozgłos ten w dwójnasób zwiększyła. Któż dziś we Francyi, i nie w samej tylko Francyi, nie pyta, nie zastanawia się i rozwiązać nie próbuje pytania: Jakie stanowisko powinni monarchiści zająć względem trzeciej rzeczypospolitej; czy dotychczas zajmowane było roztropne, czy do pozytywnego jakiego celu prowadziło? Ostatnia encyklika papieska stanowczo bodaj pytanie to rozcięła; ale dawno już przed ukazaniem się jej, bezstronnie, zdrowem okiem patrzący, a nie przez szkła, mniejsza o to jaką farbą zabarwione, wiedzieli dla siebie, jeśli nie zawsze dla innych, co sądzić, czego się trzymać. Tylko inna rzecz jeszcze coś czuć i wiedzieć — inna ze zdaniem swem, choć przeciw prądowi, otwarcie wystąpić. P. Teste występuje bardzo otwarcie, a wywody jego uderzają nieraz — powtarzamy z naciskiem „nieraz", a więc wcale nie zawsze — tak oczywistą prawdą, że nie wiem, czy co i najuporniejszy francuski legitymista mógłby na nie odpowiedzieć.

Od dwudziestu przeszło lat, — oto główne założenie utalentowanego autora — różne monarchiczne stronnictwa zrzucają na siebie wzajemnie winę za swe niepowodzenia; a w zaufanem kółku nie szczędzą gorzkich słów i dla popieranych książąt, to nie dość, to za odważnych; to za rozrzutnych, to za skąpych; to zawiele, to zamało zajmujących się sprawami publicznemi. Bonapartyści rzucają gromy na Orleanistów, Orleaniści odrzucają je skrajnym, eks-Chambordowskim legitymistom — i tak dalej, tak ciągle, tak w kółko. Tymczasem nieuzasadnione to żale i niechęci. Ani pretendenci — utrzymuje śmiało L. Teste — ani ich stronnicy, nie są w gruncie winni; choćby nawet na jedno wszyscy się zgodzili, jeszcze nie potrafiliby doprowadzić do monarchicznej restauracyi. Przebieg historyi francuskiej w ostatniem stuleciu nie pozostawia w tym względzie wątpliwości. Porównajmy ze sobą monarchię w 1804, 1814,

1830, 1852 r., a uderzyć nas musi, jak władza królewska coraz bardziej ścieśnia się, maleje; władza ludu płynie coraz szerszą, silniejszą falą, tak wreszcie silną i szeroką, że musiała w pewnem stadyum swego biegu, zawadzający sobie tron na bok odsunąć. Wszystkie późniejsze zakusy o obalenie rzeczypospolitej, zgóry skazane były na bezpłodność; być może, że gdyby hr. Chambord w pewnej chwili więcej okazał męskiej energii, zasiadłby był na chwilę na tronie przodków; inne pytanie, czy do śmierci zdołałby się był na nim utrzymać?

W ostatnim rozdziale ciekawej swej broszury, której przewodnie idee tutaj nakreśliliśmy, uważał autor za patryotyczny swój obowiązek wyśpiewać hymn na cześć Kronsztadu; poświęcić kilka entuzyastycznych frazesów rosyjskiemu władcy i rosyjskiej przyjaźni. „Ochrzczona przez Papieża, — woła z zapałem — przez cara uznana rzeczpospolita, może spokojnie patrzeć w przyszłość“... Papież chciałby rzeczpospolitę ochrzcić, to pewna, ale i to pewna, że sama dobra wola papieża tutaj nie może wystarczyć; wątpliwości nie ulega, że Francya znów ze swej strony chciałaby wejść z Rosyą w najściślejsze przymierze, ale i tutaj znowu sama najlepsza wola Francuskiej rzeczypospolitej wystarczyć nie może... Gdyby przesłanki, przez p. Teste postawione, były prawdziwe, wyprowadzony z nich wniosek, płynąłby naturalnie, niezaprzeczalnie; nieszczęściem dla Francyi, obie silnie na jednę przynajmniej nogę chromają. *M.*

Compendium Theologiae moralis. Auctore *Augustino Lehmkuhl Societatis Jesu sacerdote.* Editio III. ab auctore recognita. Friburgi Brisgoviae 1891. Sumptibus Herder. (In 8^0, pag. XXIV, 605).

Trzy wydania w ciągu lat pięciu takiego dzieła, jak *Compendium* teologii moralnej, dosyć zdaje się mówią o jego pożyteczności: tem bardziej, że na brak podręczników tej nauki, wcale nie można się było skarżyć. Sama więc tylko wartość wewnętrzna i praktyczna musiała wpłynąć na tak szybki pokup tej książki.

Wartość zaś tę widać przedewszystkiem w zupełnem opanowaniu przedmiotu przez autora. Wie on, gdzie, co i jak powiedzieć; ani zamało, ani zawiele; jest pewny siebie, trafia odrazu w istotę kwestyi, o której mówi. Nadto — co także wypływa z owładnięcia przedmiotu — jest systematyczny, tj. ani nie okazuje w rozkładzie rzeczy pedantyzmu, ani też dowolności.

To też zgadzamy się zupełnie z tem, co szan. autor powiedział w przedmowie do pierwszego wydania, że to *Compendium* może służyć

tak uczącym się teologii moralnej, jak i nie chcącym jej zapomnieć. Dla pierwszych, co prawda, język i styl może stanowić niejaką trudność, ale trudności tej profesor łatwo zaradzi.

Jednem słowem, jestto w całem znaczeniu cenne dzieło, i jako takie, wszelkiego zalecenia godne.

Ks. H. P.

Z pism czasowych.

Czasopismo serbskie: **Bosanska Vila** (Босанска Вила), list za zabavu, pouku i književnost, godina VI, u Sarajevu 1891. Wlasnik i urednik *Nikola Kašiković*.

Zagonem, co się dopiero zielenić zaczyna na pięknej i bujnej niwie literatury serbskiej, jest piśmiennictwo w Bośni i Hercegowinie. Ubogie ono jeszcze i zaledwie wyłaniające się z powicia, ale świeże, młodzieńcze, opromienione głęboką miłością wszystkiego, co swojskie, a przez to sympatyczne. Dopiero w bieżącem stuleciu, dzięki pewnym zmianom wewnętrznych i zewnętrznych stosunków, prąd umysłowy zaczął się przedzierać do tego kraju; przedtem zaś panowała tam w tej mierze głęboka cisza i pustka. Dziwić się temu niepodobna, gdy się rzuci okiem na krwawe dzieje tej krainy, które rozwojowi literatury i rozpowszechnieniu się oświaty bynajmniej nie sprzyjały.

W pierwszych wiekach ery naszej Bośnia i Hercegowina dzieliły losy Dalmacyi, a nawet wchodziły w skład tej prowincyi, jako jednej z posiadłości Rzymskiego cesarstwa. Za czasów Justyniana znaczna ilość mieszkańców tego kraju przyjęła wiarę chrześcijańską. W IV. w. po Chrystusie wtargnęli Goci, w roku zaś 610 Chorwaci, a wreszcie Serbowie, nawróceni w r. 880 przez apostołów Słowiańszczyzny, Metodego i Cyryla. W pierwszej połowie X. wieku Bośnią i Hercegowiną, jako posiadłością lenną królów Serbskich i Chorwackich, rządzili banowie, wybierani przez miejscową ludność. Pierwszym takim banem był Zelemir, dziewiąty zaś z nich, imieniem Borys, uznał nad sobą zwierzchność królów Węgierskich. W r. 1349 Bośnia dostała się Stefanowi, królowi Serbskiemu, a po zgonie jego cieszyła się przez czas niejaki samoistną egzystencyą. Ban bośniacki Twerdko II. ogłosił się w r. 1374 królem Bośni i Hercegowiny, pod imieniem Stefana Twerdka I.

W połowie XV. wieku Hercegowina przeszła pod władzę cesarzy Niemieckich i przybrała nazwę księstwa Świętego Sawy. Wkrótce potem Turcy zaczęli coraz dalej zapuszczać swe zagony, i po wielu krwawych utarczkach sułtan Mahomed II. zdobył w r. 1463 Bośnię, a w parę lat później Hercegowinę. Obie te krainy zostały wcielone do państwa Osmanlisów w r. 1520 i w przeciągu kilku wieków ulegały władzy Tureckich bejów. Podczas wojen, toczonych pomiędzy Austryą a Turcyą w XVII. i XVIII. wieku, Bośnia i Hercegowina stawały się niejednokrotnie polem krwawych bitew. Nie dziw, że wśród takich okoliczności dziedzina umysłowej i literackiej pracy musiała leżeć odłogiem, muzy bowiem niechętnie przebywają tam, gdzie się rozlega złowrogi szczęk oręża. Z drugiej strony jarzmo muzułmańskie ciężyło niezmiernie na barkach bośniackiej ludności, rwącej się do swobody jak ptaki do słońca. Dopiero w latach 1860—1868 Bośniacy i Hercegowińcy pod łagodnymi rządami Osmana-baszy wolniejszą odetchnęli piersią. Porta przeczuwając, iż niektóre słowiańskie ziemie wymkną się niebawem zpod jej berła, i ulegając przewadze mocarstw europejskich, starała się zjednać przychylność podwładnych sobie Słowian zapomocą rozmaitych ustępstw. Bośnia z Hercegowiną nie stanowiły również w tej mierze wyjątku. Na podstawie sułtańskiego *irade* z d. 18 października 1875 r. wielkorządca bośniacki Serwer-basza wydał w roku następnym *tanzymat*, w którym zapewnił mieszkańcom Bośni i Hercegowiny zupełną wolność wyznania, oraz równouprawnienie ojczystego ich języka. Wreszcie na mocy 25-go artykułu traktatu Berlińskiego z r. 1878 obie te krainy zostały oderwane od Turcyi i oddane pod opiekę monarchii Habsburskiej.

Piśmiennictwo więc w Bośni i Hercegowinie, to młody dorobkowicz, żadnej za sobą nie mający tradycyi. Ponieważ zaś wieki ubiegłe nie przekazały mu literackiej spuścizny na rodzimym, bośniackim powstałej gruncie, dlatego też z podwojoną gorliwością pracuje on nad tem, aby zapełnić jak najrychlej próżnię, jaką minione pozostawiły stulecia, i pod względem umysłowego dorobku dorównać starszej swej braci. Dzięki tym usiłowaniom, ruch księgarski w Bośni i Hercegowinie jest stosunkowo dość ożywiony we wszystkich kierunkach, coraz to nowe dłonie dokładają okruchy swej pracy do skarbnicy narodowej wiedzy i piśmiennictwa; pierwszem zaś polem, na którem młodzi literaci zwykle występują w szranki — to łamy miejscowych czasopism.

Najpopularniejszą zpomiędzy tych ostatnich jest *Bosanska Vila*, wymieniona w tytule niniejszego sprawozdania. Wychodzi ona od lat

sześciu w Sarajewie pod sprężystym i starannym kierunkiem p. Kaszikowicza, miejscowego nauczyciela. Jestto jeden z tych dzielnych ludzi, spotykanych coraz częściej wśród południowych Słowian, którzy rozporządzając nader szczupłymi środkami i walcząc z trudnościami rozmaitego rodzaju, pracują z wielką korzyścią dla swego społeczeństwa. Pisemko przezeń wydawane, przeznaczonem jest widocznie dla jak najszerszych kół czytelników, balast więc naukowy jest stosunkowo lekkim, i nie obciążając powiewnej *Vili*, pozwala jej kroczyć swobodnie na beletrystycznej niwie, lub ulatać w krainę poezyi, czerpiącej przeważnie swe natchnienie z narodowych podań i tradycyj.

Przewodnią myśl tego czasopisma wyraża dokładnie sam jego tytuł. Wila, to w przekonaniu południowych Słowian urocza rusałka, jedna z trzech cór naszego praojca Adama, obdarzonych przywilejem nieśmiertelności. Tradycya słowiańska głosi, że gdy Adam zapytany pewnego razu przez Stwórcę o ilość swych dzieci, wyliczył wszystkich synów, trzy zaś najmłodsze córki pominął milczeniem, Pan Bóg ukarał go za to kłamstwo, zamieniając trzy zapomniane dziewczęta w Wile. Nadpowietrzne te istoty za stałe miejsce swego pobytu obrały samotne ustronia na ziemiach słowiańskich i otaczają troskliwą opieką wszystkich Słowian walczących za niepodległość. Nieraz też Wila nad brzegiem jakiego strumienia śpiewa patryotyczne pieśni słowiańskie lub płacze nad niedolą pojedyńczych słowiańskich plemion. Pismo więc, które na swem czole umieściło Wilę, postawiło sobie za zadanie zbierać skrzętnie każdą nową nić z przędzy narodowej myśli, każdy nowy kwiatek narodowego uczucia. Obok tego dąży ono otwarcie do moralnego zjednoczenia wszystkich Serbów (obejmując tą nazwą i Chorwatów), bez względu na różnicę wyznania i przekonań. Zapoznajmy się nieco z treścią tego wydawnictwa.

Naczelne miejsce wśród artykułów, zawartych w *Bosanskiej Vili*, należy przyznać pracy pod tytułem: *Iz istorije srbske književnosti* (Z historyi serbskiego piśmiennictwa). Ostatni rocznik tego czasopisma obejmuje tylko część pierwszą całej pracy, która na wielkie zakrawa rozmiary. Znajdujemy tam najprzód *quasi* dysertacyę z dziedziny filologii. Autor, wykazawszy doniosłość najpiękniejszego daru bożego, jakim jest mowa, kreśli w sposób zajmujący i popularny podział języków na odrębne trzy grupy; następnie podnosi zalety ojczystej, serbskiej mowy, a przedewszystkiem jej miękkość i dźwięczność, czyniące ją tak podatną do ulania się w poetyczne formy; wreszcie wykazuje różnice pomiędzy językami serbskim i chorwackim. Po dość wyczerpujących

językoznawczych refleksyach, które służą jakby za przedmowę do właściwych szkiców z literatury, spotykamy wcale ładny ustęp o pieśniach. Autor słusznie twierdzi, że rozwój pieśni, w najszerszem tego słowa znaczeniu, postępował jednocześnie z rozwojem mowy. Pierwszemi pieśniami, jakie ludzkość sobie utworzyła, były hymny śpiewane przez rozmaite ludy na cześć wszechpotężnej, Najwyższej Istoty. Pieśni religijne starożytnych Słowian dzieliły się, podług autora, na hymny służące do prywatnego, że tak powiemy, użytku i wykonywane przez kapłanów, w celu zadowolenia własnych uczuć pobożności, oraz na pieśni obrzędowe, które towarzyszyły rozmaitym ceremoniom danego kultu. Następnie autor poświęca obszerną wzmiankę pieśniom bohaterskim *(junaške* albo *hajdučke pjesme)*, stanowiącym prawdziwą chlubę południowej Słowiańszczyzny. U Serbów wszystkie dawne pieśni zaginęły, ale natomiast po bitwie na Kosowem Polu, literatura ludowa wzbogaciła się mnóstwem nowych śpiewów, osnutych na faktach historycznych, a które przyczyniły się niezmiernie do utrzymania w narodzie serbskim patryotycznych uczuć. Dzięki też temu straszna porażka kosowska, będąca dla Serbii hasłem upadku, stała się jednocześnie hasłem odrodzenia. Piękną jest uwaga autora, że pieśni, opiewającej poległych bohaterów, zawdzięcza naród serbski swoją żywotność, której nawet długa niewola turecka przytłumić i osłabić nie zdołała. Jej także przypisuje prawdziwie patryotyczny kierunek, jaki sobie obrało wielu Dubrownickich poetów. Dubrownik słowiański, — twierdzi — ulegając wpływowi Genui, Florencyi, Padwy i Wenecyi, zatraciłby może narodowe poczucie, gdyby pieśni serbskie, to nieprzerwane echo bitwy Kosowskiej, nie wróciły go Słowiańszczyźnie.

Ulubionymi bohaterami, opiewanymi zarówno w Serbii, Bośni i Hercegowinie, jak w Czarnogórze, Dalmacyi i Chorwacyi, jest król Lazarz i syn jego Marek. Ten ostatni szczególniej jest postacią typową, ze wszystkiemi zaletami i wadami Serbów, do najwyższego posuniętemi stopnia. Pieśni i podania, zaczerpnięte z awanturniczego jego życia, to najdobitniejszy wyraz serbskich pojęć i dążności z czasów muzułmańskiej przemocy. Z jednej strony służy on Turkom, z drugiej zaś nie pomija najmniejszej sposobności wypłatania im złośliwej jakiej psoty. Jestto doskonały obraz stosunku narodu serbskiego względem muzułmańskich najeźdźców. Od XV. w. Serbowie nie mogli myśleć o ogólnem narodowem powstaniu, rzec jednak można, że w przeciągu czterech stuleci nie upłynął ani jeden rok, któryby się nie zaznaczył jakimkolwiek rozruchem wśród ludności serbskiej, na większą lub mniejszą

przedsięwziętym skalę. To właśnie dwuznaczne położenie, zmuszające do posłuszeństwa względem Turków i wywołujące zarazem nieprzejednaną ku nim nienawiść, wzbogaciło literaturę serbską tak bogatym cyklem pieśni o królewiczu Marku. Należy dodać, że każda z tych pieśni stanowi sama w sobie doskonale zaokrągloną całość i wyróżnia się zasadniczo swą treścią od innych towarzyszek. Jedyną zaś pomiędzy niemi spójnią, to ciągle przypominanie narodowi serbskiemu minionej wielkości i późniejszego upadku. Myśl ta, jak głosi autor, przechodzi jak talizman z pokolenia na pokolenie i przyświeca Serbom jak gwiazda, w przeciągu całych stuleci.

Na tem musimy przerwać nasze sprawozdanie z tej ze wszech miar godnej uznania pracy, której ciąg dalszy w bieżącym dopiero roku poznać będziemy mogli. Z ustępów dotychczas ogłoszonych widać, że autor posiada gruntowną znajomość obranego przez siebie przedmiotu i z zamiłowaniem go traktuje.

Bardzo licznymi w *Bosanskiej Vili* są opisy rozmaitych miejscowości w Bośni i Hercegowinie, wsi, miasteczek, starożytnych grobów i t. p. Nie są one jednak skreślone w taki sposób, aby obcych czytelników zainteresować mogły. Daleko ciekawszym jest dział etnograficzny, zawierający opisy obyczajów i zwyczajów bośniackiej ludności. Malują one Bośniaków z dość korzystnej dla nich strony, jako ludzi poczciwych, serdecznych, gościnnych, chociaż niestety za mało oświeconych. Najlepszym z tych artykułów jest *Paštrovska svadba* (Wesele pasztrowskie). Pan Mikowicz przesuwa w nim przed oczyma czytelnika wszystkie ceremonie, towarzyszące kojarzeniu się młodej pary, począwszy od swatowstwa. Zaznaczymy z nich te tylko, które nie są przyjęte przez inne słowiańskie ludy, oraz tchną pewną patryarchalną prostotą. Skoro swat pomyślną otrzyma odpowiedź, wówczas do domu rodziców przyszłej narzeczonej udaje się ojciec młodziana, wręcza jej pierścień zaręczynowy, prosząc, aby go przyjęła: *od volje, bez nevolje; od mile, bez sile!* Potem całuje ją w czoło, przyjmując w taki sposób uroczyście za swoją córkę. Jeżeli narzeczony utracił poprzednio ojca, to miejsce tego ostatniego zastępuje najbliższy krewny, który w tym wypadku nosi tytuł *prstenoša*. W kilka dni po zaręczynach czyli *vjeridbie*, odbywa się *uglava*, to jest oznaczenie dnia ślubu. W tym celu do rodziców narzeczonej przybywa liczny orszak krewnych narzeczonego z *uglavdžiją* na czele, który w tej ceremonii główną odgrywa rolę. Dziewczę otrzymuje od przyszłej swej rodziny rozmaite mniej lub więcej kosztowne dary, od *uglavdžii* zaś pas lub sznur jedwabny, z życzeniem,

aby jak jedwab jest mocnym i miękkim, tak ona była wytrwałą i łagodną. Po wręczeniu darów następuje uczta, przy której oznacza się dzień ślubu, uroczystość zaś kończy się odśpiewaniem przy dźwięku gęśli ulubionej pieśni Serbów o bi'wie kosowskiej, która się zaczyna od słów:

Kupi vojsku s' pski car Lazare,
Od Srbije c'je'e gospodare [1]...

Wreszcie w dzień ślubu, po dopełnieniu religijnego obrzędu, odbywa się uczta, przy której swatowie, pan młody i ojciec panny młodej wznoszą siedm *zdravic* czyli toastów na cześć Pana Boga, Matki Boskiej, wszystkich Świętych, duchowieństwa, gospodarzy, państwa młodych i wszystkich obecnych. Zdrawicom tym, wygłaszanym zwykle w doborowym stylu, towarzyszą śpiewy, zastosowane do okoliczności. Młodzież tymczasem tańczy pod otwartem niebem narodowe tańce serbskie: *kolo* i *oro*. W pierwszym z nich, jak to sama nazwa wskazuje, tancerze ustawiają się dokoła, poruszając się z początku zwolna, potem coraz szybciej, co im nie przeszkadza wcale śpiewać chórem krótkie piosnki zwane *sevdalinki*. Żywy ten łańcuch, stosownie do talentu i zręczności przywódcy, przybiera najrozmaitsze kształty i zakreśla różnorodne figury geometryczne. *Oro* bardzo mało różni się od *kola* i polega na tem, że taniec odbywa się dokoła beczki z winem lub wodą, którą każdy z tancerzy musi trącić nogą, tak jednak, aby nie przerwać ogólnego tanecznego ruchu.

Wogóle Bośniacy objawiają wielkie zamiłowanie do zabaw i rozrywek wszelkiego rodzaju i korzystają ochoczo z najmniejszej ku temu sposobności. W artykuliku: *Srpski narodni obićaji u Zagorju* (Serbskie narodowe zwyczaje w Zagórzu), p. Awakumowicz wprowadza nas pod strzechę bośniackiego wieśniaka w dniu jego imienin. Znajdujemy tam u biesiadnego stołu liczne grono gości, honorowe zaś miejsce zajmuje tak zwany *dolibasz*, wygłaszający w imieniu wszystkich obecnych dziewięć *zdravic* na cześć gospodarza. Oprócz zwykłych dań suto zastawionych, w dniu tym na stole ukazuje się *krsny* kołacz, ozdobiony zielonemi gałązkami, na krzyż ustawionemi, na których wiszą pomarańcze, jabłka lub orzechy. Obchód imienin trwa zwykle przez dni trzy i pierwszy z nich zowie się dniem *krsnym*, dwa zaś inne *zakriljem* i *okriljem*. W tym samym rodzaju, chociaż w poważniejszy sposób,

[1] Zbiera wojska serbski car Łazarz,
Władca całej Serbii...

napisany jest artykuł Sawicza, pod tytułem: *Žalost za mrtvima u različitih naroda* (Żałoba po zmarłych u rozmaitych narodów), opisujący objawy boleści po stracie drogich sobie osób u różnorodnych ludów starożytnych i nowożytnych, dzikich i ucywilizowanych. Szczegóły po większej części znane przeciętnej czytającej publiczności — zaznaczyć tylko należy, że rzecz cała odznacza się prawdziwie chrześcijańskim poglądem na życie pozagrobowe. Nadto znaleźliśmy w *Vili* parę prac, malujących miejscowe zabobony i przesądy, jak np.: *Uroci i zazori* (Uroki i zaklęcia) Iwanowicza, oraz *Nešto o porodu i odgoju djece* (Parę słów o niemowlęctwie i wychowaniu dzieci) Biełokosicza. Mieści się tam niejeden charakterystyczny szczegół, świadczący o grubej powłoce nieświadomości, w jakiej mieszkańcy są dotąd pogrążeni. Szczegóły takie ściągają się przeważnie do Bośniaków grecko-wschodniego obrządku, ponieważ — jak to wiemy z poważnych i bezstronnych źródeł — katolicy, a nawet mahometanie, stanowią tam oświeceńszą klasę społeczeństwa.

Do prac poważniejszej treści zaliczyć jeszcze można: *Nešto iz narodnog pravosudja i života u porodici i zadruzi* (Kilka słów o narodowem prawodawstwie oraz życiu w odosobnieniu lub zadrudze). Jestto mniej więcej toż samo, co bułgarski pisarz, p. Geszow, wypowiedział przed kilkoma laty w *Periodiczeskiem Spisanii* [1]. Ta tylko zachodzi różnica, że gdy ten ostatni zapatruje się na zadrugę bezstronnie, wykazując ujemne i dodatnie jej cechy, współpracownik *Bosanskiej Vili* widzi w niej najdoskonalszą społeczną instytucyę, i ubolewa serdecznie nad coraz częstszem rozprzęganiem się podobnych stowarzyszeń, powtarzając stare przysłowie, że *zadruga med nosi*.

Z życiorysów, oprócz kilku biografij, a raczej nekrologów, dotyczących wybitniejszych osób w bośniackiem społeczeństwie, lecz dla nas zupełnie obojętnych, mieści się jeszcze artykuł pełen gorącego uznania dla znanego badacza języków słowiańskich, Mikloszyca. Pochwały te zdobył sobie Mikloszyc tem, że oznaczając terytorya, w których rozmaite języki są używane, zakreślił nader szeroki teren dla języka serbskiego, na niekorzyść chorwackiego. Podaje to też *Bosanskiej Vili* sposobność do ostrej polemiki ze znanym nam już chorwackim *Vienceм* [2], który w tej mierze zupełnie odrębne wyraził przekonanie.

[1] Por. szczegóły o *zadrugach* czyli stowarzyszeniach ludowych u południowych Słowian. w *Przeglądzie Powszechnym* z maja 1891, str. 274.

[2] Por. *Przegląd Powszechny* z października 1891, str. 119.

W jesieni roku ubiegłego Bośnia, a szczególnie Sarajewo, obchodziło nader uroczyście stuletnią rocznicę urodzin najznakomitszego swego poety, Szymona Milutinowicza. Naturalnie, że narodowy ten obchód znalazł doniosłe echo w patryotycznej *Vili*, redaktor zaś tego czasopisma poświęcił jeden jego numer Czubro-Czajkowiczowi, pod tym bowiem pseudonimem Milutinowicz wydawał najczęściej swoje utwory. Z przyjemnością czyta się niewielki, lecz wcale ładny epizod z życia poety, opowiedziany przez p. Nenadowicza pod tytułem: *Simo Milutinović na Cetinje.* Najpiękniejszym okresem z życia tego pieśniarza był jego pobyt w Czarnogórskiej stolicy, gdzie mu powierzono wykształcenie jednego z synów księcia. Tym wychowańcem Milutinowicza był książę Piotr Negusz, który następnie zasłynął także w gronie epików serbskich. Czytając pracę p. Nenadowicza, zdaje się nam, że widzimy przed sobą dzielnych mieszkańców Czarnej Góry, namiętnych, ognistych i odważnych aż do szaleństwa. Charakter Milutinowicza harmonizował najzupełniej z usposobieniem nowego otoczenia, najserdeczniejszy zaś stosunek łączył go z młodym wychowańcem, którego poetycki talent pod światłym jego kierunkiem rozwinął się i udoskonalił. Jeżeli też Bośnia winna Milutinowiczowi, że pierwszy umiejętną dłonią uderzył w gęśl narodową i harmonijne wydobył z niej dźwięki, to Czarnogórze zawdzięcza mu niezaprzeczenie najwybitniejszego swego pieśniarza. Szkoda, że obaj ci poeci znani są niemal wyłącznie w obrębie własnej tylko ojczyzny i nawet wśród pobratymców swych, Słowian, nie znaleźli dotąd należnego uznania. Gdyby *Srbljanka,* najcelniejszy utwór Milutinowicza, ukazała się nie w języku serbskim, ale naprzykład we francuskim, to możeby jej przyklasnęła cała oświecona Europa. W danych warunkach jest ona podobna do dyamentu, przechowywanego pod ubogą wieśniaczą strzechą.

Listak, czyli kronika *Vili,* porusza przeważnie kwestye literackie, a nawet omawia treściwie całe działy poezyi lub prozy, wyliczając wybitniejszych pisarzy z rozmaitych narodowości, którzy się w tej gałęzi odznaczyli. Brakuje w tem jednak porządku i systematyczności i wygląda raczej na luźne notatki kreślone dla samego siebie, niż na porządny artykuł. Bardzo natomiast ciekawe są wiadomości bibliograficzne, umieszczane w każdym prawie numerze, a dające dokładne pojęcie o literackiej działalności w całej południowej Słowiańszczyźnie.

Najokazalej w *Bosanskiej Vili* reprezentowane są tak zwane *Srpske narodne umotvorine,* to jest baśnie, podania i pieśni ludowe. Szczególniej wśród tych ostatnich natrafić można niekiedy na prawdziwe klej-

nociki poezyi. Również pięknemi są niektóre podania, któremi ludność bośniacka ubarwia każdą niemal ruinę z zamierzchłej przeszłości, a nawet każdą skałę, rzekę lub strumyk. Posłuchajmy jednego z nich o starej cerkwi Petruszy *(Crkva Petruša)*.

Dawno już temu, nad brzegiem rzeki Białej, pobożny car Lazar zbudował cerkiew i monaster, syn zaś jego, idąc za tym przykładem, uczynił toż samo na przeciwległym brzegu. Jedna z tych cerkwi nazywała się Rawanicką, druga Petruszańską. Wkrótce pomiędzy ojcem a synem wywiązał się spór o grunta, jakie miały należeć do każdego z klasztorów, obaj bowiem założyciele pragnęli jak najhojniej uposażyć swe cerkwie. Rozgniewany car Lazar, rzucił przekleństwo na cerkiew Petruszańską, zbudowaną przez syna, i zawołał, iż pragnie, aby dostała się kiedyś w ręce Turków. Wprawdzie żałował później swego uniesienia, lecz był to żal niewczesny, i jeszcze za życia nieszczęśliwego Lazara klątwa jego spełniać się zaczęła, cała bowiem Serbia po bitwie na Kosowem Polu uległa tureckiej przemocy. Wkrótce też i cerkiew w Petruszy miała paść ofiarą muzułmańskiego fanatyzmu. Pewnego dnia, w jakąś uroczystość, zebrał się do niej liczny tłum ludu, i po odbytem nabożeństwie, stosownie do miejscowego zwyczaju, rozłożył się obozem wpobliżu monasteru. Starzy popijali wino i zabawiali się rozmową, młodzież pląsała wesoło. W gronie młodzieńczem zwracała ogólną uwagę para narzeczonych, Maryca i Marko, którzy niebawem mieli się połączyć węzłem małżeńskim. Nagle wśród radosnej wrzawy rozległo się posępne krakanie kruka, trzymającego kawał zielonej, jedwabnej materyi. „To szmatek od chorągwi tureckiej! — zawołała jedna z kobiet — uciekajmy, bo wróg się zbliża!“ Nikt jednak nie myślał usłuchać tej rady, biorąc ją za wynik jakiegoś urojenia. Po chwili, ponad głowami ujrzano drugiego ptaka, który trzymał w dzióbie kawał tureckiego buńczuka, niebawem zaś nadleciał trzeci kruk, ze skrwawionemi skrzydłami. Wówczas biesiadnicy uwierzyli w grożące niebezpieczeństwo, nie czas już jednak było myśleć o ratunku, bo w tejże samej chwili nadjechali Turcy i zaczęli mordować mężczyzn, kobiety zaś i dzieci uprowadzać w niewolę. Marko poległ także, Maryca zaś porwała jego zwłoki i rzuciła się z niemi w nurty rzeki Białej, aby na dnie jej znaleść ratunek od hańby i niewoli. Tegoż samego dnia cerkiew i monaster Petruszański zamieniły się w kupę gruzów. Odtąd dawna rzeka Biała czyli Bielica *(Belica)* otrzymała nazwę Czarnej *(Crnica)*, z powodu krwi chrześcijańskiej, przelanej nad jej brzegami; ogromny

zaś głaz, sterczący w miejscu, zkąd Maryca skoczyła w przepaść, nazwano Kamieniem dziewiczym *(Devojački kamen)*.

Pozostaje nam jeszcze powiedzieć słów parę o utworach z tak zwanej literatury pięknej, drukowanych przez *Bosanską Vilę*. Co do beletrystyki, to nie może ona poszczycić się niczem wybitniejszem, chociaż zawiera kilka powiastek mile dających się czytać, a humoreski d-ra Kazbułbuca kryją nawet w ironicznym uśmiechu wiele głębszych myśli. Daleko wyżej stoją jednak utwory poetyczne, a przedewszystkiem prześliczny, choć kirem żałoby przysłoniony, obrazek z życia dalmackich żeglarzy. Nosi on tytuł: *Kapetan Žarko*, bohaterem zaś jego jest młody marynarz, który ginie na płonącym okręcie wówczas właśnie, gdy się już zbliżał do ojczystych brzegów, gdzie go oczekuje ukochana żona i dziecię. Autorem tego wiersza jest p. Krsticz Lubisaw, jeden z najbardziej utalentowanych bośniackich poetów. Bardzo ładnym także jest wiersz ułożony przez pannę Milicę Srpskinię, na rocznicę bitwy Kosowskiej, pod tytułem: *Na Vidov dan*. Wreszcie, zpomiędzy wielu udatnych utworów Salich Kazazowicza, Gawriłowicza Duczicza, Szanticza, Nikolicza, Riza-beg Kapetanowicza i Lubinka, zasługuje na wzmiankę śliczny wiersz: *Prezren* (Wzgardzony) tego ostatniego. Wzgardzonym tym jest poeta, który za życia doznawał tylko ironii i dopiero po zgonie został należycie ocenionym. Temat to znany i nieco oklepany, lecz w nową a wcale zgrabną przyodziany szatę, w której mu bardzo do twarzy.

Sądzimy, iż czytelnicy nie wezmą nam za złe, że ocenę tego czasopisma zamkniemy wierszykiem Lubinka p. t. *Volim*, odzwierciedlającym główną ideę, która *Bosanskiej Vili* przyświeca:

Volim sunce, nebo, zvezde,
Volim decu — ljubu vernu,
Volim onu svetlu dugu
I promis' o neizmernu...

Volim svirku, igru, pjesme.
Volim Župsko crno vino [1],
Al' nad svega — tebe volim,
Moja ljepa domovino!... [2]

Tytus Sopodźko.

[1] Župa, miejscowość w Bośni, wydająca najlepsze winogrona.

[2] Kocham słońce, niebo, gwiazdy,
Uśmiech dziecka, uścisk żony,
I świetlaną wstęgę tęczy,
I świat myśli niezmierzony...

Kocham śpiew, muzykę, taniec,
I Żupański nektar winny.
Lecz nad wszystko kocham ciebie,
Piękny kraju mój rodzinny!...

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Encyklika papieska do francuskich katolików. — Wrażenie we Francyi. Oświadczenia ministeryum Loubeta. —Węgierskie wybory. —Walka o szkołę w amerykańskich Stanach Zjednoczonych.

ENCYKLIKA DO FRANCUZÓW. Szesnastego lutego podpisał Papież list okólny do arcybiskupów, biskupów, duchowieństwa i wszystkich katolików francuskich; dziś, choć przeszło miesiąc od wydania encykliki tej upłynął, nie przestaje ona zajmować jak najżywiej umysłów w całym świecie; stała się już — jak jednomyślnie przyznają dyplomaci w wywołanych przez siebie interwiewach, dziennikarze w mnożących się w nieskończoność artykułach — zwrotnym punktem dla wielu najważniejszych międzynarodowych kwestyj, a czem jeszcze się stanie, jakie z niej w przyszłości wyłonią się następstwa, tego i przewidzieć trudno. Zasady i nauki, podane w encyklice, nie są bez wątpienia nowe. Sam Papież, popierając stawiane przez siebie twierdzenia, powołuje się razporaz na kościelną tradycyę i historyę; twierdzenia te mieściły się już jak w ziarnie w wielu z poprzednich papieskich i pism i czynów, poczynając od programowego listu do kardynała Rampolli, kończąc na zażegnaniu zbierającej się już groźnej burzy z powodu procesu, wytoczonego arcybiskupowi Gouthe-Soulard;

lecz choć zasady nie nowe, to w encyklice z 16 lutego rozwinęły się dopiero w całej pełni, a trudno nie wyznać, że po raz pierwszy wystąpiły z taką siłą, w takiem oświetleniu i ugrupowaniu, z takiemi zwłaszcza praktycznemi zastosowaniami, nie dającemi się ani podejść, ani ominąć. I w tem właśnie stanowczem, ostatecznem podkreśleniu i wyjaśnieniu papieskiej myśli i woli, leży niezmierna, powszechnie uznana doniosłość ostatniej encykliki.

Wyjaśniwszy na wstępie, czem religia jest dla państwa i jak bez niej żadne państwo, ani prawdziwego rozwoju, ani pokoju zaznać nie może, zbija Ojciec św. stary, do przesytu powtarzany zarzut, jakoby Kościół zmierzał do zagarnięcia wszelkiej, już nie duchownej tylko ale i politycznej władzy, do zmienienia rządów w posłuszne sobie w każdym kierunku narzędzia; następnie przechodzi wprost do pytania, jakie stanowisko zająć powinni Francuzi względem dziś istniejącej formy rządu, względem rzeczypospolitej. „W przeciągu ostatnich lat kilkudziesięciu przesuwały i zmieniały się kolejno we Francyi: cesarstwa, monarchie, republiki. Nie wychodząc ze sfery abstrakcyi, możnaby zapewne dojść do określenia, która z tych różnych form rządu jest w sobie najlepszą; można również twierdzić, bez obawy minięcia się z prawdą, że każda z nich jest dobrą, jeżeli tylko wprost do celu swego zmierza, tj. do dobra społecznego; dodać wreszcie należy, że z pewnego względnego punktu widzenia, przekładać można tę lub inną, o ile mniej lub bardziej odpowiada charakterowi i obyczajom tego lub innego narodu. W tym spekulatywnym toku myśli mają katolicy, narówni z wszystkimi innymi obywatelami, pełną swobodę przekładania jednej formy rządu nad drugą, ponieważ żadna z nich nie sprzeciwia się ani zdrowemu rozsądkowi, ani wierze chrześcijańskiej. Wystarcza to, aby usprawiedliwić mądrość Kościoła, który w stosunkach swych do władz politycznych nie zważa na odróżniające je od siebie formy, a na oku ma wyłącznie wielkie religijne interesa ludów władzom tym podlegających“ ...

Zstępując z wysokości oderwanych pojęć w dziedzinę konkretnych faktów, niewolno oczywiście zaprzeć się dopiero co

postawionych zasad; niewolno zapomnieć o obowiązku uznawania i słuchania prawnej zwierzchności. Jeden Kościół Chrystusowy ma od początku swego istnienia formę rządów niezmienioną i zachowa ją nienaruszoną do końca czasów, jako założony od Tego, który był i jest „wczoraj i dziś, ten i na wieki". (Do Żydów. XIII. 8). Wszystkie zaś czysto ludzkie społeczeństwa, jak historya stokrotnie świadczy, podlegają z biegiem czasu, tego największego reformatora wszystkiego co ziemskie, licznym a głębokim zmianom w politycznych swych urządzeniach. Jak te zmiany się dokonywują? Po gwałtownych nieraz, krwawych przesileniach, wśród których istniejące poprzednio rządy znikają, ustępują miejsca anarchii, tak długo trwającej i podkopującej same podwaliny społecznego porządku, aż naród koniecznością zmuszony, nie utworzy nowych rządów, które choć w inną formę są przybrane, niż poprzednio istniejące, niemniej od Boga moc i władzę czerpią, dla dobra społeczeństwa są niezbędne, uznania i posłuchu słusznie się muszą domagać.

„Dlatego Kościół w mądrości swej utrzymywał zawsze stosunki z licznymi rządami, które w przeciągu tego wieku we Francyi jedne po drugich następowały; a postępowanie to Kościoła najlepszą wskazówkę daje wszystkim Francuzom, jak zachowywać się winni względem Rzeczypospolitej, obecnie istniejącego rządu swego kraju. Niechże się wyrzekną dzielących ich wzajemnie od siebie politycznych rozterek; niech łącznie skierują wszystkie swe usiłowania do utrzymania i podniesienia moralnej wielkości swej ojczyzny!

„Lecz otóż trudność się nasuwa! ‚Rzeczpospolita — tak wielu się odzywa — owiana jest do tego stopnia antychrześcijańskim duchem, że uczciwi ludzie, a tem bardziej katolicy, nie mogą sumiennie jej przyjąć'. Kto tak mówi, ten nie zwraca dość bacznej uwagi na wielką różnicę, zachodzącą między istniejącemi władzami a ustawodawstwem. Ustawodawstwo różni się tak dalece od władz politycznych i form, w których występują, że nieraz historya opowiada o niemożliwem i niegodziwem ustawodawstwie pod rządem przybranym w stosunkowo najidealniejszą formę; nieraz znowu rzecz się ma wręcz odwrotnie. Wiedzą

i przyznają wszyscy, a nieszczęściem sameż fakta najgłośniej oczywistością swą to stwierdzają, że we Francyi od wielu już lat różne a ważne ustawy źródło swe miały w zamiarach wrogich religii, a tem samem wrogich interesom narodowym. My sami, świętemu obowiązkowi posłuszni, zanieśliśmy z tego powodu gorąco odczute skargi... Tymczasem złe rosło i dziwić się nie można, że członkowie francuskiego episkopatu uważali niedawno jeszcze temu za obowiązek dać publicznie wyraz swej boleści z powodu położenia, zgotowanego we Francyi religii katolickiej. Biedna Francya! Bóg jeden zmierzyć może otchłań nieszczęść, w którą wpaśćby musiała, gdyby ustawodawstwo jej nie zwróciło z rozpoczętej drogi, lecz dalej po manowcach krocząc, dopięło swego celu i wydarło ostatecznie z duszy i z serc Francuzów religię, która tak wielkimi ich uczyniła!...

„I oto właśnie pole, na którem wszyscy dobrze myślący, usunąwszy na bok polityczne waśnie, zjednoczyć się winni jak jeden mąż i posługując się wszelkimi uczciwymi, legalnymi środkami, stanąć do walki z temi postępującemi wciąż naprzód nadużyciami... Nigdy zgodzić się nie można na ustawy wrogie religii i Bogu; przeciwnie, jest obowiązkiem przeciw nim występować... Z pewnością nikt bezstronny ganić nie będzie katolików francuskich, gdy trudów i ofiar nie szczędząc, pracować będą nad zachowaniem dla swej ojczyzny tego, co jest dla niej warunkiem zbawienia, streszczeniem tylu chwalebnych, zapisanych w dziejach tradycyj, o czem żadnemu Francuzowi zapominać niewolno".

W ostatnim ustępie encykliki daje Ojciec św. stanowcze wskazówki, odnośnie do dwóch kwestyj, co do których cała Francya, zwłaszcza w ostatnich miesiącach, na dwa podzieliła się obozy: kwestyi zniesienia konkordatu i zaprowadzenia rozdziału państwa od Kościoła. „Znieść czy nie znieść konkordat? — oto pytanie, które zadają sobie wrogowie Kościoła i w odpowiedzi sami zgodzić się nie mogą. Najzaciętsi znieśćby go pragnęli dlatego, aby państwo niczem już hamować się nie potrzebowało w ciemiężeniu Kościoła Chrystusowego. Inni, chytrzejsi, pragną, lub przynajmniej zapewniają, że pragną utrzymania konkordatu.

nie jakoby uznawali obowiązek, który cięży na państwie, dotrzymania względem Kościoła przyjętych przez siebie zobowiązań, lecz jedynie, aby zapewnić państwu korzyści z ustępstw przez Kościół uczynionych, jak gdyby można było oddzielać poczynione zobowiązania od uzyskanych ustępstw... W myśli ich konkordat zostaćby miał tylko łańcuchem, przydatnym do krępowania wolności Kościoła... Które z dwóch tych zdań przeważy? Nie wiemy. Chcieliśmy je tylko przypomnieć, a katolikom zalecić, aby nie wywoływali zatargu w sprawie, którą Stolica św. jedynie może rozstrzygnąć"... Tem bardziej strzedz się muszą katolicy popierania teoryi rozdziału państwa od Kościoła, teoryi w sobie samej zgubnej i niebezpiecznej. Prawda, że w niektórych krajach rozdział ten, choć z fałszywej zasady wypłynął, w praktyce przedstawia pewne korzyści; we Francyi wszakże doprowadziłby on, do czego inicyatorowie jego otwarcie zdążają: do wyjęcia Kościoła w najkrótszym czasie zpod wszelkiego prawa.

WRAŻENIE WE FRANCYI.

Domyśleć się łatwo, opowiedzieć trudniej, jakie encyklika wywołała wrażenie, w różnych obozach różne, we wszystkich niezwykłe, jakie odczuwa się wobec faktów, które niewątpliwie zamykają dotychczasową, otwierają nową epokę. Dla obu skrajnych skrzydeł, równie lewego, jak prawego, był to piorun, nie z pogodnego zapewne nieba, ale zawsze niespodziewany; oba złożyły w odmiennych wyrazach, ale w gruncie to samo oświadczenie: Encyklika nie wpłynie na zmianę naszych przekonań. Najczerwieńsi, czy jeśli kto woli, najbielsi rojaliści, jak: de Cazenove, de Pradine, de Baudry d'Asson, ubrali to oświadczenie w słowa pełne czci i szacunku dla Papieża; najczerwieńsi radykali nie potrzebowali naturalnie tych obsłonek, i z przerażeniem, które samo dostateczną mogłoby być nauką i przestrogą, uderzyli na alarm. Niektórzy znowu, jak Paweł de Cassagnac w *L'Autorité*, jak legitymistyczny komitet w Marsylii, próbowali uciec się do używanego i nadużywanego już nieraz manewru i godząc się pozornie z encykliką, wyzyskać ją zgrabną parafrazą dla swych celów; tylko tym razem słowa papieskie tak są do-

bitne i ściśle określone, że wszelkie w tym kierunku usiłowania najsprytniejszych nawet adwokatów z celem musiały się minąć. „Dość już tego dobrowolnego mamienia się! dość sofizmatów! — przestrzega *Le Moniteur de Rome* — dziś albo przyjąć trzeba program papieski, albo wystąpić przeciw niemu do walki: środka tu niema!“ Najwybitniejsi członkowie prawicy zrozumieli, zdaje się, tę konieczność; świadczą o tem liczne ich narady i rokowania podjęte w celu ukształcenia „Liberalnego związku prawicy“, do którego wszyscy konserwatyści, bez względu na monarchiczne swe lub republikańskie przekonania, mieliby należyć. Jak będzie związek ten wyglądać, czy nie będzie on może dawną „unią prawicy“, pod zmienioną etykietą, jakie przeważą w nim wpływy? Trudno dziś powiedzieć coś stanowczego; to pewna, że republikańska prasa, a wogóle dawni republikanie, spoglądają nieszczęściem z nietajoną nieufnością i niechęcią na wszystko, co członkowie prawicy, mniejsza o to do której grupy należą, czynią, lub czynić zamierzają; a tem samem nie ułatwiają im pewnie jawnego i otwartego przejścia na grunt istniejących republikańskich instytucyj.

I w tem — w tej wzajemnej nieufności i niechęci, z której żadna strona na seryo nie ma ochoty się otrząsnąć — leży bez wątpienia największa trudność sytuacyi. Cóż ztąd, że umiarkowana prasa republikańska, że cała prasa rządowa powitała encyklikę z prawdziwym entuzyazmem, że zewsząd odezwały się dla Papieża słowa najżywszej wdzięczności; cóż ztąd, że tym wyrazom wdzięczności zawtórowało wiele legitymistycznych organów, kiedy dwa te chóry za napomnienie do zgody dziękują, ale godzić się ze sobą jakoś nie myślą, ale w przerwach wciąż sobie wyrzucają: „Czemu nie robicie pierwszego, stanowczego kroku do zgody?“ Bądźcobądź i to już wiele, to pomyślniejsze horyzonty na przyszłość otwiera, że przekonanie o konieczności tej zgody, konieczności połączenia się wszystkich dobrze myślących w obronie zagrożonych praw bożych i ludzkich, coraz głębiej i wyraźniej w sercach się zapisuje, coraz szersze zakreśla koło.

OŚWIADCZENIA MINISTERYUM LOUBETA.

Ogłoszenie encykliki nastąpiło jednocześnie z upadkiem ministerstwa Freycineta. „Gdyby kuryer papieski, czytamy w telegramie wiedeńskiej *N. Freie Presse*, o jeden dzień się pospieszył i przybył do Paryża we czwartek, zamiast w piątek, kryzys ministeryalna byłaby prawdopodobnie narazie zażegnaną". Goniec papieski się nie pospieszył, a tak dopiero nowy, z niemałym trudem sklejony gabinet Loubeta, wystąpić mógł z oświadczeniem, co rząd o encyklice myśli, jakiemi przewodniemi ideami zamierza się kierować w polityce kościelnej. Loubet zastrzegł się najprzód uroczyście, że rząd wiernym i pilnym będzie stróżem prawa szkolnego i wojskowego, a następnie przechodząc do określenia, jak sobie wyobraża stosunek państwa do Kościoła, postawił następną zasadę:

„Nie mamy, zdaje nam się, zlecenia do przygotowywania rozdziału państwa od Kościoła; ani w tej Izbie, ani, sądzimy w kraju całym, niema większości za przeprowadzeniem tego rozdziału. Obowiązkiem zatem naszym jest stać silnie przy ustawodawstwie konkordatowem. Trzymać się będziemy ściśle właściwego jego ducha. Konkordat zapewnia urzędnikom kościelnym odrębne stanowisko i szczególne prawa, ale natomiast nakłada na nich, na jakimbądź stopniu hierarchicznym się znajdują, ścisłe obowiązki. Nietylko, narówni z wszystkimi współobywatelami, winni są ścisłe posłuszeństwo prawom krajowym, lecz nadto ograniczać muszą działalność swą w obowiązkach swego urzędu i trzymać się zdala od wszelkich stronnictw i ich walk. Nie zawahamy się domagać się od wszystkich ścisłego spełniania tych zobowiązań; sądzimy, że mamy w tej mierze dostateczną władzę w ręku. Gdyby okazać się miało, że władza nasza nie wystarczająca, zażądalibyśmy od parlamentu użyczenia nam środków, niezbędnych do rozwiązania nadarzających się trudności"...

Minister spraw zagranicznych Ribot, odpowiadając na rozliczne napaści i interpelacye, zapewnił, że encyklika nie jest zasługą rządu, który o nią ani się starał, ani się jej domagał, ale pochodzi jedynie i wyłącznie z inicyatywy Papieża. „My sami, dowiedzieliśmy się o encyklice z dzienników... W ten sposób, wszystkie pogłoski przez politycznych naszych przeciwników roz-

puszczone, okazują się tem, czem są — wymysłem bujnej wyobraźni. Pojmuję dobrze, że wrogowie konkordatu znieśćby go chcieli; cóż, kiedy kraj, wogóle mówiąc, bynajmniej życzenia tego nie podziela!“

Nuta, brzmiąca we wszystkich tych oświadczeniach, identycznie ta sama, ani wyższa, ani niższa, przy dobrej woli powiedziećby może można, że w wygłoszeniu nieco cieplejsza, niż za zrzuconego ministerstwa Freycineta. Nikt też innej nuty się nie spodziewał; encyklika nie miała, i rzecz prosta, nie mogła mieć na celu wywołania natychmiastowego przewrotu na lepsze, obalenia za jednym zamachem wszystkiego co złe, co Kościołowi wrogie; jej celem, jak celem całej z taką energią i konsekwencyą prowadzonej akcyi papieskiej, przygotować grunt do działania, dać katolikom w ręce broń, którą choć zwolna, mogliby prawa swe odzyskać; wytknąć ścieżki, któremi idąc, nadziejęby mieć mogli, że prędzej czy później uda im się wskrzesić dawną, chrześcijańską Francyę. W przygotowawczej tej akcyi, encyklika jest, powtarzamy raz jeszcze, krokiem naprzód niezmiernej doniosłości; ostateczne zwycięstwo jeszcze daleko, ale zajęcie placu do korzystnej walki odpowiedniego, ale skupienie rozproszonych sił, nakreślenie wspólnego planu, wydanie jednego hasła wzajemnie ze sobą waśniącym się, samopas błąkającym się oddziałom — czyż nie jest zapowiedzią zwycięstwa?

WĘGIERSKIE WYBORY. Mowa tronowa, wypowiedziana dnia 22 lutego przy otwarciu sejmu węgierskiego, zawiera następny ustęp, odnoszący się do stosunku państwa do Kościoła w Królestwie św. Szczepana: „Co się tyczy spraw i kwestyj religijnych, spodziewamy się i oczekujemy, że Kościół i państwo spełniać będą wzniosłe swe powołanie, przestrzegając wzajemnie swych interesów i nie wychodząc z zakreślonych sobie granic, w tradycyjnej owej harmonii między państwem a Kościołem, która z pożytkiem, z korzyścią dla obudwóch istniała od wieków w ukochanem naszem Królestwie Węgierskiem“... Z wyrazów tych sądząc, rząd Szapary'ego jeśli nie przejrzał jeszcze zupełnie, to przynajmniej domyślać się zaczyna, że dotychczasowa kościelna

polityka była i złą i nieroztropną, że cofnąć się należy póki czas, ze śliskiej tej, nie wiedzieć dokąd nie rząd tylko, ale całe Węgry doprowadzić mogącej drogi. Istotnie jaskrawe światło, rzucone przez ostatnie wybory, zmusić go było powinno do otworzenia zbyt długo zamkniętych oczu. Niedawne jeszcze czasy, kiedy równie wyższe, jak niższe duchowieństwo szło w ciśniętych szeregach do urn wyborczych i gałkami swemi, a o wiele więcej swym wpływem, przechylało szalę na stronę partyi rządowej. Jakże następnie ta partya Kościołowi, duchowieństwu się wywdzięczała; jakie stale zajmowała stanowisko wobec najsłuszniejszych żądań węgierskich katolików: wyswobodzenia kościelnych majątków i fundacyj zpod kurateli ministra wyznań, przywrócenia katolickiego piętna założonemu przez kardynała Pazmany'ego peszteńskiemu uniwersytetowi, uregulowania kongruy, czy i co zrobiła dla usunięcia absolutnie niemożliwego, i z moralnego i z dogmatycznego punktu widzenia, reskryptu Csaky'ego w głośnej sprawie metryk? Duchowieństwo węgierskie zadało sobie przed wyborami te pytania — czyż mogło ich sobie nie zadać? — a odpowiedź wypadła zbyt smutna i przygnębiająca, aby naturalną konsekwencyą nie wypływało z niej drugie pytanie: „Pocóż mamy taki rząd popierać?“ Niepraktykowanym dotąd w Węgrzech przykładem wystąpiło trzech biskupów: z Koszyc, z Rożnawy (Rosenau) i Bielihradu (Stuhlweissenburg) z listami pasterskimi o wyborach; pierwszy zachęcał tylko wogóle do zgody, natomiast dwaj drudzy poddali surowej a stanowczej krytyce postępowanie rządu. Słowa biskupów znalazły nadzwyczajny a chętny odgłos między całem niższem duchowieństwem; w wielu okręgach wyborczych kler miejscowy zażądał od kandydatów opozycyjnych pisemnego oświadczenia, że w razie wyboru bronić będą katolickich interesów, a otrzymawszy tę obietnicę, poparł ich całym swym wpływem. Ostateczny wynik pokazał, że wpływ to niemały; mimo niesłychanych, arcy-nieparlamentarnych wysileń, mimo użycia wszelkich możliwych i niemożliwych środków, rząd nie zdołał zgromadzić w nowym parlamencie znaczniejszej większości, niż ją miał w rozwiązanym. Oczywista to, choć narazie moralna tylko klęska, boć

jeśli nagłe rozwiązanie Izby, jeśli rozpisanie wyborów na najniewygodniejsze zimowe miesiące, jeśli bez zasłon i omówień wywierana presya, miała mieć jakiś cel i racyę, to nie tę zapewne, aby w składzie sejmu, w stosunkach jego stronnictw, wszystko pozostało po staremu. Czy rząd twardą lekcyę tę zrozumieć zechce? Gdyby w całej pełni zrozumiał i wyciągnął odpowiednie wnioski, opłaciłaby się sowicie, staćby się mogła początkiem lepszej, na zupełnie odrębnych podstawach opartej ery. Piękne to marzenia; do ich spełnienia w Węgrzech jeszcze daleko!

WALKA O SZKOŁĘ W STANACH ZJEDNOCZONYCH.

W Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki toczą się od kilku miesięcy między katolikami ciekawe zapasy w kwestyi szkolnej, zapasy możliwe tylko na amerykańskim gruncie. Na dwa tygodnie przed otwarciem rokrocznych obrad arcybiskupów amerykańskich, mających tym razem zebrać się w Saint-Louis, ukazała się broszura p. t.: „Wychowanie: do kogo należy?“ *(Education: to whom does it belong?)*, napisana przez ks. Tomasza Bouquillon, profesora teologii moralnej w katolickim uniwersytecie waszyngtońskim. Kto wychowaniem ma rządzić, kierować? „Państwo, odpowiada autor, wyłącznie państwo, mniejsza o to chrześcijańskie czy niechrześcijańskie“ — a na końcu, jakby sam uląkłszy się postawionej tezy, dodaje oryginalne zastrzeżenie: „Wiem, że teorya taka napotkać musi w praktycznem zastosowaniu wiele trudności, ale rozwiązanie tych trudności nie moją jest rzeczą, lecz ludzi postawionych przez Boga nad państwem i Kościołem“. Na broszurkę Bouquillona odpowiedziało natychmiast w dziennikach i broszurach paru katolickich pisarzów, między innymi biskup Chatard, i rzecz cała utonęłaby w zapomnieniu, gdyby nagle nie pokazało się, że poza waszyngtońskim profesorem stoi śmiały — czy nie aż do zbytku śmiały? — arcybiskup z Saint-Paul, Ireland. Na arcybiskupiej konferencyi wystąpił on z obroną zasad przez Bouquillona wyłożonych, a gdy tu ani jednego zwolennika nie mógł sobie pozyskać, postarał się o rozszerzenie swych idei zapomocą prasy. Teraz rozpoczęła się walka na ostre, posypały się interwiewy, broszury, dziennikarskie artykuły. Zadaleko za-

prowadziłoby nas, iść za przebiegiem tej walki; to pewna, że, o samym arcybiskupie z Saint-Paul narazie przemilczając, niektórzy jego stronnicy posunęli się w wojennym zapale poza granice, których w spokojniejszem usposobieniu nigdyby pewnie nie byli przekroczyli.

Parę cyfr i faktów, zebranych przez amerykańskiego korespondenta rzymskiej *La Civiltà cattolica*, odpowie zresztą dosadniej od długich, teoretycznych dowodów, co sądzić o teoryi — dziwnie bądźcobądź brzmiącej w wolnej Ameryce — upaństwowienia przymusowego wszystkich szkół. W tym samym czasie, w którym arcybiskup Ireland wstąpił w szranki za projektem inspirowanego przez siebie pisarza, rząd Stanów Zjednoczonych zmuszonym był wytoczyć śledztwo około 500 nauczycielom szkół publicznych, oskarżonym o najsromotniejsze występki. Do szkół parafialnych uczęszczało w roku 1890 przeszło 737.000 dzieci, a między temi 567.000 dzieci katolickich; oprócz tego do innych szkół prywatnych 753.000 uczniów. Żeńskich szkół i zakładów naukowych ściśle katolickich znajduje się 637. Sami Jezuici mają w tej chwili w swych rękach w Stanach Zjednoczonych 27 gimnazyów z ogólną cyfrą 6538 uczniów; regularny, rokroczny przyrost w tych zakładach wynosi mniej więcej 500. W katolickim uniwersytecie waszyngtońskim uczęszcza na wydział filozoficzny 260 słuchaczów; na prawniczy 255; na medyczny 100. „Jakąż racyę mieliby katolicy — kończy swe uwagi korespondent rzymskiego pisma — zakładać i utrzymywać z niezmiernemi ofiarami ze swej strony wszystkie te zakłady i szkoły; jakąż zwłaszcza racyę miałyby niezliczone rodziny luterskie, anglikańskie, wolnomularskie, które często swych synów, o wiele częściej córki, pieniędzy nie żałując, oddają do katolickich szkół klasztornych — gdyby szkoły państwowe zadość czyniły ich wymaganiom, gdyby dawały im dostateczną gwarancyę dobrego, cnotliwego wychowania?“

Ks. Jan Badeni.

Sekty rewolucyjne w Chinach.

Ostatnie objawy antychrześcijańskiego fanatyzmu w Chinach zwróciły ogólną uwagę na potajemne stowarzyszenia, których niewidzialni organizatorowie dążą, podobnie jak w Europie, do obalenia istniejącego społecznego ustroju i potęgi państwa. Mnóstwo ciekawych szczegółów, dotyczących powstania i dążności tych stowarzyszeń, mieści się w adresie przesłanym przez ks. biskupa F. H. Balfour'a do Towarzystwa Geograficznego w Manchesterze d. 4 marca 1891 r., na kilka tygodni przed zainteresowaniem się tą kwestyą mieszkańców doliny Jan-tsekiangu. Powstanie wielu z tych sekt, tworzących obecnie prawdziwy legion, sięga epoki daleko dawniejszej, niż zjednoczenie Cesarstwa, względem którego wszystkie takie stowarzyszenia, nie mające nawet żadnego politycznego charakteru, bardzo nieprzyjaźnie się manifestowały. Jeden z paragrafów kodeksu karnego nakazuje poczytywać za zdrajców stanu wszystkich wichrzycieli, usiłujących wywołać bunty i zamieszki, jak również wszystkich członków bezbożnych sekt i zabobonnych stowarzyszeń, a wreszcie takich, którzy poza obrębem pokrewieństwa i związków małżeńskich zawierają pobratymstwo przez kosztowanie własnej krwi, lub palenie kadzidła, przywódców zaś ich skazywać na szubienicę.

Wśród politycznych stowarzyszeń w Chinach, najbardziej rozpowszechnione i otwarcie niemal działające, nosi nazwę Tien-Ti, czyli „Niebo i Ziemia", albo San-Ho-Hui, co oznacza: Potrójne sprzysiężenie. Podobieństwo istniejące pomiędzy zasadami i praktykami sekciarzy chińskich, a doktryną masońską, świadczy o wspólnem ich pochodzeniu, polityczny zaś charakter, jaki obecnie tak w jednych jak w drugich coraz widoczniej się objawia, jest tylko jedną z mniej dotąd znanych cech dawnego ich ustroju. Tak zwane Potrójne sprzysiężenie, będące oryginalną formą wschodniego mistycyzmu i podobne w wielu względach do zachodniej masonii, opiera się na postępowych zasadach i służyć ma za narzędzie społecznego przewrotu. Nazwa jego pochodzi od potrójnej harmonii pomiędzy niebem, ziemią a człowiekiem, mistyczne zaś zjednoczenie tych trzech odrębnych rzeczy wyraża trójkąt, symbol czysto masoński. Podług chińskiej etymologii, boki tego trójkąta tworzą zgłoski *Ju*, oznaczające wejść lub przeniknąć, litera zaś *i*, która oznacza „jeden", służy za podstawę i stanowi kombinacyę, wyrażającą to potrójne zjednoczenie. Odkrycie czystego światła, czyli prawdy,

Ming, uchodzi za cel stowarzyszenia, które w tej mierze zbliża się do swych braci z Zachodu.

Oto, w jaki sposób biskup powyżej przez nas wymieniony opisuje ceremonię przyjęcia do jakiejkolwiek gałęzi Potrójnego sprzysiężenia (dodajmy zaś nawiasem, że pewien wolnomularz uznał ją za zupełnie identyczną z ceremoniałem masońskim): Tajemnicze obrzędy, dokonywane przez dziwnych tych spiskowców, rozpoczynają się od rozwięzłej zabawy, odbywającej się przy dźwiękach muzyki, poczem wszyscy obecni stają przed bałwanem, mistrz zasiada na wysokiem krześle, dźwiganem przez ośmiu ludzi, którzy trzymają w dłoni obnażone miecze. Ogromny stos z papieru zostaje spalonym przed ofiarnikiem podczas ceremonij, w jakich każdy nowy kandydat musi wziąć czynny, choć niezbyt miły udział. Najprzód obnażają go po pas z ubrania i każą mu uklęknąć przed mistrzem. Po chwili ośmiu asystentów tego ostatniego opiera ostrza mieczów na karku kandydata i egzamin się rozpoczyna. Zapytują go najprzód o miejsce urodzenia, jak również o to, czy krewni jego żyją lub umarli. Odpowiedź na to musi brzmieć niezmiennie: „Umarli“, ponieważ wszyscy członkowie stowarzyszenia poczytują siebie za zupełnie wolnych od wszelkich ziemskich węzłów. Po wielu innych zapytaniach, zadawanych przez mistrza, na które kandydat poprzednio już się przygotował, każą mu złożyć przysięgę. Wreszcie następuje ślub milczenia, wyrażony symbolicznie przez picie krwi, na szczęście jednak dla nowego adepta, ta najbardziej nieprzyjemna napozór część ceremonii polega na wychyleniu ogromnego puharu wina, lub araku, do którego kandydat wpuszcza kilka kropel krwi z własnego palca.

Na tem kończy się ceremonia; nazajutrz zaś neofita również uroczyście otrzymuje od sekretarza loży księgę, zawierającą opis tajemniczych gestów, haseł i oznak w ubiorze, zapomocą których spiskowcy poznają się nawzajem. Czworokątna „loża Potrójna“ odznacza się rozległością i urządzeniem na sposób azyatycki, ponieważ zaś Wschód jest kolebką światła, dlatego też wschodnia jej strona uchodzi za poświęconą. Po otwarciu posiedzenia, następują pytania z katechizmu, wydanego przez ligę, jak np.: „Jak wysoką, bracie, jest loża?“ — Tak wysoką, jak oko sięgnąć zdoła. — „Jak szeroką, bracie?“ — Tak rozległą, jak dwie stolice i trzynaście prowincyj (tj. jak całe państwo, a zarazem cały świat). — „Zkąd przybywasz, bracie?“ — Ze Wschodu. — „O jakiej porze tu przyszedłeś?“ — O świcie, gdy na Wschodzie było jasno. — „Dokąd się udasz?“ — Pragnę podążyć tam, gdzie będę mógł

się połączyć z miliardem swych braci. — Kandydat, przyjęty do loży, ubiera się w białą wełnianą lub bawełnianą suknię i wygłasza 36 przysiąg, podczas gdy ośm nieubłaganych mieczów dotyka ciągle swem ostrzem obnażonej jego piersi. Następnie przechodzi pod łukiem, utworzonym również ze skrzyżowanych mieczów. W dalszym ciągu ceremonii ucinają w jego obecności głowę kogutowi, dodając jako ostrzeżenie następujące słowa: „Tak zginie każdy, kto zdradzi nasze tajemnice“.

Stowarzyszenie Potrójne przybrało charakter polityczny już w XVII. stuleciu, to jest natychmiast po objęciu tronu przez dynastyę Mandżurską, w sto lat zaś później, stało się tak podejrzanem w oczach rządu, że gubernator Kantonu aresztował 3000 jego adeptów. Dlatego też loże i dziś jeszcze mieszczą się w miejscach samotnych, do których wstępu bronią nader zręcznie zastawione sidła. Główną zasadę tego stowarzyszenia stanowi nienawiść panującej dynastyi; członkowie też jego wzięli czynny udział w buncie Taipingów, a nawet sami uderzyli na Szanghai. W szeregu jego adeptów liczono nawet wiele osób stojących u steru rządu, ośmiu zaś Wangów czyli taipińskich książąt było wielkimi mistrzami Potrójnej ligi. Dzięki swej żywotności, zdołała ona przetrwać niezachwianie tak straszną dla siebie kryzys, jaką był upadek rewolucyi, w danej zaś chwili jest może potężniejszą i czynniejszą niż kiedykolwiek przedtem.

Pokrewnem tej lidze pod względem wpływu i znaczenia jest stowarzyszenie powstałe za czasów panującej obecnie dynastyi, a znane pod nazwą „Białej Lilii Lotusu“, którą sobie za godło obrało. Ma ono bardziej ascetyczny charakter od swej rywalki, członkowie zaś jego obowiązani są między innemi do zachowywania wegetaryańskiej dyety, to jest żywienia się wyłącznie roślinami. Ogólne mienie stowarzyszenia, w którem wszyscy członkowie płci obojej mają swą cząstkę, dochodziło niekiedy do olbrzymiej kwoty. Za czasów wielkiego mistrza Fang-Jung-Szena, którego żona słynęła z niezwykłego wzrostu, silnej budowy i odpowiedniej mocy charakteru, spiskowcy postanowili wysadzić w powietrze pałac cesarski w Pekinie. W chwili jednak wykonania tego zamiaru zerwała się gwałtowna burza, połączona z ulewą, i zniweczyła plany sprzysiężonych. Pałac więc ocalał; po krótkiej zaś chociaż zażartej walce większa część spiskowców została wymordowaną lub wziętą do niewoli przez wojska cesarskie. Chociaż klęska ta osłabiła znacznie stowarzyszenie „Białej Lilii“, jednak i dziś istnieje ono potajemnie pod zmienioną nieco nazwą, członkowie zaś jego udają niekiedy w obecno-

ści osób obcych nadziemski zachwyt i ekstazę, co im zjednało sławę czarowników, obdarzonych magiczną potęgą. W sprzysiężeniu tem wsławił się najbardziej tak zwany „strach papierowy“, jeden z najciekawszych objawów chińskiego zabobonu, o którym wymieniony powyżej autor następujący podaje nam opis:

„Pierwsze jego wystąpienie było w Ning-Po w r. 1846 i ogromną wywołało trwogę. Podług miejscowej tradycyi, zaczęło się w powietrzu wówczas unosić mnóstwo złych duchów, w postaci ludzi obwiniętych czerwonym papierem, którzy nadomiar złego, w ilości 3000 nawiedzili to miasto. Chińczycy, nawpół nieprzytomni z przerażenia, bili co sił starczyło w dzwonki zwane *gongami*, wychodząc z tej niezbyt logicznej i filozoficznej zasady, iż jestto najlepszym środkiem przeciw złym duchom, pochodzącym od Yina, czyli ducha ciemności, ponieważ dźwięk miedzi rozlega się pod wpływem Yanga, to jest ducha światła. Nadto do zwiększenia popłochu przyczyniło się trzęsienie ziemi, oraz prześliczne spadające gwiazdy. Wielu mieszkańców przypisywało to zjawisko duchom angielskich i chińskich żołnierzy, poległych w ostatniej wojnie, które ze sobą napowietrzną toczyły walkę.

„W trzydzieści lat później, strach papierowy wystąpił znowu na widownię, ale w bardziej dowcipny sposób. Po długim spokoju, zaczął on znowu płatać figle, i tym razem ofiarą jego złośliwości padały warkocze biednych Chińczyków, które nader zręcznie ucinał. We wszystkich miastach Cze-kiangu i Kiang-su zapanowała nieopisana panika, szerząca się z nadzwyczajną szybkością. Całe prowincye niezwykły przedstawiały widok. Mężczyźni i młodzieńcy zostawali nagle pozbawionymi ukochanej swej ozdoby, dziwnego zaś tego faktu w żaden sposób nie dawało się wytłumaczyć. Niewidzialna jakaś dłoń ogałacała z warkoczy tak ludzi śpiących we własnych mieszkaniach, jak też chodzących na ulicy, słowem w najrozmaitszych okolicznościach. Europejczycy twierdzą, że sami widzieli Chińczyków, którzy w ich obecności tracili ulubiony warkocz, i to w taki sposób, że niepodobna było odgadnąć, jak się ta manipulacya odbyła. Niejednakowe wszakże ciosy dostawały się nieszczęśliwym ofiarom; jedni bowiem tracili pół warkocza, drudzy cały, inni wreszcie spostrzegali nagle dziury, robione złośliwą ręką w ich jedwabnych sukniach. Zjawisko to miano za nadprzyrodzone i przypisywano je ogólnie papierowemu duchowi, który przybierał postać człowieka, lub kształt nożyczek zawiniętych w czerwony papier i obdarzonych nadprzyrodzoną mocą wykonywania rozmaitych czarów. Dobry interes zrobić mógłby wówczas ten, ktoby

się podjął dostarczenia jakiego talizmanu, zdolnego zabezpieczyć od figlów złego ducha". Później jednak wszyscy niemal doszli do przekonania, że sprawcami tych psot byli członkowie stowarzyszenia, zwanego „Kwiatem Lotusu", którzy z niezrównaną zręcznością umieli posługiwać się maleńkiemi narzędziami, mieszczącemi się w dłoni.

W danej chwili najbardziej czynnem okazuje się stowarzyszenie „Starszych Braci", czyli Ko-Lao-Hui, którego działalności przypisują ogólnie ostatnie rozruchy. Założone pierwotnie jako towarzystwo dobroczynne dla żołnierzy, liczy ono obecnie w swem gronie przedstawicieli wszystkich warstw społeczeństwa, począwszy od rozmaitych awanturników, aż do dymisyonowanych wice-królów prowincyi. Zasadą jego i hasłem jest frazes: „Chiny dla Chińczyków" — ma więc ono na celu wypędzenie wszystkich cudzoziemców. Inne stowarzyszenia dążą przedewszystkiem do rozstrzygnięcia rozmaitych kwestyj w zakresie swej religii, i chociaż się odznaczają wielką ekscentrycznością, mniej jednak od poprzedzających są szkodliwe. Bądźcobądź, tajne sprzysiężenia tak w Chinach jak też i gdzieindziej, częstokroć od pierwotnych celów dochodzą do opłakanych krańcowości, ponieważ w łonie ich zawsze znajdą się tacy, którzy się uważają za narzędzie, przeznaczone do wywoływania anarchistycznych rozruchów.

Zaborcza polityka rosyjska

w Bułgaryi, Austryi, Turcyi, Palestynie, Japonii i innych krajach.

Jedno z najpoważniejszych bez wątpienia i najbardziej rozpowszechnionych peryodycznych pism rzymskich: *La Civiltà cattolica*, podaje pod powyższym tytułem bardzo ciekawe i charakterystyczne uwagi, skreślone przez specyalnego swego rosyjskiego korespondenta. Podajemy tu w tłumaczeniu te uwagi, tem bardziej, że żadne z naszych pism dotąd na nie uwagi nie zwróciło, a zdaje nam się, że zamieszczone w takim zwłaszcza organie, nie powinny one przejść u nas niespostrzeżone:

Coraz częściej dzienniki rosyjskie stawiają sobie pytanie, dlaczego rząd moskiewski cieszy się tak małą stosunkowo sympatyą w całej Europie, z wyjątkiem chyba Francyi. Nie może to być niczem innem — odpowiadają one — jak tylko wynikiem zawiści i zazdrości; zdaniem ich bowiem Rosyi nic zagrażać nie zdoła, ponieważ jest tak

rozległą, że sama sobie wystarczyć potrafi. Nie uczuwa też ona najmniejszej potrzeby powiększenia swego terytoryum; powiększenie takie bowiem pociąga zawsze za sobą rozliczne państwowe kłopoty. Dlaczegóż więc tyle złej woli względem kraju, nie mieszającego się wcale w sprawy innych państw, nie zakłócającego spokoju i bezpieczeństwa wielu narodów? — zapytują powyższe dzienniki. Pocóż np. to trójprzymierze, bezpośrednio przeciw Rosyi skierowane?

Łatwo odpowiedzieć na powyższe pytanie, które bądźcobądź zdradza pewną niedyskrecyę. Jeżeli Rosya nie dąży do zdobycia jakiegokolwiek kraju, jak np. Galicyi austryackiej, to stara się wszelkimi środkami wprowadzić i utrwalić swą polityczną i religijną przewagę wszędzie, dokąd zdoła rozpostrzeć swe wpływy. Niema żadnego kraju, graniczącego z jej obszernem terytoryum, w którymby nie knuła intryg; niema żadnego ościennego państwa, któreby nie musiało mieć się ciągle na baczności, wobec potajemnych knowań rosyjskich agentów. Bułgarya jest wymownym przykładem tej najezdniczej polityki, która, stosownie do okoliczności, działa spokojnie lub gwałtownie, zawsze jednak w celu szkodzenia drugim. Skoro tylko starożytne to państwo odzyskało po wielu wiekach niepodległość, pierwszą myślą jego pseudoprotektorki było wprowadzić język rosyjski do zakładów wychowawczych, wówczas zaledwie utworzonych, zalać kraj Rosyanami cywilnymi i wojskowymi, a potem, postępując coraz dalej w swem dziele, założyć szkoły, w których język rosyjski byłby obowiązującym. Nieomieszkano użyć wszelkich środków, w celu zamienienia Bułgaryi na prowincyę moskiewskiego carstwa, gdy nagle obudził się duch narodowy młodego państewka. Wkrótce też książę Battenberski został zmuszonym usunąć całą zgrają cudzoziemskich urzędników, którzy, chociaż pod względem administracyi wielkie oddawali usługi, jednak dla narodowości bułgarskiej niezmiernie byli szkodliwymi. Tej właśnie manii rządu petersburskiego, rusyfikowania wszystkiego co się da, przypisać powinna Rosya niepowodzenia doznane w Bułgaryi i w wielu innych krajach, a które bynajmniej nie przyczyniają się do podniesienia jej wpływu. Takiż sam mniej więcej system stosuje Rosya do austryackich dzielnic ze słowiańską ludnością, której pragnęłaby narzucić despotyczną swą opiekę, zamiast łagodnych i umiarkowanych rządów Habsburskiego domu. W tym celu między innemi wydaje ona książeczki liturgiczne w języku słowiańskim, które rozpowszechnia pomiędzy niekatolicką słowiańską ludnością Austro-Węgier. Zwykle pierwsza stronnica takiej książeczki zawiera imiona cara, za którego pa-

nowania książeczka wydaną została, i wszystkich członków jego rodziny. Imiona cara i arcyksiążąt wydrukowane są wielkiemi literami w następujący sposób: „Z rozkazu naszego najpobożniejszego i najpotężniejszego samowładcy, wielkiego cara Aleksandra Aleksandrowicza, monarchy wszech Rosyi, małżonki jego, najpobożniejszej księżnej i carowej Maryi Teodorównej, następcy jego, prawosławnego władcy, wielkiego księcia Mikołaja Aleksandrowicza“... Potem następują imiona wszystkich członków carskiej rodziny, których ilość wcale jest pokaźną. Tem dziwniejsze wywiera to wrażenie, że imiona Pana Boga, Najświętszej Panny i Świętych drukowane są tamże zwyczajnemi głoskami.

Długa powyższa lista członków carskiej rodziny znajduje się nietylko we wszystkich liturgicznych księgach Cerkwi rosyjskiej, ale wchodzi także w skład formuły aprobaty przy każdem nowem wydaniu Pisma św. W ostatnich dopiero czasach rząd austryacki zasekwestrował wszystkie te książki, rozsiewane wśród jego podwładnych, wykluczył je z handlowego obiegu i kazał zastąpić nowemi, drukowanemi w obrębie swej monarchii. Te ostatnie, chociaż pod względem treści nie różnią się wcale od dawnych, nie posiadają już jednak całego szeregu imion carskich, nie mających żadnego związku ani z Pismem św., ani z liturgią prawosławną. Był też już czas na to.

Po Austro-Węgrzech, które zpomiędzy wszystkich państw najbardziej są wystawione na polityczną i religijną propagandę Rosyi, jedną z krain, do których chciwy wzrok moskiewski najchętniej się zwraca, jest cesarstwo Ottomańskie. Osadzić na tronie w Konstantynopolu prawosławnego władcę z rodziny cara, na stolicy zaś patryarchalnej jakiegokolwiek rosyjskiego arcybiskupa — oto najulubieńsze marzenie patryotów znad Newy i Moskwy. W danej chwili niepodobna jeszcze się spodziewać, aby jaki zbieg okoliczności urzeczywistnić je pozwolił, należy więc czekać, i patryoci moskiewscy czekają. Jednakże nawet miejsce święte, Jeruzalem, nietylko nie jest wolnem od intryg i knowań moskiewskiego rządu, ale nawet swobodniejszem, niż gdzieindziej, płyną tam one korytem. Rosya pobudowała w tem mieście obszerne gmachy, obejmujące całą niemal dzielnicę, gdzie znajdują schronienie tysiące moskiewskich pielgrzymów, którzy napływają corocznie dla zwiedzenia Grobu świętego. Nadto na górze Wniebowstąpienia wzniosła wspaniałą świątynię i wysoką wieżę, — zapewne w celach strategicznych — jak również szkołę dla Arabów, gdzie ci ostatni, oprócz narodowego języka, uczą się też rosyjskiego. Zresztą Cerkiew rosyjska

sowicie szafuje złotem, jedyne to bowiem apostolstwo, do jakiego jest zdolną. Tak np. zbudowała własnym kosztem kościół dla Abisyńczyków i wyznaczyła królowi Menelikowi misyę duchowną w kraju Etyopów, która zawadziła nawet o Aleksandryę. Oto w ostatniem tem mieście rząd rosyjski otworzył szkołę, gdzie młodzi seminarzyści, przywiezieni z Rosyi, uczą się po arabsku, aby módz następnie rozkrzewiać swą wiarę w Syryi i Palestynie. Na wszystko to łatwo pozyskać pozwolenie patryarchów, za pośrednictwem złotego cielca, którego cześć zarówno jest rozpowszechnioną w Egipcie i Syryi, w Konstantynopolu i Jerozolimie. Cywilna odezwa świętego Synodu wskazuje korzyści, jakie można odnieść na Wschodzie, i nie ulega wątpliwości, że wchodziły one w zakres działania następcy tronu, gdy przed pół-rokiem wybierał się do Egiptu, chociaż z trudnością mógł on się porozumieć z patryarchami bez zwrócenia uwagi ogółu na swe zamiary. Łatwo zrozumieć, że Grecy z Palestyny i Turcyi czują się także obrażeni intrygami Rosyi i usiłują rozszerzyć własne wpływy, oraz wyprzeć Rosyan z zajmowanego tam dotąd przez nich stanowiska. Dlatego też niechęć ich ku Rosyi wzmaga się z dniem każdym, Cerkiew zaś grecką i rosyjską bardzo wątła zaledwie łączy dziś spójnia. Zobaczymy, jaka korzyść wyniknie dla Greków z projektowanego małżeństwa pomiędzy rosyjskim następcą tronu a grecką księżniczką.

Nie na tem jednak koniec ambitnych zachcianek Rosyi, zakres bowiem jej działania sięga znacznie dalej. Na drugim końcu świata, w Japonii, istnieje od lat kilku prawosławna chrześcijańska gmina, złożona z ośmiu czy dziewięciu tysięcy członków, zostających pod kierunkiem rosyjskiego biskupa. W stolicy Japonii wznosi się obszerna prawosławna cerkiew dla neofitów, gdzie nabożeństwo odprawia się w języku japońskim i ściąga mnóstwo pogan, pragnących się przypatrzeć wspaniałym ceremoniom grecko-rosyjskiego kultu. Gmina ta jednak nie zdaje się mieć wcale świetnej przed sobą przyszłości, ponieważ Japończycy niechętnie wchodzą na łono Cerkwi, której głową jest car rosyjski, dygnitarzami zaś różnorodni płatni przezeń urzędnicy. Sam biskup jest niczem innem jak duchownym służalcem cara, i nie posiada tyle nawet moralnej powagi, aby utrzymać zgodę i jedność wpośród swoich wiernych. Już oddawna zakradły się tam nieporozumienia, grożące rychłą i nieuchronną ruiną tej świeżo powstałej cerkwi.

Sami nawet Anglicy w Indyach wschodnich nie są wolni od pewnego uczucia trwogi. Chociaż Rosya nie ma tam żadnych spraw i interesów, zdaleka jednak jak straszne widmo zdaje się zagrażać bezpie-

czeństwu tej krainy, którą od posiadłości rosyjskich w Azyi środkowej oddziela tylko Afganistan.

Wreszcie nawet Chiny i Korea powinnyby mieć się na baczności wobec najezdniczego i zaborczego ducha, panującego wszechwładnie w rządzie rosyjskim. Słowem, gdzie tylko rzucimy okiem, wszędzie bezgraniczna i niezbyt skrupulatna ambicya Rosyi napełnia trwogą, a przynajmniej niepokojem, mnóstwo państw i narodów.

Cóż więc dziwnego, że ogólnem życzeniem jest odebranie Rosyi środków szkodzenia sąsiadom, pozbawiając ją pewnej części rozległego terytoryum. Życzenie to niełatwo da się w czyn zamienić, ze względu na ogrom i siłę wojenną tego państwa, nie jest jednak całkowicie i absolutnie niemożliwem, tem bardziej, że wiele żywotnych interesów wymaga zamknięcia Rosyi w ciaśniejszych granicach. Osłabienie wpływu rosyjskiego na obce państwa stanowiłoby nazawsze rękojmię spokoju i bezpieczeństwa dla wielu narodów, obracających się dotąd w błędnem kole jej intryg, a które nie pominęłyby pierwszej sposobności wyłamania się zpod niepożądanej rosyjskiej przewagi. Z powodu suchotniczej i skarłowaciałej cywilizacyi rosyjskiej, która nie pozwala spodziewać się od cara jakiejkolwiek religijnej lub cywilnej wolności i nie przedstawia dla innych chrześcijańskich narodów żadnych korzyści lub prerogatyw, trudno orzec, co zyskałyby one, poddając się kozackiemu wpływowi, widoczną jednak jest rzeczą, co na temby straciły.

Z dzienniczka polskiego misyonarza w Anglii.

Znany dobrze czytelnikom *Przeglądu* prawdziwy apostoł Polaków w Anglii, ks. J. Lassberg [1], przysłał nam w jednym z ostatnich swych listów urywek z prowadzonego przez siebie dzienniczka; urywek ten, rzucający pewne światło równie na prace naszego misyonarza, jak na stosunki polskich biedaków w Anglii, pozwalamy tu sobie przepisać:

„19 lutego 1892. Po zwykłym wykładzie prawa kanonicznego, wyjechałem wieczór do Liverpool'a.

[1] Por. artykuły p. t. „Polacy w Anglii", przez ks. Jana Badeniego, w zeszytach z kwietnia, maja i czerwca 1890 r. Artykuły te wyszły również w osobnej broszurze.

„20 lutego. Rano ślub litewski; potem do Leeds w Yorkshire. Tu kilku Polaków i Litwinów; odszukać ich trzeba było w dwunastotysięcznej gromadzie Żydów.

„22 lutego. Założyliśmy w Manchester wypożyczalnię książek polskich i litewskich. Polacy tutaj są prawie bez wyjątku biednymi wyrobnikami; lubią czytać książki pobożne, ale też i kilka pięknych, poczciwych powieści, bardzoby się im przydało.

„23, 24 lutego. W domu, wykłady.

„25 lutego. Do Liverpool'a. Około 60 lub 70 Polaków, po większej części z Poznańskiego, uwiedzionych przez jakiegoś protestanckiego pastora, wielkiego wroga katolickiego Kościoła, wsiadło na okręt płynący do Kanady. Napisałem list do jednego z tamtejszych biskupów z ostrzeżeniem i prośbą o pomoc dla tych nieszczęśliwych.

„27 lutego. W Widnes ślub litewski. Wyratowałem dziewczynę z wielkiego niebezpieczeństwa; posłałem ją do zakonnic w Liverpool'u.

„28 lutego. Rano spowiedzi w Widnes... nieszpory i t. d....

„Oto jak mi zbiegł ostatni tydzień; inne, do niego podobne"...

Druk ukończony 29 marca 1892 r.

POTĘGA DROBNIUTKICH ŻYJĄTEK

W PRZYRODZIE [1].

Nazwa paleontologii pochodzi z greckiego ὁ λόγως τῶν παλαιῶν ὄντων. Geologia zajmuje się opisem warstw, które po kolei osadziły się na skorupie ziemskiej, opiera się zaś na znajomości mineralogii, petrografii, stratygrafii i paleontologii, tj. nauce o skamielinach i szczątkach po jestestwach wyginionych. Paleontologia, zapoznając nas ze skamielinami form dawnych jestestw, łączy się z zoologią i botaniką, a więc z dwoma ważnymi działami nauk biologicznych, do jakich sama się wlicza; ułatwia nam ona wynalezienie ogniw w łańcuchu stworzeń, od najniższych do najwyższych, czyli ich naturalną systematykę. Zadaniem mojem będzie dać pojęcie, jak się w przeszłości ziemi najniższe właśnie formy zwierząt i roślin przyczyniły do przygotowania warunków, wśród których następnie żyć miały wyższe stworzenia.

Nie tak dawno jeszcze mieszano w jednem pojęciu najrozmaitsze zwierzęta bezkręgowe pod ogólną nazwą robaków *(vermes)*, a więc mięczaki, czerwie czyli skorupiaki, a nawet owady, stonogi i szkarłupnie, z jamochłonnymi zwierzokrzewami i innymi niższymi jeszcze organizmami, o których właśnie będę mówił,

[1] Wykład ten uważać należy za wstęp do całego szeregu popularnych prelekcyj, połączonych z demonstracyą, a dotyczących paleontologii, na publicznych posiedzeniach wydziału przyrodniczego Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu.

a które stoją na samej granicy między zwierzęciem a rośliną, tak, że trudno nieraz określić, czy do jednych, czy do drugich należą. A przecież różnice pomiędzy pojedyńczymi rzędami, o jakich wspomniałem, są bardzo wielkie. Do każdego z nich tysiące gatunków się wlicza, a i wśród niższych jeszcze, wśród tak zwanych pierwotniaków *(protozoa)*, jest wielka rozmaitość; znaczenie zaś niejednego gatunku w ekonomii świata nader wielkie. Choćby dlatego, warto o nich pomówić.

I.

Kto chce przeszłość ziemi badać i rozumieć, musi się zapoznać z temi formami szczątków wygasłych po części organizmów, bo tylko zapomocą śladów ich ciał lub skorup, a więc pracy przez nie wykonanej, oryentować się może w tej zawiłej księdze dawnej przyrody — w tem archiwum dziejów ziemi, którego kartami są warstwy, odpowiadające różnym okresom stworzenia. Te ślady są hieroglifami, zapisanymi przed dziesiątkami tysięcy, a może i milionami lat, przez Tego, którego chwałę opiewały od wieków i opiewają dotąd nietylko niebiosa i gwiazdy w nich rozsiane w odstępach bilionów mil, ale i te najmniejsze stworzonka, dawno już wyginione i w głębi ziemi pogrzebane; hieroglifami są one prawdziwie bożymi, gdyż objawiają nam historyę ziemi, gdy jeszcze człowieka na niej nie było, ani zwierząt do niego podobnych: aby człowiek, poznając te *gesta Dei per minima*, tj. wykonane w biegu wieków prace tych najnikczemniejszych stworzonek, odnosił ztąd korzyść nietylko dla ciała, ale i dla ducha.

Sam początek życia na ziemi *(Biogenesis)* zasłoniętym jest może nazawsze dochodzeniu naukowemu, tak jak i początek wszech rzeczy. Tym, którzyby twierdzili, że materya zawsze istniała, że atomy przynajmniej nigdy powstać nie mogły, t. zw. Monistom, przeciwstawić możemy niemniej śmiałą, lecz nie trudniej dowieść się dającą tezę, że i powstanie życia pierwotne niemniej jest dla nas niezrozumiałem, i że takiem samem prawem twierdzićby można, że chyba w tych atomach musiał tkwić

życia zarodek, że musiały już istnieć jakieś jestestwa na ziemi, nim się ona wyłoniła z ogólnej mgławicy planetarnego systemu, lub nim zaczęła krążyć sama koło słońca, jako rozżarzona kula. Tak samo nie na wiele przydać się może teorya kosmozoów, tłumacząca powstanie życia na ziemi za pośrednictwem jakichś wszechświatowych pyłków, przenoszonych aerolitami z gwiazdy na gwiazdy; ona cofa tylko kreacyę, ale ani jej nie wyjaśnia, ani jej przeczyć nie może.

Skoro jednak na ostygłej już skorupie ziemskiej zaczęła skraplać się woda, a więc prawdopodobnie jeszcze o wiele przed uławiceniem się paleozoicznych warstw, czyli przed okresami, z jakich najdawniejsze szczątki organizmów zostały nam przechowane — od tej chwili mamy prawo przypuszczać, że życie zaczęło się pojawiać, przynajmniej w najniższej swej postaci, gdyż t. zw. paleozoiczne okazy fauny morskiej występują naraz, tj. w warstwach następujących tuż po t. zw. azoicznych, w takiej mnogości i rozmaitości, a niektóre nawet w takiej doskonałości form, że długi czas przypuszczać wypadałoby na ich rozwój aż do tego stopnia.

Oddawna już istniały dwie teorye powstania skorupy ziemskiej, tj. wytworzenia się jej warstw: neptuniczna i wulkaniczna. Obecnie zrozumiano, że żadna z nich sama nie wystarcza, ale że tylko połączenie obydwóch tych czynników, tj. ognia i wody, może nam wytłumaczyć koleje, przez jakie przechodziła skorupa ziemska. Nikt już nie wątpi teraz, że wszystkie warstwowe pokłady powstały jedynie jako osady wodne, i że niema takiej ziemi, którąby nie była kiedyś pod morzem i nie ukrywała w sobie śladów życia morskiego. Wulkanizm zaś, jako reakcya płynnego jądra ziemi, uważamy i teraz jeszcze jako czynnik w plastyce skorupy ziemskiej, gdyż i teraz jeszcze zdarzają się trzęsienia ziemi, raptowne podskoki i zapadnięcia jej; a nadto znamy z geografii fakt niewątpliwy, że z biegiem wieków jedne lądy powoli się obniżają, drugie podnoszą. Cóż więc w tem dziwnego, że kiedyś, gdy skorupa ziemska była mniej grubą, zjawiska takie mogły być częstszemi i gwałtowniejszemi?

Fakt, że nasz planeta był kiedyś cały wodą oblany, znaj-

duje potwierdzenie nietylko w Piśmie św., ale i w kosmogoniach mitologicznych pogan. Z greckiej mitologii wiemy, że ziemia była córką Oceanu. Z filozofów greckich, Thales był absolutnym neptunistą, a przypominamy sobie wiersz z Fausta, z drugiej części, oddający teoryę tego mędrca:

Alles ist durch Wasser entstanden,
Alles wird durch Wasser erhalten.
Ocean! gönne uns dein ewiges Walten!

Owidyusz zaś w Metamorfozach nietylko to samo twierdzi, ale przytacza nawet dowody z własnego spostrzeżenia, że lądy obecne były kiedyś dnem morza:

Vidi ego, quod fuerat quondam solidissima tellus
Esse fretum, vidi factas ex aequore terras:
Et procul a pelago conchae jacuere marinae
Et vetus inventa est in montibus ancora summis,
Quodque fuit campus, vallem decursus aquarum
Fecit; et eluvie mons est deductus in aequor.

Dowodów na to, że i w naszych czasach poziom niektórych lądów się wznosi, innych opada, i że zatopiły się tym sposobem miasta i okolice zamieszkane, nie brak w historyi. Nie potrzeba się uciekać do podań o Atlantydzie. Nie mówię tu o okolicach pochłoniętych falami podczas burzy, która przerwała wały ochronne, lecz o powolnem postępowaniu poziomu morza skutkiem obniżania się lądów, lub o ustępowaniu morza wskutek ich podnoszenia się. Rzecz to powszechnie znana, bo i za naszych czasów się dzieje, choć nawet sami tego nie miarkujemy dlatego, że się dzieje powoli — np. w Szwecyi o 3—4 stóp na jeden wiek.

Jeszcze mniej zdajemy sobie sprawę z przyczyny tych zjawisk. Mówimy, że poziom wody rośnie lub opada, a tymczasem to morze, jakie zwykliśmy uważać za właściwy żywioł ruchu dlatego, że widzimy jego rozhukane fale, zachowuje od wieków poziom niezmieniony, wyjąwszy przypływu i odpływu, lub w chwilach nawałnicy; ląd zaś przeciwnie, ulega powolnemu wahaniu, nawet najstalszy.

Każdy wie, że prawem ciężkości na spodzie naczynia pełnego powstaje z czasem osad, a na spodzie morza i stawów

szlam czyli muł. Osadzają się szczątki mineralne, wodą spławiane i w niej zawieszone; osadzają się i te, które w niej rozpuszczonemi były, a które za ulotnieniem się kwasu węglowego muszą opadać, będąc już nierozpuszczalnemi, jak sole wapienne i żelazne. Przy ogrzaniu i parowaniu wody, osadzą się i inne sole. Ale oprócz mineralnych cząstek, osadzają się zawsze na spodzie także i organiczne, a więc żyjątka najczęściej już martwe, jakie w wodzie przedtem bujały, głównie ich resztki z mineralnych lub rogowych części złożone. W najdawniejszych warstwach skorupy ziemskiej nie znajdujemy jeszcze szczątków życia, później widzimy jednak te szczątki wyraźnie zachowane — a mnogość, rozmaitość form w tych osadach zachowanych i podobieństwo ich do postaci obecnie jeszcze żyjących, stają się tem większemi, im późniejszy ten osad, tj. im bardziej oddalony od pierwotnych, t. zw. azoicznych, osadowych warstw.

Że mimo to przez całe wieki, i do ostatnich nieledwie czasów, prawie nie zwracano uwagi na te ślady życia minionych okresów, zachowane w skamieniałym mule głębin morskich, które się z czasem wyłoniły z oceanu w postaci twardych, wapiennych, dolomitowych, łupkowych lub piaskowcowych skał — że mimo geniuszu malarza Leonarda da Vinci (XV. i XVI. w) i garncarza Bernarda Palissy (w końcu XVI. w.), długo jeszcze nie rozumiano znaczenia tych skamieniałości, ale brano je jak dawniej za traf, za igraszkę natury — to pochodzi nietylko z mylnych pojęć kosmogonicznych, jakiemi się zadawalniano, ale głównie z tego powodu, że jeszcze do niedawna nie mieliśmy najmniejszego wyobrażenia o pełni życia, jakiem tętni morze, niezawodnie w daleko wyższym stopniu, aniżeli ląd stały; oraz że znając już dokładnie faunę i florę lądową, a potrochu także i nadbrzeżną, nie znaliśmy bynajmniej różnicy jej od fauny i flory powierzchni morza pełnego (pelagicznej), a już nic nie wiedzieliśmy o zwierzętach, jakie się znajdują w przepaścistych toniach oceanu, dla których dokładnego zbadania potrzeba było, prócz mikroskopu, i mnóstwa zabiegów, naszym poprzednikom nieprzystępnych. Jedynie geolog mógł do tej pory ze śladów głębinowego życia minionych wieków, ze śladów skamieniałych, jakie znaj-

dował w skałach, które były kiedyś dnem morza, mieć jakieś wyobrażenie o faunie, jaka te tonie kiedyś ożywiała — podczas gdy znowu o faunie lądowej minionych okresów geologicznych mało tylko wiedział. Okresy, w jakich kraj jaki sterczał ponad poziomem morza, tworzą w istocie szczerby w jego paleontologicznej historyi. O zwierzętach lub roślinach, jakie go wtedy zamieszkiwały lub zdobiły, dowiaduje się geolog tylko przypadkiem, tj. wtedy, jeżeli w nurtach morza śmierć znalazły — lub gdy ich szczątki, prądem strumieni do morza porwane, znalazły w jego mule osadowym schronienie na wieki. Dlatego też, jeżeli chcemy mieć pojęcie o tem, z czego powstały skaliste osady, piętrzące się warstwami tuż pod pokładem ziemi ornej, iłu, marglu lub piasku, osadzonym przez słodkie wody *(alluvium, diluvium)*, musimy przedewszystkiem zająć się mułem morskim, mułem, jaki i obecnie ciągle przyrasta, dzięki nieprzerwanej pracy żyjących w morzu i mnożących się na jego dnie jestestw. Jak trudnym do osiągnięcia dla badaczy ten materyał, każdy zrozumie, gdy napomknę, że są w morzu takie przepaście, iż nawet 50.000 stóp długa lina ich nie zgłębiła, i że przeciętna głębokość Oceanu Spokojnego wynosi prawie 15.000 stóp. Ale też każdy zrozumie, jak wielkiej doniosłości są te badania, i to nietylko dla geologii, ale też dla nauk biologicznych wogóle, a zwłaszcza dla zoologii.

Uczeni odróżniają wogóle pięć gatunków szlamu czyli mułu morskiego:

1. Nadbrzeżny, barwy szarej, zielonawej lub czerwonej; w nim znajdujemy okruchy, czasem nawet całe skorupy, najróżniejszych zwierząt morskich, na wybrzeżach żyjących; a więc, w okolicach podzwrotnikowych przedewszystkiem okruchy koralowe i miał z nich, albo t. zw. piasek koralowy; na wybrzeżach zaś niektórych, np. w Molo di Gaëta, piasek morski pełen jest prześlicznych muszelek foraminiferów czyli otwornic; D'Orbigny naliczył ich 50.000 na 1·0 gram.

Prócz tego, prawie wszędzie w tym mule pełno okrzemek, a często i śladów gąbek, tak jak w naszych stawach. Znajdziemy też na drobny miał zmiażdżone okruchy mineralne skał nad-

brzeżnych, lub naniesione rzekami, które nadto spławiają hurtownie szczątki życia organicznego słodkich wód i lądów.

2. Szlam t. zw. g l o b i g e r y n o w y znajduje się już w większem oddaleniu od brzegu, ale nie odpowiada on jeszcze największym głębinom. Przekonano się, że np. dno całego prawie Oceanu Atlantyckiego pokryte jest szczątkami skorupek drobniutkich otwornic: Orbuliny, Pulvinelli, przeważnie zaś Globigeryny. Chemiczny skład mułu, z osadzenia się tych pelagicznych stworzonek powstały, okazał się ten sam, co skład opok kredowej formacyi, a więc węglanu wapna 50—60%, krzemionki 20—30%, nadto FeO i CO_3 MgO.

Globigeryny i inne foraminifery, żyjące gromadnie w morzu, mogą się tylko rozwijać w pewnej głębokości. Poniżej 3000′ już ich jest mało; poniżej 8000′ zupełnie niema, gdyż nie mogą one w tej głębi wyrabiać swych wapiennych, nieraz do porcelany podobnych, muszelek, z powodu nadmiaru kwasu węglowego, znajdującego się w wodzie tych głębin.

3. Miejscami jednak, zamiast globigerynowych skorupek, widzimy w mule morskim przeważające krzemionkowe szkielety t. zw. Radiolaryj. Są to także zwierzątka pelagiczne, tj. w pełnem morzu, ale nie w jego głębi żyjące; mniejsze one jeszcze od foraminiferów. Z powodu promienistego uszykowania części krzemionkowego ich szkieletu, czyli osi, nazwano je *Radiolaryami* [1]. Niemcy nazwali je *Gitterthiere,* tj. k r a t e c z k o w c a m i, z powodu krateczkowej budowy zrębu krzemionkowego. Rozmaitość motywów tych gwiaździstych i kratkowanych szkieletów krzemionkowych przechodzi wszelkie pojęcie, a jedne formy piękniejsze od drugich.

4. Daleko jednak większe rozpowszechnienie i znaczenie w tworzeniu mułu mają t. zw. *Diatomee,* czyli okrzemki właściwe, zaliczane obecnie do alg, a już nie do wymoczków. Osad z okrzemek przedstawia nam się jako złożony z mnóstwa prze-

[1] Polska nazwa dla Radiolaryj najwłaściwsza byłaby, zdaniem naszem: „promieniokrzemki“. Od Radiolaryj należy odróżnić wielki dział promienistych (Radiata, Aetinozoa), do którego wlicza się zwierzokrzewy i szkarłupnie.

ślicznych krzemionkowych pancerzy tych istot tak drobnych, że trzeba 300-krotnego powiększenia do ich badania. Nie brak ich w żadnem morzu, jak i w żadnej wodzie słodkiej.

5. Największe znaczenie ma osad głębinowy, t. zw. ił czerwono-brunatny, w którym niema już śladu wapiennych skorupek foraminiferów, lub innych szczątków, zawierających wapno. Z tych ogromnych toni wydobyto wogóle mało jestestw żywych; były to niektóre mszywioły [1], annelidy i holoturye (strzykwy), z powłokami skórnemi i rogowemi, albo bardzo mało tylko węglanu wapna zawierającemi. W głębinach Japońskiego morza znaleziono także gąbki krzemionkowe w rodzaju Euplektelli [2]. Według Thomsona, ił ten głębinowy powstał z globigerynowego mułu, pod działaniem nadmiaru rozpuszczającego węglan wapna kwasu węglowego, jakiego musi być w wodzie istotnie bardzo wiele przy olbrzymiem ciśnieniu tylu atmosfer. Możnaby go nazwać więc popiołem globigerynowego mułu, skoro się w nim zatarły ślady żyjących w morzu stworzeń. Odkrycie to Thomsona daje nam nowe światło dla wytłumaczenia osadów, w których wcale nic nie znajdujemy skamielin, albo tylko bardzo mało. Nie można się oprzeć myśli, że dużo skał, zwłaszcza z najdawniejszych formacyj, ale także i późniejszych, ubogich w skamieliny, powstało w ten sposób z materyału odpowiadającego temu brunatnemu szlamowi głębinowemu, i że niejedne zbite łupki przedstawiają tylko szczątki zatarte i stwardniałe dawnych osadów foraminiferowych. Odkrycie to tłumaczy nam też powstawanie piasku glaukonitowego, tj. zielonawego, który pod mikroskopem okazał się złożonym z samych tylko krzemionkowych odlewów wnętrza foraminiferowych skorupek. Skorupki same jako wapienne zostały rozpuszczone w CO_2, ale ziarenka piasku przechowały przez wieki kształt ich wnętrznych przegródek, od czasów kredowej formacyi!

Tak to na każdym kroku znajdujemy w tych badaniach potwierdzenie zdania wyżej wypowiedzianego, że Bóg naj-

[1] Bryozoa.

[2] Okaz takiejże gąbki, rzadkiej piękności, został przedstawionym; podobnież i innych gatunków okazy, rysunki i mikroskopowe preperata.

niższych ustrojów i najmniejszych pracowników użył do wykonania największych dzieł w budowie ziemi, wobec których to, na co człowiek się zdobył, wspaniałe gmachy Cezarów i piramidy Faraonów, są chyba ziarnkiem piasku.

Za chwilę poznamy, z jakich to cegiełek ta architektonika podmorska się składa, i że każda z tych cegiełek przedstawia dla nas nie mniej cudowny i zdumiewający widok, jak obraz tej całej, kulę ziemską obejmującej budowli; nadto przyznamy, że szczegóły w strukturze tych cegiełek będą chyba nazawsze niewyczerpanem źródłem wzorów i pomysłów tak dla artysty, jak i dla technika. Ale nim się misternością struktury najdrobniejszych tych cegiełek zajmiemy, odpowiedzmy wprzódy na pytanie, zkąd biorą te żyjątka, gołem okiem niedostrzegalne, ci budownicy morscy, materyał do tak olbrzymich budowli, do tych prawdziwych górotworów? Zkąd je biorą? — a zkąd jod biorą wodorosty morskie, zwane warekami, zkąd inne algi siarkę wydobywają? Z wody morskiej poprostu wyciągają jedne żyjątka potrzebną im okrzemkę, inne fluor i węglan wapna, inne znowu fosforowe lub jodowe związki. Potrafią też one gips czyli siarczan wapna, w obfitości w każdej wodzie morskiej zawarty, przemienić w węglan wapna, tj. dokazują sztuki, jakiej ludzie jeszcze nie potrafią na wielką skalę przeprowadzić. One nam dostarczają gotowego materyału do naszych budowli, do wszystkich prawie technicznych wyrobów naszych; my więc tylko korzystamy z pracy tych nigdy nie strejkujących, najmniejszych robotników, wiekami nagromadzonej. Lekkomyślnik chyba może taką pracą przygotowawczą pogardzać i pomiatać temi żyjątkami, którym tak wiele zawdzięczamy. Mędrzec będzie w tem widział tylko jeden więcej powód i wdzięczności ku Bogu i ukorzenia się przed Jego mądrością, a oprócz tego, badając różne sposoby, jakimi operują ci najstarsi z architektów, będzie odsłaniał jedną po drugiej tajemnicę tej nieustannej twórczości, dla dobra swego i całej ludzkości. On wie, że od najmniejszych najwięcej się może nauczyć, i że dawno już powiedziano:

Natura in minimis maxime admiranda!

II.

Kiedy Strabo, podziwiając piramidy egipskie i olbrzymi posąg Sfinksa, znalazł u stóp ich skamieliny soczewkowatego kształtu, nieco spłaszczone, nummulitami czyli kamiennymi pieniążkami zwane, nie umiał sobie tego faktu inaczej wytłumaczyć, jak tem tylko, że niewolnicy, zajęci przy tych olbrzymich pracach, pozostawili groch czy soczewicę im dawaną, i że ta w tym suchym klimacie z czasem skamieniała. Za Strabonem wszyscy to powtarzali. Obecnie wiemy, że nietylko skały, z których te piramidy powstały, składają się wyłącznie z nummulitów, tj. skorup dużych foraminiferów, i że wielkie przestrzenie puszczy Libijskiej niemi zasłane, ale że przez całą północną Afrykę, Europę i Azyę ciągną się pasma nummulitowego górotworu eocenicznego — jakim jest także dolomitowa skała u wejścia do Kościeliskiej doliny. Skały te przedstawiają nam tylko przekrój osadów kolejnych dna morskiego, które w pewnym okresie było pokrytem nummulitowemi skorupkami. Zróbmy przecięcie dużego nummulitu, a już gołem okiem dopatrzymy się w nim całego systemu przedzielonych przegródkami komórek, systemu tak zawiłego, że i labirynt Dedala pewnie nie był bardziej skomplikowany. Labiryntu tego, jak wiemy, już niema śladu, a biliony nummulitów, jakie pozostały nietknięte, któż policzy? A teraz pomyśleć, ile gatunków innych otwornic czyli foraminiferów z tej samej epoki trzeciorzędowej (eocenicznej) brało udział w tej pracy górotwórczej! W samej kotlinie Wiedeńskiej odróżniono ich 300 gatunków. Z Peszteńskiej posiadamy w zbiorach naszych około 100 gatunków, niektóre tak małe, że ledwo okiem dostrzedz. Cały Paryż zbudowany jest z wapieńca gruboziarnistego, który się z samych prawie foraminiferów składa (formacyi trzeciorzędowej). Jestto gatunek mały; na 1 cal kub. wapieńca obliczono 58.000 muszelek tych foraminiferów, gatunku Milliola; na 1 metr kub. będzie ich więc 3 miliardy!

Skały z formacyi kredowej składają się z mniejszych jeszcze muszelek foraminiferowych. Aby dać wyobrażenie o ich

drobności, obliczył Schleyden ilość zawartych w cieniutkiej warstwie kredy, którą powlekano karty wizytowe. Wypadło na jednę kartę 100.000 muszelek. Niektóre z nich nie przechodzą $\frac{1}{150}$ mm średnicy, są więc wielkości krwinki ludzkiej. Wystarczy poskrobać kredę i położywszy odrobinę tejże na szkiełko, rozjaśnić dodatkiem balsamu kanadyjskiego, aby pod mikroskopem mieć gotowy preparat. Choć mnóstwo skorupek uszkodzonych, naliczył ich Ehrenberg *(Microgaphia geologica)* milion na 1 cal sześcienny, a więc na 1 kg kredy 20,000.000. A teraz pomyślmy sobie, ile tysięcy mil kubicznych powstało tego osadu jedynie podczas okresu geologicznego, zwanego kredowym! A któżby mógł objąć wyobraźnią choćby tylko ilość foraminiferów, obecnie jeszcze (jak np. globigeryny i t. p.) szlam morski wytwarzających, choćby w ciągu jednej doby! Niesposób mi tysiączne a nieraz bardzo zdobne kształty tych muszelek przedstawiać; ale na jednę rzecz zwrócę uwagę, tj. na fakt odkrycia przez Dawsona r. 1864 skamieniałości najdawniejszej w laurentyńskiej formacyi, składającej się z gnejsów i łupków, należących do t. zw. azoicznych, tj. nie mających śladów życia. Mówię o sławnem *Eozoon Canadense,* którego odkrycie tyle hałasu narobiło. Pomyślmy, że formacya ta ma 30.000′ grubości, że za nią idzie kambryjska z niemniej grubymi pokładami, następnie sylurska i t. d.; że warstwy pomiędzy laurentyńskim górotworem a pokładem aluwialnym, który obecnie na spodzie mórz się wytwarza, połączone razem wyniosłyby przeszło 100.000′; uprzytomnijmy sobie teoryę Thomsona, dopiero co wspomnianą, — a dojdziemy do tego, że w tych najnędzniejszych pierwotniakach, jakimi są foraminifery (otwornice), uznamy nietylko rzęd żyjątek najdawniej może i najpilniej nad budową powierzchni ziemi pracujący, ale i to, że suma tej pracy ich, jakkolwiek dałaby się matematycznie obliczyć, przechodzi wszelkie ludzkie pojęcie. Zaprawdę, warstwowa skorupa ziemska jest w znacznej części tylko cmentarzyskiem tych maluczkich ustrojów, które od niedawna dopiero poznawać zaczęliśmy, ale których pracę cenić nauczyliśmy się wyżej od pracy olbrzymich cyklopów, o jakich wspomina mitologia.

Mogęż nie wspomnieć o okrzemkach, jestestwach tak drobnych, że bez pomocy mikroskopu największej z nich nikt nie dostrzeże, budujących sobie pancerze z krzemionki (90%) tak regularne, jak kryształy, a tak misterne, że, wzmacniając coraz więcej mikroskopów potęgę, coraz pyszniejsze tylko w budowie tych podwodnych pancerników wynajdujemy wzory. Dla tej regularności i zdobności kształtów, służą te pancerze okrzemkowe do oznaczania wartości mikroskopów *(Testobjecte)*. Tysiące ich gatunków znamy w wodach słodkich, jak i morskich, w najmniejszej kałuży, jak na dnie oceanu. Rozlane są one po całej powierzchni morza, od równika aż do lodnikowych kresów biegunowych. Prawdziwe kosmopolity, nie potrzebują przystosowywać się do nowych warunków, nie zmieniają wedle nich swego kształtu lub sposobu życia. Takie same gatunki znajdziemy w cieplicach Karlsbadzkich i w zimnych wodach morza biegunowego. Znajdziemy okrzemki czyli diatomee aż w głębinach morskich 13.000' żyjące, i takie same będą żyć na powierzchni wody. W najdawniejszych okresach rozwoju ziemi już istniały, i rzecz dziwna, formy ich przez wieków tych szeregi nic się nie zmieniły. A jak bajecznie prędko się mnożą! Pod mikroskopem widzimy, jak z jednej okrzemki wnet dwie powstają przez rozdzielenie się, czyli przepołowienie. Gdybyśmy mogli dawać im warunki rozmnażania równie korzystne dłużej, to z 2 powstaną wnet 4, 8, 16, 32; w ciągu 48 godzin, z jednej okrzemki będziemy mieli milion, a po drugich 48 godzinach, 140 bilionów!! A chociaż nie potrzeba dodawać, że taki zbiór warunków w naturze nigdy się nie zdarza, to z tego, cośmy przytoczyli, zrozumiemy, że w kilka dni mogą okrzemki utworzyć w wodzie nawet słodkiej grube warstwy tam, gdzie przedtem jedna tylko okrzemka się dostała.

To nam tłumaczy udział diatomei w budowie ziemskiej skorupy. Te 140 bilionów okrzemek odpowiadają wielkości 2 kub. stóp tryplu bilińskiego, z samych diatomei się składającego. Wiadomo, że Berlin zbudowany na ziemi okrzemkowej. Waga jednej z nich wynosi $\frac{1}{1000000}$ miligrama; przeszło 1 miliard na 1 gr. A teraz pomyślmy o skałach i marglach, które z ich szlamu po-

wstały w kredowej formacyi, a z większym już respektem patrzyć będziemy na ten muł i na piankę w każdej u nas kałuży. Drzemie w niej siła, która powołana przez Boga do pracy, zawstydzić mogłaby w kilka dni całą potęgę człowieka. Moglibyśmy przytoczyć dziesiątki i setki miejsc, obfitujących w warstwy okrzemkowej ziemi. W niektórych używają świeżej okrzemczyny, pod nazwą mąki górskiej, do jedzenia, np. w Nowej Gwinei; w Laponii i Szwecyi zwykle się jej do żytniej dodaje. W Lineburgskiej puszczy wydobywają okrzemczynę i używają jej do sączkowania (filtrowania) płynów. Do iluż celów możnaby jeszcze ją wyzyskać. Dawne warstwy okrzemek spotykamy w marglach i skałach wapiennych rozsiane, albo też skupione i zlane z sobą w jednolitą masę, którą nazywamy krzemieniem lub skałą. Pełno takich krzemienistych norek i brył w górotworze kredowej formacyi. Nawet agatów i opalów pochodzenia z okrzemek możemy dowieść, a także i wielu wulkanicznych produktów, gdyż wiadomo, że wulkany wyrzucają dużo okrzemkowej ziemi spopielonej *(pumex)*. Gdy więc ogień krzesimy z krzemienia, gdy ostrzymy kosy nasze osełką, gdy gładzimy proszkiem polerującym naczynia kuchenne dla nadania im połysku, lub różowym tynkiem z tryplu (pelitu) domy nasze powlekamy, zawsze i wszędzie korzystamy z zapasów, jakie nam nagromadziły okrzemki.

Obecnie żyjących w okolicy Poznania okrzemek naliczył F. Sypniewski blisko 100 gatunków.

Mówiąc o krzemieniach i agatach, powstałych ze zlania się okrzemkowych zbitych brył, nie możemy pominąć gąbek *(spongiae)*, których igiełki także w wielkiej części do wytworzenia krzemieni się przyczyniły. Gąbki nie są tak rozpowszechnione, jak okrzemki, ale dużo ich wszędzie w wodach morskich, a nawet i słodkich. Gąbki naszych wód zbadał Wierzejski. Dawniej zaliczano je także do roślin; obecnie do zwierząt się wliczają, i to do jamochłonnych. Budowa ciała pojedyńczego osobnika gąbkowego nader prosta. Całe ciało składa się z galaretowatej masy (protoplazmy), z której się wydziela szkielet, bądź to krzemionkowy, bądź rogowy, bądź też wapienny, w postaci igiełek.

W każdej gąbce jest mnóstwo większych i mniejszych otworów *(pori* i *oscula)*. Jest ona nawskróś przedziurawioną kanałami o ścianach pokrytych migawkowemi komórkami. W budowie, jaka z tych włókienek, igiełek, beleczek, klamer, ankier i sprzączek, razem spojonych, powstaje, nie masz tej symetryi geometrycznej, jaką w pancerzach okrzemek i t. p. podziwialiśmy; ale jest pewna rozmaitość form, która także może zachwycać, mianowicie tego, co bada wiązanie całego zrębu. I tak, nawet nasze krajowe słodkowodne gąbki cudownie umieją splatać wydzielone wewnątrz komórek pojedyńczych gąbkowych jestestw beleczki, w jedno rusztowanie. Ale o ileż więcej nas zadziwia budowa krzemionkowych gąbek morskich, jak Euplektelli, żyjącej na dnie morza, w głębi 13.000′; budowę ma tak misterną, że najdelikatniejsza koronka jej nie dorówna, tak lekką, że jej ciężaru prawie się nie czuje, a tak trwałą, że ciśnienie setek atmosfer znosi doskonale! Daleko człowiekowi do takiej misterności i wytrzymałości wyrobów.

Przypatrzmy się w szczególności Czarze Neptuna. Gąbka ta *(geodia)*, o pniu stosunkowo cieńszym, wyrasta na brzegach Oceanu i dochodzi 2 metr. wysokości. W pewnej wysokości pień się rozszerza, zostawiając w środku próżnię, niby czarę, w którą się dostają wymoczki, mające służyć za pokarm. Migawkowe przyrządy przepędzają je przez otwory i kanały. Któż kieruje tak olbrzymią i wspaniałą budową miriad jestestw, w jednę kolonię połączonych? Wobec tego zjawiska maleje podziw nasz dla budowli pszczół, dla mrowisk i twierdz termitów i ochabów, o których tyle pisano. Co za zmysł ładu i piękna, co za organizacya pracy w tych żyjątkach, pozbawionych wszelkiej wyższej organizacyi, a więc i nerwów! Człowiek się korzyć tylko musi wobec takich cudów w naturze — wyjaśnić ich nie może!

Cóż dopiero mówić o gwiaździstych krzemionkowych wydzielinach radiolaryj, któremi dopiero od niedawna zaczęto się zajmować, a których szkielety, kratkowane lub w promienie się rozchodzące, niedoścignionymi długo pozostaną wzorami ornamentyki dla złotników i dekoratorów. A z czego składa się ciałko tego rizopodu? — z banieczki galaretowej (sarkody), z któ-

rej tak, jak u foraminiferów, rozchodzą się niteczki ruchliwe *(pseudopodia)*.

Tak jest — im mniej zorganizowane jest stworzonko, w tem misterniejszy sposób wyrabia swą cegiełkę do ogólnej budowy; im miększe jego własne ciałko i nędzniejsze jego narządy, tem prawie twardszy i trwalszy materyał produkuje; im mniejsze rozmiary pojedyńczego pracownika, tem większą bywa najczęściej zbiorowa praca jego gatunku, tem większe jego znaczenie w ekonomii świata!

Nie mierzyć się więc człowiekowi z temi wprawionemi od wieków do jednej i tej samej roboty żyjątkami, ani co do masy mechanicznej pracy, ani co do szczegółów dekoracyjnych. Zadanie jego zupełnie inne. Jeżeli chce tylko poznawać tajemnice natury, a to jest jednem z jego zadań; skoro ma on panować nad wszystkiemi stworzeniami, to one mu służyć będą do celów, jakie sobie wytknie, tak jak dotąd mu służyły, choć tej pomocy wcale nie był świadom; będą mu nawet służyć w daleko wyższym jeszcze stopniu. Wolno w to wierzyć, skoro nam wyraźnie powiedziano, że człowiek może i góry przenosić — byle wierzył! Ale, póki tego osiągnąć nie może, póki władza jego nawet na lądzie stałym jeszcze taka ograniczona, póki nie umie do swoich celów wyzyskać wszystkich sił, drzemiących w naturze, która mu najbliższa, niech nie marzy o gospodarce w głębinach morskich, ale z tym większym zapałem niech się bierze do badania ich przyrody. Być może, iż przynajmniej na wybrzeżach i mieliznach będzie mógł rozszerzać lądy umiejętnem kierowaniem budowli głównych nadbrzeżnych pracowników, tj. polipów koralowych.

Nie możemy nad nimi dzisiaj dłużej się zastanawiać. Każdemu wiadomo z podręczników geograficznych, że pewne gatunki zwierzokrzewów, zwanych polipami, wyrastają jak krzaki, i że gąszcze takich korali (polipnie, dziarstwiny) napotykamy w morzach podzwrotnikowych nieraz na bardzo wielkiej przestrzeni, wytwarzające podwodne rafy, tak groźne dla okrętów wpobliżu lądów lub wypukłości podmorskich. Tak np. roztacza

się wzdłuż północno-wschodniego brzegu Australii olbrzymi szaniec koralowy podwodny, broniący do niej przystępu. Podobne szańce poznano i wzdłuż Madagaskaru, Florydy i wielu wysp. Przypuszczam, że znaną jest powszechnie teorya Karola Darwina powstawania wysp koralowych, jakich pełno w Polinezyjskim i Mikronezyjskim archipelagu. Rozróżnia on rafy podbrzeżne *(Strand[Saum]Riffe)*, przedbrzeżne *(Barierre[Canal]Riffe)* i właściwe *atolle*, tj. wyspy, składające się tylko z wieńca raf koralowych, pokrytego gruzem i zielskiem przez morze wyrzucanem, wpośrodku których mieści się jeziorko słone (laguna). Teorya ta opiera się na fakcie, że rafotwórcze korale tylko w pewnej głębokości żyć i rozwijać się mogą. Jeżeli jednak niektóre rafy do kilkuset stóp z czasem urosły, mogło się to stać jedynie pod tym warunkiem, że martwe już pnie, na spodzie tej koralowej gęstwiny spoczywające, znajdowały się kiedyś w znacznie mniejszem od powierzchni morza oddaleniu, tj. że dno morza w tem miejscu powoli się zapadało. Z teoryi tej wynika, że wierzchołki gór podmorskich, na których teraz bujnie rozrastają się korale rafotwórcze, były z początku bezpośrednio otoczone żywym płotem Madreporów, Heteroporów, Milleporów, Astrei, Fawii, Meandrów, Karyofylii i Stefanokorów i t. d.; gdy zaś później coraz bardziej góra się zatapiała, otaczający ją wał koralowy — w coraz dalszym od wierzchołka pierścieniu — nie przestał w miarę opadania lądu się podnosić; a gdy wierzchołek sam dostał się pod wodę, już tylko po tym pierścieniu poznać, że się tam kiedyś góra wznosiła. Z przybrzeżnej rafy wytworzyła się przedbrzeżna, a z ostatniej atol. Tak powstały np. wyspy Maladiwy i Lakediwy, prawdziwe obręcze wąziutkie naokoło laguny. Fala, rozbijająca się o te rafy, narzuciła na wierzch ich tyle szutru i gruzu, szlamu i zielska morskiego, że obecnie najpyszniejsze palmy zdobią te pierścieniowo zbudowane wyspy.

Przypominam tylko dlatego ten każdemu wiadomy szczegół geograficzny, tak pięknie rozwiązany badaniami Darwina, bo — według obliczeń tego autora, opartych na bardzo sumiennych badaniach — obszar lądu zachowanego lub zdobytego pracą polipów w morzu południowem, w geologicznej teraźniejszości

(przeciągu czasu prawdopodobnie dłuższym, aniżeli dzieje rodu ludzkiego), większym jest od całej Francyi i całej Anglii razem. Mało kto miał sposobność widzenia zbliska takiego żywego muru koralowego, o który rozbryzguje się najsilniejsza fala. Okręta starannie unikają takiego niebezpiecznego sąsiedztwa; ale łodzią, przy ciszy, można podjechać i przypatrzyć się widokowi ścielącego się, najcudniejszemi barwami kwitnącego, ogrodu pod wodą. Istny raj zaczarowany! Lecz trzeba jechać ostrożnie; najlżejsze muśnięcie wody wiosłem w niewielkiem oddaleniu wystarczy, aby ten najrozkoszniejszy obraz w jednej chwili zamienił się w smutny krajobraz zimowy. Natychmiast polipy pochowają się w swe kryjówki kamienne, a nagie gałęzie korali sterczące przedstawią już tylko groźne niebezpieczeństwo dla żeglarzy. Urwijmy jednę gałązkę; — trzeba zanurzyć ją w wodzie morskiej i zaczekać, aby znów wypuściła swe ruchome kwiecie.

Te polipy, w porównaniu do żyjątek, o których przedtem mówiłem, są znacznie większe i wyżej zorganizowane. Mają żołądek, osobne otwory dla ust i dla odchodku; usta zaś otacza wieniec chwytaczek ruchomych i czułych, a nadto zaopatrzonych w żegawki, tak że ich dotknięcie sprawia ból niemały. Tylko w jednej rzeczy głównie różnią się od innych, bardziej nam znanych zwierząt, wyżej ustrojonych, tj. tem, że krzewią się jak drzewa przez pączkowanie, i to jakoby drzewa z kamienia, i że wszystkie żołądki pojedyńczych na jednym krzaku polipów łączą się z sobą zapomocą wspólnego kanału chłonnego. Dawniej nazywano je kamieniorostami *(Lithophyta)*, później zwierzokrzewami *(Zoophyta)*; właściwie są to krzewy zwierzęce *(Phytozoa)*. Byli i tacy, co się upierali za tem, że są to minerały w osobliwy sposób krystalizujące. Dopiero długiej było potrzeba walki, nim się utarło przekonanie o zwierzęcej naturze tych jestestw, kształtami drzewo przypominających, o składzie przeważnie mineralnym. O tej walce naukowej radbym kiedyś pomówić szerzej.

Dzisiaj obchodzą nas przedewszystkiem te polipy, co budują rafy, boć one największe w geologii mogą mieć znaczenie; i o nich jeszcze kilka najogólniejszych podamy wiadomości. Trzeba wiedzieć, że nigdy jeden gatunek rafotwórczy nie podo-

łałby przeszkodom ze strony fali. Praca się więc rozdziela. Do przedniej straży przeciwko fali wysunięte są szyki tych gatunków korali, które budują najsilniej, tj. w zbitych masach *(Favii, Meandra)*, kruchliwsze zaś polipniki idą w tył, a najkruchliwsze osiedlają się w lagunie, gdzie zawsze spokojnie i gdzie się roi od najróżniejszych gatunków fauny morskiej. Fala morska bywa nieraz olbrzymiej mocy. Obliczono, że czasami siła ta równa się ciśnieniu 17 ton na 1 metr □. Wali się z grzmotem taka góra wody, rozbijając się o tę zaporę, ciska okrąglakami jakby armatniemi kulami w ten mur żywy z korali i kruszy na miał oderwane gałązki; lecz jeżeli tylko ślad pnia żywego pozostanie, to odrośnie podczas ciszy tem mocniejszy, tem grubszy; a znów wtłoczony w szpary między martwemi już gałęźmi koralu piasek koralowy, stwardniawszy, nadaje tej zaporze odporność cementowej, betonowej skały. Mniej wysunięte naprzód gatunki korali coraz mniej z falą mają do czynienia; w lagunie zaś samej, otoczonej tymi żywymi szańcami, fauna nadbrzeżna występuje w takiej rozmaitości i w takiem bogactwie, że zoolodzy nie mają słów do opisania swego podziwu. Z czasem laguna sama wypełnia się mułem, zamienia się w moczar, który wysycha, i tak z atollu powstaje ląd, wyspa. Ale wiele czasu do tego potrzeba. Agassiz, który się zajmował rośnięciem korałów nad brzegami północnej Ameryki, doszedł do przekonania, że na zbudowanie jednego tylko szańca koralowego z czterech, które się koncentrycznie wytworzyły wzdłuż brzegów Florydy, potrzeba było 8000 lat: na powstanie wszystkich czterech wypadałoby lat 32.000. A trzeba wiedzieć, że cała Floryda, jak się zdaje, powstała z raf koralowych.

Z powodu regularnego wzrastania koralu, nazwano go chronometrem geologa. Zapewne bezpieczniejszym on chronometrem, aniżeli torf, lub muł Nilowy, wedle którego niektórzy archeolodzy obliczać chcieli dawność istnienia człowieka. Lecz korale rafotwórcze oddają różne jeszcze inne usługi geologii. Nie są one kosmopolitami morza, jak okrzemki; przyrosłe do ziemi, nie rozchodzą się poza pewne granice; rozwijają się tylko w pewnej temperaturze, nie znoszą niższej rocznej ciepłoty prze-

ciętnej, jak 21° R. Można je więc nazwać i termometrem geologicznym. Jeżeli gatunki te same prawie, co dzisiaj rafy tworzą, były w poprzedzających okresach bardziej ku północy wysuniętymi, wnosić ztąd można, że wtedy morze to było cieplejszem, aniżeli obecnie. Polipy oddają nam także pod innym względem najrozmaitsze usługi. Możnaby szeroko mówić i o tych, jakie wyświadczają naszym rolnikom, i w jakim stopniu są one regulatorami klimatu, i t. d. Ale czas zakończyć.

Nie będziemy się zapuszczali w kwestyę, czy kiedyś władza człowieka rozciągnie się nad pracą korali i będzie nią kierowała — jakkolwiek kwestya to bardzo ciekawa i ważna. Wykład mój miał głównie jeden cel: zachęcić młodzież do badania przyrody, do rozmiłowania się w niej — i wszczepić przekonanie, że wszystko co się jej tyczy, czy wielkie czy małe, zasługuje na równą z naszej strony uwagę. Wykazałem, że obowiązkiem jest człowieka, któremu otwartemi są wrota do nabywania nauk, korzystać z tego: bo skoro Bóg mu rozkazał panować nad całym żywym światem, musi go wprzód poznawać. Widzieliśmy, że żyjątka tak drobniutkie, iż ich dostrzedz nie możemy, przyczyniły się najbardziej do budowli naszej ziemi — tej ziemi tak obszernej, że człowiek, który ją raz objechał, już się z tego przed drugimi szczyci — tej ziemi, o której drobny szmacik, wynoszący zaledwie jej dziesięciotysięczną lub ćwierćmilionową cząstkę, ludy od wieków zacięte toczą boje.

Zastanówmy się jeszcze nad tem, cośmy przedstawili. — Cóż jest ta ziemia wobec wszechświata, wobec olbrzymich a nieobliczalnych ciał niebieskich, których oddalenie najbujniejszą wyobraźnię przechodzi?... Mniej niż najmniejszy robaczek, niż diatomea wobec ziemi. Stoimy więc między dwiema nieskończonościami, które dla tego, kto chce wnikać w istotę natury, nie mniej mają wagi jedna od drugiej. Wielkie i małe, jako pojęcia wartość rzeczy określające, są to pojęcia, których wyrzec się musi prawdziwy badacz natury. Wszystko co jest, jest tylko cząstką nieskończoności — a gdzież jest miara dla niezmierzonego?... Widzimy, że wartość przedmiotów w eko-

nomii wszechświata nie leży ani w materyi, ani w masie, ani w wadze, ale jedynie w ustroju sił, które w nich działają, i że jedynie ograniczoność zmysłów naszych winna temu, że to co wielkie podziwiamy, a tem co małe pomiatamy. Ale skoro, wzmocniwszy nasze zmysły, zrzucamy z siebie zasłonę, zakrywającą przed oczami część tego co stworzone — to spostrzegamy, że i to co najmniejsze, może mieć siłę olbrzymią. — Nie możemy lepiej zakończyć, jak słowami Lamartina:

Tout est beau, tout est bon, tout est grand dans ce monde.
Aux regards de Celui, qui fit l'immensité,
L'insecte vaut un monde — ils l'ont autant couté.

Dr. Franciszek Chłapowski.

ZATARG SZKOLNY CHEŁMIŃSKI

1554—1557.

(Ciąg dalszy).

Jeden dzień tylko spoczął Marycki w Starogrodzie; trzeciego dnia po swej rozmowie z Lubodzieskim, już wracał do Chełmna, opatrzony zupełnem pełnomocnictwem biskupa, ażeby zrobił wszystko, co tylko uzna za stosowne, ażeby Hozyusza zadowolnić a odwrócić podejrzenia religijne. Lubodzieski zdecydował się, Hoppego natychmiast odpędzić.

Przybywszy do Chełmna, przybrał sobie Marycki dwóch najpoważniejszych rajców, Gelfelta i Hebrarda, i we trójkę udali się do Hoppego. Nie wspomina Marycki całkiem o jakimkolwiek oporze ze strony rajców, choć wiemy, że magistrat chełmiński był nawskróś protestancki; obaj rajcowie, nazwani przewodnikami rady[1], towarzyszyli Maryckiemu w misyi, która dla nich musiała być bardzo niemiłą. Rajcy chełmińscy dali z sobą robić potulnie to, co biskup kazał, a Marycki przemawiał, jako ich zarazem reprezentant[2]. Z odwiedzin tych u rektora mamy relacyę dokładną:

[1] „Senatus culmensis capita".

[2] Donosząc, co Hoppemu powiedział, używa Marycki wyrażenia w liczbie mnogiej: „talia mandata... exposuimus".

Marycki oświadczył imieniem Lubodzieskiego, że biskup, skoro tylko łaska królewska powołała go na to biskupstwo, pragnął zaraz i przedewszystkiem szkołę chełmińską nietylko wznowić, ale też według możności podnieść i uświetnić. Dlatego chciał mieć z początku rektora z Krakowa, a dopiero gdy ztamtąd nie można było nikogo dostać, wzięto Hoppego. Przyjął go biskup, gdyż zaręczano, że dlatego właśnie z Królewca musiał uchodzić, ponieważ brzydzi się „wszystkimi tymi fanatycznymi obłędami, które mącą teraz świat chrześcijański i rozrywają różnymi sposobami niepodzielną szatę Chrystusową"; zaręczano, że jest i pozostanie katolikiem; zresztą nie miał niczego innego uczyć, jak tylko nauk humanistycznych i filozofii. Inaczej jednak się stało. Hoppe jawnie przyznaje się do protestantyzmu, w tym duchu chłopców prowadzi i uczy ich właśnie tego, czego oduczać trzeba; skutkiem tego padają podejrzenia na szkołę, a co ważniejsza, nawet na osobę biskupa, a teraz doszło już do tego, że bez wstydu i uszczerbku osobistej dobrej sławy żadną miarą nie można pozwolić, żeby się dalej szerzyły takie pogłoski i podejrzenia. Tyle hańby sprowadził Hoppe na Chełmno, że zasługuje w zupełności, ażeby go natychmiast ztąd wyrzucić; ażeby jednak nie powiedziano, że go potępiono i skazano bez sądu, więc ich[1] biskup posyła, ażeby przez nich się dowiedzieć, ile w pogłoskach tych jest prawdy. „Chcemy się tedy najpierw zapytać, czy jesteś katolikiem; nie dlatego, ażebyśmy przypuszczać mieli, że odpowiesz przecząco, ale dlatego, że sprawa nasza wymaga, żeby na samem czele postawić takie pytanie".

Marycki dobrze wiedział, że odpowiedź wypadnie twierdząco, i sam zwraca na to uwagę, że „wszyscy heretycy to mają wspólnego, że nie znalazł się jeszcze między nimi nikt, ktoby nie twierdził, że jest katolikiem i że pozostał w obrębie Kościoła"; wiedział też co do osoby Hoppego, że niedawno zapowiedział wydanie katechizmu „według nauki katolickiej", nie mógł tedy mieć wątpliwości, że rektor będzie wymagał, żeby go za katolika uwa-

[1] Tutaj użył Marycki także liczby mnogiej: „nos missos esse"; rajcy przyjęli to w milczeniu.

żać. Hoppe odparł z uśmiechem, że z pewnością jest katolikiem i wyznaje naukę katolicką i apostolską. Wiedział, że wyznaje co innego, niż Marycki, ale on właśnie to co innego umyślnie katolickiem nazywał. Definicya ścisła katolicyzmu w przeciwieństwie do protestantyzmu dopiero poczynała się wytwarzać, jeszcze można było udawać, że się nie wie, gdzie granica jednego a drugiego; to też w takiej dyskusyi, jak ta z Hoppem, trzeba było samemu dodać zaraz definicyę i pytanie, dla nas dziś tak jasne i wyraźne, wesprzeć jeszcze jakiem innem, dotykając jakiego kryteryum wyznaniowego z praktyki religijnej. Tak też postąpił Marycki. „Nie wystarcza mówić o sobie, że się jest katolikiem — rzekł — jeżeli się tego nie stwierdzi stanowczym dowodem; dowodu zaś takiego dostarczyć mogą najłatwiej pewne artykuły wiary, bo podczas gdy heretycy tyle mają w nich wątpliwości, Kościół katolicki z niewzruszoną pewnością o nich właśnie uczy; a zwłaszcza artykuł o usprawiedliwieniu, ten zasadniczy artykuł naszej religii[1]. Więc jak sądzisz, czy dostępujemy usprawiedliwienia i zbawienia przez samą wiarę, czy też także przez uczynki?“ Teraz, na to pytanie, szczera odpowiedź byłaby już zupełnie wystarczającą. Hoppe zbyt dobrze wiedział, co jest, a co nie jest katolickiem; kłamać nie chciał, próbował tedy odpowiedź wyminąć i zaczął mówić, iż nigdy mu się nie przyśniło, że go sprowadzają na tak poważną dysputę; prosił, żeby mówili wprost o szkole, jeżeli mają mu w sprawach szkolnych dać jakie zlecenia. „Do zdawania sprawy ze swej wiary tylko samemu Bogu jestem obowiązany, Bogu, który czyta w sumieniu każdego“.

Marycki odpowiedział, że nie na dysputę się zeszli, ale na egzamin z polecenia biskupa, bo biskup musi wiedzieć, czy jest katolikiem ten, kto u niego drugich ma uczyć, ażeby błędami swymi nie zaraził młodocianych umysłów. Wzywał Hoppego, ażeby całkiem szczerze złożył wyznanie swej wiary przed swym biskupem, bo jest do tego zobowiązany, jako swemu pasterzowi duchownemu i jako przełożonemu swego urzędu, który

[1] „Quod religionis nostrae caput est“.

u niego i przez niego sprawuje; wszak ten biskup musi za niego odpowiadać przed ludźmi i Bogiem.

To odwołanie się do poczucia obowiązku, poskutkowało; Hoppe, jakkolwiek wiedział, że się naraża w tej chwili, poglądy swoje na tę sprawę wypowiedział całkiem otwarcie i bez zastrzeżeń [1]. Następnie zapytał go Marycki, ile jest jego zdaniem sakramentów; przedtem zaś w domu zajrzał sam do katechizmu, który Hoppe zaprowadził w szkole, a w którym trzy tylko wyliczono sakramenta: Chrzest, Rozgrzeszanie [2] i Sakrament Ołtarza. Hoppe nie miał ochoty odpowiedzieć wprost i kategorycznie, zaczął odstępować od przedmiotu; natenczas Marycki powołał się na szkolny katechizm, i zapytał, jakiem prawem liczbę sakramentów uszczuplić kazał do trzech, skoro Kościół przez tyle wieków siedm uznaje i o siedmiu uczy. Rektor odparł z niechęcią, że nie może przecież chłopców naraz o wszystkich uczyć. Był to słaby wykręt, dość dziwnie brzmiący w ustach Hoppego, który nie zwykł był ukrywać swoich przekonań. „Jakżeż tedy, — nastawał na niego Marycki — czyż przeładowałoby się umysły chłopców, gdyby się im najpierw wbiło w pamięć katolicką liczbę sakramentów, a potem przystępowało do nauki o każdym zosobna!“ Nie czekając odpowiedzi, zadał odrazu trzecie pytanie, jak powinien jego zdaniem przyjmować Komunię św. świecki katolik: czy pod jedną postacią, czy pod obiema? Hoppe odrzekł całkiem niedwuznacznie i bez wahania, że *sub utraque*. Marycki wystąpił teraz ze

[1] Powiedział, że uważa się za usprawiedliwionego przez śmierć Zbawiciela, którego krew oczyściła go z grzechów, uczynki zaś wcale do zbawienia nie są pomocne; należy się o dobre uczynki starać jedynie dlatego, że tak przykazano, lecz nie w tej myśli, jakobyśmy przez nie usprawiedliwienie osiągnęli. Marycki pisze słusznie, że to nie po katolicku, że to sprzeciwia się słowom Apostoła, który powiedział, że usprawiedliwi nas wiara taka, która przez uczynki jest żywa *(fide per caritatem operante)*. Nie zwracał jednak na to wcale uwagi Hoppego, bo nie miał zamiaru odbywać z nim dysputy, a do egzaminu, o który wyłącznie chodziło, miał przygotowane jeszcze dwa pytania.

[2] „Absolutio“. Powszechnie przyjmowali protestanci tylko dwa sakramenta.

swoją odpowiedzią, oczywiście w Starogrodzie jeszcze przygotowaną, i zakazał mu od tej chwili uczyć w szkole i Chełmno wogóle w ciągu tygodnia opuścić kazał.

W oczach Hoppego była to straszna i barbarzyńska kara, i uważał się za bardzo pokrzywdzonego; wszakże Lubodzieski dawno o nim wiedział, kim jest, a nic nie mówił, milczeniem tedy zachęcać go się zdawał — zkądże więc teraz taka surowość? Nawet potulni rajcy, świadkowie tego egzaminu, ośmielili się... prosić o złagodzenie kary. Hebrard rozpłakał się nad losem Hoppego, a może też nad przyszłością „szczerego słowa bożego", bo był gorącym zwolennikiem „piątej ewangelii"; ale nie śmiał wystąpić przeciw wyrokowi zasadniczo, o tem nie było mowy; prosił tylko, żeby „nie obchodzić się z poważnym i uczonym rektorem tak, jak gdyby się dopuścił jakiej gardłowej zbrodni". Marycki miał wyraźny rozkaz, żeby w przeciągu tygodnia Hoppego wyrzucić; sam z własnej woli nie mógł tego terminu przedłużyć, ale wskazał im przynajmniej, żeby się do biskupa udali o pozwolenie odroczenia wyjazdu. Póki był u Lubodzieskiego w Starogrodzie, zależało mu na tem, ażeby w myśl Hozyusza wymódz na biskupie wyrok jak najsurowszy, bo chodziło o stanowcze wyrwanie biskupa z błędnego toru, na który wchodził; zależało też na tem, żeby wyrok w tej srogiej formie ogłosić rektorowi i rajcom, bo chodziło o pokazanie im, że to być musi, a tego niewolno, że Chełmno jest posiadłością biskupa, który jest (przynajmniej odtąd będzie) bezwzględnym w duchu katolickim, a ma władzę i sposoby wymuszenia posłuszeństwa. Skoro jednak tym zasadniczym postulatom stało się zadość, jakiż mógł być powód pastwić się nad... bliźnim, którym dla katolika jest także każdy protestant? Bardzo źle świadczy o Lubodzieskim ta okoliczność, że nie dał Maryckiemu pełnomocnictwa przedłużenia tego terminu. A gdyby Marycki był człowiekiem moralnie złym i literalnie trzymał się był swej instrukcyi? Marycki mógł nie dopuścić całkiem prośby Hoppego do biskupa, którego sam był sekretarzem, mógł go za kilka dni wypędzić bez środków do życia, zanimby wiedział, dokąd się ma udać. Na szczęście Marycki był lepszym człowiekiem od Lubodzieskiego; pragnął po-

konać nieprzyjaciela, ale nie chciał się nad nim pastwić i sam rajcom kazał udać się do biskupa i prawdopodobnie sam się wstawił, żeby dać Hoppemu miesiąc czasu do ułożenia swych interesów. Przed Hozyuszem zasłaniał się tem, że pozwolenia tego udzielono nie ze względu na Hoppego lub Chełmińczyków, ale tylko z konieczności, przez wzgląd na chłopców, żeby nie zbroili czego, pozbawieni dozoru; chłopców przybyłych z dalszych stron, z Polski i z Rusi, trzeba odesłać do domu, a tem się Hoppe musi zająć; nie będzie jednak sprawował już urzędu i przestaje uczyć. Było to tylko wymówką, bo przecież Hoppe nie jeździł z każdym chłopcem zosobna do domu, a w Chełmnie bawiąc przez jeden jeszcze tylko miesiąc, nie mógł już pilnować młodzieży, „żeby czego nie zbroiła“, bo już na to nie miał czasu; zajęty być musiał własnymi interesami, bo trzeba było obmyśleć sobie nowy sposób do życia; o ile zaś nie o uczenie, ale tylko o pilnowanie chłopców chodziło, mógł Hoppego wyręczyć ktokolwiek. Wymówkę tę wymyślił może Lubodzieski, bojąc się, czy Hozyusz nie ma mu za złe łagodności; ale Hozyusz nie był tyranem, wymówka była niepotrzebną. Skoro Hoppego ze szkoły usunięto, można było Hozyuszowi powiedzieć śmiało, że pozwolono rektorowi pozostać w mieście ze względów ludzkości, i to nie miesiąc, lecz wogóle póki sobie nowego urzędu, czy sposobu do życia, gdzieindziej nie znajdzie. Leżało teraz w interesie samegoż Hoppego przyspieszyć swój wyjazd o ile możności, bo w Chełmnie był bez stanowiska i bez chleba.

Nie powinno nas dziwić, że Lubodzieski bał się okazać zbyt łagodnym; ale przykro nas razi, że Marycki nie znał pod tym względem Hozyusza i w liście do niego za dobrą monetę podaje mu tę tak niezgrabną wymówkę, zamiast mówić otwarcie, co myśli.

Właśnie odbywał się w Grudziądzu sejm pruski [1]. Mie-

[1] Prusy nie stanowiły prowincyi Korony Polskiej, ale były w teoryi oddzielną całością państwową, związane z Polską unią personalną; ztąd oddzielne sejmy pruskie, dwa do roku. Stronnictwo „egzekucyjne“ dążyło do obniżenia tych sejmów do rzędu sejmików partykularnych, żądając,

szczanie chełmińscy zbyt bezsilnymi się czuli, ażeby sami mogli coś poradzić, ale zajęła się sprawą Hoppego wpływowa szlachta pruska. Achacy Czema, wojewoda malborski, porozumiał się z innymi senatorami pruskimi, i w ich imieniu, a zarazem imieniem całej szlachty chełmińskiej, wypowiedział wcale ostrą mowę w sejmie [1], której treść przytoczmy za sumiennem źródłem spraw pruskich:

„Całe rycerstwo chełmińskie ucieszyło się wielce, gdy biskupem został Lubodzieski, pruski indygena, spodziewając się, że ziemia ta znajdzie u niego poparcie swych potrzeb. Ale tymczasem szlachta wielce jest dotkniętą, skoro biskup chce rozpocząć dzieło zniszczenia dopiero co wznowionej szkoły chełmińskiej, oddalając rektora nielegalnie, niesprawiedliwie i ze szkodą powszechną. Nie mamy w Prusiech żadnej porządnej szkoły, oprócz chełmińskiej; należało tedy otoczyć ją pieczołowitością, bo potrzeba kraju, wzgląd na nieodzowne wykształcenie młodzieży, wymaga tego, ażeby szkołę tę uważać nietylko za własność miasta Chełmna, ale całej prowincyi pruskiej, a nawet polskiej Korony; aż tam bowiem sięga jej pożytek! a więc podniósłszy ją z prochu, należało ją obsadzić dobranem gronem nauczycieli, a w takim razie po krótkim czasie zapełniłaby się szczelnie nietylko dziećmi pruskich obywateli, ale też znaczniejszą ilością zagranicznej młodzieży. Ileż radości było z tej nadziei! Tem większa boleść na nas spada, gdy słyszymy, że biskup (gwałcąc prawo miejskie) uwolnił rektora, zakazując mu uczyć, z miasta nawet wypędzając. Nie wypadało tego czynić, nie porozumiawszy się przedtem z rajcami i ze zwierzchnością szkolną. Chełmno, podobnie jak inne miasta, ma z dawien dawna prawo (*salvis iuribus* zwierzchności duchownej) mianować do swych szkół rektora i innych nauczycieli, opłacać ich i według własnego uznania przyjmować lub oddalać; tego prawa nikt miastu

---

żeby Prusy wyprawiały posłów na sejmy walne koronne i im się poddały. Długo jeszcze po roku 1569, zachowały Prusy wiele odrębnych instytucyj.

[1] Lengnich, *Geschichte der preussischen Lande*, II. 113 sq.

odjąć nie może, bo miasto szkołę założyło i hojnie uposażyło, biskupi zaś nie dali na to ani szeląga. Biskup twierdzi wprawdzie, że tego rektora nie można cierpieć, ponieważ przybył z miejsca podejrzanego w wierze; ja zaś zaręczam pod przysięgą, że miejsca tego, z którego dla Prus Królewskich tyle płynie pożytków, nie należy łajać w ten sposób i podejrzanem przezywać. Zarzucają nadto rektorowi, że przed laty był na naukach w Wittenberdze, a więc mógłby młodzież błędami zarazić. Ależ niejeden z tego kraju tam nauki odbywał, a każdy z nich według sił swoich pracuje dla powszechnego pożytku. Zburzcież szkołę w Chełmnie, a dopiero wtenczas nasza młodzież będzie musiała wędrować do Wittenbergi i innych miejsc podobnych! Nie każdy szlachcic lub mieszczanin opływa w dostatki, wielu nie stać na to, żeby syna utrzymać na akademiach za granicą, a większość z konieczności obejść się musi bez tego i synom nauki odmówić; taki z tego byłby skutek, że nietylko zabrakłoby ludzi zdatnych, ale należałoby się obawiać, że kraj popadnie w barbarzyństwo i nareszcie zupełnie upadnie. Pierwszy z tych skutków już się nam i tak daje we znaki; patrzmyż, jakie osoby piastują probostwa, nie mówiąc już o innych godnościach — ależ zaledwie dwudziesty jest Prusakiem, a reszta sami obcokrajowcy. Mamyż na przyszłość wszystkich uczonych ludzi z obczyzny sprowadzać? Biskup oświadczył wprawdzie, że sprowadzi na miejsce tego, innego, nowego rektora, któryby był dobrym katolikiem; ale takie postępowanie dotyka niemile szlachtę i mieszczaństwo, a dla samej szkoły jest niebezpieczne, bo biskup oddalił tego rektora, nie porozumiawszy się ze zwierzchnością, nie przesłuchawszy go, kazał mu tak nagle usunąć się z miasta; a rektor ten nie przekroczył w niczem granic swego filozoficznego zawodu.

„Chociażbyśmy nie myśleli o złych następstwach, które wyniknąć muszą z takiego postępowania, sumienie samo nakazuje nam nie opuścić rektora, tem bardziej, że łączy się z tem troska o należyte wychowanie dzieci. Prosi tedy senat i cała szlachta chełmińska, a z nią kraj cały uprasza, ażeby biskup zastanowił się jeszcze nad tem, co się stało, i żeby nie przyspieszał idącego

za tem upadku szkoły chełmińskiej, — bo o to należy się obawiać — ale przeciwnie, ażeby dla dobra tej szkoły zechciał zachować rektora na urzędzie; a to tem bardziej, że niema najmniejszej obawy, iżby ten mąż miał młodzież sprowadzić na bezdroża, bo młodzież widzi przecież w Chełmnie codziennie na własne oczy dawne obrządki; gdyby jednak musiała wyjechać dla nauki za granicę, tam właśnie zagnieżdżony już gdzieniegdzie nowy obrządek mógłby wywrzeć bardzo silny wpływ na słabe jeszcze umysły. Gdyby zaś ta prośba miała przebrzmieć bez skutku, trzeba będzie pójść użalić się — wyżej".

Szlachta chełmińska złożyła mowcy publiczne podziękowanie, a Lubodzieskiemu dawano wręcz do zrozumienia, że nie potrafią się obejść bez szkoły w Chełmnie i jej nauczycieli; zwierzchnicy szkolni [1] (przybyli widocznie umyślnie na sejm) dołączyli też swe prośby.

Lubodzieski był w kłopocie; niezdecydowany, nie wiedział co począć. Przed kilku dniami ustąpił pod naciskiem Hozyusza, aż teraz oto znalazł się pod naciskiem jeszcze silniejszym. Za nic w świecie nie chciałby, żeby go podejrzywano o sprzyjanie heretykom, nie mógł tedy bezwarunkowo Hoppego pozostawić na stanowisku; z drugiej strony nie chciałby wykopywać przepaści między sobą a całą Chełmińszczyzną. Mowca nie oszczędził mu też osobistej przymówki; ustęp o dawnym obrządku kościelnym w Chełmnie zakrawał na drwinki i miał widocznie właściwie znaczyć: Biskupie, czego ty naraz teraz udajesz tak gorliwego? Na końcu mowy znów groźba, że pójdą do króla ze skargą! A nuż Zygmunt August — uważany za wątpliwego w wierze — będzie tego zdania, że biskup niepotrzebnie rozwinął swą gorliwość? Swego zdania Lubodzieski nie miał, a cudze były dwa wręcz przeciwne: Hozyusza i Czemy. Byłby zapewne najchętniej poszedł za zdaniem królewskiem — ale królewskiego nie znał; król daleko, a tu odpowiedzieć Czemie trzeba. Nie

[1] Był w Chełmnie rodzaj rady szkolnej miejscowej, do której delegatów mianowała rada miejska; dwóch z nich, zwanych „prowizorami", miało sobie powierzoną administracyę szkoły i jej funduszów. Jak się wywięzywali z tego zadania, zobaczymy następnie.

odpowiedział jednak zaraz; namyślił się w domu i nazajutrz dopiero głos zabrał:

„Nie szczędziłem przez pewien czas ani trudów, ani kosztów, ażeby ściągnąć do szkoły chełmińskiej zdolnych ludzi z Krakowa i z innych miejsc; skoro jednak to się nie udało z powodu braku chętnych uczonych, udzieliłem pozwolenia starszyźnie miejskiej, żeby sobie sami potrzebnych nauczycieli sprowadzili. Gdy to nastąpiło, zaczęto powszechnie podejrzywać moją osobę, jakobym usuwał się od posłuszeństwa Kościołowi katolickiemu, a zwracał się ku tej nowej, szerzącej się wierze. To było przyczyną, że poleciłem swemu oficyałowi i kanclerzowi zbadać tę sprawę dokładnie; a ci, rozmówiwszy się osobiście z rektorem, wyśledzili więcej, niż ogół sądzi. Nie wypada w biskupiem mieście cierpieć nauczyciela, który przez błędne zdania odszczepił się od Kościoła; nie można tedy było pozostawić rektora na urzędzie, boby to nie licowało z obowiązkiem biskupim". Chcąc jednak uwzględnić według możności zanoszone za nim prośby, przyrzekł Lubodzieski, że jeszcze przez ośm tygodni pozwoli mu sprawować swój urząd, w nadziei, że przez ten czas „Bóg dopomoże miastu i szkole w tej potrzebie w jaki inny sposób".

Lubodzieski postąpił sobie jak najniekonsekwentniej. Należało pozwolić Hoppemu pozostać w Chełmnie, póki sobie czego nowego nie znajdzie, można było przyznać mu jakie odstępne gotówką — pod tym względem można się było posunąć do najdalej idących ustępstw — ale żadną miarą i bezwarunkowo nie należało przywracać mu urzędu ani na jeden dzień, bo najdrobniejsze ustępstwo pod tym względem naruszało zasadę. Mylił się biskup, jeżeli sądził, że obrał średnią drogę, o którą mu zapewne chodziło; on obrał właściwie drogę skrajną, tylko że uczynił to nieśmiało. Skoro po pierwszej zaczepce w sejmie pozwolił Hoppemu uczyć dwa miesiące, mogło to uchodzić za wskazówkę, że pozwoli na dłużej, na coraz dłużej i tem dłużej, im większy nacisk wywrze się na niego: okazało się bowiem, że biskupowi zasadniczy punkt sprawy jest niejasny lub obojętny, i że dadzą się na nim wytargować zasadnicze ustępstwa.

Precedens już był — należało tylko targować się dalej. Przeciwnicy, wyżsi od biskupa konsekwencyą działania i jasnym planem, nie namyślali się też do następnego dnia, czy i jak podziękować Lubodzieskiemu; zabrali głos natychmiast, na tem samem posiedzeniu, przez usta Achacego Czemy, i... nie dziękowali wcale, tylko nacierając śmiało żądali, żeby Hoppego stale w Chełmnie zostawić.

Czema przemawiał śmiało, a w materyi wiary rektora odezwał się w te słowa: „Uważamy Hoppego jednomyślnie za pobożnego chrześcijanina i nikt go nigdy nie przekonał o fałszywą religię; nie nauczał wcale żadnych błędów. Ogłoszony przezeń drukiem program szkolny wykazuje, że to jest filozof, który nie podejmował się uczyć niczego więcej, jak tylko nauk świeckich, a tego zakresu nigdy nie przekroczył, chyba że wykładał dzieciom prostym sposobem najważniejsze przykazania i artykuły wiary. W tym zaś wykładzie używał takich samych słów i zwrotów, jakich się używało w tej szkole od lat dwudziestu, zanim ją nanowo urządzono, a poprzedni biskupi nic przeciw temu nie mieli".

Teraz podniosło też głowę mieszczaństwo, zachęcone widocznie przez szlachtę; milczące dotychczas, odezwało się po mowie Czemy, pewne już poparcia sejmu. Przełożeni szkoły wybrali mowcę, który biskupowi w oczy takie powiedział rzeczy:

„Nadzór, przyjmowanie i oddalanie nauczycieli należy do nas. Jeżeli rektor dopuści się jakiego wykroczenia w szkole, my go na dobrą drogę sprowadzimy. Jeżeli zaś obecnie zagadnięty o kilka mniemań religijnych, nie odpowiedział może tak, jak sobie życzono, to nie ma nic do rzeczy; skoro nie był nauczycielem teologii, więc nie jest powinien nikomu zdawać sprawy z swych przekonań religijnych. Nigdy się nie zdarzyło jeszcze, żeby w tym kraju nauczyciel miał tracić urząd z powodu kwestyj teologicznych!"

Sejm zaapelował do króla; postanowiono bowiem bezwarunkowo Hoppego w Chełmnie utrzymać. Równocześnie zaprotestowano uroczyście przeciw wszelkiej ingerencyi biskupa w sprawy szkolne, aż do rozstrzygnięcia tej sprawy przez króla. Sporzą-

dzono na sejmie publiczny instrument notaryalny protestacyi i apelacyi, a Hoppego zatrzymać polecono. Dnia 3 października zebrano się urzędowo na ratuszu grudziądzkim. Przyszedł Achacy Czema, wojewoda malborski, a z nim inni senatorowie pruscy: wojewoda pomorski Jan Działyński, kasztelan gdański i chełmiński Jerzy Konopacki, starostowie radzyński, grudziądzki i kowalewski, posłowie szlachty ziemi chełmińskiej, tudzież prowizorowie szkoły chełmińskiej, Eberhard Rogge i Jan Wahl; ci wszyscy, jako bezpośrednio interesowani i ze sprawą Hoppego się solidaryzujący, a nadto dwóch uproszonych świadków, mieszczanin gdański Franciszek Schultze i grudziądzki Jan Sieghard. Przygotowano akt protestacyi, obejmujący dokładny przebieg obrad sejmowych w tej sprawie, z dosłownem powtórzeniem przemówień biskupa, Czemy i prowizora szkolnego w oryginale niemieckim, dodano w łacińskim wstępie swoje poglądy na rzecz całą, i uzupełniwszy wstępnemi i końcowemi łacińskiemi formułami, zażądano od sprowadzonego notaryusza „publicznego instrumentu“ i urzędowych kilku kopij. Notaryusz opatrzył akt narazie t. zw. „apostołami“ [1], formalny dokument miał przygotować w najkrótszym czasie [2].

Z wielkiej chmury mały deszcz — apelacyi tej do króla nie wysłano; domyślać się należy, że próbowano tylko nastraszyć Lubodzieskiego. Wytargowano też na nim jeszcze jeden miesiąc prolongaty, ale nic więcej. Hozyusz był na sejmie (jako biskup warmiński i pierwszy Prus senator, był niejako marszałkiem sejmowym), a chociaż z urzędu odezwać się nie mógł, bo to była prywatna sprawa między Lubodzieskim a miastem Chełmnem, nie zasypiał jednak zapewne sprawy poza godzinami sejmowemi; Marycki także w Grudziądzu bawił, mógł tedy Ho-

[1] „Apostolis“ wyraża się nasz dokument, widocznie tak nazywano to w potocznej mowie: właściwie powinno być „apostillis“. „Apostillum“ jestto uwierzytelniony urzędowo przypisek na dokumencie, zwłaszcza na podaniach; także odpowiedź na podanie tak nazywano, jeżeli ją napisano zaraz na marginesie supliki; ztąd „apostillum“ oznacza też czasem dopisek marginesowy wogóle.

[2] Aż dotąd Lengnich II. *Documenta* nr. 16, str. 25—35 drugiej części książki.

zyusz oddziaływać na Lubodzieskiego, nie widując się nawet z nim wcale poza sejmem. Hozyusz był tego zdania, ażeby biskup chełmiński ze swej strony uprzedził protestancką opozycyę i przeciw niej sam wezwał pomocy króla. Hozyusz zawsze był wierny swej taktyce: zaczepiać, nie czekać aż przeciwnik zaczepi. Zastanówmy się nad wartością tego odwołania się do tronu jednej i drugiej strony.

Protestanci odmawiali biskupowi prawa dysponowania szkołą, zastrzegając je wyłącznie dla starszyzny miejskiej. Król miał rozstrzygnąć, kto posiada to prawo? Na tem zasadzała się właśnie cała istota apelacyi. Powoływano się na to, że nigdy biskupi szkołą nie rządzili; prawda — ale dlatego dawniej praw do szkoły nie mieli i całkiem sobie nie rościli, bo miasto nie było ich własnością. Od roku jednak 1505 Chełmno należało do kościelnego państwa chełmińskiego, wyłączonem zostało z ziemi i województwa, straciło prawo posyłania reprezentantów na sejm, słowem, było prywatną posiadłością biskupią, zupełnie tak samo, jak np. sąsiednia Łobawa, lub jak Siewierz biskupów krakowskich. Można było spisywać całe tomy suplik i protestów przeciw takiemu stanowi rzeczy, ale póki go nie zniesiono, musiano go uważać za istniejący i w kwestyach prawnych obowiązujący. Wobec tego zaś apelacya chełmińska była bezprzedmiotowa, ze stanowiska prawnego nie było właściwie żadnej kwestyi spornej, bo Lubodzieski miał prawo robić w Chełmnie co mu się podobało. Ta sprawa prawnego stanowiska miasta Chełmna żywo zajmowała umysły; była wśród pruskich Stanów dość silna tendencya, ażeby Chełmnu przywrócić dawniejsze przywileje i zrobić je nanowo wolnem królewskiem miastem; zbierano akty, wertowano archiwa, odbywano zjazdy i narady — posiadamy do tej ciekawej sprawy spory zasób źródeł — ale też im bardziej zależało na powodzeniu sprawy, tem bardziej wypadało nie tykać jej, póki zupełnie nie dojrzeje i póki nie nastaną jak najprzyjaźniejsze dla niej okoliczności. Wystąpić z nią przygodnie, bez należytego przygotowania, było niebezpiecznie i znaczyłoby tyle, co wywoływać wilka z lasu. Otóż rozumiało się samo przez się, że w razie, gdyby na dworze kró-

lewskim roztrząsano z urzędu sprawę Hoppego, poruszonoby tam sprawę prawnego stanowiska miasta Chełmna, bo w tej sprawie tkwiło kryteryum prawnicze dla tamtej. Skoro zaś równocześnie nie wprowadzano przed forum królewskie sprawy ogólnej, zasadniczej, wyrok w tej szczególnej, zgóry należało przewidywać, że należy ona do biskupa, jako pana miasta. Zapewne, nic łatwiejszego, jak przez wpływy protestanckich dygnitarzy (z potężnym wojewodą wileńskim, Mikołajem Radziwiłłem, na czele), skłonić króla, ażeby wpłynął na Lubodzieskiego, iżby Hoppego zostawił; biskup ten ugiąłby się niewątpliwie przed jednem słówkiem królewskiem. Ale cóż z tego, że wygranoby prywatną drogą tę sprawę, skoro równocześnie wywołanoby w kwestyi bez porównania ważniejszej orzeczenie urzędowe, zabójcze na przyszłość dla sprawy chełmińskiej? Zależało im na Hoppem; zależało jeszcze bardziej na tem, żeby tryumfować nad biskupem; ale o ileż bardziej zależało na uwolnieniu Chełmna, które w danym razie posłałoby dwóch posłów z głosem stanowczym do sejmu i wtenczas dopiero, wolnem miastem będąc, sprawie protestanckiej walne oddaćby mogło usługi właśnie przez tę swoją szkołę. Narazie, chociażby nawet Hoppe miał zostać, byłby ten tryumf sprzedaniem dziedzictwa za miskę soczewicy. Ten to wzgląd zapewne powstrzymał ich od wysłania do króla gotowej już apelacyi.

Z drugiej strony wzywanie króla przez biskupa, jak tego chciał Hozyusz, byłoby tylko niepotrzebną demonstracyą. Nie stało się nic nielegalnego, a dopóki opozycya trzymała się drogi legalnej, nie było racyi udawać się do króla. Chyba tylko przez wzgląd na osobę Lubodzieskiego doradzał to Hozyusz. Lubodzieski, dodawszy jeden miesiąc Hoppemu, znów nieco ustąpił; mogła zachodzić słuszna o niego obawa, że ustąpi jeszcze bardziej; gdyby zaś udał się do króla, przeciąłby sobie drogę do odwrotu i cofnąć się nie mógłby już bez osobistego wstydu. Kto wie, czy Lubodzieski nie byłby uczynił nowego ustępstwa, gdyby apelacyę do króla wysłano, czy nie chciałby uprzedzić na wszelki wypadek możliwe życzenie królewskie? Ale apelacyi nie wysłano, biskup chełmiński nie potrzebował sobie łamać

głowy nad tem, co też król powie; protestanci, ze względu na inną, donioślejszą dla nich sprawę, pogodzili się z losem Hoppego, o ileby biskup dobrowolnie nie ustąpił; Hoppe starał się oczywiście na wszelki wypadek o nowe stanowisko i w krótkim czasie zgodził się na rektora do Elbląga; przez to cała sprawa przestała być aktualną, i tak, dzięki zbiegowi tych okoliczności, Lubodzieski wyszedł z niej obronną ręką, jakoby energiczny a gorliwy biskup katolicki. Wiemy, że naprawdę nim nie był; a sprawa skończyła się ustąpieniem Hoppego nie dlatego, że Lubodzieski tak chciał, ale dlatego, że wszystkie inne wpływy, na niego działające, po krótkim bardzo czasie osłabły, a został tylko jeden, działający zawsze z jednakiem natężeniem: wpływ Hozyusza. Wycofali się senatorowie pruscy, wycofało się mieszczaństwo, on jeden pozostał na placu zawsze jednaki i taki sam, bo się nie liczył z żadnymi ubocznymi względami; nie potrzebował się dzielić, mógł całą energię skupić zawsze na jeden punkt, i dlatego wygrywał.

Na wyjezdnem z Grudziądza, Hozyusz rozmówił się osobiście z Lubodzieskim, i stanęło na tem, żeby uwiadomić króla. Lubodzieski jednak po namyśle postanowił nie posyłać. Kiedy donosił o tem zmienionem postanowieniu Hozyuszowi, dnia 30 października, Hoppe prawdopodobnie umawiał się już do Elbląga. Znając zaciętość Hozyusza, przewidywał Lubodzieski możliwość, że Hozyusz sam od siebie króla uwiadomi; prosi go tedy, żeby bez porozumienia się z nim żadnego kroku nie przedsiębrał, zaręczając, że Hoppe, gdy termin trzechmiesięczny minie, ustąpi z Chełmna [1].

Hozyusz atoli koniecznie chciał, żeby Lubodzieski Maryckiego do króla wyprawił. Chodziło mu oczywiście o to, żeby zmusić biskupa do takiej deklaracyi, po której już żadną miarą nie mógłby się cofnąć. Namawiał Lubodzieskiego do tego pod tym pozorem, że na sejmie zbyt gwałtownie przemawiano przeciw niemu, a więc powinien się na to poskarżyć, żeby król zuchwalców zgromił. W listopadzie pisał jeszcze raz w tej sprawie

[1] *Hosii Epistolae* nr. 1289.

do chełmińskiego biskupa, i zdaje się wyrzucał mu przy tem, że wobec namiętnych przemówień przeciwników, sam nie zdobył się na należyte, surowe odparcie ich pocisków. Lubodzieskiemu zaczęła się przykrzyć ta opieka Hozyusza; odmówił stanowczo w liście z 14 listopada[1]. Umiarkowany ton swej odpowiedzi usprawiedliwiał tem, że nie życzył sobie, ażeby do tem większego doszło wzburzenia umysłów. „Niemniej przeto, o ile sobie przypominam, odpowiedziałem w ten sposób, że nie mogą żadną miarą chełpić się, jakobym im sprzyjał, ani też nie mogą powiedzieć, żebym był ustąpił pod ich naciskiem (wiemy, że ustępować jednak począł). Co zaś do moich poddanych Chełmińczyków, którzy nie wiem zkąd się wtenczas zebrali na większą śmiałość i za dużo zaczynali robić wrzawy, postaram się o to przy pierwszej sposobności, żeby tego żałowali i żeby się przekonali, że mają nad sobą kogoś, którego trzeba bardziej szanować i z większą uległością wobec niego się zachowywać". Hozyusz straszył nadto Lubodzieskiego tem, że go na dworze królewskim będą podejrzywali o skryte sprzyjanie nowinkom religijnym. Odpowiedział na to Lubodzieski wcale zręcznie: „Sądzę, że zbytecznem byłoby posyłać do króla; ufam bowiem najzupełniej, że list Waszej Przewielebności, z pełnem świadectwem prawdy, a tak poważny i tak wiarogodny, całkowicie mię tam oczyścił z fałszywych podejrzeń i mylnych o mnie sądów".

Hozyusz był niezadowolony, ale zmusić biskupa do posyłania na dwór królewski nie mógł. Co szczególna, że jeszcze bardziej od Hozyusza narzekał na to Marycki; czy może dlatego, że sam miał być tym posłem do króla, a więc ominęła go miła bądźcobądź wycieczka, a dla ludzi jego zawodu podwójnie pożądana, bo mierności robią karyery tylko przez znajomości, a gdzież do nich większa sposobność, jak w zetknięciu z dworem monarszym? Czy może udawał tylko przed Hozyuszem, że go to tak bardzo obchodzi, ażeby sobie tem bardziej pozyskać coraz wpływowszego prałata? To fakt, że Hozyusz aż go pocieszać musiał listownie, żeby nie był z tego powodu tak „przy-

[1] *Hosii Epistolae* nr. 1295.

gnębiony“ [1]. Z drugiej strony Lubodzieski kazał mu przed Hozyuszem udawać chorego, i tem się też wymawiał, że nie ma kogo posłać, a kanclerza zapadłego na zdrowiu wyprawić nie może. Marycki pisał też z początku Hozyuszowi, że choruje „odkąd powrócił z Grudziądza“ [2].

Gdy się nie udało Hozyuszowi nakłonić Lubodzieskiego do złożenia oświadczenia na dworze królewskim, wymyślił sobie wkrótce nowe żądanie.

Powstał w umyśle Hozyusza pomysł, czyby się nie dało nawrócić Hoppego; myśl ta zrodziła się zapewne pod wpływem trudności, jakie miano ze znalezieniem jakiego następcy po nim, o których to staraniach niżej rzecz będzie. Zapewne, najlepiej byłoby, gdyby się Hoppe nawrócił i w Chełmnie został; najlepiej dla szkoły, a dla sprawy katolickiej tryumf największy, bez porównania większy od zmuszenia go do opuszczenia miasta. Zdaje się, że Hozyusz rozumował w ten sposób: skoro nie można dostać do Chełmna nauczyciela równie dobrego, jak Hoppe, urządzi się tymczasem prowizoryum, a Hoppe będzie mógł wrócić każdego czasu, skoro tylko odwoła swe błędy; gdyby była nadzieja odzyskania dawnego rektora, prowizoryum mogłoby trwać nawet czas dłuższy — a tymczasem trzeba pracować nad Hoppem i starać się go przekonać.

Któż miał przekonywać i nawracać Hoppego? Marycki teologiem nie był, a Lubodzieski, choć biskup, umiał teologii prawdopodobnie mniej od Hoppego. Hozyusz zadanie to postanowił wziąć na siebie.

Była to sprawa ze względu na Lubodzieskiego nader delikatnej natury. Pominąć chełmińskiego biskupa nie można było, bo sprawy szkolne chełmińskie zawsze bezpośrednio od niego zależały; bez niego się obejść nie można było żadną miarą. Trzeba tedy było do niego napisać w tej kwestyi. Szkoda, że nie posiadamy tego listu Hozyusza; ale choćby jak najoględniej był pisany (o ile Hozyusz pisać i mówić oględnie umiał) —

[1] „Fracto animo“, *Hosii Epistolae* nr. 1296.
[2] *Hosii Epistolae* nr. 1290.

prośba o przysłanie Hoppego na rozmowę religijną, zawsze wychodziła na to, że Hozyusz, lekceważąc Lubodzieskiego jako teologa i biskupa, chce załatwić jego sprawę, ponieważ mu nie ufa. Ale Lubodzieski na szczęście nie był wcale drażliwy na tym punkcie; napisał zaraz do Hoppego [1], że Hozyusz pragnie się z nim rozmówić. Kopię swego listu do Hoppego przesłał Hozyuszowi, ale nie posiadamy jej dzisiaj; nie wiemy tedy, w jaki sposób Lubodzieski rektorowi rzecz przedstawił. Odpowiedź tego ostatniego mamy zachowaną w liście Lubodzieskiego do Hozyusza z 19 grudnia 1554 [2]; jest tak charakterystyczną, że warto tę część listu przytoczyć w tłumaczeniu:

„Z kopii mego listu, którą tu załączam, dowie się Wasza Przewielebność, co sam do Hoppego pisałem. On zaś odpowiedział mi przez posłańca, że do żadnego błędu się nie poczuwa, a więc nie ma też z czego się oczyszczać; jeżeli zaś w czem zgrzeszył, winienby się z tego usprawiedliwiać raczej przede mną, skoro podlega niejako mojej juryzdykcyi, ale nie być odsyłanym do kogoś drugiego. Albowiem jeżeli ma być wyprawionym do Waszej Przewielebności na dysputę o religii katolickiej, powiada, że żadną miarą nie przystanie na to, ażeby się miał podejmować roztrząsania rzeczy, których sam nigdy się nie uczył; nie uważa się bowiem za teologa, ale za filozofa i nauczyciela nauk wyzwolonych. Wkońcu dodaje, że nigdy nie zamierza mieć cokolwiek do czynienia z Pismem św., lecz chce wykładać chłopcom wyłącznie filozofię i nauki humanistyczne, których sam się uczył. Takie mniej więcej słowa Hoppego".

Po tym liście nie można się było już w żaden sposób łudzić; trzeba było pomyśleć tem bardziej o następcy Hoppego. A tu w sam raz zachodziła obawa, że Hoppe na urzędzie pozostanie znacznie dłużej, niż przypuszczano. Wojewodowie: chełmiński Stanisław Kostka, i malborski Achacy Czema, ze starostą malborskim Stanisławem Myszkowskim, utworzyli między sobą

[1] Lubodzieski przebywał stale w Lobawie, nie w Chełmnie; główną zaś rezydencyą biskupią była Chełmża; kościół katedralny był w Chełmży, nie w Chełmnie.

[2] *Hosii Epistolae* nr. 1309.

tryumwirat celem zatrzymania dawnego rektora. Naprzykrzali się Lubodzieskiemu częstymi listami, żeby Hoppego przynajmniej do maja zatrzymał [1]. Byłoby to z jego strony nowem, a znacznem ustępstwem; przydając rektorowi po miesiącu, potem po kwartale, stwarzałoby się precedensa takie, że w praktyce wyszłoby to na zatrzymanie go na urzędzie. Lubodzieski szedł zaś zwykle za tym, kto w ostatniej chwili silniejszy nań wywarł nacisk; u niego wszystko było możebnem. Osobiście nie miał on zresztą nic a nic przeciw Hoppemu; gdyby nie Hozyusz, nie byłoby całej tej sprawy. Dowodem niezbitym najzupełniejszego osobistego indyferentyzmu Lubodzieskiego pozostanie ta okoliczność, że po tem wszystkiem, co zaszło, Hoppe nie przestał wcale być nauczycielem dwóch siostrzeńców biskupich [2]. Nie da się to usprawiedliwić względem na to, że innego nauczyciela narazie nie było, a chłopcy nie mogli przestać się uczyć; człowiek konsekwentny, a zasad ścisłych, nigdyby nie postąpił w ten sposób, ażeby trzymać nadal niemal w swem rodzinnem kole tego samego nauczyciela, któremu na sejmie kazało się w ciągu tygodnia opuścić miasto. Dla katolickiego biskupa sprawa była tak zasadniczą, że żadną miarą nie powinien był pozostawić mu nadal swych siostrzeńców; nawet gdyby zmuszony okolicznościami pozostawił Hoppego w szkole chełmińskiej, siostrzeńców swoich powinien był bezwarunkowo ze szkoły odebrać. Skoro tego nie uczynił, okazuje się, że nie był w duchu tem, czem przedewszystkiem być winien: katolickim księciem Kościoła. Co dałoby się usprawiedliwić u setki katolików świeckich, to się usuwa zgóry od wszelkiego usprawiedliwiania u biskupa, który nie powinien znać żadnych a żadnych względów wtedy, gdy chodzi o zasadę.

Hozyusz, skłoniwszy Lubodzieskiego do wystąpienia przeciw Hoppemu, przyrzekł mu zarazem wystarać się o innego re-

[1] *Hosii Epistolae* nr. 1309.
[2] Tamże nr. 1320.

ktora. Miałem sposobność przy innem opowiadaniu [1] zwrócić uwagę, jak trudno było o dobrego nauczyciela, zwłaszcza w Prusiech, a zarazem, jak w owych czasach zależało od doboru osoby nauczyciela bez porównania więcej, niż dzisiaj. Tamże zaznaczyłem, jak po różnych doświadczeniach, które Hozyusz poczynił ze swoją szkołą, postanowił nareszcie przyłączyć ją do chełmińskiej. Skutek z tego byłby taki, że Hozyusz owładnąłby wcześniej czy później tę ostatnią. Nie trzeba się rozwodzić, o co to Hozyuszowi właściwie chodziło; wystarczy przypomnieć czytelnikowi, że szkoła ta słynęła nietylko w Prusiech, ale i u postronnych, że miała znaczne stosunkowo fundusze, a więc trwały byt zapewniony, i wywierała wpływ znaczny. Pytanie, czy Prusy będą w przyszłości katolickie czy protestanckie, zależało w znacznej części od tego, w jakim duchu szkoła chełmińska wychowa tę młodzież, która po pewnym czasie weźmie w swe ręce bieg spraw publicznych w Prusiech. Hozyusz rozumiał wybornie, jakim niezawodnym orężem jest szkoła; klęską Kościoła było, że około r. 1550 niewielu jeszcze prałatów katolickich rozumiało to należycie, podczas gdy protestanci poznali się powszechnie na wartości szkoły już około r. 1530.

Hozyusz miał wówczas szkołę w Heilsberdze, a rektorem był magister Absalon Meisniger, o którym pisałem już w poprzedniej rozprawce. Tego Hozyusz chciał posłać do Chełmna na miejsce Hoppego. Lubodzieski się zgodził i zapytywał 30 października 1554 Hozyusza, jak się rzeczy mają z tą propozycyą. Podrażniony przez swoich Chełmińczyków, którzy odmawiali już biskupowi prawa mianowania nauczyciela, byłby Lubodzieski chętnie na złość sprowadził teraz kogo innego, kogokolwiek, byle tylko stwierdzić swe prawo przyjmowania i oddalania rektora. Chciał jak najwcześniej wystąpić z tem wobec mieszczaństwa chełmińskiego, i dlatego 14 listopada zapytywał Hozyusza powtórnie o Meisnigera. Minął miesiąc; w połowie grudnia Lu-

[1] Por. *Przegląd Powszechny* 1891, kwiecień i maj: „Szkoła Hozyusza w Prusiech".

bodzieski pisał po raz trzeci [1], ale wszystko na nic się nie zdało. Meisniger do Chełmna iść nie chciał; zbyt blisko przebywał i zbyt dobrze znał stosunki, ażeby wiedzieć, że następcę Hoppego czeka tam jak najgorsze przyjęcie, tysiące szykan i przykrości; można było być pewnym, że nowy rektor będzie znienawidzonym przez całe miasto. Meisniger nie chciał iść na tę ciernistą drogę, a do poświęceń nie czuł powołania. Hozyusz też poświęcenia się od niego nie wymagał, skoro nie chciał iść dobrowolnie; przyznajmy, że dobrze zrobił, nie zmuszając Meisnigera do tego, bo nie miał prawa wymagać od niego poświęceń. Zresztą gdyby go chciał zmuszać, mogłoby się skończyć na tem, że magister do Chełmna byłby nie pojechał, ale porzuciłby w dodatku — Heilsbergę.

Hozyusz w tych trudnościach sądził, że ma prawo wymagać pewnego poświęcenia od innej osoby, mianowicie od Maryckiego; wezwał też wprost Lubodzieskiego, żeby mu tymczasem szkołę powierzył [2]. Marycki jednak poświęcenia się stanowczo odmówił, nie chcąc — jak się wyraża — narażać swego życia. Bardzo być może, że miał racyę. Oburzenie na niego było powszechne, żądano na niego sądu i kary, odgrażano się. Kasztelan chełmiński przestrzegał go, żeby się miał na baczności, bo się na niego zmawiają. Marycki opisał to wszystko Hozyuszowi w żałosnym tonie. „Nawet chłopcy gotowi się porwać czynnie na tego, który im wydarł (jak sądzą) ulubionego nauczyciela“. Nietylko życie, ale i dobrą sławę można tam stracić, naraziwszy się na skandale i śmieszności [3].

Marycki był w trudnem położeniu wobec Hozyusza, który własną miarę przykładał nieraz do drugich i przez to żądał zawiele od przeciętnych ludzi. Sytuacya kanclerza chełmińskiego była drażliwą, przykrą, a nawet nieznośną — bo Hozyusz chciał go zrobić odpowiedzialnym za to, że Hoppe ciągle w Chełmnie przebywa. Żądał od Maryckiego, żeby tak samo, jak on, wziął

[1] *Hosii Epistolae* nr. 1289, 1295 i 1309.
[2] Tamże nr. 1311.
[3] Tamże nr. 1320.

Lubodzieskiego w kluby i taki sam na niego wywierał wpływ — zapominając o tem, że Marycki był przecież osobiście od Lubodzieskiego zawisłym i na jego służbie. Zbytek gorliwości z jego strony mógł go pozbawić stanowiska, a tegoby sobie Hozyusz zapewne nie życzył. I tak Lubodzieski miał Maryckiego w podejrzeniu; przejął nawet kilka listów kanclerza, pisanych do Hozyusza. Marycki był pomiędzy tymi dwoma biskupami, jak między młotem a kowadłem. Podejrzenie, rzucone nań przez Hozyusza, jakoby zaczynał protegować Hoppego i przyczyniał się do przedłużenia jego pobytu w Chełmnie, było całkiem nieuzasadnione i przypisać je należy wyłącznie krewkości Hozyusza.

(Dok. nast.).

Dr. Feliks Koneczny.

POCHODZENIE I RODZINA

KS. PIOTRA SKARGI POWĘSKIEGO.

Skarga miał to przed innymi Złotego Wieku przedstawicielami szczęście, że bodaj pierwszy doczekał się godnej imienia swego biografii. Przed czterdziestu przeszło laty, kiedyśmy jeszcze o Kochanowskim, Reju czy Górnickim, nie mówiąc już o wielu drugorzędnych, a przecież wybitnych owej epoki pisarzach, poza ogólnikami bardzo tylko skąpy zasób pozytywnych wiadomości posiadali, pojawiło się i rozmiarami i treścią poważne dzieło Dzieduszyckiego [1], kreślące z zamiłowaniem i sumiennością na szerszem tle dziejowem wizerunek niezrównanego kaznodziei. Ale na tem też i koniec. Odtąd, w przekonaniu, iż szkieletem wszelkiej pracy o pisarzu jakimś i jego dziełach musi być, o ile można, jak najobfitsza liczba faktów treści historycznej i biograficznej, rzucono się gorliwie do poszukiwań za szczegółami życia i rodziny wielu nawet bardzo podrzędnych pisarzy — dla Skargi (że pominę rozprawy popularyzujące dzieło Dzieduszyckiego) nie uczyniono niemal nic. A jednak pozostaje tu jeszcze niemało do zdziałania, wiele luk domaga się wypełnienia, niejeden szczegół sprostowania. Może rzecz niniejsza posłuży za zachętę do poszukiwań w tym kierunku.

[1] Maurycy Dzieduszycki (M. J. A. Rychcicki): „Piotr Skarga i wiek jego". 2 t. Kraków 1850/51, wyd. II. r. 1868/9.

I.

Działo się to dnia 22 października r. 1640 na zamku krakowskim, przed urzędem starościńskim, odbywającym właśnie roki sądowe grodzkie. Z rejestru, zawierającego spis spraw, mających w dniu tym przyjść pod rozsądek sądowy, wywołano z kolei sprawę Jana Ścibora Chełmskiego, łowczego i poborcy generalnego województwa krakowskiego, przeciw Janowi Powęskiemu wytoczoną; a skoro sąd stwierdził, iż obydwie strony, mianowicie powód sam osobiście, pozwany zaś przez plenipotenta swego Jana Brzozowskiego, komornika ziemskiego zatorskiego, na termin stanęły, przedłożył Chełmski skargę swoją, odczytując kopię pozwu tej mniej więcej treści [1]:

„Stanisław na Wiśniczu Lubomirski, wojewoda i starosta generalny krakowski, na mocy władzy królewskiej i urzędu, jaki piastujemy, nakazujemy tobie Janowi Powęskiemu, dóbr Zielenic, Błogocic i Racławic z jakiegokolwiek tytułu dzierżawcy, abyś się przed nami czyli sądem naszym starościm krakowskim na rokach spraw spornych, mających się odbyć w poniedziałek przed najbliższem świętem ŚŚ. Szymona i Judy, osobiście i zawicie stawił na żądanie instygatora tegoż urzędu naszego, z powodu doniesienia Jana Ścibora Chełmskiego, łowczego i poborcy generalnego wojew. krak., który opierając się na prawach Królestwa i laudum sejmikowem, niedawno w Proszowicach uchwalonem, pozywa cię o to, iż będąc szlachcicem nowym, dobra ziemskie dzierżysz, poboru zaś łanowego (który powinieneś, jako szlachcic nowo kreowany, podług przerzeczonych praw i laudum proszowickiego [2], opłacać w kwocie 12 złp. od każdego łanu w dobrach twych istniejącego), jak ci się to z rejestrów poborowych wykaże, nie uiściłeś, narażając się skutkiem tego na kary

[1] Protokół z przebiegu rozprawy w *Decr. off. castr. Crac.* l. 152, f. n. ante Simonis et Judae.

[2] Uchwała sejmu warsz. r. 1640. *Vol. leg.* III. p. 980. Laudum woj. krak. na sejmiku proszow. 19 czerwca 1640 r. Ibid. p. 989.

przeciwko zadzierżycielom podatków publicznych uchwalone. Dan na zamku krak. w poniedziałek po Ś. Franciszku Wyznawcy".

Po odczytaniu pozwu prosił Chełmski, aby sąd zniewolił pozwanego do natychmiastowego sprawienia się z zarzutu; Brzozowski natomiast uroczyście zaprotestował przeciwko powodowi, jako temu, który niesłusznie uchybia szlachectwu, i zastrzegłszy sobie swobodę dochodzenia prawem krzywdy wyrządzonej przez to klientowi swemu, oświadczył, iż Powęski nie jest bynajmniej nowokreowanym szlachcicem, lecz pochodzi ze starożytnego rodu szlacheckiego Skargów Powęskich, pieczętujących się herbem Prus, będąc synem Franciszka Skargi Powęskiego i Anny Głuchowskiej herbu Jastrzębiec, a wnukiem Michała Skargi Powęskiego i Anny, córki „szlachetnego" Stanisława Świętka. Na poparcie tego twierdzenia przedstawił najpierw autentyczny przywilej, nadany przez Zygmunta III. na sejmie 1 czerwca r. 1593 ojcu Jana Powęskiego, Franciszkowi, a obejmujący potwierdzenie szlachectwa [1]. Osnowa przywileju mogła nawet zaspokoić ciekawość sądu co do okoliczności towarzyszących aktowi tego potwierdzenia. Oto niektórzy z zebranych na sejmie senatorów przedstawili królowi imieniem Franciszka Skargi Powęskiego — brata ks. Piotra Skargi Powęskiego — iż tenże Franciszek pochodzi ze starodawnego rodu szlacheckiego, pieczętującego się Prusem, że — na dowód czego okazali z aktów czerskich dobyte świadectwa wielu ziemian powiatu czerskiego i warszawskiego — zarówno ojciec jego Michał Skarga Powęski, jak i matka Anna Świętkowska *(sic!)*, należeli do szlachty herbu Prus, posiadającej dziedzictwem wieś Powęski, w powiecie warszawskim, że wreszcie i samże Franciszek żadnej szlachectwu swemu nie przyniósł skazy, bo i za żonę pojął szlachciankę, Annę Głuchowską herbu Jastrzębiec, i mimo, że stałą sobie siedzibę w mieście królewskiem Grojcu obrał, nie trudnił się przecież niegodnym klejnotu szlacheckiego zarobkiem z handlu lub rzemiosła, ale żył zawsze zwyczajem ziemian godziwie z roli. Prosili tedy króla, iżby powagą swoją osłonił Franciszka, aby mu i na przyszłość

[1] Zob. Dodatek 1.

przebywanie w Grojcu nie przyniosło jakiej ujmy w szlachectwie. Prośbie tej okazał się król powolnym, orzekając, za zgodą sejmujących stanów, iż Franciszek Skarga Powęski z całem swem potomstwem, w szczególności zaś z synami: Wojciechem, Janem i Stanisławem, używać ma bez przeszkody wszystkich tych przywilejów i prerogatyw, jakie powszechnie całej przysługują szlachcie.

Do świadectwa tego przyłożył Brzozowski i drugie, mianowicie kopię aktu zeznanego w grodzie czerskim 29 kwietnia 1591 roku. Akt ów stwierdził, iż Jan z Czarnolasu, syn Stanisława z Czarnolasu i Małgorzaty, córki Michała Skargi, tak ze strony ojczystej jak i macierzystej, przedstawił krewnych, którzy pod przysięgą zeznali jego niewątpliwe szlachectwo[1]. Jeśli więc — rozumował Brzozowski — Czarnolaski wywód swojego szlachectwa opierał na szlacheckiem pochodzeniu Skargów, to jestto najoczywistszy dowód, iż Jan Powęski nowym szlachcicem nie może być mianowany. Nakoniec podniósł i tę okoliczność, iż klient jego aż do bieżącej chwili bez żadnych przeszkód tytułu szlacheckiego i praw ztąd płynących używał, czego dowodem bądź przywileje nadane mu przez króla na pewne królewszczyzny za znakomite usługi, położone około Rzeczypospolitej w różnych wyprawach wojennych, zwłaszcza zaś w potrzebie przeciw księciu moskiewskiemu, bądź też listy podskarbich koronnych.

Wyczerpawszy tymi argumentami obronę, prosił Brzozowski, iżby sąd klienta jego od sprawy bieżącej, jako niewłaściwej i niesłusznie wytoczonej, uwolnił, a na delatora za to, iż niesłusznie pozwał, karę statutem określoną nałożył. Zabrał jeszcze głos i Chełmski, w replice swej jednak nie przeciwstawił wywodom strony przeciwnej nic, jeno konstytucyę sejmu warszawskiego z r. 1601. Z artykułu: „Postanawiamy to na potym, że my i potomkowie nasi żadnego do szlachectwa przypuszczać nie mamy, jedno któryby był nam od senatu i posłów ziemskich,

[1] Aktu tego w dosłownem brzmieniu dostać nie mogliśmy. Archiwum Główne w Warszawie nie posiada bowiem kompletu aktów grodzkich czerskich z owego czasu. Wspomniane w przywileju „świadectwa wielu ziemian powiatu czerskiego i warszawskiego“ są zapewne niczem innem, jak szumnem wywodu tego opisaniem.

a w wojsku od hetmana zalecony... A żeby potajemnie to się nie odprawowało, przeto każdego takowego szlachectwo konstytucyą objaśniać będziemy; inaczej żaden list na szlachectwo ważny być nie ma“ [1] — starał się dowieść, iż przedłożony przez pozwanego przywilej, jako w konstytucye nie wprawiony, prawomocnym nie jest, a więc i pozwanego od nałożonego na nową szlachtę poboru zwolnić nie może. Zarzut zbyt kruchy, iżby go obrońca Powęskiego natychmiast obalić nie mógł, podnosząc, że przywilej ów wydany został lat ośm przed przytoczoną konstytucyą, która orzekając jedynie, jaki ma być w przyszłości postępek zachowywany, dawnym przywilejom bynajmniej nie uwłacza.

Z tem wszystkiem nie uznał się sąd grodzki powołanym do rozstrzygnięcia sprawy, ale odesłał ją do najbliższego sejmu, motywując dekret swój tem, że skoro pozwany przedłożył przywilej królewski i sądowy wywód szlachectwa, rozpatrzenie tego rodzaju aktów nie leży w zakresie grodu, a przysługuje jedynie królowi i sądowi sejmowemu.

Odesłana na sejm, doczekała się sprawa ukończenia dopiero 2 marca 1643 r. Przebieg ostatecznej rozprawy — do której obydwie strony osobiście stanęły — nie różnił się niczem od tego, jakiśmy powyżej poznali. Te same przytoczył argumenty Chełmski, przy swoich też upierał się Powęski. Wyrok zapadł na korzyść ostatniego. Orzekł mianowicie król, iż Powęski nie jest obowiązany do płacenia poboru w tej kwocie, jak go prawa na nową nałożyły szlachtę, i nie potrzebuje po raz wtóry wywodzić, iż szlachectwo wziął w spadku po przodkach, skoro się to z przywileju Zygmunta III. dostatecznie wyjaśnia. Co się tyczy Chełmskiego, zwolnił go król w drodze łaski od kar, grożących tym wszystkim, którzy bezpodstawnie czyje szlachectwo obmawiają [2].

---

[1] *Vol. leg.* II. p. 1502.

[2] *Rel. castr. Crac.* l. 69, p. 869.

II.

W Polsce, rzecz znana, jedynie stan szlachecki tworzył właściwy, pełnią praw obywatelskich uposażony naród; wszystkie inne stany były wobec niego mniej lub więcej upośledzone. To samo aż nadto jasno tłumaczy, że dla plebejusza nie mogło być nic pożądańszem, jak wejść do tego uprzywilejowanego koła. Dostęp otwierała nobilitacya, której uzyskanie przecież nie było zbyt łatwe. Działo się więc nierzadko, iż ten lub ów plebejusz, aby dojść do upragnionego celu, radził sobie, podszywając się wprost pod miano szlachcica i szlacheckie sobie przywłaszczając prerogatywy. Że nielegalne przyswajanie sobie tytułu szlacheckiego już wcześnie się wydarzać musiało, dowodem artykuły o wywodzie szlachectwa, objęte najdawniejszymi statutami. Nie brakło wypadków takich i w XVI. w. Grunt do podobnych nadużyć podatnym czyniły przedewszystkiem trzy okoliczności: znaczne rozrodzenie się szlachty, pociągając za sobą równoczesne zubożenie jej, a zatem i mimowolne zbliżenie ku warstwom nieszlacheckim; kolonizacya, przenosząc liczne jednostki w otoczenie nowe, dając zatem możność zatarcia śladów pochodzenia temu, komu na tem zależało: nareszcie zaś zawsze jeszcze niedostateczna ścisłość wymagana w dochodzeniu szlachectwa [1], obok tego, że prawo nobilitacyi, jak niemniej potwierdzenia szlachectwa, należało ciągle jeszcze do króla, nie skrępowane zezwoleniem stanów, co dopiero konstytucya z r. 1578, a dobitniej z r. 1601, wprowadziła.

Zaskarbiwszy sobie łaskę i względy królewskie bez szczególniejszych już trudności, wyjednywał sobie plebejusz dyplom, stwierdzający (co pod względem prawnym równo znaczyło z nobilitacyą) jego „niewątpliwe“ i „odwieczne“ szlachectwo, mimo to, że istniały świadectwa dowodzące czegoś wręcz przeciwnego. Za klasyczny w tym względzie przykład posłużyć może

[1] Zawarowały ją dopiero konstytucye późniejsze, mianowicie z r. 1601. *Vol. leg.* II. p. 1502.

Górnicki, który i sądownie szlachectwo swe wywiódł i zatwierdzenie takowego w przywileju królewskim uzyskał, w chwili kiedy najbliższa rodzina jego poprzestawała jeszcze i na gminnem nazwisku i na kondycyi mieszczańskiej. Oczywista więc, że jeśli chodzi o prawdę historyczną, przedstawiają przywileje tego rodzaju świadectwa bardzo niepewnej wartości i na bezwzględną wiarogodność nie zawsze zasługują. Z tych powodów uledz też musi zakwestyonowaniu i powyżej wymieniony dyplom Zygmunta III. Mniejsza o to, że znajdujemy w nim szczegóły nieprawdziwe, jak ten, iż Powązki, w przywileju Powęskami nazwane, były dziedziną Skargów, podczas gdy w rzeczywistości wieś ta właścicieli prywatnych nie miała, będąc do r. 1526 wsią stołową książąt mazowieckich, następnie zaś królewszczyzną[1] — lub że dopiero Franciszek Skarga osiadł w Grojcu, kiedy się to już o ojcu jego Michale stwierdza. Niewiele też znaczy, że nie wspomniał nic o Skargach (toż i o Świętkach) w herbarzu swoim Paprocki. Sam z Mazowsza rodem, dla najbliższych swych współziemian bynajmniej nie niesprawiedliwy, mógł przecież niejeden ród mniej głośny pominąć (i pominął), chociaż z drugiej strony imię ks. Skargi, w chwili gdy się herbarz drukował, w szerokich już kołach było głośne. Rzecz dziwniejsza, że pierwszy współczesny biograf ks. Piotra Skargi, Fabian Birkowski, kreśląc żywot jego w kazaniu pogrzebowem, wydanem r. 1612[2], zgoła nic ani o nazwisku Powęski, ani o szlacheckiem pochodzeniu nie wspomina; a dopiero wydając ponownie kazanie owo, jako przedsłowie do Żywotów Świętych r. 1626, uzupełnia biografię nadmieniając[3]: „Szlachcicem się urodziwszy i tytuł mając od majętności dziadowskiej, że się mógł zwać Pawęskim (tak), przestał na tym imieniu, które mu przyniosło nieszczęście ojca jego“ —

[1] Wiadomość tę czerpiemy z Archiwum Głównego warsz. za pośrednictwem szan. kolegi naszego P. J. Kochanowskiego, któremu tak za nią jak i za inne z tegoż źródła zaczerpnięte szczegóły szczerą wyrażamy wdzięczność.

[2] „Na Pogrzebie Wielebnego Oyca X. Piotra Skargi... Kazanie X. Fabiana Bircoviusa. W Krakowie 1612“.

[3] p. **3.

zaczem wywodzi genezę przezwiska Skarga od częstego użalania się dziada zmarłego kaznodziei przed księciem mazowieckim Januszem. Daje to do myślenia w zestawieniu z okolicznością, że Birkowski w życiorysie swym przytacza wiele często drobnych nawet szczegółów, że wreszcie tuż w Krakowie, w chwili gdy pożegnalne wygłaszał słowo, bawili bliscy nawet krewni zmarłego, od których mógł łatwo zasięgnąć potrzebnych informacyj. Nie będziemy się kusić o wyjaśnienie tej kwestyi; otwarte tu pole do przypuszczeń, które przecież zawsze tylko przypuszczeniami zostaną; zwłaszcza, że i niepodobna nabyć pewności, czy pomieniona wyżej uwaga, drugiem dopiero wydaniem kazania objęta, jest wtrętem samego Birkowskiego, czy też zpod innego pochodzi pióra.

Nie wyjaśnia sprawy i świadectwo, któreby winno być najniezawodniejszem, tj. samego ks. Piotra. Niedługo przed śmiercią spisał on krótko własne *curriculum vitae*[1]. Zapisuje w niem jednak krótko tylko, że się urodził na Mazowszu, w mieście Grojcu, w lutym 1536 r., z matki Anny Świętkówny, która zmarła 1544 r., a ojca Michała Skargi, który już 1548 r. zeszedł z tego świata; zresztą nic więcej o swem pochodzeniu. Dodajmy, że wogóle nigdy ks. Piotr swego szlachectwa nie zaznaczył, a nazwiska Powęski nigdy nie używał. Tłumaczy to Birkowski (we wspomnianem drugiem wydaniu kazania pogrzebowego), podsuwając Skardze chęć dobrowolnego w ten sposób ukorzenia się. Zapewne, na ołtarzu chrześcijańskiej pokory złożywszy niejednę ofiarę, cięższą nierównie, mógł ks. Piotr Skarga przydać i tę mniejszą, zamilczenia rodowodu i nazwiska szlacheckiego — mniejszą, bo tytuł szlachecki, tak cenny dla świeckich, nie miał tej wagi i znaczenia dla zakonnika. Ale doprawdy niezrozumiałą byłaby w Skardze skromność, polegająca na zamilczeniu, nawet tuż przed śmiercią, pochodzenia szlacheckiego, przy równoczesnem ku pamięci potomnych spisaniu wielu nawet drobnych dat i szczegółów z własnego życia.

[1] „X. Jana Wielewickiego T. J. dziennik spraw domu zak. OO. Jezuitów u św. Barbary", t. II., wyd. ks. W. Chotkowskiego, p. 72.

Jakoż w czem innem dopatrujemy się powodu. Wyjaśnienia dostarcza nam wpis, zeznany w grodzie krakowskim dnia 23 sierpnia 1552 r. przez ks. Stanisława Skargę, na rzecz Stanisława Młotnego [1]. Z osnowy jego dowiadujemy się, że tenże ks. Stanisław Skarga, rodem z Grojca pod Warszawą, bakałarz nauk wyzwolonych i prebendarz królewski w kościele katedralnym krakowskim, mając po przodkach swych w dziedzictwie część młyna pod Grojcem, oddał ją w zarząd na pewnych warunkach bratu swemu rodzonemu, s ł a w e t n e m u Mikołajowi Skardze, stwierdzając fakt ten umyślnym wpisem, zeznanym w grodzie warszawskim. Widząc jednak, że Mikołaj nie dotrzymuje należycie warunków umowy, a młynem niedbale zawiaduje, umyślił mu ks. Stanisław, zasięgnąwszy porady swych przyjaciół, odebrać administracyę, i w tym celu zeznał osobiście przed aktami grodzkimi krakowskimi, iż Mikołaja od zawiadowstwa usuwa, poruczając je natomiast na przeciąg lat dwóch, od 9 października r. 1552 począwszy, szwagrowi swemu, o p a t r z n e m u Stanisławowi Młotnemu, mieszczaninowi grojeckiemu, aby mu się w ten sposób za doznane z jego strony dobrodziejstwa odwdzięczyć.

Spotykamy się tu zatem z dwoma nieznanymi dotąd właścicielami nazwiska naszego kaznodziei, pochodzącymi z tegoż samego, co i on, Grojca, a co ciekawsza, należącymi bez wątpienia do stanu mieszczańskiego. Jakiż stosunek ich do ks. Piotra? Odpowiedź dają metryki uniwersyteckie. Między uczniami, wpisanymi na wydział artystyczny w półroczu zimowem r. 1552, za rektoratu Antoniego z Napachania, czytamy przedewszystkiem: *Petrus Michaelis a Grodzyecz diocesis Gnesnensis solvit grossos 6* (wpisowego) [2]. Mimo, że Grodziec zaliczony w powyższej zapisce do dyecezyi gnieźnieńskiej [3], pewna, iż nie kto inny jest owym

[1] Zob. Dodatek II.

[2] Rkp. Bibl. Jag. 260, p. 66.

[3] Mylne określenie dyecezyi łatwo się tem tłumaczy, że młodzieńcy, żądający wpisu, sami podawać byli zniewoleni, do jakiej się zaliczają dyecezyi. Jeśli dziś jeszcze na podobne pytanie wielokrotnie, zwłaszcza od mieszkańców zapadłych stron kraju, nie otrzymalibyśmy odpowiedzi trafnej, to o ileż gorzej być musiało w XVI. wieku!

Piotrem, jeno przyszły kaznodzieja; wątpliwość usuwa jego własna notatka, podana w dyaryuszu Wielewickiego [1].

Cofając się cztery lata wstecz, znajdujemy w semestrze letnim 1548 r., za rektoratu Mikołaja Procopiadesa z Szadka, wpis: *Stanislaus Michaelis de Grodziecz diocesis plocensis solvit grossos 4* [2]. To znów wyżej wspomniany Stanisław Skarga, choć dyecezya mylnie podana. Innego Stanisława z Grojca nie znajdujemy bowiem w metryce przed r. 1552, a zresztą rok wpisu 1548 wybornie godzi się ze stopniem bakałarza, jaki u ks. Stanisława Skargi widzimy w wyżej wymienionej zapisce sądowej. Imię ojca, Michał, ani na chwilę nie pozwala wątpić, iż ks. Stanisław Skarga był bratem ks. Piotra.

Dla dopełnienia dodajmy, że w półroczu zimowem 1546 r., za rektoratu Zygmunta ze Stężycy, wpisał się: *Stanislaus Andree serifaber a Grodziecz diocesis posnaniensis* [3]. To znowu niechybnie Stanisław Młotny, któremu w metryce przezwisko polskie łacińskim zmieniono kształtem (*serifaber* = ślusarz, młotny = mający do czynienia z młotem). Tym razem i dyecezya trafnie zapisana [4].

Tak więc stwierdzilibyśmy, iż ks. Piotr Skarga z małomieszczańskiej pochodził rodziny. Dopiero brat jego Franciszek przyswoił sobie tytuł szlachecki i nazwisko Powęski, a przywilej z r. 1593 przyznał Skargom już i wobec prawa przynależność do stanu rycerskiego. Odtąd mógł tedy i ks. Piotr Skarga używać nazwiska Powęski legalnie; jeśli nie używał, to chyba dlatego, iż czuł w sumieniu swem skrupuły, dla których uśpienia nie wystarczał mu pergamin, nawet pieczęcią króla opatrzony i za zgodą stanów wydany.

Między przybranym przez Franciszka nazwiskiem Powęski a wsią Powązki, związek pochodziłby prawdopodobnie ztąd, iż

---

[1] L. c. p. 73.

[2] Rkp. Bibl. Jag. 259, p. 222.

[3] Tamże, p. 218.

[4] Tenże sam Grojec mazowiecki w trzech metryki uniwersyteckiej zapiskach zaliczony tedy do trzech dyecezyj. Chwiejność ta zrozumialszą się wyda, jeśli się zważy, że część Mazowsza stanowiła dyecezyę płocką, druga zaś, w której właśnie ów Grojec leży, należała do poznańskiej, a stykała się bezpośrednio z gnieźnieńską.

dalsi przodkowie Skargów siedzieli w niej niegdyś, ale chyba jako kmiecie. Zkądże poszło do dziśdnia w biografiach ks. Piotra obieg mające miano Pawęski? Po raz pierwszy pojawia się ono w drugiej edycyi kazania Birkowskiego i bodaj czy nie jest prostą myłką drukarską [1]. Myłka jedna pociągnęła za sobą i drugą. Jak wiadomo, przydał Skargom Dzieduszycki herb Radwan, z uwagi, iż „herb ten umieszczony jest na starej wyzłacanej tarczy, znajdującej się z odpowiednim napisem pod portretem Skargi w kościele P. Maryi Śnieżnej we Lwowie“ [2]. Widocznie fundator portretu, idąc za duchem swego czasu, który nawet od mężów tej, co Skarga, miary żądał wylegitymowania się szlachectwem (wizerunek ów pochodzeniem swem sięga już w głąb XVII. w.), nie znajdując Skargów w herbarzach, podciągnął ich pod herb Radwan, przysługujący rodowi Pawęckich, zwiedziony podobieństwem nazwisk.

Ustalenia wymaga jeszcze nazwisko matki ks. Piotra. Mimo, iż w dyplomie Zygmunta III. występuje jako Świętkowska, przyjąć wypada, iż się zwała Świętkówną z domu. Tak nazywa ją, jak widzieliśmy, Brzozowski, który musiał mieć od Jana Powęskiego informacye w tym względzie dość dokładne, jeśli mógł podać i imię ojca jej (Stanisław); tak wreszcie, co najważniejsza, mianuje matkę swoją sam ks. Piotr Skarga. W przywileju, dla zatarcia wszystkich śladów, któreby w podejrzenie podawać mogły szlachectwo Skargów, zamieniono plebejsko brzmiące nazwisko Świętek, na szlacheckie Świętkowski.

III.

Nic ciekawszego, jak zbadać stosunek ks. Piotra Skargi do rodzeństwa i dalszej familii; bez tego czuć będzie dotkliwą lukę we wszelkiej próbie charakterystyki tego męża. Wypełnić ją wobec bardzo jeszcze skąpych źródeł, jakiemi rozporządzamy, niepodobna. Zestawmy jednakże szczegóły o dziejach rodu Skar-

[1] Niesiecki ma: „Powęski... czyli jak inni chcą: Pawęski“.

[2] „Piotr S. i wiek jego“, wyd. II., t. I., p. 151, n. 138. Por. też t. II., p. 595.

gów, zwłaszcza, że przebija się w nich wielokrotnie wpływ ks. Piotra. Ze względu na niego to otrzymali przywilej nobilitacyjny, w którym król Zygmunt dobitnie zaznacza: „Czynimy to tem chętniej, iż z tejże samej rodziny Skargów Powęskich mamy kaznodzieję naszego, członka Zgromadzenia Jezusowego, a brata Franciszka Powęskiego, ks. Piotra, którego świątobliwych nauk i my sami i dwór nasz i całe Królestwo ku wielkiej pociesze naszej, a korzyści innych, zażywamy". Jego też znaczeniu na dworze zawdzięczali niejednę jeszcze łaskę monarszą, której zresztą niegodnymi się nie okazali.

O ile znamy współczesnych ks. Piotrowi przedstawicieli tego rodu, zaliczają się (od r. 1593 już prawie) do szlachty drobnej, dorabiającej się zwolna a statecznie majątku i znaczenia. Widzimy ich kroczących tą samą drogą, na której tyle w XVI. w. zupełnie jeszcze nieznanych nazwisk szlacheckich wybija się jednym wiekiem później na szerszą widownię, przechodząc majątkiem i wpływem rody od wieków rozgłośne. U celu tego nie stanęli wprawdzie Skargowie, gasnąc bezpotomnie w kilkadziesiąt lat po śmierci ks. Piotra; z tem wszystkiem, mimo niedługiej roli, jaką odegrali, zasłużyli się dobrze: ojczyźnie krwią, królowi wiernemi usługami, Kościołowi wydając kapłanów, zapisując legaty.

O ks. Stanisławie i Mikołaju Skargach ponad to, co powyżej wspomnieliśmy, nie mamy zgoła żadnych wiadomości. Z uwagi, iż nie wymieniono ich w przywileju z r. 1593, zdawałoby się, że nie zaliczali się już podówczas do żyjących. Mówi wprawdzie Niesiecki o Stanisławie Skardze, iż żył w zakonie Jezuitów, trudno jednak rozstrzygnąć, czy ma na myśli brata ks. Piotra, czy też innego tej rodziny członka. Pierwsze prawdopodobniejsze.

Franciszek niedługo się cieszył otrzymanym przywilejem: już w akcie z 27 lutego 1595 wspomniany jako nieżyjący [1]. W dożywociu pobierał od króla jednę miarę słodową w Grojcu [2];

[1] *Inscr. castr. Crac.* l. 174. p. 1410.
[2] *Rel. castr. Crac.* l. 43. p. 207.

z powiatu warszawskiego jeszcze się w świat nie ruszył [1]. Ożeniony z Anną Głuchowską [2], zostawił trzech synów: Wojciecha, Jana i Stanisława. Imię Stanisław było widocznie tradycyą uświęconem w rodzinie. Synowie rzucili już ojczyste Mazowsze. Wojciecha widzimy r. 1595 w ziemi przemyskiej, gdzie nabył od Andrzeja Suskiego, notaryusza grodzkiego przemyskiego (znanego autora „Korrektury prawa i procesu polskiego“) część we wsi Trzcieniec [3]. Na tem urywa się wszelki ślad po nim. Stanisława zastajemy r. 1602 w Krakowie [4].

Najwięcej stosunkowo danych mamy o Janie Powęskim. Słyszymy, że się chlubnie zasługiwał Rzeczypospolitej w różnych wyprawach wojennych, zwłaszcza zaś w potrzebie przeciw Moskwie. W nagrodę za to, do jednej miary słodowej, danej mu w dzierżawę dożywotnią w Grojcu, wnet po śmierci ojca, przydał Zygmunt III. na sejmie warszawskim 11 marca 1605 r. drugą, wakującą skutkiem śmierci Jakóba z Obór Leśniowolskiego, a w dowód szczególniejszej jeszcze łaski dozwolił mu skupić arendę, jaką w sumie 40 złp. z tych mierzyc prawem dożywotniem pobierał corocznie Jan Gostomski, starosta wałcki i grojecki; po którym to skupienie już nikomu tytułem dzierżawy nie miał płacić Powęski [5]. Co więcej, niedługo puścił mu król w dzierżawę Leszną Wolę na Mazowszu: intrata niezbyt wielka, w r. 1580 oszacowana na 203 złp. 23 gr. [6], teraz na sumę nieco wyższą, jak wnosić można z wysokości opłacanej kwarty (62 złp.), ale też prócz kwarty nie nakładająca znacznych ciężarów. Obowiązku na dzierżawach królewszczyzn ciążącego dopełniał z wzorową sumiennością. Kiedy np. na sejmie r. 1613 nakazano dzierżawcom

[1] *Inscr. castr. Crac.* l. 174, p. 1410; w akcie z 27 lutego 1595 nazwany „terrigena districtus Varsaviensis“.

[2] Nazwisko to niedość pewne. W przywileju Zygmunta III. w jednej lekcyi brzmi Głuchowska, w drugiej Cluchowska, w protokole zaś rozprawy w grodzie krak. Gluzkowska. Nie zna Głuchowskich h. Jastrzębiec, ani Paprocki, ani Niesiecki; pierwszemu nie obcy natomiast dom Głoszkowskich w czerskim powiecie, tymże zdobiący się herbem.

[3] *Inscr. castr. Crac.* l. 174, p. 1410.

[4] Ibid. l. 194, p. 124.

[5] *Rel. castr. Crac.* l. 43, p. 207.

[6] Pawiński, „Źródła dziejowe“, t. IX., p. 264.

oddawać do Radomia dwie symple kwarty, Powęski, bawiący podówczas w Trzcieńcu, pchnął natychmiast 28 stycznia 1614 r. sługę swego z 124 złp. do Radomia; nie mogąc się wszakże doczekać powrotu sługi, przejęty obawą „jakiego przypadku nań albo rozboju przez kogo na drodze lub też przezeń jakiej zdrady i zjechania z pieniądzmi takowemi, albo też więc jego choroby, albo śmierci, albo powodzi na drogach i złych przejazdów na rzekach, jako tego temi czasy dosyć było“ — po raz drugi takąż sumę wyprawił „jako najprędzej“ przez innego sługę o dwóch koniach, zapobiegając, aby go o opieszałość w płaceniu kwarty nie posądzono [1].

Skrzętnie gospodarząc około niewielkiej prawdopodobnie schedy ojcowskiej w Grojcu i królewszczyzn dzierżawionych, w kilkunastu latach znacznie się dorobił i pomyślał wreszcie o nabyciu na własność jakiej posiadłości w Krakowskiem, gdzie już i koligacye znalazł, żeniąc się z Anną Domaniowską, córką zmarłego już Wawrzyńca, sędziego grodzkiego i burgrabiego zamku krak., i Barbary z Trzcińskich [2]. W tym zapewne celu skupił roku 1616 długi, obciążające wieś Makocice i Dalowice, do spadkobierców Jana Iwanowskiego należące, w sumie 13.300 złp. [3]. Nie udało mu się wszakże dóbr tych na własność nabyć. Spłacony przez Stanisława Kuczkowskiego, kupuje ostatecznie część w Racławicach, w powiecie księskim pod Miechowem.

Racławice u schyłku XVI. w. aż pięciu udzielnych miały właścicieli [4]. Z czasem nastąpiła komasacya i trzy już tylko odrębne utrzymały się części. Jedna (1 łan ziemiański) należała do Oraczowskich, druga (1 zagroda z rolą, a 2 na czynszu) do konwentu Zwierzynieckiego, trzecia wreszcie największa ($3^1/_2$ łanów, 6 zagród bez roli, 4 na czynszu i 5 komorników bez bydła) do znanej rodziny Fogelvederów [5]. Ten tedy ostatni folwark, odtąd

[1] *Rel. castr. Crac.* l. 40, p. 321. [2] Ibid. l. 45, p. 66.

[3] *Inscr. castr. Crac.* l. 223, p. 2331, i *Rel. castr. Crac.* l. 44, p. 72.

[4] „Źródła dziejowe“, t. XIV., p. 15. W XVI. w. zaliczały się Racławice jeszcze do powiatu proszowickiego.

[5] „Księga pobor. pow. ks. i kl. z r. 1628“, l. I., fol. 28 b. (w krak. Archiwum krajowem).

Powęszczyzną zwany, nabył Jan Skarga 31 marca 1623 r. od braci Stefana i Adama Fogelvederów [1]. Cena kupna nieznana nam; musiała jednak być wcale poważna [2]. Pokryć jej w zupełności własnym funduszem nie mógł nowy właściciel, znalazł jednak pomoc w ówczesnym archiprezbiterze kościoła P. Maryi, ks. Krzysztofie Trzcińskim, z którym był spowinowacony przez żonę [3]. Kościół wspomniany miał właśnie rozmaite sumy fundacyjne do ulokowania. I tak zmarły krótko przedtem zakrystyan tegoż kościoła, Szymon Gerlachowski, zapisał penitencyarzom 1000 złp., naznaczając ks. Trzcińskiego głównym wykonawcą testamentu [3]. Tymże penitencyarzom legował na anniwersarz ks. Jan Kędzierski [4] 400 złp. Erazm Danigiel z Mydlnik zapisał znowu *pro fabrica ecclesiae* 2000 złp., a 1000 złp. na rzecz każdorazowego altarzysty przy kaplicy Salomonowskiej [5]. Tymi tedy pieniądzmi zasilił się Powęski, ubezpieczając je na Racławicach za odpowiednim czynszem rocznym, sposobem zwanym na wyderkaf. Własną już mając dziedzinę, zajmował się jeszcze i dzierżawami [6]. Chwilowo spotykamy go nawet rządcą czyli starostą klasztoru staniąteckiego, którego ksieni, Anna Cecylia Trzcińska, była jego powinowatą.

Pierwszej swej żonie, którą r. 1628 stracił, poświęcił w kościele staniąteckim marmurową tablicę z napisem:

Generosae Dominae Annae Domaniowska
g^sus^ Ioannes Powęski
capitaneus Staniatcen. coniugi
suae carissimae monumentum
hoc posuit Obiit anno domini
MDCXXVIII die XX Ianuarii
aetatis suae XXXV.

[1] *Inscr. castr. Crac.* l. 238, p. 453.

[2] W r. 1672 widzimy Racławice obciążone różnymi zapisami na kwotę około 40.000 złp. *Rel. castr. Crac.* l. 112, p. 1849.

[3] *Inscr. castr. Crac.* l. 238, p. 1278.

[4] Ibid. p. 1284 i 1289.

[5] Ibid. p. 1295 i 1301.

[6] *Act. terr. Prosz.* l. 252, p. 321.

Po raz wtóry ożeniony z Maryanną Janowską, córką Stanisława z Opatkowic Janowskiego, podsędka krakowskiego [1], zeszedł z tego świata około r. 1649 [2] w Zielenicach, dzierżawionych od Jezuitów, dla których żywił widoczną życzliwość, skoro zapisał r. 1638 sumę 6000 złp. ich nowicyatowi krakowskiemu [3] zapewne przez pamięć na stryja, który ten zakon wsławił, czy ks. Stanisława, lub wreszcie Władysława Powęskiego, który zgasł młodo w nowicyacie krakowskim r. 1597 [4].

Potomstwa męskiego nie zostawił, tylko trzy córki (dwie z pierwszego, jednę z drugiego małżeństwa), które jeszcze za życia swego wyposażył, przeznaczając każdej po 10.000 złp. Katarzynę wydał za Remigiana Rzeszowskiego [5], Barbarę za Stanisława Kamieńskiego, a po jego śmierci za Marcina Rojewskiego [6], najmłodszą zaś Annę za Andrzeja Bronickiego [7].

Wdowa, dożywociem na Racławicach zaopatrzona, przeżyła męża niemal o ćwierć wieku. Wiodło się jej nieszczególnie. Nadciągnęła zawierucha: Szwedzi dwa lata, Węgrzy pół roku grasując po województwie krakowskiem, nierzadko zaglądali w gościnę i do Racławic. Na odchodnem wpadli 23 marca 1657 r. i Kozacy z Rakoczego zgrai, zostawiając za sobą zniszczenie i ruinę. Dzierżawca Powęskiej, Stanisław Jabłoński, za szczęśliwego mógł się uważać, uprowadziwszy z trudem żonę na miejsce bezpieczne, a co kosztowniejsze sprzęty zwierzywszy podziemnym schowkom, przemyślnie pod dworem racławickim wygrzebanym [8]. Więcej może jeszcze niż od wroga miała do ścierpienia Powęska od własnej rodziny. Jan P. zapisał był zięciom swym na Racławicach rozmaite sumy; podjąć ich jednak nie mogli aż

---

[1] *Inscr. castr. Crac.* l. 288, p. 1839.

[2] Nie żyje już 11 grudnia 1649. *Inscr. castr. Crac.* l. 288, p. 1839.

[3] Niesiecki, t. VII. p. 474, pomieszał Jana Skargę Powęskiego z Janem Skargą Czarnolaskim, o którym mówimy niżej.

[4] Zob. Niesiecki. Czyimby był synem ów Władysław, nie wiemy, to pewna, że nie Franciszka P. ani też Jana.

[5] *Inscr. castr. Crac.* l. 281, p. 1127.

[6] Ibid. l. 282. p. 997.

[7] Ibid. l. 317. p. 638.

[8] *Decr. off. castr. Crac.* l. 173, p. 848.

po śmierci wdowy, która tymczasem jak na złość żyła i żyła. Niecierpliwiło to spadkobierców, dokuczali jej więc wszelkim sposobem. Bronicki np. jął się nawet gwałtu: zamknął ją w jej własnym dworze (r. 1663), a straż zbrojną rozstawiwszy dokoła, głodem i chłodem trapił [1].

Zbywając się wreszcie kłopotów, na naleganie współsukcesorów sprzedała Racławice 6 lutego 1672 r. Janowi Tworzyańskiemu, podstarościemu spiskiemu, który też wziął na siebie spłacenie wszystkich legatów [2]. Sama przeniosła się do Krakowa na mieszkanie do własnej kamieniczki przy ulicy Szpitalnej. Wplątana niebawem w proces z Jezuitami u św. Barbary o dług stosunkowo niewielki (718 złp.), popadła r. 1673 wyrokiem sądu grodzkiego w banicyę. Nie spieszył się czas jakiś starosta krak. Jan Wielopolski z egzekucyą; upomniany wszakże przez trybunał lubelski, wprowadził Jezuitów w posiadanie kamienicy [3]. Na tem też urywa się wątek wiadomości naszych o Powęskich.

IV.

Jeszcze skąpsze wiadomości posiadamy o Czarnolaskich [4]. Stanisław Czarnolaski, właściciel Czarnolasu i Krępy w powiecie czerskim [5], ożeniony z Małgorzatą, siostrą ks. Piotra Skargi, zostawił synów: Sebastyana, który podług Niesieckiego w zakonie Jezuitów 66 lat świątobliwie przeżywszy, umarł w r. 1638, licząc sobie 85 lat wieku — i Jana. Ten ostatni od pierwszej młodości po matce Skargą zwany, częściej też i sam nazwiska tego używał, aniżeli rodowego. Już ojciec jego wyzbył się swej dziedziny w Czarnolesiu i Krępie na rzecz krewnych swych, Raciborskich. Napróżno starał się ją Jan odzyskać: wszczął w tym celu z Ma-

[1] *Manifest.* l. 1., p. 648.

[2] *Rel. castr. Crac.* l. 112, p. 1849. *Inscr. castr. Crac.* l. 317, p. 638.

[3] *Decr. off. Crac.* l. 181, p. 846. *Rel. castr. Crac.* l. 100 B., p. 1958 i 2799.

[4] Paprocki nie zna Czarnolaskich; Niesiecki zaś nie podaje, jakiegoby byli herbu.

[5] *Inscr. castr. Crac.* l. 165, p. 1733.

teuszem Raciborskim, notaryuszem czerskim, proces, zaniechał go jednak dobrowolnie, zrzekając się praw do ojcowizny [1].

Przeniósł się w Krakowskie. Roku 1591 widzimy go sprawcą czyli oficyalistą *(factor)* kardynała Andrzeja Batorego, proboszcza miechowskiego, od którego dzierżawi Krzesławice [2]. Dzierżawy tej, odprzedawszy r. 1600 część własną w Mętowie (powiat lubelski) Piotrowi Myszkowskiemu [3], trzymał się aż do śmierci [4]. Chwilowo dzierżawił jeszcze r. 1601 wieś Jangrot, należącą do dóbr biskupstwa krakowskiego [5].

Był sekretarzem królów Batorego i Zygmunta III. i burgrabią zamku krakowskiego.

Chlubne świadectwo wydał mu Zygmunt III. Przekazując pewien dochód z dwóch młynów królewskich na Kazimierzu synowi jego, Wojciechowi Czarnolaskiemu, podnosi w przywileju, wydanym w Warszawie 25 marca 1612 r., znakomite usługi, jakie Jan położył: *a multis annis divis antecessoribus nostris praesertim vero regi Stephano et nobis summa cum fide, integritate, diligentia, dexteritate ac prompto ac indefesso studio nec fortunis neque provectae suae aetati parcens,* i synowi jako wzór do naśladowania wskazuje [6].

Zmarł w podeszłym wieku, u schyłku zapewne r. 1616, już bowiem 22 lutego 1617 opróżnione śmiercią jego burgrabstwo otrzymał Krzysztof Grochowski [7]. Ożeniony z Jadwigą Nowomiejską, z Nowego miasta, prócz trzech małoletnich córek, zostawił synów Wojciecha i Jana, z których pierwszy niewielu tylko miesiącami ojca swego przeżył [8].

Aleksander Czuczyński.

[1] *Inscr. castr. Crac.* l. 165, p. 1733.
[2] *Rel. castr. Crac.* l. 18, p. 284.
[3] *Inscr. castr. Crac.* l. 189, p. 383.
[4] *Terr. Crac.* l. 112, p. 642, l. 123, p. 420.
[5] *Inscr. castr. Crac.* l. 191, p. 504.
[6] *Terr. Crac.* l. 121, p. 20.
[7] *Rel. castr. Crac.* l. 43, p. 686.
[8] *Inscr. castr. Crac.* l. 230, p. 191. *Rel. castr. Crac.* l. 44, p. 1976.

DODATKI.

I.

Sigismundus Tertius, Dei gratia rex Poloniae etc. Significamus praesentibus litteris nostris, quorum interest, universis et singulis harum notitiam habituris. Expositum est Nobis a nonnullis Regni Nostri senatoribus, in praesenti conventu generali Regni congregatis, nomine nobilis Francisci Skarga Powęski illum, tametsi in oppido Nostro Grodziec sedem fixerit, esse tamen ex utroque parente et a longa serie maiorum nobili genere ex stemmate Prus dicto progenitum et semper more nobilium sine ullis artificiis mercaturisve nobilitate indignis ex patriis agris honestissime vixisse et nobili matrimonio Annae Głuchowska [1] ex stemmate Jastrzębiec dicto, ex qua prolem utriusque sexus suscepit, iunctum esse. In cuius rei etiam maiorem evidentiam ex actis castrensibus Czerscensibus multorum nobilium incolarum districtus Czerscensis et Varsaviensis eiusdem familiae et stemmatis testimoniis iuxta constitutiones Regni comprobatum est patrem eius Michaelem Skarga Powęski et matrem Annam Swiętkowska [2] ex stirpe nobilium hereditariae villae Powęskiey [3], stemmatis Prus, in districtu Varsaviensi consistentium, prognatum esse. Nos itaque providere volentes, ne eidem Francisco Skarga commoratio in oppido nostro Grodziec aliquam nobilitatis eius detractionem afferat iuxta statutorum etiam Regni tenorem praesertim quod, sicuti dictum est, nulla opificia et nobilitate indignas mercaturas exercuerit sed ex agris more nobilium vixerit honestisque actionibus, ex quibus vera permanat [4] nobilitas, deditus semper fuerit nec degenere aliquo opere maiorum suorum nobilitatem deturpaverit, attentis suprascriptis testimoniis, quibus nobilitas Skargorum de Powęski deducta et comprobata est, Nostra et conventus praesentis omnium ordinum Regni autoritate declaramus et pronuntiamus perpetuo decernentes praedictum nobilem [5] Skarga Powęski, ex nobili stirpe maiorum suorum progenitum, omnibus iuribus, privilegiis, praerogativis [6] et ornamentis, quibus omnes nobiles Regni Nostri fruuntur et gaudent, cum omni sui legitima utriusque sexus posteritate et his, quos nunc produxit filiis Alberto, Ioanne et Stanislao filiabusque et in posterum procreandis, uti, frui et gaudere debere in perpetuum nostram in hoc autoritatem interponendo, ut pro vero et [7] germano nobili Regni Nostri cum omni sua posteritate habeatur et censeatur sub poena in eos, qui natalibus equestris ordinis honori temere detrahunt legibus publicis sancita, quod tanto alacrius facimus, quod ex eadem familia Skargow [8]

[1] Cluchowska. [2] Szwiętkowska. [3] haereditatis villae Powęski. [4] promanat. [5] Franciscum. [6] praerogativis, immunitatibus et ornamentis. [7] ac. [8] Skargorum.

Powęskich concionatorem nostrum virum religiosum Societatis Iesu, huius Francisci fratrem, Petrum Skarga Powęski habeamus, cuius institutis et doctrinis sacris Nos et aula Nostra totumque Regnum magno solacio Nostro omniumque aliorum fructu spirituali perfruimur, ut aliquid Nos debere huic familiae Skargow[1] fateamur. Atque in fidem praemissorum et evidentius testimonium praesentes litteras manu Nostra subscriptas sigillo Regni communiri mandavimus. Datum Varsaviae in conventu Regni generali, die prima mensis Iunii, a. D. millesimo quingentesimo nonagesimo tertio, Regni vero Nostri anno sexto. Praesentibus ill^mis rev^ssimis rev^ndis ill^mis m^cis ven^libus et g^eis: Stanislao Karnkowski archiepiscopo Gnesnensi, legato nato et Regni Nostri primate; Georgio Radzivilio S. R. E. cardinali, episcopatus Cracov. perpetuo administratore; Andrea Batthori de Somlio, eiusdem S. R. E. cardinali, episcopatus Varmiensis perpetuo administratore; Luca a Koscielec, Posnaniensi; Alberto Baranowski, Plocensi; Bernardo Macieiowski, Luceoriensi; Laurentio Goslicki, Praemysliensi — episcopis; Ianussio duce Ostrogiae, castellano Cracov. et capitaneo Białoczerkiewiensi; Nicolao Fierley de Dambrowica, Cracoviensi et capitaneo Novae Civitatis Korczyn Casimiriensique; Hyeronimo Gostomski de Lezenice, Valcensi Szredensique capitaneo; Georgio Mniszek de Magna Kunczyce, Sandomiriensi, capitaneo Sanocensi, Samboriensi, Sokaliensi; Petro Potulicki de Potolice, Calisiensi, capitaneo Wysogrodiensi; Stanislao Minski, Lanciciensi, capitaneo Livensi; Constantino duce Ostrogiae, Kiioviensi, terrarum Wołyniae marschalco, Władymiriensi capitaneo; Ioanne Spławski, Inovladislaviensi; Andrea Lesczynski de Leszno, Brzestensi; Nicolao Zebrzydowski de Zebrzydowice, Lublinensi, generali Cracov. Lanckoronensique capitaneo; Stanislao Gostomski de Lezenice, Ravensi, capitaneo Radomiensi; Stanislao Kryski de Drobnia, Mazoviae, capitaneo Plocensi; Nicolao Działenski, Culmensi, capitaneo Bratianensi; Ianussio de Zbarasz, Braclaviensi Pinscensique capitaneo — palatinis; Stanislao comite a Tarnow, Sandomiriensi, Busczensi Stobnicensique capitaneo; Paulo Sczawinski, Lanciciensi, capitaneo Bielecensi; Stanislao Zolkiewski, Leopoliensi, Hrubiesoviensi Kałusiensique etc. capitaneo et campiductore; Alexandro Siemaszko, Braclaviensi, capitaneo Łucensi; Andrea Zborowski, Biecensi; Stanislao Krasicki, Praemysliensi, Bolomoviensi Lubomlensique capitaneo; Iacobo Pretficz, Camenecensi, capitaneo Trębowlensi; Andrea Czarnkowski, Naklensi; Martino Mezynski, Visnensi; Alberto Radziminski, Zakrocimensi; Ioanne Tarnowski, Conariensi, Syradiensi; Ioanne Lesniowolski, Czerscensi, Branscensi Parnaviensique capitaneo; Ioanne Zebrzydowski, Srzemensi; Alberto Padniewski, Oswiecimensi; Francisco Krasinski, Ciechanoviensi; Stanislao Bykowski, Conariensi, Lanciciensi, capitaneo Syradiensi — castellanis; Alberto Radziwił duce in Olyka et Nieswiez m. duc. Lith. marschalco; Ioanne de Zamoscie, supremo Regni cancellario et exercituum generali, Belzensi, Maideburgensi, Knyssinensi, Międzyrzecensi Dorpatensique capitaneo; Leone Sapieha, cancellario m. duc. Lith., Słomiensi Upitensique capitaneo; Ioanne

[1] Skargorum.

Tarnowski, vicecancellario Regni, Cracoviensi, Vladislaviensi Lanciciensique praeposito; Gabriele Woina, m. duc. Lith. vicecancellario; Ioanne Firley de Dambrowica, thesaurario Regni supremo et Lublinensi capitaneo; Demetrio Chalecki, thesaurario m. duc. Lith.; Hyacintho Młodzieowski, curiae Regni thesaurario, Piasecensi Krzecoviensique capitaneo; Petro Tylicki, secretario Regni maiore et referendario; Ioanne Thoma Drochoiowski, curiae Regni referendario, Praemysliensi capitaneo; Ioanne Gałczynski, cantore Gneznensi, canonico Cracoviensi; Mathia Petrikowski, praeposito Lanciciensi, canonico Cracoviensi; Laurentio Gembicki, praeposito Wisliciensi; Simone Rudnicki, custode Gneznensi — secretariis nostris et aliis quam plurimis dignitariis, officialibus et aulicis Nostris necnon nunciis terrestribus ad praesentem conventum generalem congregatis. Datum per manus r^ndi Ioannis Tarnowski, praepositi Cracoviensis, Vladislaviensis Lanciciensisque et Regni Poloniae vicecancellarii. Sigismundus Rex. Mathias Pstrokonski secretarius Regiae M^tis.

Przywilej ten podajemy w tej formie, w jakiej objęty jest wyrokiem sądu sejmowego, wydanym w sprawie Chełmskiego z Janem Powęskim 2 marca 1643 r., a oblatowanym w grodzie krakowskim. (*Rel. castr. Crac.* l. 69, p. 869). Zapisany jest prócz tego pod r. 1593 do Metryki koronnej (l. 138, fol. 136), w brzmieniu mającem pewne waryanty, które w notkach zaznaczamy.

II.

Actum in castro Cracov. feria III. in vigilia festi S. Bartholomaei. (23 Augusti) 1552.

Stanislaus Skarga Stanislao Mlothni.

Comparens personaliter coram officio castrensi capitaneali Cracov. et actis praesentibus Venerabilis Stanislaus Skarga de Grodzyecz, artium liberalium baccalaureus et praebendarius S. Regiae Maiestatis in ecclesia cathedrali Cracoviensi, recedendo a terris, districtibus ac iuribus suis quibusvis et huic iurisdictioni castrensi Cracoviensi quo ad actum praesentem sese incorporando bene deliberatus et amicorum suorum salubribus usus consiliis, quoniam attenderet, quod sè ei famatus Nicolaus Skarga, frater ipsius germanus, non conservavit iuxta chirographum eidem datum quodque fuit ei inutilis administrator sortis eius molendini hereditarii sub oppido Grodzyecz siti eidem actis castrensibus Varszeviensibus *(sic)* ad beneplacitum suum inscripti, ideo recognovit, quia sortem suam propriam et hereditariam molendini sub oppido Grodzyecz siti, ipsum iure naturali

concernentem, cum omnibus utilitatibus, proventibus, metretis omnis grani prout ea solus per praedecessores suos et per se ipsum in hactenus usus est, provido Stanislao Mlothny in eadem Grodzyecz oppidano, genero suo ob ipsius erga se benemerita in administrationem et regimen contulit e inscripsit a die nona mensis Octobris anni Domini nunc currentis proxime ventura alias a die Dominico ante nunc instans festum S. Hedvigis proxime venturo ad decursum duorum annorum proxime sequentium et non ultra, dando eidem Stanislao Mlothny omnimodam facultatem eandem sortem suam regendi, administrandi, metretas cuiusvis grani percipiendi, levandi, dividendi, prout utilius poterit, ad praefinitum tempus desuper expressum. Et admisit illi idem Stanislaus Skarga inscriptionem hauc in acta terrestria seu civilia Grodzyecensia transportare intra cursum anni absentiæ sua aut praescriptione terrestri minime obstante.

Inscr. castr. Crac. l. 90, p. 933.

DZISIEJSZY SOCYALIZM WOBEC ŚWIATŁA ROZUMU.

IV. Co sądzić o rozwiązaniu kwestyi socyalnej, podanem przez socyalistów?

(Ciąg dalszy).

W krytycznym rozbiorze systemu socyalistycznego doszliśmy wreszcie do najważniejszych jego zasad, stanowiących zarazem jego charakterystyczne cechy. Zawierają one w sobie zaród upadku nietylko obecnego, lecz wogóle wszelkiego ustroju społecznego; odnoszą się zaś do trzech moralno-towarzyskich kwestyj, na których spoczywa cały gmach ludzkiego społeczeństwa, a mianowicie: 1) praca osobista sama tylko daje prawo własności, 2) praktyczna i teoretyczna bezreligijność, 3) usunięcie małżeństwa i rodziny.

Rozpocznijmy od rozbioru pierwszej zasady. Praca jest jedynem prawomocnem źródłem własności jednostek — oto zasadniczy dogmat socyalizmu; rzeczami zaś legalnie posiadanemi mogą być tylko te, które służą do bezpośredniego utrzymania życia; dzisiejsze więc pojęcie własności prywatnej zostało ograniczone do jednego tylko rodzaju dóbr, środki zaś produkcyjne wyłączną są własnością społeczeństwa, jako takiego.

W jaki więc sposób praca jednostki ma prowadzić do posiadania dóbr używalnych? Katechizm socyalistyczny odpowiada nam na to: przez sprawiedliwe rozdzielenie wspólnego owocu pracy. Objaśnia się ta odpowiedź bardzo łatwo. Praca, którą

społeczeństwo wykonywa, jest wspólną; a więc i owoc pracy również wspólny. Od wartości tego wspólnego i ogólnego produktu odciąga się zgóry tyle, ile potrzeba na koszta samej produkcyi, jakoto: na naprawę i zakupno nowych maszyn i terenu, na utrzymanie wspólnych budynków, na narzędzia, materyał i t. d. W ten sposób również mają się płacić podatki, tj. odejmując na nie pewną sumę od wspólnego produktu pracy; przez co każda jednostka wolną będzie od nieznośnego jarzma podatków. Reszta pozostała po odjęciu tych różnych kosztów i wydatków, ma być r ó w n o a s p r a w i e d l i w i e rozdzielana między robotników, czyli na wszystkie jednostki w skład społeczeństwa wchodzące, boć wszyscy obywatele nowego państwa mają być robotnikami.

Tym sposobem, twierdzi socyalizm, unika się tego najniesprawiedliwszego rozdziału dóbr w dzisiejszym ustroju społecznym. Dziś bowiem posiadacz kapitał swój pomnaża wyzyskiwaniem robotnika, chowając do swojej kieszeni znaczną część dochodu z pracy drugich, a płacąc robotnikom wprawdzie tyle ile potrzeba aby nie umrzeć z głodu, ale bynajmniej nie tyle ile potrzeba na opędzenie najniezbędniejszych nawet potrzeb.

Nie myślimy wcale zaprzeczać, że dzisiejszy rozkład pracy wiele ma braków, i że robotnik rzeczywiście pozbawionym jest opieki prawnej, któraby go przed wyzyskiwaniem broniła. Jestto właśnie ta słaba strona dzisiejszego ustroju państwowego, która wywołała socyalizm, lub raczej kwestyę robotniczą. Ale chodzi o to, czy projekt socyalizmu będzie w stanie uregulować uczestniczenie jednostek w ogólnym dobrobycie? Pięknie to wprawdzie brzmi, i może zadowolnić mniej myślące głowy, gdy słyszą że zysk ze wspólnej pracy ma być s p r a w i e d l i w i e na wszystkich robotników rozdzielany. Doskonała zasada; zachodzi tylko pytanie: czy taki podział zysku jest rzeczywiście sprawiedliwym?

Sprawiedliwem jest to, co się zgadza z prawdziwą i słuszną normą. Jakaż więc będzie ta modła, normująca socyalistyczny rozdział zysków? Może równość? czyli że robotnicy przez ten sam czas pracujący mieliby być przypuszczani do równej części w zysku? Czy byłoby to sprawiedliwie? Wszakże jeden robotnik może daleko więcej zrobić w tym samym czasie, aniżeli drugi

tak z powodu większej pilności, jakoteż dla większej zręczności i wprawy jednego niż drugiego; boć niepodobna wymagać, nawet i w państwie socyalistycznem, od wszystkich robotników jednakowej nietylko pracowitości, ale i siły fizycznej, zdatności i wprawy. Gdyby mimo tej nierówności każdy robotnik do równego działu w owocach pracy miał być przypuszczonym, byłaby to nagroda lenistwa, a przez to odbieranie ludziom wszelkiej ochoty do kształcenia się i doskonalenia w pracy. Zauważył to Marx i dlatego żąda, aby oznaczyć pewną średnią zręczność, pilność i siłę, jako stałą normę równego udziału w zysku. Niech i tak będzie, ale czy ta średnia usunie niesprawiedliwość w wymierzaniu płacy?

Weźmy np. dziesięciu robotników, z różną siłą, zręcznością i pilnością wspólnie pracujących, i oznaczmy pracę każdego przez liczby: 1, 2, 3, 4... 10; cała suma pracy równać się będzie 55. Wtedy średnia praca, przypadająca na każdego, będzie 5·5; chociaż pierwszy pracował tylko siłą, zręcznością i pilnością, równającym się jednostce, drugi siłą, zręcznością i pilnością dwa razy większą, trzeci trzy razy większą i t. d., a dziesiąty dziesięć razy większą; a przecież i na niego przypada tylko przeciętna ilość pracy, a więc i zysku, tj. 5·5. Czyż taki rozdział nie jest krzyczącą niesprawiedliwością? Czyż obecne stosunki robocze, mimo tylu braków, nie są jeszcze złotem w porównaniu do tego, co obiecuje socyalizm?

Bebel inaczej rzecz tę rozwiązuje. Z dyktatorską pewnością siebie głosi: „Ilość czasu, potrzebna do wykonania jakiegokolwiek przedmiotu, jest jedyną miarą jego wartości. Wartość więc przedmiotu oblicza się np. dziesięciu minutami pracy społecznej, potrzebnej do jego zrobienia, i pod tym względem równa się on wartości jakiegobądź innego przedmiotu, na który tyleż potrzeba czasu“ [1]. A więc praca dziesięciominutowa czyszczenia koni, lub tłuczenia kamieni, ma tę samą wartość, co praca lekarza, nauczyciela, profesora, urzędnika, również przez dziesięć minut pracującego. Więc wszyscy lekarze, nauczyciele, artyści, czy

[1] Bebel, „Die Frau“, str. 162.

więcej czy mniej w swym fachu wykształceni, pod ten sam strychulec podciągnięci być mają, i zrównani w płacy z robotnikami, najgrubszą robotą zajętymi. Czyż taka równość może być nazwana sprawiedliwością i uspokoić wszelkie skargi i żale na niesłuszny rozdział pracy i zysku w przyszłem państwie?!

Trzeba tu jeszcze zwrócić uwagę na to, że zysk z dwóch prac, co do czasu, pilności i zręczności robotnika zupełnie jednakowych, jeszcze nie zawsze jest jeden i ten sam; trzeba tu bowiem wziąć w rachubę inne jeszcze czynniki, które decydujący wpływ wywierają na produkt. Niechże np. dziesięciu robotników uprawia mórg pola w tłustej i żyznej pszennej glebie podolskiej, a dziesięciu innych, takiż sam kawał pola, ale piasczysty i kamienisty, gdzieś w górach położony. Choćby pilność i dzielność robotnika, pracującego przez jeden i ten sam czas, była zupełnie ta sama, czy zyski z tej pracy będą również te same? Co mórg żyznego pola wyda w jednym roku, tego nie wyda w dziesięciu latach dziesięć morgów gruntu jałowego. Jak więc tę nierówność usunąć? O tem panowie socyaliści nie myślą; widocznie coś innego na pierwszym planie, a nie dobrobyt ludu, mają na oku.

Równy więc podział zysku, przy równym czasie pracy, jest ze stanowiska sprawiedliwości niedorzecznością. Lecz może potrzeby każdej jednostki będą mogły służyć za miarę sprawiedliwego rozdziału zysków? Kto więcej potrzebuje, otrzyma więcej, czyje potrzeby są mniejsze, mniej. Tak właśnie mówi program Gotajski: „Każdemu dawać według jego słusznie określonych potrzeb“. Lecz w tem słusznem określeniu potrzeb największy znów sęk. Jedni zaliczają do nich wystawne obiady, i nietylko zdrowe i wygodne, ale i z wszelkim komfortem urządzone mieszkania; drudzy są w swoich wymaganiach daleko skromniejsi. Jeden nie może się obejść bez butelki wina, gdy drugiemu i szklanka wody wystarcza; jeden uważa za niezbędną potrzebę mieć eleganckie ubranie, drugi kontentuje się prostym surdutem albo i kapotą. Któż będzie rozstrzygał, czy te potrzeby są uzasadnione czy nie? chyba nie każdy o sobie, bo wtedy nie byłoby końca żądaniom. Możeby więc urządzić jakąś radę nad-

zorczą, któraby decydowała, kto i jakie ma mieć potrzeby? Taka rada miałaby twardy orzech do zgryzienia i ostatecznie nikomuby nie dogodziła.

Więc i potrzeby nie mogą być modłą regulującą podział zysku. Socyalizm inną jeszcze w tym celu podaje normę. „Nasze cele“ Bebla tak ją formułują: „Kto się na coś większego zdobędzie, temu też więcej zapłacą“ [1]. Bardzo rozumnie! Ale któż będzie sądził o większej robocie i o odpowiadającej jej cenie? Nieraz nie przedstawia to najmniejszej trudności. Tak np. organista i kalikancista w ciągu tego samego czasu pracują przy organach, i jednego i drugiego praca równie jest potrzebną, a jednak nikt ich pracy nie uzna za równą. Lecz w wielu innych razach, co do jednoczasowych prac, nie będzie równie łatwo się zoryentować, czy jedna praca w stosunku do drugiej jest równoznaczna. Tak np., czy praca lekarza przy łożu chorego więcej znaczy od pracy profesora, lub urzędnika manipulującego milionami; baletnicy, czy śpiewaczki, na scenie lub koncercie? któż to rozstrzygnie, gdy przedmioty tak są niewspółmierne, i opinie o nich tak różnorodne? Prócz tego sprzeciwiałoby się takie prawo poprzedniemu, opartemu na równości czasu, na pracę łożonego. A co najważniejsza, byłby to olbrzymi wyłom w całym systemie; bo jeżeli wyższe prace wyżej będą wynagradzane, to tem samem wyżej wynagradzani z czasem dojdą do większego majątku. Chyba może obowiązkiem ich będzie, o tyle więcej wydawać, o ile więcej mają dochodu?

A może też niebezpieczeństwa, na jakie praca naraża, lub pilność, z jaką kto pracuje, będą mogły dać normę przy rozdzielaniu owoców pracy? Lecz ileż to jest prac, które na żadne nie narażają nieszczęścia! Na tokarza np. nie czyhają takie niebezpieczeństwa, na jakie narażony jest palacz przy kotłach parowych; czyż więc dlatego praca tokarza mniej jest warta od pracy palacza? — Pilność? Są ludzie, którzy nie mogą usiedzieć na miejscu, tak się rwą do pracy, i wkładają w nią cały zasób swych sił, a jednak dla braku zastanowienia, roztropności

[1] Str. 30.

i wprawy, niewiele mogą w danym czasie zrobić; gdy inni, rozważniejsi i nie marnujący tyle siły i starania, daleko więcej w tym samym czasie dokonywają.

Z tego wszystkiego pokazuje się, że socyalizm nie potrafił jeszcze wynaleść nawet takiej normy rozdzielania zarobku, któraby jego własnym zapatrywaniom odpowiadała. Każdy z tych sposobów, na jakie się zdobył, jest ze stanowiska socyalizmu niesprawiedliwym. Zdaje się więc, że trzeba jeszcze pozostać przy starym systemie wynagradzania, w którym samo wykonanie przedmiotu jest miarą jego wartości. I słusznie; na nią bowiem składają się wszystkie czynniki, od których wartość pracy zawisła. Bierze się tam w rachubę i czas na wykonanie łożony, i pilność i wprawa i siła, i większe lub mniejsze prawdopodobieństwo kalectwa albo i śmierci robotnika; jednem słowem: gdzie lepsza i trudniejsza praca, tam też i lepsza będzie płaca. Ale oczywistą jest rzeczą, że przy takiej normie, wszystkie mrzonki i nadzieje socyalizmu będą musiały stopnieć jak śnieg marcowy. Jeżeli bowiem lepsza praca hojniej się wynagradza, to w krótkim czasie własność indywidualna pilniejszego i wprawniejszego robotnika przewyższy takąż własność leniwego lub upośledzonego. A zatem, gdyby nawet socyalizmowi udało się dokonać przewrotu dzisiejszych, z naturalnego pochodu historyi wynikających stosunków społecznych, czyli wydrzeć prywatnym posiadaczom ich własność i oddać ją w ręce społeczeństwa, albo innemi słowy: gdyby im się udało zaprowadzić pracę społeczną — to i tak sprawiedliwy rozdział owoców pracy musiałby rzeczywiście i jedynie opierać się na wykonaniu przedmiotu i na jego tak wewnętrznej, jak i konwencyonalnej wartości. Ale w takim razie socyalizm znalazłby w swem łonie ową tak znienawidzoną przez siebie własność prywatną. Najlepszy to zaiste dowód, że dzisiejszy nasz wymiar zapłaty na zdrowych i silnych spoczywa zasadach.

Nie potrzeba więc wynajdywać nowych prawideł rozdzielania zysków, ale raczej nowe prawa, któreby robotnika od wyzysku zabezpieczały; czyli potrzeba, aby wyzysk był prawnie jako przestępstwo określony i karany. Na prawach nam zbywa,

któreby stanowiły o sprawiedliwej zapłacie robotnika, któreby go strzegły od biedy i nędzy, gdy pod brzemieniem pracy zużyte siły, choroby i wiek, niezdolnym go uczynią do zarabiania na swe utrzymanie. Praw niema, któreby mu dawały możność pracować nietylko dla własnej osoby, ale i na utrzymanie odpowiednie swojej rodziny. Dzisiejszego prawodawstwa to obowiązek. Bardzo ono pozostaje w tyle wobec zupełnie zmienionych dzisiejszych stosunków ekonomicznych. Wywrócenie wszystkich stosunków, na prawie opartych, nie zagoi ran naszych czasów; ale reforma prawa co do wzajemnego stosunku pracodawcy i robotnika, według zasad odwiecznej sprawiedliwości, jedynie zdolną jest uleczyć radykalnie tego raka, toczącego dzisiejsze społeczeństwo.

Drugą charakterystyczną cechą dzisiejszego socyalizmu jest jego wyrzeczenie się wszelkiej religii. Chce on stworzyć nowe społeczeństwo bez Boga i bez religii. Jestto zaiste zamiar tytanów, ale ma w sobie od samego początku zaród rozstroju i praktycznej niewykonalności. Choćby się nawet socyalizmowi i udało wywrócić obecny porządek rzeczy, to jednak nie zdołałby zaprowadzić innego. Rząd Francuskiej rzeczypospolitej z 93-go roku, jakkolwiek głośno się chełpił hasłem: „jedności i nierozerwalności", to jednak nie był niczem innem, jak zgrają złoczyńców, którzy z wzajemnej przed sobą obawy nawzajem się mordowali, a do założenia nowego porządku społecznego zupełnie byli niezdolnymi. Historya tej rewolucyjnej rzeczypospolitej, to obraz losów przyszłego państwa socyalistycznego.

Przywódcy dzisiejszego socyalizmu przyznają się bez ogródki, że nowy porządek rzeczy chcą oprzeć na ateizmie; a chociaż czasem wspomną coś o religii, jako o rzeczy prywatnej, to tylko w celach propagandy, aby nie odstręczyć od siebie odrazu mas ludu, dla których religia jeszcze nie jest obojętną. Między sobą zaś nietylko okazują bezwyznaniową niewiarę, lecz najzaciętszą nienawiść przeciw wszelkiej objawionej wierze, i to z najzupełniejszym cynizmem. Na ateizmie jednak i materyalizmie nie da się wznieść żadna trwała budowa społeczna. Podstawą społe-

cznego porządku musi być odwieczna i niewzruszona prawda, którąby społeczeństwo swą siłą natchnąć mogła.

Ponieważ w naszych czasach a p r y o r y s t y c z n e dowody małe mają powodzenie, to posłuchajmy, co i n d u k c y a mówi przeciw socyalistom. Rzućmy choćby pobieżnie tylko okiem na historyę ostatniego stulecia. Ileż to ustrojów społecznych rozsypało się w gruzy! I któż to młotem rewolucyi je druzgotał? któż je podminowywał i burzył? Tajne, a teraz już i nietajne stowarzyszenia. Tak, ale zkąd one się wzięły? To naturalny płód materyalizmu, który wszelkiej wyrzekł się religii, a jedną tylko uznaje nad sobą władzę, i w jej wprzągł się jarzmo, tj.: popęd zmysłowości, uznany przezeń za treść wszelkich praw człowieka.

Co rewolucyi dozwoliło dokonać przewrotu wszelkiego porządku? Oto gnicie i próchnienie najistotniejszych podstaw społeczeństwa, tj. spaczone pojęcia o prawie i sprawiedliwości, o celu i obowiązkach człowieka. Gnicie to i rozkład sprowadziła filozofia materyalizmu i popularyzowanie jej wywodów w praktyczny a dla wszystkich przystępny i zrozumiały sposób. Ostateczna zaś treść tych wywodów, to postawienie rozkoszy, chciwości i zaszczytów za najwyższe zadanie życia. Jednem słowem, teoretyczny i praktyczny materyalizm zawsze przygotowywał i spełniał dzieło zniszczenia.

Niezbyt daleko się zapuszczając — kto rozniecił i dalej rozżarzał dzisiejszą kwestyę socyalną? Znowu materyalizm, w sojuszu z liberalizmem. Ten ostatni na swojej prawodawczej maszynie wyrabiał niezliczone prawa, mające na celu rozwinąć przewagę pieniężną i żądzę rozkoszy. Nic to, że przy tem całe tysiące uczciwych i pracowitych rodzin ginęły — ta przewaga majątkowa była ukazywana jako szczyt rozwoju cywilizacyi i kultury.

Aby im nikt w tem dziele zniszczenia nie przeszkadzał, ukuli również prawa zmierzające do ubezwładnienia Kościoła, żeby nie występował przeciwko nim z zasadami religii i opartej na niej moralności: religię i Kościół, tego stróża prawa i sprawiedliwości, przechowującego starodawną, od samego Boga nadaną *magnam chartam*, wyśmiewali, wyszydzali, starali się ujarzmić i zmusić do milczenia. A teraz widzimy owoce, jakie to złe

drzewo wydało. Całe lata z fanatyzmem prawdziwie pracowali nad wykorzenieniem religii z dusz ludu; wszelkimi środkami usiłowali podkopać w nim pojęcie o Bogu, odwrócić jego wzrok od nieba, a skierować ku ziemi.

Starania ich nie pozostały bez skutku. Duch materyalizmu (bo i on ma swego ducha) zjawił się jak Mefistofeles, ale na własną ich zgubę, czego się bynajmniej nie spodziewali. By osiągnąć egoistyczne swe zamiary, wyzwolony duch materyalizmu podniósł rokosz przeciw Bogu i zrzucił pęta religii, które mu nie dozwalały z całą swobodą i niezawisłością oddać się wszelkim rozkoszom. Ale pseudo-ewangelia i wolność, którą głosił tylko dla bogaczów i kapitalistów, przedarła się też i do ubogich, i niemniej chciwie przez nich jak przez tamtych została przyjętą.

Jad tej nauki sączył się powoli, i nieznacznie przenikał niższe sfery ludzkiego społeczeństwa, w których nędza przeważa. Przyjęcie zaś tej doktryny przez ubogich i uciśnionych, którzy pod wyzyskiem kapitału ledwie oddychali, wyrodziło kwestyę socyalną, jak ją dziś widzimy, tj. wyłaniającą się z zasad materyalizmu z całą logiczną koniecznością. Ubogim i bezmajętnym, którzy wytężając wszystkie siły, ledwie tyle zarobić mogą, ile na niezbędne potrzeby wystarcza, wydarto wiarę w niebo, tę nagrodę za wszelkie udręczenia ziemskie; teraz więc, parci tą samą żądzą szczęścia, chcą od bogaczów uzyskać tyle, ile potrzeba, aby tę ziemię, dla której tylko są, zmienić sobie w niebo.

I cóż ich w tej żądzy powstrzyma? Stłumiono w nich aspiracye do celu wiecznego, więc żądają, by bogacze dali im środki do osiągnięcia ziemskiego celu ich bytu. A ten ziemski byt, jak to z ust bogaczów słyszeli, niczem innem nie jest, jak zaspokajaniem wszelkich żądz w używaniu dóbr ziemskich. I czyż nie mają w tem słuszności? Chcieliby być równie szczęśliwymi, jak bogaci, i muszą tego chcieć, bo i w ich serca, jak i w serca bogaczów, popęd ku szczęściu sama natura wszczepiła.

Z serc ubogich wydarto zakon boskiego prawodawstwa, jakoby na kłamstwie się opierający; kłamstwem nazwano sankcyę tychże praw, czy to jako wieczną nagrodę, czy jako wieczną

karę; zamiast tych praw bożych, podają im niezliczone paragrafy praw pisanych, których jedyną podstawą jest wola sztucznie zebranej większości parlamentarnej. Paragrafy, które dziś są szanowane jako prawa, jutro mogą być rozdarte jako nieużyteczna makulatura. Prawo, mające swój początek w egoizmie jego twórców, nie może wzbudzać zamiłowania i szacunku, owszem, wywołuje dążenie aby szukać i stanowić prawa coraz wygodniejsze. Czyż bogacze będą mogli nie uznać za słuszną takiej dążności ubogich? Wszakże oni im swoim przyświecali przykładem, gdy to tylko za prawo podawali, co im się podobało; dlaczegóż więc miałoby być niesłusznem, jeśli o to samo pokusićby się chcieli ubodzy?

Tak więc odrzucający Boga materyalizm wywołał dziwny stan w dzisiejszem społeczeństwie, stan, który naturalną koniecznością musi się rozwijać w walkę klas i doprowadzić do zupełnego przewrotu obecnego społecznego porządku. Stan ten możemy krótko w tych słowach sformułować: „Większa część członów, w skład organizmu społecznego wchodzących, przez dzisiejsze warunki społeczne zmuszoną jest wyrzec się wszelkiej nadziei ziemskiego szczęścia; owszem, na to tylko muszą żyć, żeby zaspokajać i podsycać żądze używania nielicznych wybrańców losu". Stan taki jest nie do zniesienia, naturalną koniecznością do walki prowadzi i musi ostatecznie sprowadzić upadek tak przewrotnego ustroju społecznego. Walka socyalna, czyli socyalna rewolucya, ze wszystkiemi swemi okrucieństwami, jakie jej nieodstępnie towarzyszą, jest dla społeczeństwa, odwróconego od Boga a bijącego czołem materyi, absolutnie nieuniknioną koniecznością. Niema na to żadnej innej rady, jak powrót do Boga i do niewzruszonych, niepodlegających zmianom prawd Ewangelii; powrót całej istoty ludzkiej z rozumem i sercem, powrót nietylko pojedyńczych jednostek, ale całego społeczeństwa jako takiego. Wszelkie inne środki zaradcze, bez tego zupełnego powrotu do Boga, to tylko paliatywy, przedłużające a nieraz i powiększające chorobę.

Niektórzy chcieliby zażegnać burzę, apelując do moralności. Lecz wszakże postępowanie socyalizmu znosi moralność. W spo-

leczeństwie, które się Boga wyrzekło, które nie jest zdolne do uznania jakiegokolwiek moralnego prawa bożego, odwoływanie się takie jest niedorzecznością. Dla takiego społeczeństwa niema innego porządku moralnego, jak zaspokajać żądzę używania; niema żadnej zapory moralnej, któraby środek jakiś mogła wykluczyć, jako niedozwolony; wszystko co prowadzi do celu, jest i rozumne i dobre. Tu już nie pomogą prawodawcze półśrodki, lub nawet szczere ochronne ustawy; będą one przyjmowane tylko jako okruchy, spadające ze stołu bogacza. Zasady, które wszczepił liberalny materyalizm w tłum robotników, zbyt są ponętne, aby tak łatwo chcieli się z niemi pożegnać. A te zasady wymagają równego dla wszystkich prawa do szczęścia tu na ziemi, a przeto zniesienia różnicy między bogatym i ubogim. Czy może da się to stłumić siłą? A któż zaręczy panującemu kapitalizmowi, że jego wielcy słudzy, którzy dzisiaj mają jeszcze władzę w ręku, będą ją mieli jutro?

Antyreligijny materyalizm, pod tarczą kapitalizmu, stworzył i wyhodował dzisiejszy socyalizm — co prawda, wbrew swemu oczekiwaniu; wywołał przeto i niebezpieczeństwo, grożące zagładą dzisiejszemu społeczeństwu — to się nie da zaprzeczyć; jak z drugiej strony również nie da się zaprzeczyć, że tenże sam materyalizm, przeszczepiony w socyalno-demokratycznego robotnika, może istniejący porządek zburzyć, ale nie potrafi z tych gruzów zbudować nowego, lepszego, społecznego porządku. Siła burząca materyalizmu tkwi właśnie w jego pojęciach i zasadach, uważanych przezeń za jedyną mądrość; i ta siła pozostanie w nich, bez względu na to, czy będą wprowadzone w praktykę przez bogatych i władnących, czy też przez biednych i uciemiężonych — bez względu na to, czy się ich będzie używać do zburzenia istniejącego porządku rzeczy, czy też do zbudowania nowego. Ale ponieważ z natury swojej jest burząca, więc jakże może cośkolwiek zbudować? Dział można z korzyścią użyć do rozwalenia domu — ale do zbudowania go trzeba cegieł i wapna, i rąk ludzkich.

Przypuśćmy na chwilę, że socyalizm staje jako zwycięzca na gruzach dzisiejszego świata; niema już bogatych i władców,

a ich majątki są wspólnem dobrem społeczeństwa; wprowadzona już jest tak dawno upragniona równość; usunięte różnice między ubogim a bogatym; wszyscy wezwani do wielkiej uczty, którą praca społeczna ma w socyalistycznem państwie zgotować, i zaspokoić nią wszelkie każdego pragnienia. Ale takie przypuszczenie pociąga za sobą nieodzownie inne, mianowicie przypuszczenie doskonałej organizacyi tego nowopowstałego a ogromnego ciała; bez tej bowiem organizacyi nie będzie to ani ciało społeczne ani uczta, ale bezład i chaos. Do organizacyi zaś, w takiej zwłaszcza formie rządu, potrzebna jest religia; a tymczasem ten rząd wszelką religię odrzuca. Może to się wydać paradoksalnem, a jednak jest prawdą niezbitą. Spróbujmy tego dowieść. Nie potrzeba do tego wysoko filozoficznych pojęć; najzwyklejsze, jakie nam codzienne życie podaje, zupełnie wystarczą.

Przypatrzmy się najprzód samemu pojęciu, zawartemu w tem słowie „organizm“, i poznajmy czynniki, w skład jego wchodzące.

W potocznem życiu, mówiąc o „organizmie“, mamy na myśli albo dziwną rozmaitość i piękność świata roślinnego, który tak obficie zdobi ziemskie nasze mieszkanie, albo jeszcze cudowniejsze ukształtowanie zwierzęcego świata, albo wreszcie mamy na uwadze samego człowieka, i podziwiamy tak niezmiernie skomplikowaną, a tak harmonijną przytem budowę jego ciała. Jakże różnym jest ten organizm od mechanizmu martwej maszyny, mimo wielorakiego z nią podobieństwa! W maszynie widzimy najróżnorodniejsze części, lecz nie w przypadkowym nieładzie, ale w dobrze uporządkowanej jedności i całości; w maszynie harmonijna łączność ruchów każdej części zosobna powoduje jednolity skutek, przedstawiający nie pracę tego lub owego kółka, ale pracę całej maszyny. Lecz aby maszyna była organizmem, musiałaby mieć wnętrzną siłę żywotną, wszystkiem kierującą i rządzącą. Nieustannie pracujące tłoki, koła, walce i t. d., są martwą materyą, niezdolną do innego ruchu, prócz tego, który im nadaje jakaś siła zewnętrzna: przeto i prawo ich działania jest zupełnie to samo, jakiemu podlega materya; mechanikowi o to jedynie idzie, by wiedział, ile potrzeba siły do pokonania bezwładności danej materyi i udzielenia jej ruchu, jakiego potrzeba.

Pytam się teraz, czy ludzkie społeczeństwo w swej harmonijnej i wspólnej działalności jest podobne do martwego mechanizmu maszyny, czy do życiowego organizmu? Kto twierdzi, że do maszyny, ten zaprzecza zupełnie godność człowieka, jego wolność wraz z władzą samoistnego działania; a to właśnie jest, co go odróżnia od martwej materyi. Jeżeli socyalizm chce iść pod sztandarem, tak przez się wielbionym, wolności i godności człowieka, to koniecznie powinien dążyć do społeczeństwa, jako żywotnego organizmu. A w skład prawdziwego, żywego organizmu muszą wchodzić przynajmniej następujące czynniki: 1) Rozmaitość członków, każdy z właściwą sobie działalnością, odpowiednią jego budowie i naturalnemu uzdolnieniu. 2) Podporządkowanie jednych, w zakresie ich pracy, pod drugie, których czynność na czynności tamtych się opiera; a także zestosowanie wszystkich takie, by stanowiły jedność i zdolne były do pracy wspólnej, jednolitej, do pewnego zmierzającej celu. 3) Wewnętrzna siła żywotna, przenikająca wszystkie członki zosobna, utrzymująca ich wzajemne podporządkowanie i spojenie, a przez to i jedność całości; jednem słowem, sprawiająca jednolitą działalność tylu części i organów.

Jeżeli społeczeństwo ludzkie jest żywym organizmem, to czynniki te koniecznie w niem muszą się znajdować; dlatego i socyalizm musi o nie dbać, aby się znalazły w jego państwie. A czy będzie mógł je mieć przy swoich zasadach, zaprzeczających wszelką religię? Już o pierwszy czynnik rozbije się jego usiłowanie. Bezwzględna równość wszystkich członków społeczeństwa ludzkiego jest naczelną socyalizmu zasadą i jego upragnionym celem. Według niego, faktyczna nierówność, istniejąca wśród ludzi, jest tylko rezultatem dzisiejszego złego ustroju społecznego. Lecz przypatrzywszy się temu dokładnie, poznamy, że nie faktyczna nierówność, ale właśnie taka idea równości, jest przekręceniem rzeczywistego i prawdziwego stanu rzeczy.

Wszyscy są oczywiście równi pod względem natury ludzkiej, bo wszyscy mają to, co należy do istoty człowieka; ale ta gatunkowa równość jest tylko w abstrakcyi, a nie istnieje w rzeczywistości. Idealną tę naturę w jej bytowaniu konkretnem

różniczkują tysiączne indywidualne przymioty, tak ducha jak ciała. Jak ciał nigdy nie będzie mógł socyalizm ukształtować według jednej modły, tj. nadać im jednakową siłę, zgrabność i wzrost, mimo wszelkiej dresury w wychowaniu państwowem: tak samo nie uda mu się, we wszystkich obywateli wszczepić jednakową siłę i zdolność ducha, jednaką wiedzę, pilność, a tem samem jednakowy charakter.

Tysiączne zewnętrzne okoliczności mogą dodatnio wpływać na rozwinięcie, uzupełnienie i udoskonalenie naturalnych zdolności, lecz również mogą je paraliżować, powstrzymywać lub paczyć ich rozwój. Na tę przyrodzoną nierówność socyalizm nie wynajdzie zaradczego środka. Wprawdzie okoliczność urodzenia, mianowicie czy ktoś pochodzi z bogatego i arystokratycznego domu, czy też jest dzieckiem ubogiej i chłopskiej rodziny, mniejszyby wpływ na charakter jednostki wywierała; ale mimo to dosyć będzie jeszcze różnic indywidualnych, które będą oddziaływały na rozwój każdego człowieka i będą przyczyną nierówności. Tylko zasady nierówności społecznej mogłyby się zmienić; zamiast arystokracyi rodowej i pieniężnej, powstałaby arystokracya inna, na innych sprzyjających okolicznościach oparta; ale sama nierówność znieść się nie da.

Niezbitym jest przeto pewnikiem, że przyrodzona nierówność i w państwie socyalizmu nadalby istniała, jakeśmy ją mieli przez lat tysiące. Lecz przy całej tej rozmaitości, jedna równość istotna zaległaby w głowach i sercach wszystkich socyalistów, tj. wszczepiona im idea równości, na mocy której wszyscyby chcieli być niezależnymi wśród niezależnego narodu.

Ale jakżeby wyszła praca na tem równem u wszystkich poczuciu niezależności? Praca jest w społeczeństwie ludzkiem bardzo nierówną: w nieskończonym szeregu rozmaite prace idą jedna za drugą, od najwyższej umysłowej aż do najniższej ręcznej, a nadto w praktycznem życiu naszem widzimy, że te niskie prace bez porównania są liczniejsze, niż wzniosłe i zaszczytne. A w socyalistycznem państwie trzeba będzie przecież te same co dziś roboty spełniać. W jakimże tedy stosunku licze-

bnym stoją prace niskie do prac zaszczytniejszych, tak w miastach jak po wsiach? czyli innemi słowy: jakże wielka jest liczba ludzi zajmujących się niskiemi robotami wszelkiego rodzaju, a jak mało tych, którym zaszczytniejsze prace są właściwe? Jakimże sposobem zniżą się do tych prac niezależni obywatele w socyalistycznem państwie? Przypuśćmy nawet, jak chcą socyaliści, że wszystko odbywa się według porządku: każdy pełni wszystko, gdy na niego przyjdzie kolej; prezydent rzeczypospolitej socyalnej, trzymający w ręku ster całego państwa, pewnego pięknego poranku zstąpi ze swego prezydyalnego krzesła, i będzie zamiatał ulice lub czyścił konie tramwajowe; ileż to czasu minie, nim on przejdzie te niezliczone niskie prace i przez coraz wyższe stopnie znowu na miejsce prezydyalne powróci!

Przypuśćmy, że to niepodobieństwo byłoby możliwem; ale cóż zniewoli socyalistę, by twarde te prace, do których go nie skłania ani naturalna zdatność, ani też nie posiada do nich odpowiedniej siły, ochoty i zamiłowania, wykonał ku powszechnemu zadowolnieniu, z potrzebną dokładnością, i znalazł w nich prócz tego własne swoje ukontentowanie i szczęście? Uważmy tylko, jak wielką będzie w takim razie ofiara w zrzeczeniu się wolnego wyboru stanu! Nikomu niewolno przecież obierać sobie pracy stosownie do swych zdolności umysłowych i do sił fizycznych, gdyż w takim razie cały socyalizm nie mógłby się ostać; lecz każdy musi się poddać żelaznym pętom konieczności. Cóż tedy pozostanie jeszcze z owej sławionej wolności w tym właśnie najważniejszym czynie ludzkim, od którego zależy całe życie człowieka: w wyborze stanu? Dzisiaj i dla najbiedniejszego, który skutkiem rozmaitych okoliczności do wielu zawodów ma przystęp zamknięty, pozostaje zawsze jeszcze wiele innych, w których może dowolnie wybierać, rozwinąć swoje siły i zdolności. Ale dla niezależnego obywatela państwa socyalnego nie zostaje absolutnie nic, coby mógł sobie obrać według własnego upodobania; nieunikniona konieczność jest dla niego prawem bezwzględnem. Podobnym jest do koła w martwym mechanizmie maszyny, którego również nikt się nie pyta, co chce czynić; owszem, niżej jeszcze stoi od tego koła, któremu twórca

maszyny dał przynajmniej potrzebne warunki do jego jednostajnej pracy — gdy socyalistycznemu obywatelowi do niezmiernie wielu prac, które musi odbywać, tych warunków braknie.

By ten uszczerbek wolności cierpliwie i ochotnie znosić, wielkiego potrzeba zaparcia się siebie. Wprawdzie chełpią się socyaliści tem zaparciem samych siebie, i jako skuteczny bodziec do niego podają poczucie obowiązku, wynikające ze świadomości, że się pracuje dla dobra ogółu. Lecz to poczucie obowiązku na tak słabej oparte jest podstawie, że nie wystarcza, by mogło moralnie zmusić człowieka do tak ciężkich ofiar, na całe jego życie się rozciągających. Skuteczną pobudką może tu być tylko religia i wypływające z niej to silne przekonanie, że obowiązek nałożony jest świętą wolą wszechmogącego Boga, który też ofiary, poniesione dla spełnienia obowiązku, wieczną i nieskończoną nagradza zapłatą, a za niedopełnienie tegoż, takąż wymierza karę. Sama natura ludzka wymaga za dobro, przyniesione w ofierze obowiązkowi, innego dobra, któreby nietylko wyrównywało, ale i przewyższało tamto. Takie odszkodowanie, nieskończenie wielkie, zapewnia nam religia, i ona jedynie. Wszystkie inne względy i pobudki, skłaniające człowieka do spełniania obowiązków, są jak sieć pajęcza, w której słaby charakter uwięźnie, a silny ją przebije. Socyalizm przeto, do ziszczenia swego ideału, musiałby mieć olbrzymią jakąś religijność, wiarę dającą heroiczne zaparcie samego siebie; a religię właśnie i wiarę, która jest jej siłą, odrzuca i niszczy. Dla państwa przeto socyalistycznego potrzebaby stworzyć ludzi z inną naturą, niż ta jaką człowiek od tysięcy lat posiada; i dlatego właśnie socyalizm, skutkiem swych zasad, nie zdoła utworzyć organizmu społecznego; a chociażby się nawet udało, te zasady społeczne z a d e k r e t o w a ć mocą rozporządzenia najwyższej woli ludu, to przy pierwszej napotkanej trudności rozpadłby się taki organizm i zamienił w chaos nierozwikłany.

Drugim czynnikiem każdego organizmu jest podporządkowanie wzajemne wszystkich części, stosownie do wielkości i rodzaju pracy każdej, i harmonijne połączenie wszystkich do jednego celu i rezultatu pracy ogólnej. W każdym organizmie or-

gana mniej doskonałe pracują dla doskonalszych, według pewnych praw, a wszystkie razem wytwarzają ogólny rezultat jednolitego organizmu. To samo jest koniecznie potrzebne i w organizmie społecznym, i „ustrój świata na sposób socyalistyczny“ bez tego obejść się nie może, owszem, w nim ten ład organiczny w szczególniejszy sposób jest niezbędny. Zadanie, jakie sobie stawia socyalizm, jest uorganizowana społeczna praca, „Stowarzyszenie produkcyjne“, wszystkich obywateli i obywatelek. Państwo jest wyłącznym właścicielem wszystkich środków roboczych, wyłącznym pracodawcą dla wszystkich roboczych sił, państwo odmierza każdemu zakres i rodzaj i ilość pracy, ażeby produkcya zupełnie równoważyła konsumpcyę; jeżeli gdziekolwiek okazuje się brak robotników, to powołuje się ich zkądinąd; jeżeli przeciwnie, na jakiem miejscu jest ich zawielu, przenosi się ich tam, gdzie się daje czuć ich niedostatek. Musi więc istnieć najwyższa władza centralna, określająca całą sumę pracy i rozdzielająca ją najpierw między władze prowincyonalne, te znów między okręgowe z podwładnemi im gminnemi. Każda gmina dzieli się znowu na mniejsze związki produkcyjne, mające obowiązek dostarczać artykułów konsumpcyjnych.

Wszystkie te grupy administracyjne potrzebują władzy absolutnej: bo pewna ilość pracy koniecznie musi być dostarczoną, inaczej cały porządek przepadnie. Ta władza bezwzględna musi być dana nietylko urzędowi naczelnemu, ale i wszystkim administracyjnym; wszystkie ich postanowienia muszą być nieodwołalne; bo jakiekolwiek ich naruszenie mogłoby łatwo wszystko w nieład wprowadzić. Ani żadna gmina, ani żadna grupa robocza, ani żadna jednostka nie może się usuwać od wyznaczonego sobie brzemienia pracy.

Wystawmy sobie tylko ten niezmierny aparat administracyjny, mający dostarczać wszystkich możliwych artykułów potrzebnych do życia, od węgla kamiennego i motorów, aż do zapałki i szpilki, obdarzony mądrością, którąby wszystkie potrzeby przewidziała i ich sumę obliczyła, którąby dokładnie całą pracę rozdzieliła według liczby robotników i według normalnej ilości godzin do pracy przeznaczonych. Któż zdoła stworzyć i utrzy-

mać w precyzyjnej dokładności taki aparat? Boć sam nie wy rośnie jak dąb z żołędzi; ma bowiem być właśnie samem tylk dziełem ludzkiem, bez interwencyi Boga. Partya jednak socya listów „komunistyczna“ zapewnia nas, że o to najmniejsza!

Partya zaś „anarchiczna“ śmieje się z tej niezmierzonej siec administracyjnej i uważa ją za niemożliwą. Nie chce ona powsze chnej centralizacyi, lecz socyalistycznej organizacyi wymaga tylk dla gminy. Ponieważ jednak żadna gmina jako jednostka ni może sobie wystarczyć pod względem ekonomicznym, i sama ni zdoła wyprodukować wszystkich artykułów, które jej są potrze bne: przeto jedne gminy mają się łączyć z drugiemi, drogą dc browolnych federacyj, w miarę własnych potrzeb. Oto ideał eko nomii społecznej, jak go przedstawia partya Anarchistów.

Z tymi panami nie będziemy się spierać, czy ich organi zacya jest możliwa na dłuższy przeciąg czasu: jednę tylko rzec zauważymy. I w anarchistycznym, niemniej jak w centralisty cznym systemie, każdy robotnik stoi pod rozkazami najbliższeg swego urzędu roboczego; musi pracować t a m, gdzie go posta wią, musi robić t o, czego od niego żądają, i t y l e, ile mu od mierzą. O uchylaniu się od tego, niema mowy; wolność wybie rania sobie pracy odjętą mu jest z u p e ł n i e. Robotnik tak w daleko większym stopniu jest niewolnikiem, niż był nim kiedy kolwiek w przeszłości. Niechby nawet ten podział pracy sar w sobie był najsprawiedliwszy i najmędrszy — czy każdy robotni ze swego podrzędnego stanowiska, na jakiem żyje, zawsze si tego dopatrzy? czy w niezliczonych razach nie będzie sądził, ż jest uciemiężonym, upośledzonym wobec drugich, i prześladowa nym? czyż nie będzie się chciał zpod tego ucisku wyswobodzić czy nie znajdzie wielu równie niezadowolnionych towarzyszy pragnących zrzucić z siebie to jarzmo surowej władzy? A któ ma sądzić w ostatniej instancyi o mniemanych nadużyciach Ludowi to n i e z a l e ż n e m u jedynie służy prawo sądzić i wy rokować o swoich urzędnikach — a w skład tego niezależneg ludu wchodzą właśnie ci sami robotnicy, którym się zdaje, ż są pokrzywdzeni; na ich to krytykę i agitacyę wystawiony jes urzędnik, i musi jej wkońcu uledz. Jestto poprostu ciągły sta

wojenny, bo zawsze znajdą się niezadowolnieni robotnicy, którzy się będą uważali za pokrzywdzonych w swych prawach, i za uciemiężonych.

Chociażby wyższe władze i sfery rządzące starały się o wszelką możliwą sprawiedliwość, to jednak w niższych warstwach może istnieć przekonanie, że są samowolne; i miasto prawdziwego braterstwa, panowałoby tylko niedowierzanie, nienawiść i waśń. Do tego dodać należy jeszcze jedno, co to wrogie usposobienie w wysokim stopniu pogorsza. Oto wszystkie władze wychodzą z wyboru ludu; a ucisk najboleśniej daje się uczuć i najtrudniej go znosić, jeśli pochodzi od tych, którzy całą swą władzę zawdzięczają uciśnionym. Dyktatura, której wymaga socyalistyczna organizacya pracy, z natury rzeczy rozbudzi namiętności, nienawiści, nieprzyjaźni, zuchwały opór, publiczne nieposłuszeństwo, w stopniu daleko wyższym, niż jakakolwiek dotychczasowa forma rządu. Przykładów dosyć mamy z tego krótkiego przeciągu czasu, od jakiego socyalizm podniósł głowę.

Listy Lassalle'a pełne są skarg na oporność, brak karności i posłuszeństwa w jego partyi; waśni nie miały końca. Wskutek tylu rozczarowań, zniechęcenie i gorycz opanowała go tak, że wielokrotnie groził ustąpieniem; i gdyby przedwczesna śmierć nie była go odwołała z pola, byłby z całą swoją reformą społeczną nędzne zrobił *fiasco*. A obecnie, wśród dzisiejszych demokratów socyalnych, czy inaczej się dzieje? Jeżeli socyaliści w swoim obozie, który dzisiaj jest jeszcze tylko partyą, utrzymywaną przeważnie pod groźbą nacisku z zewnątrz, nie mogą stworzyć silnej organizacyi, czyż potrafią to uskutecznić w wielkiem państwie? W takiem niewolnictwie, jakie państwo socyalistyczne na swoich obywateli sprowadzić niechybnie musi, niezbędnym jest jakiś potężny hamulec moralny, któryby siłę namiętności potrafił skutecznie zdusić w samym zarodku; a takim może być tylko religia chrześcijańskich wyznawców i męczenników, religia Ukrzyżowanego; bo ona tylko jedna i nakazuje, i daje zarazem miłość krzyża; ona błogosławi ubóstwo i nagradza je królestwem niebieskiem, wszczepia pokorę, cichość, cierpliwość; ona jedna ma to wielkie przykazanie ofiarnej miłości

bliźniego; ona daje heroizm zaparcia się siebie i żywą nadzieję, że wieczność wyrówna wszystkie ziemskie różnice. Lecz tę religię socyalizm odrzuca — i dlatego też jego państwo, jak niegdyś wieża Babel, nigdy nie doczeka się swego wykończenia.

Gdzie religia przestaje być podwaliną życia społecznego, a na jej miejsce wchodzi idea ateistyczna, tam żywy i wolny organizm musi się koniecznie wyrodzić w martwy i zabijający mechanizm, w którym siła jest samowładną panią i rządzi despotycznie na szkodę wszystkich; ale szczególnie cierpią od niej klasy zależne. Każdy organizm potrzebuje siły żywotnej, działającej od wewnątrz; w organizmie społecznym tą siłą jest „zwierzchnictwo“ [1], bez względu na nazwę, jaką noszą jego przedstawiciele. Jest ono tym wewnętrznym i jakoby duchowym pierwiastkiem, który wszystkie części ogarnia, ich pracom nadaje odpowiedni wzajemny stosunek zależności lub współrzędności, przez co dozwala całości spełniać jej zbiorowe zadanie; bez tego jednoczącego pierwiastku, wszystkie pojedyńcze organa będą tylko jakoby członkami umarłego ciała. W państwie socyalistycznem jest tym pierwiastkiem jedynie brutalna siła, a wszystkie organa są tylko kółkami tego martwego mechanizmu, poniewolnie tąż siłą popychanemi. Bo bez religii niema prawdziwego zwierzchnictwa, bez Boga każda władza jest tylko siłą fizyczną, cisnącą i gniotącą, ale nie potęgą duchową, któraby mogła moralny nałożyć obowiązek; bez Boga każda władza dopóty tylko jest silną, dopóki potrafi łamać opór materyalny; skoro zaś napotka na opór mocniejszy, niż sama, niezawodnie runąć musi. Moralna zaś siła polega na Bogu i Jego św. woli, której sankcyi człowiek nie może odmienić. Siła moralna na tem się właśnie zasadza, że Bóg wolę ziemskich zwierzchników, dopóki tylko nie jest przykazaniom Jego otwarcie przeciwną, za swoją uznaje, tak że wola zwierzchności (z powyższem zastrzeżeniem) rzeczywiście jest wolą Boga — posłuszeństwo woli zwierzchników, posłuszeństwem względem Boga — nieposłuszeństwo

[1] Słowa tego używać będziemy w znaczeniu łacińskiej *auctoritas*, które wyraża nietylko powagę, ale i władzę.

względem woli przełożonych, buntem przeciwko Bogu. Bóg zaś potrafi nadać woli swojej sankcyę najwyższą i nieprzełamaną: wieczna, nieskończona nagroda czeka posłusznych — wieczna, nieskończona kara, buntowników. Ta siła moralna jest niezbędnym czynnikiem zwierzchnictwa, a moralna konieczność, ztąd wynikająca dla podwładnych, nazywa się o b o w i ą z k i e m. Prawda ta zawiera się w tych słowach Pisma św.: *Niemasz zwierzchności, jedno od Boga*[1]. — *Mam moc ukrzyżować cię i mam moc puścić cię,* rzekł Piłat do Chrystusa Pana; a On mu odpowiedział: *Nie miałbyś żadnej mocy nade mną, gdybyć z wierzchu nie dano*[2].

Atoli moralna ta konieczność wtedy tylko może wywierać całą swą moc obowiązującą, kiedy czyny, jakie zwierzchność nakazuje, nie sprzeciwiają się prawu bożemu, lecz się z niem zgadzają. Wola Boga, czyli Jego prawo, jest właśnie tą normą, według której rozporządzenia ziemskich przełożonych mają być czynione. Bóg bowiem ze swą sankcyą, nie może stanąć po stronie takiej woli ludzkiej, którą, z powodu nieskończonej swej świętości, brzydzić się musi. To tylko może być słusznem i dobrem, co się nie sprzeciwia prawu bożemu. Bez religii więc, bez żywej wiary w Boga i w Jego rządzenie światem, które wszystkim rzeczom, od najwyższych do najniższych, niezmienne i niezłomne przypisuje prawa — niema prawdziwego posłuszeństwa. Bo jeśli poddany nie czuje tego związku między wolą Boga a wolą ziemskich kierowników, jeśli nie uznaje bezwzględnej zawisłości ludzi od Boga i nie poddaje się jej: to jakąż może mieć rękojmię, że to co świeccy prawodawcy rozkazują, jest sprawiedliwem i dobrem, i jakiż obowiązek, żeby tego słuchać?

Socyalizm zaś odrzuca tę wiarę, a z nią wszystkie te święte prawdy, na których jedynie cały świat moralny się opiera, a tem samem niszczy wszelką moralną siłę, obala wszelką powagę, znosi wszelkie zobowiązanie, bo znosi zasadniczą normę wszelkiego dobra i prawości. Cóż więc pozostanie dla jego piastunów władzy? Nic innego, jak brutalna siła, która tak długo swe parcie będzie wywierać, dopóki podwładni nie będą w stanie jej

[1] Rzym. XIII. 1. [2] Jan XIX. 10, 11.

złamać. Bo cóż innego w tym systemie rządzi społeczeństwem jeśli nie ta smutna konieczność: przed większą cofnąć się siłą. Cóż jest normą słuszności i dobra? Nic innego, jak zmieniające się za lada powiewem zdanie przedstawicieli ludu i egoistyczne poglądy dojutrkowych przedstawicieli władzy, według których to jest prawem i dobrem, co wiedzie do celu, a tym celem: używanie, rozbudzanie i zaspokajanie żądzy używania. I nie może być inaczej. Wyrzekłszy się Boga i wiecznej nagrody, za wszelkie trudy i mozoły nie spodziewają się i nie chcą nic innego, jak zanurzać się i wyniszczać w rozkoszach ziemskich. Naturalna dążność do szczęścia, napełniająca serce ludzkie, traci swą uszlachetniającą cechę i przemienia się w niską żądzę rozkoszy, upodlającą człowieka, bo nią opanowany, uznaje wszystko, co ją zaspokaja, za słuszne i święte. Ztąd też wynika cała moralność socyalizmu; a na takich podwalinach nie można zbudować żadnego państwa.

Jednem słowem, religia jest tą siłą, która na zwierzchnictwo, to prawdziwe źródło życia w organizmie społecznym, twórczo i zachowawczo wpływa, przenikając niższe i wyższe jego warstwy; na niższe — uświęcając obowiązki podwładnych wieczną a niezłomną sankcyą; na wyższe — określając granice władzy, których przekroczyć nie mogą. Stojący u steru, nie mogą używać swej władzy, jak się im podoba; i oni poddani są prawu bożemu i muszą zdawać liczbę z „włódarstwa swego". I w tem właśnie jest całe bezpieczeństwo podwładnych. Jeśli upadnie religia, to zarazem zrywa się z jednej strony tama powstrzymująca wszelkie rokosze warstw niższych, a z drugiej obala się mur ochronny przeciwko samowoli władców i wynikającemu z niej tyrańskwu.

Jest to znana i po wielekroć dowiedziona prawda, i nawet przez pogańskich filozofów uznana, że bez religii i Boga żadne trwałe społeczeństwo ostać się nie może; budować zaś gmach społeczeństwa, jak to czynią socyaliści, na ateizmie, to istne szaleństwo, którego początek i koniec — gruzy i zniszczenie. Krwiożerczy przywódcy rewolucyjnej rzeczypospolitej Francuskiej pokusili się już raz o to; odrzucili *Être suprême*, ale też nie zdo-

łali żadnego zorganizować społeczeństwa. Przywrócili więc, dekretem rządu, Boga i dodali mu 36 cnót; ale było to raczej bluźnierstwo niż wiara; to też nie wydobyła ich z przepaści, w której ci założyciele nowego państwa z szaloną wściekłością nawzajem się zabijali.

Jeszcze słowo o ostatniej nieprzezwyciężonej przeszkodzie dla socyalistów do założenia nowego a trwałego państwa. Przeszkoda ta należy ściśle do sfery socyalnej i w bliskim stoi związku z tem, nad czem dotychczas się zastanawialiśmy: jest nią rozerwanie węzłów małżeńskich i zniesienie zupełne rodziny.

Rodzina, to nietylko pierwszy fundamentalny organ wszelkiego społecznego organizmu, więc i państwa, ale zarazem w niej jest zaród wszelkiej moralności.

Nie mam zamiaru rozwijać tu pierwszej z tych dwóch myśli; druga wystarczy zupełnie, aby wykazać, jak destrukcyjnie działają idee socyalistyczne.

W rodzinie zawiera się najprzód pierwotny zawiązek wszelkiego społecznego zwierzchnictwa. Tym zawiązkiem, to władza ojcowska, którą sama natura nadaje głowie rodziny. Władza ta występuje nietylko jako rozkazująca, lecz zarazem jako troszcząca się i dbająca o dobro swych domowników, i dlatego przedstawia nam w ogólnych zarysach prawa i obowiązki władzy w społeczeństwie na większą skalę. W rodzinie to leży zaród naturalnej spójności i podporządkowania niezbędnego do wytworzenia jakiejś silnej całości; rodzina zawiera w zawiązku większą, rozrastającą się w silne drzewo, całość: jest to państwo w miniaturze.

Ognisko rodzinne obejmuje nietylko stosunek wzajemny rodziców i dzieci, ale także sług i panów; a mianowicie: sługa ma obowiązek posłuszeństwa, pan, umiarkowania w rozkazach i opieki. Z rodziną łączy się prawo własności, jako naturalna podstawa jej bytu. Tak więc rodzina, na tem prawie natury się opierając, przedstawia obraz samodzielnej, dobrze uporządkowanej osoby zbiorowej, i zawiera w zawiązku wszystkie te pierwiastki, które tworzą zasadnicze warunki rodziny społecznej, czyli państwa. W ten sposób w łonie rodziny przygotowuje się

poniekąd ta krew, która w tysiącach żył ma płynąć, i dawać ciału społecznemu siłę żywotną, czerstwość i wzrost. Szczęśliwy ten rezultat zawsze da się osiągać tam, gdzie rodzina wiernie się trzyma istotnych swych praw naturalnych i strzeże nieskażonymi te żywioły, jakie Bóg w niej złożył.

Jeżeli jednak ta społeczna krew już w swem źródle będzie zatrutą, tj. jeżeli same podstawy rodziny zachwiane i zniszczone zostaną, jakże wtedy może jej siła żywotna odbić się i przejawić w tej wielkiej rodzinie społecznej? Jeżeli się w rodzinie podkopie i zupełnie zniszczy powagę ojcowską, czy wtedy jakakolwiek inna powaga znajdzie poszanowanie? Jeżeli się zerwie węzły jedności rodzinnej, czy ostoją się wtedy jeszcze luźne węzły obywatelskiej łączności? Jeśli się rozluźni stosunek służby w domu, czy to z dołu przez szemranie i hardość, czy z góry przez samowolne nadużywanie władzy: czyż wtedy w tym szerszym stosunku służbowym życia społecznego, w stosunku podwładnych do rządzących, nie nastąpi to samo w daleko większej mierze, i na ogromną szkodę całego społeczeństwa? Jeżeli w rodzinie wspólna posiadłość nie będzie szanowaną i uważaną jako święte prawo własności, jako od Boga wypuszczona dzierżawa na utrzymanie rodziny, jakąż wtedy rolę odgrywać będzie prawo własności w rodzinie społecznej?

Rodzina jest dziełem natury, wynikającem z rozporządzenia bożego, i jako taka jest wypływem woli bożej, i według tejże woli urządzoną instytucyą; jest rozsadnikiem moralności, łącznikiem wiążącym stare i młode pokolenia, fundamentem państw i ludzkości [1].

Dlatego jest to faktem, objawiającym się w historyi cywilizacyi wszystkich niezdziczałych i zdrowych moralnie narodów, że rodzinę otaczały pewną czcią, prawie religijną, jak się to pokazuje z tak licznych i rozmaitych obrzędów ślubnych, mających uświęcić węzły małżeńskie. „Ognisko rodzinne i ołtarz“ były dla Rzymianina jednym nierozdzielnym symbolem wszystkiego, co miał za wielkie i święte. *Pro aris et focis*, za całość

[1] Walter, *Naturrecht und Politik*, str. 89.

świątyni i rodziny oddawał Rzymianin wszystko, nawet życie własne. Ognisko, symbol materyalnej łączności rodziny, złączone z ołtarzem, jako symbolem religijnego zjednoczenia, oznaczały podstawy, na których opierać się winna rodzina.

W narodach, tych rodzinach rodzin, miejsce „ogniska i ołtarza“ zajmuje „tron i ołtarz“, pierwszy jako symbol zwierzchnictwa, złączony z drugim, jako symbolem religii, która ma układać według ducha bożego wzajemne stosunki między rządem a podwładnymi. Nietrudno ztąd zrozumieć, dlaczego rewolucyoniści wszelkich odcieni również dwie te rzeczy łączą ze sobą, i chcą albo pod gruzami ołtarzów pogrzebać trony, albo z tronami zburzyć zarazem i ołtarze.

Cóż więc według wyraźnych swych zeznań zamierza socyalizm? Nietylko wydziera on rodzinie jej uświęcający charakter, ale nadto rozprzęga ją i niszczy zupełnie, znosząc małżeństwo, a na jego miejsce podstawiając krócej lub dłużej trwający konkubinat wolnej miłości. Socyalizm rozrywa naturalny węzeł jednoczący rodzinę, który męża łączy nierozerwalnie aż do śmierci z żoną, który Bóg nadprzyrodzonem sakramentalnem uświęceniem jeszcze silniej zadzierzgnął. Ten węzeł zawiera też w sobie, i to przedewszystkiem, obowiązek wychowywania dzieci; co znów zajmuje rodzicom większą część ich życia i wymaga od nich bezinteresownego poświęcenia na niezliczone trudy, kłopoty i cierpienia. Ten węzeł zacieśnia się przez wzajemną miłość i ofiarność dzieci względem rodziców, za tyle dowodów miłości i dobroci od nich doznanych.

Tę miłość zobopólną rodziców i dzieci socyalizm niszczy i rozrywa. W jego systemie, dziecko zaraz od piersi matki przechodzi na własność państwa, które je wychowuje w swych państwowych zakładach. Nie przenika do serca dziecięcego uszlachetniająca je miłość macierzyńska, budzących się namiętności nie poskramia umiarkowana surowość ojcowska; lecz bezduszny system, wszystkie zarówno dzieci w jednę i tę samą wtłacza formę; i takie brutalne postępowanie z dzieckiem, ma się nazywać wychowaniem! Dziecko nie znajduje w takiej szkole nic podobnego do miłości rodzicielskiej, od której nauczyćby

się mogło i mieć wzór zaparcia samego siebie i zamiłowania ofiary, tych niezbędnych dźwigni życia ludzkiego i źródeł wszelkiej, a więc i obywatelskiej, cnoty. Niema tu nikogo, coby z miłością zwracał uwagę na zdolności dziecka, aby je później odpowiednio rozwijać; dziecko musi tu do wszystkiego być zdolnem, ale też właśnie dla tego musu, najprawdopodobniej do niczego się nie uzdolni.

Cóż się stanie z miłością ku rodzicom? Przez tak wczesne oderwanie dziecka od nich, stanie się ono dla nich obcem; a może nawet i znać ich nie będzie; niczego od nich nie otrzymało, do niczego się więc wobec nich nie będzie poczuwać. Państwo uwalnia je od wszelkich obowiązków. Miłość rodzinnych stron, ten zawiązek miłości ojczyzny i patryotyzmu, zupełnie niemożebną się stanie. Z rozerwaniem małżeństwa i węzłów rodzinnych, rwą się i węzły tak licznie rozgałęzionych pokrewieństw, które są jakoby cementem w tysiączny sposób spajającym rodziny i łączącym je między sobą. Przyjaźń, tylu więzami łącząca serca, w obozie socyalistycznym nie ma dla siebie miejsca; pocóż zresztą przyjaźń, z jej ofiarnością, miłością i troskami, jeżeli maszyna państwowa stara się za wszystkich i o wszystkich, aby mieli utrzymanie i pracę i co tylko potrzeba; choć prawda, że dba o to wszystko bez cienia miłości, szorstką i wyrachowaną podając wszystko ręką, nie liczącą się z właściwościami różnorodnych serc i usposobień. Jednem słowem, całe społeczeństwo rozpryskuje się na okruchy, których nie łączy i nie wiąże żadne ożywiające tchnienie życia, lecz tylko urzędnicza władza zarządcy wytwarza z nich martwy mechanizm, którego celem jest przepisaną pracę w oznaczonym uskutecznić czasie. Oto społeczeństwo ludzkie, według idei socyalistycznej!

Z rodziną upada nadto cały dobrobyt narodu. Nie podlega najmniejszej wątpliwości, że jedną z najgłówniejszych dźwigni gromadzenia i zwiększania ustawiczną pracą i zabiegami majątku, jest troska o utrzymanie i dobrobyt rodziny. Ojcowie rodzin bowiem dążą do zabezpieczenia swym kółkom familijnym losu odpowiadającego ich stanowisku społecznemu; kosztuje ich to niemało pracy i trudów, czasem nawet więcej niżby się go-

dziło. W tem gromadzeniu dostatków ta myśl im przyświeca, że będą z nich korzystali ich potomkowie, którzy jako naturalni dziedzice, wejdą w posiadanie owoców ich trudów i trosk, a w których jakoby sami dalej żyć będą. Jeżeli zaś rodzina zniesiona, dla kogóż pracować? Niezmordowaną pilność i niestrudzoną gorliwość trzeba będzie wykreślić z ludzkiego życia.

Na szczęście, są to tylko marzenia szalonych głów; na szczęście, ludzka natura, mimo tysiącznych przewrotności, które w nią zaszczepiają, daleko jest rozumniejsza i zdrowsza, niż te chorobliwe sny socyalistów. Gdy kiedyś zaczną realizować swe marzenia, może uda im się zburzyć obecne stosunki, boć szaleńcom nie schodzi na niszczącej potędze, owszem im większy jest ich szał, tem prędzej spełnią dzieło zniszczenia: ale zbudować gmach, który we wszystkich swych podstawach, częściach i spojeniach, naturze ludzkiej się sprzeciwia, tego szaleństwo nigdy nie będzie mogło dokonać.

Z tego, cośmy dotychczas powiedzieli, wyprowadźmy wniosek: Cała budowa państwa socyalistycznego sama z siebie upaść musi. Zasadnicze jego myśli, choć na pierwszy rzut oka tak nęcą, nie dadzą się urzeczywistnić, są one same w sobie sprzeczne, i sprzeciwiają się ludzkiej naturze. Grunt, na którym państwo socyalistyczne ma być wzniesione, to sypki i niestały piasek ludzkich pomysłów, a nie owa silna opoka, jaką Bóg przygotował pod budowę społeczeństw.

(Dok. nast.).

Ks. Antoni Langer.

NAD SERBSKIM DUNAJEM.

ZEMLIN — BIAŁOGRÓD.

Droga z Zagrzebia do Białogrodu, mniejsza o to, górą na Zákány, czy dołem na Sunię, to oczywiste, a wcale nie przyjemne kpiny. Górą, jeśli nie masz ochoty kręcić się w zygzak to w prawo, to w lewo, i robić na dwie mile naprzód jednę wstecz, stosunkowo najpraktyczniej jeszcze dojechać do Pesztu, a ztamtąd dopiero spuścić się do Białogrodu; dołem również zygzak, czas pewien towarzyszą ci nurty Sawy, później od Broodu począwszy, porzucasz bośniacką granicę i wrzynać się poczynasz w odwrotnym kierunku w głąb Węgier, by wreszcie w Szabadzce (Maria-Theresiopol, Subotyca) za trzecim nawrotem znów na dół się puścić. Złośliwi utrzymują, że kolej dlatego jedynie odbywa tyle marszów i kontrmarszów, aby wyminąć mogła Strossmayerowski Djakowar; wersya ta tak potwornie wygląda, że choć nosi podobno wszystkie cechy prawdopodobieństwa, uwierzyć jej trudno; że chętniej już wierzy się drugiej wersyi, wedle której Węgrzy z tej racyi kazali podróżnikowi opisywać takie koła i kółka, aby go zmusić do wybrania względnie wygodniejszej drogi i wstąpienia p o d r o d z e — „po drodze“ w węgierskiem, nie w zwykłem europejskiem tego słowa znaczeniu — do Budapesztu. Ostatecznie wart Pac pałaca, a pałac Paca; ale na upór, upór; na złość Węgrom, wolę całą dobę trząść się w wagonie, wolę co kilkanaście stacyj z ślamazarnie wlokącego się

pociągu do innego równie ślamazarnego się przesiadać, a do Pesztu — teraz przynajmniej — nie wstąpię.

Gdybyż przynajmniej warto było, gdybyż było na co z okien wagonu się patrzeć! W Brood, przy bardzo rannem śniadaniu, pojawiły się malownicze postacie kilku bośniackich begów w narodowym swym, barwnym stroju; pojawiły się i znikły, ustępując miejsca białym, po kolana sięgającym spódnicom i do złudzenia do nich podobnym szarawarom. Ale i te, ani poetyczne ani estetyczne stroje, rzadkiem zjawiskiem na tle rozciągającej się, jak oko sięgnie, równiny, pustej, smętnej, której jedynymi, zdawałoby się, mieszkańcami, licznie, spokojnie pasące się stada koni, trzody owiec, świń, wołów. Na chwilę ściągnął podróżnych do okien wagonów rozłożony obok małej jakiejś stacyi obóz cyganów; przed *Beska* zarysował się w oddali skromny wiejski pogrzeb — i tyle wszystkich wrażeń i widoków! Cóż dziwnego, że kiedy wreszcie zaprzyjaźniony konduktor wejdzie do wagonu i rozglądnąwszy się, czy go kto nie podsłuchuje, powie ci nie po węgiersku, ale po niemiecku: „Za kwadrans będziemy w Zemlinie“; cóż dziwnego, że choć w Zemlinie nie masz ni brata ni swata, i nic do niego szczególnie cię nie ciągnie, cieszysz się przecież, że przenudna ta droga raz wreszcie się skończy. Chciałbyś o coś jeszcze konduktora zapytać, ale bystre jego ucho czy oko dostrzegło widocznie coś podejrzanego; w jednej chwili po niemiecku zapomniał, i jak na węgierskiego urzędnika przystoi, węgierskie tylko dźwięki przez gardło mu się przeciskają...

W kleszczach, utworzonych przez Sawę i Dunaj, rozsiadł się z jednej strony Zemlin (Zemuń, Zimony), z drugiej Białogród; stolica serbskiego królestwa przedzielona tylko szerokim pasem wód od niejedynej zapewne, ale jednej ze stolic licznych serbskich kolonij, które przed laty znalazły w Węgrzech gościnność i schronienie przed muzułmańskim uciskiem. Lamartine w opisach swych podróży nie szczędzi Zemlinowi entuzyastycznych pochwał; nazywa go bramą do innego jakiegoś świata, kąpać mu się każe w czarownych blaskach Wschodu. Nie ma to jak poetą być! zwykły podróżnik napróżno za tymi blaskami się

ogląda, a niebacznie się oglądając, wpada w kałuże błota, które dopiero zdolne go przekonać, że istotnie bramy Wschodu przestąpił. Naturalnie, kto rano o wschodzie słońca nad Dunaj się wybierze, i nie czekając na marudny parowiec, lekką łódką pomknie po jego falach, temu z łódki, dzięki odległości i wychodzącym z Dunaju złotym, czerwonym światłom, Zemlin wyda się jakimś z bajki wyjętym zbiorem zaczarowanych pałaców, ogrodów. Ale ledwieś z powrotem do brzegu przybił, długą, niekończącą się aleją ku miastu się zwrócił, a już czar prysnął i próżno napowrót przywołać go się kusisz.

Z kałuż, z naśladujących trotoary kupek kamieni, wyrastają brudne, małe domki, dziesiątki karczem z ogródkami i bez ogródków. Ponad domkami, rozlanymi szeroką a płytką falą na stosunkowo bardzo wielkiej przestrzeni, wznosi się kilka wież kościelnych, parę zaledwie większych gmachów, między którymi, choć jeszcze nie wykończony, króluje już dzisiaj nowy, olbrzymich rozmiarów szpital, wybudowany wedle planów nakreślonych przez znanego nam z Zagrzebia „Księdza Przełożonego“. Zemlińczycy żartują sobie, że kiedy szpital ten, wspaniały, wygodny, urządzony z zastosowaniem wszystkich najnowszych wynalazków i ulepszeń, zostanie ostatecznie wykończonym, to cisnąć się doń będą królewscy dworzanie, ministrowie z sąsiedniego Belgradu; kto wie, czy żart ten, prędzej niż żartujący się spodziewają, nie doczeka się urzeczywistnienia, czy przynajmniej serbscy dygnitarze, przyjrzawszy się tu cudom miłosierdzia, spełnianym przez pokorne Szarytki, nie zapragną tych cudów i u siebie oglądać i doświadczać. Przełożona, żwawa, energiczna, prawdziwa „misyonarka“, która sama oprowadza po salach i kuchniach, korytarzach i rusztowaniach, nie bardzo śmie głośno tym nadziejom się oddawać, ale dojść nietrudno, że głębokie one w jej sercu zapuściły korzenie, i z niecierpliwością oczekuje chwili, w której będzie mogła w podobny sposób oprowadzać swych gości — po drugiej stronie Dunaju.

— Cóż tu obejrzyć u was warto? — pytam pana Iwana Holza, budowniczego, *graditelja*, jak go tu nazywają, który z więcej niż słowiańską gościnnością ofiarował się przy pierwszych

słowach powitania najzupełniej na moje usługi i co chwila czynami dowodził, że ofiara ta nie była czczym frazesem.

— Co obejrzyć warto? Mówiąc na seryo — nic.

Myślałem, że to fałszywa skromność, że może jakaś niechęć do Zemlina; ostatecznie pokazało się, że poczciwy mój Chorwat z Požegi (Chorwat, a nie Serb, bo jest katolikiem, a nie prawosławnym), który tymczasem już laskę, kapelusz odnalazł i do drogi był gotów, miał w gruncie najzupełniejszą racyę. W całem mieście, ze świecą szukając, nic do zobaczenia niema, prócz chyba paru kościołów; a i te kościoły wcale nie ciekawe. Jeden, na odległem przedmieściu, dopiero co wystawiony, przedstawia się w koronce z klombów i kwiatów bardzo schludnie i miło, lecz ostatecznie niczem się nie różni od setek innych, świeżo zpod kielni wyszłych; drugi, w środku miasta, należący od dawnych czasów do Franciszkanów, wygląda tak jakoś biednie i niesmacznie, że musiał go chyba Józef II. budować. Ufajmy, że później kiedyś uda się obok nowego szpitala, wznieść nową, odpowiadającą mu rozmiarami i wspaniałością świątynię; pięknieby to i nie bez pożytku było, aby naprzeciw białogrodzkich cerkwi i wież, błyszczał na austryackiem terytoryum, w większym niż dotąd blasku, większą niż dotąd chwałą otoczony, krzyż katolicki.

Na ulicach obijają się o uszy wszystkie możliwe i niemożliwe języki: istna wieża Babel! Młody chłopak, który mi torbę podróżną z dworca kolejowego poniósł, użala się w chropowatej niemczyźnie, ile to języków potrzeba, aby z miejscowymi, a cóż dopiero z podróżnymi, choć od biedy się porozumieć.

— Ja sam Węgier, ale Węgrów nas tu mało, więcej daleko Niemców, Serbów dużo; a i po rumuńsku, po francusku kilkanaście przynajmniej słów koniecznie trzeba od przypadku mieć w ustach.

Mimowoli, żalów tych słuchając, stanęła mi przed oczami stara Słowaczka, która parę miesięcy temu, na drugim końcu Węgier, w dalekim ztąd Trenczynie, te same jeremiady zawodziła; tak samo, słowo w słowo, uskarżała się, że kto trzema czterema językami nie włada, temu na kawałek chleba bardzo

trudno zarobić, bo o szczupłej garstce rodowitych Madziarów, w północnych jak w południowych Węgrzech, wspominać nie warto. I jak tam, tak tu, słychać regularnie ten sam niemiły finał niemiłej piosenki: „Najmniej nam ze wszystkich zdać się może język węgierski, a jednak w szkole prawie tylko po węgiersku uczyć się nam dają".

Na sklepach, sklepikach napisy po serbsku, niemiecku, czasem po rumuńsku, nie częściej pewnie po węgiersku. Z dwóch miejscowych dzienniczków, jeden jest serbski, drugi niemiecki; o założenie węgierskiego nikt się nie kusi, bo każdy wie, że może w najlepszym razie uzyskałby z Pesztu subwencyę, ale tylu czytelników, ilu dla pewnej przyzwoitości niezbędnie potrzeba, i wszechwładny Peszt wyszukaćby mu nie zdołał. Wogóle panuje tu dla Węgrów, dla rządów ich i języka, to samo mniej więcej usposobienie, co w pobratymczym Zagrzebiu; tylko że Serbowie z południowych węgierskich komitatów i we śnie marzyć nie mogą o autonomii, o przywilejach przyznanych urzędowo chorwackiemu królestwu.

Nie zawsze tak bywało, a pamięć na dawne, pomyślniejsze czasy napawa dziś węgierskich Serbów — stosownie do tak prawdziwych słów poety — tem większą, tem bardziej piekącą goryczą. Kiedy około r. 1420 pierwsza serbska kolonia, uciekając przed turecką szablą i batem, osiedliła się koło Budy, na wyspie Csepel, król Zygmunt przyjął wychodźców z otwartemi rękami. Z Csepel rozeszły się wokoło serbskie osady; jedna z nich utworzyła z biegiem czasu w samejże Budzie osobną serbską dzielnicę. Jerzy Branković, przyjęty w poczet węgierskich magnatów, odwdzięczył się nowej swej ojczyźnie, sprowadzając do niej całe zastępy serbskich swych współziomków i zaludniając nimi puste dotąd obszary wokoło Tokaju, Munkaczu, Becsy, Vilagos, Becskerek i t. d. Największy wszakże i liczbą i znaczeniem *exodus* Serbów do Węgier przypada na koniec XVII. wieku. Wskutek manifestów, obietnic i przywilejów, nadanych przez walczącego z Portą wszelkimi możliwymi sposobami cesarza Leopolda, przeszło około 40.000 rodzin serbskich pod wodzą patryarchy Arzeniusza Cernojevicza granicę węgierską i rozsypało się po całych

niemal Węgrzech, od Sawy aż po Jaworzyn (Raab), Komarno, Ostrzyhom.

Cesarskie przywileje gwarantowały serbskim wychodźcom, serbskiemu „narodowi w Węgrzech“, nietylko zupełną wolność religijną, prawo wyboru patryarchy i t. d., ale i w szerokich granicach zawartą narodową odrębność, formalną autonomię. Nie podobało się to, a mówiąc szczerze, trudno żądać, aby mogło się było podobać, Węgrom; jeszcze nie obeschły pióra dyplomatów, podpisujących Karłowicki pokój, a już węgierscy dygnitarze wystąpili z żywymi protestami przeciw świeżo utworzonemu państwu w państwie; z żądaniem poddania serbskich wychodźców ogólnym prawom i instytucyom. Walka trwała wiek cały; dwór wiedeński próbował wedle możności dopełnić i bronić danych przez siebie obietnic; Józef I., Karol VI., Marya Teresa, potwierdzali uroczyście dawne nadania; ale pomimo tego, wbrew chęciom swym i słowom, ustępowali krok za krokiem, dopiero co potwierdzone przywileje „zmieniali stosownie do czasów i okoliczności“, a mówiąc bez ogródek, ścieśniali i znosili. W r. 1790 sejm węgierski przyznał Serbom prawa i obowiązki węgierskich obywateli, tj. odebrał im i cień narodowej autonomii, zachowując tylko kościelną. Serbowie poddać się musieli, ale w sercu nie zgodzili się nigdy na to jawne pogwałcenie praw, tak uroczyście sobie przyznanych. Wypadki marcowe roku 1848 natchnęły ich nową otuchą, obudziły długo tłumione żale; osobna deputacya z Nowego Sadu stanęła przed Kossuthem, stawiając śmiało alternatywę:

— Wróćcie nam nasze prawa, zaprzestańcie zwłaszcza uciskać nasz język; albo będziemy sobie musieli gdzieindziej poszukać sprawiedliwości.

— Skoro takie stawiacie żądania, — odparł dumnie Kossuth — szabla tylko może między nami rozstrzygnąć.

Słowa te były iskrą padającą na oddawna w Chorwacyi, w całych południowych Węgrzech, nagromadzone palne materyały; narodowe serbskie zgromadzenie, zebrane w Karłowicach, ogłosiło przywrócenie niezależnego od Węgier serbskiego „województwa“ i serbskiego patryarchatu. W Wiedniu przyjęto oczy-

wiście z radością wiadomość o pożądanej tej dywersyi przeciw węgierskim buntownikom, a wyrazem tej radości był manifest cesarski z 15 grudnia 1848, potwierdzający karłowickie uchwały, i mianujący patryarchą, zgodnie z wolą Serbów, duszę całego tego ruchu, Józefa Rajačića, a wojewodą „mężnego i wiernego serbskiego narodu", jenerała Szczepana Supljikac de Vitez. W niespełna rok później, po ostatecznem przywróceniu pokoju, patent cesarski ogłaszał utworzenie nowego kraju koronnego, z nazwą: Województwo serbskie, ze stolicą w Temeszwarze. Tytuł „Wielkiego Wojewody" przysługiwać miał samemu cesarzowi; jego namiestnik nosił nazwę: „Wicewojewody". Zdawało się, że jeśli nie Węgrzy, to przynajmniej Serbowie powinni być zadowoleni z tych odniesionych przez siebie zdobyczy. Gdzie tam! właśnie Serbowie, mówiąc dokładniej, Młodo-Serbowie, zniechęceni do Wiednia, za ministeryum Schmerlinga, agitować poczęli za zniesieniem województwa i zlaniem się z Węgrami. Życzeniom ich, w których urzeczywistnienie sami bodaj nie wierzyli, stało się zadosyć; po r. 1866 województwo serbskie zakończyło krótki swój żywot, a rząd peszteński postarał się o to skwapliwie, aby wszelkie ślady jego istnienia jak najprędzej zatrzeć. Dziś dużoby z pewnością dali i Staro- i Młodo-Serbowie, aby wrócić do stanu rzeczy zprzed pruskiej kampanii; ale łatwo popsuć w chwilowym złym humorze, naprawić trudniej, co lekkomyślnie się popsuło. Serbscy posłowie w Peszcie lamentują i piorunują; skarżą się, że dziś pod wielu względami im gorzej, niż było przed r. 1848. Cóż z tego, kiedy jak żale, tak groźby płyną napróżno, odbijają się bez echa, czasem tylko przynosząc w odpowiedzi szyderczą odpowiedź: „Przecież sami tegoście chcieli!"

— A jednak — słyszę odzywające się nie bez racyi głosy serbskich patryotów — a jednak, czy to ze strony Węgrów roztropnie, czy zręcznie, że tak ciągle do siebie nas zniechęcają; że już nie do naturalnego rozwoju narodowego życia, ale do życia niemal samego radziby nam prawa odmówić? Mówią, że jest nas Serbów w właściwych Węgrzech tylko przeszło ćwierć miliona: niechby więcej nie było, czyż i ćwierć miliona zaważyć nie może na szali? Z zachodu graniczą z nami pobratymcy Chor-

waci: ostatnie nasze, na północ wysunięte czaty, spotykają się z Słowakami: na południu podajemy przez Dunaj ręce niezależnej Serbii. Czy wobec tego nie byłoby polityczniej, nie zrażać nas, ale przyciągać: nie odpychać i nie popychać w czarnej godzinie do rozpaczliwego jakiego kroku, którego później sami możebyśmy żałowali?...

Polityczne te wynurzenia, same w sobie wzywające do poważnego zastanowienia się, nabierają siły i wagi, skoro się je słyszy na pokładzie parowca, odstawiającego co godzinę, co półgodziny, Zemlińczyków do Białogrodu, Białogrodzian do Zemlinu. Bez wątpienia, wojska austryackie mogłyby w parę godzin, po wypowiedzeniu wojny, zająć serbską stolicę; ale czy i Serbowie, choć dziś na Dunaju tak bardzo od Austryi zależni, nie mogliby w parę godzin stanąć w Zemlinie, nie pokusiliby się o wywołanie rozruchów wśród bratniej ludności; czy nie potrafiliby wyzyskać gromadzących się tu od tylu lat niechęci, waśni? Służba na parowcu rozmawia między sobą po serbsku; cisnący się wyrobnicy, rzemieślnicy, bardziej jeszcze i liczniej cisnące się służące, gosposie, które każdego poranku wybierają się do Białogrodu z pełnymi koszami marchwi, kalarepy, kapusty, sałaty: wszyscy rozmawiają, wszystkie krzyczą i przezywają się po serbsku: w obu, z obu stron rzeki leżących miastach czują się pewnie tak samo, u siebie. Łączy ich język, łączy nieraz religia, łączą wspomnienia wspólnej niegdyś historyi, wspólnej niedoli i wspólnych nadziei; przez długie lata Serbowie z dzisiejszego królestwa zwracali oczy ze zrozumiałą zazdrością na szczęśliwszych współbraci z dawnego województwa; nie dobrzeby w każdym razie było, jeśli nie dobrze już nie jest, gdyby dzisiaj role wręcz się zmieniły.

Przybijamy; jesteśmy w Belgradzie, jak mówią Niemcy, Francuzi; w Białogrodzie, jak żądają nasi puryści; w Beogradzie, jak sami Serbowie zowią swoją stolicę. Zbita, odurzająca wonnościami fala zemlińskich marchwi i buraków, zalała wązki mostek, i tamując przejście, zachęca do spokojnego rozglądnięcia

się wkoło: z węgierskiego brzegu Belgrad wydawał się jak królewna w bajce, zbliska ta królewna przedstawia się w brudnej i błotnistej szacie; z serbskiego brzegu Zemlin, wynurzający się zpoza mgły ze słońcem zmieszanej, nęciłby, czarował, gdyby się go przed półgodziny zbliska nie widziało. Kilka zaledwie miesięcy temu, odbywać trzeba było na wstępie nudną i nużącą paszportową ceremonię; obecnie o paszport nikt nie pyta. Doświadczenie przekonało Serbów, że paszportowy przymus nabawiał nieraz niemało kłopotów porządnych ludzi i odstręczał ich od zostawienia w Belgradzie kilkudziesięciu franków lub reńskich; ale że złodzieje i spiskowcy zawsze zaopatrzeni byli we wszystkie najformalniejsze legitymacye, i przeto — jak na praktycznych ludzi przystało — przymus ten znieśli, odstępując go po sąsiedzku Rumunom. Istotnie, jednocześnie niemal Serbia uwolniła się z paszportowych kajdan, a Rumunia zaprowadziła je u siebie z całym rygorem; ciekawa rzecz, czy przestarzałe to nieco lekarstwo wyjdzie jej na zdrowie, czy potrafi choć w części ją uleczyć z przeróżnych chorób i dolegliwości, które dziś ją trapią.

Na brzegu obija się ciągle o uszy niemiecki język, wszędzie napisy niemieckie obok, nieraz i przed serbskimi, rozmaici strażnicy i celnicy pierwsi po niemiecku się odzywają; znać, że choć urzędowo stoimy na ziemi serbskiej, w stolicy serbskiej, to faktycznie jesteśmy jeszcze w królestwie „c. kr. Towarzystwa Dunajowego statków parowych“; że mimo rozwijającej się rosyjskiej i nie wyszłej dotąd z pieluch serbskiej konkurencyi, właściwym panem nietylko Dunaju, ale i belgradzkich progów: *die k. k. Donau-Dampfschiffahrtgesellschaft.* Serbów to korci, i jakże korcić nie ma? wytężają siły, aby i swoją flagą na Dunaju zabłysnąć, lecz i sami pewnie rozumieją, że dużo jeszcze popłynie Dunajowej wody, nim flaga ta będzie mogła na seryo, choć w pokojowej tylko walce, zmierzyć się z austryacką. Tymczasem zadawalniać się muszą robionemi dobrowolnie sobie grzecznościami; wdzięcznymi być, że parowce przybijają i w dalszą drogę odpływają z Białogrodu, a nie, jak przed kilku jeszcze latami, z Zemlina: że w Dunajowej służbie wielu Serbów chleb

dostatni znajduje; uważać, aby łaskawie przyznanych sobie korzyści natręctwem, niegrzecznością nie stracić.

Przechodzimy lekki pagórek, ruch nadbrzeżny maleje, ustaje; jesteśmy w mieście, chciałoby się powiedzieć, w miasteczku, gdyby nie wzgląd na dobre, sąsiedzkie stosunki z serbskiem królestwem. Wedle urzędowej statystyki, Białogród liczy około 40.000 mieszkańców; przeczyć naturalnie nie mogę i nie śmię, ale trudno jakoś zmiarkować, gdzie się tu dla wszystkich miejsce znalazło; jeśli Serbowie nie cisną się tak przynajmniej w swych domkach, jak Żydzi na Kazimierzu, to prawdziwą zagadką, gdzie mieszczą się, gdzie mieszkają. Jakiegobądź „Przewodnika“ po Belgradzie dotąd niema; w księgarniach wykołatać ledwie zdołałem mały, serbsko-niemiecki plan zprzed ośmiu lat; za to z rozgraniczającej Sawę od Dunaju zamkowej góry miasto jak na dłoni się roztacza. Rozpada się ono na sześć dzielnic, nazwanych od Dunaju, od Sawy, od głównych kościelnych, miejskich, państwowych zabudowań, koło których się rozsiadły. Nad Dunajem wznosiło się niegdyś tureckie miasto, nad Sawą serbskie; dziś różnice te zatarte, dawni muzułmańscy panowie zewsząd musieli ustąpić, zachowując po sobie ledwie kilka nazw, kilka pamiątek: opuszczony meczet, lepiej od niego zachowaną, pilniej zwiedzaną turecką łaźnię. Właściwem jądrem dzisiejszej stolicy, drugi i trzeci okrąg: *Waroszki* i *Terazijski,* wciśnięte między *Nadsawską* z jednej strony, *Naddunajską* i *Palilulską* dzielnicę z drugiej. Od zamku, mówiąc dokładniej, od ogrodu, w który stoki zamkowe od niewielu lat zmienione, biegnie główna arterya Belgradu: ulica *Kneź Michałowa;* rozszerza się nieco w samym środku miasta i dalej ku południowym krańcom jego się toczy, pod zmienioną nazwą: *Milanowa Ulica.* To serce Beogradu, tu skupiło się europejskie, stołeczne jego życie; kto chce go poznać takim, jakim Serbowie cudzoziemcowi przedstawićby go radzi, ten niech przejdzie tylko powoli, wokoło pilnie się rozglądając, dwie te, zaginające się w lekki kabłąk, wzdłuż całe miasto przecinające ulice, a będzie mógł powiedzieć, że zwiedził, że zna stolicę nowoczesną Michałowego, Milanowego, Aleksandrowego królestwa...

Ze szczytów *Gradu,* tak za tureckich czasów groźnej for-

tecy *Kalimegdan*, roztwiera się przed wzrokiem wspaniałe panorama: daleko za Dunajem, za Sawą, które tu w wzajemnym uścisku łączą odosobnione dotąd żółte swe i zielone wody, węgierski step bez końca; z drugiej strony, nazwę swą usprawiedliwiając i wyjaśniając, w słonecznych promieniach jakby zanurzony, słoneczną białością olśniewający — Białogród. Wieczorami na fortecznych stokach gwarno i ludno; cała stolica wylega tutaj i przy dźwiękach wojskowej muzyki przechadza się po gęstych, niedość jeszcze cienistych alejach, w zygzak kręcących się ścieżkach; w innym czasie, rano, popołudniu, możesz ścieżkami temi bez przeszkody długie godziny się błąkać, spokojnie brewiarz sobie odmawiać, czytać, notować, dumać, pewien, że ci żywa dusza ani w pisaniu, ani w dumaniu nie przeszkodzi.

A jest nad czem dumać! Jakże to jeszcze temu niedawno panował nad Belgradem, nad Kalimegdanem, turecki półksiężyc; a na tych fortecznych stokach, nęcących dzisiaj kwiatami, zielonością, toczyły się krwawe, zacięte walki, spełniały się okrucieństwa bez nazwy! Ztąd straszni rozbójnicy, *dahowie*, ufni w sułtańską protekcyę, bezkarności pewni, zapuszczali swe zagony po okolicznych wsiach, miasteczkach, grabiąc, mordując, dopuszczając się najpotworniejszych bezprawi. Tu w podziemiach więziennych gnili setkami serbscy patryoci, „wodę mając po kolana,— jak pieśń ludowa opowiada — kości ludzkie po ramiona“. Tu pierwszy wyswobodziciel Serbii, Jerzy Czarny, Kara-Dżordż, zatknął r. 1806 dawną chorągiew serbskich carów: Łazarzów, Duszanów, i również ją okrucieństwami splamił; ziemia nasiąkała kolejno krwią Serbów, Turków i znowu Serbów. Ośmdziesiąt lat jeszcze nie upłynęło, jak po chwilowem zwycięstwie, odniesionem nad Miłoszem, założycielem dynastyi Obrenowiczów, gubernator belgradzki Suleyman-basza wbić tu kazał w jednym dniu 170 Serbów na pal; dozwalał i nakazywał swym zbirom pohulać z psami giaurami, bić ich i zabijać dowoli! Ustąpił Suleyman, przyszedł Miłosz; pale zniknęły, ale batog rządził po dawnemu. Kara-Dżordżowicze stanęli naprzeciw Obrenowiczom, wzajemnie przeciw sobie intrygując, spiskując, szukając pomocy i protekcyi u tureckich baszów... Jaki to był tryumf, jakie okrzyki radości,

kiedy Turcy opuszczali wreszcie stanowczo białogrodzką fortecę; kilka miesięcy upłynęło, a jeden z głównych twórców tego tryumfu, rozumny, łagodny książę Michał Obrenowicz padł w Topczyderskim parku (10 marca 1868) skrytobójczą kulą ugodzony. Na tron wstąpił przybrany syn zabitego, wówczas dzieciak jeszcze, Milan II.; dziś Milan włóczy się po Wiedniach i Paryżach, a w Serbii panuje nominalnie znowu dzieciak, a matka tego prawdziwie biednego dziecka napełnia świat żalami swymi i intrygami; niechcąc może, ale niemniej skutecznie, podkopuje tron własnego syna...

Ze smutnych rozmyślań, budzą z dwóch stron odrazu jakieś krzyki. To gromadka wesołych chłopaków, z których każdy szczęśliwszy bodaj od króla Aleksandra, przebiegła z hałasem koło mej ławeczki i na zakręcie, w zaroślach, zniknęła; to z dołu dochodzące odgłosy nawołujących się, czy udzielających sobie jakichś wskazówek, robotników, którzy przylegający do parku, opuszczony dotąd płat ziemi, oczyszczają z kamieni, odgradzają, skopują. Wepchnęli w ziemię łopaty, odpoczywają chwilkę, i znów do znojnej roboty się biorą; czas i mnie dumaniom, wspomnieniom koniec położyć, odegnać cisnące się przed oczy postacie Miłoszów, Suleymanów, Miłoszowych „Momków", Suleymanowych „Dahów" — i marsz na dół, do prózaicznego, ale niemniej po kilkogodzinnej wędrówce mile oglądanego *Grand Hotel*.

Strach, jak Belgrad, przy bliższem wniknięciu w doły jego i kryjówki, zwłaszcza, gdy kto już trochę znużony, niecywilizowanie, zaściankowo a pretensyonalnie wygląda; chłopak to niby, nie tak dawno ze wsi sprowadzony, w modnym żakieciku, w lakierowanych, troszkę podartych bucikach, które cudacko odbijają od reszty ze starych skrzyń ojcowskich wyciągniętego stroju, od rozczochranych włosów i napół tylko obmytej twarzy. Co chwila potykając się o kamień, przeskakując przez patryarchalne doły i dołki, wspinając się wązką uliczką na strome pagórki, mimowoli pytasz: czy istotnie jestem w słynnym Beogradzie, czy w galicyjskiem jakiem miasteczku: Dukli, Brzozowie? Główne place zawalone kupami ziemi i kamieni; długie, żelazne rury tamują przejście na wszystkie strony: to jakieś, nie wiem

„bezimienne“ czy „imienne“, towarzystwo przygotowuje oświetlenie miasta gazem, bo dotąd, idąc za długoletnim przykładem Krakowa, zadawalniało się ono naftowymi kagankami. Gdzieniegdzie myślą też o wyrestaurowaniu trotuarów; świadczy przynajmniej o tem kilka kupek kamieni, kilku stojących koło trotuarowych dołów, konferujących i coś pilnie notujących jegomościów. Dalej, koło dwóch niziutkich chałupinek nagromadzone w znacznej ilości materyały budowlane; za rok wyrośnie tu pewnie w wiedeńsko-bankierskim stylu pękata, pstrokata kamienica. Stoi ich już pewna liczba, jakby żywcem z Wiednia, z Pesztu przeniesionych, puszy się i z dorobkiewiczowską dumą z góry spogląda na tulące się koło siebie jednopiętrowe, parterowe, nie najidealniejszą co prawda czystością i świeżością błyszczące, domy i domki. Na wielkim *Marweni Trg*, w samym środku miasta, hałaśliwa zgraja cyganiąt wyszczerza białe zęby, i niebiałe, po kolana obnażone nogi; obok, stary, zmęczony długiem ujadaniem pies spokojnie na trotuarze do spoczynku się ułożył; parę kucharek najspokojniej w świecie pomyje i kąpiące się w nich kuchenne resztki na ulicę wylewa; krok dalej, a jesteśmy na bardzo obszernym i bardzo błotnistym placu, rzekłbyś odfotografowanym z tarnopolskiej „Targowicy“, wśród wołów, koni, jarmarczno-targowego zgiełku.

— A to co za pałac?—pytałem pół minuty przedtem pierwszego lepszego, wedle europejskiej mody ubranego przechodnia, o którym zatem pewny mogłem być, że po niemiecku rozmówić się potrafi.

Zaczepiony Serb popatrzył z pewnem zdziwieniem, z odcieniem litości, że istnieją ludzie, którzy pytają o takie proste, oczywiste rzeczy.

— To nasz *Konak*, królewska rezydencya.

Zawstydziłem się tak grubej niedomyślności, choć na częściowe przynajmniej usprawiedliwienie niejedno dałoby się powiedzieć. Były król Milan i była królowa Natalia, niezadowoleni z dawnego „Konaku“, który był sobie poprostu jednopiętrową, wcale niezbyt obszerną przedmiejską willą, zbudowali tuż obok niego duży, ciężki pałac — taki sam, okno w okno, kopuła w ko-

pułę, jakich cały szereg ciągnie się i jednostajną, bankierską wspaniałością oko nuży np. na wiedeńskim *Grabenie*, na peszteńskiej ulicy *Andrassego*. Jedyną, rzeczywistą odznaką królewskiego Konaku, to widoczna zdaleka, na samym szczycie umieszczona królewska korona; jedyną ozdobą wielki ogród, przekształcający się poza pałacem w cienisty park, świadek niejednego figla, niejednej psoty wypłatanej tu nauczycielom przez młodziutkiego monarchę. Od ulicy oddziela park żelazna krata; przed bramą żołnierz od niechcenia sobie spaceruje i wiedzie zaintrygowanym wzrokiem za czarną moją rewerendą, która dzięki małomiasteczkowym rozmiarom i stosunkom Belgradu, dzięki bardzo mało ożywionemu ruchowi, zwraca na siebie szczególną, choć wcale nie natrętną, powiedziałbym: prawie sympatyczną, uwagę licznych szyldwachów i nielicznych przechodniów.

Tuż obok Konaku znów żołnierz przed jakimś jednopiętrowym dworkiem używa przechadzki; z olbrzymiej okrągłej tablicy, nad drzwiami zawieszonej, dowiaduję się, że w dworku tym mieści się królewskie ministeryum spraw wewnętrznych. Kilkanaście kroków naprzód, takiż sam dworek z tablicą, z szyldwachem: to ministeryum wojny; z północnej strony Konaku, przytykają doń tablice ministeryum sprawiedliwości i oświaty; na zachód, jedną tylko przecznicę przeszedłszy, stoimy przed ministeryum skarbu; w najbliższem jego sąsiedztwie jeszcze jedna warta, jeszcze jedna tablica, zwiastująca ministeryum robót publicznych. Imponująco to nie wygląda, ale wygodnem i praktycznem być może; wysłany z Konaku służący, jest w stanie w przeciągu kilku minut obejść wszystkich ministrów; w razie gwałtowniejszej potrzeby i jeśli dobremi obdarzony jest płucami, mógłby ich wszystkich, ręce w trąbkę złożywszy, zwołać na nagłe posiedzenie z pałacowych okien. Przed jednem z odleglejszych ministeryów, nie pamiętam: finansów, czy robót publicznych, rozsiadły się całą gromadą kury i kaczki, i poczuwając się widocznie do tego, że na swoich śmieciach się znajdują, wyszukiwały sobie pożywienia. Szyldwach z filozoficznym spokojem temu gospodarstwu się przypatrywał; ze spadzistej wązkiej uliczki, wobec której, choć bezpośrednio do Konaku prowadzi, Kazimie-

rzowskie „Dajwory“ i „Przesmyki“ mogą uchodzić za prawdziwie stołeczne — wynurzyło się paru policyantów, ale i oni ani myśleli przeszkadzać walczącej o byt, wygłodniałej gadzinie.

Takie — patryarchalne — w Serbów stolicy panują zwyczaje!...

Zdaleka, z węgierskiego brzegu Dunaju, gdy ranna mgła ubiera oba nadbrzeżne miasta w czarodziejską jakąś, pełną tajemniczego uroku szatę, wydaje się, jakby nad Białogrodem wyrastał cały las krzyżów, jakby ze wszystkich stron w górę strzelały kościelne wieżyce. Złudzenie to polega na tem, że istotnie parę stosunkowo większych cerkwi, rzekłbyś, dla zaimponowania katolikom węgierskim, wznosi się wprost naprzeciw Zemlina, jak można było najbliżej od obu granicznych rzek, a wyobraźnia dorysowuje sobie za temi paru kopułami całe ich dziesiątki we mgle ukryte. Tymczasem mgła-zdrajczyni nie ma co ukrywać: Białogród ilością cerkwi bynajmniej nie grzeszy; kilka istniejących nie grzeszy ani pięknością, ani wielkością; a wierni znowu wcale do nich tak się nie cisną, aby była jakabądź racya budowania nowych. Wszystkiego razem doliczyłem się w całej stolicy czterech cerkwi. Wszystkie cztery, równie *Aleksandrowa* jak *Palilijska*, *Woznesenka* (Wniebowstąpienia Pańskiego), jak i *Welika Crkwa*, niczem a niczem się nie odznaczają; zwiedzić je trzeba, bo i cóż zresztą w Belgradzie zwiedzać — ale zwiedziwszy, powiedzieć też sobie trzeba: Szkoda czasu i fatygi!

W metropolitalnej, „wielkiej“ cerkwi, wielkiej z nazwiska, z tytułu, ale nie z rzeczywistości, odbywało się uroczyste, żałobne nabożeństwo. W głębi przed ikonostasem, na który złota, czerwonej i szafirowej farby nie szczędzono, stało paru popów, paru djaków i zawodziło naprzemian, basowym, ochrypłym, a jak mi się przynajmniej zdawało, silnie znudzonym głosem, pogrzebowe pienia. Obok, tuż za djakami, asystowały dwie biało ubrane panienki, z olbrzymiemi świecami w ręku. Pobożnych było niewielu; na ławkach, biegnących wokoło białych ścian, siedziało kilkanaście kobiet w narodowym stroju, z charakterystycznemi czerwonemi czółkami na głowach; siedziało sobie wygodnie i na-

przemian zwracało się z pokłonem do ołtarza i z rozmową do sąsiadek. Wejście moje, choć starałem się, o ile można było, nie dawać zgromadzonym powodu do roztargnień, przechyliło stanowczo szalę od modlitwy do rozmowy; biedaczki, nadludzkich używały wysiłków, aby nie zdradzić zbyt żywo zainteresowania się nadspodziewanem, czarnem zjawiskiem; lecz czyż możnaby żądać skupienia, milczenia, już nie od białogrodzkich, ale dajmy na to nawet od krakowskich kumoszek, które nagle ujrzałyby obok siebie żywego, chodzącego, czarnego „Borutę“?

Nie miałem sposobności przypatrzeć się białogrodzkim cerkwiom w dzień niedzielny, świąteczny; ze zgodnych ze sobą ustnych i drukowanych relacyj, niewielka tu różnica, czy piątek, czy świątek: w piątek dość pusto, w świątek bardzo niepełno. Mężczyzn, prócz popów przy ołtarzu, prawie że nie widać; u kobiet — także niezbyt licznych — skupienia, podniesienia ducha niepodobna dostrzedz: przychodzą do cerkwi, bo chodziły do niej, gdy małemi były dziewczynkami, z matką swą lub ciotką, przed obrazem się pokłonią, czasem świeczkę zapalą; może i w sercu — w serce zajrzyć trudno — zapali się czasem jakie głębsze uczucie; w każdym razie na zewnątrz płomienie jego przedostać się jakoś nie mogą. W wiejskich cerkiewkach, rozsypanych w znacznych od siebie odstępach, po górach i dolinach, więcej podobno wiernych się zgromadza; ale jak jeden z serbskich biskupów niedawno temu otwarcie wyznał, to słóweczko „więcej“ bardzo ma względne znaczenie; gdzieindziej, mówiąc wprost, bez porównań, zamiast „więcej“, podstawićby śmiało można: „bardzo mało“. Natomiast po wsiach obchodzili Serbowie do ostatnich czasów uroczyście, co prawda w domach raczej niż w kościołach, pewne kościelno-narodowe święta: domowego patrona, dzień św. Jerzego, św. Jana Chrzciciela i t. d.; zachowywali pogańskich nieraz jeszcze czasów sięgające zwyczaje. Serb, w czasie długiego ucisku tureckiego, tak się do tych swych świąt i obrzędów, nie domyślając się, że one nieraz od Turków w niemałej części zapożyczone, całym sobą przywiązał, tak się na nie patrzeć nauczył, jako na symbol narodowej swej i religijnej odrębności, że każdego, kto przeciw nim występuje,

uważał instynktowo przez długie lata za wroga religii swej i ojczyzny. Mniejsza o cerkiew, mniejsza o cerkiewne nabożeństwo w uroczystość domowego patrona, byle przy wystawnej uczcie nie zabrakło gości z samym popem na czele, nie zabrakło *rakii* i wina, nie ustawał śpiew wesoły i niekończące się *zdravice, počaśnice*. Jakże pomyśleć święta Bożego Narodzenia, bez pieśni na cześć uwielbianej przed wiekami w Szumadyjskich lasach „Pani naszej Koledy“; jakże w dzień Zielonych Świątek pominąć milczeniem Lelię, boginię wiosny, miłości... Dziś, dzięki połączonym usiłowaniom młodszej generacyi serbskiego kleru i z Zachodu czerpiących swą naukę, pojęcia serbskich urzędników, nauczycielów, zabobonne te pogańsko-turecko-narodowe obrzędy, pieśni, zwyczaje, ustąpiły już w największej części z miast i miasteczek; we wsiach i wioskach w oczach topnieją. Ustąpiły, topnieją, ale na opróżnione miejsce po tych zielach i chwastach staranna ręka pożytecznego nasienia nie rzuciła; Serb wierzyć przestał w dawne gusła, nie czci Lelii, nie wyśpiewuje hymnów na chwałę Dodoli, lecz i do cerkwi się nie spieszy, dla wiary bardzo chłodne żywi uczucie i co może najgorsze, na myśl mu nawet nie przychodzi, jak Kościół i wiara małą, na pewnych zewnętrznych formach ograniczającą się, rolę w życiu jego odgrywają.

Czyja w tem wina? I z wieku i z urzędu należy się oczywiście pierwsze miejsce w szeregu winowajców panującej szyzmie. Cerkiew serbska, zależna od wieków od Konstantynopola, nie przechowała nawet wspomnień, przyćmionych choćby tradycyj religijnej wolności, kościelnego ducha. Carogrodzcy patryarchowie, sami biedni niewolnicy dawniej chrześcijańskich cesarzów, później sułtańskich wezyrów, troszczyli się o serbskie swe owieczki o tyle tylko, o ile miały wełnę, do strzyżenia nadającą się. Patryarcha płacił haracz sułtanowi, biskupi patryarsze, popi biskupowi, a ostatecznie wszystkim płacił chłop, obciążony coraz nowymi, coraz pod innym, czasami prawdziwie humorystycznym pretekstem wprowadzonymi podatkami, daninami. Dygnitarze-Fanaryoci mogli jeszcze żyć wygodnie, a jeśli wierzyć historykom, żyli czasem tak wygodnie, że tureckim ba-

szom nie mieli nic do pozazdroszczenia; natomiast chłop i na jednej z nim niemal linii stojący pop, jęczeli pod jarzmem, a nierzadko i pod biczem. Jakież uszanowanie mógł mieć serbski wieśniak dla swego duchownego pasterza, który wespół z nim w polu pracował, nieraz głodu przymierał i szedł po żebranym chlebie od wsi do wsi; jeżeli w czem zawinił, a zwłaszcza na czas z haraczu się nie uiścił, publicznie, bywało że i w samejże cerkwi, sromotnie bywał łajany i karany? Czyż cześć tę mogła wzbudzić jego cnota, wiedza? Przecież wieś cała wiedziała doskonale, za ile dukatów, za 50, 100 czy 200, nowoprzybyły pop probostwo na licytacyi w biskupim pałacu zakupił; opowiedzieć mogła o wielu jego niewesołych sprawkach i zajściach niemiłych, wysokiej cnoty z pewnością nie dowodzących.

A nauka? Wierzyć się oczom nie chce, czytając współczesne relacye, na jak niskim stopniu oświaty stali, a mówiąc właściwie, jak w najwyższym stopniu i pod każdym względem nieoświeconymi byli ci, których obowiązkiem być miało wiarę, wiedzę między innymi krzewić. Krótki urywek z ogłoszonego niedawno temu w *Głasniku* Serbskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk sprawozdania białogrodzkiego egzarchy, Maksyma Radkowicza, z odbytej w r. 1733 wizytacyi w północnej i północnowschodniej Serbii — da nam może o tem dosadniejsze wyobrażenie, od długiego szeregu abstrakcyjnych wywodów; oto np. piórem egzarchy skreślone *curriculum vitae* popa z Naraczyna:

„Pop Piotr urodził się w Małaju, w obwodzie Kołaszyńskim; uczył się czytać z psałterza u niejakiego Gabryela Zugrafa z Risna, a następnie u *daskala* czyli nauczyciela Stefana w Rawanicy i przeczytał w przeciągu roku *oktoichon*. Później w Karłowicach uczył się przez dziewięć miesięcy Dziesięciu Przykazań Boskich i trochę gramatyki u Maksyma Suworowa, a gdy wyszedł z tej szkoły, ś. p. władyka Mojżesz Petrowicz zabrał mu gramatykę, zostawiwszy tylko Dziesięć Przykazań, które z książki odczytać potrafi, ale na pamięć nie umie. Wyszedłszy ze szkół karłowickich, ożenił się, i w r. 1729 władyka Mikołaj wyświęcił go na dyakona; po upływie zaś miesiąca, z rozkazu metropolity Mojżesza Petrowicza, został wyświęconym na popa przez wła-

dykę Maksyma, i dawszy po dukacie obu archijerejom, uczył się przez dni 30 spełniania swych obowiązków".

Charakterystycznym jest egzamin tego popa. Egzarcha Maksym Radkowicz rozpoczyna go następną przemową:

— „Ponieważ nasz arcypasterz[1] pragnie wiedzieć, jak wykształconymi są popi w jego owczarni, dlatego odpowiedz mi na wszystkie pytania o tem, co każdy duchowny powinien wiedzieć dokładnie; a przedewszystkiem powiedz mi, wiele jest Sakramentów?

— Chrzest i Bierzmowanie.

— A więcej?

— Więcej nie wiem, bo się tego nie uczyłem i nikt mi o tem nie mówił.

— Który Sakrament jest najważniejszym?

— Nie wiem.

— Najważniejszym jest chrzest, bo bez niego nie można być zbawionym. A jakież są skutki tego Sakramentu?

— Ja się tego nie uczyłem i nie mogę odpowiedzieć na takie pytanie.

— Co jest niezbędnie potrzebnem do zbawienia?

— Nie wiem".

Ciekawa rzecz, co parafianie wiedzieli?... Posłuchajmy jeszcze notatek Radkowicza o innym jakim popie, np. ze wsi Gołubackiej:

„Jerej Mikołaj Petrowicz, lat 38, rodem z Moracza w Hercegowinie, uczył się czytać w Drobniacy, w monasterze Tuszyńskim, od jakiegoś zakonnika Nikodema. Ożeniwszy się, został wyświęconym na dyakona i na popa przez władykę Arseniusza Hercegowińskiego. Świadectwo otrzymane od niego, stracił. Po jedenastoletnim pobycie w jakiejś innej parafii, przybył do Gołubacza, gdzie ś. p. metropolita Mojżesz Petrowicz pozwolił mu być popem bez *syngelii*. Wygląda dość przyzwoicie, Sakramenta może wyliczyć bez omyłki, formułę Sakramentu Chrztu umie,

[1] Wincenty Jowanowicz, rezydujący wówczas w Peszcie patryarcha bułgarski, serbski i illyryjski.

o Bierzmowaniu zaś powiedział, że ponieważ nie ma Olejów świętych, więc o formule jego nic nie wie. Nie rozumie także skutków żadnego Sakramentu. Dziesięciu Boskich Przykazań nie potrafi wyliczyć. Codzień czyta o artykułach wiary, a jednak nie wie, ile ich jest. Czyta dość płynnie, lecz nie rozumie tego, co przeczyta; pisze niewprawnie, śpiewać nie umie“...

„Z biedą czyta, pisać nie umie“ — zwrotka ta powtarza się z nudzącą regularnością co stronnica, co pół stronnicy. W Polance, miejscowości należącej do Hasana-baszy, egzarcha poddał miejscowego popa Stefana surowemu egzaminowi, w którym egzaminowany złożył wielkie dowody skromności, ale nieco mniejsze znajomości katechizmu:

— „Wylicz mi siedm Sakramentów, o których każdy duchowny dokładnie wiedzieć powinien.

— Chrzest, Spowiedź, Ślub, Bierzmowanie, Komunia, Kapłaństwo. Tak napisano w książce.

— Nie w książce tak napisano, ale w twojej głowie — rzekł egzarcha, i wyliczywszy Sakramenta, zapytał:

— Jakie są skutki każdego Sakramentu?

— O tem nie mogę wiedzieć.

— Czy chrzcić może każdy?

— Nie.

— Co jest formułą Sakramentu Kapłaństwa?

— Nabożeństwo.

Tu nastąpiła poprawka, a po niej pytanie.

— Co jest formą szóstego Sakramentu, Małżeństwa?

— Nie wiem...

— Kiedy ostatni raz byłeś u spowiedzi?

— Spowiadałem się trzy lata temu u popa Habakuma.

— Dlaczego tak długo się nie spowiadałeś?

— Bo nie popełniłem żadnego grzechu, który potrzebowałbym wyznać“.

W parę dni później, egzarcha z również niepomyślnym wynikiem egzaminował popa Bazylego Antoniewicza z Kolary:

— „Jaka jest formuła Sakramentu Chrztu?

— W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

Egzarcha, sprostowawszy tę odpowiedź, zapytał o formułę Bierzmowania:

— W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego — odrzekł pop.

— A świętej Eucharystyi? — zapytał zniecierpliwiony nieco egzarcha.

— W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

Tu nastąpiła poprawka; poczem egzarcha zapytał, co stanowi formułę Sakramentu Kapłaństwa?

— Chrystus.

— A Pokuty?

— Chrystus.

Nowa poprawka.

— Jaka jest formuła szóstego Sakramentu, Małżeństwa?

— Tego się nie uczyłem“ ...

Do niezbyt dawna jeszcze, na nie o wiele rozumniejsze i dokładniejsze odpowiedzi zdobyć się mogli członkowie i białego i czarnego serbskiego kleru; w czasie wojen o niepodległość dokazywali oni cudów waleczności, klasztory swe zamieniali w fortece — lecz o cudach pobożności, o zamienianiu grubymi murami otoczonych monasterów w przytułek dla nauk, w źródło oświaty dla całej wkoło okolicy, ani słychać, ani nawet natrętnie pytać nie wypada. Dziś, gdy nietylko już w Białogrodzie, lecz i w całej Serbii spotyka się razporaz na świeżo z ziemi wyrosłych budynkach, wielkiemi literami wyryty napis: *Szkola; Osnowna szkola* (Szkoła normalna), *Mužka szkola* (Szkoła męska), gdy Skupczyna zapisała w prawodawczych księgach przymus szkolny, i jeśli na co, to na szkoły nie szczędzi pieniędzy; dziś oczywiście stan rzeczy radykalnie się zmienił. Kandydaci na popów, wychodzący ze stołecznej *Welika szkola*, z gimnazyów w Białogrodzie, Niszu, Kragujewaczu, lub choćby nawet z jednego w liczbie około trzydziestu, po kraju całym rozsianych progimnazyów, spoglądają z litością i pewnym wstydem na swych nieumiejętnych i nieokrzesanych poprzedników; wyuczają się w czasie paroletniego pobytu w dyecezyalnych swych *bogoslownjach* (seminaryach) czegoś więcej od prostego

tylko katechizmu; inne pytanie, czy z nabytą nauką umieją sobie radzić, z dogmatami i tradycyami swej religii ją godzić?

Nie tak łatwe to do rozwiązania zagadnięcie; niełatwo każdemu wogóle wykształconemu Serbowi zdecydować się, w którą stronę, z którym prądem łódź swą puścić: czy temu co od Austryi, od Zachodu płynąc, zachodnią naukę i kulturę z sobą niesie, czy wschodniemu, toczącemu się naprzód potężną falą z rosyjskich, niewiedzieć europejskich jeszcze, czy już azyatyckich, okiem niezmierzonych stepów. Dwa te prądy walczą, ścierają się wszędzie ze sobą: w szkole, polityce, literaturze, dziennikarstwie; zapędzają się poza od starości zbutwiałe progi cerkiewne, nie zważają na zamki i rygle świecących wiedeńską politurą bram „Konaku". Młodzi i dziś niemłodzi już Serbowie, którzy za granicą: w Wiedniu, Paryżu, Lipsku, kończyli edukacyę, historycy, mężowie stanu, którzy przypatrzyli się sumiennie i rozumnie, o dawnej zamilczając, współczesnej tylko historyi, trzymają oburącz z Zachodem; mniej oświecone masy, prowadzone przez kilku oświeconych może, ale błędnymi ognikami, przewódców, zapatrzyły się w nęcącą ku sobie wspólnością religii, podobieństwem języka, wschodnią przepaść, i naoślep w nią się rzucić gotowe. Walka toczy się z różnem szczęściem; pytanie, i smutne pytanie, czy z równemi siłami. W gorszącej walce między Milanem a Natalią — przedstawicielami niejako obu wpływów o Serbię ścierających się — nikt zwycięstwa nie odniósł, ale bądźcobądź pewna moralna wygrana, a w każdym razie sympatye Serbów, pozostały raczej po stronie rosyjskiej ekskrólowej, niż po stronie do Paryża, do paryskich, wiedeńskich mętów, w Belgradzie tęskniącego jej eksmałżonka. Wielu, wielu Serbów, i dziwić się im nie można, nie kryje się ze swym wstrętem do zachodnich szumowin; smutnemby tylko było, gdyby szumowiny te identyfikowali z całym chrześcijańskim Zachodem, gdyby odwracając się od nich, zamykali oczy na otwierającą się z drugiej strony bezdenną otchłań.

Próbowałem dostać języka o białogrodzkich katolikach, ich liczbie, stosunkach, znaczeniu. W Zemlinie zaręczano mi, i to —

aby wyrazić się czysto dziennikarskim stylem — „z możliwie najkompetentniejszej strony“, że liczba katolików żyjących w stolicy serbskiej, dochodzi do 5000. Jeżeli informator mój, przełożony, a jak go tu nazywają, „prezydent“ zemlińskich Franciszkanów, sam dokładne posiada informacye, to wyznać trzeba, że katolicy ci umieją wybornie się ukrywać, i przeróżnych trzeba używać forteli, aby na ślady ich natrafić. Po długiem szukaniu, natrafiłem wreszcie na jednego i zapytałem o katolicką kaplicę. Grzeczny Węgier, kontent, że mu się sposobność do pogadanki nastręcza, przeniósł natychmiast na mój stolik mikroskopijną swą filiżaneczkę prawdziwie tureckiej mokki, wdał się w długi rozhowór, długo opowiadał o taniości życia, o drożyźnie wszystkiego, co do picia i jedzenia nie służy; ale gdym powtórnie o kaplicę zapytał, pokazało się, że słyszał coś kiedyś o ewangelickim zborze, lecz istnienia katolickiej kaplicy i przez sen nie podejrzywał. I nie on jeden tylko; do ogrodu austryackiego ambasadora, w którym kapliczka ta wstydliwie się ukrywa, niewielu białogrodzkich katolików zna drogę. Czyż nie byłoby ważnem, czyż ze względów choćby czysto państwowych, z rozumnego patryotyzmu, nie powinnaby Austrya postarać się o zasługujący na tę nazwę katolicki kościołek, o paru przy nim misyonarzów? Ciekawa rzecz, czy gdyby Dunaj oddzielał Belgrad nie od Austryi, ale od Francyi, od dzisiejszej republikańskiej Francyi, nie wznosiłyby się już tu dawno w niebo wspaniałe wieże gotyckiej świątyni, głoszące chwałę Bożą, a opowiadające zarazem, najzrozumialszym dla tłumów językiem, potęgę, bogactwo, sławę sąsiedniego, katolickiego mocarstwa?

Wygodny, z całym zachodnim komfortem urządony parowiec, pruje szybko, ku dalekiemu Wschodowi zdążając, Dunajowe fale; białogrodzkie, zemlińskie wieże maleją z każdą chwilą; wreszcie zniknęły z oka — z oka tylko, bo w wyobraźni, w pamięci, długo, długo jeszcze obraz ich pozostał. Na parowcu rozmowa toczy się z początku o Serbii, wnet jednak schodzi na inne kraje i przedmioty. Rumuńsko-bukowińska familia, która gwałtem mię w Węgra przemienia i z grzeczności dla wrzekomego Węgra,

nad Węgrami się unosi, rzuca w stronę Galicyi, Polaków, bukowińskich Polaków w szczególności, kilka dla polskiego ucha nie najdźwięczniej brzmiących frazesów. Czech biedak, który długie lata w polskim jakimś dworze w Grodzieńskiej gubernii służył za ogrodnika, potem między Serbami w austryackim konsulacie szczęścia próbował, a teraz jedzie między Rumunami go próbować, nie tai gorących swych sympatyj dla polskich panów i polskiej ziemi; opowiada, stosunkowo dość czystą polszczyzną, nie wiem o ile autentyczne, ale mile serce głaszczące szczególiki, anegdotki. Bodajby za to wdzięczne serce udało mu się wywieźć z Bukaresztu tyle setek lejów, ile w Białogrodzie zarobił dinarów!

Mijamy Panczowę, Dubrowicę; monotonna dotąd, rzadkiemi wioskami, czasem małymi pagórkami przecięta równina ożywiać się poczyna, w romantyczne ubierać kształty. Na pustym, od słońca przepalonym pokładzie, coraz rojniej i gwarniej; panie i panowie ręce w lornetki uzbroili, Baedecker, Baedeckerowe wykrzykniki z niemieckiego, z francuskiego, z angielskiego wydania, wszechwładnie, niemiłosiernie panują i uszy drapią. Otóż i olbrzymi *Baba-kaj* okazał swe skaliste czoło; panie opowiadają sobie szeptem straszną legendę o serbskim despocie, który przykuł do tej skały swą niewierną żonę; opowiadają z uśmiechem, ale od niechcenia nadstawiają ucha, aby się przekonać, czy druga część ludowego podania racyi za sobą nie ma, czy zpod stóp skały nie przyniesie im wir Dunajowy przytłumionego echa żalów i skarg pokutującej: „kającej się baby". Dalej ruiny Golubackiego zamku; naprzeciw, po węgierskiej stronie, szczątki słynnej z czasów tureckich wojen Laszlowarskiej baszty; za nią w skale wykuta droga Szecheniego, usiłująca współzawodniczyć z dawną drogą cesarza Trojana. Co chwila nowa pamiątka; nowe wynurzają się i zbyt szybko znikają cuda przyrody... Za Orsową dopiero, za „Żelazną Bramą", inny świat się zacznie: Wschód prawdziwy, samotna, bezbrzeżna płaszczyzna.

W Orsowie Dunaj, z Rumunią się powitawszy, na dół wyginać się zaczyna, aby wnet Serbię pożegnać, między Rumunią

a Bułgaryą naturalną nakreślić granicę, i wreszcie po długiej, przez tyle krajów, wśród tylu ludów wędrówce, w Czarnem morzu utonąć. Nie brak ochoty z modremi jego falami naprzód popłynąć; Widyń, Ruszczuk po drodze zwiedzić, do Sylistryi zaglądnąć, poczciwemu Seretowi koło Galaczu się pokłonić... Może kiedyindziej... Tymczasem obkurzony, słonecznym skwarem przepalony pociąg, wprost przez Węgry ku żółtej Wiśle unosi, ku zawalonemu papierami, gazetami stolikowi... Jedźmy, jedźmy, najkrótszą drogą, najspieszniejszym pociągiem: pod Wawelem smok redakcyjny woła!...

Ks. Jan Badeni.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Stwórca i stworzenie wobec rozumu i wiary. Napisał *ks. dr. Antoni Trznadel.* Przemyśl 1892.

Tak mało dotąd posiadamy książek filozoficznych i teologicznych po polsku pisanych, że każdy przyczynek na tem polu z wdzięcznością i uznaniem winien być przyjęty ze strony naszego społeczeństwa. Takim cennym przyczynkiem jest książka ks. d-ra Trznadla.

Czcigodny autor za przedmiot swej pracy obrał niektóre kwestye z metafizyki specyalnej [1]. Z filozofii o Stwórcy omawia istnienie i jedność Boga, poprzedzając te kwestye uwagami o tem, jak człowiek dochodzi do poznania tej prawdy, że jest Bóg (część I.); nadto (w części II.) zastanawia się nad utrzymywaniem *(conservatio),* współdziałaniem *(concursus)* i opatrznością Bożą. Z kosmologii roztrząsa autor zagadnienia o stwarzaniu wogóle, a stworzeniu świata w szczególności, i jego końcu (część II.). Część III. i ostatnia poświęcona psychologii: rozdział I. obejmuje psychologiczne zagadnienie, dotyczące roślin i zwierząt; rozdział II. zajmuje się człowiekiem, tak pod względem psychologicznym, jak i antropologicznym.

[1] Wprawdzie czcigodny autor zatytułował swą pracę „Stwórca i stworzenie wobec rozumu i wiary", i w toku jej zestawia wyniki rozumowe z tem, co o nich mówi Objawienie; jednak główną treść książki stanowi rozumowe przedstawienie prawd, do filozofii należących, uboczną zaś tylko uzasadnienie tychże z Objawienia. Dlatego też uważamy tę pracę nie za dogmatyczno-filozoficzną, za jaką ją autor w przedmowie uważać się zdaje, ale raczej za filozoficzną.

Jak widać z tego rozkładu, książka ta nie obejmuje całości rzeczy o Stwórcy i stworzeniu, ale tylko niektóre ważniejsze kwestye, których filozoficznego opracowania dopełniają zwykłe teologiczne wykłady. I to stanowi praktyczną doniosłość dzieła ks. Trznadla, i jego pożyteczność dla seminaryów, jakoteż wogóle dla wszystkich, pragnących uzupełnić filozoficznemi pojęciami swoje religijne wykształcenie. — Jednak, z tego ciaśniejszego założenia wychodząc, niełatwo sobie wytłumaczyć, dlaczego autor taki a nie inny uczynił wybór odnośnych kwestyj. Czemu np. w rzeczy o Stwórcy pominął najwznioślejsze i najpiękniejsze zagadnienia o istocie Boskiej i jej doskonałościach? Czemu znów w psychologii opuszcza kwestye najważniejsze, jakiemi są bezsprzecznie: teorya o poznawaniu i pożądaniu duchowem, o wolności woli i t. p.?

Dalej, co do układu wybranego materyału, tę zrobimy uwagę, że książka ta trochę wygląda na luźne zestawienie wielu artykułów, a daje się w niej czuć brak metodycznej jedności, takiej, iżby następne rzeczy opierały się na poprzednich i z nich wypływały; a przecież wiele na tem zależało wobec celu, jaki sobie autor wytknął: „słuchaczom teologii ułatwić naukę i pogłębić ich wiedzę“; cóż zaś więcej może ułatwić naukę, jak metodyczne rzeczy przedstawienie?

Wszystkich kwestyj, przez autora poruszonych, szczegółowo rozbierać oczywiście nie będziemy; ale na kilka punktów ważniejszych zwrócimy uwagę. Takim punktem arcyważnym jest dowodzenie istnienia Boga, które nieodzownie opierać się powinno na podstawach żadnej nie podlegających wątpliwości. Otóż dowodzeniom szan. autora mam to do zarzucenia, że opierają się wciąż na suppozycyi niemożliwości liczb nieskończonych. Nie wdaję się w wewnętrzne *meritum* tej suppozycyi i jej dowodów: konstatuję tylko, że to kwestya bardzo trudna, sporna nawet między największymi teologami i filozofami katolickimi; że przeciwnego są zdania tacy, jak Ferraris, Cajetanus, Conimbricenses, Vasquez, Arriaga, Oviedo i t. d., i nawet św. Tomasz, ile razy mówi bądź o przedmiocie wszechwiedzy Boskiej, bądź o możliwości odwiecznego stworzenia, zdaje się możliwość nieskończonych ilości przypuszczać; — i ztąd wnoszę, że na podstawie faktycznie tak spornej (a w tej książce zasadniczo nietraktowanej) nie należało budować dowodzenia istnienia Boga, które jest podstawą reszty: tem bardziej, że te same mniej więcej dowody dadzą się niezależnie od tej suppozycyi przeprowadzić.

Jeszcze mniej ścisłości znajduję w dowodzeniach apryorycznych, o stworzeniu świata w czasie (str. 65, 66). W pierwszem rozumuje autor w ten sposób: „skoro zaś Bóg świata stwarzać nie musiał, lecz stwo-

rzył go z własnej wolnej woli, więc nie potrzebował go stwarzać od wieków, ale stworzył go wtenczas, kiedy stworzyć chciał, a więc stworzył w pewnym czasie“ (str. 65) — a zkądże wynika, że nie mógł chcieć, jak utrzymują obrońcy przeciwnego zdania, stworzyć go odwiecznie? — W drugim dowodzie twierdzi autor, że nicość wyprzedza rzecz stworzoną, nietylko w pojmowaniu naszem, ale i w rzeczywistości. Dobrze, ale o jakiem tu wyprzedzaniu mowa? Jeżeli o czasowem, to jest właśnie o co idzie, co ma być dowiedzionem, więc nie można na tem dowodzenia swego opierać. Jeżeli o rzeczowem *(prioritas naturae)*, to i przeciwnicy na to przystają, uznając że stworzenie, choćby odwieczne, zawsze jest z nicości, czyli na nicości stoi. — Trzeci dowód znów opiera się na niemożliwości liczby aktualnie nieskończonej. Szkoda, że czcigodny autor nie poszedł w tej kwestyi za św. Tomaszem, który wykazawszy nawet, że rozumowo tej prawdy dowieść należycie nie można, przestrzega tych, coby usiłowali dowodzić rzeczy do wiary należącej, racyami niepewnemi. (Cfr. *Summa theol.* p. I. q. 46, art. 2 in corp., i *Summa c. gent.* l. 2 c. 38).

Na początku części III. swej pracy wykazuje autor istotną różnicę między jestestwami organicznemi a nieorganicznemi. Dowody jednak przytoczone (na str. 120) nie wydają się nam dostatecznymi, zwłaszcza dwa pierwsze. Przecież pierwiastki chemiczne nie okazują w organicznych ciałach innego powinowactwa, aniżeli w ciałach nieorganicznych, byle były postawione w tych samych warunkach. Dowód z morfologii również nie zdaje nam się dość silny, gdyż wiele ciał nieorganicznych ma pewien określony kształt, jak np. kryształy, i niejedno z ciał organicznych nie ma pewnego określonego kształtu, w którym jedynie istnieć mogą np. z roślin śluzowce, ze zwierząt ameby.

Autor utrzymuje, że do tłumaczenia życia istot organicznych przypuszczać w nich koniecznie należy pierwiastek życiowy, od sił fizykalnych i chemicznych zupełnie różny (str. 121), idąc w tem za dość sporą liczbą uczonych. Na pierwsze dwa dowody autora chętnie się podpisujemy; szkoda tylko, że dodany trzeci jest za słaby. Z tego bowiem, że chemicy nie mogą „wytworzyć np. rośliny, lub listka lub komórki“, nie wynika koniecznie, że w roślinie jest pierwiastek życiowy, istotnie różny od sił materyalnych; niemożliwość ta bowiem mogłaby być poprostu wynikiem niezmiernie skomplikowanego mechanizmu, ogromnej względnie do tegoż grubości narzędzi, niedoskonałości zmysłów i rozumu i t. p. Czyż ztąd, że nie mogę i nigdy nie zdołam zbudować ja-

kiejś machiny, wynika, że w niej musi się ukrywać pierwiastek zupełnie różny od sił materyi?

Nie zupełnie zrozumiałą jest dla nas nauka autora o naturze duszy zwierzęcej. Skoro ta dusza jest substancyą (str. 159), niemateryalną, niepodzielną (str. 160), nie może inaczej powstać, jak przez stworzenie.

Oto kilka tych uwag ujemnych o pracy autora, które mimowoli się nam nasunęły. Nie możemy jednak nie podnieść wielu stron dodatnich, które braki te pokrywają. Do rzędu tych dodatnich stron należą przedewszystkiem artykuły autora: o pochodzeniu człowieka, o duchowości i nieśmiertelności duszy. Prócz tego uderza w autorze oczytanie w lepszych autorach, i to dziwne władanie językiem, i łatwość w oddawaniu myśli abstrakcyjnych w sposób prosty a zrozumiały. Sądzimy, że to tylko początek prac autora, a każdy początek trudny. Mimo to mamy nadzieję, że autor, który się nie zawahał przed podjęciem tej pracy, z pewnością niełatwej i mozolnej, a to wiedziony pobudką ze wszech miar szlachetną i godną trudów: aby ułatwić naukę kształcącemu się pokoleniu — ujrzy spełniony swój zamiar, tj. że zachęci początkujących we filozofii do zgłębiania rozlicznych kwestyj wielkiej wagi, poruszonych przez czcigodnego autora.

Ks. W. Dł.

Dzieje Święte, w krótkości opowiedziane przez ks. *I. Schustera*, d-ra św. Teol. Z 46 obrazkami w tekscie. Dla oddziału niższego szkół ludowych. Wydanie szóste przerobione. Fryburg w Badeńskiem 1892, u Herdera. (W 12-ce, str. 88; cena nieopr. 18 ct., opr. 21 ct.).

Nowe to wydanie zasługuje na szczególną wzmiankę, gdyż rzeczywiście jest gruntownie przerobione, i do sposobu mówienia i myślenia polskich dzieci w zupełności zastosowane. Tak, że teraz śmiało powiedzieć można, iż „Dzieje św." Schustera (wydanie 1892 r.) są najlepszą polską w tym rodzaju książeczką. Na końcu umieszczono bardzo odpowiednio parę strof z *Dies irae*, w znakomitem tłumaczeniu ks. arcyb. I. Hołowińskiego.

To też zupełnie się zgadzamy ze słowami „Przedmowy", że: wydanie obecne w nowej, a czysto polskiej ukazuje się sukience.

Ale ważniejszą, niż od wydawcy, mają „Dzieje św." pochwałę. Oto w aprobacie Najprz. ks. Biskupa warmińskiego (wydrukowanej w prospekcie na tę książeczkę), czytamy: „Przedłożonemu mi 6-mu wydaniu polskiemu Schustera „Dziejów św." udzielam tem chętniej aprobatę pasterską, ponieważ takowe... nietylko do użytku w szkołach, z powodu

ujmującej swej formy, bardzo jest przydatne, ale też i w szczegółach, ważnych doznało ulepszeń".

Nadto szczyci się to wydanie aprobatą JE. naszego ks. Kardynała. A przeto, ze względu na wartość wewnętrzną jak i na tak wielkie powagi, godne jest wszelkiego polecenia, nietylko dla szkół ludowych, ale też dla rodzin i ochronek.

W Brazylii. Notatki z podróży. Przez ks. *Zygmunta Chełmickiego*. Z licznemi ilustracyami w tekscie. 2 tomy. Warszawa 1892.

Z tak słusznie głośnej, prawdziwie misyonarskiej wyprawy, podjętej do Brazylii przez ks. Z. Chełmickiego i p. Mikołaja Glinkę, należało się nam z wielu względów wyczerpujące sprawozdanie; dzienniki wprawdzie, na pierwszem miejscu *Słowo*, do którego redakcyi ks. Chełmicki należy, umieszczały cały szereg z Brazylii datowanych notatek, korespondencyj; ale, rzecz oczywista, w korespondencych tych, pisanych doraźnie, niejedna znaleść się musiała luka, niejeden szczegół, pod pierwszem wrażeniem nakreślony, wymagał następnie uzupełnienia, sprostowania. Z radością też i niemałem zaciekawieniem powitaliśmy dwa piękne, wspaniale wydane tomy, w których pierwotne notatki przetopione zostały w skończoną całość i przedstawiają nam możliwie w danych okolicznościach dokładny obraz „brazylijskiego raju". Podróżnik, jakby lękając się, aby go kto o przesadę nie posądził, opowiadać się stara jak najbardziej przedmiotowo, powiedziećby czasami można: sucho; łzy dla siebie zostawia, nas nagimi faktami, cyframi obdarza, ale w faktach tych i cyfrach, w tych poprostu odfotografowanych obrazkach, tyle strasznej nędzy i bólu się kryje, że bardziej one do serca przemówić muszą niż najwymowniejsze jeremiady; i mimowoli co kartka wyrywa się okrzyk: Biedacy! Nieszczęśliwi!...

Pierwsze spotkanie z emigrantami, smutna zapowiedź o wiele smutniejszej rzeczywistości, nastąpiło w Bremie. „Z papierosem w ustach, z miną zadzierzystą", ledwie wysłuchać raczyli życzliwych ostrzeżeń, a o zawróceniu z rozpoczętej drogi, ani wspomnieć sobie nie dali. „Tutaj pomrzewa, a do domu nie wróciwa!", albo ironicznie: „Abo to prawda?" — oto jednostajne odpowiedzi wychodźców, obałamuconych, niedowierzających, a w najwyższym stopniu upartych i poprostu głupich. W Brazylii dopiero, mrąc z głodu, z żółtej febry i nieznośnych upałów, rozumieć zaczynają, jak niegodziwie ich oszukano; marzą i pocieszają się jedynie w swych mękach tem, że krwawą pracą potrafią tyle grosza sobie uciułać, aby starczyło na przeprawę do jakiego europej-

skiego portu, gotowi ztamtąd piechotą i o żebranym chlebie powrócić do kraju. Niestety! ułudne to zazwyczaj marzenia; nim w woreczku znajdzie się drobna, bardzo drobna cząstka potrzebnej sumy, już najzaciętsza nieprzyjaciółka wszystkich przybyszów: żółta febra, już liczne jej, choć mniej groźne towarzyszki, sprzysięgły się, aby i tych parę milrejsów — szumna nazwa oznaczająca mniej więcej jeden reński — biedakowi wydrzeć. Obraz baraków np. w willi „Izabel“ poza Rio, w Ponte de Caju; obraz „domu emigranckiego“ w San Paulo, lub baraków w Paragui na Tomas Cuelho — przygnębiające, straszne robi wrażenie. Niepodobna nam tu wdawać się w szczegóły odbytej po tych domach, po barakach wędrówki; niepodobna powtarzać tych rozdzierających scen, tych opowiadań, beznadziejną, ze zbytku nieszczęścia, z utraty sił zrodzoną rezygnacyą przesyconych; to pewna, że po przyjrzeniu się temu obrazowi, podpis „brazylijskie piekło“, nie wydaje się już, przynajmniej co się tyczy naszych, polskich emigrantów, zbyt twardym, przesadzonym.

Więc czy nikomu nie udaje się w Brazylii majątku dorobić; czy wszyscy plantatorowie uważają europejskich robotników li tylko jako robocze siły, które mniejsza oto, prędzej czy później się zużyją, byle narazie zastąpiły dawnych czarnych niewolników; czy rząd brazylijski ogranicza się na wydawaniu dyplomów i forytowaniu rozmaitych agentur i agentów emigracyjnych, ale ani myśli o to się troszczyć, w jaki sposób werbunek się odbywa, czy i jakie dzieją się nadużycia, jaka dola, a raczej niedola przybywających czeka? Na wszystkie te tak ważne pytania odpowiada nasz podróżnik dokładnie i szczegółowo, na podstawie tego co sam widział, czego z możliwie najpewniejszych i najmniej o stronniczość podejrzanych źródeł się dowiedział; a odpowiedzi te znów nad wyraz bolesne. Można spotkać takich, którym od biedy nieźle się dzieje — ale to tak rzadkie wyjątki, że w rachubę nie mogą wchodzić; bywają plantatorowie ludzcy, rozumni, tylko niema prawie żadnego prawdopodobieństwa, aby polski chłop, nie wiedzący gdzie się obrócić i w jaki sposób rozmówić, do takiego właśnie uczciwego plantatora się dostał; rząd, o ile cotygodniowe rewolucye, i przeróżne wiele więcej obchodzące go sprawy, czasu mu dozwalają, udaje, że studyuje kwestyę emigracyjną — lecz oczywiście już w przedwstępnych tych studyach kieruje się ściśle brazylijską i ściśle przestrzeganą zasadą: *Paciença!* Ta „paciença“ — to nieodrodna siostra naszego: „jakoś to będzie“ — to, jak zniecierpliwiony nasz podróżnik tłumaczy: „nie cierpliwość, ale inercya, obojętność i gnuśność skończona“.

Dla lepszego wyjaśnienia stosunków, w których wychodźcy nasi się znajdują, autor zaznajamia nas w paru rozdziałach z kulturą Brazylii, jej dawniejszym i dzisiejszym stanem, historyą kilku lat ostatnich, wybitniejszemi postaciami, które do steru olbrzymiej rzeczypospolitej Zjednoczonych Stanów brazylijskich obecnie się dorwały. Liczne, co prawda, nie zawsze najświetniej wykonane, ilustracye dopomagają również do lepszego zapoznania się z tym „nowym“ dla nas światem, który bodaj przez najdłuższe jeszcze lata mógłby był dla nas pozostać „nowy“, nieznany!

Walter v. Plettenberg, landmistrz inflancki, wobec Zakonu, Litwy i Moskwy 1500—1525. *Dr. Feliks Koneczny.* Kraków 1891. (Osobne odbicie z tomu XXVIII. Rozpraw Wydziału filozoficzno-historycznego Akademii Umiejętności w Krakowie). W 8-ce, str. 76.

Z pyłu niepamięci wydobywać prawdę dziejową, na podstawie luźnych dokumentów i aktów odtworzyć wiarogodny obraz przeszłości, jest rzeczą niełatwą; cóż dopiero, kiedy ta prawda osłonięta jest legendarną szatą, jaką późniejsze pokolenia ją ustroiły, kiedy patryotyzm, czy szowinizm najnowszych badaczy, nadaje tej ułudzie fantastycznej naukowe piętno: wtedy zedrzeć maskę fałszu i odsłonić jasne oblicze prawdy, prawdziwym jest tryumfem dla badacza. Takim tryumfem może się poszczycić autor niniejszej pracy, który, aczkolwiek od niedawna dał się poznać swemi pracami szerszej publiczności, zwrócił na siebie uwagę najpoważniejszych badaczy naszych, i swoim talentem, swą rzutkością, rokuje na przyszłość piękne nadzieje.

Zajmując się od lat kilku sprawami inflanckiemi, miał sposobność przekonać się, jak dalece ostatnie chwile inflanckiej niepodległości otoczyła legendarnym nimbusem inflancka historyografia, począwszy od drugiej połowy XVI. wieku do ostatnich czasów, zwalając przytem upadek niepodległości tego kraju głównie na zaborczość Polski — państwa, które zdaniem autora nigdy zaborczem nie było.

Najpopularniejszą zaś osobistością dziejopisarstwa inflanckiego, jest landmistrz Walter von Plettenberg, zdaniem historyków nadbałtyckich, bohater, świetny wódz, pogromca Moskwy, znakomity mąż stanu, który przezornością swą pozyskał dla Inflant Estonię, podległą dotąd W. Mistrzowi, a zręczną polityką zapewnił swej ojczyźnie na czas dłuższy niepodległość.

Autor, specyalnie badając politykę Plettenberga, a mianowicie śledząc na podstawie dokumentalnych źródeł, stosunek jego do Zakonu

pruskiego, Litwy i Moskwy, dochodzi do rezultatów wprost przeciwnych. Ów urok otaczający postać Plettenberga — to wytwór legendy; owe świetne zwycięztwa nad Moskwą — to bajki, a sprawa estońska dowodzi chyba, jak lichym politykiem był landmistrz i jak łatwo dał się oszukać.

Dwa kierunki, przychylny i nieprzyjazny dla monarchii Jagiellońskiej, znamionują politykę Plettenberga. Obawa przed Moskwą, każe landmistrzowi w Litwie szukać sprzymierzeńca. Lenny związek z Prusami krzyżackimi pcha go do walki z Jagiellonami, pogromcami Zakonu. Nie mogąc zapanować nad sprzecznymi tymi prądami i wyzyskać je do własnych celów, a nie mając dosyć odwagi stanowczo oświadczyć się za jednym z nich, poddawał się naprzemian jednemu lub drugiemu, i ostatecznie dał się wywieść w pole zręczniejszemu od siebie Albrechtowi brandenburskiemu.

Pała on żądzą wojny moskiewskiej, bez pomocy Litwy jednak o sukcesach marzyć nie mógł. Dlatego też zaraz u wstępu swych rządów, w r. 1494, myśli o wspólnej z Litwą wyprawie na Moskwę. Aleksander, ówczesny W. książę litewski, nie kwapi się do wojny; pragnie zaślubieniem Heleny, córki Iwana, i zrzeczeniem się Pskowa zażegnać burzę od Wschodu. Nadzieje okazały się płonne wobec panruskich zachcianek Iwana, a zięć rad-nierad orężem bronić musi r. 1500 ruskich posiadłości przed zaborczością teścia. Sojusz z Inflantami obecnie pożądany dla Aleksandra, przychodzi na 10 lat do skutku. Landmistrz pragnie Pskowa, Aleksander, lubo temu zamiarowi niechętny, obiecuje pomoc, bo sojusz mu potrzebny. Wtem umiera Jan Olbracht, a W. książę litewski, zajęty kandydaturą na tron polski, zaniedbuje sprawy moskiewskiej. Plettenberg, nie mogąc się doczekać obiecanej pomocy litewskiej, o własnych siłach próbuje szczęścia i sromotnie zpod Pskowa ustąpić musi. Król polski pragnie pokoju. Pragnie go przedewszystkiem Władysław król węgierski, aby Polskę wciągnąć do ligi przeciw Turkom. Dlatego przez posła swego Santaja, stara się pośredniczyć między Polską a Moskwą. Landmistrz o pokoju ani chce słuchać, a Aleksander, nie chcąc zrywać otwarcie sojuszu, nie może oficyalnie układów rozpocząć. Iwan życzy sobie separatystycznego pokoju z jednym przeciwnikiem, by łatwiej potem zdławić drugiego. Dopiero gdy się W. kniaź moskiewski dał nareszcie nakłonić do paktowania z oboma, przystępuje i landmistrz do rokowań. Po długich korowodach, stanęły nareszcie oddzielnie dwa rozejmy na 6 lat: Inflant z Moskwą w Nowo-

grodzie, Litwy — w Moskwie: współcześnie jednak, gdyż Aleksander nie prędzej ratyfikuje swój rozejm z Moskwą, póki nie stanął inflancki.

Ponieważ przymierze zaczepno-odporne między sprzymierzeńcami obowiązywać miało do r. 1511, a rozejm z Moskwą tylko do 1509 r., wypadało więc po jego upływie albo wspólnie znów z wrogiem się zmierzyć, lub się z nim ostatecznie ułożyć, jakkolwiek ta druga ewentualność zgóry była wykluczoną stanowczem oświadczeniem Iwana, że *ursia russkaja zemlja jeho otczina.*

Na to wojenne bratanie się Inflant z Litwą patrzał z niechęcią W. Mistrz krzyżacki, pragnąc Plettenberga użyć w walce przeciw Jagiellonom, z powodu hołdu odmawianego Polsce. Landmistrz, na Aleksandra urażony słusznie o udaremnienie zamiarów pskowskich, chętnie daje podszeptom W. Mistrza posłuch; wyrzeka się wojny z Moskwą, i gdy Aleksander po śmierci Iwana III. w r. 1505 wojnę chce wypowiedzieć, odmawia wręcz udziału. Nie daje pomocy również i Zygmuntowi Staremu w wojnie z W. kniaziem, łudząc go w różny sposób, a nareszcie zasłaniając się mandatem cesarza Maksymiliana, zakazującym mu walki z Moskwą. W marcu bowiem r. 1507 stanął między W. Mistrzem a Plettenbergiem układ, w którym tenże, wbrew sojuszowi z Litwą, obowiązującemu do roku 1511, przyrzeka nie łączyć się ani z Litwą, ani z Polską przeciw Moskwie, w zamian za co W. Mistrz obiecuje mu opiekę cesarza przed grozą moskiewską. To też dziwne są pretensye landmistrza, aby Zygmunt bez niego, jako sojusznika, pokoju z Moskwą nie zawierał, lubo sam, uchylając się od posiłków, sojusz zrywał. Zygmunt, nie oglądając się na Inflanty, zawiera w r. 1508 pokój stały. Szczęściem dla Inflant, że w roku następnym udało się im przedłużyć rozejm z Moskwą na lat 14, podczas gdy pokój stały z Polską, zerwał już w r. 1512 Wasyl.

Wojna ta była najnieszczęśliwsza w swych skutkach dla Polski. Skorzystał z niej głównie cesarz Maksymilian, zamierzał z niej skorzystać nowy Mistrz krzyżacki, Albrecht brandenburski, gotując się wraz z Inflantami, by uderzyć na zewsząd zagrożoną monarchię Jagiellonów. Plettenberg zrazu nie okazuje się zbyt przystępny dla planów ambitnego Albrechta; przeciwnie, zbliża się do Zygmunta, tak, że go W. Mistrz posądza o nowy sojusz z Litwą. Niebawem jednak, tj. r. 1514, daje się Plettenberg wciągnąć do ligi Maksymiliana przeciw Polsce, ligi złożonej z Cesarza, Moskwy, Prus i Inflant, i jakkolwiek liga ta okazała się bez podstaw, skoro Maksymilian inscenizowaną pogróżką wyłudziwszy na kongresie Wiedeńskim z r. 1515 od słabego

Zygmunta bogaty spadek Jagielloński w Czechach i Węgrzech, sprzymierzeńców opuszcza — Plettenberg służy dalej ambitnym planom przebiegłego Albrechta. Wprawdzie nie przystępuje otwarcie do sojuszu W. Mistrza z Moskwą, wprawdzie pozostaje tylko biernym świadkiem jego pochodów wojennych na żmudzkie granice, ale przystaje na jego plany wojenne, ale drobnemi siłami go wspiera, ale pośredniczy między nim a Moskwą. Kiedy wreszcie Zygmunt wypowiada wojnę przeniewierczemu siostrzeńcowi, Plettenberg pomocy należytej Albrechtowi nie daje, przeciwnie, doradza mu zawarcie pokoju; godzi się wreszcie 1521 na dostarczenie posiłków, lecz pod warunkiem uwolnienia inflanckiego Zakonu i rządzonej przezeń Estonii, od zwierzchnictwa W. Mistrza. Albrecht przystaje pozornie na warunki landmistrza, wyzyskuje go bezczelnie przez 5 lat, i dopiero gdy sekularyzacya Prus była rzeczą postanowioną, kiedy zwierzchnictwo jego nad Zakonem kawalerów mieczowych samo przez się upadało, przyznaje Plettenbergowi to, do czego się zobowiązał.

Oto treść niniejszej monografii, pierwszej, traktującej źródłowo o polityce Plettenberga. Wprawdzie autor nader sumiennie opracował materyał źródłowy i z wielką bystrością śledzi kroki inflanckiego bohatera, stara się wykazać błędy w jego polityce — mimo to niejeden punkt pozostaje w tym obrazie niejasny, głównie z powodu nieuwzględnienia stosunków wewnętrznych inflanckich. Skutkiem tego, sąd o Plettenbergu wydaje się nam być nie zawsze dość uzasadnionym. Godzimy się z autorem, że polityka chwiejna bez jasno wytkniętego celu, nie świadczy o wielkim mężu stanu: lecz czy owo wahanie się Plettenberga nie było koniecznością wskutek podrzędnego bądźcobądź stanowiska landmistrza, zniewolonego się liczyć z daleko idącemi prawami stanów, zniewolonego liczyć się z niezawisłą prawie hierarchią kościelną, z takim arcybiskupem Ryskim, księciem Rzeszy i t. d.? To też mianowicie stosunek Plettenberga do Albrechta nie jest należycie wyświecony. Ze słów autora na str. 65, zdaje się wynikać, jakoby owe 30.000 t. zw. *Horngulden* wyłącznie były ceną, za którą zgodził się W. Mistrz sprzedać swe prawa zwierzchnicze nad Inflantami i Estonią, a otrzymawszy od łatwowiernego Plettenberga wszystko co do grosza, dokumentu prawomocnego nie wydał. „Jakże więc łatwo było oszukać Plettenberga!“ Wniosek taki przekonałby nas bezwarunkowo, gdyby nam autor był wykazał, że Plettenberg rzeczywiście mniemał tyle korzyści tylko za 30.000 zł. uzyskać. Że zaś nie spodziewał się sekularyzacyi Prus, i że zatem zapłacił to, co i tak byłby miał zadarmo, nie świadczy jeszcze,

zdaniem naszem, o braku zdolności politycznych u Plettenberga. Nietylko bowiem landmistrza, ale cesarza, papieża i całą ówczesną Europę zaskoczył ów fakt niespodzianie; a i my dzisiaj zrozumieć nie możemy polityki Zygmunta, który na coś podobnego się zgodził. Taki słaby poczciwiec również mało budzi zaufania, co przebiegły Mistrz krzyżacki. Uzasadnione całkiem też były obawy Zakonu inflanckiego przed Polską, która dla miłego spokoju sankcyonuje grabież ziem zakonnych przez protestanckiego uzurpatora. Prostracya wobec Moskwy, była niewątpliwie polityczną przyczyną upadku Inflant; czy jednak prostracya ta płynęła jedynie z nienawiści do Polski, jak chce autor, czy nie była raczej objawem rozprzężenia wśród Zakonu, który się przeżył i wskutek przełomu dziejowego stał się tem w XVI wieku, czem dziś jest Turcya europejska? Uwagi powyższe nie czynią bynajmniej ujmy wartości pracy d-ra Konecznego; wskazują one jedynie na niektóre braki i niejasności, które autor, znakomicie obeznany ze sprawami inflanckiemi, z pewnością w najkrótszym czasie usunie i rozjaśni, a tem samem kwestyę sporną co do roli Plettenberga, ostatecznie rozstrzygnie.

Dr. Kazimierz Krotoski.

Książę Adam Czartoryski podczas powstania listopadowego. Przyczynek do charakterystyki, oparty na własnych jego pismach. Napisał *L. Gadon*. Z trzema portretami księcia Adama Czartoryskiego. W Krakowie 1892.

Tyle już o księciu Adamie pisano; tyle rysów i wspomnień, książek i anegdotek o nim krąży, że zdawałoby się, nic już nowego, nic charakterystycznego, ważnego, dowiedzieć się o nim nie możemy. A przecież, kto przeczytał uważnie niedawno temu zpod prasy wyszłą książkę p. Gadona, ten odłożywszy ją na bok, wyzna z pewnością: Niejednego się dowiedziałem, lepiej księcia Adama poznałem. Autor obejmuje w swem opowiadaniu krótki przeciąg czasu, bo samo tylko powstanie listopadowe; lecz właśnie dlatego ten tak niezmiernie ważny peryod dokładniej może zbadać; czerpiąc obfitą dłonią z ściśle prywatnych, rodzinnych archiwów, może dzień za dniem niemal iść za swym bohaterem, do serca, do myśli, do zamiarów, jawnych tylko dla najbliższych i najwierniejszych, zaglądnąć... Nie zawsze i nie każdy bohater wychodzi dobrze na takiem zupełnem podniesieniu wszelkich zasłon; książę Adam, jak każdy szlachetny do gruntu duszy człowiek, powodujący się zawsze najczystszemi intencyami, nie potrzebuje się obawiać

światła: im światło większe, tem większego blasku mu dodaje, tem silniej sympatye nasze ku sobie zwraca.

Książę posiadał, i to w bardzo wysokim stopniu, najrozliczniejsze dary, przymioty, które w innych, spokojniejszych czasach i stosunkach, okryłyby go dobrze zasłużoną sławą jednego z najrozumniejszych mężów stanu. Na rewolucyjne chwile za mało miał energii i stanowczości; miał siłę woli i czynu, ale — aby użyć wyrażenia autora — nie miał dosyć siły oporu, nie miał koniecznej w takim czasie Kromwellowskiej dłoni. A jednak, choć prawda, że dłoń ta niedość silna, jakże silna wygląda wobec innych, bardziej przecież w obozowych trudach zahartowanych, do pałasza, do żołnierskiej karności bardziej z natury rzeczy nagiętych. Nie wiedzieć, śmiać się czy płakać, patrząc jak naczelny wódz w dyplomatę się zmienia: wciąż o układach z nieprzyjacielem przemyśliwa, i zamiast wojnę na seryo toczyć, wdaje się w rokowania na własną rękę; podczas gdy książę Adam, naczelnik nie wojska, lecz rządu, z zawodu dyplomata, o układach słyszeć nie chce, domaga się, prosi na wszystkie tony, o korzystanie z chwil szczęśliwych, o wydanie bitwy, rozumiejąc doskonale, że rokowania, zwłaszcza z potężniejszym nieprzyjacielem, jeśli nie wyprzedziła ich zwycięska walka, są albo brzemienną w najcięższe następstwa stratą czasu, albo prostem zdaniem się na łaskę i niełaskę. Bolesne, zawsze w najmniej drażliwą, powiedziećby można, salonową formę przybrane, uwagi o „miękkich“ dowódcach, o żołnierzach „nie wyglądających wesoło“, poprostu po sercu krają. Od pierwszej chwili na stan rzeczy jasno patrząc, sumiennie spełnia wszystko, co mniema, że spełnić ma obowiązek. Z początku, gdy nie zawsze roztropny zapał umysły porywał, książę strzeże się, aby płomienia, który długo na takiej wysokości utrzymać się nie mógł, nie podniecać; boleje nad dobrowolnem oszałamianiem się niemożliwemi nadziejami; później, po porażkach, w chwili niepowodzenia, gdy znowu sangwinicy — jakich u nas zawsze najwięcej — ręce opuścili i przedwcześnie, głośno wołać zaczęli: „Przepadło!“ — książę dodaje animuszu, tłumaczy, przekonywa, że desperować niewolno. Czemuż więcej takich mężów nie mieliśmy; czemuż ten jeden, więcej nieco, bardziej „dyktatorskiej“ energii, wykrzesać nie potrafił?

Bądźcobądź, piękna to postać, piękny charakter, odsłania się z tych poufnych listów, z tych na kolanie nieraz, wśród wiru bitwy, wśród najcięższych przejść, kreślonych zapisków. Piękne, choć nad wyraz smutne kartki, któremi sumienny badacz nas obdarzył; smutne, ale dobrze że od zapomnienia wyratowane, bo bardzo pouczające. *W.*

Wyjątki z pomników języka polskiego w. XIV.—XVI. Do użytku w klasie V. szkół średnich. *Roman Zawiliński.* Kraków 1892.

Ostatnie sprawozdanie Rady Szkolnej krajowej w Galicyi jest wymownym i pocieszającym dowodem, że władza szkolna używa wszystkich środków, jakimi rozporządza, aby podnieść i udoskonalić nasze szkolnictwo. Między tymi środkami jest niezawodnie jeden z ważniejszych: zaprowadzenie lepszych podręczników.

W zakresie języka polskiego dokonano już wiele. Dość wspomnieć o nowych „Wypisach“ dla wyższego gimnazyum, aby zrozumieć i ocenić ten postęp. Gramatyka jednak stoi dotąd na dawnem stanowisku. Pierwszym wyłomem, który uczyniono w dawnym, starym, może już przestarzałym systemie [1], to właśnie wymienione w nagłówku „Wyjątki“.

Że są lepsze od dawnych, nad tem niema się co rozwodzić. Że wprowadzają nowe, dziś już powszechnie przez badaczy przyjęte poglądy gramatyczne, to widać jasno z „objaśnień“, umieszczonych przy końcu. Odznaczają się nadto bardzo miłą, estetyczną formą. Jakiż jest ich układ?

Po króciutkim wstępie o zabytkach starej polszczyzny wogóle, autor podaje sześć wyjątków z najważniejszych „zabytków“, i dwa wyjątki z „pierwszych druków polskich“. Mamy więc piękny ustęp z niedawno odkrytych „Kazań Świętokrzyskich“, z „Bogarodzicy“, ze „Spowiedzi powszechnej“, z „Pałterza Floryańskiego“, z „Biblii Szaroszpatackiej“ i „Psałterza Puławskiego“ — z „Żywota Pana Jezu Krysta“ Opecia i z „Zołtarza“ W. Wróbla. Każdy wyjątek poprzedza jędrne i treściwe wyjaśnienie pochodzenia zabytku, jego właściwości językowych i t. d. Wkońcu umieszczono „objaśnienia gramatyczne“ i „słowniczek wyrazów“. — Szkoda tylko, że do jednego z wyjaśnień, podawanych przed tekstem, wkradła się dość wielka niejasność. Mianowicie na str. 14 błędnie i z ujmą dla autora omawianego zabytku, ks. B. Opecia, powiedziano, że dzieło jego jest tylko tłumaczeniem łacińskiego dzieła św. Bonawentury. Dość przeczytać uczoną przedmowę ś. p. ks. Polkowskiego, umieszczoną na czele wydania gnieźnieńskiego z r. 1884, które jest właśnie przedrukiem pierwszego Hallerowskiego wydania z r. 1522, żeby się przekonać, jak gruby to błąd. A nadto cały ten ustęp na str. 14, choć bardzo krótki, jest tak zawile napisany, że nietylko uczeń klasy V., ale i student uniwersytetu niełatwo dojdzie

[1] Ob. w *Muzeum* 1891 (wrzesień i nast.) recenzyę 8-go wyd. Gramatyki prof. Małeckiego, napisaną przez d-ra Kalinę.

myśli autora. Powiada autor, że pierwsze wydanie „Żywota“ ks. Opecia wydał Jan Haller „około r. 1517“. Na czem się opiera, w istocie nie wiemy. Ks. Polkowski uważa wydanie z r. 1522 za pierwsze. Autor sam podobnież w tytule tego ustępu mówi o r. 1522, jako roku pojawienia się w druku tego dzieła, a w tekście używa także wydania z r. 1522. Czemu nie czerpie z wydania z r. 1517, jeśli je zna? A wreszcie tak prosta myśl, jak: że Wietor wydał „Żywot“ w tym samym r. 1522, co i Haller, a powtórnie r. 1538, wyrażona jest w ten niejasny sposób: „W tym samym roku (tj. 1522) i w następnych 16 latach jeszcze dwa razy wydał to dzieło inny drukarz krakowski, Hieronim Wietor“...

Szczegółowych zarzutów możnaby autorowi uczynić wiele. Zatrzymajmy się bodaj przy kilku.

Na str. 5 powiada autor: „Do wieku XIV. nie posiadamy zapisków w języku polskim“. Wyrażenie to dwuznaczne razi w książce szkolnej. Ma ono znaczyć: „Aż po wiek XIV...“; tymczasem, tak jak jest, może wyrażać myśl błędną, że nie posiadamy zapisków w języku polskim z wieku XIV.[1] Wprawdzie nieco niżej autor wylicza zabytki wieku XIV., więc dwuznaczność jest przez to usunięta. Ale w każdym razie źle jest, że się do wyjaśnień wkradła.

Na str. 5 (u dołu) mówi autor, że rękopis, w którym się znajdują „Kazania Świętokrzyskie“, pochodzi z początku wieku XV. Tymczasem p. Brückner, wydawca tych kazań, nie twierdzi tego tak stanowczo. Mówi bowiem[2]: „Kodeks ten... pisany, jeśli mnie pamięć nie myli, w pierwszych latach XV. wieku“. Lecz to drobnostka. Ważniejsze, co następuje.

Na str. 6 (u góry), między innemi uwagami o pisowni „Kazań Świętokrzyskich“, podaje autor i tę, że *ch* jest używane w tym zabytku na oznaczenie *k*. Najprzód ta uwaga jest zbyteczna, bo w wyjątku z „Kazań Świętokrzyskich“, zacytowanym przez autora, dźwięk *k* wyrażony jest znakiem *k* lub *c*. A powtóre: w całym tym zabytku co do wyrażania *k*, to ostatnie właśnie panuje prawidło, co zauważył już prof. Brückner w swojem wydaniu (str. 27). Trudno wytłumaczyć, zkąd szan. autor mógł wpaść na ten bałamutny pomysł? Musimy chyba przypuścić, że jest to błąd druku!

---

[1] Prócz tego jest to rusycyzm.

[2] „Kazania Świętokrzyskie“. Wydał i objaśnił A. Brückner. Warszawa 1891, str. 9.

Na str. 6 i 7, w transkrypcyi wyrazów: „w grzesze“ (wiersz 25), „w grzeszech“ (w. 26) podaje autor formy: „w grzese“ — „w grzesech“. Tak samo czyta te wyrazy p. Brückner. Lecz nie jest to prawidłem w języku polskim udowodnionem, żeby spółgłoska gardłowa *ch* przed następnem *ė* (ѣ), jeśli ono powstało z zasadniczego *oi, ai,* przechodziła na *s* tak, jak się to dzieje w języku starosłowiańskim. I dziś także w tych razach *ch* przechodzi w języku polskim na *sz,* np. mu*ch*a, mu*sz*e — Włó*ch*y, we Włó*sz*ech. Dlatego transkrypcya ta nie zdaje się być dostatecznie uzasadnioną. Zresztą autor sam czyta w Ps. 50, w. 6 „Psałterza Floryańskiego“: „w grze*sz*ech“, a nie: „w grze*s*ech“. (To samo i w „Psałterzu Puławskim“, w tym samym psalmie i wierszu). A przecie „Psałterz Flor.“ jest prawdopodobnie współczesny „Kazaniom Świętokrzyskim“.

Na str. 8 w. 6, i na str. 9 w. 12 „Spowiedzi powszechnej“, czyta autor w jednem miejscu: „sierca“, a w drugiem: „serca“. Dlaczego tak różna lekcya? Jeżeli autor uważa formę: „sierca“ za pewną i uzasadnioną w tym zabytku, czemu nie czyta w obu razach jednako?

Na str. 10 w. 2 i 10, czyta autor: „*z*gładź“. W wydaniu Nehringa (z r. 1883) jest: „*s*gładz“, bo jest to słowo złożone z przyimkiem *s* (= съ st.-słow.), a nie *z* (= изъ). Zresztą autor sam pisze w 1 wierszu tegoż psalmu: „*S*miłuj się“, a nie dzisiejsze: „Zmiłuj się“.

Na str 11 w. 20 (z góry), pisze autor: „tegdy *włożę* na Twój ołtarz cieląt“. Wulgata ma: „tunc *imponent*...“, a więc: „wloszą“ należy czytać: „*włożą*“.

Niech wystarczy tych kilka uwag, dotyczących samego tekstu „Wyjątków“. A teraz nieco o „objaśnieniach gramatycznych“. Są to bardzo luźne, bardzo niesystematyczne notatki. Wprawdzie autor dzieli je na uwagi dotyczące: pisowni, głosowni, deklinacyi, konjugacyi i składni, ale to tylko system w nagłówkach. W opracowaniu bowiem tych ustępów brak systemu daje się czuć bardzo dotkliwie. Weźmy np. odmianę rzeczowników. Zaraz na samym wstępie (nr. 25) powiada autor: „L. poj. 2 przyp. Męskie mają końcówkę *a*“. Czy wszystkie? pytamy słusznie, bo prawidło wygłoszone jest absolutnie. Ależ nie wszystkie, bo otwórzmy tylko „Wyjątki“ na chybił-trafił, a znajdziemy męskie z inną także końcówką w G. sg.; np. str. 8 w. 4 „Spowiedzi“: rozu*mu*; str. 9 w. 16: gro*bu*; str. 12 w. 19 (z góry): pło*du* i t. d.

Na str. 22 w n-rze 34 powiada autor: L. mn. „3 przyp. Męskie (tem. na *jo*): ludziem... Żeńskie: drogam... rozkoszam... przeciwnościam“. Najprzód: czy „ludzie“ jest tematem na *jo?* Jeżeli szan. autor

w deklinacyi przyjmuje podział umiejętny, to zapewne wie, że „ludzie“ jest tematem na *i*, a nie na *jo*; ma tylko w dalszym rozwoju niektóre formy analogiczne na wzór tematów na *ja* (np. ludziach — jak duszach). Powtóre: cóż uczeń wyrozumie z zestawienia trzech rzeczowników żeńskich w 3 przyp. l. mn.: „drogam... rozkoszam... przeciwnościam“?... Dlaczego tak jest? Zkąd się to wzięło? Autor nic nie objaśnia; a przecież dzisiaj formy te wyglądają inaczej. Uczeń nie rozwiąże sobie tej zagadki tak ważnej, nawet z pomocą „objaśnień gramatycznych“, które mu dano jako podręcznik.

Autor nie traktuje systematycznie ani deklinacyi ani konjugacyi języka staropolskiego. Nie podaje w całości ani jednego wzoru, na którymby uczeń mógł szkielet odmiany rozpoznać, lecz tylko niektóre formy. I toby był zarzut najważniejszy. Jeżeli zatem „Wyjątki“ niniejsze będą dla młodzieży jedynym kluczem do bogatej skarbnicy starej polszczyzny, a mająca wyjść gramatyka nie uwzględni dostatecznie, i o ile to w szkołach średnich możliwe, naukowo historyi rozwoju języka polskiego, to podręcznik ten będzie bardzo niewystarczający i za skąpy. Tylko dobry pedagog, a przytem znawca gramatyki słowiańskiej porównawczej, będzie mógł braki jego zastąpić, i liczne usterki sprostować.

R. Koppens.

Dùdka Białaruskaja, *Macièja Buraczkà*. Kràków, drukawàû swaim kòsztam Wł. L. Anczyc i Ska. 1891.

Pod tym tytułem przy końcu roku ubiegłego ukazał się niewielki zbiorek poezyj ulotnych, w białoruskim czyli krewiczańskim skreślonych języku. Jestto jakby rzewne echo skargi, dolatującej z dalekiej i zapomnianej niemal litewskiej dzielnicy pomiędzy Dźwiną, Dnieprem i Prypecią, której losy przez czas długi z dziejami Polski się łączyły. Przerzućmy kartki skromnej tej książeczki, a może z nich czegoś nowego się dowiemy, lub może dźwięki fujarki białoruskiej, poruszą w sercach naszych jakąś oddawna nietykaną strunę.

Poezye nieznanego pieśniarza, ukrywającego się pod niezbyt ładnym pseudonimem, poprzedza krótki, lecz dość sympatyczny wstęp, w którym autor stara się wywalczyć prawo obywatelstwa dla ojczystego języka. Styl, jakim wstęp ten jest skreślony, każe się domyślać, że Dudka przeznaczoną została dla najszerszych kół czytelników. Znajdujemy tam kilka pięknych, oryginalnych myśli. „Od wieków — mówi autor — jak ziemia nasza złączyła się z Litwą, a potem do-

browolnie z Polską zespoliła, nazywano ją Białorusią, i to nie napróżno! Nie była ona Wielką, Małą, Czerwoną lub Czarną Rusią, ale Białą — czystą, bo nie biła, nie podbijała, tylko się broniła! Litwa przed 520 laty rozciągała się już od Bałtyckiego morza do Czarnego, od rzek Dniepru i Dniestru do Niemna, od miasta Kamieńca do Wiaźmy, od Dynaburga aż poza Kremeńczug, a w środku Litwy, jak jądro w orzechu, była nasza ziemia: Białoruś. Może kto spyta, gdzie teraz Białoruś? Tam, bracia, gdzie się język nasz rozlega, od Wilna do Mozyrza, od Witebska aż do Czernihowa, gdzie Grodno, Mińsk, Mohilew, oraz mnóstwo miasteczek i wiosek... Wiele było takich narodów — ciągnie dalej — które straciły najprzód język własny, jak konający traci mowę przed zgonem, a potem rzeczywiście umarły. Nie porzucajmy więc białoruskiego swego języka, abyśmy także nie umarli. Mówią, że się poznaje ludzi po odzieży i mowie, bo też mowa jest odzieżą duszy. Wszystko to skłoniło mię — dodaje — do napisania tych wierszyków; komu się podobają, temu dzięki, kto zaś więcej i lepiej napisze, temu niech będzie cześć wieczna od żyjących ludzi i od kości pradziadów!"

Wstęp ten dość życzliwie usposabia czytelnika do tego, co się za nim znajduje. Na czele utworów, zawartych w powyższym zbiorku, mieści się ładny wierszyk: *Majà Dùdka*. Chociaż odrębną ma formę, treścią jednak i nastrojem przypomina nieco utwór Syrokomli, zaczynający się od słów:

Liro ty moja śpiewna
Z czarodziejskiego drewna!...

Pieśniarz białoruski każe swej fujarce grać najprzód radośnie, podskocznie; widząc jednak, iż nie wydobędzie z niej wesołego dźwięku, nastraja ją na nutę tak rzewną i smętną, jak dola tego ludu, dla którego i o którym ma śpiewać. Następny wierszyk: *Durnÿ mużÿk jak waròna*, wyraża oburzenie z powodu, iż wieśniak, który najwięcej stosunkowo pracuje i pracą swą przyczynia się najbardziej, chociaż mimowiednie, do cywilizacyjnego postępu, najmniej jednak odnosi korzyści ze zdobyczy cywilizacyi. Wiele w tym wierszu jest prawdy, ale też spora doza żółci i gryzącej ironii. Pokrewny mu pod względem treści, choć doskonalszy formą utwór, nosi tytuł: *Boh niaròùna* (nierówno) *dzièlić*. Niektóre jego ustępy nacechowane są świeżością i humorem, chociaż zpoza tego humoru przeziera głęboki ból nad czarną wieśniaczą dolą. Utwory pod tytułem: *Jak pràùdy szukàjuć, U sudzie, U wastròzie* (Jak szukają prawdy, W sądzie, W więzieniu), charakteryzują dowcipnie i trafnie roz-

maite perypecye, przez jakie wieśniak musi przechodzić w zetknięciu się z rządowemi władzami. Komu nie obce tamtejsze stosunki, ten przyzna, że typy rosyjskich urzędników zostały uchwycone z prawdziwym talentem i psychologiczną prawdą. Najładniejszym pod względem treści z utworów w tym kierunku są: *Chrèšbiny Maciukà* (Chrzest Macieja). Widzimy tam białoruskiego wieśniaka, który na zapytanie kozaków, kim jest, daje zwykłą Białorusinom odpowiedź, że jest tutejszym. Niezadowoleni kozacy dopytują się coraz natarczywiej o jego religię, i zaczynają go bić, wieśniak zaś oburzony tą niesprawiedliwością, woła:

Ja kažù hètak: „Kališ užò tak,
„Szto wàspan bjèszsia biaz-daj-pryczyny,
„To mùsić i pràůda, szto ja i Palàk
„I bùdu Palàk ja ad hètaj hadziny!“... [1]

Wkrótce potem do wsi zjeżdża jakiś wysoki urzędnik, mający zmusić wieśniaków do podpisania dokumentu, na mocy którego zrzekliby się dobrowolnie katolicyzmu i przeszli na prawosławie. Cała ludność odwołuje się do Macieja; ten zaś zapytany, czy gotów jest do przyjęcia „wiary ruskiej“, odpowiada:

.....Kab sto katòů
Dràli mnie skùru, piakli na ahniù,
Ja wièry swajèj tyki nia zmianiu! [2]

Tu, jak łatwo się domyśleć, następuje znów okropna bastonada, autor zaś dodaje:

O tak to chryścili mianiè kazaki
Z tutèjszaho dy u Palaki! [3]

Jestto plastyczny opis faktu, który na nieszczęśliwej białoruskiej ziemi niejednokrotnie się powtarzał. Powszechnie są znane męczeńskie dzieje Unii na Podlasiu. Szkoda, że dotychczas nie znalazł się nikt, coby chciał poświęcić choćby krótką pracę martyrologii białoruskich wie-

---

[1] Wówczas ja brutalstwem oburzony takiem,
Wołam: „Kiedy waszmość bijesz bez przyczyny,
„To musi być prawdą, że jestem Polakiem
„I będę Polakiem już od tej godziny!“...

[2] .....Chociażby stu katów
Darło ze mnie skórę lub w ogniu smażyło,
Ja wiary mej nigdy wyrzec się nie zdołam!

[3] Tak mnie przechrzciła nahajka kozaka
Z tutejszego na Polaka!

śniaków, z których niejeden dorównał podlaskim Unitom pod względem bohaterskiej wytrwałości w wierze.

Utwory: *Kièpska bùdzie* (Źle będzie), *Z kiarmaszù* (Z jarmarku), *Dùmka*, *Majà chàta*, przesuwają przed oczami czytelnika jak w kalejdoskopie rozmaite obrazki z wieśniaczego życia. Główną ich zaletę stanowi doskonale uchwycony koloryt miejscowy, każący nawet niekiedy zapominać o usterkach formy. Szereg utworów Macieja Buraczka uzupełnia kilka bajek. Jedne z nich, jak naprzykład: *Chciwièc i skarb na Swiatòha Jàna*, *Hdzie czort nia może, tam bàbu paszlè*, i *Zdarènnie*, osnute są na miejscowych przesądach i przysłowiach; inne, jak *Padaròżnyje żydy* i *Byů u czyscy*, mieszczą w sobie ostrą charakterystykę rozmaitych niesympatycznych dla wieśniaka osób. Wszystkie wogóle, z wyjątkiem *Wòůk i Awièczka*, odznaczają się świeżością pomysłu; niemile tylko razi wiersz *Byů u czyscy*, gdzie autor zadaleko posuwa swe szyderstwo i wpada w niesmaczną trywialność. Bardziej dodatnie wrażenie pozostawia po sobie inna bajka pod tytułem *Niemiec*, w której białoruski dudarz ubolewa nad przechodzeniem majątków polskich w ręce niemieckie, i podaje wyborną sylwetkę germańskiego kulturtregera. Najwyżej jednak, ze względu na dążność moralną i głęboko religijne zapatrywanie się na rzeczy, stoi piękny wiersz: *Pràůda*. Z początku przebija się w nim taż sama nuta, która dźwięczy we wszystkich niemal utworach tego autora, to jest skarga nad wieśniaczą niedolą. Widok ogólnej nędzy i cierpienia, doprowadza go do wniosku, że przyczyną takiego stanu rzeczy jest to, iż prawda Boża coraz bardziej zapominaną jest na ziemi. „Dawniej — twierdzi — prawda żebrząc, chodziła po świecie, lecz umarła, ludzie zaś pogrzebali ją głęboko i przytłoczyli kamieniem, aby nigdy słychać już o niej nie było, a teraz mówią, że gdzieś w Niebie gości". Utwór swój kończy poeta piękną do Boga modlitwą:

Da paszliż Ty, Boże, Pràůdu swajù tùju
Z nièba na ziamièlku slòzmi zalitùju!
Pasyłàů Ty Syna, Jahò nia paznàli;
Muczyli za pràůdu, siłaj pakanàli;
Paszliż ciapièr Dùcha, da paszli biaz cièła
Kab usià ziamièlka adnu pràůdu mièła![1]

Oto w krótkim zarysie treść *Dudki Białoruskiej*. Co do formy, to w niektórych utworach, przeważnie satyrycznych, wiersz płynie

[1] Ześlij Boże z Nieba Prawdę swoję żywą
Na zalaną łzami ziemię nieszczęśliwą!

gładko, równo, potoczysto, w większej jednak ich części jest on niezgrabny i chropowaty, niekiedy zaś bierze zupełny rozbrat nietylko z rymem, ale nawet z rytmem. Na każdym też niemal kroku uderzają usterki językowe, polonizmy lub rusycyzmy. Bądźcobądź tendencya tego zbiorku jest bardzo poczciwa i sympatyczna, tem większa więc szkoda, że w danych okolicznościach niepodobna nawet myśleć, aby *Dudka* mogła się rozpowszechnić wśród białoruskiego ludu, dla którego obok rozrywki, prawdziwą przyniosłaby korzyść.

Tytus Sopodźko.

Sprawozdanie z wiecu w Toruniu dla katolickiej ludności polskiej w dniach od 27—29 września 1891. Z polecenia komitetu ułożył *ks. dr. Antoni Wolszlegier* z Zamarłego. (Str. 182; cena 1 m.). Toruń. Nakładem autora.

O wiecu w Toruniu, jego przebiegu i powziętych uchwałach, umieściliśmy już w swoim czasie w *Przeglądzie* obszerniejszą korespondencyę; tutaj ograniczamy się zatem tylko na uwiadomieniu czytelników naszych o ukazaniu się urzędowego niejako, bo z polecenia wiecowego komitetu ułożonego sprawozdania. Wydawca starań nie szczędził, aby sprawozdanie to było, o ile możności, dokładne; aby było wierną i ścisłą historyą wiecu. Korzyść i potrzebę tego wydawnictwa oceni najlepiej, kto porówna niektóre zwłaszcza mowy i referaty w obecnem sprawozdaniu, ze streszczeniami ich, ogłoszonemi zaraz po wiecu w poznańskiej prasie; tyle tu nieraz nowych, ważnych szczegółów, pięknych myśli, że prawdziwie szkodaby była, aby nie miały być na pamiątkę i naukę przyszłym pokoleniom przechowane.

Posyłałeś Syna, lecz Go nie poznano,
Dręczono za prawdę, siłą pokonano;
Ześlij teraz Ducha, lecz ześlij bez ciała,
Aby cała ziemia jednę prawdę miała!

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Enquête sur l'évolution littéraire. Par *Jules Huret*. Paris. Charpentier. 1891.

Kto żyw, kto literaturą we Francyi, a mówiąc dokładniej, w Paryżu, się zajmuje, rozprawia i pyta: Czem są, czego właściwie chcą, wczoraj nieznani jeszcze, wyśmiewani, dziś zwartą plejadą, jeśli nie uznanie, to przynajmniej coraz większy rozgłos sobie wywalczający: symboliści, dekadenci? Jeden z paryskich reporterów, Juljusz Huret, postanowił zbadać ten mgłą tajemniczości okryty kontynent, i urządził nową Stanleyowską ekspedycyę — nie po afrykańskich lasach i puszczach, ale po pałacach, kamienicach i domkach, z których przewódcy świeżo zainaugurowanego ruchu, literacki, poetyczny, i nietylko poetyczny świat, popchnąć chcą na nowe tory. Niezmordowany podróżnik „interwiewiował“ 64 mniejszych i większych „mistrzów i geniuszów“; wiernie, jak na dobrego reportera przystało, opisywał ich postacie, spisywał ich słowa, a następnie, co tylko dojrzeć, co usłyszeć zdołał, ogłosił w książce, z której choć nie można dokładnego obrazu całego tego ruchu sobie odtworzyć, to dowiedzieć się przynajmniej można o nim bardzo wielu ciekawych i charakterystycznych szczegółów, tak wielu, że od biedy jakiegoś już wyobrażenia o całości się nabywa. Bądźcobądź, nikt autorowi zarzucić nie może: „podsuwasz dekadentom, symbolistom, własne swe zdania czy uprzedzenia“; nic nie podsuwa, bo słowa ich tylko powtarza, nie dodaje ani za czarnych, ani za czerwonych farb, bo nie używa pendzla, tylko aparatu fotograficznego.

P. Huret stawiał trzy główne pytania wszystkim obżałowanym; wszystkim, których w ich sprawie uważał za stosowne, w charakterze świadków lub „biegłych“, powołać: W jakiem stadyum znajduje się obecnie naturalizm? Jakie przyczyny wywołały reakcyę przeciw dawnym szkołom, i jaka jest doniosłość tej reakcyi? Czy przyszłość należy do symbolistów? — Pytania kategoryczne, na które niestety! nie wszędzie następowały równie kategoryczne odpowiedzi; literackie zazdrości, autorskie niechęci, poetyckie nienawiści, znalazłszy dla siebie upływ, płynęły nieraz i płynęły rwiącym potokiem — aż dopóki zrozpaczony gość, widząc, że próżne wszystkie prośby i starania, i pozytywnego jakiegoś wyjaśnienia z pewnością się nie doczeka, w ucieczce nie poszukał ratunku. Miłego zatem wrażenia z tych literackich krajów p. Huret

nie odniósł: „egoizm, brzydki egoizm wszechwładnie tu panuje“, powtarza parokrotnie; ale ostatecznie nie szukał miłych, tylko pouczających, ciekawych wrażeń, a w tym kierunku, nietylko autor, ale i jego czytelnicy nie doznają zawodu.

W jakiem stadyum znajduje się szkoła naturalistyczna, której najbardziej znanym przedstawicielem, jeśli nie wodzem, jest Zola? Wszyscy zapytani: Anatol France, Sar Péladan, Leconte de Lisle, Julja Adam — odpowiadają jednomyślnie: „W stanie zupełnego rozkładu, konania“. „Naturalizm, mówił energicznie Anatol France, to kłamstwo dziecinne, grubiańskie, błotniste. Oszkalował on, obłocił ludzkość, szukając i pokazując wszędzie tylko ‚zwierzę ludzkie‘. Dlatego umarł z brudu“. „W teoryi, wyraził się niemniej bez ogródek Leconte de Lisle, naturalizm był błazeństwem; w praktyce stał się kupą gnoju“. Nie tak bezwzględne, ale niemniej bardzo surowe wyroki, wydane zostały na t. zw. „psychologistów“, grupujących się koło Bourgeta — „modniarza“, „tapicera“, jak go wielu niechętnych, a może i zazdrosnych ironicznie nazywa, wyśmiewając szczegółowe jego, do mikroskopijnych drobnostek schodzące opisy. Panowie „psychologiści“, — gniewali się i przekpiwali zapytani literaci-koledzy — taki np. Bourget, taki Maurycy Barrès, ogłosili światu, przy dźwiękach trąb i bębnów, że postanowili sobie czytać w duszy ludzkiej, analizować duszę, podpatrywać jej uczucia, pragnienia, namiętności. Bardzo pięknie i bardzo chwalebnie; tylko, na miły Bóg! niechże nie sądzą i wierzyć nam nie każą, że pierwsi na ten koncept wpadli. Wiedział już coś o tem stary Homer w Iliadzie i Odyssei, wiedzieli i wiedzą Indyanie i Chińczycy, i niemałoby się zdziwili, gdyby im kto powiedział, że starzy ich poeci, tak nieraz prawdziwie a misternie odzwierciedlający nam duszę, należą do szkoły, której raczy hetmanić „mały Bourget“. Zresztą, jakaż to psychologia? czy talent Bourgeta stokrotnie nie przeceniony, nie przereklamowany? „Psychologia papierowa“, odpowiada Oktawian Mirbeau. Stary Leconte de Lisle żałuje, że autor „Kłamstw“ i „Ucznia“ nie poświęcił swego pióra krytyce raczej, niż romansowi. „Ostatecznie podaje on nam, prawda że w nieco odrębny sposób, równie nudne i dziecinne fraszki, jak i naturalizm, stenografujący uliczne żarciki“. Huysmans woła z najwyższem lekceważeniem: „Co?! ten ulubieniec Żydówek chciałby się nazywać psychologiem? Piękni mi psycholodzy! Każdy wiejski proboszcz zna duszę ludzką tysiąc razy lepiej i dokładniej od nich; Hello dawno ich wszystkich prześcignął, a jedna kartka starego Ruysbrocka, odkryje ci z bez porównania większą dokładnością

i zrozumieniem serce ludzkie, niż wszyscy razem spędzeni Stendhale, Bourgety i Barrèsi".

— Dlaczego, i jak mogliście się nazwać „dekadentami"? — pytał p. Huret poetę-dekadenta, Pawła Verlaine, który pierwszy podobno tę nazwę ostentacyjnie do siebie zastosował.

— Historya to bardzo prosta. Rzucono nam tę nazwę jako zniewagę, jako przezwisko; zniewagę zmieniłem w hasło wojenne, nie przypisując mu zkądinąd żadnego szczególnego znaczenia. Dekadent! — cóż w tem złego? Czyż piękny Zachód nie jest równie zachwycający, jak wszystkie na świecie całym jutrzenki? Czyż słońce, udające, że do spoczynku się zabiera, nie okaże się nazajutrz w pełnym blasku? Powtarzam: „dekadent", „dekadentyzm", to tylko hasło, sztandar; myliłby się, ktoby tej nazwie przypisywał jakieś inne, dalsze znaczenie.

„Symboliści" są pewnym odcieniem „dekadentów"; jednym z pułków tego nowo uformowanego wojska. Czego chcą, do czego dążą — niełatwo powiedzieć; to jedno pewna, że chcą tak pisać, jak dotąd wogóle nie pisano, że wprowadzili niebywałe, niemożliwe rymy i rytmy, wobec których dawne poetyczne wolności „romantyków" przeszły na etat „niewolniczego klasycyzmu". Jan Moréas usiłował wprawdzie wytłumaczyć swemu gościowi, na czem „symbolizm" zależy, ale samo to wytłumaczenie tak „symbolizmem" przesiąkłe, że zwykły śmiertelnik równie mądry po niem, jak przed niem. Leconte de Lisle przyznaje też bez ceremonii, że nic o symbolistach myśleć, żadnego zdania o nich mieć nie może, z prostej przyczyny, że ich nic a nic nie rozumie. ... Wiersz symbolistyczny, to nie wiersz, to kiepska proza. Chcesz stanąć w ich szeregu i otrzymać tytuł i wieniec wieszcza? Nic łatwiejszego. Weź kapelusz, wrzuć i zmieszaj w nim przysłówki, zaimki, rzeczowniki, spójniki, przymiotniki, potem wyciągaj na chybił-trafił i pisz — a symbolizm, dekadentyzm, instrumentyzm, i wszystkie płynące z nich galimatyasy uznają cię za swojego. Łaskawi ci panowie zabierają się do zreformowania francuskiego języka. Bardzo wdzięczni im jesteśmy za dobre chęci, ale czyż nie byłoby zbyt wielką śmiałością prosić, aby zajęcie się projektowaną reformą pozostawili rodowitym Francuzom? — Zkądże Szwajcarzy, Anglicy, Amerykanie, Grecy (Moréas), Belgowie (Lemonnier, Maeterlinck, Rodenbach, Verhaeren i t. d.) przychodzą do dyktowania nam reguł i przepisów dla francuskich wierszów?

Najdokładniej objaśnia rolę i przyszłość dekadentów, symbolistów, i spokrewnionych z nimi „Sarów" i „Magów", parę węzłowatych zdań,

któremi kilku literatów paryskich, nie mających wcale ochoty wdawać się w długie zwierzenia, uraczyło trochę niegrzecznie p. Hureta, ale których tenże nie omieszkał szkrupulatnie zanotować i wydrukować. Jan Richepin powiada z niesmakiem: „Śledztwo Twoje wywołuje brzydką wizyę smrodliwego bagna, w którem kilka wołów zatrudnia się przeżuwaniem, a gromady żab nadymają się co sił". Sam poeta, Gabryel Vicaire, odzywa się pobłażliwie: „Pracujmy, a dzieciom dozwólmy się bawić!" Renan scharakteryzował ich w dwóch słowach: Psychologiści, naturaliści, symboliści, to dzieciaki, co sobie palec ssą. Wreszcie, romansopisarz Cherbuliez, podpisujący poważniejsze swe artykuły pseudonimem: Valbert, rzuca od niechcenia pobłażliwo-lekceważące słówko: „Czekam, czekam na zapowiedzianą gwiazdę, niech wejdzie, niech zabłyśnie, a pierwszy klaskać będę; tymczasem wyznać muszę, że bardzo mało zajmuję się współczesną literaturą".

Dajmy na to, że p. Cherbuliez może sobie na taki zbytek pozwolić i zamykać oczy na to, co mu z jakiegobądź względu do smaku i przekonania nie trafia; inne pytanie, czy cały ten ruch na uwagę nie zasługuje, czy nie jest znaczącym symptomatem chorób różnych a niebezpiecznych; jednym z coraz liczniejszych, bolesnych okrzyków, którymi dusza ludzka znać daje, że cierpi, że za jakiemś — niedość jeszcze określonem — wzdycha lekarstwem... błąka się, rzuca na wszystkie strony, ale to niespokojne błąkanie pokazuje przynajmniej, że wyższe jakieś ideały, choć dotąd w półzmroku tylko się ukazały, nieprzepartą siłą ku sobie ją ciągną.

B. A.

Les enfants en prison, étude anecdotique sur l'enfance criminelle. Par *Guy Tomel,* du Journal des Débats, et *Henri Rollet,* avocat à la cour d'appel. Paris 1892. (P. 299).

Nie wielka książeczka, ale dająca dużo do myślenia. Zkąd pochodzi, pytają się autorowie, że od pewnej liczby lat, tak gęste szeregi dzieci stają przed sądowemi kratkami, zaludniają więzienia; jakie przyczyny poprowadziły tych niedorostków do najstraszniejszych nieraz zbrodni; czy społeczeństwo nie może, nie ma obowiązku, pomyśleć o energicznych jakich lekarstwach w tym kierunku? Nie na wszystkie te pytania dostajemy jasną, a zwłaszcza do samego jądra rzeczy sięgającą odpowiedź; w każdym razie, kto w przyszłości kiedyś kwestyą tą tak ważną na seryo się zajmie, znajdzie w tym tomiku, spisanym w znacznej części na podstawie mozolnie przez samychże autorów

przeprowadzonych badań, i bogaty i ważny materyał. Wyzyskiwanie dzieci w najróżnorodniejszych kierunkach, do najsmutniejszych nieraz celów, stanowi w większych miastach francuskich, a głównie w Paryżu, osobną gałęź przemysłu, z której dość liczna szajka złoczyńców ciągnie bogate zyski. Złoczyńcy ci, sprytni, rutynowani, umieją zbyt często wywinąć się przed policyą, ujść ręki karzącej sprawiedliwości; cały ciężar kary spada zazwyczaj tylko na prowadzone systematycznie do występku i występnie wyzyskiwane dzieci. Społeczeństwo bronić się musi; nie umiejąc, czy przy obowiązującem dziś prawodawstwie, nie mogąc inaczej się bronić, zadawalnia się skazywaniem na więzienie przychwyconych na gorącym uczynku niedorostków; obcina gałązki, zostawiając w spokoju bujnie i głęboko rozrosłe korzenie. Cóż dzieje się z dzieckiem, które odsiedziawszy kilkumiesięczne więzienie, wyrzuconem jest z niego znowu, biedne, bez pomocy, bez opieki, na bruk paryski? Łatwa odpowiedź; do przesytu powtarzają ją kryminalne akta.

A jakież na to środki? Na tym punkcie praca pp. Tomel i Rollet bez wątpienia najsłabsza. Złe poznali, pokazali szczegółowo i z talentem; zrozumieli też, że wypada im nakreślić jakiś program na przyszłość, zapisać receptę na chorobę; ale jaki program, jaką receptę? O radykalnej kuracyi mówić się obawiają, bo poruszyćby wtedy należało wiele kwestyj, którym ani współpracownik *Journal des Débats*, ani paryski adwokat, nie śmieją śmiało w twarz spojrzeć; zatem jeden tylko właściwie popierają środek: przytrzymywanie uwięzionych dzieci w domach poprawy, przynajmniej aż do dwudziestego roku życia. Zapewne, o dzieciach-recydywistach nie będzie już wtedy mowy, kiedy dziecinne lata przepędzą pod kluczem; co później z dziećmi temi się stanie, czy i jakie chwasty, lub kwiaty w sercach ich wyrosną, to już autorów naszych nie zajmuje, to nie należy do ich specyalności.

D. E.

Catholiques allemands. Par *A. Kannengieser*. Fribourg (Suisse). Librairie de l'Université. 1892. (VII. 383).

Dzieje niedawno przebytych, chwilowo zawieszonych, bohaterskich walk, w których katolicy niemieccy tak świetne odnieśli zwycięstwo, działać muszą pokrzepiająco, a zarazem niejednego mogą nauczyć, niejednę podać wskazówkę zapaśnikom katolickim w innych krajach. Z tej myśli wyszła niniejsza książka, głównie dla Francuzów przeznaczona, w której autor, jeden ze stałych współpracowników *Correspondant'a*, zapoznaje swych czytelników w szeregu odrębnych, główną myślą przewo-

dnią połączonych ze sobą rozpraw, z szeroką, w skutki bogatą działalnością niemieckich katolików, z głównymi ich przewódcami, z bronią i wojenną taktyką, różną w różnych czasach, zawsze do jednego i tego samego celu zmierzającą. Tak np. osobne rozprawy poświęcone są politycznemu stanowisku i działalności niemieckiego kleru, związkom katolickim, ruchowi robotniczemu i socyalistycznemu, Windthorstowi i t. d. W ogólnych zarysach i zasadach, nic pożytecznej tej książce zarzucić nie można; natomiast, najprzychylniejsi nawet krytycy niemieccy, wytykają długi szereg drobniejszych, ale bądźcobądź dla Niemców, dla bliżej obeznanych z niemieckimi stosunkami, niemało rażących niedokładności, rażących tem bardziej, że chodzi tu o ludzi i rzeczy współczesne, co do których każdy cokolwiek wykształcony Niemiec, udzielić mógł z łatwością pożądanych informacyj. Tak np. autor uśmierca biskupa Eberharda w więzieniu; opowiada, że Kettelerowi pękło serce na wygnaniu, Mosslera zalicza do dziś jeszcze żyjących; miesza nieraz, przestawia nazwiska, zdarzenia. Niejednokrotnie też znać, że francuski pisarz starał się przestudyować najnowszą historyę niemiecką, ale o dawniejszej dość słabe ma wyobrażenie.

Jak się wydaje, książka niniejsza jest dopiero pierwszym tomem dzieła, obmyślanego na większe rozmiary. Wątpić niepodobna, że p. Kannengieser skorzystać zechce przy następnych tomach z licznych uwag, których niemieccy recenzenci mu nie pożałowali, i potrafi sobie poważną swą i bardzo na czasie pracą pozyskać nie ograniczone żadnemi zastrzeżeniami pochwały, nietylko ze względu na cel i ogólną treść, ale i ze względu na wykończenie we wszystkich, choćby najdrobniejszych szczegółach.

N.

Aus meinem Leben. Wahrheit und keine Dichtung. Von *Dr. Franz Lorinser*. Erster und zweiter Band. Regensburg 1891, 1892.

Dobrze katolickiej literaturze niemieckiej zasłużony kanonik Lorinser, postanowił w siedmdziesiątym roku życia spisać swe pamiętniki, wychodząc przy tem z założenia, że każde życie ludzkie, jeśli tylko nie poetycznemi formułkami, ale prawdziwymi kolorami jest odmalowane, przedstawia niemało interesu dla myślących, współczuć umiejących widzów. Dwa wyszłe dotąd tomy doprowadzają nas do chwili, w której Lorinser otrzymał w Rzymie kapłańskie święcenia i powrócić mógł na dalszą, bogatą w owoce pracę do rodzinnego domu. Młodociane lata spędził autor w Opolu; miał więc dobrą sposobność poznać do-

kładnie ówczesne stosunki na Szląsku, stosunki zwłaszcza ze względu na kościelnego ducha, a mówiąc bez ogródek, na nadzwyczajną religijną obojętność, bardzo niewesołe. Do poprawy tych stosunków w Opolu przyczynił się niemało ojciec Lorinsera, występując wszędzie jasno i śmiało ze szczerze katolickiemi zasadami; niemniej dobry wpływ wywierała poczciwa matka, przykładem cnót domowych. Uwięzienie arcybiskupów: kolońskiego i poznańskiego, otrząsnęło mnóstwo katolików szląskich z długoletniego odrętwienia i stało się jedną z najgłówniejszych przyczyn zbawiennej, katolickiej reakcyi. „Nietylko u nas w domu, konstatuje autor, ale i w gimnazyum, między katolickimi mymi kolegami, buchały formalnie ognie i płomienie. Rząd w niepojętem zaślepieniu doszedł użytym gwałtem do wręcz przeciwnych rezultatów, niż chciał i zamierzał".

Na chwilę Lorinser wahał się, czemu ma się poświęcić: muzyce czy teologii; wreszcie ta ostatnia wzięła stanowczo górę. Cały drugi tom wypełniony jest wspomnieniami z teologicznych studyów, najprzód w Monachium, następnie w Rzymie. Bawarska stolica pozostawiła w sercu sędziwego starca miłe pamiątki; w porównaniu z Wrocławiem wydała mu się „rajem". Tutaj miał sposobność, częścią w uniwersyteckich salach, częścią we własnych ich pokojach i pokoikach, wejść w żywą styczność z wielu najznakomitszymi przewódcami ówczesnego katolickiego ruchu w Niemczech. Z kolei przesuwają się postacie: Goerresa, Klemensa Brentano, Phillipsa, Jarckego, i nie zaciemniona jeszcze, owszem, pełnym wówczas blaskiem sławy oświecona postać nieszczęśliwego Doellingera. Pobyt w Rzymie przeciągnął się niespełna dwa lata i skreślony jest znowu głównie na tle współczesnej korespondencyi, bardzo żywo z ukochanym ojcem prowadzonej. Mniej tu spotykamy ciekawych, szersze koła zająć mogących szczegółów; jeśli w pewnej mierze nie całe pamiętniki, to zwłaszcza ostatnia ta część drugiego tomu, zyskałaby pewnie, gdyby mniej była obszerną, gdyby pewne zwroty nie powracały w niej kilkakrotnie.

J.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Anarchistyczne zamachy w kościołach francuskich. — Antyklerykalny związek. — Polityka Papieża we Francyi. — Nowy „kurs“ w Berlinie. — Kwestya szkolna we Lwowie, Innsbrucku i Lincu.

ANARCHISTYCZNE ZAMACHY W KOŚCIOŁACH FRANCUSKICH.

Nie było niemal dnia w ostatnich paru tygodniach, w którymby telegram nie przyniósł wieści z coraz to innego krańca Europy o nowym jakimś, z całem wyrafinowaniem zazwyczaj przeprowadzonym anarchistycznym zamachu. Jeszcze nazwisko Ravachola, „dynamitowego opętańca“ — jak go nie bez słuszności nazwano — z ust nie znikło; jeszcze nie przebrzmiał straszny wybuch na ulicy de Clichy; kiedy w Madrycie przytrzymano złoczyńców, gotujących się do zniszczenia, „z rozkazu międzynarodowego związku anarchistów,“ najgłówniejszych budynków publicznych; w wielu miastach hiszpańskich i belgijskich odkryto zapasy dynamitu, skradzione z fabryk rządowych, a mające, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, odegrać wybitną rolę w manifestacyach, zamierzonych na dzień pierwszego maja; w Anglii, Belgii, we Włoszech, w Niemczech — nie mówiąc już o głośnym zamachu na księdza Ponińskiego, którym „polscy anarchiści“ chcieli dowieść swego istnienia i okazać solidarność celów i środków

z międzynarodowym anarchizmem — wypłynęły ze swych kryjówek wszelkie brudy i męty i stanęły do otwartej walki ze społeczeństwem.

Jaki paniczny przestrach systematyczne te zamachy wywołały, tego dowodem najlepszym rozliczne plany, z dawnych zdawałoby się czasów i wieków do życia powołane projekty, mające na celu zmiażdżyć bez litości anarchistów. Francya ustanawia przeciw nim cały szereg praw wyjątkowych, wyrzuca za granicę wszystkich, o antysocyalne knowania podejrzanych obcych poddanych; włoscy sędziowie zamykają i przesłuchują oskarżonych w żelaznej klatce; wiedeński *Fremdenblatt* widzi ocalenie tylko i wyłącznie w bezwzględnem użyciu najsurowszych środków; francuski, włoski, nawet angielski gabinet obradują nad zwołaniem międzynarodowej konferencyi, której skutkiem byłaby wspólna, jednolita, a energiczna akcya przeciw burzycielom porządku. Czy środki te, czy wyjątkowe prawa i kary, wystarczą, czy złe zażegnać potrafią? Przykład Niemiec, które ostatecznie, po wielu latach próby, doszły do przekonania, że wszystkie wyjątkowe ustawy przeciw socyalizmowi nie były w stanie wstrzymać ani na chwilę tryumfalnego jego pochodu naprzód — najdobitniejszą tu chyba odpowiedzią. Złe zanadto głębokie zapuściło korzenie, aby dało się je usunąć, odcinając kilka listków, naginając, czy łamiąc kilka gałązek; a niestety! te same rządy, które z takim hałasem, z użyciem wszelkich sił, biorą się do tego naginania i łamania, o korzeniach nie myślą, owszem, pielęgnują je skrzętnie, dopomagają im do rozrastania się i wszerz i w głąb: bezsilne wobec anarchistów, okazują swą potęgę na Kościele, który jeden uśmierzyć, powstrzymać może, już nie nadciągającą tylko, ale i huczącą burzę. Nawet znany z lekkomyślności swej *Figaro,* pozbywa się wobec grozy wypadków żartobliwego tonu i zwraca się z naciskiem przeciw dziwnemu temu zaślepieniu:

„Ile razy parlament traci czas na oskarżaniu i miotaniu się przeciw stronnictwu klerykalnemu, tyle razy dynamit, z szczególną, rzec można, ironią, podejmuje się wykazać, gdzie leży prawdziwe, wyłączne niebezpieczeństwo. Kaznodzieje w swych przemowach, biskupi w listach pasterskich, wypowiedzieć mogą

lub napisać kilka zdań niepotrzebnych, nie na czasie, nieroztropnych, ale ostatecznie nieprzyjaźń ich dla Rzeczypospolitej li tylko w słowach znajduje ujście. Nienawiść anarchistów, tych naprzód wysuniętych straży antyklerykalnego wojska, nie ogranicza się, niestety! na tego rodzaju platonicznych manifestacyach. Istotnie, śmiesznem, do zbytku jest śmiesznem, patrzeć i słuchać, jak rząd grozi prawem karnem kilku biednym księżom, ośmielającym się poddać pod krytykę ustawy, z których zresztą wolno każdemu do syta sobie żartować w prasie i na zebraniach publicznych; a jednocześnie widzieć, do jakiego stopnia jest bezwładnym wobec zamachów, które miały miejsce np. na ulicy de Clichy..."

Słowa, piętnujące anarchistów nazwą przedniej straży antyklerykalnego obozu, nie są, zwłaszcza we Francyi, czczym frazesem; zbyt wiele głośnych faktów wykazało w ostatnich tygodniach, jak ścisły związek panuje między „antyklerykałami" — mówiąc właściwiej — „antychrześcijanami" a anarchistami, aby można w tym względzie żywić jakie wątpliwości. Francuscy „antyklerykali", pragnąc osłabić i zatrzeć wrażenie, wywołane papieską encykliką, pragnąc zarazem zwrócić Papieża z raz obranej, a nad wyraz dla siebie niewygodnej drogi, zorganizowali po kościołach, głównie w czasie postnych kazań, cały szereg brutalnych, czasy „komuny" wybitnie przypominających, manifestacyj. W kościele Saint-Méry w Paryżu, w czasie konferencyi o kwestyi socyalnej, przyszło do formalnej bitwy; obecni socyaliści zaintonowali rewolucyjne pieśni; a gdy kaznodzieja, O. Le Moigne, opuścił ambonę, wstąpił na nią młody jakiś komunista, i z patosem wygłaszać i bronić począł anarchistycznych teoryj. Podobne, zgóry przygotowane sceny, odegrały się we wszystkich prawie kościołach równie w Paryżu, jak i na prowincyi: w Marsylii, Roaune, Nancy, Beauvais, w których kaznodzieje, choćby zdaleka, dotknęli kwestyi socyalnej. Manifestanci nie potrzebowali się żenować, nie mieli racyi uciekać się do jakichkolwiek środków ostrożności; wiedzieli przecież doskonale, że rząd robocie ich nie przeszkodzi, a jeśli w danym razie poszle oddział żandarmów przed kościół, to ze ścisłem poleceniem, aby zacho-

wywał się neutralnie, i broń Boże! nie myślał o energicznem jakiem wystąpieniu! Na interpelacye w Izbie odpowiedział cynicznie prezes ministeryum Loubet, że jeśli rozruchy nie ustaną, natenczas dla zapewnienia spokoju, każe odpowiednie kościoły pozamykać. Minister sprawiedliwości znowu rozesłał okólnik, polecający używać wszelkich prawnych środków przeciw kaznodziejom, zakłócającym spokój swemi konferencyami. Wygodny to bez wątpienia sposób; oryginalna kara, wymierzona na sprawców rozruchów, którzy do niczego innego nie dążyli, niczego goręcej nie pragnęli. „Ponieważ dowiedziono — piszą *les Débats* sarkastycznie — że banda złoczyńców wtargnęła do kościoła, połamała krzesła, zdobyła szturmem ambonę i odśpiewała ‚Karmaniolę' pod świętemi sklepieniami świątyni: parlament doszedł do oczywistego wniosku, że kaznodzieje są ludźmi najgorszymi, rewolucyonistami pierwszej wody i że rząd, cokolwiekby czynił, nigdy nie rozwinie dostatecznej energii, aby ich zmusić do spełniania swych obowiązków, lub doprowadzić do milczenia. Zawotowany przez parlament porządek dzienny jest nad wyraz surowy; ukrywa w sobie cały wulkan gróźb przeciw niegodziwym śmiałkom — kaznodziejom. Natomiast napróżno szukamy w nim choć słóweczka przestrogi, odnoszącej się do tych, co łamali krzesła i śpiewali ‚Karmaniolę'".

ANTYKLERYKALNY ZWIĄZEK.

Jakże się dziwić, że wobec takiego postępowania rządu, dolewającego oliwy do ognia, wobec zapewnionej bezkarności, płomień nienawiści przeciw Kościołowi, zręcznie przez lożę od lat tylu podsycany, coraz gwałtowniejszym, szerszym bucha płomieniem? W parlamencie utworzyła się nowa, dotąd pięciu członków licząca grupa, która przybrała sobie charakterystyczną nazwę: „Antyklerykalny związek radykalnych republikanów". Jawnym celem i programem tej grupy: oddziaływanie przeciw akcyi papieskiej we Francyi i otwarta walka z Kościołem. „Opłacany, pod opieką państwową pozostający Kościół — czytamy w manifeście nowego stronnictwa — jest oddawna czynnem ogniskiem wszelkich niechęci i napadów na nowoczesne społeczeństwo... Kościół umie zręcznie zaprzy-

sięgłe swe sługi wynosić na wszelkiego rodzaju państwowe stanowiska; używa znacznej części majątku, należącego do całego kraju, dla utwierdzenia swej potęgi; stara się poddać związki robotnicze pod teokratyczne swe berło, aby członków ich w swych poddanych i niewolników przemienić; chce być panem francuskiej młodzieży, napełnić ją swym duchem i mistycznemi swemi naukami. Taki stan rzeczy trwać dłużej nie może bez szkody dla demokracyi; należy mu koniecznie kres położyć. Nie jesteśmy ani szaleńcami, ani marzycielami; ale dozwolić nie możemy ani na jeden krok wstecz na korzyść tak zwanego „pojednania", które zawsze pozornem, na rzeczywistości nie opartem, musiałoby pozostać. Dozwolić nie możemy na wyciąganie rąk do Watykanu z prośbą o interwencyę w naszych sprawach, co złe tylko pogarsza. Przekonani o konieczności silnej walki władzy państwowej z klerykalizmem, stoimy silnie przy dawno postawionych postulatach radykalnej demokracyi; żądamy równie politycznych, jak społecznych reform, i wzywamy wszystkich republikanów, aby z nami się połączyli".

POLITYKA PAPIEŻA WE FRANCYI.

Pouczający to manifest; lepiej od grubych książek, których nie brakuje już dzisiaj, o papieskiej pojednawczej polityce, poucza on, co o niej sądzić, jak radykalne żywioły febrycznie się jej lękają, i żadnych nie szczędzą starań i środków, aby nie dozwolić jej dalej się rozwinąć. Do tego celu służyć mają skandale, wyprawiane po kościołach, zamykanie niewielu pozostałych jeszcze szpitalów, obsługiwanych przez zakonnice, procesy wytaczane biskupom... Istotnie, wobec tych wszystkich wyzywających kroków, wobec codziennych burd i krzyczących niesprawiedliwości, trudno nieraz o zachowanie zimnej krwi, ciężko francuskim księżom i katolikom stosować się ściśle do rad i napomnień Papieża. Chwile to przejścia, próby, prawdziwie strasznej; od tego, jak tę próbę katolicy francuscy przetrzymają, czy i o ile potrafią pod nowym przez Leona XIII. wytkniętym sztandarem zgodnie się zgromadzić, i odważnie a roztropnie walczyć, zależy przyszłość Kościoła we Francyi na długie, bardzo może długie lata. „Papież — uważa słusznie jeden

z wpływowych dzienników rzymskich — wiedział doskonale, że bezpośrednim skutkiem stanowczego jego wystąpienia w ostatniej encyklice, będzie narazie większy tylko chaos; lecz zarazem ufał i ufa, że niebawem chaos ten się ułoży i wyjdzie z niego katolicka, mniejsza o to, republikańska czy monarchiczna Francya. Dlatego patrzy spokojnie na obecne zamieszanie, jako na smutne, ale konieczne przejście; przysłuchuje się ze smutkiem, ale bez trwogi, szalejącej burzy, która niejedną może zapewne szkodę wyrządzić, lecz ostatecznie powietrze oczyści i jest zapowiedzią długotrwałej i pożądanej pogody".

NOWY KURS W BERLINIE.

Dymisya ministra Zedlitza, usunięcie się Capriviego z posady prezesa pruskiego ministeryum; cofnięcie wniosku szkolnego, do którego wszyscy szczerze wierzący takie w Niemczech przywiązywali nadzieje, który równie Caprivi, jak sam cesarz tak niedawno jeszcze i z taką pewnością siebie, obiecywali bądźcobądź przeprowadzić — to również bez wątpienia niewesołe fakty, również niestety! nie zwycięstwa w walce ducha chrześcijańskiego z pogańskim, chrześcijańskiego społeczeństwa z anarchizmem. Nowy minister wyznań, Bosse, ma być wprawdzie dobrym chrześcijaninem i twardym konserwatystą, niektórzy mówią, że twardszym od Zedlitza; owszem, w programowej swej mowie wyraził się jasno i bez ogródek: „Szkoła winna być, wedle konstytucyi pruskiej, wyznaniową, i wszyscy urzędnicy oświaty publicznej, przedkładający jakiebądź prawo szkolne, muszą się z tem rachować. Co do mnie, pragnę publicznie to oświadczyć: jestem chrześcijaninem, jestem wierzącym i przekonań się mych nie wstydzę". Piękne słowa, ale wobec jednoczesnego pogrzebania prawdziwie chrześcijańskiego prawa szkolnego, dziwnie jakoś brzmiące; wobec sterującego wyraźnie ku liberalnej lewicy nowego prezesa ministrów, hrabiego Eulenburga, nie dające jeszcze bynajmniej dostatecznych gwarancyj na przyszłość.

Tak też zrozumiało Centrum „nowy", raczej „najnowszy kurs" — aby użyć głośnego, do dawnej historyi dziś już należącego wyrażenia cesarza Wilhelma — i dosadnej odpowiedzi na rzą-

dową zmianę frontu w kwestyi szkolnej udzieliło, odmawiając żądanego kredytu na nową korwetę, której cesarz mocno sobie życzył. „Chcemy dobitnie okazać rządowi — oświadczyło Centrum wprost i bez ogródek — że rachować się z nami musi, i głównie dlatego, wiedząc dobrze, że od nas zależy przeważenie szali na tę lub na tamtą stronę, głosujemy przeciw postawionemu przez rząd wnioskowi; jeżeli rząd nie chce nas popierać i życzeń naszych, np. obecnie w kwestyi szkolnej, nie myśli spełniać, to i my żadnej racyi nie mamy okazywać mu szczególnych sympatyj i względów: wracamy ściśle i absolutnie do dawnej naszej polityki wolnej ręki.„ Zwrot ten, ostatnimi wypadkami spowodowany, zaznaczył z szczególną siłą jeden z głównych przewódców niemieckich katolików, Schorlemer-Alst, w mowie, wypowiedzianej w Essen:

„Projekt szkolny — mówił doświadczony katolicki szermierz — wywołał formalną rewolucyę, a przecież nie oddawał on nam tego nawet, co niezaprzeczenie mieliśmy aż do r. 1872; nie odpowiadał słusznym naszym domaganiom się. Wszyscy liberali wszelkich odcieni, od Bennigsena aż do Bebla, zawarli między sobą sojusz i ruszyli do boju w zwartych szeregach. Dokąd tego rodzaju akcya doprowadzić może? Może doprowadzić i do rzeczypospolitej, ale w dniu, w którym rzeczpospolita zostanie ogłoszoną, prezydentem jej zostanie jednocześnie ogłoszony socyalista... Lud nie wziął udziału w ruchu przeciwko chrześcijańskiej szkole; walkę rozpoczęło i prowadziło mieszczaństwo; w tem też nadzieja nasza, że lud mamy po swojej stronie. Czy ostatnie wypadki wpłyną na zmianę ogólnej polityki względem katolików? Wątpię; w każdym razie należy nam odtąd postępować z wielką roztropnością, z usprawiedliwionem niedowierzaniem, bo zbytek dobrodusznej ufności obraca się tylko na naszą niekorzyść. Zachowujmy wiernie wspaniałe tradycye, przekazane nam przez Windthorsta. O rozbrojeniu naszem mowy być nie może; znamy naszą potęgę, a w danej chwili potrafimy ją okazać i przekonać wszystkich, przychylnych czy przeciwników, że muszą z nami się liczyć“.

KWESTYA SZKOLNA W AUSTRYI. Kwestya szkoły katolickiej w Austryi przeniosła się z wiedeńskiego parlamentu, gdzie na pomyślne rozwiązanie chwilowo liczyć nie mogła, do sejmów krajowych. We Lwowie poruszył tę sprawę ksiądz Kowalski i wybornie odpowiedział na zarzuty, które u nas przeciw szkole wyznaniowej tak często, z tak rozmaitych, a dla Kościoła z pewnością nie wrogo usposobionych ust, słyszeć się dają:

Zarzuci mi kto: Ależ tak źle nie jest: w naszym kraju ma Kościół odpowiedni wpływ na publiczne wychowanie. Tak, ale tylko tak długo, jak długo obecny rząd kieruje sprawami państwa, tak długo niema niebezpieczeństwa dla katolików. Ale coby się stało, gdyby dzisiejszy rząd musiał ustąpić? a trafia to się dość często. Ustępujący rząd nie zabierze przecie ze sobą ustaw, nie zniszczy ich i nie spali. Ustawy pozostaną ustawami i nie stracą nic na swej mocy obowiązującej. Ale proszę się zastanowić nad tą ewentualnością, gdyby do steru rządów przyszli członkowie pewnej partyi dziś przyczajonej, a będącej obecnie w mniejszości, coby się wtedy stało z naszemi szkołami, co z nami katolikami? Zarzuci kto: Toż przecie przed Duchowieństwem nie zamknięte podwoje szkolne, nakazuje się nawet uczyć katechizmu, czy to jednę, czy dwie godziny tygodniowo. Taż to dostateczny wpływ religii. Pedagogia ludów inaczej tę rzecz pojmuje, a wspomnę tutaj słowa rektora p. Balasitsa przy inauguracyi nowego roku szkolnego w uniwersytecie, zwrócone do książąt Kościoła: „Niech Wasza obecność tu zaświadczy jawnie, silnie i dobitnie, jak pojmujemy stosunek nauki do wiary i etyki, że ich dziedzina dla nas święta i nietykalna, że nasz pierwszy wydział, nauce religii katolickiej poświęcony, pozostaje w zgodzie i harmonii z wydziałami świeckimi“. Cześć mu za te słowa, za to dosadne przedstawienie koniecznej harmonii i tego równego koniecznego wpływu. Jeżeli mi zaś kto powie, że wpływ religii nie mieści w sobie pojęcia o mieszaniu się Duchowieństwa w wewnętrzne sprawy szkolnictwa, to mu odpowiem, że przecież byłoby dobrze, aby jakiś wyższy członek duchowieństwa miał sposobność przeglądania rękopisów książek szkolnych przed oddaniem ich do druku, a pewnie nie znalazłby się w elementarzu taki błąd, jak: że w 40 dni po Wielkiejnocy przypadają Zielone Święta. To drobnostka, ale może wywołać u dziecka zamieszanie pojęć...

Wniosku nie stawiam żadnego, a to ze względu na polityczne stosunki; ale słowa moje niech będą przestrogą, póki czas, póki wrota

naszego kraju jeszcze nie otwarte dla zamachów przewrotu, póki nauki nowych porządków, a właściwie nieporządków, nie zaraziły jeszcze naszego ludu. A jeśli jeszcze tak jest, to nie nasza zasługa, ale zasługa samego ludu, który parafrazując słowa „Przedświtu", jeszcze „wierny Bogu wiernemu" i nie stracił swej żywej wiary.

Sejmy: tyrolski i górno-austryacki mogły pójść, na szczęście dla siebie, dalej: nie zadowolniały się samą tylko „przestrogą", samem wyrażeniem życzeń jednego lub kilku posłów, rozumiejących potrzeby swego kraju i czasu. Równie w Innsbrucku, jak w Lincu, większość katolicka, nie zważając na gromy, którymi wiedeńska liberalna prasa bardzo hojnie ciskała na „czarnych wstecznikówˮ, „niegodziwych obskurantówˮ, przyjęła parę nowel szkolnych, nie zadawalniających bez wątpienia usprawiedliwionych żądań katolickich rodzin, ale zaradzających najwybitniejszym przynajmniej brakom i potrzebom. Tyrolczycy osiągnęli w ostatniej uchwale sejmowej wszystko, co tylko w ramach ogólnie obowiązujących ustaw osiągnąć byli w stanie dla swojego kraju; a tak — jak słusznie na to zwrócono uwagę — nowa tyrolska ustawa służyć może za wzór dla innych krajów koronnych, pragnących mieć również, o ile w dzisiejszych warunkach to jest możliwem, prawdziwie katolicką szkołę. W Lincu, lewica, widząc zgóry niechybną klęskę, nie chciała wziąć nawet udziału w szczegółowej rozprawie i ostentacyjnie wstrzymała się od głosowania. Biskup Lincu, dr. Doppelbauer, wypowiedział w czasie tych rozpraw wspaniałą mowę, przypominającą najświetniejsze wystąpienie nieodżałowanego biskupa Rudigiera, z prawdziwie apostolską śmiałością napiętnował najważniejsze braki i niedostatki austryackiego prawodawstwa szkolnego. Na prawodawstwo to zgodzić się nie może i nigdy się nie zgodzi katolickie sumienie; katolikowi biskupowi nie wolno się nań podpisać. Paragraf, w którym cały dozór nad szkołami, nad nauką, wychowaniem, oddany jest wyłącznie państwu, jest poprostu czemś monstrualnem; zawiera w sobie najzupełniejsze zaparcie się chrześcijaństwa. Należyte wychowanie dzieci zależy w pierwszej linii od nauczyciela; jakże nauczyciel-żyd, nauczyciel-niedowiarek, kształcić może dzieci w duchu religijno-mo-

ralnym, wychowywać je na dobrych chrześcijan? Chcemy się przeciw socyalizmowi bronić, to przedewszystkiem starajmy się o chrześcijańską szkołę. Chcemy być dobrymi patryotami, pamiętajmy, że religia jest najsilniejszą podporą, najpotężniejszą dźwignią prawdziwego patryotyzmu".

Mowę tę przyjęła prawica entuzyastycznymi oklaskami. Lewica pociesza się kilku dwuznacznemi wyrażeniami namiestnika, i nie traci otuchy, jak w Innsbrucku, tak w Lincu, że rząd wiedeński odmówi sankcyi uchwalonym nowelom. Wierzyć trudno, aby nadzieje te spełnić się miały; byłby to zanadto dotkliwy, zanadto niepolityczny, bo niepotrzebny cios, wymierzony ludności, która bądźcobądź stanowi sam najzdrowszy rdzeń austryackiej monarchii!

Ks. Jan Badeni.

Przyjęcie Gregoryańskiego kalendarza

przez pewną część Ormiańskiego narodu.

Ksiądz biskup Azarian, patryarcha Cylicyi, oraz duchowny i świecki zwierzchnik Ormian-katolików, korzystając z pobytu w Konstantynopolu wszystkich biskupów swego patryarchatu, którzy w czerwcu 1890 roku zebrali się tam na synod powszechny, zaproponował im przyjęcie nowego kalendarza. Synod zgodził się jednogłośnie na tę propozycyę, pozostawiając do woli biskupów czas i sposób wprowadzenia Gregoryańskiego kalendarza w swoich dyecezyach.

Arcybiskup Melityński, oraz biskupi z Angory i Brussy, zastosowali nowy kalendarz w swoich dyecezyach nazajutrz po Trzech Królach, to jest d. 7 stycznia podług starego stylu, który się stał dniem 19 tegoż miesiąca 1891 roku. Tym sposobem opuszczono cały tydzień postu, i po oktawie Trzech Królów pominięto poprostu w tym roku uroczystości: św. Jana Chrzciciela, św. Piotra Patryarchy, św. Absalona Dyakona i św. Pawła Pustelnika. Prasa ormiańska i grecka nie okazała z tego powodu najmniejszego niezadowolenia, ale natomiast dziennikar-

stwo „europejskie“ w Konstantynopolu tak ostro napadło na tę szczęśliwą zmianę, że w trzech innych dyecezyach: Cezarejskiej, Erzerumskiej i Trebizondzkiej, jak również wśród Ormian zamieszkałych w Konstantynopolu, trzeba było ją odroczyć. Odroczenie to tem bardziej zasługuje na pożałowanie, że połowa dyecezyj, należących do katolickiego Ormiańskiego patryarchatu, przyjęła już kalendarz Gregoryański przed laty trzydziestu, a synod z r. 1890 chciał tylko położyć koniec tak anormalnemu stosunkowi, jakim jest podwójny kalendarz u ludów tegoż samego wyznania i narodowości.

Polacy w Chicago

wedle chicagowskich gazet.

Wiadomo, że jeśli gdzie w Stanach Zjednoczonych, to w Chicago, Polacy stanowią zwartą, liczną kolonię; wedle skromnych obliczeń, cyfra ich dochodzi co najmniej do 80.000, a wielu sądzi, że daleko więcej. Dość powiedzieć, że znajduje się tu ośm polskich parafij, między temi jedna kaszubska, a parafie to liczne, po dziesięć, bywa że i po więcej tysięcy parafian. Niestety! jak sami Polacy w listach swych, sprawozdaniach i gazetach przyznają, jeżeli na materyalny stan nieraz skarżyć się nie mogą, to o moralnym wiele, bardzo wiele, i to wcale niewesołych, rzeczy byłoby do opowiadania. „Bójki, morderstwa — czytam w rękopiśmiennem sprawozdaniu jednego z chicagowskich naszych wychodźców — są tu na porządku dziennym; kradzieże, oszukaństwa, wydaje się czasem, jakby nie hańbiły. Dzieci wychowane na ulicy; nie dziw, że później tak straszny procent dziewczyn schodzi na ulicznice; że lada wyrostek, który przywykł za nic sobie mieć rodziców i starszych, przywykł do pochłaniania olbrzymiej masy piwa i wódki, rwie się o byleco do pięści, do noża, zapoznaje się zbyt często, czasem i nazbyt długo, z więziennemi kazamatami. Z połowa pewnie chicagowskich Polaków nie uczęszcza prawie zupełnie do kościołów; wogóle, ‚zamerykanieli‘ Polacy zapominają równie o swej wierze, jak o języku, jak o narodowości. Mowa angielska ‚fajniejsza‘; drugie, trzecie pokolenie już zwykle tylko tej ‚fajniejszej‘ mowy używa; bywa, że dzieci, mówiące tylko po ‚amerykańsku‘, jak żargon swój nazywają, z największą biedą porozumiewają się z własnymi rodzicami“...

Czarny to obraz, a choć wcale nie wszyscy wychodźcy równie posępnie na stosunki te się zapatrują, to wyznać należy, że czarna barwa największą, zazwyczaj znacznie przeważającą, rolę w opisach ich zajmuje. Polskie gazety chicagowskie rzadko kiedy kuszą się o ogólniejszy jaki zarys, boją się może, aby zbyt niepochlebnie nie wypadł; z oderwanych wszakże kronikarskich wzmianek, krótkich artykulików, a najbardziej i przedewszystkiem z tonu, panującego w gęstych, „amerykańskich“ polemikach, może już sobie uważny czytelnik sam niewesołą piosneczkę ułożyć. A inne gazety, nie-polskie, czy i co mówią o polskich swych współobywatelach? jakie mają o nich zdanie? Pytanie to tem ciekawsze, że odpowiedź na nie odsłoniłaby nam choć w części, co wogóle Amerykanie sądzą o polskich emigrantach, a kwestya to bądźcobądź mająca prawo do pewnego zainteresowania nas, kwestya mająca nietylko teoretyczne, lecz w wysokim stopniu i praktyczne znaczenie. O jakkolwiek wyczerpującą odpowiedź, zwłaszcza wobec niezmiernej, niekończącej się liczby choćby samych tylko pism chicagowskich, kusić się trudno; w braku dokładniejszych wskazówek, przepiszmy parę ustępów, zebranych w jednym z ostatnich numerów *Gazety polskiej w Chicago* [1]. Odnośny artykuł pisany jeszcze stosunkowo poprawnym, czystym językiem, i bardzo dobrzeby było, gdyby *Gazeta polska* zawsze równie czysto po polsku mówiła. Pewnych, przyjętych powszechnie w polsko-amerykańskiej prasie wyrażeń, pewnych zwrotów, a nawet pewnych gramatycznych błędów, z umysłu nie zmieniamy, aby nie odebrać temu sprawozdaniu oryginalnego, polsko-amerykańskiego smaczku:

„Pod nagłówkiem: ‚Polska kolonia w Chicago‘, podaje ‚Chicago Times‘ z niedzieli, 21 lutego, dłuższy szkic o Polakach w Chicago. Nie pierwszy to raz, że obco-językowe a zwłaszcza angielsko-amerykańskie gazety zajmują się Polakami amerykańskiemi, zwłaszcza tymi, którzy przebywają w teraźniejszej szesnastej wardzie. Tak np. około

[1] *Gazeta polska w Chicago*, pismo ludowe dla Polonii w Ameryce; nr. 8 z 25 lutego b. r. Czasopismo to, „najstarsze w Stanach Zjednoczonych“, jak na każdym numerze tuż obok tytułu tłustemi głoskami jest wypisane, wychodzi co czwartek, pod redakcyą bardzo rzutkiego księgarza, drukarza, a przytem i redaktora, W. Dyniewicza. Znakomity to *bissnessista*, któremu wartoby kiedy osobną sylwetkę poświęcić; pieniądze umie po mistrzowsku zbierać, szkoda natomiast, że po polsku bardzo już wiele zapomniał, a ztąd niejeden artykuł, zwłaszcza mniejsze artykuliki, pisane są niemożliwym żargonem.

6 lat temu podał ‚Herald' dość obszerne, chociaż nie koniecznie rzetelne sprawozdanie o tutejszych Polakach (reporterem był niejaki Sullivan), później ‚Daily News' podały dane zebrane przez reportera R....., Polaka. Później pod tym samym względem odezwała się niemiecka ‚Staatszeitung', nareszcie ‚Tribune' a obecnie ‚Times'. Wszystkie sprawozdania były albo są mniej lub więcej mylnemi pod różnemi względami. Tak np. nie rozumiemy, jak ‚Times' może liczyć do wybitniejszych Polaków ludzi, którzy się nie odznaczyli niczem, coby dążyło do polepszenia dobrobytu tutejszej Polonii, a których nazwa dopiero w ostatnich czasach nabrała cokolwiek blasku. Lecz mniejsza o to.

„‚Times' wspomina po krótce o historyi Polski w ogóle, o charakterze i cnotach dawniejszych Polaków, o formie rządu w Polsce, o walkach z Teutonami, Krzyżakami, Tartarami, Niemcami i Mongołami, o Bolesławach i Kaźmierzach, o unii lubelskiej, o Jadwidze i Jagielle; o Mikołaju Koperniku, o ‚pacta conventa', o ‚liberum veto' i t. d. Dalej następuje krótki opis tryumfów Polski w wojnach z Szwedami, Tartarami, kozakami, Turkami itd. Chwalebną wzmiankę znajdują Stefan Batory, Jan Sobieski, Jan Zamojski, Augustyn Kordecki, obrońca Częstochowy, Chodkiewicz i Czarniecki. ‚Times' dodaje, że opis zajść za czasów wyżej wspomnianych mężów można znaleźć w dziełach Henryka Sienkiewicza: ‚Ogniem i mieczem' i ‚Potop', które to dzieła nie dawno temu zostały przetłómaczone na język angielski przez Jeremiasza Curtin.

„Następuje krótki opis odsieczy Wiednia i późniejszej niewdzięczności Austryaków, łączących się z Prusakami i Moskalami na zgubę Polski, pierwszego i drugiego podziału Polski, o konstytucyi 3-go Maja i t. d. W zakończeniu opiewa ‚Times', że Europa nie stałaby teraz w obec kwestyi rosyjskiej, gdyby Polska nie była utraciła niepodległości, dalej po krótce nadmienia powstania z r. 1830, 1848 i 1863. (Artykuł był pisany przez pana Maxa Drzymała).

„Następuje opis Polaków w Chicago, kolonii w 16tej wardzie; przy Paulina i 17ul., przy 31 i Laurel ulic. Wzmianka jest dalej o kościele św. Stanisława Kostki, o pierwszych osadnikach w Chicago, o księdzu Juszkiewiczu, o dalszej emigracyi po r. 1864; o tem, że obecnie jest 8 kościołów polskich, i że gmina przy kościele św. Stanisława Kostki jest największą nie tylko w Chicago, ale i w całym świecie.

„‚Times' podaje następnie bliższy opis kościoła św. Stanisława K., opis starego kościoła, plebanii, mieszkania Sióstr i nowej szkoły przy Bradley ulicy. Przy opisie kościoła wspomina artykuł o ks. W.

Barzyńskim, o ks. Szymonie Kobrzyńskim; o kolegium dla chłopców i kolegium dla dziewcząt przy W. Division ulicy, które pozostaje pod opieką Sióstr Nazaretanek i o tamże położonym zakładzie dla sierót. Następuje opis parafii św. Maryi Nieustannej pomocy i kościoła na 31szej i Laurel ulicy, przy której to sposobności jest wzmianka o księże *(sic)* Nawrockim. Dalej następuje wzmianka o kościele św. Józafata na Southport ave. i o ks. Lange, o kościele św. Józefa w Lake i rektorze tegoż ks. Józefie Barzyńskim, o kościele św. Kaźmierza, o księdza *(sic)* Żyłła o ks. Pyplatz i o ks. Kroll, który ma zostać rektorem przy mającym się budować kościele w South Chicago.

„Następuje wzmianka o Zjednoczeniu R. P. Katolickiem i o Związku Narodowym, o p. Piotrze Kiołbasie, Janie Manna, Antonim Małłek i cenzorze Przybyszewskim z Bay City, o wydawnictwie ‚Wiary i Ojczyzny' i ‚Dziennika Chicagoskiego', o ks. Domagalskim i ks. Gordonie, o ‚Zgodzie' i pp. Sataleckim i Nickim, o ‚Gazecie Polskiej' i ‚Tygodniku Powieściowo-Naukowym', wydawanych przez p. W. Dyniewicza[1], o ‚Gazecie Katolickiej' i ‚Dniu Świętym', wydawanych przez p. W. Smulskiego, o ‚Nowem życiu' i Reformie (redaktorzy pp. Wild i Nagiel). Dalej jest wzmianka o projekcie pomnika Kościuszki i o mających się budować dwóch halach polskich, o Klubie Młodzieży Polskiej i o Towarzystwie ‚Chóru Śpiewu Szopena'. Dalej podaje ‚Times' krótkie życiorysy pp. Dyniewicza, St. Szwajkarta, Wł. Smulskiego, J. Smulskiego, P. Kiołbassa, Zbigniewa Brodowskiego, Wiktora Bardońskiego. Następuje krótka wzmianka o pp. J. Dziewior, A. Szultz, J. Kortas, F. Wleklińskim, A. Sowińskim, J. Szerman, A. Szerman, Maksymilianie Drzymała, dr. Rewkowskim, o doktorach: Ostrowskim, Kossakowskim, Midowiczu, Czerniewskim, o aptekarzach Xelowskim i A. Szwajkarcie; o Janie Kwasigroch, kupcu Durskim, o K. Stachowskim, Fr. Wleklińskim, L. Kadowie i Wojciechu Jendrzejek.

„Artykuł jest ozdobiony niekoniecznie trafnemi rycinami P. Kiołbassa, J. A. Kwasigroch, ks. Radziejewskiego, Jana Szerman, Wł. Dyniewicza, ks. W. Barzyńskiego, ks. Szymona Kobrzyńskiego, ks. Nawrockiego, J. Dahlmana, J. Smulskiego, Wł. Smulskiego, St. Szwajkarta, Dr. K. Rewkowskiego, Maksymiliana Drzymała, W. Bardoń-

[1] Tytuły gazet p. Dyniewicza, wydrukowane w *Gazecie Polskiej* rozstrzelonemi głoskami.

skiego, szkoły przy kościele św. Stanisława Kostki, kościoła św. Maryi Nieustannej Pomocy, Szwajkart block'u (Noble i Blackhawk) i zakładu dla sierot przy W. Division ul."

Katolicyzm w Ameryce.

Pan J. M. Lucey, współpracownik dziennika *The New York Freeman's Journal,* podaje nader ciekawe szczegóły o rozwoju katolicyzmu w Stanach Zjednoczonych w ciągu ubiegłego roku. Oto co czytamy w jego sprawozdaniu:

W r. 1891 Kościół katolicki w Stanach Zjednoczonych ogromne zrobił postępy, daleko bowiem znaczniejsza ilość osób przeszła na łono katolicyzmu, niż przedtem w przeciągu lat kilku. Wyniki roku zeszłego przekonywają wymownie, że religia katolicka, w niektórych zwłaszcza zakątkach tej krainy, olbrzymim posuwa się krokiem. Taki stan rzeczy z różnorodnych wypływa przyczyn, ale bądźcobądź fakt niezwykłego postępu wiary św. nie da się zaprzeczyć. Na szczególną uwagę zasługują liczne nawrócenia adeptów innych wyznań, a między innymi judaizmu, z których wielu zapragnęło nawet zostać przyjętymi do seminaryów katolickich. Największej cyfry nawróconych dostarczyły zachodnie i południowe prowincye Stanów Zjednoczonych. Jestto zasłużona nagroda gorliwych trudów i poświęceń ewangelicznych pracowników.

W danej chwili Stany Zjednoczone mają jednego kardynała, 12 arcybiskupów, 70 biskupów, 5 wikaryuszów apostolskich, 1 prefekta apostolskiego, 8 infułatów i 1 opata, oprócz wielu innych znakomitych kapłanów, reprezentujących Kościół katolicki. Hierarchia kościelna jest już ustanowioną we wszystkich dzielnicach tej krainy, nie wyłączając Aloski i Kolumbijskiego powiatu. Kraj ten posiada obecnie około 90 dyecezyj, przeszło 9000 zakonników i księży świeckich, 8000 świątyń, 40 seminaryów kapłańskich, 125 kolegiów, oraz 650 klasztorów i zakładów naukowych dla kobiet, które w mniej lub więcej kwitnącym znajdują się stanie. Nadto istnieje tam około 4000 elementarnych i parafialnych szkółek, kierowanych przez nauczycieli lub nauczycielki. Wogóle około 805.000 młodzieży płci obojej kształci się w tamtejszych katolickich zakładach naukowych.

Podług statystyki miejscowej, cyfra katolickiej ludności w Stanach Zjednoczonych wynosi $9^1/_2$ miliona, w rzeczywistości jednak dochodzi ona do 10 milionów.

Głównem ogniskiem katolickiej wiedzy jest uniwersytet w Waszyngtonie, który kosztował milion dolarów. Wkrótce prawdopodobnie otwartą zostanie druga katolicka *Alma mater* w St. Paul w Minnesocie. JEm. kardynał Gibbons i ks. arcybiskup Ireland mogą słusznie się chlubić swemi katolickiemi wszechnicami. Podług najnowszych obrachowań, ilość Indyan-katolików w tym kraju dochodzi do 100.000, religijne zaś ich potrzeby zaopatruje stu kilkudziesięciu kapłanów. Czerwonoskórzy mają tam 125 świątyń, a w 75 szkołach kształci się około 5000 indyjskich dzieci. Nadto krainę tę zamieszkuje przeszło 200.000 Murzynów-katolików. Mają oni na swój wyłączny użytek przeszło 100 kościołów, 150 szkół, do których uczęszcza 7500 uczniów, 25 ochronek i kilka innych zakładów dobroczynnych. Duchowne kierownictwo murzyńskiej-katolickiej ludności zostało powierzonem przeszło stu kapłanom, w liczbie których znajduje się dwóch niedawno wyświęconych Murzynów. Nadto w seminaryum Baltimorskiem kształci się kilkunastu alumnów murzyńskiego pochodzenia. Dotąd jest jeszcze, niestety, około 5,000.000 Murzynów nieochrzczonych i pozbawionych wszelkiego religijnego kierownictwa.

Najkorzystniej pod względem religijnego oświecenia Murzynów przedstawia się archidyecezya Nowojorska; ochronka w Westchester-County, kierowana przez zakonnice Murzynki, należy do najlepszych zakładów tego rodzaju.

Wogóle Stany Zjednoczone liczą w danej chwili około 700 dobroczynnych instytucyj, zostających pod kierunkiem katolickiego Kościoła. Najbardziej znanem i rozpowszechnionem jest Towarzystwo św. Wincentego à Paulo, istniejące w rozmaitych miastach i rozleglejszych parafiach wiejskich. Towarzystwo to, chociaż złożone wyłącznie z osób świeckich, uznaje nad sobą naczelną juryzdykcyę katolickiego Kościoła. Również licznemi we wszystkich niemal prowincyach są przytuliska dla podrzutków, ochronki i szpitale, w których chorzy, ułomni i starcy płci obojej znajdują troskliwą pieczę zacnych i niezmordowanych zakonnic. Wreszcie nader wielki pożytek przynoszą zakłady poprawcze, w których młodzież dotychczas zaniedbana wyrabia się pod kierunkiem głęboko religijnych nauczycieli na uczciwych i użytecznych członków społeczeństwa.

Najbardziej jednak charakterystycznym rysem rozwoju katolickiego Kościoła w tym kraju są nader liczne cudzoziemskie chrześcijańskie gminy, zaopatrzone w kapłanów tejże samej narodowości. Ormianie, Syryjczycy, Arabowie, Maronici i t. p. mają licznych swych przedstawicieli w katolickim amerykańskim Kościele. Francuzi, Włosi i Niemcy posiadają też wiele parafij, założonych po większej części wpobliżu rezydencyj biskupich. O polskich parafiach należałoby nam obszerniej pomówić, i spodziewamy się, że niezadługo — nie mówiąc już o krótkiej notatce o Polakach w Chicago, w tym samym numerze zamieszczonej — będziemy mogli z tego obowiązku, choć w pewnej mierze, się wywiązać.

Druk ukończony 29 kwietnia 1892 r.

KS. STANISŁAW SOKOŁOWSKI.

Studyum do dziejów kaznodziejstwa XVI. wieku.

Świetne czasy panowania Stefana Batorego były też świetnym okresem literatury polskiej. Dziesięć lat, przez które nam panował Stefan — to jakby streszczenie wieku XVI. W tych czasach najznakomitsi nasi pisarze albo rozwijają w całej pełni swoją działalność, albo też tu ją zacząwszy, przedłużają jeszcze poza panowanie Stefana Batorego złoty okres polskiej literatury. Kochanowski około r. 1579 i 80 stoi na szczycie swej chwały. W r. 1578 już po raz trzeci wyszedł jego Psałterz, dzieło, którem się chlubić będziemy zawsze, a tem bardziej chlubić się mogły owe czasy. W tym też czasie śmierć córeczki naszego poety wywołała z jego lutni tony tak rozdzierające boleścią, tak wielkiem bijące uczuciem i tak zachwycająco rzewne, że podziwiać musieli wszyscy tę giętkość dziwną języka, który skalą swoją tak potężne a tak różne uczucia objąć potrafił. Na Litwie i w Inflantach rozbrzmiewał tymczasem głos potężnego kaznodziei, „drugiego Eliasza proroka“, wielkiego Skargi — i budził podziw we wszystkich, bo też „ogniste jego słowa jak pochodnia gorzały“ (Birkowski). Jako wielki wódz partyi katolickiej, piorunuje on przeciw heretykom i konfederacyi z r. 1573, i wzywa wszystkich do pokuty. W r. 1577 wychodzi w Wilnie jego dzieło: „O jedności Kościoła Bożego pod jednym pasterzem“; a zaraz w r. 1579 drukują się również w Wilnie jego „Żywoty Świętych

Starego i Nowego Zakonu". W r. 1582 pojawia się jego „Siedem filarów, na których stoi katolicka nauka o Przenajświętszym Sakramencie Ołtarza". Wreszcie w r. 1584 przybywa wielki kaznodzieja do Krakowa, a ztąd rozlega się głos jego natchniony po całym kraju.

Wskazawszy te dwa potężne światła, nie potrzebujemy wspominać o Wujkach, Białobrzeskich, Powodowskich i innych, którzy słynęli z kaznodziejskiej wymowy w tym czasie. A i na innych polach wysoko stała oświata Polski, podniecana ręką uczonego i w naukach rozmiłowanego króla. Nic dziwnego, że za armatami na wojnę ciągniono prasy drukarskie, że król interesuje się dziełami znakomitszych pisarzy, zajmuje się ich wydaniem, a nawet poprawia rękopis Heidensteina — bo ruch naukowy w gwałtownym biegu swoim porywał wszystko i wszystkich, ognisko się bujnie rozpaliło i płomień potężny zapalał albo przynajmniej rozgrzewał wszystko wokoło. Świetne to były czasy w historyi i literaturze polskiej! Z dumą przeglądamy te kartki z dziejów naszych.

A kiedy tak wielkie w Polsce bije światło nauki, kiedy z taką siłą proroków przemawiają kaznodzieje polscy — legat papieski w Polsce, Bolognetti, pisze w liście do Rzymu: *Tria vidi in Polonia mirabilia: Stephanum regem sapientissimum, Zamoscium Cancellarium prudentissimum, et Socolovium contionatorem prope divinum.*

Jeżeli w tym świetnym okresie naszej literatury, a mianowicie wymowy kaznodziejskiej, zasłużył jaki kaznodzieja na to, by powiedziano o nim, że on jest tem między kaznodziejami, czem był król Stefan między monarchami, Zamojski między mężami stanu i hetmanami — to jasnym on musiał bić w oczy blaskiem, to porywającą chyba musiała być jego wymowa. Tak każe wnioskować prosta logika — takby więc też należało wnioskować o ks. Sokołowskim, kaznodziei na dworze Stefana Batorego. Tymczasem postać ta tak mało znana, że i literaci z zawodu mało nam o niej powiedzieć mogą i na sąd stanowczy o niej się nie odważą. Niewiele słyszymy o ks. Sokołowskim, a w tem co słyszymy, często jeszcze spotykamy błędy. Pisze

się o nim np., że był kaznodzieją nadwornym Zygmunta III.[1], wolno i Wiszniewskiemu mylne podawać wiadomości o jego dziełach[2] — a nikt się o to nie upomni, bo niewiele o nim wiedząc, przyjmujemy wszystko z wdzięcznością, co nam drudzy podają. Warto więc rozpatrzyć się w jego dziełach, których jest dosyć dużo (dwa wielkie tomy in folio, po łacinie), mianowicie zaś w jego kazaniach. Wprzód jednak naszkicujmy, o ile nam źródła pozwolą, krótki rys jego życia. Posłuży nam to do lepszego zrozumienia stanowiska, jakie ks. Sokołowski w dziejach ruchu religijnego XVI. wieku u nas zajmuje[3].

Ks. Stanisław Sokołowski może posłużyć za przykład, czego potrafi dokazać wytrwała praca przy nieskazitelności życia i nieposzlakowanym charakterze. Przez nią to, i przez nią prawie jedynie, zdobył on sobie stanowisko niepospolite między współczesnymi, a zdobył je pomimo wielu trudności, które przełamywać trzeba było z niemałym hartem od pierwszych prawie lat życia. Samo już urodzenie było dla niego źródłem upokorzeń. Przyszedł na świat w Krakowie[4], z rodziców nieznanych, niepołączonych związkiem małżeńskim; nic też dziwnego, że nigdy i nigdzie o pochodzeniu swojem nie mówi, tem większą za to okazując wdzięczność tym, którzy go przygarnęli i otoczyli rodzicielską prawie opieką. Czytając kazanie o Sokołowskim, w ro-

[1] „Pamiątka 700-letniej rocznicy założenia kościoła i kollegiaty św. Floryana". Odbitka z *Przeglądu kościelnego*.

[2] Wiszniewski, „Literatura", t. VI., str. 213. Wiadomość o *Censura orientalis Ecclesiae* jest mylna. O tem niżej.

[3] Szczegóły te, o ile można było je zebrać, notujemy tu tem skrzętniej, że niektóre pierwszy raz się ukażą w druku. Zaczerpnięte one są po większej części z odpisu korespondencyj ks. Sokołowskiego, znajdujących się w Bibliotece Jagiellońskiej; szczegóły zaś o pochodzeniu ks. Sokołowskiego i nobilitacyi, z Metryki koronnej. Inne źródła cytowane w odpowiedniem miejscu.

[4] Birkowski, *Anniversarium Stan. Socolovii*. Mowa to pochwalna, powiedziana przez ks. Birkowskiego w pierwszą rocznicę śmierci ks. Sokołowskiego, a drukowana w zbiorze kazań łacińskich ks. Birkowskiego, w Krakowie 1622.

cznicę jego śmierci przez ks. Birkowskiego wygłoszone, zadziwić może, że mowca pomija milczeniem jego pochodzenie, chociaż wspomina zaszczytnie miejsce urodzenia. Gdyby nie dokument legitymacyi Sokołowskiego w Metryce koronnej, pochodzenie jego musiałoby zostać zupełną zagadką[1]. Data jego urodzenia da się prawie na pewno oznaczyć. Jednozgodnie bowiem podają jako wiek jego życia 56 lat, a jako rok śmierci początek r. 1593. A więc urodziłby się r. 1537.

Współcześni pisarze, opisując Sokołowskiego, przedstawiają go jako człowieka wcale nie ujmującej powierzchowności. Wzrostu był miernego, o śniadej cerze i okrągłej twarzy, a w dodatku miał garb na plecach[2]. Istotny to był Silenus — powiada Starowolski. Przypuścić możemy na pewno, że człowiek tak brzydki i prawie odrażający w męskich latach, nie mógł być zapewne i dzieckiem powabnem. Ale „za szczęśliwego może być poczytany z tego tytułu (mówi Birkowski), że się urodził w tem najpiękniejszem mieście — Krakowie. Za największą sobie to może poczytać chwałę wzniosły on teolog, boski Sokołowski, że narodziny jego oglądał Kraków — najwspanialsza stolica królów, jedyne i najbujniejsze ognisko nauk".

Nie wiemy, czy jego matka lub też ojciec, jeśli on wogóle o nim wiedział, poczuwali się do obowiązku, by zajmować się losem syna; ale zdaje się, że nie. To pewna, że jeśli gdzie, to w Krakowie, w którym tylu było żaków szkolnych, mógł sierota opuszczony, a chciwy nauki, uczęszczać do szkoły, pożywiwszy się jakotako u furty którego klasztoru; a nietrudno mu też było znaleść jakiego dobroczyńcę, który go w najkonieczniejsze potrzeby życia zaopatrzył. W ten też sposób Sokołowski szukał zapewne nauki w szkołach krakowskich.

---

[1] „Quia licet Stanislaus Sokołowski Academiae Cracoviensis artium magister extra matrimonium ex concubina seu soluta muliere illegitime natus esse, et ita defectum natalium pati dicatur, et propterea nomini, existimationi et moribus eius non parum decedere videatur" etc. — Metr. 110, f. 56.

[2] Opis ten zgadza się z portretem, jak się zdaje, za życia Sokołowskiego robionym, który wisi obecnie w kaplicy M. Boskiej Bolesnej w kościele św. Floryana na Kleparzu.

Birkowski znów się tu nie może powstrzymać w swym panegiryku, by nie nazwać go szczęśliwym, że ssał piersi tej matki, która go zrodziła, że w tym Krakowie karmił się nauką, gdzie ujrzał światło dzienne. A to, co mówi o jego niezmordowanej pracy już w tym młodziutkim wieku i o większem zamiłowaniu w nauce, aniżeli w zabawach, całkiem trafia do naszego przekonania. Pracowity musiał to być młodzieniaszek, ale trudno mu było zapewne znaleść dobrodzieja, któryby robił większe na niego nakłady. Tem też chyba wytłumaczyć należy, że stosunkowo tak późno skończył nauki akademickie.

W metryce akademickiej pod r. 1551, w półroczu zimowem, jest wpisany: *Stanislaus Stanislai de Sokolow,* z dyecezyi, której niepodobna odczytać. Toby przemawiało za tem, że nasz Sokołowski już w r. 1551 zapisuje się *in album Almae Matris.* Tem bardziej, że i Skarga, który się zapisał 1552 r., mówi w żywocie św. Jana Kantego: „Miło mi wspomnieć na tych, których pamięć moja zaszła i których ćwiczenia i towarzystwa z uciechą zażywałem; na onych Benedyktów, Koźminów, Sadków, Sebastyanów, Leopolitów, Pilznów — i kaznodziejów sławnych królów polskich: Tarczynów, Sokołowskich, Kłodawitów, których ta matka pociesznie urodziła i z których się już niebo weseli. Jako cię zapomnieć mam złotej wymowy Leopolito i ciebie Sokołowski, któryś tak poważnem pismem Kościół Boży oświecił?“ [1]

W r. 1554 Skarga jest już *baccalaureatus*, a o naszym Sokołowskim jeszcze ani słychać. Dopiero w r. 1561, kiedy Skarga już jako mentor młodego Tenczyńskiego kasztelanica krak. przebywał w Wiedniu, nasz Sokołowski zostaje bakałarzem. Niepodobnem więc się zdaje, żeby razem ze Skargą był na akademii, boć za długoby te jego studya przygotowawcze do stopni akademickich trwały. Używał może Skarga jego „ćwiczenia i towarzystwa z uciechą“, ale chyba nie na akademii. W takim razie *Stanislaus Stanislai de Sokolow,* wpisany w metryce akad. pod r. 1551, nie byłby nasz Sokołowski. Nie znając jego ojca i nie wiedząc jak się wtedy pisał, kogo podawał za swego ojca i t. d.,

[1] „Żywoty Świętych“; 19 października.

znajdujemy się wśród niezliczonych wątpliwości. Możnaby przypuścić, że zapisał się w r. 1551 na uniwersytet i używał „ćwiczenia i towarzystwa“ Skargi, ale czując się przyciśniony niedostatkiem, może już po roku akademię opuścił i jako *paedagogus* zbierał nieco grosza dla dalszego kształcenia się. Przemawia za tem i ten jeszcze szczegół, który podnosi Birkowski, iż „skoro tylko przebiegł jak najchwalebniej cały obszar nauki w tej akademii, nic nie miał pilniejszego, jak wychowywać kwiat młodzieży. Ten pierwszy pożytek — dodaje kaznodzieja — spłynął z Sokołowskiego na Rzpltą, że pierwsze lata swego wieku dojrzałego poświęcił na wychowanie młodzieży tak polskiej, jak litewskiej“. Nakoniec przywołuje mowca na świadectwo całą młodzież szlachecką, która, jak mówi: „nie spodziewając się, by mogła gdziekolwiek lepszy, odpowiedniejszy i większy odnieść pożytek, wszystka w owym czasie jego za nauczyciela miała“...

To wszystko przemawiałoby za tem, że przerwał nauki; bo jeżeli je skończył, czemużby się nie postarał zaraz o stopnie akademickie? Birkowski mówi, że nie tak małą była jego ojcowizna. Zdaje się jednak rzeczą pewną, że małą ona być musiała, a może też i całkiem jej nie było, że zatem Sokołowski szukał zasiłków, a może oglądał się za dobrodziejem, któryby go wsparł i pozwolił się całkowicie oddać naukom. Znalazł go też w osobie Jakóba Bielińskiego, biskupa sufragana Płockiego, męża nadzwyczaj szczodrobliwego i hojnego dla ubogich. Pisał się on „ze Sokołowa“, a Łubieński mówi o nim w żywotach biskupów płockich, że był *bene nummatus*. Rzewną Sokołowski zachował dla swego dobroczyńcy pamięć i głęboką wdzięczność. Kiedy później w r. 1582 wydawał swoje kazanie: „O czci Najświętszego Sakramentu“, przypisuje je Bielińskiemu, naówczas już staruszkowi, „opiekunowi i wychowawcy swemu“, i mówi, że przysyła mu to kazanie na dowód swej nigdy niewygasłej wdzięczności i czci, i na przypomnienie niezliczonych dobrodziejstw, jakiemi go obsypywał. Musiała to być opieka prawdziwie ojcowska, bo synowską miłość i wdzięczność zjednać umiała. „Nie chcę ukrywać, owszem, zawsze głoszę chętnie — mówi w tejże dedykacyi kró-

lewski kaznodzieja — że cokolwiek w naukach postąpiłem, co tylko ozdoby nabyłem, tego dostąpiłem wskutek tej zachęty, opieki, starania i szczególnej hojności". Do dobrodziejów też swoich liczy Hieronima Rozdrażewskiego, później biskupa Kujawskiego, któremu przypisując medytacye o Męce Pańskiej, mówi: *quem aliquando universi cursus studiorum atque contentionum mearum a prima aetate fautorem et inspectorem habui.* Wbrew więc słowom Birkowskiego, przyjąć trzeba za pewne, że Sokołowski pomocy obcej potrzebował, i że wspierany przez swych dobroczyńców, kończył nauki akademickie.

Akademia Krakowska wówczas miała jeszcze wielu mężów znakomitych i zasłużonych dla nauki. Nie przyciągała już, co prawda, do siebie z zagranicy młodzieży chciwej wiedzy. Minęły czasy, kiedy poeci ukoronowani zasiadali na jej ławach, by słuchać znakomitych jej magistrów. Zaczęto już zapominać, że posłowie z jej łona zadziwiali na soborze Konstancyjeńskim i Bazylejskim, swoją wymową i niepospolitą nauką. Nietylko polscy panowie, zaślepieni dziwną mańją cudzoziemszczyzny, za granicą szukali światła, nie przykładając nic do ogniska akademii, ale i sama akademia zaczęła już budować ten mur Chiński, którym otoczona później, w spokojnym swoim separatyzmie tylko bawić się miała wieńcami niegdyś zdobytymi. Nawskróś katolicka, dobrze iż się bała heretyckiej zarazy, która coraz więcej szerzyła się za granicą, ale czemuż zrywa stosunki z innemi ogniskami nauk? Gorliwie się zajmuje kwestyami religijnemi, ale przytem nie dba o postęp, przez co traci wziętość u ziomków. Zaczęło gasnąć bujne światło akademii, a gasło potem szybko; ale w czasach, o których mówimy, świeciło jeszcze zasobem ognia niemałym. Jakub Górski, ozdoba tej akademii, pracował nad jej dobrem gorliwie. Mąż światły, widząc, że blask akademii zaczyna blednąć, stara się temu zapobiedz.

Bądźcobądź, młodzieniec tak chciwy wiedzy, jak Sokołowski, znalazł na Akademii Krakowskiej pokarm dość obfity dla swego ducha. Dochodzić go musiała sława Jakuba Górskiego, który w tym czasie wydaje swoje prace z zakresu wy-

mowy [1]; porywała go zapewne wymowa słynnego kaznodziei, Łukasza Leopolity — bo, jak mówi Birkowski: „Skoro ich ujrzał, owszem, skoro ich usłyszał, powiem jednem słowem, co myślę: rozpalił się miłością ku nim". Więc też wymowie i językom starożytnym poświęcił się z zapałem. Serdeczny zawiązał się stosunek między sławnym profesorem Górskim, a chciwym wiedzy uczniem. We wdzięcznej pamięci zachował zawsze Sokołowski swego profesora, a profesor również się chełpił, że był nauczycielem tak sławnego męża.

Sokołowski, pełen uwielbienia dla swego mistrza, popiera jego powagą swe zdania na ambonie [2], i jemu przypisuje swą odpowiedź daną heretykom, prosząc, by poprawił, co będzie uważał za potrzebne; a Górski, walcząc piórem przeciw nowinkarzom, do swoich dzieł dodaje kazanie Sokołowskiego, jako doskonały argument [3], i nie waha się nazwać go swym mistrzem w szermierce z innowiercami.

Nareszcie w r. 1561, za dziekanatu tegoż Górskiego, zostaje Sokołowski bakałarzem [4]. W roku następnym, w pierwszych dniach stycznia, zostaje magistrem filozofii. Muczkowski wprawdzie w książce swej *Promotionum* nie zanotował tego, ale tak podaje Starowolski; i tak też być musiało, kiedy zaraz w następnem półroczu ogłosił Sokołowski swe wykłady, i z całą gorliwością i zamiłowaniem oddał się pracy naukowej [5].

---

[1] 1. *De Periodis atque Numeris Oratoriis libri duo Crac.* 1558. — 2. *De Generibus dicendi Crac.* 1559. — 3. *De Figuris tum Grammaticis, tum Rhetoricis Libri V. nunc recens editi.* 1560.

[2] *Pro relig. cath.*

[3] *Praelectionum Plocensium* libri III. 1580.

[4] *Liber promotionum.*

[5] W roku 1562 w półroczu letniem, jako *externus*, wykłada „Linacri grammaticam". W półroczu zimowem znów wykłada Linakra i w dysputach jako *externus* bierze udział.

Zaraz w następnym roku 1563, w półr. letniem, ogłasza wykład „Orationes in Catilinam", a na dysputach, jeszcze zawsze jako *externus*, był dwa razy. Ciągle już teraz zajęty Cyceronem i jego wykłada, a mianowicie:

1564 półr. letn...?...

1564 „ zim. „Officia Ciceronis".

Umiłowanym przedmiotem jego wykładów był Cycero. W r. 1565, jako *collega minor*, zaczyna wykładać filozofię i jednym ciągiem wykłada ją aż do r. 1571 [1].

W r. 1571 zmienił zwykły swój tryb wykładów, co naprowadza na myśl, że powstał w nim zamiar zostania księdzem. Z tego bowiem, co zobaczymy niżej, wnioskuję, że w tym roku jeszcze księdzem nie był.

Akademia uważała za swój obowiązek walczyć z wdzierającą się do kraju herezyą. Profesorowie z całą gorliwością strzegli tych tradycyj katolickich, na których straży stała Akademia. Przeto, wstępując na katedrę, przyjmowali na siebie już tem samem niejako obowiązki księży, i wielu z nich, choć księżmi nie byli, przyoblekało suknię duchowną. A tak to było często, że Kochanowski przestraszył się na ten widok i narzeka: „Zdadzą się nam podobno prostacy mistrzowie, ba! będą z nich po chwili gregorjankowie“ [2]. Kto się chciał szczerze oddać nauce, poświęcał się zazwyczaj stanowi duchownemu. Katedry profesorskie były naówczas bardzo licho uposażone i troska o potrzeby życia codziennego budziła nieraz profesora ze scholasty-

---

1565 półr. letn. „Epistola Ciceronis ad. Quintum“.
1565 „ zim. „Ciceronis pro domo sua“. „Alberti Magni Philosophiam“.

W roku 1566 w półr. letn. wykłada „Physicam Aristotelis“ i dalszy ciąg „Pro domo sua“.

1566 półr. zim. „Physicam“ i „Particiones oratoriae“.
1567 „ letn. „Physicorum“, d. c. „Particiones oratoriae“.
1567 „ zim. „Ethica Aristotelis“. „Tusculanae quaestiones“.
1568 „ letn...?...
1568 „ zim. „Politica Aristotelis“. „Tusculanae quaestiones“.
1569 „ letn. „Politicorum Aristotelis cum exercitiis de anima“, dwie godziny: o 9-tej i 10-tej.

Na łacinę już mu zdaje się w tem i następnem półr. nie stało czasu.

1569 półr. zim. „Posteriora analytica“.
1570 „ letn. wykłada „Libros, qui Parva naturalia vocantur“.

[1] Notatka na rękopisie l. 2528: *Orationes duae Sti Ioannis Chrysostomi graece scriptae*, nazywa Sokołowskiego: „professor literarum graecarum“. W *Liber diligentiarum* zaś niema śladu, by ks. S. grecki język wykładał. Ztąd wypadałoby wnioskować, że notatka ta jest mylna.

[2] Satyr.

cznej ekstazy, nie pozwalając mu się wyłącznie oddać pracy naukowej. Duchowny tymczasem miał drogę otwartą do beneficyum, które otrzymawszy, mógł poświęcić się nauce, uczyniwszy zadość niewielkim nieraz obowiązkom duchownym. Ten brak środków materyalnych nie pozwalał profesorom często utrzymać się na wysokości swego stanowiska; musieli się wysługiwać możnym, by zasłużyć na ich łaskę. Ztąd pogardą najczęściej otacza szlachta tych mężów nauki, sama uważa sobie za upośledzenie stanąć w ich gronie, a tak zrywając wszystkie węzły, łączące ją z Akademią Krakowską, wygląda światła z zagranicy. Mężowi więc, który czuł swą osobistą godność i należycie oceniał wartość nauki, to trudne położenie materyalne profesorów akademii musiało bardzo dolegać. Ztąd zapewne przemyśliwał nad sposobem, w jakiby mógł stanowisko swe profesorskie uczynić niezależnem od wspomnianych przykrych warunków.

Kiedy Sokołowski rozmyślał o swej przyszłości, jako pierwsza trudność na drodze do osiągnięcia zamierzonych celów stanęło mu bez wątpienia nieprawe jego pochodzenie; nie mógł bowiem nie wiedzieć, że prawo kościelne uważa je za przeszkodę do święceń kapłańskich *(irregularitas ex defectu natalium)*. Stara się więc najpierw Sokołowski o starcie tej plamy w obliczu prawa. W r. 1570 d. 14 sierpnia Zygmunt August *ad intercessionem et petitionem nonnullorum de Nobis bene meritorum*, wszelką plamę jego urodzenia maże i nadaje mu wszystkie prawa urodzonych z prawego małżeństwa, i chce by mu droga do wszelkich godności stała otworem. Każdy zaś, coby czy to prywatnie, czy publicznie zarzucił mu jego nieprawe pochodzenie, zapłaci karę 1000 fl.[1]. Zdaje się, że teraz myślał już Sokołowski o wyjeździe za granicę. Akademia z żalem chyba dowiedziała się o jego zamiarach i niewątpliwie chciała zatrzymać męża takiej nauki. Zaraz w następnem półroczu zimowem daje mu dowód wielkiego zaufania, obdarzając go godnością dziekana filozoficznego wydziału. Z obowiązku dziekana wykłada *Quaestiones*

[1] *Legitimatio Stan. Socol.* Metr. 110, fol. 56.

physicas. Wśród tego przemyśliwa Sokołowski nad usunięciem innych trudności, stojących mu w drodze.

Mąż, choćby najwięcej zasłużony, jeśli nie był szlachcicem, miał zamkniętą drogę do wielu godności. Sokołowski oczywista, przy swojem pochodzeniu, praw szlachectwa nie miał. Ale postanowił je uzyskać — i uzyskał. Jaką drogą, jakimi środkami — tego dokładnie nie umiemy powiedzieć. W akcie nobilitacyi mówi Zygmunt August, że nadaje mu szlachectwo, nakłoniony do tego szczególniejszą Sokołowskiego zasługą i prawością, o której mu doradcy jego opowiadali. Może więc być, że ludzie wpływowi, pragnąc ułatwić drogę mężowi zasłużonemu, polecili go królowi; a może też przez tę oznakę szacunku chcieli go przywiązać do Akademii Krakowskiej. Birkowski mówi w swem kazaniu, że jego uczniowie, porwani miłością ku swemu nauczycielowi, udali się do króla i do panów możnych, prosząc o nobilitacyę swego mistrza. Byłby to rzeczywiście rys, któryby ładne dawał świadectwo profesorowi, który pięknymi swymi przymiotami i głęboką nauką tak sobie zdołał uczniów zobowiązać. Nie wyklucza to jednak osobistych Sokołowskiego zabiegów około tej sprawy. To pewna, że król 10 września 1571 r. nadał mu szlachectwo (herb Gozdawa — lilia biała w czerwonem polu) [1]. W akcie nobilitacyi rozszerza się wprawdzie król nad zasługami Sokołowskiego, ale żadnej o tem nie czyni wzmianki, czy jest on podówczas już księdzem.

Po otrzymaniu legitymacyi i nobilitacyi, wykłada jeszcze Sokołowski w r. 1571, w półroczu letniem: *Aristotelis Meteora*, ale na dysputach nigdy już nie był; a w półroczu zimowem czytamy: *Topica Aristotelis ter legens desiit*, na dysputach nigdy nie był, a wykłady jego zapisane między *vacantes*. W r. 1572, w półr. letn., miał wykładać: *Librum Aristotelis De mundo* — na dysputach znowu nigdy nie był. Co to ma znaczyć? Zapiska z półrocza następnego rzecz całą nam tłumaczy. W r. 1572, w półr. zim., Sokołowski *Meteora Aristotelis per alium secunda die coepit — nunquam disputavit*. Ta notatka, że wykładał przez in-

[1] *Nobilitatio Stanislai Socolovski*. Metr. 110, f. 187.

nego, powtarza się aż do r. 1576; w r. 1575 zapisane nawet, że wykładał *per magistrum Bieczensem*. Wnioskuję więc ztąd, że Sokołowskiego w tym czasie w Krakowie niema; nie zrzekłszy się katedry, zatrzymuje ją, stawiając za siebie zastępcę. Jednozgodnie mówią zapiski, że Sokołowski zwiedził akademie włoskie, a Łętowski w swoim katalogu biskupów mówi, że „zarwał i niemieckich, ażeby się ugruntował w naukach duchownych i świeckich". Jeżeli w którym, to właśnie w tym czasie da się przypuścić jego pobyt na akademiach zagranicznych. Widocznie, skoro otrzymał szlachectwo, porzucił wykłady, które miał tylko trzy razy w półr. zim. roku 1571, i udał się za granicę. Możnaby tedy przyjąć, że wyjechał w październiku r. 1571, bo inaczej pocóżby wykłady dopiero co zaczęte przerywał. Udał się, jak mówi Birkowski, do *Sapientia Romana*, owej głośnej naówczas akademii, w której wszyscy zdolniejsi teologowie swego czasu o wieńce doktorskie się ubiegali. Wskazuje to, że Sokołowski postanowił za granicą szczególniej się poświęcić teologii. „Przybył więc — mówi Birkowski — do Rzymu, a zwiedziwszy grób Apost. Piotra i Pawła, i ucałowawszy ich relikwie, cały się oddał owej mądrości, której tu szukał. A tak żył we Włoszech, że ta matka i mistrzyni wszystkich znakomitych talentów zdumiała się i innego nabrała przekonania o kraju naszym, odstraszającym swymi lodami i strasznymi zimami". Tu zawiązuje przyjaźń ze znakomitymi mężami, książętami Kościoła i wieloma kardynałami. Jak długo w Rzymie bawił, trudno określić. Przypuszczam, że tu otrzymał stopień doktora teologii, jaki mu przyznaje notatka na rękopisie w Bibliotece Jagiellońskiej (l. 2528) i podpis na portrecie — i że tu także przyjął święcenia kapłańskie. Przypuszczam tylko, bo nie mam na to dokumentów [1].

Birkowski powiada dalej, że i Pawia podziwiała talent Sokołowskiego. Być więc może, że i tamtejszą akademię zwiedził,

[1] Co do doktoratu jego, obojga prawa, jaki mu w nowszych o nim wiadomościach przyznają niektórzy (jak prof. hr. Tarnowski w „Pisarze polityczni"), nie mam pod ręką żadnego dowodu. Możebne to jednak, że zajmował się prawem w Pawii np., bo okazuje niemałą w tym przedmiocie biegłość.

a wedle twierdzenia Łętowskiego, może i „zarwał“ akademij niemieckich, bo dosyć na to miał czasu. Zresztą nic pewniejszego o tych podróżach nie wiemy. — Kiedy powrócił do Krakowa? Znów trzeba odpowiedzieć tylko prawdopodobieństwem. Zdaje się, że w drugiej połowie 1575 r. W półroczu bowiem zimowem tego roku nic już o nim nie wspomina *Liber diligentiarum,* i dopiero w r. 1578 w półr. letn. ogłasza wykłady: *De Oratore Ciceronis* — ale potem znów zaprzestaje. Biskup Łętowski mówi, że wróciwszy z zagranicy, „jął się stanu nauczycielskiego, już to raz, iżby z plonu, który przywiózł, pożytek był, a potem, iżby ucząc drugich, kształcił samego siebie“. Szkoda, że nie mówi zarazem, zkąd tę wiadomość zaczerpnął, bo możnaby, sprawdziwszy źródło, chętnie się na to zgodzić, tem więcej, że nie jestto nieprawdopodobne — ale kiedy nie podaje źródła, boimy się przyjąć wiadomość jego za pewną, wiedząc, że one często bywają mylne.

Po otrzymaniu święceń kapłańskich, zaczyna się nowy okres w życiu Sokołowskiego. Jako ksiądz niepospolicie w naukach wykształcony, musiał zwrócić na siebie uwagę, a jako były profesor akademii, miał już za sobą pewne zasługi, które go polecały.

Stefan Batory obrany został królem prawie przypadkiem. Szlachta, namiętnie obstawająca przy królu Piaście, zaskoczona wyborem nienawistnego Habsburga, chwyciła się pierwszego lepszego kandydata, byleby ten poślubiwszy infantkę Annę, ich ideałowi Piasta choć w przybliżeniu odpowiadał. Stolica apostolska, popierając gorliwie kandydaturę Habsburga, przeciwna była wyborowi Stefana; nuncyusz Laureo w niemałych znalazł się kłopotach, kiedy Stefan Batory przybył do kraju. Z duchowieństwa też jedyny Karnkowski gorliwie popierał Stefana; on jeden, wśród stronnictwa, które Stefana na króla powołało, przedstawiał stan duchowny. Wiemy, wśród jakich trudności przyszło do lepszego porozumienia między Stefanem a Stolicą apostolską, a trudniej jeszcze było Stefanowi zjednać sobie potem dostojników Kościoła polskiego. Całą więc odpowiedzialność za swego kandydata przed katolicką Polską brał na siebie Karnkowski. Stefan Batory

nie był heretykiem, ale pochodził z rojowiska herezyi, gdzie żył otoczony kalwinami, lutrami i zwolennikami różnych sekt. Heretykami się posługiwał, z nimi się przyjaźnił, ba! nawet w rodzie jego byli heretycy.

Duchowieństwo naprawdę już zakłopotało się o religię katolicką, kiedy ten nowy król zaprzysiągł bronić uchwał konfederacyi z r. 1573, tych uchwał, które herezyi przyznawały swobodę w szerzeniu się, równouprawnienie z katolicyzmem. Tego przecie nie zrobił Henryk Walezy, tego nie powinien był zrobić ten, kto zapewniał, że jest katolikiem z przekonania. Duchowieństwo całe zatrąbiło na trwogę, bo widziało zwalone mury, które osłaniały religię katolicką. Herezya prawem osłoniona! Chórem całym zaprotestowało ono przeciw temu. Jednak, powiedzmy to sobie zaraz, nie było poco na trwogę trąbić. Stefan Batory sam wiedział, że jeżeli ta jego przysięga zwala mur otaczający religię katolicką, to zarazem odsłania słońce swobody, dla protestantów tak silne, że ono wypiecze grunt, na którym ta młoda roślina rozwijać się zaczęła, tak, że uschnąć sama musi; wiedział, że ci przeciwnicy religii katolickiej zgnuśnieją w swobodzie, jaką im zapewniał, i że to chyba najskuteczniejszy będzie sposób obrony katolicyzmu. I rzeczywiście; — protestantyzm, upojony tą wielką swobodą, omdlewa coraz więcej; traci ten zapał czy upór, który się budzi wśród przeszkód i trudności, a wśród swobody i spokoju usypia; więdnieje wreszcie zupełnie, a odrodzona katolicka reakcya, wyrzuca herezyę z łona Rzpltej, już nie jako wyrwaną z korzeniem roślinę, ale jako suchy chwast. Doskonale nazywa prof. Zakrzewski tę konfederacyę dysydentów: darem Danaów. A i sam nawet Wolan, przywódca kalwinów, potępił konfederacyę, jako zapowiedź zguby dla samych protestantów.

Tak było, ale nie tak się zdawało, a to co się zdawało, budziło w duchowieństwie trwogę. Niemałą więc odpowiedzialność przed duchowieństwem wziął na swoje barki Karnkowski, popierając Stefana. On sam może nie był bez trwogi o Kościół katolicki; należało mu więc robić, co się tylko dało, by złego dla Kościoła nie dopuścić. Należało postawić przy królu czujnego a gorliwego stróża katolicyzmu, któryby nietylko kie-

rował sumieniem króla, ale z Wawelu, jak z wieży strażniczej, przewidywał niebezpieczeństwa, a z ambony odważnie i gorliwie ostrzegał o nich króla. Skoro więc król, zbliżając się do Krakowa, stanął w Mogile, Karnkowski i Zamojski wybierają tego stróża i stawiają go przed królem. W porozumieniu z Akademią podali trzech kandydatów, z których król miał sobie wybrać kierownika swego sumienia. Byli to: Marcin z Pilzna, Marcin Kłodawita i Sokołowski. Zgóry już, znając Stefana Batorego, można było odgadnąć jego wybór. Miłośnik nauk i znawca języka Rzymian, zwrócił on uwagę na ks. Sokołowskiego, którego przymioty niepospolite i wielką naukę i miłość do Cycerona poznał w rozmowie z nim; przyjął go więc do boku swego i powierzył mu kierownictwo swego sumienia.

Zaczął się dla Sokołowskiego nowy okres życia, o którym wyżej nadmieniliśmy, okres w którym przypadają jego największe zasługi i największa zarazem chwała. On sam zadowolony był ze stanowiska, na które się dostał i wdzięczny był szczerze Karnkowskiemu za poparcie i polecenie siebie królowi. W dedykacyi kazania: *pro dote Ecclesiae,* tak do niego przemawia: *Tu me una cum amplissimo Cancellario magnoque belli duce Zamojscio de manu tua Regi meo tradidisti*[1].

Ks. Sokołowski wysoko pojmował zadanie, które na siebie przyjął, bo wiedział dobrze, że dano mu to stanowisko, aby czuwał nad krajem całym, stróżował nad całą Polską, i choćby nieprzyjaciel daleko był jeszcze, dzwonił na trwogę; że po to został duchownym kierownikiem króla, aby mu ciągle przypominał, iż interes Kościoła katolickiego na oku mieć powinien. Jak rozumiał swój urząd, sam powiedział w kazaniu: *De consecratione Episcopi:* „Każdy, który przystępuje do kapłaństwa, przyjmuje na siebie urząd herolda, aby wołając kroczył przed sędzią straszliwym, który się zbliża".

[1] Mecherzyński mówi, że polecił go biskup Kijowski; zdaje się jednak, że chciał powiedzieć: Kujawski, albo może źle odczytał. Całkiem zaś niepodobna, by Sokołowskiego posłał Batoremu biskup Jan Drohojewski, jak chciał biskup Łętowski, boć ten już od r. 1557 w grobie spoczywał.

Nie od rzeczy będzie rzucić tu okiem na postać Stefana Batorego jako katolika, aby zrozumieć postępowanie i ducha kazań Sokołowskiego, stróża zasad religijnych króla.

Charakter Stefana Batorego pod tym względem mamy skreślony w profesora Zakrzewskiego „Stefanie Batorym". W początkach, jakeśmy już widzieli, raczej protestanci, niż katolicy, winszowali sobie wyboru Stefana. Chciano go nawet uważać za elekta heretyków. Zdawało się to potwierdzać i otoczenie jego i gniazdo jego rodzinne, sheretyczały Siedmiogród. Tymczasem sam Stefan Batory chluby szukał w tem, że był wiernym katolikiem i że katolicką była cała jego familia[1]. Robił przecież usiłowania względem swej ojczyzny, by katolicyzm w niej podnieść: a że w otoczeniu jego byli heretycy, jak lekarz Buccella, Aryanin, który aż do końca miał zdrowie króla w swej opiece, to się da łatwo wytłumaczyć brakiem innych ludzi w Siedmiogrodzie, a potem przyzwyczajeniem. Tego tłumaczenia, mówiąc nawiasem, nie chciał przyjąć Sokołowski, który ciągle w kazaniach przed królem wołał, że jest obrazą Boga i krzywdą dla religii katolickiej, wspierać heretyków i przyjaźnić się z nimi.

Wielce już zatrwożyło katolików, a ucieszyło heretyków, ono potwierdzenie przez króla konfederacyi z r. 1573. Jakiż to katolik, mówiono, co broni herezyi osłoną prawa? Protestowali wszyscy, ale wreszcie ustali. Sokołowski tylko wraz ze Skargą ciągle powtarzali swoje *veto*. Wspomnieliśmy już, że król Stefan wiedział, jaką to wątpliwej wartości łaską obdarzył heretyków, zatwierdzając im tę konfederacyę. Karcił on wprawdzie wybryki, jakich się dopuszczali studenci względem heretyków, aleć takiego karcenia wymagał wzgląd na porządek w kraju. Nie uciskał więc heretyków, owszem z całą surowością przestrzegał swobody, jaką im był przyrzekł. Inaczej też sobie wyobrazić nie możemy stanowiska względem heretyków tego króla, polityka i organizatora, przestrzegającego porządku i ładu w kraju. Stanowisko króla względem spraw religijnych jest nawskróś polityczne. Sercem jednak ca-

[1] Prof. Zakrzewski słusznie uważa, iż może się to odnosić tylko do jej członków męskich.

łem, jak zapewniał, kochał wiarę katolicką, i ją popierał. Z całej duszy pragnął widzieć Polskę i Węgry katolickiemi, ale nigdy nie myślał, by to przeprowadzać gwałtownymi środkami. Po licznych a gorliwych kazaniach Sokołowskiego i pilnych z nim rozprawach, wdawał się w dysputy religijne z otaczającymi go heretykami, chcąc ich przywieść do uznania prawdy. Popierał duchowieństwo. Na synodzie jeszcze Piotrkowskim przyrzekł duchowieństwu oczyścić królewszczyzny z protestantów i tylko katolickim księżom oddawać duszpasterstwo. Kiedy przyszło do wielkiego rozgoryczenia między szlachtą a duchowieństwem o dziesięciny, gorliwie się sprawą duchowieństwa zajął. Gorliwie też popierał Jezuitów i ich usiłowania. A kiedy zważymy jego plany, które nietylko Polsce, ale chrześcijaństwu miały przynieść niepospolite korzyści, nie zadziwimy się, że Sykstus V. papież, po śmierci Batorego, pisał: „Wielka to strata dla chrześcijaństwa".

Dziwna to rzecz, że i protestanci wdzięczną zachowali po Stefanie pamięć, chwaląc go jako przychylnego sobie króla. Było to skutkiem zręcznej jego polityki, przy której zostając gorliwym katolikiem, umiał zadawalniać przeciwników Kościoła katolickiego, wprawiając ich w tę miłą dla nich ekstazę, że pozwalał im łudzić się utopią wolności religijnej, choć szczerze zasłaniał Kościół katolicki przed ich napaściami. Nie tak jednak patrzyli na to inni, nie tak też patrzył ks. Sokołowski. O tem przekonywają nas jego dzieła.

Łatwo nam się domyśleć, że kazania do króla trzeba było mówić po łacinie. Obecnym na nich bywał król, senatorowie i znakomitsi ze szlachty i rycerstwa, jak to widać z tych kazań. Miał je potem powtarzać do dworzan po polsku. Ponieważ później zastanowimy się nad jego kazaniami, pominiemy je teraz narazie, a zwrócimy uwagę na inne jego dzieła.

Sokołowski jestto przedewszystkiem szermierz niezmordowany w walce z herezyą. Nie ustaje wykazywać rozkład, jaki wywołują rozterki religijne w państwie; woła, że najwyższy stopień bezbożności, to popierać herezyę ustawami państwa, osłaniać ją prawem. Pracami swemi apologetycznemi i teologiczno-

dogmatycznemi wykazuje nicość i chwiejność marzeń sekciarskich, chwyta przeciwników na gorącym uczynku, by okazać ich przewrotność, cały tchnie ogniem gorliwości o dobro Kościoła, cały przejęty myślą, by wyrwać czemprędzej chwast herezyi z ziemi polskiej. *Siste gradum Polonia, siste Hungaria,* woła z ambony — a w traktatach apologetycznych ze zręcznością i gorliwością apologetów pierwszych czasów Kościoła wykazuje niekonsekwencyę przeciwników, brak nawet prostej logiki i zwykłego rozumowania. W zapędzie nie idzie zadaleko, z biegłością wyćwiczonego dyalektyka umie dobierać słów, które wyrażają ani mniej, ani więcej, tylko tyle, ile on chce.

Wielce się różni od Skargi. Skarga podobny do husarza polskiego, walczącego w otwartem polu; z trzaskiem powala wszystko o ziemię, co mu na drodze stanęło, i nie zatrzymuje się w pędzie, aż póki nie rozbije nieprzyjaciół. Przeciwnie zaś, jak dawny żołnierz rzymski, osłoniony szopą, podkradał się pod mury miasta, wyrywał z niego nieubłaganie cegłę po cegiełce, aż dziurę zrobił — tak i Sokołowski. Osłoniony roztropnością, dyalektyką, ostrym kilofem łaciny uzbrojony, roztrącał on mury herezyi. Od wejścia jego na dwór królewski, aż do końca życia, ciągle powtarzały się odgłosy tego kilofa, a choć uderzał nim Sokołowski w Krakowie, w głębi Niemiec krzyczeli protestanci, zatrwożeni naprawdę o siebie. Aż w Rzymie było te razy słychać, i cieszyli się z nich, wraz z głową Kościoła, książęta i dostojnicy duchowni. Wielbiono tego żołnierza z jego starą, ale doskonałą taktyką, nie szczędzono pochwał, nagród i upominków, obiecując mu imię nieśmiertelne. A Stefan Batory chlubił się takim szermierzem i z dumą mówił mu: „Ojcze kaznodziejo! obydwa walczymy: ty przeciwko nieprzyjaciołom wiary, a ja przeciwko nieprzyjaciołom ojczyzny". Król-wojownik pokochał też tego szermierza niezmordowanego i na chwilę rozstać się z nim nie mógł. To też Sokołowski zawsze przy boku królewskim. Kiedy król we Lwowie, Sokołowski wygłasza przed nim kazanie: *De vestitu et fructu haereseon.* Na wojnę z Moskwą towarzyszy królowi i takiem męstwem umie natchnąć jego żołnierzy, jak mówi Birkowski: „że te bohaterskie serca, wojną od-

dychające, na głos kaznodziei w takie wpadały zachwycenie, że zdawały się zapominać swoich spraw rycerskich; ale po skończeniu kazania taki widziałeś w rycerstwie zapał, tak bohaterską pogardę śmierci, że nowi na obronę chrześcijaństwa zdawali się powstawać Templaryusze. Z twarzy mowcy nietylko sam król, ale i rycerstwo wszystko wyczytywało przyszłe swoje losy i tryumfy".

Aż do roku 1580 podziela z królem trudy wojenne i zagrzewa jego żołnierzy do boju. A że jego słowo takiem męstwem natchnąć umiało żołnierzy, przekonywa nas o tem i serdeczność króla i ten żal jego, kiedy w r. 1580 nie może mieć pod Wielkimi Łukami swego kaznodziei, który już wtedy trapiony upartym bólem głowy, musiał zostać w Krakowie. Pisze więc król do niego z obozu, że pragnie mieć go przy sobie na wojnie, lecz skoro słabość stanęła na przeszkodzie, niechaj się stara zobaczyć się z nim jak najprędzej po powrocie z wojny. Sokołowski nie mógł być w obozie z królem, by się przyczynić do jego zwycięstwa, ale za to w Krakowie pilnie ostrzył pióro na nieprzyjaciół wiary.

(C. d. n.).

Ks. Kasper Słomiński.

ZATARG SZKOLNY CHEŁMIŃSKI

1554—1557.

(Dokończenie).

W styczniu 1555 r. przyrzekał Lubodzieski po raz dziesiąty, że Hoppego wydali. Termin wyznaczony dlań, już mijał; biskup wymawiał się, że nie chce, ażeby szkoła „poszła w rozsypkę"; dotychczas czekał, bo się spodziewał, że Hozyusz przyśle Meisnigera, albo innego jakiego katolickiego rektora wynajdzie. Prawdziwa przyczyna tkwiła jednak w braku silnego poczucia obowiązku u biskupa. Nauczyciel byłby się znalazł, gdyby Lubodzieski chciał dać pieniędzy na jego utrzymanie. Radzono mu, żeby posłał po nauczyciela do Lowanium albo do Deventeru (słynna szkoła Gerhardytów); koszta miały wynosić 30 do 40 florenów. „Bez wahania odparł na to — byliśmy bowiem bez świadków — (pisze Marycki), że nie chciałby na to tyle wydać. Woli mój przewielebny konia za sto florenów, niż za połowę tej ceny nauczyciela dobrego i katolickiego" [1].

Tymczasem w lutym 1555 r. powstaje nowa akcya za Hoppem; szlachta chełmińska się zjeżdża i układa memoryał wprost do Hozyusza; Achacy Czema, wojewoda malborski, staje znów na czele sprawy, kasztelan kowalewski, Plemięcki, doręcza pismo

[1] *Hosii Epistolae* nr. 1320.

Hozyuszowi, inni senatorowie piszą do niego listy. Ubyło jednakże już dwóch senatorów protestanckiemu stronnictwu; kasztelan chełmiński, najbliższy tej sprawy, nawrócił się właśnie i zdeklarował zupełną zgodność swoją z Kościołem; wojewoda chełmiński, St. Kostka, zaczynał się też wahać, narazie przynajmniej usunął się zupełnie od akcyi i oświadczył szlachcie województwa chełmińskiego, że go ta sprawa nic nie obchodzi. Odejmowało to nieco powagi memoryałowi szlachty chełmińskiej, że go nie podpisali główni senatorowie województwa.

Dnia 12 lutego odpisał Hozyusz na ręce A. Czemy, że Hoppe żadną miarą nie może pozostać, ponieważ jest kacerzem. Protestował Czema przeciw podejrzewaniu prawowierności rektora i pisał nowe listy; ale czyż do Hozyusza... warto było o tem pisać?! Szlachta chełmińska ze swego protestanckiego punktu widzenia popełniła przytem gruby błąd taktyczny; należało stanąć na tem stanowisku, że Hozyuszowi, jako warmińskiemu biskupowi, nic do szkoły chełmińskiej, ale pisząc do niego prośby, uprawniało się niejako ten wpływ, jaki Hozyusz faktycznie, ale nie z urzędu, na sprawę wywierał. Można było wystosować memoryał do Hozyusza, jako do pierwszego senatora pruskiego — ale to należało uczynić urzędowo, na sejmie (których Prusy miały i tak aż dwa do roku). Na sejmie jednak, Hozyusza w tę sprawę nie wciągano [1].

W połowie lutego nakazał wreszcie Lubodzieski surowo Chełmińczykom, ażeby Hoppe do Popielca 27 lutego opuścił miasto. Ze szkoły, co najważniejsza, wykluczył go też ostatecznie. Sam termin dozwolonego pobytu w Chełmnie, był znów nowem ustępstwem; zrobił to (jak twierdzi Marycki) biskup na życzenie wojewody chełmińskiego Kostki, który nie chciał się widocznie wydawać szlachcie chełmińskiej zbyt trwardym człowiekiem, skoro jej już odmówił podpisania owego memoryału do Hozyusza. Wojewoda był „udręczony prośbami licznej szlachty“; posłał tedy do Lubodzieskiego w tej sprawie starostę gołubskiego, żeby Hoppemu „użyczyć czasu na zebranie swych

[1] *Hosii Epistolae* nr. 1326, 1337, 1343, 1345.

sprzętów. Więc chociaż przedtem dosyć miał czasu na to i na odprawienie chłopców, pan mój udzielił mu tego krótkiego terminu chcąc niechcąc, ażeby wojewoda się nie skarżył, że nic nie wykołatał“ (pisze Marycki) [1].

Hozyusz uważał to za czczą wymówkę. Napisał bez ogródki Maryckiemu: „Widzę, że Hoppe jest tak drogą osobą dla biskupa chełmińskiego, że trudno już mieć nadzieję, żeby się go ztamtąd pozbyć. Pisałem już tyle razy, upominałem, prosiłem, nie zaniedbawszy pod żadnym względem obowiązku szczerego przyjaciela i katolickiego biskupa: nic jednak nie wskórałem; Hoppe pomimo to bawi w Chełmnie i prawdopodobnie pozostanie tam nadal“ [2].

Marycki — ważne to do jego charakterystyki — dał ten list Hozyusza do czytania Lubodzieskiemu. „Podczas czytania zdawał się być ponurym i posępnym, jak gdyby czuł wyrzuty sumienia“. Wiemy na pewno, że biskup chełmiński nie mógł mieć zupełnie czystego sumienia, co się tyczyło samych z a s a d; ale czy słusznie podejrzywał go Hozyusz, że te przygodne wpływy, które na jego słaby umysł oddziaływały, były przez niego wymyślonymi tylko pozorami? W tem się właśnie przedewszystkiem charakteryzuje Hozyusz, że własną miarę przykładał do innych; trudno mu było pojąć, jak można być człowiekiem tak słabego charakteru, jak Lubodzieski, takim listkiem miotanym przez przygodne wiatry; rozważając jego postępowanie, przypuszczał raczej, że to umysł zdecydowany podobnie, jak on sam, świadom swych celów i środków tak samo, jak on, z tą tylko różnicą, że cele ma nielicujące ze swem stanowiskiem, a środków ima się... krętych. Hozyusz za nisko oceniał Lubodzieskiego pod względem etycznym, a za wysoko pod względem umysłowym.

Obecnie powstało w Hozyuszu podejrzenie równie szczególne, jak to, kiedy Maryckiego podejrzewał o protegowanie Hoppego. Zdawało mu się teraz, że oporne obstawanie szlachty

[1] *Hosii Epistolae* nr. 1347.
[2] Tamże nr. 1351.

za rektorem jest tylko sztuczną komedyą, ułożoną przez Lubodzieskiego, że to on nasłał na niego szlachtę z owym memoryałem i t. d. Z żalem wyraził się Lubodzieski, że tak usilnie się starał i tyle poświęcił trudów, żeby tylko nie popaść w podejrzenie u Hozyusza, a i tak tego nie uniknął. Swoją drogą podejrzenie to poskutkowało. Gdy Marycki odczytał Lubodzieskiemu ten list Hozyusza, powiedział zaraz, że zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby tylko wykazać swoją niewinność [1].

Hozyusz nie ufał wcale Lubodzieskiemu; odkąd go zaś miał w podejrzeniu o formalną zmowę ze szlachtą protestancką przeciw sobie, postanowił nawzajem użyć przeciw niemu najwpływowszych w Kościele polskim osób: prymasa i podkanclerzego. Uprosił prymasa Dzierzgowskiego, ażeby sam przedstawił sprawę Przerembskiemu, podkanclerzemu koronnemu, który miał znaleść środki, aby zmusić Hoppego do opuszczenia Chełmna, choćby go nawet Lubodzieski zatrzymać pragnął. Dzierzgowski zaraz do Przerembskiego napisał; nie dochowała się odpowiedź podkanclerzego, można jednak uważać za pewne, że się zaraz zajął tą sprawą.

Lubodzieski atoli sam od siebie, ażeby nie być podejrzanym w kwestyi religijnej, chciał już szczerze pozbyć się Hoppego. Wyznaczył mu ostateczny termin do Krzyżowych dni, tj. 25 kwietnia; a kiedy Hozyusz wyraził jeszcze raz swoje zdziwienie, że Hoppe ciągle w Chełmnie przebywa, Lubodzieski wyprawił do magistratu chełmińskiego urzędnika swego, Veidenera, z listem, żeby ani godziny dłużej, niż pozwolił, rektora w mieście nie cierpiano. Dnia 27 marca pocieszał Marycki Hozyusza, że „prawdopodobnie Chełmno już uwolnione od tej klęski“, ale pewnej wiadomości, czy Hoppe wyjechał czy nie, jeszcze w Łobawie nie miano. W dwa dni potem donosi jednak Lubodzieski Hozyuszowi, że już na pewno wyjechał. Podejrzliwy biskup warmiński odpowiada na tę wiadomość w liście do Maryckiego słowami: „daj Boże, żeby tak było“ *(faxit Deus, ut ita sit)* — je-

[1] *Hosii Epistolae* nr. 1357.

szcze nie dowierzał! Zaręcza mu tedy Marycki w nowym liście, że Hoppe naprawdę *(revera)* z Chełmna wypędzony [1].

Przezorny Hozyusz przewidywał, że protestancki rektor, choć wygnany, mógłby jednak wrócić. Właśnie miał się odbyć sejm w Piotrkowie; Hozyusz tedy chciał się zgóry zabezpieczyć na wypadek, gdyby tam podniesiono jego sprawę. Prymasa i podkanclerzego już uprzedził. Teraz, w maju, starał się pozyskać Jana Tarnowskiego, pierwszego senatora królestwa (kasztelana krakowskiego), i kanclerza Ocieskiego. Temu ostatniemu nastręczył właśnie do służby Jana Grodzieckiego, który miał pilnować spraw Hozyusza, tj. sprawy katolickiej, przy Ocieskim, podobnie jak Marycki przy Lubodzieskim; opowiedział też kanclerzowi całą historyę Hoppego. Nadto uwiadomił Hozyusz o całej sprawie wszystkich biskupów, a nawet samego króla. Sejm minął jednak bez najmniejszej wzmianki o wygnanym rektorze; Hozyusz napróżno śledził zgóry jego „fautorów“ i zapewne znów niepotrzebnie podejrzewał tego lub owego z senatorów i posłów, że zamierza narobić o to w Piotrkowie publicznie wrzawy [2]. Takiego zamiaru nie miano — poprzestano na prywatnych staraniach, zbierano protektorów dla sprawy, którzyby na Hozyusza wpłynęli. Udało się im pozyskać — Tarnowskiego.

Skoro Hoppego z Chełmna faktycznie już wygnano, zasadzie stało się zadość. Gdyby zaś dawny rektor miał powrócić, musiałby całkiem nanowo objąć urząd, a więc nanowo się umówić z Lubodzieskim. Oczywiście, że po tych wszystkich zajściach zawartoby umowę dokładniejszą, niż przedtem, i zawarowanoby należycie katolicki charakter szkoły. Hozyusz sam mógłby tego dopilnować. Gdyby Hoppe przystał na umowę taką, że na jej tekst zgodziłby się sam Hozyusz, w takim razie byłby to już całkiem inny człowiek, niż tamten dawny Hoppe, a Hozyusz nie mógłby nic mieć przeciw niemu. Wiedziano zresztą, że Hozyusz

---

[1] *Hosii Epistolae* nr. 1366, 1375, 1380, 1384, 1386.

[2] Tamże nr. 1396, 1408, 1410, 1411. Charakterystycznem wielce jest wyrażenie Hozyusza w liście do Kromera: „Admonui et Regem et Episcopos et Castellanum Cracoviensem de Hoppio“.

sam przez pewien czas zgadzał się na pozostawienie Hoppego, jeżeli przystanie na pewne warunki. Ale pojmowano inaczej naturę tych warunków. Hozyusz chciał spróbować, czyby się nie udało przekonać i nawrócić szczerze Hoppego; chciał tedy rzeczy, która się nie da ująć w żadne formalne, określone warunki, a która w tym wypadku usunęłaby potrzebę wszelkich takich warunków; „fautorowie“ zaś rektora nie sięgali tak głęboko, ale biorąc rzeczy powierzchownie, myśleli o prostem podaniu formalnych warunków, tak że wystarczyłoby Hoppemu nie manifestować publicznie swych przekonań religijnych i nie występować przeciw katolicyzmowi; w duchu mógłby go nienawidzieć bardziej, niż przedtem. Protektorom chodziło o zastosowanie sprawy religijnej w tym wypadku do wymagań miejscowych okoliczności, tj. ażeby szkoła nie straciła dobrego zkądinąd rektora — a Hozyuszowi, o zastosowanie szkoły tej do wymagań i potrzeb Kościoła katolickiego. Różnica wielka i zasadnicza.

W Piotrkowie agitował za Hoppem wojewoda chełmiński, ten sam Kostka, który odmówił szlachcie chełmińskiej podpisu na memoryale do Hozyusza. Nie było w tem niekonsekwencyi, bo sytuacya była inna: wtenczas chodziło o to, ażeby Hoppe pozostał bezwarunkowo, teraz zaś, ażeby wrócił — warunkowo. Znać tylko z tego, że wojewoda nie miał zmysłu do zrozumienia zasady, w imię której działał Hozyusz; nie miał tego zmysłu nawet Tarnowski, stanowczy przeciwnik „luterstwa-loterstwa“, bo wogóle zmysłu tego wówczas nie posiadano. W połowie XVI. wieku był jeszcze taki zamęt pojęć, że przy najlepszej woli trudno było nawet duchowieństwu poznać, gdzie jest linia graniczna, której bez szkody dla Kościoła przekroczyć niewolno. Linię tę oznaczył dopiero sobór Trydencki w trzecim swym okresie, a świadomość jej rozpowszechnić dopiero mieli Jezuici. Ktoby wstawienie się takiego np. Tarnowskiego za Hoppem uważał za dowód, że Tarnowski w skrytości serca sprzyjał protestantyzmowi — ten nie rozumie ducha czasu XVI. wieku. Tarnowski nie rozumiał tylko, jak ważną dla Kościoła fortecą może być szkoła chełmińska i nie dostrzegał nic zasadniczego w całej sprawie.

List „pana krakowskiego“ do Hozyusza jest tak charakterystyczny, że nie waham się przytoczyć go tu w całości w przekładzie [1]:

„Prośby niektórych osób, a zwłaszcza przyjaciela mego, pana wojewody chełmińskiego, skłoniły mię do tego, że piszę do Waszej Przewielebności ten list w sprawie rektora szkoły chełmińskiej. Podobno (tak mówią) od wielu lat kierował tą szkołą bardzo sumiennie i z usilną pilnością, a z wielkim postępem młodzieży w naukach humanistycznych; teraz jednak Przewielebność Wasza kazał go usunąć nie dla czego innego, jak tylko z powodu podejrzenia o herezyę i jakiegoś niewłaściwego wykładu religii. Jakkolwiek tedy nie chcę go ani usprawiedliwiać, o ile jest wątpliwym w wierze, ani też przemawiać za tego rodzaju zapatrywaniami: skoro jednakże wszyscy uznają jego szczególną troskliwość około nauczania młodzieży, zdolności i zapobiegliwość, jak powszechnie świadczą, tak że sądzą, iż jeżeli nie powróci na swój urząd, szkoła pójdzie w rozsypkę, na wielką szkodę uczącej się młodzieży i z niemałą krzywdą całego tego kraju i samego miasta, które miało z tej szkoły sławnej znaczny pożytek i sławę; te właśnie przyczyny skłoniły mnie, że się wstawiam za nim do Waszej Przewielebności. Proszę tedy, ażeby mu Wasza Przewielebność pozwolił urząd ten objąć nanowo, jeżeli przyrzeknie zachować w sprawie religii większe umiarkowanie, i żeby znowu mógł nauczać, jak sobie tego gorąco życzą ci, którym na sercu leży dobro młodzieży. I mojem zdaniem lepiej będzie utrzymać tam tę szkołę, która nietylko korzyść przynosiła, ale i zaszczyt, aniżeli gdyby po upadku jej młodzież rozbiegła się na naukę do sąsiednich szkół w Niemczech i tam się przejmowała głębiej i gruntowniej temi zapatrywaniami. Proszę więc Waszej Przewielebności, ażeby w tej sprawie względom publicznego dobra dał pierwszeństwo, ażeby się nie zdawało, że z nienawiści prześladuje. Spodziewam się, że tak Wasza Przewielebność postąpi“ i t. d. — Nie zdawał sobie Tarnowski sprawy z tego, że u Hozyusza jedynem a wyłącznem

[1] *Hosii Epistolae* nr. 1422; pisany z Piotrkowa dnia 19 czerwca 1555.

kryteryum dobra publicznego są względy kościelne. Nie mogło być ani mowy o zmienieniu postępowania Hozyusza.

Hozyusz odpisał zapewne Tarnowskiemu i Kostce; nie dochowały się te listy, ale wiemy z najbliższych wypadków, że chełmińskiego wojewodę przekonał najzupełniej, iż Hoppego nie można żadną miarą nazad przywoływać. W miesiąc później Kostka był już stanowczo za niedopuszczeniem Hoppego, „bo przez tego człowieka już się tu błędu niemało namnożyło, a jeszczeby gorzej było i więcej się złego namnożyło, gdyby zasie na to miesce miał przyjść, na którym był przedzej“ [1]. Zdaje się, że i Tarnowskiego również odwiódł skutecznie od popierania wygnanego rektora.

Wśród tych okoliczności, wywołać musiała tem większe zdumienie nagła i niespodziewana wiadomość, że z kancelaryi królewskiej przyszło pismo do Lubodzieskiego, z poleceniem, żeby Hoppego nietylko przyjąć napowrót do miasta, ale też kierownictwo szkoły nanowo mu powierzyć. Jestto rzecz zdumiewająca, a ten ustęp naszego opowiadania rzuca wiele światła na historyę tej codziennej walki podjazdowej, jaką z sobą prowadziły dwa religijne obozy. W jaki sposób otrzymano ten list królewski, opowiem niżej; narazie podaję sam przebieg faktów.

Dnia 17 lipca 1555 r. przybył do Chełmna Achacy Czema, wojewoda malborski, i oświadczył mieszczaństwu, że ma rozkaz królewski restytuować Hoppego; była tam z tego wielka zapewne radość. Nie pojechał jednakże Czema do Lubodzieskiego, co powinien był zrobić najpierw, zanim się porozumiał z mieszczanami; list królewski był i mógł być tylko do biskupa, nie do magistratu; restytucyi nie mógł dokonać magistrat, ale tylko biskup. Czemuż tedy Czema pojechał do Chełmna, choć dobrze wiedział, że tam Lubodzieski nie mieszka nigdy, zamiast do Łobawy lub do Chełmży? Sam w Chełmnie się zakwaterował, a do Chełmży wyprawił z listem królewskim kasztelana kowalewskiego, Plemięckiego. Lubodzieski był jak odurzony; tyle zrobił, żeby się wydać gorliwym, a tu teraz gorliwość nie popłaca! Gdybyż

[1] *Hosii Epistolae* nr. 1437. Oryginał polski.

pismo królewskie nadeszło było wcześniej! byłby się niem zasłonił przed Hozyuszem i Hoppe byłby sobie siedział spokojnie. Ale teraz był w fatalnem położeniu; obrazić króla niesposób, a usłuchać trudno, bo się stanie pośmiewiskiem mieszczaństwa, swych własnych poddanych, i tego człowieka, którego co dopiero wygnał. Powrót Hoppego byłby teraz już dotkliwą klęską dla jego powagi i znaczenia; byłby dowodem, że w dyecezyi chełmińskiej prawdziwym panem jest nie biskup, ale Czema, a biskup słuchać go musi. Lubodzieski pod wpływem Hozyusza zsolidaryzował się na zewnątrz zupełnie z wygnaniem Hoppego, do tego stopnia, że powrót rektora stawał się jego osobistą porażką.

Król polski nie miał prawa wydać w tej sprawie rozkazu biskupowi; mógł tylko uczynić to w formie rady i życzenia, i zapewne w ten sposób list był zredagowany (pismo królewskie nie dochowało się niestety); nie było to *mandatum*, ale tylko *litterae R. Mtis.* Faktyczna przewaga króla nad biskupem sprawiała oczywiście, że w praktyce wychodziło to na jedno, ale w zasadzie biskup każdy mógł i miał prawo nie wypełnić zleceń królewskich w sprawach swego biskupiego urzędu, boć w tych sprawach król nie miał prawa wydawać żadnych poleceń. Mógł tedy Lubodzieski się oprzeć i powiedzieć stanowczo: nie pozwolę Hoppemu wracać.

Trzy dni namyślał się biskup chełmiński, co począć; rozpoczął formalne pertraktacye z Czemą, bawiącym w Chełmnie. Nie życzył sobie powrotu wygnańca, ale też nie myślał o stanowczej odmowie; na coś podobnego wobec samego króla byłby się zdobył chyba tylko sam Hozyusz. Przywołał do Chełmży krewnych swoich, Rafała i Łukasza Konopackich; oni i Plemięcki ze strony Czemy służyli za parlamentarzy. „Ci trzej przez ty trzy dni jeździli i tam i sam, jednając a sprawując tę rzecz“, pisze Kostka według opowiadania Czemy, z którym się spotkał dniem później w drodze pod Grudziądzem. Na trzeci dzień nareszcie Lubodzieski oświadczył, że zachowuje sobie czas do namysłu do św. Bartłomieja, tj. 24 sierpnia. Hozyusz dowiedział się zaraz o wszystkiem od Kostki, który już 20 lipca wzywał

go listownie, żeby napisał do Lubodzieskiego i do samego króla, „aby tego dopuszczać nie raczył“ [1].

Hozyusz napisał o wszystkiem do prymasa Dzierzgowskiego, który miał pisać do króla. Sam Hozyusz do króla nie pisał, wkrótce bowiem miał i tak jechać na dwór królewski, jako delegat całego episkopatu polskiego w sprawach religii, co proponowano na sierpień; a Dzierzgowski, wzywając Hozyusza do podjęcia się tej misyi, zwracał mu słusznie uwagę, że najlepiej zrobi, jeżeli przy tej sposobności sam osobiście z królem się rozmówi w sprawie chełmińskiej; swoją drogą miał prymas do króla pisać [2]. Tak tedy akcyi „Hoppiańskiego *clanculum*“, miano przeciwstawić na dworze królewskim swoją własną akcyę.

Ale tymczasem Hoppe do Chełmna powrócił, zamieszkał odrazu w szkole i zaczął uczyć prywatnie zrazu, od września zaś wprowadzony na urząd publicznie przez Czemę, który twierdził, że ma do tego od króla specyalne upoważnienie. Lubodzieski zdawał się we wszystkiem na Hozyusza, zaręczając, że zrobi wszystko, cokolwiek mu doradzi; na jego ręce przesłał też list od siebie do króla, pozostawiając do woli Hozyusza, czy go wysłać teraz, czy nie. Obecnie Lubodzieski pragnąłby równie gorąco Hoppego się pozbyć, jak sam Hozyusz [3].

Hozyusz, nie czekając aż będzie na dworze, list Lubodzieskiego przesłał królowi i drugi od siebie dołączył. Rozpisał się o wielu sprawach pierwszorzędnej wagi dla Kościoła [4] — był to rodzaj memoryału podanego królowi — i dotknął przy tem sprawy Hoppego. Tej ostatniej przypilnować miał na dworze bawiący tam wówczas Marcin Kromer i wpływać głównie na podkanclerzego Przerembskiego. Podkanclerzy doniósł nareszcie 19 września Hozyuszowi w krótkich słowach, naprędce, że „król przyrzekł Hoppego z Chełmna wyrzucić, i biskup chełmiński wygra sprawę, ale dobrze zrobi, jeżeli nie przedsięweźmie niczego, aż po sejmie Grudziądzkim“ [5]. Chodziło rządowi widocznie o to,

---

[1] *Hosii Epistolae* nr. 1437.
[2] Tamże nr. 1460. [3] Tamże nr. 1461 i 1466.
[4] Tamże nr. 1476. [5] Tamże nr. 1477 i 1486.

żeby sejm pruski odbył się spokojnie. Dnia 1 października 1555 otrzymał Lubodzieski z kancelaryi królewskiej „list królewski", upoważniający do wypędzenia Hoppego; pismo tak stanowczo było wystylizowane, że Lubodzieski nachwalić go się nie mógł; przepełniony radością, posłał zaraz kopię Hozyuszowi. Nie wydał się jednak ze swym skarbem przedwcześnie; postanowił usłuchać rady Przerembskiego i poczekać, aż będzie po sejmie pruskim, ale potem — „ani chwilki zwłoki!"

Łatwo się domyśleć, że Lubodzieski słowa dotrzymał: podrażniony osobiście do najwyższego stopnia, uważał Hoppego za osobistego już wroga, nienawidził go i nie miał nigdy dość słów oburzenia dla niego w swych listach; a był to ten sam Hoppe, któremu niedawno powierzył własnych siostrzeńców, wbrew kierunkowi Hozyusza. Ale wtenczas chodziło o zasadę, dla której osobiście był obojętny — a teraz o osobistą satysfakcyę, więc można było na nim polegać, choć zasadniczo sprawa pozostała mu obojętną tak samo, jak przedtem.

Kiedy i w jaki sposób Hoppego wypędzono powtórnie, nie wiemy. Z końcem grudnia zjawia się w Elblągu; na Nowy Rok 1556 czekała Hozyusza wielka niespodzianka. Oto Elblążanie z wielką uroczystością wprowadzili Hoppego do swej szkoły, powierzając mu jej kierownictwo. Wygnał Hozyusz Hoppego z dyecezyi chełmińskiej, ale miał go za to teraz w swojej własnej; a Elbląg był wolnem miastem królewskiem, ztąd go wypędzić mógł tylko sam król. Król zaś nie miał zamiaru prześladować protestantów; jeżeli przystał na wydalenie Hoppego z Chełmna, to pewnie nie ze względów religijnych, ale ze względu na zasadę utrzymania powagi legalnej władzy, którą Lubodzieski reprezentował w Chełmnie, jako w swojem prywatnem mieście. Czy Hozyusz, wzbogaciwszy sam mimowoli swoją dyecezyę Hoppem — miał się uważać za zwyciężonego? Bynajmniej! Łatwo zresztą było przewidzieć, że Hoppe uda się do Elbląga, gdzie właśnie chciano szkołę miejską rozszerzyć — ale Hozyusz dobrze wiedział, że elbląska szkoła nie ma ani tego znaczenia, ani tej doniosłości, co chełmińska; to też elbląską dawno się już zajmować przestał, zwróciwszy wzrok na Chełmno. Dodajmy, że Elbląg był już tak na-

wskróś protestanckiem miastem, iż o utrzymaniu tam teraz katolickiej szkoły nie można było ani marzyć. W Elblągu można było działać już tylko gwałtownymi środkami, siłą rozkazu królewskiego; tak przynajmniej sądził Hozyusz i tego sobie życzył; podczas gdy w Chełmnie można było jeszcze wszystko ocalić, zapomocą szkoły.

Cóż tedy stało się na dworze królewskim, że król w krótkim czasie wydał dwa wręcz przeciwne polecenia; czy był z początku mylnie poinformowany, czy też Hozyusz lepiej od Czemy umiał sobie radzić? Zwróćmy też uwagę na to, że w drugim liście nie było odwołania pierwszego, a przynajmniej nikt o żadnem odwołaniu nie mówi ...

Okazało się następnie, że pierwszy list królewski, przywieziony przez Czemę, był falsyfikatem. Jakiś notaryusz w kancelaryi Ocieskiego, przekupiony widocznie, akt ten sporządził i tak zgrabnie podsunął, że dyrektor kancelaryi [1] się nie spostrzegł. Nietylko król, ale ani Ocieski o niczem nie wiedział; dowiedziawszy się następnie, nie mógł sprawy rozgłaszać; sam zapewne pilnował, ażeby król się nie dowiedział, że pod jego zarządem taki wypadek jest możliwy. Czema przekupił zdaje się nie jednego, ale kilku urzędników, jak wnosić można z tego, że Ocieski nie mógł się dowiedzieć, kto właściwie winien jest fałszerstwa; łatwo byłoby sprawcę wyśledzić, gdyby, prócz jednego, wszyscy byli niewinni. Bliższych wyjaśnień dostarczyć tu trudno, bo nie znamy całkiem urządzeń kancelaryi Zygmuntowskiej; dodać chyba wypada, że podobne wypadki zdarzały się w XVI. wieku częściej, a zwłaszcza w kancelaryi cesarskiej.

Wojewoda malborski był zapewne w trwodze, że sprawa się wykryła przed królem, gdy widział, że Lubodzieski ma prawdziwe „pismo królewskie“ wręcz przeciwnej treści. Jakkolwiek trudno przypuścić, ażeby był na tyle nieostrożnym, iżby się był sam bezpośrednio znosił z urzędnikami kancelaryi i sam osobiście ich przekupywał, sprawa jednak była dlań nader drażliwą, i skończyć

[1] *Hosii Epistolae* nr. 1602. „Cancellariae director“. List ten jest cenny, jako jedno z nielicznych źródeł do kancelaryi królewskiej.

się mogła w danym razie wielkim dla niego skandalem. Zrazu siedział też cicho i był obojętnym świadkiem wypędzenia Hoppego; gdy jednak minęło pół roku od wygnania rektora, a sprawy falsyfikatu nikt nie podnosił, Czema odzyskał śmiałość i pojechał wprost na dwór królewski, pomagać tym razem Elblążanom, z którymi Hozyusz właśnie gwałtowne miał spory.

Hozyusz nie wątpił, że Czema, jeżeli przychylnie przyjęty będzie na dworze królewskim, nie zaniecha wznowić sprawy Hoppego, chociażby w ten sposób, ażeby mu pozwolono wracać w a r u n k o w o, jak to już raz proponowano. Hozyusz uprzedzał zgóry (a wiemy już, że Lubodzieski zdał tę sprawę faktycznie zupełnie na Hozyusza), że nie przyjmie Hoppego, chociażby mu kazano stawić się osobiście przed nim i przyrzec, że religii wykładać nie będzie, ani uczniów odwodzić od katolickich praktyk religijnych. „Jeżeli się wyda takie rozporządzenie — dawał Hozyusz znać sferom nadwornym przez Karnkowskiego (wówczas sekretarza królewskiego) — odpowiem wam krótko: Należy Boga słuchać bardziej, niż ludzi; jeżeli zaś chcielibyście mnie zmusić, będę z tego wnosił, że nie chcecie, żebym był nadal biskupem. Jeżeli o to wam chodzi, porzucę bez żalu to, o co się nigdy nie ubiegałem; o niczem tak często nie myślę, jak o tem. Dlatego też proszę mi pozostawić zupełną władzę przyjęcia lub oddalenia tego człowieka: jeżeli zdołam go namówić, żeby augsburską wiarę zamienił na chrześcijańską, dlaczegóżbym miał odrzucić powracającego na dobrą drogę? Ale jeżeli będzie wolał trwać przy herezyi, czemuż wybiera pobyt pod królem katolickim, w dyecezyi katolickiego biskupa, zamiast pójść sobie tam, gdzie jest miejsce i na augsburskie i na szatańskie wyznanie, gdzie mu wolno będzie wyznawać bezkarnie wszelką wiarę, jaką tylko mu się spodoba?“

Obawy biskupa warmińskiego były tym razem płonne. Czema na dworze nic nie osiągnął; sam się o tem wyraził, że Hozyusz „doma będąc wszystko lepiej zjednał aniżeli on, dlaczego jeździł“ [1].

---

[1] *Hosii Epistolae* nr. 1637.

Jestto całkiem naturalne i rozumie się samo przez się, że Hozyusz starał się o to, żeby Hoppego z Elbląga wyrzucić; choćbyśmy żadnego nie mieli świadectwa źródłowego, należałoby się tego domyślać na podstawie usposobienia i charakteru Hozyusza. Zwróciłem już uwagę na to, że tu sprawa była jeszcze trudniejsza, niż w Chełmnie, ponieważ Elbląg był wolnem miastem królewskiem. Dopóki zachodziła jeszcze obawa, że Hoppe mógłby powrócić, Hozyusz zachowywał się biernie wobec szkoły elbląskiej, jakkolwiek o inne sprawy gwałtowne z miastem miał spory; skoro tylko jednak zyskał zupełną pewność, że wygnanie Hoppego z Chełmna należy uważać za nieodwołalne, gdy się dowiedział, że Czema powrócił od króla z niczem, zaraz rozpoczął nanowo wojnę szkolną. W październiku 1556 r. miał już mandat królewski do Elblążan, ażeby wydalili Hoppego; nie „list królewski", jak przedtem, lecz *mandatum*, którego usłuchać byli bezwarunkowo obowiązani. Protestanckie stany nie słuchały jednak nigdzie katolickiej zwierzchności, póki nie były zmuszone, nie słuchały też króla w Polsce; to rzecz całkiem naturalna zresztą.

Na sejm malborski w maju 1556 r.[1], przysłał król mandat przeciw kacerzom, a mianowicie przeciw „anabaptystom, pikardom i innym heretykom"[2], tej treści, że dowiedziawszy się, iż w niektórych miejscach w Prusiech magistraty użyczają im opieki, przykazuje Stanom, ażeby obmyślały sposób, w jakiby tych ludzi można powściągnąć, albo z okolic i miejscowości tych wypędzić *(pellantur)*. Mandat ten nosi aż nazbyt widoczną cechę dwóch przeciwnych sobie kierunków działających na dworze królewskim, które miały najwybitniejszych przedstawicieli w osobach Achacego Czemy i Hozyusza; jestto półśrodek, leżący gdzieś pomiędzy stanowiskiem wyraźnie katolickiem a wyraźnie luterskiem. Napozór zwraca się ten mandat stanowczo przeciw protestantom, ale też tylko napozór; w praktyce nie był dla nich groźnym. Zważmy bowiem, że w mandacie nie wymieniono

[1] Lengnich, *Gesch. der preuss. Lande*, II. 131—142.

[2] Lengnich II, *Documenta* nr. 19, dat. Wilno 16 marca 1556.

wyraźnie luteranów, ani Augsburskiej konfesyi, którą wyznawała większość Prus; jest mowa tylko o nowochrzczeńcach i pikardach, których zastęp był nieliczny; wydalenie tych niewieleby pomogło obozowi katolickiemu, a wzmocniłoby stanowczo obóz protestancki. Wymieniwszy te dwie sekty, dodano charakterystyczne słówko: *et aliis haereticis*, wyrażenie nieokreślone, bez wartości jurydycznej, rzucone nie przypadkowo oczywiście, ale umyślnie tak dobrane, ażeby nikt nie mógł być pewnym, co ono właściwie ma oznaczać. Kogóż należało rozumieć przez tych „innych heretyków"? Katolicy byliby w 10 lat później orzekli chórem i bez wahania, że heretykami są wszyscy, którzy wierzą inaczej, niż orzekł sobór Trydencki — ale w r. 1556 niejeden szczerze do Kościoła przywiązany miał ciężkie wątpliwości, czy daną osobę zaliczyć jeszcze do katolickiej społeczności, czy też już nie. Pamiętać bowiem trzeba, że nietylko po tej stronie było mnóstwo osób wahających się i mniej zdecydowanych; było ich bardzo dużo na protestanckiej stronie. *In dubiis libertas* — a jeszcze nie każdy wiedział, że to, nad czem on wertuje biblię, szukając wyjaśnienia, bynajmniej nie jest *dubium*. Bywały wypadki, że tylko biegły teolog mógł oznaczyć, czy kto jest katolikiem, czy nie. Większa połowa luteranów uważała się też całkiem szczerze za katolików i spodziewała się, że po soborze największy osiągną tryumf, przez to, że sobór przyzna słuszność ich interpretacyi Pisma św. Przyznawali się oni otwarcie do tego, że są luteranami, ale nie widzieli w tem nic akatolickiego. Takich jednostek, jak np. Łaski lub Radziwiłł Czarny, któreby jasno zdawały sobie sprawę z przepaści wytworzonej pomiędzy protestantyzmem a katolicyzmem, któreby do pogłębienia tej przepaści dążyły również świadomie — było w życiu publicznem niewiele; o ile zaś były, pojawiały się w obozie luterskim bez porównania rzadziej, niż w kalwińskim. Achacy Czema, którego Hozyusz uważał za jakiegoś strasznego herszta i herezyarchę nawskróś, był w rzeczywistości pod religijnym względem nie bardzo wiedzącym co czyni, prowincyonalnym politykiem, który w przekonaniach swych na punkcie katechizmu wcale nie był stanowczym i także czekał soboru.

Cóż wobec tego mogły znaczyć słowa królewskie: „i innych heretyków“? Same przez się nie znaczyły nic; wymagały interpretacyi, a ta w ustach każdego interpretatora musiała z natury rzeczy wypaść inaczej! Żadnej zaś interpretacyi nie można było uważać za prawdziwą, o każdą można i wolno było się sprzeczać, bo prawdziwą mógł dać tylko król, który tego widocznie uczynić nie chciał, bo uważał luteranów i kalwinów tak samo za obywateli swego państwa, jak katolików.

To też ani nawet Hozyusz nie myślał, żeby można wszystkich „innych heretyków“ z Prus wypędzić. Pragnął jednak zrobić z tego mandatu użytek w kilku specyalnych wypadkach, ażeby się pozbyć samych apostołów „piątej ewangelii“, a między nimi Hoppego, którego ze względu na jego urząd słusznie do nich zaliczał.

Pochwaliwszy gorąco mandat królewski, zwrócił się Hozyusz wprost do Elblążan, wykazując im, jak nieprawdziwemi są wszelkie wieści o królu, jakoby sam był protestantem. Ujął się za Elblągiem Achacy Czema, ale właściwy odpór dała sama szlachta w odpowiedzi swych posłów na orędzie królewskie. Zaczęli od religii w ten sposób:

„Jedność religijna nie da się utrzymać bez uczonych i pobożnych kaznodziei i nauczycieli; ale z teraźniejszego postępowania biskupów nie może być inny wynik, jak tylko ten, że skutkiem uciemiężenia słowa bożego lud popadnie w taką ślepotę i głupotę, iż zginie dobry obyczaj i bojaźń boża, a więc dobro publiczne zupełnemu ulegnie zniszczeniu. Wiedzą wszyscy, w jaki to sposób pozbawia się urzędu dzielnych kaznodziei, jak biskup chełmiński wypędził rektora chełmińskiej szkoły z całego województwa, bez prawnego pozwu i wyroku; ale jak to wszystko szkodliwe, a zwłaszcza ten ostatni wypadek, pozna łatwo każdy, kto wie, jakie korzyści płyną ze szkół dobrze urządzonych i jaki jest w Prusiech brak takich szkół. Dlatego bardzo przykro dotknęło całą szlachtę chełmińską usunięcie tego rektora, ale pocieszono się nieco nadzieją, że mu się w Elblągu udzieli przytułku. Skoro jednak biskup warmiński i ztamtąd chce rektora wypędzić, przykrość nanowo się wzmaga. Upadek szkoły

chełmińskiej przypisać należy rozdwojeniu religijnemu, a więc wszystka szlachta prosi, ażeby biskupi pozostawili w spokoju kwestye wiary aż do powszechnego lub narodowego soboru". W kilka dni później oświadczyli posłowie szlacheccy, co następuje: „Doszło do naszej wiadomości, że biskup warmiński wyraził się, iż się da we znaki byłemu rektorowi chełmińskiemu, Hoppemu; wnosimy z tego, że niema się od biskupów spodziewać czego dobrego; prosimy tedy, ażeby senat wyznaczył jednego z wojewodów wraz z kilkoma posłami ziemskimi na dwór królewski, ażeby tam szukać rady w tych trudnościach".

Hozyusz odparł na to na posiedzeniu senatu wprost tak: „Takich nauczycieli, jak Hoppe, ścierpieć nie mogę; nie prześladowałem może tego rektora dotychczas w Elblągu, ale zrobię to teraz, i o ile tylko zdołam, dam mu się we znaki". Dodał, że jeżeli Hoppe przyjdzie do niego do Heilsbergi, gotów jest pomówić z nim o sprawach religii, ale do tego trzeba będzie nie dwóch do trzech dni, lecz pięciu do sześciu tygodni; być może, że zrobi się z niego dobry katolik; przez ten czas może Hoppe być pewnym zupełnego osobistego bezpieczeństwa i kompletnego glejtu ze strony biskupa.

Elblążanie odpowiedzieli na to, że Hoppe gotów uczynić wyznanie wiary przed senatem pruskim, ale waha się słusznie stawić się przed samym tylko Hozyuszem, jako notorycznym swym przeciwnikiem. Skoro zatem Hoppe gotów stanąć przed senatem, a żyje spokojnie i poczciwie, urząd swój piastuje sumiennie, i tylko jako „filozof", nie wdając się wcale w teologię, nie pojmują zgoła posłowie elbląscy, dlaczegoby go miano wydalać z miasta; uczyniliby to sami, gdyby go przekonano o kacerstwo. Czyż wobec takiej odpowiedzi nie miał racyi Hozyusz, twierdząc, że teraz każdy wojewoda i burmistrz chce być biskupem?! „Ja jednak, póki jestem biskupem, nie zrzeknę się wykonywania biskupiej władzy, choćby mi to król przykazał, choćbym miał stracić doczesne pomyślności, a choćby nawet przyszło nałożyć głową".

Ostatecznie wyprawiono z początkiem czerwca Achacego Czemę na dwór królewski z różnemi żądaniami, a przedewszy-

stkiem z prośbą, „ażeby król nowości i zmian zaprowadzonych w religii w Prusiech na złe nie tłumaczył“; zapewne chciał i o Hoppem się rozmówić. Ale Czema króla nie zastał w Wilnie, a senatorowie dawali mu do zrozumienia, że lepiej nie odstępować od wiary ojców.

W lipcu 1556 r. doniósł podkanclerzy Przerembski Hozyuszowi, że Hoppe z Elbląga „wykluczony“; wiadomość podana lakonicznie, bez żadnych wyjaśnień. Domyślać się wypada, że chciał przez to powiedzieć, iż król zamierza wdać się w tę rzecz po myśli Hozyusza, i Elblążan chce zmusić do oddalenia rektora; prawdopodobnie dał król w tej mierze jakieś przyrzeczenie, ale mandatu na piśmie widocznie nie było jeszcze, i zachodzić mogła obawa, czy myśl królewska się nie zmieni, skoro Przerembski dodaje zaraz: „będę się starał, żeby go nie przywrócono“ [1]. W sierpniu zapytywał Hozyusz przez Karnkowskiego na dworze, czyby nie można skłonić króla, ażeby dał od siebie wojewodzie malborskiemu do zrozumienia, że sobie zatrzymania Hoppego nie życzy, ażeby wojewoda nie zamącał o rektora zbliżającego się drugiego sejmu pruskiego [2]. Czy król to zrobił, nie wiemy, ale orędzie na ten sejm przysłane wolę królewską zaznaczało wyraźnie.

W orędziu na sejm grudziądzki, na św. Michał 1556 [3], postanawiał król wyraźnie, że mianowanie nauczycieli należy do biskupów, ażeby mogli oddalać podejrzanych w wierze i powierzać wychowanie młodzieży katolikom, na miejsce heretyków; zarazem zgromił król surowo wtrącanie się stanów świeckich w sprawy religijne. Hozyusz po tem orędziu tem bardziej uderzył na Elblążan i wypomniał im znowu Hoppego; posłowie ich odparli znów kategorycznie, że nie mogą się bez niego obejść, boby narazili miasto na wielkie szkody. Osobnej rozprawy o osobie rektora nie było jednak już na tym sejmie; stany protestanckie przycichnęły też znacznie; senat, posłowie szlacheccy

[1] *Hosii Epistolae* nr. 1639. „Hopium Elbinga exclusum esse, scio; ne restituatur, laborabo“.

[2] Tamże nr. 1663.

[3] Lengnich II, 147—154.

i z mniejszych miast nie wystąpili wcale przeciw orędziu; uczynili to tylko posłowie trzech „wielkich miast“ (Gdańska, Torunia, Elbląga), ale za to tem energiczniej. Wyprawili od siebie osobne poselstwo na sejm warszawski, zwołany właśnie na pierwszą niedzielę adwentu.

Elblążanie, pomimo ostatniego orędzia królewskiego, byli dobrej otuchy. Hoppemu, na złość Hozyuszowi, zamierzali nadać u siebie prawo miejskie; miał się u nich ożenić i stale osiąść. Był jakoś dziwnie pewny swego: rozgłaszał, że król rozkazał, ażeby nie zważać nawet na jego mandaty, choćby wyszły z królewskiej kancelaryi, jeżeli będą wystosowane przeciw protestantyzmowi w Elblągu, ponieważ nie pochodzą one „z myśli królewskiej“. Hozyusz pisze z tego powodu do Karnkowskiego, sekretarza królewskiego: „Czemżeż tedy jesteście, zdaniem Hoppego, jeżeli nie podrabiaczami i fałszerzami dokumentów? A my musimy mu wierzyć, skoro widzimy, że milczeniem i biernością swoją przyznajecie się niejako do tego. Gdy na przyszłość przyślecie do nas orędzie o uchwalenie podatków, także nie uwierzymy, dopóki nie oczyścicie się z tego zarzutu Hoppego“... „Ale ja boję się, że im bardziej krzątam się około tej sprawy, tem mniej zdziałam. Wam bowiem będzie się to może wydawać dziwactwem, żeby zdziaławszy nieco, nie chcieć ustąpić, póki się nie zrobi wszystkiego; może to będziecie uważali za coś ordynarnego i nieprzyzwoitego *(agreste et incivile)*. Zaklinam Was, skłońcież swego pana (kanclerza Ocieskiego), żeby się nie dał Hoppemu tak lekceważyć i zwodzić“ [1].

Teraz zależało wszystko od tego, co sprawią posłowie wielkich miast w Warszawie. Wobec zawieszenia juryzdykcyi duchownej na sejmie piotrkowskim 1555 r. należało się obawiać, czy teraz nie rozszerzy król tego na Prusy. Jeżeliby w Warszawie potwierdzono nanowo zasadę: *uti possidetis, ita possideatis*, zawieszenie juryzdykcyi w Prusiech byłoby prostą konsekwencyą, bo jakkolwiek prawa koronne Prus jeszcze nie obowiązywały, nie mógłby król nadal występować przeciw protestantom

[1] *Hosii Epistolae* nr. 1680 i 1691.

w Prusiech, pozostawiając im swobodę w Koronie. A właśnie potrzeba zmuszała króla liczyć się z protestantami; gotował się bowiem na wyprawę inflancką, do której potrzebował poparcia sejmujących Stanów. Rząd starał się też usilnie nie dopuścić na tym sejmie do zwad religijnych, i osiągnięto rzeczywiście to, że drażliwej kwestyi całkiem nie tykano. Protestanci radzi byli temu milczącemu przedłużeniu zawieszenia juryzdykcyi, a biskupi siedzieli cicho. Hozyusz, nie będąc senatorem koronnym, na sejmie głosu nie miał; pojechał jednak na sejm, ażeby w danym razie spraw swych pilnować. Na dworze wiedziano, że Hozyusz sam jeden gotów wszcząć burzę, choć nie na sejmie, to jednak podczas sejmu, co w praktyce na jedno wychodziło; skoro sejm w tem samem mieście obradował, nie pozostałby obojętnym. Kupiono sobie tedy u Hozyusza milczenie, przyrzekając mu, że Hoppe będzie wypędzony. Sam król osobiście mu to przyrzekł [1]. Hozyusz widząc, że sprawy ogólne nie będą na sejmie poruszane, wyjechał przed końcem sejmu. Po jego wyjeździe sprawy religijne także nie były omawiane, tak, że narazie całą tę rzecz „milczeniem pogrzebano“, jak się wyraził.

Posłowie trzech miast pruskich zostali jeszcze w Warszawie; łatwo się domyśleć, że protestanccy senatorowie i posłowie, będący wobec potrzeby inflanckiej panami sytuacyi, nie skąpili im swego poparcia. Owocem ich zabiegów było to, że król 10 stycznia 1557 r. przystał na wprowadzenie „nowinek“ do tych miast, a Gdańskowi wydał nawet na to osobny przywilej 3 lutego 1557 r. Miasto Gdańsk było przecież bankierem Korony, jakżeż mu można było czego odmówić w przeddzień wojny, tem bardziej, że do tej wojny potrzebną być mogła — flota! Król był w tej chwili formalnie od Gdańszczan zawisłym. Toruniowi i Elblągowi przywilejów takich jednak nie udzielono; król jeszcze się certował, ale w r. 1558 i te dwa miasta otrzy-

[1] Wnoszę to ze słów listu Hozyusza do króla z 19 lutego 1557 r. (nr. 1711): „quod semel iam et iterum fieri decrevit Mtas. V.“; tamże: „Verbum est regium, quod egressum est ex ore Mtis. V.“

mały na piśmie formalne, aczkolwiek we wstydliwą formę ujęte, przywileje na „reformowanie“ Kościoła.

Sprawa katolicka poniosła w Prusiech dotkliwą klęskę, nie dlatego, jakoby król chciał formalnego wprowadzenia protestantyzmu, nie dlatego, żeby wpływ Czemy był większym na dworze od wpływu Hozyusza, nie dlatego, jakoby zmniejszył się wpływ Ocieskiego, szczerego katolika: ale poprostu i jedynie dlatego, że wybuchnęła wojna inflancka. Tem się też tłumaczy nieprzezwyciężony wstręt Hozyusza do mieszania się Polski w sprawy Inflant; nienawidził tej wojny, brzydził się nią i uważał za szkodliwą dla państwa, wierny zawsze swemu stanowisku i przekonaniu, że najwyższem dobrem kraju jest dobro Kościoła w tymże kraju. Nie krył się zresztą wcale z tą zasadą, nieubłaganą w swych konsekwencyach u takiego wyznawcy. Nawet po wojnie, kiedy polityczne korzyści przedsięwzięcia leżały już jak na dłoni, Hozyusz i tak nie przestał wyrzekać na tę wyprawę. Cóż jemu z tego, że król upokorzył landmistrza, że opanowano Dźwinę, skoro za to Elblążanie komunikowali *sub utraque,* i liturgię protestancką wprowadzili!

Wróćmy do opowiadania. Kiedy Hozyusz jechał z Warszawy do Prus, sądził zapewne, że pozostanie *status quo* w Koronie i w Prusiech; gdyby był lepszym politykiem, byłby zrozumiał, że dłuższe utrzymanie *status quo* w Koronie pociągnąć za sobą musi wprowadzenie podobnego stanu rzeczy do Prus. W Prusiech nie zawieszono juryzdykcyi duchownej, swobody wyznania luteranom jeszcze nie przyznano; Hozyusz sądził, że pozostanie tylko faktycznie groźny, lecz nielegalny stan rzeczy, że zatem pozostanie nadal możność walczenia z nim. On nie przewidywał, czem będą dla króla Prusy wobec wojny inflanckiej, on całkiem się w tem położeniu nie zoryentował — i wyjechał, wyrzekając na przedłużenie *status quo*, co już uważał za dość wielką klęskę, ani się domyślając, że czeka go klęska nowa, znacznie cięższa!

Jakże przykrą niespodzianką musiała być dlań w styczniu wiadomość o przyznaniu wolności wyznania trzem miastom, a jeszcze większą w lutym list Ocieskiego (zasadniczego protestantów wroga, ale polityka z zawodu i z powołania), pisany w te słowa:

„Co do Elblążan i Hoppego, o których Wasza Przewielebność tylekroć się kłopotał, boję się bardzo, czy nie zadaje sobie trudu napróżno; gdyby mnie Wasza Przewielebność pytał o radę, radziłbym bardzo użyć pewnej pobłażliwości i łagodności, tam gdzie surowe środki na nic się nie zdadzą: bo z tej strony, z której W. P. spodziewa się pocieszenia i gdzie całą nadzieję pokłada, niema się już czego spodziewać. Nie znajdują już w tej sprawie posłuchu ani mandaty samego monarchy; mam zaś pewne poszlaki, że nieposłuszeństwo to pochodzi z tych właśnie przyczyn, których W. P. przedtem już się domyślał; a przyczyny te obecnie raczej się wzmogły, niż zmniejszyły; jeżeli Wasza Przewielebność znów chce się oprzeć na mandatach, ich coraz bardziej rozdrażni, a na siebie bez najmniejszego pożytku coraz większą ściągnie nienawiść“ [1].

Jak na dyplomatę, list ten aż nazbyt wyraźny. Król stawał widocznie po stronie miast pruskich i życzył sobie, żeby Hoppe w Elblągu pozostał, aby Elblążan nie drażnić. Było to w rażącej sprzeczności z danem niedawno przyrzeczeniem. Czy na dworze liczono na to, że Hozyusz da pokój Hoppemu, skoro go się o to poprosi? Nie znano chyba Hozyusza.

Na sejmie grudziądzkim złożył król w urzędowem swem orędziu wyraźne oświadczenie, że przyjmowanie i oddalanie publicznych nauczycieli należeć ma wyłącznie do biskupów. Hozyusz chwycił się tego i nie dbając na nic, czego sobie król osobiście życzy, żądał spełnienia tego rozporządzenia na Hoppem. Sprzeciwiało się to zasadniczo przyrzeczeniu wolności wyznania w trzech wielkich miastach i wprawiało zapewne w niemały kłopot kancelaryę królewską, ale Hozyusz nie myślał ani na chwilę ustąpić. Uparł się i żądał, żeby Hoppego wypędzić, pomimo pozwolenia reformowania, którego udzielono miastom w Warszawie. Na szczęście Elblążanie nie mieli jeszcze przywileju na piśmie w tej sprawie (w tym roku otrzymał go sam tylko Gdańsk); dało się jeszcze coś zrobić i można było dalej kołatać. Na dworze wymyślono ciekawy sposób dogodzenia obydwom stronom naraz:

[1] *Hosii Epistolae* nr. 1709.

Hoppe miał opuścić Elbląg, ażeby się stało zadość żądaniu biskupa, ale — po kilku tygodniach miał powrócić, nanowo przyjęty. Sądzono widocznie na dworze, że Hozyusz upiera się przy swojem tylko z osobistej ambicyi, a gdy się dla uspokojenia go urządzi komedyę wydalania rektora, już na tem poprzestanie, a w gruncie rzeczy schyli czoło przed koniecznością liczenia się z protestantami. Hozyusz, dowiedziawszy się o zamiarze odegrania tej komedyi, napisał wprost do samego króla, przypominając, że król dał mu swe słowo [1].

Czegokolwiekby wymagała polityka — królewskie słowo, nieopatrznie dane, musiało być dotrzymanem; skoro Hozyusz do tego się odwoływał, Hoppe ustąpić musiał. Elblążanom dano prawdopodobnie do zrozumienia, że nie otrzymają przywileju reformacyjnego, póki się Hoppego nie wyrzekną; za to ustępstwo mieli otrzymać zapewnienie, że nigdy już ustępować nie będą musieli. Hozyusz zaś zyskiwał rękojmię, że nie będzie w Prusiech wielkiej protestanckiej szkoły, że mu nikt nie będzie przeszkadzał w założeniu i rozwoju katolickiego zakładu naukowego. Liczył na to, że po wygnaniu Hoppego nawet protestanccy rodzice będą musieli posyłać swe dzieci do katolickich szkół, o których ciągle marzył.

Z końcem lutego rozeszła się pogłoska, że Hoppemu kazano opuścić Elbląg; rektor jednakże nie ruszył się wcale, próbując widocznie, czy mu się zostać nie uda. Magistrat elbląski nie wypędzał go oczywiście, bo byłby wolał, żeby Hoppe rozkazu nie usłuchał. Hozyuszowi doniesiono, że już z miasta wyjechał; ale biskup nie dał się podejść i miał dokładne informacye o wszystkiem z Elbląga. Łatwo było przewidzieć, że wezwania magistratu, wydanego tylko dla pozoru, Hoppe nie usłucha, jeżeli się na sam magistrat nacisku nie wywrze. Pilnował tej sprawy na dworze Karnkowski; Przerembski był za tem, ale się nie spieszył; z początkiem marca nic stanowczego jeszcze nie przedsięwziął. Pisał tedy Hozyusz do króla powtórnie i jeszcze po raz trzeci, „żeby pamiętał o swem słowie“, i słusznie twierdził, że

[1] *Hosii Epistolae* nr. 1711, 1712, 1713.

otrzyma, czego żąda, boć król słowa dotrzymać musi. Zwłoka pochodziła zapewne ztąd, że nie chciano Hoppego z niesławą wypędzać, wolano go skłonić, żeby nie czekał przymusu. Prywatnie zniesiono się z magistratem, a Hoppe, przekonawszy się, że ustąpić musi, przeniósł się nareszcie do Gdańska, na stanowisko sekretarza tamtejszego magistratu. Kiedy z Elbląga wyjechał, dokładnie nie wiemy; nastąpiło to w kwietniu lub w maju 1557; w czerwcu już go tam nie było [1].

Równocześnie z wydaleniem Hoppego z Elbląga, zaświtała Hozyuszowi nadzieja, że po rozbiciu dwóch już szkół protestanckich, uda mu się nareszcie założyć katolicką, na większą skalę. Właśnie w lutym 1557 przyjechał nareszcie, po długich poszukiwaniach i oczekiwaniach, nauczyciel, który miał wskrzesić w duchu katolickim szkołę chełmińską, opustoszałą przeszło od dwóch lat.

Jesienią 1556 r. upatrzył Hozyusz na urząd rektora chełmińskiego d-ra Piotra Raymunda, humanistę i lekarza zarazem. Raymund pochodził z Lausanny w Szwajcaryi, zkąd przed 15 laty, porzucając ojczysty majątek, uciekać musiał przed prześladowaniem religijnem sekciarzy. Przez kilka lat był profesorem w Wiedniu, zkąd go Hozyusz pozyskał. Nie wiadomo, czy Raymund niezadowolony był z Wiednia, czy też co innego skłoniło go do opuszczenia tego miasta; w chwili, gdy Hozyusz do niego trafił, najmował się właśnie za lekarza do Czech. Propozycyę Hozyusza zaraz przyjął, czekano tylko, żeby Lubodzieski sam do niego napisał; bo wszak formalnie nie Hozyusz, ale Lubodzieski musiał go przyjąć. Biskup chełmiński z największą radością powitał wiadomość, że będzie mógł nanowo szkołę u siebie otworzyć i zamknąć przez to usta protestantom, którzy powiadali, że biskupi tylko zamykać szkoły umieją, ale zakładać ich nie chcą. Napisał list z zaproszeniem; gdy zaś Raymund stanął już w Prusiech, nietylko własne konie po niego posłał, ale sam osobiście do Chełmna go przywiózł, ażeby mu nadać

[1] *Hosii Epistolae* nr. 1716, 1722, 1723, 1785.

więcej powagi wobec mieszczaństwa [1]. W marcu 1557 r. rozpoczęto nanowo naukę w Chełmnie.

Wszelki początek trudny, tem trudniejsze musiały być początki katolickiej szkoły wśród niechętnej jej ludności. Gdy Hoppego wydalono z Chełmna, rodzice posłali dzieci za nim do Elbląga, ale teraz z Elbląga do Chełmna nikt synów nie przeniósł. Elblążanie sprowadzili sobie naprędce jakiegoś „Wittemberczyka", do którego „tłoczono się", a w Chełmnie wyborny nauczyciel miał „bardzo niewielu". Nie pomogło, że starano się szkołę podnieść wszelkimi sposobami. Sprowadzano nauczycieli do pomocy Raymundowi — ubiegał się tam o posadę magister Tomasz Lebersorg ze Śląska i jakiś drugi Wrocławianin nieznanego nazwiska, którego z powodu dobrego akcentu niemieckiego polecał Hozyuszowi brat jego Jan, osiadły w Wilnie. Czy ich przyjęto w Chełmnie, nie wiemy; ale skoro sami o przyjęcie się ubiegali, wnosić z tego należy, że ofiarowywano tam nauczycielom dobre, lepsze niż gdzieindziej, warunki — a płaca nauczyciela była, jest i będzie zawsze najlepszem kryteryum wartości i szczerości starań o szkołę [2].

Dr. Raymund podjął się rektoratu pod warunkiem, że tak on, jak jego pomocnicy i cała szkoła będzie pod bezpośrednią władzą biskupa. Spełnienie tego warunku natrafiło na nieprzezwyciężone trudności; miasto, jak wiemy już, chciało właśnie usunąć ze szkoły wpływ biskupa. Nietylko sprawy wyznaniowe wchodziły tu w grę, ale niemniej różne nieczyste materyalne interesy. Prawdziwą, faktyczną władzę, ma ten, który płaci — a tu tymczasem funduszami szkolnymi administrował magistrat przez t. zw. „prowizorów szkolnych". Mając fundusze w ręku, mieszczaństwo niewiele się troszczyło o biskupa. Szkoła wychodziła na tej administracyi fatalnie; ojcowie miasta okradali gminę

[1] *Hosii Epistolae* nr. 1662, 1687, 1711, 1712, 1713, 1725.

[2] Tamże nr. 1781, 1785, 1793, 1804. — Raymundowi płacić miano 100 grzywien rocznie, ale pomocników opłacano osobno, tak że w ten sposób pensya jego była wyższą, niż np. dawniej w Elblągu Gelasinusa, któremu płacono 200 grzywien, który jednakże musiał z tego opłacać pomocników i służbę.

i szkołę, gdzie się dało. Wydzierżawiali sobie nawzajem pola stanowiące majątek szkoły, ale w ten sposób, że co było warte sto grzywien, szacowali na trzydzieści; kamienice, które były własnością funduszu szkolnego, nie naprawiane z dawien dawna, stały pustkami; ogrody nieogrodzone stały otworem zwierzętom, a były między ogrodami takie, że można było mieć z nich 10—15 grzywien rocznego czynszu; ale prowizorowie woleli tam pasać swoje bydło, a owoce, o ile nie padły ofiarą gąsienic, zabierali do siebie. Grunta szkolne różnego rodzaju, role, łąki, pastwiska, sady i t. d., miały były dawać około 60 grzywien rocznie, a nie dawały niemal nic! Słowem, gospodarstwo całe polegało na rozdrapywaniu majątku szkolnego. Widząc to Lubodzieski, wydelegował od siebie jednego ze swych oficyalistów, Jerzego Weydnera, dla dozoru i kontroli, przykazując mu, ażeby gotówkę oddawał Raymundowi, który dopiero sam miał wypłacać rachunki szkoły. Ale Weydner zawarł spółkę z prowizorami i było teraz jeszcze gorzej, niż przedtem. Magistrat wypłacał lub wstrzymywał wypłatę należytości, a płacił, ile mu się podobało. Zagarnąwszy kasę, byli panami sytuacyi, mogli szykanować niemiłe sobie osoby w sposób najdotkliwszy, a protegować inne, niemiłe biskupowi. Nauczyciele młodsi zaczęli robić to, co im kazał ten, kto płacił, tj. protestancki magistrat; Raymund zaś ze sumiennego spełniania obowiązków to tylko odniósł, że minęło pół roku, a on nie widział jeszcze ani grosza. Cóż więc miał robić? Były trzy drogi, jak sam pisze w liście do Hozyusza. Albo im się poddać, jak to zrobił Hoppe, albo iść na przebój i wydrzeć im władzę gwałtem; na pierwsze zbyt dobrym był katolikiem, do drugiego zaś trzeba było innego całkiem biskupa, niż Lubodzieski; pozostawała więc tylko trzecia droga, mianowicie: ustąpić.

W pięć miesięcy po przybyciu do Chełmna zdecydował się Raymund ustąpić. Prosił Hozyusza z początkiem sierpnia 1557 o wyjednanie profesury w Akademii Krakowskiej, albo narazie jakiej posady lekarskiej „w takiem miejscu lub u takiego księcia, gdzieby można było wiarę katolicką zachowywać nienaruszoną“ [1].

[1] *Hosii Epistolae* nr. 1804.

Lubodzieski oddalił wprawdzie jednego z nauczycieli, który jawnie się zlutrzywszy [1], dawał nadto dużo zgorszenia swem życiem prywatnem, ale na cóż się to zdać mogło, skoro wydalony apelował od biskupa do... magistratu, a magistrat miał w swem ręku pieniądze na pensye nauczycieli? Mówiono otwarcie w Chełmnie: nie biskup płaci, lecz miasto, cóż więc biskupowi do szkoły? Wśród takich stosunków można sobie wyobrazić położenie Raymunda. Biedny, zadłużony, na tysiące narażony przykrości, szykan, a wreszcie i dotkliwych oszczerstw, przedmiotem będąc szyderstwa i nienawiści, gorzko żałował, że tu przybył. Nareszcie nie myślał już o niczem, tylko o wyjeździe. Na następcę swego polecał magistra Wawrzyńca Zadesiusa, dobrego również katolika; ale przestrzegał Hozyusza, że trzeba będzie koniecznie jakim fortelem wystarać mu się o rekomendacyę — z Wittembergi, natenczas zjedzie się odrazu mnóstwo chłopców; inaczej zaś szkoła będzie nadal pustą [2].

Na tem się kończą narazie nasze wiadomości o szkole chełmińskiej; dodać chyba wypadnie, że w r. 1559 skarżono się na sejmie pruskim, że w Chełmnie niema właściwie całkiem szkoły;

[1] Marycki zganiał potem na Raymunda winę, że nauczyciel ten uczył z luterskiego katechizmu, opierając się na tem, że Lubodzieski powierzył Raymundowi kierownictwo szkoły, kontrolę lekcyj, a nawet władzę oddalania pomocników. Dziwna rzecz, jak mógł Marycki pisać o władzy Raymunda, tam gdzie od biskupa apelowano do magistratu. Raymund faktycznie żadnej nie miał władzy, a więc wolnym jest od odpowiedzialności. Cały ten list (nr. 1884) dziwne robi wrażenie, boć Marycki dobrze wiedział, dlaczego sam rektoratu w Chełmnie przyjąć nie chciał.

[2] *Hosii Epistolae* nr. 1849. — Tymczasem powstał pamflet na Hozyusza, piosnka szydercza, której autorem był jakiś Jan Zytopius, który schronił się do Inflant pod opiekę komtura malborskiego, znanego później w historyi upadku Inflant Filipa Schall von Bell. O autorstwo podejrzywano różnych, także Hoppego, aż wreszcie Zytopius sam się przyznał w notaryalnej deklaracyi; a ów zlutrzony nauczyciel, o którym wyżej była mowa, zacząwszy go tłumaczyć na łacinę, dostał się za to nareszcie do więzienia; Lubodzieski, chcąc dać satysfakcyę Hozyuszowi, musiał się zebrać na energię.

tudzież, że rok przedtem, w r. 1558, powstało właśnie w Gdańsku nowe gimnazyum, którego rektorat objął — Hoppe.

Ostatnią wzmiankę o Raymundzie w Chełmnie mamy z listopada 1557 r.; jak długo potem tam jeszcze bawił i co się potem działo, a zwłaszcza jak sobie poczynał Hozyusz, doznawszy nowej porażki na polu szkolnictwa, jak stopniowo doszedł do przekonania, że trzeba koniecznie całkiem nową, nowymi opatrzoną funduszami założyć szkołę, bo wszelkie próby ze szkołami już istniejącemi na nic się nie zdadzą, — o tem może nas pouczy dalszy ciąg korespondencyi Hozyusza, którego wydania z upragnieniem oczekuje każdy miłośnik studyów XVI. wieku. Hozyusz wprawdzie wyjechał daleko, ale o swojej dyecezyi i o Prusiech wogóle pamiętał, a niezłomna wola nie dała mu spocząć, aż nareszcie postawił na swojem i zrobił to, co się niemożebnem już wydawało: założył w Prusiech katolickie zakłady naukowe i oparł je na tak trwałych podstawach, że istnieją do dziśdnia. Nie zapominał widocznie nigdy, że szkoła katolicka stanąć musi koniecznie naprzeciw protestanckiej; to też w dalszym ciągu korespondencyi znajdzie się bez wątpienia również dalszy materyał do historyi szkół pruskich, jakkolwiek może mniej obfity, bo ze znacznego oddalenia i korespondencya szczuplejszą być musiała; większa jej część będzie się zapewne tyczyła spraw coraz szerszego horyzontu, sprawy lokalne ustąpią miejsca sprawom europejskim.

Hozyusz bowiem już w październiku 1557 otrzymał wezwanie od Pawła IV., ażeby przyjechał do Rzymu; wyjechał dopiero w maju 1558, i to nie wprost, bo przedtem miał sprawić poselstwo u cesarza Ferdynanda.

Odkąd się zdecydował wyjechać do Rzymu, nie troszczył się już — jak się zdaje — o szkołę chełmińską; pozostawiona wyłącznie Lubodzieskiemu, nie mogłaby się i tak na nic przydać do celów Hozyusza. Usunięciem się Hozyusza tłumaczy się też zupełny jej upadek.

Kardynał zrezygnował ze wszystkich swych dotychczasowych projektów szkolnych, przekonany już o ich bezskuteczności; jął się innego środka, po którym obiecywał sobie, a słusznie,

daleko więcej; usilność jego skierowała się teraz wyłącznie do tego, ażeby jak najprędzej sprowadzić do Prus Jezuitów. Był to zamiar niełatwy w tych stosunkach do urzeczywistnienia, a charakter Hozyusza, ze swem hasłem „na przebój", ujawnił się przy tem znów w całej pełni.

Ale o tem innym razem obszerniej i dokładnie, skoro tylko okoliczności pozwolą.

Dr. Feliks Koneczny.

PIERWOTNA RELIGIA HINDÓW.

PRAWEDYZM.

Prawedyzmem nazywamy religię, jaką wyznawali Hindowie w nader odległej dobie, mianowicie w pierwszych wiekach wtargnięcia ich do Indyj.

Do odtworzenia stanu religijnego Hindów z tej epoki, posługiwać się będziemy Rigwedą, najdawniejszym pomnikiem piśmiennictwa hinduskiego.

Hymny Rigwedy układane były w tym czasie, ztąd przedstawiają współczesny stan pojęć religijnych, a nawet sięgają dalej.

Rzeczą jest prawdopodobną, jeżeli nie już całkiem pewną, że pojęcia religijne, zawarte w Rigwedzie, nie były nowym nabytkiem, lecz echem tylko i wspomnieniem pojęć, które Aryowie z północnych stron Hindu-Kuszu z sobą przynieśli.

I w istocie, pojęcia religijne nie tak łatwo i nie tak prędko zmieniają się i wyrabiają. Hindowie, po wtargnięciu na półwysep, nie mieli ani czasu ani sposobności zmienienia swych pojęć religijnych: zajęci walką z innoplemieńcami, ustaleniem się w swych nowych siedzibach, nie mogli myśleć o żadnych reformach religijnych, nigdzie zresztą w hymnach o tem nie wspominają. Nie przyjęli też narazie pojęć religijnych od ludów podbitych, owszem, jednym z powodów, dla których nienawidzą i tępią tu-

bylców, jest ten, że uważają tych Dasyów za bezbożnych [1]. Co więcej, pojęcia religijne, zawarte w Rigwedzie, według znawców piśmiennictwa hinduskiego, nie są zenitem pierwotnego stanu religijnego, lecz raczej wyrazem jego schyłku [2]. Z tego wynika, że Prawedyzm byłby religią pochodzącą z epoki, w której Aryowie Wschodni mieszkali jeszcze razem, a ztąd odnosiłby się do czasów całkiem pierwotnych.

Z tem zapatrywaniem nie godzą się racyonaliści: utrzymują oni *a priori*, że człowiek pierwotny nie mógł mieć pojęcia o religii, a zatem dawniejsze piśmiennictwo pozornie tylko zawiera pojęcia religijne, rzeczywiście zaś są to mity, mające całkiem odrębne znaczenie. Szkoła dzisiejszych mitologów, wszystkie religie tłumaczy mitycznie; rzekomo zaś pozorne pojęcia religijne Hindów, w ten sposób przedstawia:

Hindowie pierwotni nie mieli żadnego pojęcia o Istocie Najwyższej, jednakże byli już o tyle wykształceni, że objawy świata zewnętrznego budziły ich myśl i podniecały wyobraźnię, co przyczyniło się do rozwinięcia w nich usposobień poetycznych, których wyrazem były pierwotne utwory liryczne. W tych poezyach, słońce rozpraszające ciemności, przedstawiano jako wojownika walczącego zwycięzko z nieprzyjacielem; dziwne kształty chmur, błyskawice i pioruny były hufcami dwóch wojsk wiodących z sobą zacięty bój: grzmoty to szczęk broni, pioruny to strzały ogniste, deszcz rzęsisty, który skraplał spragnioną ziemię, to owoc zwycięztwa. Każdy objaw meteorologiczny został uoso-

[1] „In the Veda various orders of evil beings are spoken of under the name of Dasyus, Rakshasas..., and are described as without religious rites, godless, haters of prayer"... Muir, *Sanskrit Texts,* vol. II, p. 418.

[2] „For the great majority of the hymns of the Rigveda it becoms, in my opinion, more and more evident, that they mark not the rise, nor the zenith, but rather the decline of the oldest Indian lyrical art. This appears from the unvaried uniformity and monotony of thought and metaphor, the abscence of originality in most of the hymns of the Rigveda; and these rather negative qualities are not indeed limited to particular books, they extend, so far as I can see, in greater or less degree, over the whole collection". *Dyaus Asura,* by Bradke, p. 2. To samo utrzymuje Wallis w *The Cosmology of the Rigveda,* p. 13.

biony i przybrany w kształty i usposobienia człowiecze: tym sposobem wytworzył się szereg postaci, mitów, o znamionach wybitnych a nazwach różnych, które jednak nie miały konkretnego znaczenia. Późniejsze dopiero pokolenia poczęły upatrywać w tych przenośniach jakieś rzeczywiste istoty, duchów, z których każdy działał w pewnej określonej sferze, wywierał wpływ na zjawiska świata zewnętrznego i na ludzi. Taki był początek pierwszych pojęć religijnych, które z czasem rozwinęły się i utworzyły różne systemy.

Ażeby odeprzeć poglądy szkoły mitycznej, ograniczymy się do zwięzłej odpowiedzi.

Punkt wyjścia tej szkoły polega na przypuszczeniu całkiem niedowiedzionem, że ludzie pierwotni nie mogli mieć pojęcia o Bogu, a ztąd ze starymi Scholastykami możemy powiedzieć: *quod gratis asseritur, gratis negatur.*

Czy Aryowie pierwotni mieli religię, odpowiada na to pytanie Pictet w dziele: *Les origines Indo-européennes*, w którem, na podstawie analizy porównawczej języków indo-europejskich, czyli jak nazywa, na podstawie paleontologii językowej, dowodzi, że Aryowie w epoce, która poprzedziła ich rozłączenie, stali na wysokim już względnie stopniu cywilizacyjnym, i tak kończy: „Czyż można przypuścić, iż w tym czasie pierwotni Aryowie nie mieli żadnej religii!... To przypuszczenie nie da się całkiem pogodzić z ówczesnym ich stanem umysłowym i moralnym, jaki na mocy języka odtworzyć zdołamy. Człowiek tylko zdziczały może nieposiadać żadnego pojęcia religijnego, a taki człowiek nie wzniesie się nigdy własnemi siłami do tak potężnego rozwoju umysłowego, do jakiego doszedł cały szczep aryjski“ [1].

Co więcej, mamy dowody dodatnie, że Aryowie w tej epoce posiadali pojęcia religijne, albowiem wszystkie imiona, jakich używały i używają dawniejsze i dzisiejsze ludy ze szczepu jafetyckiego do oznaczenia Najwyższej Istoty, dadzą się sprowadzić, jak to zobaczymy szczegółowo niżej, do dwóch wyrazów: *Dewa*

[1] *Op. cit.*, vol. III, p. 483.

i *Bhaga;* te zatem wyrażenia pochodzą z czasów przed rozłączeniem.

Nie przeczymy, że w religii dawnych ludów były mity, lecz właśnie te mity świadczą o pojęciu religijnem. Niebo, słońce, lub inny jaki przedmiot, były symbolami Bóstwa, lecz zanim człowiek powiedział sobie, że to niebo, słońce, czy inny jaki przedmiot, lub inna jaka postać, jest Bogiem, musiał już przedtem mieć pojęcie Bóstwa. Symbol taki, podstawiony za Boga i przybrany w kształty naturalizmu lub antropomorfizmu, wytwarzał dopiero mit.

Rozczytując się w pracach mitologistów, podziwiać można wielką ich erudycyę, większą jeszcze wyobraźnię, lecz przedewszystkiem uderza brak ścisłości w rozumowaniu, nadużycie analogii i nielogiczność wniosków [1]. Najlepszą odprawę daje im jeden ze znakomitych dzisiejszych krytyków, Brunetière: „Filologowie, mitologowie i inni astrologowie, tak już nadużyli mitów słonecznych, iż teraz trzeba, żeby albo wynaleźli jakieś nowe, albo żeby poprostu wrócili do Sprawcy początku wszystkich kultów“ [2].

Wreszcie, szczegółowy rozbiór najdawniejszego piśmiennictwa hinduskiego, jaki w tej pracy podejmujemy, wykaże bezpodstawność uroszczeń mitologów.

Jak już wyżej wspomnieliśmy, głównym dokumentem, z którego czerpać będziemy materyały do odtworzenia stanu religijnego Hindów z prastarej epoki, jest Rigweda; mamy do tego słuszne powody.

Rigweda jest najdawniejszym pomnikiem piśmiennictwa hinduskiego; hymny jej powstały na kilkadziesiąt wieków przed

[1] Niektórzy krytycy, chcąc wykazać, do jakich niedorzecznych dojść można wniosków, opierając się na rozumowaniach mitologów, dowodzili, że Napoleon nigdy nie istniał, że Strauss był mitem i t. p. Ob. *Comme quoi Napoléon n'a jamais existé*, p. Pérès. — *Vie de Strauss, écrite en l'an 2839*, w dzienniku *Espérance*, 5—12 paźdz. 1839.

[2] „Philologues, mythologues et autres astrologues ont décidément trop abusé des mythes solaires; et il leur faudrait maintenant tâcher d'en retrouver de plus neufs, — ou bien retourner franchement à l'Auteur de *l'origine de tous les cultes*“. *Revue des deux mondes.*

naszą erą, a ztąd, co do czasu, były już bliskie pojawienia się człowieka na ziemi, a zatem pojęcia religijne, jakie zawierają, można uważać za pierwotną religię. Ograniczamy się zaś tylko do Rigwedy, albowiem piśmiennictwo późniejsze różniło się od niej czasem, językiem a nawet samą treścią.

Brahmany, które chronologicznie idą po Rigwedzie, a mówiąc ściślej, po właściwych Wedach, należą bezsprzecznie do innej epoki. „Brahmany, pisze Muir [1], były przedzielone od hymnów długim przeciągiem czasu; co się tyczy samego języka, należą do następnej doby i stanowią przejście między hymnami a późniejszym sanskrytem". Pod względem Brahmanów zgoda jest zupełna między indologami, a rozumie się samo przez się, że tem bardziej Upaniszad nie można zaliczać do epoki prawedyjskiej.

Co się tyczy samej treści, jakkolwiek zasadnicze pojęcia religijne, zawarte w Brahmanach i Upaniszadach, nie różnią się wybitnie, jak to zobaczymy później, od pojęć religijnych hymnów, jednakże spostrzedz już można zboczenia uchwytne.

„Stopniowe zmiany w pojęciach mitologicznych Hindów, pisze Muir [2], zaczęły się już w samej Rigwedzie, jak to widać porównywając dawniejsze jej hymny z nowszymi. Bardziej uderzające zmiany zachodzą między hymnami a Brahmanami. Wreszcie, schodząc niżej do Puranów, widzimy, że ich autorowie puszczają wolno wodze swej wyobraźni, upiększają dawne podania, tworzą nowe na cześć swych ulubionych bogów, do tego stopnia, iż dawne bóstwa wedyjskie zatracają całkiem swoje pierwotne cechy".

Inni indologowie, zwłaszcza Max Müller, idą jeszcze dalej; mniema on mianowicie [3], że w epoce Brahmanów nastąpił zupełny

[1] *Orig. Sanskr. texts,* vol. II, pp. 197. 172.

[2] *Op. cit.,* vol. IV, p. 1, 2.

[3] „W Brahmanach przebija się nawskróś takie zupełne nierozumienie oryginalnego zamysłu hymnów wedyjskich, iż trudno nam zrozumieć, jakim sposobem stać się to mogło, chyba należy przypuścić, iż nastąpiła jakaś nagła i gwałtowna przerwa w łańcuchu podań... Każda stronnica w Brahmanach jest jasnym dowodem, że duch dawniejszej wedyjskiej poezyi,

przewrót pojęć religijnych; nie godzimy się na jego przesadny sąd, spowodowany henoteizmem, jednakże przyznać należy, że w tej epoce nastąpiły pewne zmiany w pojęciach religijnych i w obrzędach liturgicznych [1], a ztąd słusznie tę epokę oddzielamy od epoki prawedyjskiej.

Jakie granice chronologiczne naznaczyć tej epoce? Początek jej ginie w pomroce czasu i historycznie nie da się ściśle oznaczyć, jednakże, jak to zobaczymy, można go powiązać z podaniami zkądinąd znanemi, odnoszącemi się do naszych pierwszych Rodziców. Drugą jej granicą, jest osiedlenie Aryów na półwyspie i pierwsze wieki ich tam pobytu.

Materyały, z których odbudowywać zamierzamy stan religijny pojęć Hindów, czerpać będziemy ze szczątków wspólnego języka, jakim mówili pierwotni Aryowie, a którego ślady pozostały w językach dzisiejszych Aryów; dalej, ze wspólnych wspomnień, jakie się przechowały w pokrewnej Aweście; przedewszystkiem zaś z Rigwedy, najdawniejszego pomnika piśmiennego Hindów. Materyały te dają otuchę skutecznych badań. Jeżeli badania archeologiczne, oparte na szczątkach kości ludzkich i zwierzęcych, na prostych narzędziach pierwotnego przemysłu ludzkiego, mogły doprowadzić do wniosków, o prawdziwości których dziś już powątpiewać nie można, tem bardziej spodziewać się należy pomyślnych wyników z badań opartych na tak doniosłych źródłach, jakiemi są: ustrój językowy i płody umysłowe, zawierające samą treść rzeczy, będącej przedmiotem dochodzenia.

---

i treść oryginalnych ofiar wedyjskich, nie były zupełnie zrozumiałe dla pisarzy Brahmanów... ztąd możemy wnioskować o szerokim przedziale czasu między dobą, w której powstały Brahmany, a czasem układu hymnów". Max Müller, *Anc. Sanskr. Lit.*, pp. 432, 434.

[1] „Dans la liturgie qui nous est présentée dans les parties les plus anciennes des autres livres, non seulement ces différences d'origine se sont effacées, non seulement on y puise indistinctement dans la masse des Hymnes, mais on le fait sans égard pour l'intégrité des anciennes prières, prenant un vers de ci, un tercet de là, et formant ainsi de toutes pièces des invocations d'un caractère nouveau. *La liturgie de ces livres n'est donc plus la même que celle qui est representée par les Hymnes,* et le passage de l'une à l'autre a dû exiger un intervalle de temps assez long". Barth, *Les religions de l'Inde*, p. 6.

Imiona najdawniejsze, jakiemi Hindowie oznaczali Boga, wskazują, że one odnosiły się do pojęć oderwanych, nie zaś do objawów świata zewnętrznego; ztąd przypuszczenia mitologów są historycznie błędne.

Pomiędzy wielką ilością imion, jakie Hindowie dawali Bogu, te są niezawodnie najdawniejsze, które odnajdują się u innych Aryów, musiały bowiem powstać w dobie, która poprzedziła ich rozłączenie, a ztąd w najdawniejszym czasie, jaki dosięgnąć mogą badania nasze historyczne. Otóż, rozpatrzywszy się w językach, jakimi mówili i mówią Aryowie, widzimy, że wyrazy: *Dewa, Asura, Bhaga,* służące do oznaczenia Najwyższej Istoty, są wspólne wszystkim ludom indo-europejskim. Wyraz sanskrycki *Dewa* wspólny jest wszystkim Aryom, tak Wschodnim jak i Zachodnim [1]; wyrazu *Asura* używali Aryowie Wschodni [2]; wreszcie Aryowie Wschodni, z Zachodnich zaś Słowianie, używali wyrazu *Bhaga* [3]: znaczenie,

[1] Sanskr. *Dewa,* odpowiada zendckiemu *Daewa,* perskiemu *Dew,* ormiańskiemu *Tew,* greckiemu Θεός, łacińskiemu *Deus,* staroż. irlandzkiemu *Dia,* cymbryjskiemu *Dew,* gockiemu *Tius,* litewskiemu *Diewas,* łotyżskiemu *Dews,* staro-pruskiemu *Deiws,* i t. d. Ob. Pictet, *Les Orig. indo-europ.,* v. III, p. 412 i nast. — „Alle diese Völker haben nur diess einzige Wort für Gott und keinen einzigen Namen ihrer vielen einzelnen Götter allesammt gemeinschaftlich". Benfey, in der *Encyklop.* von Ersch und Gruber, Art. *Indien,* S. 159. — Co się tyczy źródłosłowu wyrazu Θεός, niema zgody między filologami: jedni, jak Benfey, Kuhn, Schweizer, Siedler... wyprowadzają go od *Dewa,* inni, jak Schleicher, Curtius, Fick... od *dha* albo *dhi.* Ob. Curtius, *Grundzüge der griech. Etym.,* SS. 236, 513.

[2] Wyraz sanskr. *Asura* używany jest w językach erańskich i wymawia się *Ahura.* W Rigweda, Asura był Najwyższym Duchem, panującym w niebie, a jakkolwiek w późniejszym czasie przybrał u Hindów znaczenie złego ducha, tak samo jak u Eranów Daewa, pierwotnie jednak Dewa i Asura odnosiły się do Najwyższej Istoty. Podzielają to zapatrywanie: Spiegel w *Aweście,* Windischmann w *Mithra* i *Über den Somacultus der Arier.* — Max Müller pisze: „Still more striking is the similarity between Persia and India in religion and mythologie. Gods unknown to any Indo-European nation are worshipped under the same names in Sanskrit and Zend; and the change of some of the most sacred expressions in Sanskrit into names of evil spirits in Zend, only serves to strengthen the conviction that we have here the usual trace of a schism which separated a community that had once been united". *Last Results of Persian Researches,* p. 112.

[3] Wyraz sanskr. *Bhaga* odpowiada zendckiemu *Bagha,* staro-perskiemu *Baga,* frygijskiemu *Bagajos,* słowiańskim *Bóg* i *Boh.*

jakie przywiązywali do tych wyrazów, będzie dowodem naszego twierdzenia.

Hindowie, dla oznaczenia Istoty Wyższej czy też Najwyższej, używali wyrażeń: *Dewa, Dyaus, Dyausz-pitar* (Niebieski-ojciec); ponieważ etymologicznie wyrazy te dają się wyprowadzić ze źródłosłowu *diw,* „świecić", a *diw* znaczy również „niebo", ztąd niektórzy filologowie uważają te wyrazy jako uosobienie nieba, a pojęcie Istoty odnośnej jako czysto materyalne, naturalistyczne. Otóż mamy dowody, że te zapatrywania są mylne.

I tak, wyraz *Dewa* nie oznaczał nigdy uosobienia nieba: w całem piśmiennictwie hinduskiem nie występuje pod tem imieniem żadna osobistość, któraby wyróżniała się od innych wybitnemi znamionami, żaden hymn nie był poświęcony Dewie. Co więcej, ze stanowiska filologicznego rzecz ta jest niemożebna. „Przyjmowano ogólnie, pisze Pictet, dla wyrazu *dewa* znaczenie świetlny, wywodząc go od *diw, lucere,* lecz w takim razie ten wyraz pochodny mógł być tylko rzeczownikiem oderwanym, w znaczeniu ś w i e t l n o ś c i. Według Słownika petersburskiego, *dewa* jako przymiotnik znaczy niebiański, jako zaś rzeczownik oznacza Istotę niebiańską albo Boga, i nie może być użyty w znaczeniu świetlny [1]. Co do swej treści, przedstawia się tak, jak gdyby był przymiotnikiem wyrazu *diw,* niebo, jednakże według reguł sanskrytu nie może być sprowadzonym do tego kształtu. Prawdopodobnie należy go uważać za wyraz praetniczny, nielicujący z regułami zwyczajnemi, a który oznaczał Boga, jako Istotę zamieszkującą niebo. Wprawdzie niebo, *diw,* tj. świetlny, uosobionem zostało w dawnej jeszcze dobie, lecz początkowo pod tym wyrazem rozumiano tylko niebo naturalne [2], a *dewa,* jako rzeczownik, mogło jedynie oznaczać I s t o t ę n i e b i a ń s k ą;

[1] Benfey, w *Samaveda Glos.,* p. 93, utrzymuje, że *dewa* jako przymiotnik znaczy „niebieski", jako rzeczownik oznacza „Boga".

[2] Rzecz ta nie jest pewna. Aryowie rozróżniali trojakie niebo: atmosferyczne, przejrzyste, *antariksza;* gwiaździste, *nabhas,* polskie niebo, niebiosa; i niebo najwyższe *diw;* czy w znaczeniu całkiem materyalnem — nie wiadomo.

wyrażenie to mieści w sobie pojęcie Boga istniejącego poza światem“ [1].

Wyrazy: *Dyaus* i *Dyausz-pitar,* z których pochodzi grecki Ζεύς i łaciński *Jupiter* (Diupitar), Jowisz [2], są wprawdzie uosobieniami nieba, lecz nie idzie za tem, żeby miały się odnosić do nieba materyalnego; a zważywszy, że Aryowie dla oznaczenia Istoty ponadświatowej, używali innych imion, które ze źródłosłowem *div* nie mają nic wspólnego, słusznie wnieść możemy, że te wyrazy używane były w znaczeniu przenośnem [3]. W istocie, wyrażenia Asura i Bhaga nietylko nie odnoszą się w niczem do „nieba“, lecz bezsprzecznie zawierają pojęcia całkiem oderwane.

Persowie, jak wiemy, dawali Bogu imię Ahura, a według Herodota, całe sklepienie niebios nazywali Bogiem; otoż wyraz *Asura, Ahura* [4], nie odnosi się zupełnie do nieba, lecz oznacza niezawodnie Istotę Najwyższą, pojętą całkiem duchowo, w znaczeniu *Ens a se* [5]. Aryowie Wschodni, tak Eranowie jak i Hin-

[1] *Op. cit.,* vol. III, p. 414. Ostatnie wyrażenie nie jest ścisłem; autor widocznie chce tu powiedzieć, że ta Istota niebiańska jest różną od świata.

[2] Sanskr. **diu* dwojakie przechodzi przemiany, które Curtius *(Grundzüge der griechischen Etymologie,* 5 wyd., str. 616) w następujący zestawia sposób: „1) Mit Übergang von *i* in *j* vor consonantischen Suffixen entsteht durch Zulaut die Form *djau,* gr. Ζευ:... ferner, indem das *u* vor vocalischen Suffixen zum Consonanten wird, skt. *djav,* und mit dem Zusatz eines stammbildenden *i* der altlat. Nom. *Dioc-i-s,* endlich mit Einbusse des anlautenden *d Joc-i-s* als N. S., durch eine Art Contraction *Jū* im umbr. *Ju-pater* lat. *Juppiter.* 2) Die zweite Umwandlung von **diu* ist die, dass das *u* vor Vocalen zum Halbvocal wird, also *div* entsteht... Der Stamm *div* tritt hervor im skt. Acc. *div-am,...* ferner im abgeleiteten διος = skt. *divjá-s* lat. *dīvos*“. — Z tego samego pnia *div* na wyższym stopniu wokalizacyi powstaje zapomocą sufiksu *va, dē-va-s* (*daivas) = it. **deivos* łac. **dēu-s, dĕu-s* lit. *dēvas.*

[3] W greckim i łacińskim są w użyciu wyrażenia, pochodzące ze źródłosłowów *div* i *dyu,* które jakkolwiek odnoszą się do przedmiotów materyalnych, jednakże widocznie użyte są w znaczeniu przenośnem. I tak: ἔνδιος, *sub divo,* ἐνδία, południe, εὐδία, pogoda; *sub Jove frigido* (Hor., I, 25); *aspice hoc sublime candens quem invocant omnes Jovem* (Ennius ap. Cicer., *De nat. Deor.,* II, 25, 65).

[4] Ob. *Napisy staro-perskie z czasu Achemenidów.*

[5] O pochodzeniu Asura od *asu* i *as,* „życie“ i „byt“, mówiliśmy w *Napisach staro-perskich;* oprócz indologów, tamże wymienionych, którzy godzą się z tem zapatrywaniem, należy jeszcze wymienić Lassen'a (*Ind. Alterth.,*

dowie, używali tego imienia; wśród Aryów Zachodnich nie było ono też obcem. Galowie nazywali bożka wojny *Esus*, a wyraz ten, według filologów [1], pochodzi od *Asu*, który jest źródłosłowem wyrazu Asura. „Ten *Esus*, pisze Pictet [2], musiał oznaczać imię Boga wogóle, albowiem w ombryjskiem *esunu* albo *esono*, które może pochodzić od Galów przedalpejskich, ma znaczenie b o s k i".

Trzeci wreszcie wyraz wspólny Aryom do oznaczenia Najwyższej Istoty, *Bhaga*, pochodzi od źródłosłowu *bhag*, który według Słown. petersb. znaczy „rozdzielać", „udzielać", a według Justi'ego, „ofiarowywać". Znaczenie samego wyrazu Bhaga jest: *Dominus, Lord, Seigneur, Pan.*

Pictet, zapomocą analizy językowej, starał się odnaleść pierwotne pojęcia Aryów o Bogu. Jeżeli, mówi on, nazwy, jakie dawali Aryowie Bogu, odnoszą się głównie do przyrody i jej zjawisk, wówczas należy wnioskować, że ich pierwotne pojęcia były naturalistycznemi i wielobożnemi; jeżeli zaś te nazwy „można brać tylko w znaczeniu Istoty Najwyższej, różnej od świata, wówczas przyjąć należy, że to pojęcie musiało być przewodniem i poprzedziło wielobożność naturalistyczną". W tym celu bierze pod ścisły filologiczny rozbiór nazwy: Dewa, Bhaga,

---

I, 522) i Benfey'a (*Samav. Gl.*). Co więcej, doskonały znawca języka zendckiego, Ferd. Justi. takie samo znaczenie przywiązuje do wyrazów *anhu* albo *ahu* i *ah*, które odpowiadają sanskr. *asu* i *as*. Według Justi'ego, *anhu, ahu*, znaczy „pan" i „świat"; *ah*, „byt"; *Ahura* znaczy: Pan, Najwyższy Bóg, Stwórca wszech-rzeczy. Ob. *Handbuch der Zendsprache*, Leipzig 1864. — Wreszcie G. Curtius, w *Grundzüge der griech. Etym.*, Leipzig 1879, S. 375, pisze: „Dass die sinnliche Bedeutung dieses uralten verbum substantivum hauchen, a t h m e n gewesen sei, wird durch skt. *ás-u-s* Lebenshauch, *ásu-ra-s* lebendig und das mit lat. *ōs* auf einer Stufe stehende skt. *ās, āsán* (N.), *ās-já-m* Mund, fast zur Gewissheit. Dieselbe Grundbedeutung hat das hebräische verb. subst. *haja* oder *hawa*. Die drei Hauptbedeutungen entwickeln sich wohl in folgender Reihenfolge: athmen, leben, sein. Ebenso M. Müller. Dazu passt der in vielen Sprachen erkennbare Unterschied dieser W. von der synonymen *bhu*. gr. φυ. W. *as* bezeichnet wie das Athmen eine gleichmässig fortgesetzte Existenz, W. *bhu* dagegen ein Werden".

[1] Ebel, *Zeitschr. für vergleich. Sprachf.*

[2] *Op. cit.*, vol. III, p. 417.

Asura, Nara, Sawitar, bada ich znaczenie pierwotne tak w sanskrycie jak i w innych językach aryjskich, w których zachowały się te źródłosłowy, i przychodzi do wniosku, że Istota duchowa, nie zaś materyalna, była pierwotnem pojęciem religijnem Aryów. Oto co mówi w swem streszczeniu: „Różne nazwy Boga, któreśmy dopiero co rozbierali, a niektóre z nich pochodzą z najdawniejszych czasów, nie przedstawiają żadnego znamienia, któreby je wiązało ze zjawiskami przyrodzonemi. Nazwy te wyrażają w różny sposób przymioty Istoty niewidzialnej i Jej stosunek z człowiekiem i ze światem. Wyrazy: niebiański, godny wszelkiej czci, żyjący, mędrzec, kierownik, tworzyciel, zastosowane do Bóstwa, mogą jedynie oznaczać istotę odrębną od wszelkich przedmiotów przyrody"...[1]

Narazie poprzestajemy na tym wyniku badań paleontologii filologicznej. Aryowie, w czasach wspólnego jeszcze pobytu, mieli już pojęcie o Istocie ponadświatowej, i z tymże światem Jej nie identyfikowali; jakie zaś przymioty Jej przypisywali, w jakim stosunku pozostawała do człowieka, o tem pouczą nas inne dokumenty.

Rigweda jest najdawniejszym pomnikiem piśmiennictwa hinduskiego, a ponieważ składa się przeważnie z hymnów, ułożonych na cześć Boga i śpiewanych przy składaniu ofiar, ztąd w szczególny sposób nadaje się do badań w kierunku naszego przedmiotu.

W Rigwedzie uderza przedewszystkiem wielka liczba bogów: Indra i Waruna, Agni i Soma, Waju i Rudra, Asura i Bhaga, Mithra i Puszan, dalej Sawitar, Dhatar, Twaszczar i bardzo wiele innych.

Ta mnogość i różnorodność imion i znaczeń nie dziwiłaby nikogo, a nawet upoważniałaby do zaliczenia religii Hindów w poczet innych wielobożnych religij pogańskich, gdyby dalsze badania tekstów Rigwedy nie przynosiły danych, które rozwiewają pierwotne zapatrywanie, wykluczają je nawet, a nadto stawiają religię prawedyjską na stanowisku całkiem odrębnem od innych mitologij starożytnych.

---

[1] *Op. cit.*, vol. III, pp. 426, 482.

A najprzód, wśród tych bogów, jedni, jak Indra, Waruna, Asura, Bhaga, są postaciami pojęć oderwanych; inni, jak Sawitar, Dhatar, Twaszczar, wyrażają atrybuty; Surya, Waju, Rudra są uosobieniem objawów świata zewnętrznego; Agni i Soma są uosobieniem ofiar składanych Bóstwu; wreszcie przychodzą nazwy, które niewątpliwie wyrażają pojęcia jednobożne. I tak: *Pradżapati*, „Pan stworzeń“ [1]; *Wiswakarman*, „Twórca świata“ [2]; *Maha Asura*, „Wielki Duch“ [3]; *Swayambhu*, „Istota samoistna“ [4], a nie wymieniamy wszystkich.

Dalej, każdy, albo prawie każdy, z bogów jest wszechmocny, jest najwyższy, każdy rozkazuje innym. Indra i wszyscy bogowie są podwładnymi Waruny, lecz Waruna i wszyscy bogowie są podwładnymi Indry. To samo odnosi się do innych bogów: do Agni, Soma, Wisznu, Surya, Sawitri [5].

Co więcej, każdy prawie z tych bogów identyfikowany jest z innymi. I tak Indra jest identyfikowany z Brihaspati, z Agni, z Waruną; hymny orzekają, że Agni jest to samo co Waruna, Mitra, Aryaman, Rudra, Wisznu, Sawitri, Puszan [6].

Wreszcie, jeden hymn [7] najwyraźniej oświadcza, że: *Duch boży jawi się w niebie, a nazywają go Indrą, Mitrą, Waruną, Agni; to co jednem jest jestestwem, nazywają mędrcy wielu imionami.*

Wobec takich danych nie było łatwo wyrobić sobie należytego sądu o pierwotnej religii Hindów, i dlatego zapatrywania autorów, którzy pisali o tym przedmiocie, są nader różne. Przedewszystkiem musimy tu zwrócić uwagę na hipotezę, która w swoim czasie nabrała pewnego rozgłosu, tak ze względu na powagę naukową autora, jak również i z powodu oryginalności pomysłu.

Max Müller postawił hipotezę, jeżeli to hipotezą nazwać można, która miała dać dokładne i ścisłe wyobrażenie o religii Hindów. Profesor Uniwersytetu Oksfordzkiego przypuszcza

---

[1] Rig-Weda x, 121, 10. [2] R.-W. x, 81, 82.

[3] R.-W. x, 177, 1; v, 63, 3, 7. [4] Ath.-W. x, 8, 43, 44.

[5] Rig-Weda v, 69, 4; i, 101, 3; iii, 9, 9; ix, 96, 5; i, 156, 4; viii, 101, 12; ii, 38, 9.

[6] Muir, *Sanskrit Texts*, vol. v, p. 219.

[7] R.-W., i, 164. Ob. również Max Müller, *Anc. sanskr. Litter.*, p. 567.

mianowicie, że ten niejasny, bałamutny, pełen sprzeczności stan pojęć religijnych ludu hinduskiego, był naturalnym płodem umysłu, usiłującego zdać sobie sprawę przyczynową z objawów świata zewnętrznego, i stan ten nazywa *henoteizmem.*

Max Müller położył ogromne zasługi około piśmiennictwa sanskryckiego, pod względem filologicznym jest on bezsprzecznie powagą naukową, lecz kwestye filozoficzno-religijne stanowią jego słabą stronę: henoteizm nie był też szczęśliwym pomysłem.

A najprzód, wyraz henoteizm sam przez się niczego przecie nie tłumaczy, ani nic nie wyjaśnia, jest jedynie płaszczykiem pokrywającym niewiadomość, a służy do zamydlenia oczu. Nie wystarczało tu twierdzić, że taki był stan ówczesny umysłów, lecz należało wykazać, że ten stan był możliwym, czego właśnie Müller ani dowiódł, ani też dowieść mógł.

Czyż można przypuścić, iż był czas, w którym cały lud, uczeni i prostaczkowie, mogli przyjmować, że wielu jest bogów, a zarazem, że jeden jest Bóg; że Waruna jest najwyższym Bogiem, a zarazem, że Indra jest najwyższym Bogiem; że Waruna jest różny od Indry, a w tym samym czasie, że Indra jest ten sam co Waruna, a to samo o innych bogach! Czyż można przypuścić, żeby uczeni hinduscy, teologowie, nie rozeznawali znaku od rzeczy, żeby Bóstwo, któremu składali ofiarę całopalną na ołtarzu, identyfikowali z samem ofiarowaniem, a raczej z jego sprawczem narzędziem, z ogniem, który ją pochłaniał; żeby sam napój ofiarny, Somę, sok wyciśnięty z rośliny, identyfikowali z Najwyższą Istotą! Żeby ta hipoteza była, nie już prawdopodobną, lecz możebną tylko, należałoby koniecznie przypuścić, że w owych czasach umysł Hindów stał nietylko na nader niskim stopniu wykształcenia, ale nadto, że ulegał jakiejś chorobliwej nielogiczności. Otóż, historycznie rzecz przedstawia się całkiem w innem świetle.

Pictet, opierając się na analizie językowej, gruntownie wykazał[1], że pokolenie Jafeta w czasach jeszcze wspólnego prze-

[1] Ob. szczególniej streszczenie całego dzieła w rozdziale: *Résumé et conclusions générales. Op. cit.,* vol. III., p. 517 i nast.

bywania stało już na wysokim stosunkowo stopniu oświaty, tak pod względem rozwoju umysłowego, jak i stosunków społecznych. Po rozłączeniu się pokoleń, w czasie wtargnięcia i osiedlenia się Aryów na półwyspie Hinduskim, kultura ich nietylko nie cofnęła się wstecz, ale, jak wskazują najdawniejsze ich pomniki piśmienne, postąpiła naprzód i wzniosła się nawet na wysoki szczebel. Muir, między innymi, opierając się na piśmiennictwie hinduskiem, przychodzi właśnie do tego wniosku [1]. Otóż, wobec takiego faktycznego stanu rzeczy, henoteizm Müllera ostać się nie może, i rzeczywiście nie ostał się nawet w samym obozie racyonalistów.

Ażeby zdać sobie sprawę z pojęć religijnych Hindów, odtworzyć prawdopodobny całokształt ich religii, należy przedewszystkiem ocenić i zrozumieć wartość i ścisłość źródła, z którego się czerpie materyały.

Rigweda jest zbiorem hymnów, które, układane przez wieszczów, *Riszi*, śpiewane były przez gęślarzy przy różnych uroczystościach i obchodach. Hymny te powstały w czasach, w których Aryowie, zająwszy półwysep, osiedlali się w Pendżabie. Początek powstania hymnów nie da się ściśle oznaczyć, lecz ich zawartość doprowadza indologów do wniosku, iż były urabiane w ciągu kilku wieków [2], przez wieszczów należących do różnych pokoleń, na jakie rozdzielała się już podówczas ta gałąź Aryów Wschodnich [3]. Rzecz ta wielkiej jest wagi, stanowi bowiem klucz

[1] „It would be a mistake to suppose that, in the former period, the condition of society was of a very primitive description. On the contrary, the preceding inquiry has brought into view many signs of a considerable progress in civilization, and in even a certain sort of refinement, as then existing". *Op. cit.*, vol. v, p. 473.

[2] „As the process of hymn composition continued thus to go on for many centuries"... p. 210. „For many ages the successive generations of these ancient richis continued to make new contributions to the stock of hymns, while they carefully preserved those which had been handed down to them by their forefathers... The same fact, viz. that a long interval elapsed between the composition of the different hymns, is manifest from various passages in these compositions themselves". Muir, *Orig. Sanskr. Texts*, vol. II, pp. 206, 207.

[3] „The country occupied by the Aryas was no doubt peopled by various tribes and divided into numerous pricipalities". Muir, *Op. cit.*, v, 454. Ob. również Roth, *Zur Litter. und Gesch. des Weda*, S. 131.

do rozwiązania trudności i sprzeczności pozornych, jakie się w tekstach napotykają. Z czasem, hymny te, choć zapewne nie wszystkie, zostały zebrane w jednę całość i utworzyły Samhitę Rigwedy [1].

Rigweda nie jest tedy teologią, lecz zawiera pojęcia religijne, które, według indologów, stanowią zasadnicze podstawy religii Hindów [2], a które nadto od najdawniejszych czasów przez tychże Hindów uznawane były za *Śruty*, tj. pochodzące z „Objawienia", i z tego powodu większa część tych hymnów pomieszczoną została następnie w księgach liturgicznych, śpiewano je lub odmawiano przy obrzędach religijnych.

Znaczenie, jakie przywiązywali i przywiązują Hindowie do wyrazu „Śruty", jest bardzo różnorodne. Komentatorowie hinduscy wiele ksiąg o tem pisali, Muir cały III. tom swego dzieła poświęcił streszczeniu i wyjątkom z tych zapatrywań. Wśród przesadnych pojęć, znamienujących pisarzy hinduskich, znajdujemy jedyny ustęp, który rzecz rozumowo przedstawia. Czytamy mianowicie w *Czandogya Upaniszad* [3]: „Tę naukę Brahma oznajmił Pradżapati'emu, Pradżapati oznajmił ją Manu, Manu zaś swym następcom". Co chciał rozumieć autor przez wyraz Pradżapati, nie jest rzeczą pewną. W słynnym hymnie hinduskim [4], Pradżapati jest niezawodnie Stworzycielem, jednakże najczęściej pod tym wyrazem Riszi pojmują inną osobistość. I tak utrzymują, że Pradżapati stworzony był przez bogów, że dał początek Wedom, że z małżonki Wacz zrodził ludzi: jeżeli dodamy jeszcze,

[1] „The descendants of the mort celebrated rishis, would, no doubt, form complete collections of the hymns which had been composed by their respective ancestors. After being thus handed down, with little alteration, in the families of the original authors for several centuries, during which many of them were continually applied to the purposes of religious worship, these hymns, which had been gathering an accumulated sanctity throughout all this period, were at length collected in one great body of sacred literature, styled the *Sanhita*". Muir, *Orig. Sanskr. Texts*, vol. II, p. 209.

[2] „Toute la pensée religieuse de l'Inde se trouvant déjà en germe dans ces vieux livres (les Vêdas)". Barth, *Op. cit.*, p. 2.

[3] Muir, *Op. cit.*, vol. V, p. 390.

[4] R.-W., X, 121.

że znaczenie samego wyrazu jest „Pan stworzeń“, a nadto, jeżeli zauważymy, że wyraz sanskrycki *pra* bierze się w tem samem rozumieniu co i polski, wówczas Pradżapati można wziąć w znaczeniu „Pradziada“, tj. najdawniejszego przodka, któremu Hindowie dawali imię „Jama“, a nasze Pismo św. zowie „Adamem“. Co się tyczy Manu, którego autorowie identyfikują z Mena egipskim, z grecka Menes, jest rzeczą prawdopodobną, jak to zobaczymy niżej, iż można w nim widzieć biblijnego „Noe“. Wobec tych przypuszczeń, tekst Czandogya Upaniszad brzmiałby dosłownie: Tę naukę Bóg objawił Adamowi, Adam Noemu, Noe zaś swym następcom. Takie tłumaczenie wyrazu „Śruty“ zgadza się zresztą całkowicie z zapatrywaniami Hindów: rozróżniają oni „Śruty“ od „Smryti“ tem, że „Śruty“ są prawdy „zasłyszane“, a ztąd objawione, „Smryti“ zaś są prawdami „podanemi“ od przodków, którzy je nauką i doświadczeniem nabyli. Takie tłumaczenie potwierdza nietylko naszą wiadomość i wiarę w pierwotne Objawienie, lecz nadto wyjaśnia nierozwiązalną dla racyonalistów zagadkę, mianowicie: jak się to stać mogło, że Hindowie w tak odległej dobie, w pierwszem zaraniu swej cywilizacyi, doszli do tak wzniosłych pojęć o Najwyższej Istocie, zajmowali się najważniejszemi zagadnieniami, odnoszącemi się do człowieka, i rozwiązywali je w sposób, do jakiego nie wznieśli się pierwszorzędni mędrcy Aten i Rzymu.

Co w hymnach należy uważać za objawienie? Rozumie się, iż sam rdzeń nauki, nie zaś te szaty barwne, w które go przystrajali wieszczowie. Jeżeli wszyscy poeci używają porównań i przenośni, które w mirażach przedstawiają rzeczywistość, albo, jak mówi przysłowie, przywiedzione przez Arystotelesa, πολλὰ ψεύδονται ἀοιδοί, to nic dziwnego, że poeci hinduscy, obdarzeni od natury gorącą wyobraźnią, dochodzili do przesady, która przebierała wszelkie granice możliwości. „Znajdujemy tutaj, pisze Muir[1], dziwną różność myśli i uczuć, które się złożyły na tę zbitą mieszaninę pojęć; rzeczywiste centrum boskiej władzy jest zaciemnione, a mnogie przedmioty drugorzędne są wysławiane

[1] *Op. cit.*, vol. v, p. 411.

w niesłychanych rozmiarach i otaczane wybujałą świętością". Ta przesada tak jaskrawo występuje w hymnach, iż namacalnie dostrzedz ją i odróżnić można; tym sposobem ułatwia nawet badanie zasadniczego tła religijnych pojęć Hindów.

Zanim przystąpimy do rozbioru samej Rigwedy, zaznaczyć musimy przedtem, iż pierwotna religia Aryów hinduskich nie była ani bałwochwalską, ani naturalistyczną, ani też nie była zakażona antropomorfizmem.

Rzeczą jest pewną, o ile historycznie stwierdzić można, że pierwotna religia Aryów n i e b y ł a b a ł w o c h w a l s k ą. I tak, wiemy, że najdawniejsza religia Greków bałwanów nie znała. Widzieliśmy [1], że Eranowie budowali pyszne pałace i pomniki, świątyń jednak i posągów nie stawiali. Za panowania Achemenidów po raz pierwszy ukazuje się symbol skrzydlaty Bóstwa, taki sam, jakiego używali Egipcyanie i Chaldejowie, a Artakserkses Mnemon zbudował pierwszy świątynię i zaprowadził w niej bałwany Chamickie. Otóż tak samo rzecz się ma z Hindami. W dziale „sztuki hinduskiej" wykazaliśmy, iż w całych Indyach nie odnaleziono żadnych świątyń z najdawniejszej epoki, żadnych posągów bożyszcz. Wprawdzie ten dowód ujemny nie byłby dostatecznie przekonywający, ponieważ Hindowie nie posiadali zmysłu budowlanego, a jak niektórzy racyonaliści utrzymują: mogli oni oddawać cześć fetyszom; jednakże, piśmienne pomniki Hindów stanowczo temu przeczą, i indologowie, na mocy właśnie tych pism, twierdzą, że Aryowie hinduscy nie wystawiali sobie Bóstwa pod żadnym zewnętrznym kształtem [2].

(C. d. n.).

Ks. W. Zaborski.

---

[1] Ob. *Napisy staro-perskie z czasu Achemenidów.*

[2] „The religion of the Veda knows of no idols. The worship of idols in India is a secondary formation a later degradation of the more primitive worship of ideal gods". M. Müller, *Chips from a German Workshop,* I, 38. — „They have no definite forms. The mention of their clothes, or of different parts of their bodies, serves only to express the nature of their actions or caracters... We hear nothing of temples of the gods, and it is almost certain that the hymns recognize no idols; the gods were themselves present in the different phenomena of the world". *The cosmology of the Rigveda,* by H. W. Wallis, p. 9.

LISTY Z PODRÓŻY PO AZYI.

(Syam — ciąg dalszy).

— —

Na rzece Menam, 12 stycznia.

Płyniemy na parowej Muszce do Ajutii; po drodze zanocować mamy w Bang-Pa-In, letniej rezydencyi królewskiej. Bang-kok opuściliśmy około 9-tej przedpołudniem. Od 6-tej zrana pakowano naszą kuchnię, kucharza, naturalnie Chińczyka, bateryę kuchenną, *champaigne* i t. d. Wszystko to pojedzie w czółenkach gondolowatych, które nasza parowa Mucha będzie ciągnąć. W hotelu ruch z powodu naszego wyjazdu niezwykły; Phya-Smuth wszystkiem dyryguje; zwłaszcza zapas lodu (sztucznie zrobionego) zajmuje go niesłychanie. Kokosów zabieramy mnogo; kazał nam próbować tego tak zwanego mleka kokosowego; ale ponieważ nikt z nas nie gustował w tej wodzie, przypominającej brzozowy sok smakiem, a kolorem rozrzedzoną serwatkę — przeto zacny Smuth, drwiąc z naszej nieznajomości tego co dobre, wypijał sam wszystkie kokosy [1].

---

[1] Kokosowy orzech, wielkości głowy dwuletniego dziecka, zerwany nim dojrzeje, zawiera w sobie pewnie z kwartę białawo-przezroczystej wody. Kokosy przywożą tutaj z rozmaitych stron; zdaje się bowiem, że tu grunt za wilgotny dla nich; na statku, którym przyjechaliśmy z Singapore, przyjechało z nami kilka tysięcy sztuk kokosowych orzechów.

Ruszamy nareszcie. Płyniemy pod wodę, więc cały prawie Bang-kok od dołu do góry przepływamy. Raz jeden znowu zachwycamy się nad Wat-Czang; potem nad pałacem królewskim. Nad wszelkie spodziewanie długo nie możemy z miasta wyjechać. Ciągnie się ono, jak się pokazało, bardzo wąziutkim paskiem z dwu stron rzeki — ale prawdziwie długość jego chyba milami da się zmierzyć. Tu dopiero, płynąc Menamem — a płynąc zwolna, bo nam ciężko — można widzieć, używać i poznawać Syamską „ulicę".

Nie mówię już o publiczności, którą się spotyka, nie mówię o wehikułach, *alias* czółnach, któremi ta publiczność z miejsca na miejsce się przenosi — ale notuję tylko kapelusze, i urządzenia należące do komfortu domowego, ściśle wewnętrznie domowego, które z Menamu właśnie najlepiej oglądać, bo najpierw i najbardziej oko cudzoziemca uderzają i — cieszą.

Po ulicach lądowych Bang-koku chodzą Syamczycy, a zwłaszcza damy, bez żadnego nakrycia głowy; pływając po Menamie, gdzie prócz żywego ognia z góry, jeszcze refleks od wody potęguje gorąco, używają, nawet najbardziej zeschłe, więc najwytrzymalsze matrony, kapeluszy, plecionych z ciętego na paski liścia palmowego. Maksymum to lekkości i wygody: zastępuje dach nad głową; tylko jest tak ogromny, że co chwila muszą go zdejmować, bo się równocześnie z kapeluszem nigdzie zmieścić nie mogą. Widziałem przypadkiem, jak dwie damy z ludu — w pewnym już wieku, bo krótko obcięte ich włosy dobrze były siwe, typu, jak zawsze, między starym klerykiem, a dyplomatą lub kamerdynerem *de mauvaise maison* — chcąc się z trzecią damą w innem czółeneczku płynącą minąć, pozdejmować musiały kapelusze. Kupiłem takie kapelusze; przy polowaniach na kuropatwy, przepiórki, a jeszcze bardziej na błotach, mogłyby się nadzwyczajnie i u nas przydać. Bardzo ciekawych używają przy jeżdżeniu czółenkami wioseł — długości i formy wielkiej łyżki.

Komfort, jak wiadomo, jest rzeczą w Azyi wogóle nieznaną, tak jak i u nas jeszcze przed stu laty zapewne nikomu się o nim nie śniło. Czy motywa, zmuszające człowieka do szukania komfortu, są złe, czy dobre, nie wiem —

bądźcobądź muszę skonstatować, że u narodów zniewieściałych znachodziłem zwykle bardzo wiele komfortu, co wielce zresztą miłem mi było. — Otóż Syamczycy dzisiejsi są zniewieściali — tego już dawniej dowodziłem; *ergo*, u Syamczyków powinien być komfort. Tak rozumowałem, i rozumie się, szukałem przykładów, mogących poprzeć moją teoryę. Szukałem, i znalazłem. Aż krzyknąłem z radości, odkrywszy! Płynąc Menamem, koło każdego domu widać, w niewielkiej odległości od zabudowania mieszkalnego, silne cztery pale, wbite w dno rzeki. Na palach leżą dwie deseczki, między niemi otchłań, górą biegnie wkoło rogóżka, zwykle dziurawa, pełniąca służbę parawanu, a całość połączona wygodną kładką z domem. Ot i komfort! ów „W. C.“, którego tyle państw europejskich jeszcze nie zna, owa duma Anglików — w całem tego słowa znaczeniu przez poczciwych Syamczyków zastosowany: bo pierwszą część Menam daje, a drugą — rogóżka. Co prawda, nieco mnie zdziwiło, gdym zrobiwszy to odkrycie, przed obiadem zobaczył, że wodę do zupy i herbaty brano... naturalnie z Menamu. Nieco dalej uderzył całą siłą o nasz stateczek trup wzdętego jak balon bawołu; potem widzieliśmy koty i cielę, płynące ku morzu — a obok nich, kąpiących się najspokojniej Syamczyków i t. d. Kwestya to, jak zawsze, konwencyi, nerwów, przyzwyczajeń.

Rano wyjechawszy z naszego hotelu — dopiero popołudniu wydostajemy się poza ostatnie przedmieścia Bang-koku, na wieś. Na brzegach zrobiło się mniej ludno; drzewa jeszcze bujniej i głębiej w Menam wrastają; miejscami drzewa i jakiś rodzaj lianów, tworzą istne groty zieloności — cudowne, bo tak urocze, tak głęboko zielone, tak czuć zdaleka, że tam świeżo być musi i chłodno. To też setki ptaków i ptasząt, cisną się w godzinach południowych około takich miejsc wyjątkowo bujnych; i my czasem szukamy chwili wytchnienia w cieniu. Tu spotykamy prześliczne barki, kształtem przypominające gondole, z domkiem w środku umieszczonym, całe z drzewa tekkowego, na zewnątrz ślicznego brązowego naturalnego koloru, tylko lekko pokostowane — pełne ryżu. Wszystko to ku morzu płynie. Z przodu jeden, z tyłu drugi Chińczyk wiosłujący, stanowi całą załogę ta-

kiej barki, która co do wielkości jednak wcale bywa pokaźną. Wspomniałem o drzewie tekkowem — *teak-wood,* po łacinie podobno *tectoria grandis;* — niegdyś lasy tego drzewa pokrywały cały dolny Syam; ponieważ jednak drzewo to jest nader cenne do budowy, przeto budując ongi Ajutią, potem Bang-kok — stawiając te miliony świątyń, świątyniek i t. d. od tylu tysięcy lat, wycięto tekki nad dolnym Menamem kompletnie. Rosną one dziś tylko nad górnym biegiem, ku granicom północnym kraju. Zalety tekku są niezrównane: twardość, podobno większa od twardości hebanu, a nader stosunkowo mały ciężar gatunkowy. Dziś cena drzewa tekkowego podskoczyła szalenie, od czasu gdy Anglia zaczęła go używać do budowy swoich okrętów. Nasz Phya-Smuth, za czasów swego gubernatorowania w jednej z północno-zachodnich prowincyj kraju, wziął się do handlowania tem drzewem, i dziś prowadzi ogromny handel z Europą i Indyami. Pokazywał nam skład pysznych istotnie kloców, niestety z obciętemi już koronami.

Na naszym stateczku godziny upływały szybko — choć wlekliśmy się niegodziwie, choć dwa razy jednego dnia osiadaliśmy na ławie piaskowej. Brzegi ciągle niskie, płaskie, chwilami jednak urocze, bo nad samą wodą rosnące drzewo, formami przypominające *ficum religiosam,* tworzy piękne groty zieloności, w których zmęczeni wioślarze odpoczywają, z czego śliczne nieraz powstają w naszych oczach obrazki.

Roi się tu od łódek i łodzi; bo Menam jest tu istotnie jedynym środkiem komunikacyi; innych dróg bitych, ani niebitych, w całym kraju nie masz.

Rozumie się, że w ciągu tej powolnej żeglugi, strzelby nie próżnowały. Ambasada nasza posiała wzdłuż Menamu z pewnością kilkanaście funtów śrutu. Strzelali ci panowie co chwila. Najświetniej poszło z kaczkami (jakiś rodzaj cyraneczki): na dwa strzały sam mrs. Samson zabił siedm sztuk. Ja zabiłem coś z rodzaju zimorodka: upierzenie zimorodka zupełne, tylko dziób i łapki jasno-czerwone. Chcieliśmy go zachować do wypchania, ale niestety mrówki na statku tak go oblazły, iż trzeba go było wyrzucić. Biegeleben zabił jakiegoś ptaka z rodzaju bataliona,

podobny do tych, jakie u nas widziałem. Najciekawszy jednak egzemplarz zginął nam przez niedbalstwo i głupotę naszych wioślarzy. Był to ptak, wielkością i barwą zupełnie bażanta przypominający; pierś złota, ogon ogromny, szeroki, bardzo stosunkowo długi i zupełnie czarny. Niestety, przepadł w nadbrzeżnych krzakach. Mnóstwo wszędzie widujemy cudnie niebiesko i złoto ubarwionych Tkaczyków *(Weber-Vögel)*, których gniazdka misternie uplecione z włókna i trawy widać często na krzewach zawieszone. Najbardziej żałowaliśmy, że nam się nie udało dostać owych ślicznych, bielutkich jak śnieg, małych czapli, których tu, jak w Indyach, chmary całe nad rzeką się kręcą. Nieodstępne to towarzysze bawołu, tego ziemiopłazu z ciepłą krwią, co trzy czwarte życia w wodzie spędza.

Jakoś pod wieczór przybijamy do lądu, by zobaczyć słynną na cały kraj świątynię i statuę Buddy. Świątynia bardzo stara, w bardzo już opłakanym stanie. Przerobiona zupełnie na chiński styl i przez Chińczyków czczona specyalnie jako wyrocznia, w rodzaju Delfickiej. Figura, choć rozmiarów ogromnych, co najmniej 30 do 50 razy większa od natury, w takiej ciemności, że trudno ją obejrzeć szczegółowo. Zresztą już zaczynam się do tych ogromnych Buddów przyzwyczajać, i nieraz sam się dziwię, jak mało te dziwy mię dziwią. Wkoło tej wielkiej, setki malutkich figurek Buddy: to ekswota z gliny wypalane, następnie złocistą glazurą szklaną polewane.

Gdy tak stoimy i gapimy się na tego kolosa — budzi nas z ekstazy hałas jakichś drewien rzucanych na kamień. O dziwo! to nasz kelner Chińczyk, z największą powagą i nabożeństwem, stawia Buddzie pytania. Przykucnął na ziemi, ręce wzniósł po wysokość głowy, dłonią do Buddy obrócone — i oddał najpierw pokłon potrójny (dworski ukłon chiński). Dalej wyciągnął dwa kawałki drzewa, formy rogala, okryte chińskiemi literami; rzucił raz, drugi i trzeci drewienkami o ziemię, za każdą razą uważnie odczytywał napisy, studyował jak się drewienka układały, z czego dowiadywał się, w jakiem obecnie zdrowiu są jego rodzice i krewni, i o innych jeszcze kwestyach, z któremi nie chciał się nam zdradzić. Potem znowu się pokłonił i rozpoczął

modlitwę dziękczynną. Wydobył z kieszeni ogromny papier żółtego koloru (wszystko co się do cesarza i bogów odnosi, jest zawsze żółtego koloru). Na papierze widniały wielkie a pąsowe imiona Buddy. Papier zapalił u świętego ognia i wyniósł przed świątynię. Tu znowu zaczął się kłaniać, ale nie długo, bo papier mu w palcach jakoś bardzo prędko się spalał; poczem wsadził go do jakiegoś niby piecyka, naśladującego kształtem wieże chińskie kilkopiętrowe, który stał w przedsionku świątyni. W tej chwili rozległa się strzelanina, jakby pluton wojska rozpoczął ogień. Narazie zgłupieliśmy, nie wiedząc co się stało, zwłaszcza, że sprawca tego wszystkiego, ów kelner nasz, najspokojniej, wzrokiem dość obojętnym, patrzył na ów piec-armatę, a doczekawszy się ostatniej detonacyi, z pewnem jakby znudzeniem wrócił do swojej łódki, nie obejrzawszy się już nawet za swym Buddą. Dalejże my więc pytać Phya-Smuth'a: *what is that?* — a Phya szeroko się uśmiecha, i widocznie kontent, że znalazł coś co nas zainteresowało, poczyna tłumaczyć, że Chińczycy na zakończenie modlitw zawsze spalają, według zamożności osobistej, pewną ilość prochu, aby przepłoszyć nieczyste duchy, które jak muchy do miodu, do modlącej się duszy zlatują. Dobrze jest wiedzieć o tym nabożnym a zapewne wielce skutecznym obyczaju, bo jak pełnia nastanie, to w każdem mieście chińskiem z wieczora i późno w noc nieustannie się takie pukaniny słyszy. W obecnych burzliwych czasach możnaby łatwo wziąć te wystrzały za „pierwsze strzały“ kontr-europejskiego buntu.

Intermezzo arcyciekawe, które nam sprawił nasz służący Chińczyk, sprowadza naturalnie konwersacyę na temat Chińczyków. Uderzało nas to mnóstwo Chińczyków w Bang-kok, dziwiły te rojące się o tej porze po Menamie piękne czółna z ryżem, na których wyłącznie Chińczyków widać; zapieczętowała nam to wrażenie ta świątynia Buddy, tu w środku kraju Syamskiego, na sposób chiński stylowo i liturgicznie przerobiona, widocznie przez Chińczyków opanowana. Najwymowniejszym dowodem tej adaptacyi do wymagań, że tak powiem, „obrządku“ chińskiego, to właśnie ta przed wejściem do świątyni umieszczona

„torpedowa“ pagoda, służąca wyłącznie do spalania owych nabojów prochowych, których używają jedynie Chińczycy, a ani Syamczycy ani Maleje, ani Japończycy ani żadna inna rasa, wyznająca Buddę, nie używa i nie zna.

Niewiele bystrości potrzeba było, żeby się przekonać, że Chińczycy za łeb biorą Syam pod każdym względem, najpierw ekonomicznie i handlowo. Ta sama klasa ludzi, która zalewała Amerykę i Australię, która zalała już i trzyma Singapore, Malakkę, Penang i t. d., ta sama klasa emigrująca, więc mówiąc dokładniej, *Coolis*, plebejusz chiński, zwolna zalewa i opanowuje Syam. Lądem i od morza cisną się oni tutaj; w Bang-kok cały, jakby w Turcyi powiedziano, bazar, tj. część miasta handlowa, kramikowa, gdzie przez całe ulice ciśnie się kramik na kramiku, nazywa się już miastem chińskiem. Handel ryżem mają oni w swoich rękach; wszystkie inne gałęzie handlu, jeżeli nie oni mają, to przynajmniej są głównymi pośrednikami; a że Syam bliższy ich ojczyzny, że rasa mniej od innych, od brązowej, czarnej, czy białej, obca ich rasie — więc Coolis taki, przybywszy tu, zaczyna od tego, że się żeni z syamską kobietą. Często bywa, że w Chinach zostawił już właściwą swą żonę — to mu jednak nie przeszkadza żenić się znowu, i zwykle po niedługim czasie cieszy się liczną progeniturą. Pobywszy tak kilka lat w Syamie, Coolis dorobi się i porośnie w pióra; zaczyna myśleć o powrocie. Żonę swą syamską wraz z dziećmi zostawia; na opędzenie codziennych potrzeb życia wyposaża swą słomianą wdowę zwykle dość hojnie, a sam rusza ku domowi, gdzie, jak twierdzą, pierwsza małżonka z radością go wita. Nie o moralną jednak stronę mi obecnie chodzi, ale o etniczną: kobieta syamska, idąca za Chińczyka, pozostaje tem czem była — dzieci jej jednak, zwykle już są Chińczykami; już noszą warkocz; a choćby go i nie nosiły, to tworzą już nową, od syamskiej różną a do chińskiej nader zbliżoną rasę, która w przyszłości stanie się panią wszystkich tych krajów.

Syamczycy, o ile wiem, mniej tym faktem się trwożą niż Ameryka i Australia, ale to niebezpieczeństwa nie zmienia.

Takie spostrzeżenia czyniąc i filozofując, jedziemy coraz

powolniej, bo maszynka naszej parowej muchy zmęczona całodzienną pracą, a Menam coraz bardziej rwący. Wreszcie, po dziesięciogodzinnej prawie jeździe, dopływamy do Bang-Pa-In, małej, niepokaźnej wioski, nad kanałem Menamu położonej, gdzie obecny król wybudował sobie rezydencyę letnią. Kilkanaście pawilonów, w stylu niby europejskim, z dodatkami motywów syamskich; jeden z nich czysto chiński, dość ładny. Ogród, jak na Syam, porządnie utrzymany, ma drogi brukowane, z klatkami drucianemi na małpy i pawie. Najbardziej mnie w tym pałacyku zdziwiła bardzo porządnie ułożona i utrzymana kąpiel z wanną i tuszami, obok sypialni króla. Królowa zdaje się nie ma sypialni.

Ciekawsza od samego pałacu, to tuż obok po drugiej stronie wązkiego kanału stojąca, nowo przez króla obecnego wybudowana, świątynia Wat. Spodobał sobie Czulalonkorn styl gotycki i palnął w czysto gotyckim stylu kościół, ze wszystkimi szczegółami; tylko, że w ołtarzu głównym, zamiast krzyża — siedzi Budda, a po bokach, zamiast wielkich kandelabrów, często w zagranicznych kościołach używanych, wspaniałe trofea, więc: pancerze, szyszaki, lance, miecze. Nad wejściem, dość wielkie kolorowe okno, przedstawia króla w przyborze koronacyjnym, z napisem: *Tschulalonkorn, Rex Siamensis.* Przyzna każdy, że chyba więcej europejskim król Syamu być nie może, mając po europejsku dom urządzony, z kąpielą i tuszem, tudzież świątyńkę w formie kaplicy gotyckiej, a w niej swój portret na szkle malowany z łacińskim napisem. Nie ma się zresztą co dziwić tym ludziom, że sobie sprawiają europejskie powozy i liberye, domy po europejsku urządzają; wszak podobają się im one tak, jak nam się ich rzeczy podobają! Co jest daleko bardziej zasmucającem, to gdy się widzi pewnych Europejczyków tu zamieszkałych, którzy sprowadzają kretoniki berlińskie, olejodruki magdeburskie, i nimi pstrzą swe apartamenta. *Toujours le même goût, qui a inventé le gigot aux confitures!*

Wróćmy jednak do Bang-Pa-In. — Obiad podają nam w jakiejś sieni, białej i złotej, nader przewiewnej. Jemy szalenie, bo temperatura wysoka, a czem wyższa, tem lepszy apetyt. Pijemy nieźle: szampan z sodową wodą i koniakiem; prześliczny napój.

Po herbacie bardzo dobrej (zamiast czarnej kawy), wychodzimy z cygarem w zębach na taras przed pałacykiem. Księżyc dopiero co wstał, nie zupełnie jeszcze pełny, więc nie oświetlał zbytnio. Z całego morza drzew i krzewów, które zamykały horyzont, wyłania się przed nami śliczne, niewielkie jeziorko, a zpośród niego, tylko wiotkim wiszącym mostkiem połączony z lądem, pawilonik jakiś, na czterech cieniutkich słupach nad wodą zawieszony, z fantastycznym, w syamskim stylu łamanym dachem. Dach, kryty jakąś dziwną łuską błyszczącą, świeci do księżyca, jak srebrny. Zrobiło się między nami cicho; każdy patrzał tylko, bo trudno było oderwać oczu od tego czaru, co się przed nami roztaczał. Wszystko na ziemi i niebie było ciemnoszafirowe, tylko księżyc i ów daszek srebrzysto świeciły; a z podziwu dla nich widocznie, miriady koników polnych i świerszczy pieśń pochwalną grały. W dali gdzieś nareszcie puszczyki swary rozpoczęły — i to nam przypomniało, że nam cygara pogasły. Dziwna rzecz, *lucioli*, Świętojańskich robaczków, które w Singapore jeszcze tak świeciły, tutaj ani śladu.

Ajutia, *13 stycznia.*

Dziś raniutko, o chłodzie, wyruszyliśmy z królewskiego Bang-Pa-In. Droga, tj. brzegi Menamu, niewiele różna od tego, cośmy dotąd przejechali; zawsze ten brzeg niski, kraj płaski, wegetacya bujna, ale trochę tu przyżółkła, bo trzy miesiące deszczu nie było. Zawsze te same domki syamskie, napół w wodzie stojące, po większej części tak między drzewami schowane, że ich dostrzec trudno. Co chwila spotykamy znowu owe czółna z ryżem; koło wiosek często mignie czółno, zdala widoczne, choć malutkie, ale zwraca oko, bo w niem wszystko kanarkowo-żółte: to młodzi bonzowie na spacer lub za sprawunkami jadą, w ubraniu jasno-żółtem. Byłby ten pejzaż arcy-monotonnym, gdyby się go już często było widziało; ale jako nowość, ma on dużo uroku. Nareszcie około 2-giej popołudniu stanęliśmy przed Ajutią.

Miasteczko dzisiejsze niepokaźne, malowniczo na półwyspie między właściwą rzeką a sztucznym kanałem położone. Przybijamy do drewnianego debarkaderu, na brzegu robi się ruch; nareszcie pokazuje się, w zwykłym dworskim, ciemno-liliowym stroju, z helmetem na głowie, otoczony istną zgrają sług, dworzan i urzędników, brat naszego Phya-Smuth'a: gubernator Ajutii. Co za typ! Coś z małpy, coś z dyplomaty dawnego stylu; włosy, jak zawsze, wszystkie równo w górę zaczesane. *His Excellency the Governor of Ayuthia, Phya Claivechit* (którego własnoręcznie daną mi kartę wizytową, po syamsku napisaną, z nabożeństwem przechowuję) — uprzedzony przez naszego grubulę (Girardem między nami zwanego), przyjmuje nas w sposób wspaniały, doskonałem śniadaniem, wyłącznie z syamskich potraw złożonem; nader to było ciekawe. Szkoda tylko, że przez delikatność dla naszych żołądków dano też kilka potraw europejskich. Parę cukierków, w kształcie kwiatów, zupełnie formą *Edelweiss* przypominających, schowałem i do domu z paką syamskich rzeczy posyłam; zapewne tylko proch do domu dojedzie.

Naturalnie, herbata nad wyraz doskonała, zwłaszcza ta, którą podano przed śniadaniem, na *prykuskę*. Herbatę podają tu inaczej niż w Chinach lub Japonii, bo w malutkich, ślicznych czajniczkach. Istne to arcydziełka sztuki ceramicznej. Mieści się w nich akuratnie trzy malutkie filiżaneczki herbaty. Palone są, z polewą matową, koloru szaro-brunatnego. Wyrabiano je dawniej, za świetnych Syamu czasów, w Syamie samym; potem zupełnie zarzucono, zapomniano nawet technikę tego wyrobu. Król Czulalonkorn upodobał sobie te starodawne, milusie czajniczki, tak delikatne, że zapewne tylko najzgrabniejsze damy syamskie musiały je toczyć — i zaczął je kolekcyonować. Za nim poszli inni wielcy Syamu, i doszło do tego, że dziś i na wagę złota prawdziwego starego dostać nie można. Poradzili na ten brak starych czajniczków Chińczycy. W Annamie zaczęto je naśladować; podobno około 500.000 sztuk wyrabiają tam rocznie tego artykułu, i wszystko pochłania Syam, boć każdy wierny poddany chce mieć taki sam gust i taki czajnik, jak jego król. Mimo najszczerszej woli, nie dostałem takiego czajniczka.

Po tem arcy-doskonałem śniadaniu, podano konie. Ruiny dawnej stolicy leżą o kilka kilometrów od dzisiejszej wioski Ajutii, więc konno musieliśmy jechać. Konie, prawdę powiedziawszy, kuce wielkości półrocznych cieląt holenderskich — ale co za fantazya, co za buta i ogień w tych myszach! Ani to w miejscu ustać nie chce, a kąsa jak pies. Grzywy krótko strzyżone, maść gniada. Siodła, cudowne. Minister siada pierwszy. Ma siodło całe złotym, grubym sztychem haftowane, strzemiona starej, cudnej roboty *à jour*, srebrne. Łeb koński cały strojny w srebrne, filigrany przypominające ozdoby. Ruszamy. Przejechawszy przez dwa dziedzińce zapuszczonego strasznie pałacu królewskiego namiestnika, gdzie *nota bene* jako największą ciekawość pokazywano nam łóżko nieboszczyka króla, *alias* dwie stare kanapy europejskie, zestawione razem; przejechawszy dalej gaik drzew Mango, najlepszego owocu ziemi, jak twierdzą — wyjechaliśmy tyłami wsi, dzisiejszej Ajutii, na drożynę, między ogrodami i gajami, do ruin prowadzącą. Zaraz za wsią zaczynają się stare mury stolicy, ale niewiele z nich widać, choć jeszcze lat temu 106, było to miasto zamieszkałe. Krzewy, powoje, najrozliczniejsze drzewa i drzewka, porozsadzały, poniszczyły te mury, jak zawsze z niepalonej cegły stawiane; gdzieniegdzie tylko spostrzedz można ślady fundamentów. Tylko mury świątyń jakotako się jeszcze utrzymały. Domy mieszkalne prawie wszystkie były drewniane, więc z nich ani śladu. Za to część miasta, gdzie stały świątynie, wspaniała, ogromne czyni wrażenie. Wśród istotnego morza zieloności, sterczą całe rzędy praczedyj, niektóre jeszcze w dobrym stanie, inne napół zwalone, inne znowu Pizańską wieżę przypominając, stoją pochylone. Niektóre uchwyciło drzewo powojowe w swe ramiona, popsuło, podziurawiło, porozsadzało miejscami mur kamienny, otwierając swym korzeniom przejście, ale nie chcąc burzyć zupełnie, uchwyciło konarami górną część praczedyi, podniosło ją zlekka, i tak trzyma w powietrzu prawie całą; nic ciekawszego wystawić sobie nie można. Przyroda podzwrotnikowa inna niż w Egipcie. Tam piasek przechowuje i utrzymuje dzieła ludzkiej sztuki, wbrew nawet woli człowieka — tu człowiek walczyć musi i pilnować się nieustannie, by to co

stworzył, nie pochłonęła, nie zburzyła matka-przyroda. Klimat zabija człowieka, zwłaszcza białego (febry, *bery-bery)* — przyroda niszczy, zasłania, rozsadza jego dzieła.

Jedna tylko świątynia, wielka niegdyś i wspaniała zapewne, wielki Wat ogromnego Buddy, ostała się jakotako, mimo zbiorowych ataków, czasu, deszczu i roślinności. Wieczorem, gdy słońce ku zachodowi się mieć poczynało, stanęliśmy wpośród tej przepięknej ruiny, gdzie ogromnych rozmiarów Budda, niegdyś cały złoto-brązową blachą kryty, mimo, iż jedno ramię już stracił, mimo, iż mu na głowie drzewo wyrastać poczęło, siedzi zawsze ten sam, niewzruszony, z tym więcej niż olimpijskim spokojem, z tym niby uśmiechem na ustach, a głową nieco smutnie, może nieco znudzono, ku ziemi pochyloną. Wkoło niego nawpół zburzone, jeszcze jednak swego pana przed profanów okiem osłaniające, mury, a wkoło nich na straży ogromne kolumny granitowe z pilastrem, w formie kwiatu lotusowego.

Niewymownie żal mi się zrobiło tego Buddy, dziś tak opuszczonego, niegdyś tak czczonego. Jest to bez kwestyi jedno z najpiękniejszych wyobrażeń wielkiego reformatora — w całem tego słowa znaczeniu dzieło sztuki. Za wielki i za ciężki był ten Budda, by go można było przewieźć do Bang-kok, i zostawiono go na pastwę powojów — i poczciwych jego wyznawców, którzy nie omieszkali co się dało z owej blachy złotej zeń zedrzeć. Gdzieindziej roślinność tutejsza tak niesłychanie bujna, swoją wybujałością odejmuje ruinom charakter trupów i cmentarza; tu nie — to wyobrażenie tak piękne, tak pięknej bądźcobądź postaci, jaką był Budda, w tem opuszczeniu, to przerażająca drastycznością swą ilustracya słów: *sic transit gloria mundi.* Pamiątek tu żadnych, prócz tych trochę murów. Chciałem choć coś ze sobą zabrać, lecz niesposób, odarto to miasto dwukrotnie, nim je opuszczono! Odarli je Birmanie zwycięzcy, odarli potem opuszczając raz n\ zawsze dawni mieszkańcy; tylko to, czego zabrać nie mogli, lub co nie warto było, to się zostało. Miasto musiało być mniej rozległe niż dzisiejsza stolica; ale sądząc ze sposobu, w jaki świątynie budowano, musiało być wspanialsze. O ile tak w przelocie sądzić można, nie będąc fachowym, ze

szczątek tak nielicznych, jakie się tu widzi, wydaje mi się, że nawet styl dawnych budowli musiał być nieco od dzisiejszego odmiennym. Z drugiej strony, wobec konserwatyzmu wrodzonego Azyatów, trudno przypuścić, żeby się na innowacyę byli mogli zdecydować.

Wracamy tą samą drogą, którąśmy przejeżdżali; słońce już bardzo blisko zachodu, a że zmrok pod tą szerokością północną trwa nader krótko, więc spieszyć się nam trzeba było. Ale jakże się spieszyć po takiej drodze, tak pięknej i uroczej, a przytem tak złej! Na jakimś gdzieś zakręcie, spotykamy wolno puszczonego konika; a choć był akurat tyciusieńki jak nasze, krew miał bardzo gorącą i temperament widać wojowniczy — bo obcesowo uderzył na konia Samsona, który mężnie chciał placu dotrzymać. Skończyło się wszystko na niesłychanym kwiku i bastonadzie — i pojechaliśmy dalej. Niedaleko przed rezydencyą naszego gospodarza tutejszego, nagle na skręcie wysunięty z za gęstwiny przecudny obrazek, zatrzymał nas chwilę. Oto dwoje ludzi czy dzieci, na ogromnym słoniu sobie jechało. By nam wolny przejazd zostawić, stanęli. W ramach z tej cudnej zieloności, słoń i ci ludzie na nim — godny doprawdy Hildebrandta temat do obrazu.

Nasz „Girardi“ i brat jego czekali z gotowym podwieczorkiem. Nim go podano, jeszcze wdrapujemy się z ministrem na ogromną, jak na Syam, starą wieżę. Była to strażnica. Wschody jeszcze wcale nie źle utrzymane, bo kamienne. Widok cudowny, niezmierzony, choć smutny, bo prócz nieba i czerwonej kuli słońca, na ziemi jedno wielkie, nieprzerwane morze zieloności. Ni rzeki, ni pól uprawnych, ni żadnych zabudowań ludzkich, nic nie widać, wszystko w tej topieli zielonej zagubione; tylko w dali sterczały mury owej świątyni brązowego Buddy. Ku północy patrzymy, czy nie dojrzymy choćby cienia gór północnych; ani śladu — za daleko; a przytem wieczna mgła nad całym dolnym Syamem wisi; a raczej nie mgła to, lecz para — ziemia się poci pod wieczór. Podwieczorek nasz, to herbata i gotowane mleko kokosowe z cukrem, zabarwione na czerwono! Chciałem spróbować żuć bettel — alem przecież nie spróbował na-

prawdę, obawiając się złych skutków dla mego i tak po syamskiem śniadaniu nieco w złym humorze będącego żołądka.

Nareszcie więc chwila odjazdu nadchodzi. Na noc wracamy do Bang-Pa-In. Wieczna szkoda, że dalej w górę Menamu puścić się nie można było; czas ministra był ograniczony; za dni kilka statek do Singapore odchodził; trzeba było wracać do Bang-kok. Niestety nie byłem odpowiednio wybrany, by módz na swoją rękę podjąć jakąś ekspedycyę w głąb kraju; zresztą nie wypadało mi ministra porzucać i niewdzięcznością za jego dla mnie dobroć odpłacać. Więc, choć z prawdziwą żałobą w sercu, wsiadam do tej naszej muchy parowej i mówię: „Niech się dzieje wola nieba"; nie wiedziałem, że jeszcze tyle razy w czasie mej podróży te same słowa przyjdzie mi powtórzyć.

(C. d. n.).

Paweł Sapieha.

REFORMA WALUTY W AUSTRO-WĘGRZECH.

Prof. dr. Józef Milewski: STOSUNEK WARTOŚCI ZŁOTA DO SREBRA. (Odb. z Rozpraw Wydziału hist.-filoz. Akademii Umiej.). Kraków 1891. (W 8-ce. str. 2 i 118).

Prof. dr. Józef Milewski: W SPRAWIE REFORMY WALUTY W AUSTRO-WĘGRZECH. (Referat na Walnem Zgrom. „Związku narodowego“). Kraków 1892. (W 8-ce. str. 39).

Kiedy przed dwoma laty w parlamencie angielskim toczyła się dyskusya nad kwestyą monetarną, z powodu wniosku S. Smitha, jeden z najwybitniejszych mężów stanu dzisiejszej Anglii, kanclerz skarbu Goschen, rozpoczął swą mowę od zdania, iż „istnieją trzy potęgi zdolne rozum pomieszać, a są niemi: religia, miłość i kwestya monetarna“. Zestawienie, choć napozór paradoksalne, mimo to, jak nas doświadczenie życia poucza, bardzo usprawiedliwione. Niema może drugiej kwestyi ekonomicznej, co do którejby panował taki chaos pojęć i nieznajomość istotnego stanu rzeczy, jak monetarna. Spencer zauważył, że „każda kwestya naukowa jest prosta i jasna, dopokąd nie wglądniemy w jej istotę“; ale kwestya monety, nawet przy traktowaniu jej powierzchownem, nawet przy szkicowaniu jej najważniejszych zarysów, przedstawia tyle wątpliwości, zawikłań i niepewności, że i dla „niewglądających w jej istotę“ przestaje być prostą i jasną. To też gdy o kwestyi socyalnej naprzykład, lub o problemacie wolnego handlu i ceł opiekuńczych, szersza publiczność stosunkowo nie źle jest poinformowaną, co do wa-

luty panuje nawet w warstwach inteligentnych ignorancya najprostszych zasad i ich konsekwencyj. Ogół wykształcony nie ocenia — nawet w przybliżeniu — znaczenia i doniosłości reform prawodawstwa monetarnego, nie odgaduje wcale, jak wielki wpływ ma ono na najważniejsze stosunki codziennego życia, na wysokość zarobków, wysokość cen produktów rolnych i przemysłowych, wzrost lub zniżkę wielkości zobowiązań pieniężnych. Wobec zbliżającej się reformy waluty w Austryi, publiczność daleko więcej bez wątpienia zajmowała się pytaniem, jaka będzie wysokość jednostki monetarnej: gulden czy korona? niż: jaka będzie waluta: jedno- czy dwumetaliczna? A przecież, jakże nierównej wagi, i to w odwrotnym stosunku do zaciekawienia, są oba te problemy!

Publiczność nasza nie może się skarżyć na brak sposobności zapoznania się z kwestyą monety. Rozprawy fachowe i popularne pana Paszkowskiego, Głąbińskiego, Paygerta, a przedewszystkiem profesora Milewskiego, ogłaszane od lat kilku w naszych czasopismach naukowych, dają możność każdemu zoryentowania się w tej kwestyi, „mieszającej rozumy“ ludzkie. Wszyscy ci nasi ekonomiści, z rzadką jednomyślnością, zajęli w sprawie waluty wspólne stanowisko, oświadczając się bardzo stanowczo przeciwko monometalizmowi złotemu. Godzą się bez zastrzeżeń, że zaprowadzenie w Austryi złota jako jedynego środka, zapomocą którego prawo dozwalałoby uwalniać się od zobowiązań pieniężnych (przy kupnie, pożyczce, najmie, i t. d.) — tak jak to jest w Anglii naprzykład — byłoby dla naszego kraju rzeczą w najwyższym stopniu zgubną. Dlaczego? Streszczając bliżej wyniki, do jakich doszedł w swych powyżej wymienionych pracach, najwybitniejszy u nas znawca sprawy monetarnej, prof. Milewski, będziemy się starali w sposób najprzystępniejszy, o ile to w tak zawikłanej kwestyi jest możliwe, na to pytanie odpowiedzieć.

Profesor Milewski stoi z wielką stanowczością na stanowisku międzynarodowego bimetalizmu, to znaczy: ideałem urządzeń monetarnych jest dla niego stan taki, w którymby naj-

główniejsze mocarstwa porozumiały się co do wspólnego zaprowadzenia obu metali szlachetnych (srebra i złota), jako materyału do wybijania monety. Zaprowadzenie takiej „Unii bimetalistycznej“, zrównanie srebra i złota w jej zakresie, nadanie obu kruszcom nieograniczonej waluty, czyli obywatelom prawa uwalniania się zapomocą obu kruszców od zaciągniętych zobowiązań, usunęłoby jego zdaniem wszystkie — a przynajmniej najważniejsze — złe strony dzisiejszego stanu kwestyi monetarnej.

Wypada więc najprzód poznać, jakim jest ten stan dzisiejszy i jakie są jego złe strony? Stan dzisiejszy, w przeciwieństwie do projektowanej przez bimetalistów Unii międzynarodowej, polega na tem, że każde państwo decyduje odrębnie, bez porozumienia się z innemi, o tem, który — czy które — kruszce mają mieć w obrębie jego granic walutę. I tak: Anglia ma walutę złotą, to znaczy, z każdego zobowiązania — weźmy za przykład najbardziej typowe: pożyczkę — dłużnik musi uiszczać się w monecie złotej. Jeśli w terminie wypłaty przyniesie wierzycielowi srebro, to ten nie jest obowiązany go przyjąć. Przeciwnie zaś w Indyach ma walutę srebro: dłużnik musi więc zapłacić swój dług w monecie srebrnej.

Walutę podwójną, a więc bimetalistyczną, tj. równouprawniającą oba metale, ma, na papierze przynajmniej, cały kompleks państw europejskich, związanych od lat dwudziestu kilku w tak zwaną „Unię łacińską“. Należą do niej: Francya, Włochy, Belgia, Szwajcarya, Rumunia, Grecya. Państwa te, zawiązując w r. 1867 Unię monetarną, zgodziły się, że na całym ich obszarze, każde zobowiązanie zaciągnięte w złocie, wolno będzie spłacić zależnie od woli dłużnika, złotem lub srebrem, i na odwrót. W tym celu zaś postanowiono wówczas, że wartość 1 kilograma złota równa się $15^1/_2$ kilogramom srebra. Ten ustawowy stosunek wartości złota do srebra był więc odtąd w granicach Unii podstawą przy obliczaniu, ile srebra obowiązany jest dłużnik przynieść wierzycielowi, gdyby chciał zwrócić mu srebrem otrzymaną od niego w monecie złotej pożyczkę. W Niemczech, po wojnie francusko-pruskiej, zaczęto zaprowadzać walutę złotą, w miejsce istniejącej tam przed r. 1873 waluty srebrnej.

Zaprowadzić ją zaś miano zapomocą następującej operacyi pieniężnej: Państwo miało wycofywać krążącą monetę srebrną, przesyłać ją następnie do Francyi jako do kraju bimetalistycznego, a korzystając z równouprawnienia obu metali w obrębie Unii, zamieniać tamże owo przesłane srebro na potrzebne w Niemczech złoto, na podstawie stosunku $1:15^1/_2$. W ten sposób spodziewano się, że nowopowstałe cesarstwo Niemieckie będzie mogło łatwym sposobem uzyskać konieczną w tym razie masę złota, ogołacając z niego Francyę i wogóle Unię łacińską. Nadzieja ta została jednak zawiedzioną.

Zawiedzioną zaś została wskutek dwóch przyczyn, które zmusiły „Unię łacińską“ do tego, iż ograniczyła równouprawnienie srebra ze złotem. W tym samym mniej więcej czasie, w którym Niemcy postanowiły rzucić na targ francuski cały zapas będącego dotąd u nich w obiegu srebra, produkcya obu kruszców doznała zmiany. Zmniejszyła się ilość wydobywanego złota, wzrosła zaś ilość kopalnianego srebra. Dwa te więc fakta: 1) zwiększenie produkcyi srebra, równocześnie ze zmniejszeniem produkcyi złota, oraz 2) gwałtowna p o d a ż na targach ogromnych zapasów srebra ze strony Niemiec, musiały zachwiać stosunek wartościowy złota do srebra $1:15^1/_2$, przyjęty za podstawę bimetalizmu w „Unii łacińskiej“. Oba fakta bowiem działały zniżająco na wartość srebra, a podwyższająco na wartość złota. Niemcy, chcąc wprowadzić u siebie w obieg monetę złotą, zaczęły złoto wykupywać na targu, a tymczasem zmniejszona produkcya tegoż czyniła je na targach coraz rzadszem; przesyłały na targ zapasy niepotrzebnego im srebra, a równocześnie srebro zaczęło coraz więcej dopływać na targi, wskutek zwiększenia się jego produkcyi. Wobec tych dwóch razem działających przyczyn, stosunek wartości srebra do złota musiał się oczywiście na targach zmienić. Kto chciał nabyć kilogram złota, ten za czasów dawniejszych musiał dać $15^1/_2$ kilo srebra; teraz — po roku 1873 — musi już dać więcej srebra, bo złoto jest coraz rzadsze, a o srebro coraz łatwiej. To też stosunek targowy obu metali wynosi w r. 1875 mniej więcej 1:16, w r. 1880 1:18, w r. 1885 $1:19^1/_2$, w r. 1890 1:22.

Jak się wobec tego miała zachować Unia łacińska? Niemcy po roku 1873 dowożą do niej zapasy srebra i wymieniają je powoli na złoto, po cenie 1 kilo złota za $15^1/_2$ srebra, bo taka była prawnie przyjęta za podstawę podwójnej waluty. Grozi więc Unii niebezpieczeństwo, że Niemcy ogołocą ją całkiem ze złota, a zostawią metal taniejący: srebro. Gdyby przynajmniej płacili za to złoto rzeczywistą, tj. targową jego wartość, to znaczy, gdyby dawali Unii za każdy wywieziony kilogram złota 16, 18, $19^1/_2$ i 22 kilogr. srebra, w miarę jak ono coraz więcej na targach tanieje, to straty nie byłyby tak groźne: ale one płacą zawsze tylko wartość ustawową, a więc straty Unii rosną w zastraszający sposób. Aby się więc od tych strat uchronić, postanowiła Unia najprzód ograniczyć, a potem zawiesić zupełnie (1878) wybijanie nowej srebrnej monety; wskutek czego mennica francuska zaprzestała całkowicie przyjmować niemieckiego srebra i wymieniać je na złoto. Z jednej strony uwolniło to wprawdzie Unię od niebezpieczeństwa ogołocenia jej ze złota; ale z drugiej strony ustawa taka, odbierająca srebru popyt monetarny w całym obrębie Unii, zwiększyła jeszcze jego tanienie czyli deprecyacyę. Odtąd Unia łacińska, wybijając tylko złote pieniądze, przeszła faktycznie do jednej waluty: złotej; bimetalizm jej istnieje już tylko teoretycznie. Moneta srebrna kursuje wprawdzie jeszcze po krajach Unii, ale tylko dawniej wybita; nie ma ona zresztą takiego samego znaczenia, jak złota, bo Unia już dawniej ograniczyła jej walutę, w ten sposób, że prawo pozwala spłacać zobowiązanie w srebrze tylko do sumy 100 franków; przy zobowiązaniach wyższych, dłużnik musi płacić wierzycielowi złotem. W tych więc dwóch kierunkach: co do bicia monety i co do wysokości wypłat, srebro jest upośledzone w krajach Unii, i dlatego słusznie mówimy, że właściwie panuje tam monometalizm.

Postanowienie Unii, nie dozwalające Niemcom wymienić reszty ich zapasów srebra na złoto, miało oczywiście wpływ i na ich walutę. Niemcy bowiem do r. 1878 zdołały tylko część swego srebra usunąć z obiegu, a znaczna jego część w postaci srebrnych talarów krążyła jak dawniej w państwie. Odtąd musiały Niemcy

zrzec się nadziei wycofania tej drugiej części; musiały się zgodzić, że ta reszta ich srebra (w wartości około pół miliarda marek) będzie w obiegu jak dawniej. Za tem poszło, że nie można było odbierać waluty temu srebru, którego nie można było zastąpić złotem. Monometalizm złoty, jaki Niemcy chciały u siebie zaprowadzić, okazał się więc nie do przeprowadzenia wobec uchwały Unii. Teoretycznie panuje więc w Niemczech waluta złota, ale obok niej dawne talary srebrne mogą służyć także jako środek wypłaty zobowiązań.

Podobne stosunki panują także w Stanach Zjednoczonych Amerykańskich. W r. 1873 wprowadzono tam walutę złotą, ale utrzymała się ona tylko przez lat pięć. W r. 1878 bowiem wprowadzono nanowo równouprawnienie srebra, co do wybijania z niego monety i wypłaty zobowiązań. I tutaj więc monometalizm złoty nie został przeprowadzony.

Jaki jest stan waluty w Austryi i Rosyi, wiadomo z doświadczenia. Od lat kilkudziesięciu wprowadzono tu pieniądz papierowy, równouprawniając go ze srebrem. Dłużnik może spłacać swe zobowiązania zarówno w srebrze, jak w banknotach. Mamy więc w Austryi walutę podwójną, ale nie dwukruszcową, tylko srebrno-papierową. Stosunek to jest anormalny, i państwo dąży słusznie do jego reformy.

Z tego krótkiego przeglądu obecnego stanu kwestyi monetarnej, w państwach najwybitniejsze pod względem ekonomicznym i politycznym zajmujących miejsce, okazują się wyniki następujące: Państwa regulują tę sprawę bez wzajemnego porozumienia się, a więc w drodze ustawodawstwa autonomicznego. Pomimo tego, jak dowodzi prof. Milewski („Stosunek...“, str. 111-2), o niezależności waluty jednego państwa od działania państw innych, nie może być mowy. Zmiana waluty jednego państwa, np. zamierzone wycofanie srebra w Niemczech, wywołuje zmianę stosunków i gdzieindziej, zmuszając inne państwa do wprowadzania środków ostrożności przed możliwemi ztąd dla nich szkodami.

Skreśliwszy w ten sposób „stan dzisiejszy“ w najogólniejszym zarysie, przechodzimy do drugiej części pytania: „jakie są

jego złe strony?“ Złe strony polegają na tem, że moneta w żadnem państwie nie odpowiada zasadniczym dwom wymaganiom, które teorya i praktyka uznały jako niezbędne warunki zdrowej organizacyi monetarnej, a mianowicie: 1) wartość pieniędzy powinna być stałą, 2) pieniądz powinien mieć jak najszersze terytoryum, na któremby jako środek wypłaty mógł być używany; to znaczy: nie powinien tracić cechy monety, mimo przejścia z jednego terytoryum politycznego w granice drugiego. Zastanówmy się najprzód nad pierwszym postulatem: „wartość pieniądza powinna być stałą“.

Pieniądz ma dwa główne zadania do spełnienia: jest *a)* miarą wartości przedmiotów; *b)* jest środkiem wypłat. Chcąc oznaczyć wartość pewnego przedmiotu, mówimy: on wart 10 lub 20 guldenów, tak jak mierząc wysokość, mierzymy ją na metry i mówimy: ten dom jest 10 lub 20 metrów wysoki. Każda zaś miara powinna być stałą. Gdybyśmy np. mieli metr zrobiony ze słupka rtęci, umieszczonego w szklanej rurce, to oczywiście byłaby to miara jak najgorsza. Domy, mające w zimie 30 metrów wysokości, miałyby ich na wiosnę 15. Nie wyrabiamy więc metrów nietylko z rtęci, ale ani z innych metali, bo one się skracają lub przedłużają wskutek temperatury, tylko z drzewa, jako materyału dającego większą rękojmię stałości miary. Tymczasem w dziedzinie monetarnej — przy dzisiejszych stosunkach — pieniądz jako miara wartości zachowuje się tak niestale, że porównanie z rtęcią jest bardzo uzasadnione. Weźmy najprzód srebro, które ciągle tanieje, i zbadajmy, jaki jest tego skutek? Oto ten, że miara wartości przedmiotów jest co roku mniejsza. Sto guldenów w srebrze warte jest teraz mniej, niż przed laty dwudziestu; wskutek tego, jeśli jakiś przedmiot kosztował przed rokiem 1873 dwadzieścia guldenów w srebrze, to dziś trzeba dać za niego daleko więcej; sprzedający słusznie domaga się zań większej ilości srebra, np. dwadzieścia pięć, trzydzieści i więcej guldenów. Słowem, nastąpił ten skutek, że wartość mierzona srebrem się podniosła, innemi słowy: nastąpiło zwiększenie się cen, czyli to, co nazywamy drożyzną.

To jest skutek, objawiający się w stosunkach nieprzerwanego obrotu, czyli tam, gdzie, jak np. zazwyczaj przy kupnie, uiszczanie się następuje natychmiast po zawiązaniu stosunku dłużnego. Ale weźmy teraz inny stosunek. Ktoś np. zaciągnął przed laty dwudziestu pożyczkę w wysokości 1000 guldenów, zobowiązując się płacić co roku procenta, a w r. 1892 zwrócić całą sumę, jaką otrzymał. Przychodzi więc dziś do swego wierzyciela i oddaje mu 1000 guldenów srebrem. Nominalnie otrzymuje wprawdzie wierzyciel tę samą sumę, ale w rzeczywistości otrzymuje mniej, bo srebro przez ten czas staniało i gulden srebrny wart dziś o wiele mniej, niż przed laty dwudziestu. Wierzyciel poniósł więc niezasłużoną stratę.

Uogólnijmy te wyniki. Na deprecyacyi srebra źle wyszedł konsument i wierzyciel. Pierwszy płaci producentowi coraz więcej za te same przedmioty, drugi otrzymuje faktycznie coraz mniejszy kapitał od swojego dłużnika. A do kategoryi wierzycieli należą nietylko kapitaliści i rentierzy; należą tu ekonomicznie całe warstwy ludności, otrzymujące pewne świadczenia w stałej, raz na zawsze zgóry oznaczonej sumie. Tak np. państwo zobowiązało się przed laty kilkudziesięciu płacić urzędnikowi pewną sumę jako pensyę, tj. jako wynagrodzenie za usługi spełniane przez niego dla państwa. Sumę tę otrzymuje urzędnik co roku w tej samej nominalnej wysokości, ale faktycznie otrzymuje coraz mniej, bo wartość jego pensyi płaconej w monecie taniejącej ciągle się zmniejsza.

Z drugiej zaś strony, ten sam urzędnik, będąc równocześnie konsumentem wytworów przemysłowych i artykułów żywności, musi za nie płacić coraz większe ceny. Ubranie kosztuje go coraz więcej, coraz więcej płaci za chleb, za opał i pomieszkanie. Pensya maleje a wydatki się zwiększają. Wychodzą więc w ten sposób na jaw wszystkie złe skutki drożyzny, które dziś tak bardzo ciężą na klasie urzędników. Podobnie też ma się rzecz i z klasą robotniczą. Wysokość płacy robotnika, choć ta płaca bardziej jest może niż pensya urzędnika ruchoma, nie wzrasta jednak w należytej proporcyi do rosnącej drożyzny najniezbędniejszych artykułów życia.

Dotąd mówiliśmy o tym kruszcu, który po r. 1873, wskutek zmian w produkcyi i zmian w ustawodawstwie monetarnem niemieckiem, staniał, tj. o srebrze. Teraz zastanowimy się nad tym, który od r. 1873 drożeje: nad złotem. Drożenie złota jest zyskiem dla wierzycieli i dla wszystkich pobierających stale oznaczone, złotem wypłacane pensye, bo suma dawana im w złocie przedstawia coraz większą wartość. Tak więc np. w Anglii urzędnik, pobierający od państwa pewną zgóry oznaczoną sumę w złocie, pobiera faktycznie coraz większą zapłatę; ale za to na zwyżce wartości złota traci państwo i tracą dłużnicy, którzy odtąd coraz większe sumy muszą zwracać swoim wierzycielom. Tem się tłumaczy, dlaczego zaprowadzenie waluty złotej leży w interesie tych warstw, które żyją z wypożyczania kapitałów; rzecz bowiem jasna, że naprzykład bankier wiedeński, gdy będzie zaprowadzona w Austryi waluta złota, ma szanse ciągnięcia coraz większych zysków ze swego kapitału, oczywiście kosztem tych, którym kredytuje. Z drugiej zaś strony, warstwy produkujące, wskutek drożenia monety, ponoszą w tym samym stosunku ciągłe straty. Ponieważ bowiem wartość złota rośnie, więc za kilogram złota można się dziś domagać od producenta znacznie więcej niż przed laty dwudziestu. Wskutek tego, w razie zaprowadzenia u nas waluty złotej, rolnik galicyjski dostawałby za swoją pszenicę coraz mniej złota, a to w miarę jakby wartość tego kruszcu szła w górę. Ponieważ zaś na każdej prawie wsi u nas ciężą długi hipoteczne, więc rolnik byłby narażony podwójnie na złe skutki drożejącej monety: najprzód musiałby opłacać coraz większe faktycznie sumy tytułem zwrotu hipotecznego długu, powtóre otrzymywałby coraz mniej pieniędzy za wyprodukowane przez siebie zboże. Podobnie miałaby się rzecz z producentem przemysłowym. Otrzymywałby on za tę samą ilość wyrobów coraz mniej pieniędzy, bo te coraz większą przedstawiałyby wartość; chcąc znów te straty powetować, musiałby zacząć od zredukowania niektórych pozycyj w wydatkach na prowadzenie fabryki. Przedewszystkiem więc starałby się obniżyć pensye robotników, bo to jest pozycya najwięcej od jego dowolności zależna. Tak więc zarówno deprecyacya jak i podro-

żenie monety odbija się ostatecznie na warstwie ekonomicznie najsłabszej, tj. na klasie robotniczej.

W ten sposób okazuje się, że ani tendencya srebra do tanienia, ani też dążność złota do ciągłego drożenia, nie wychodzi społeczeństwu na dobre. Zmiany wartości kruszców, czyli ich niestałość jako miary wartości przedmiotów i środka uiszczania zobowiązań, sprowadzają niepewność stosunków ekonomicznych. Przy walucie złotej narażonym jest w obecnych stosunkach na straty: producent, dłużnik, państwo, robotnik; przy walucie srebrnej ponoszą niekorzyści: urzędnicy, wierzyciele, rentierzy i warstwy robotnicze. Ponieważ niepodobna zgóry obrachować, o ile srebro spadnie lub złoto podrożeje, więc do każdego stosunku ekonomicznego wprowadzonym zostaje w ten sposób element niewiadomy, nadający mu piętno niezdrowe ryzyka, spekulacyi, loteryi. Nauka domaga się więc słusznie, aby „wartość pieniędzy była stałą“, a stan dzisiejszy tym jej wymaganiom nie czyni zadość.

Obok tego, wzmagająca się z każdym rokiem deprecyacya srebra i drożenie złota ma jeszcze jeden, ogólno-europejski, zły skutek, który zwłaszcza produkcyi rolnej daje się coraz więcej uczuć. Jest nim ułatwianie dowozu zboża z Indyj Wschodnich na targi europejskie, co utrudnia zbyt naszym, europejskim rolnikom. W Indyach, jak mówiliśmy wyżej, panuje waluta srebrna. Srebro nie straciło tam dotychczas na wartości. Skutkiem tego producent indyjski wychodzi zupełnie na swoje, jeśli za pszenicę dostanie taką samą cenę w srebrze, jaką mu płacono przed laty dwudziestu. U nas zaś, jakeśmy widzieli, jest przeciwnie: nasz producent, wskutek potanienia monety srebrnej, musi domagać się za swe zboże sumy większej niż przed r. 1873. Wskutek tego warunki konkurencyi są nierówne: producentowi indyjskiemu wystarcza suma niższa srebra, producent europejski domaga się przy sprzedaży sumy wyższej. Każdy kupujący, ma się rozumieć woli płacić mniej, a więc mając na targu wolny wybór, szuka przedewszystkiem zboża indyjskiego. To nam tłumaczy, dlaczego w ostatnich czasach import pszenicy indyjskiej do Europy tak nagle wzrasta, na wielką szkodę krajów rolniczych europejskich.

To wszystko są skutki niestałej wartości srebra i złota, ich ustawicznego tanienia i drożenia.

Przechodzimy do drugiego postulatu, jaki nauka stawia dla stosunków monetarnych: „pieniądz powinien mieć możliwie największy obszar, na którymby jako środek wypłat mógł być użyty".

Nie należy brać tego oczywiście w sposób ciasny. Nie chodzi tu o to, aby frankiem, czy marką, czy guldenem, można płacić na jak najszerszych terytoryach politycznych; dosyć jest, jeśli ten kruszec, z którego moneta pewnego kraju jest zrobiona, będzie miał i w krajach sąsiednich walutę. Przypuśćmy, że kupiec, osiadły w Niemczech, handluje z Anglią. W obu tych krajach, jak wiemy, środkiem wypłat jest złoto. Kupiec niemiecki, wysławszy towar do Anglii, dostaje za niego pewną ilość złotych pieniędzy angielskich, ważących np. 15 klg. Te 15 kilo sprowadza do Niemiec, zanosi do mennicy państwowej, a ponieważ mennica jest obowiązana z dostarczonego materyału monetarnego wybić na żądanie prywatne odpowiednią ilość monet krajowych, przeto kupiec niemiecki, uiściwszy w mennicy drobną opłatę za przebicie monety angielskiej na niemiecką, uzyskuje za owe 15 kilo odpowiednią ilość dziesięcio-markówek. Cóż więc kupiec eksportujący traci wskutek otrzymania zapłaty w obcej monecie? Traci w podwójnym względzie: 1) musi zapłacić koszta transportu monety obcej do swego miejsca zamieszkania, 2) musi zapłacić w mennicy państwowej koszta przebicia monety obcej na krajową. Obie te straty — zwłaszcza jeśli się ma do czynienia z sumami większemi — są bardzo małe, a wysokość ich da się zawsze zgóry dokładnie obliczyć. Kupiec niemiecki, eksportujący do Anglii, ma więc pewność, że za swój towar otrzyma pewną sumę złota, która po odtrąceniu kosztów transportu i przebicia, wyniesie **na pewno** tyle a tyle marek.

Jakież zaś są stosunki krajów o nierównej walucie? Kupiec angielski eksportuje towar do Austryi, gdzie płacą mu zań srebrem. To srebro wraca do Anglii, ale mennica angielska nie przebije go kupcowi na monetę krajową, bo w Anglii waluty srebrnej niema. Kupiec angielski musi się więc udać ze srebrem na targ, sprzedać je za złoto, i dopiero tak otrzymane złoto za-

nosi do mennicy państwowej. Otóż w ten sposób zostaje wprowadzony element niepewności. Któż bowiem może oznaczyć zgóry, ile kupiec przy sprzedaży srebra otrzyma złota? Dziś naprzykład — jak mówiliśmy — srebro ciągle tanieje: za 1 funt złota można było otrzymać w ostatnich czasach mniej więcej 22 funtów srebra. Ale kto zaręczy, ile go będzie można otrzymać za parę miesięcy? Każda zmiana w stosunku wartości złota do srebra na niekorzyść tego ostatniego, naraża angielskiego kupca na ogromne straty. Strat tych, wysyłając towar, ani przewidzieć, ani obrachować nie może. Dlatego to handel między krajami o nierównej walucie, narażony jest zawsze na przeszkody: staje się bowiem czemś niepewnem, nosi znowu niezdrowe piętno ryzyka, spekulacyi, loteryi. Z tego zaś płynie konsekwencya następująca: Kraje, zmuszone ze sobą zostawać w stosunkach handlowych, z powodu warunków geograficznych lub innych, jak np. Niemcy i Austrya, dążą zawsze do zaprowadzenia u siebie jednakiej waluty, bo w ten sposób tylko możebny jest handel międzynarodowy [1].

Taki jest związek między stosunkami monetarnymi a handlem zagranicznym. Kraj, który chce handlować z innymi, nie może mieć waluty innej niż u nich. Dlatego, skoro tylko Niemcy przeszły do monometalizmu złotego, musiały i inne państwa, zostające z niemi w stosunkach handlowych, dążyć do zaprowadzenia u siebie waluty złotej. Uczyniły to naprzykład prawie w tym samym czasie państwa Skandynawskie (Szwecya, Norwegia, Dania). Do tego samego dąży od lat kilkunastu Austrya. Reforma stosunków monetarnych, podjęta u nas w ostatnich czasach, musi mieć na celu nadanie złotu waluty w obrębie

[1] Opisana tu operacya handlowa jest w rzeczywistości trochę więcej skomplikowaną wskutek tego, iż wypłaty międzynarodowe nie odbywają się w gotówce, lecz zapomocą weksli, które się przy pomocy giełd i banków na pieniądze wymienia. Kurs tych weksli, brzmiących na złoto lub srebro, jest jednak bardzo ściśle z fluktuacyami ceny tych kruszców związany. Dlatego też w krajach z równą walutą, kurs weksli jest zawsze w pewnych granicach stały, w krajach zaś z walutą nierówną jest chwiejny, zupełnie proporcyonalnie do zmian stosunku wartości złota do srebra.

państwa, bo to jest rzeczą nieodzowną dla utrzymania stosunków handlowych z Niemcami.

Usiłowaliśmy dotąd wyjaśnić, dlaczego nauka stawia w kwestyi monetarnej następujące dwa postulaty: 1) „wartość pieniędzy powinna być stałą“, 2) „pieniądz powinien mieć jak największy obszar, na którymby jako środek wypłat mógł być użyty“. Doszliśmy do wyników, że jeśli się tych postulatów nie zachowa, to w gospodarstwie społecznem występują odpowiednie złe skutki; mianowicie d e p r e c y a c y a monety sprowadza drożyznę, i straty dla osób pobierających stale oznaczone sumy, jak: urzędnicy, robotnicy, wierzyciele; waluta drożejąca jest zgubną dla dłużników, dla państwa, rolników i producentów, oraz dla warstwy robotniczej. Wykazaliśmy wreszcie, że niejednolitość waluty, tj. niezachowywanie drugiego postulatu, utrudnia stosunki handlowe między sąsiadującymi krajami.

Otóż stosunki dzisiejsze monetarne nie odpowiadają tym postulatom. Świat cywilizowany podzielił się — jakeśmy to wyżej widzieli — na kilka grup co do waluty. W jednych państwach zaprowadzono monometalizm: w Anglii wyłączną walutę ma złoto, w Indyach srebro. W innych, monometalizm nie mógł być tak konsekwentnie przeprowadzony: Niemcy mają walutę złotą, ale w ich granicach kursuje pewna suma srebrnych talarów, z pełnem prawem uwalniania od zobowiązań, a więc z walutą. Kraje „Unii łacińskiej“, zmuszone wskutek reformy niemieckiej z r. 1873 nie bić srebra, przeszły faktycznie od bimetalizmu do monometalizmu złotego. Stany Zjednoczone biją pieniądze z obu kruszców. Austrya i Rosya mają walutę srebrną, ale obok srebra kursuje w nich pieniądz papierowy, z pełną siłą uwalniania.

Jakież więc są złe strony takich stosunków? Przedewszystkiem doprowadziły one do deprecyacyi srebra a drożyzny złota. Złoto przed r. 1873 produkowane było w wielkich ilościach (Kalifornia i kopalnie Australskie). Po r. 1873 produkcya ta się zmniejszyła. Wzrosło tymczasem zapotrzebowanie złota, skoro znaczna część Europy, tj. Anglia, Niemcy, kraje Skandynawskie,

kraje „Unii łacińskiej“, a jak obecnie się zanosi, i Austrya, poszukuje odtąd złota, aby je przebijać na monetę w swych mennicach. Cena złota zaczęła więc wzrastać anormalnie, a to drożenie materyału monetarnego sprowadziło w krajach używających złotej waluty owe złe skutki, o których wyżej była mowa. Przeciwnie srebro, porzucone jako materyał monetarny przez tyle pierwszorzędnych państw, zaczęło raptownie spadać co do swej wartości w porównaniu ze złotem. Stosunek 1 : 15½ zeszedł w ciągu lat kilkunastu na 1 : 22. Tanienie srebra wywołało u nas ową drożyznę artykułów żywności i przemysłu, wraz z całym szeregiem innych zgubnych dla stanu ekonomicznego skutków. Niema zaś widoków, aby deprecyacya srebra i drożenie złota mogło ustać. Państwa z walutą srebrną, np. Austrya, w imię potrzeby międzynarodowego handlu, zmuszone są stosować swą walutę do krajów sąsiednich; ponieważ bowiem państwa, mające walutę złotą, są ekonomicznie silniejsze (Anglia, Niemcy i t. d.), więc nie one od Austryi, ale Austrya od nich musi co do tego być zależną. Wprowadzenie w Austryi waluty złotej powiększy popyt na złoto. Po Austryi przyjdzie kolej na resztę państw, używających dotąd monety srebrnej (Rosya!); wzmagająca się zaś drożyzna złota wywołuje straty dłużników, producentów przemysłowych, warstw robotniczych, właścicieli ziemskich i t. d.

Niema więc widoków, aby panujące dziś przesilenie monetarne i wszystkie jego złe skutki tak prędko minęły. Przyczyną tego jest przedewszystkiem zaprowadzone w roku 1873 przez Niemcy panowanie monometalizmu złotego. To musiało podnieść cenę tego metalu, skoro o wartości kruszcu decyduje głównie popyt monetarny. Przed r. 1873 popyt na oba kruszce był niemal równy. Złota poszukiwała Anglia, srebra Indye, Niemcy, Austrya i t. d. W środku stały bimetalistyczne kraje Unii łacińskiej, których ustawa normowała stosunek srebra do złota na 1 : 15½. Pośrednictwo mennicy łacińskiej umożebniało handel między krajami ze złotą a srebrną walutą. Eksporter angielski, otrzymawszy w Niemczech za swe towary srebro, posyłał je do mennicy paryskiej i tam na mocy ustawy dostawał za każde 15½ kilogramów srebra, potrzebny mu w Anglii 1 kilogram złota. W ten

sposób stosunek wartości złota do srebra nie mógł się nigdy zbytnio oddalić od oznaczonego ustawą Unii łacińskiej $1:15^1/_2$.

Tę równowagę zachwiała dopiero niefortunna reforma niemiecka. Dokonano jej, nie przewidując, że sprowadzi drożyznę złota i tak dotkliwą ekonomiczną kryzys. W całej Europie znalazł się w r. 1870 jeden tylko człowiek, który złe skutki przechodzenia do waluty złotej przewidział i wymownym głosem przed tym krokiem ostrzegał. Był to Polak: słynny Ludwik Wołowski, autor wielu dzieł i broszur, wydanych w języku francuskim, w których walczy w sposób znakomity z prądami monometalistycznymi. Nauka zawdzięcza mu najważniejsze dowody w obronie równouprawnienia obu kruszców. Wołowski przed dwudziestu kilku laty miał odwagę wystąpić przeciwko opinii całej Europy, która się wówczas zgodnie za jednokruszcową walutą oświadczała. Dziś prąd opinii i przekonania świata uczonego zmieniły się zupełnie. Bimetalizm liczy w obozie swych zwolenników najznakomitsze siły naukowe. Niemal wszyscy uczeni i mężowie stanu uznają bez wahania, że wprowadzenie „Unii bimetalistycznej", obejmującej najważniejsze państwa Europy i Ameryki, to znaczy: wspólne porozumienie się co do równouprawnienia obu metali, usunie dzisiejsze złe skutki drożenia złota i deprecyacyi srebra. Istnieją różnice zdań co do możebności takiego porozumienia się. Wielu uważa je narazie za zbyt trudne do przeprowadzenia, zwłaszcza wobec dzisiejszych antagonizmów politycznych; ale nawet oni uznają, że teoretycznie tylko to jedno jest skutecznym środkiem do uchylenia dzisiejszej kryzys i zabezpieczenia się przed jej wzrostem na przyszłość.

Nie należy zapominać, że kwestya monetarna nie jest tylko abstrakcyjnym problematem naukowym, ale przeciwnie, wiąże się najściślej z interesami codziennego życia. Od załatwienia jej zależą korzyści lub straty materyalne całych warstw społecznych. Tak np. cała klasa kapitalistów, giełdowicze, bankierzy, wierzyciele, mają w tem niewątpliwy interes, aby moneta drożała. Ściągając bowiem od swych dłużników sumy nominalnie te same, które im wypożyczyli, ściągają w rzeczywistości sumy coraz

wyższe. Sfery te agitują namiętnie za wprowadzeniem waluty złotej. Dlaczego? Rzecz jasna, skoro zważymy, że właśnie złoto jest metalem drożejącym. Bezwzględna, dzika walka o byt, wyklucza sąd bezstronny, bo w czasie wojny milczą zarówno muzy jak i boginie nauki. Tem zaangażowaniem własnych interesów materyalnych tłumaczy się zadziwiające napozór zaślepienie, z jakiem wielu „badaczy“, a przedewszystkiem organa sfer żydowsko-kapitalistycznych (np. *Neue Freie Presse*), walczą w obronie złotej waluty. W dzisiejszym stanie nauki, nie uznawać zgubnych stron deprecyacyi srebra i drożenia złota, może tylko zła wiara; a tej nie brak nigdzie, gdy o „nerw rzeczy“ chodzi.

Niezaślepiony jednak badacz musi uznać teoretyczną wyższość bimetalizmu. W nauce ekonomii walczą, jak wiadomo, ze sobą dwa prądy: jeden, wychodzący z zasady egoistycznej, z zasady indywidualnej, uważa świat za pole ścierania się wprost przeciwnych sobie interesów pojedyńczych jednostek i warstw społecznych. Zadaniem jednostki jest walczyć o swoją korzyść. Kto ma najwięcej sił i zdolności, ten zwycięzko z tej walki wychodzi. Słabsi i upośledzeni niech giną. Prąd drugi wychodzi z zasady wprost przeciwnej. Najwyższą zasadą dla niego jest ograniczanie zbyt wybujałych indywidualnych interesów na rzecz ogółu. Nie egoizm jest dla niego gwiazdą przewodnią, ale dobro powszechne. Słabszych i upośledzonych trzeba według niego brać w opiekę, a interes całego społeczeństwa jest tym ołtarzem, na którym, czy to jednostki czy też pewne klasy społeczne, powinny w razie potrzeby składać ofiary z własnych korzyści. Prąd pierwszy, wykluczający wszelkie ograniczanie indywidualizmu — to szkoła liberalna. Prąd drugi rozszczepia się narazie w dwa równoległe, a więc nie przeciwne sobie kierunki: na socyalizm z katedry i socyalizm chrześcijański, stanowiące razem szkołę socyalną. Stanowisko wobec waluty obu tych najwybitniejszych dziś prądów (liberalnego i socyalnego) jest naturalną konsekwencyą ich przewodnich zasad. Monometalizm, jak widzieliśmy, przynosi szkodę całemu społeczeństwu, ale korzyści z niego ciągną zawsze pojedyńcze warstwy. Waluta taniejąca naprzykład sprzyja niewątpliwie interesom dłużników i produ-

centów, obciążając wierzycieli i konsumentów. Odwrotnie zaś waluta drożejąca, obciążając dłużników, przynosi niesłychane korzyści wierzycielom. Na czem jedni tracą, na tem zarabiają drudzy. Szkoła liberalna nie widzi w tem nic złego. Wszak egoizm jest według niej podstawą ustroju społecznego, a „miłość bliźniego zaczyna się od miłości samego siebie". W imię tego egoizmu, klasa plutokratyczna i usłużne jej organa walczą wszędzie o zaprowadzenie waluty złotej, wywieszając równocześnie szumny sztandar liberalizmu. Inaczej musi się zapatrywać na sprawę waluty szkoła socyalna. Według niej, korzyści pojedyńczych warstw nie mogą być brane za prawidło tam, gdzie chodzi o interes ogólny. Żadna klasa społeczna nie ma prawa dążyć do takiego uregulowania tej kwestyi, któreby innym przynosiło niezasłużone straty. Ztąd, według niej, ani dłużnicy nie mogą domagać się dziś waluty srebrnej, ani kapitaliści waluty złotej, aczkolwiek jedna dla jednych, druga dla drugich jest korzystną. Zasada dobra ogółu, zasada równej dla wszystkich sprawiedliwości, prowadzi więc konsekwentnie do równouprawnienia obu metali, do waluty podwójnej, przy której żadna warstwa społeczna nic nie traci, ale też żadna nie robi *geschäftu*.

Ztąd to tak powszechne niemal ze strony uczonych uznanie bimetalizmu, jako teoretycznie najlepszego ze wszystkich systemów monetarnych. Praktycznie uznaje go wielu za rzecz narazie niemożliwą, co bardzo wymownie zwalcza prof. Milewski. Tylko że ci, co go „narazie" uznają za utopię, uznają go tem samem za ideę przyszłości. Wszak utopia, to często tylko „zawcześnie na świat narodzona prawda". Ludzkość do niej zdąża, i czy pierwej czy później dojść musi. Wypada więc bliżej poznać tę „ideę przyszłości".

Należy jednak najprzód w paru słowach wyjaśnić, dlaczego mówimy ciągle o bimetalizmie **międzynarodowym**. Najprzód dlatego, że samoistnie żadne państwo nie może do wprowadzenia u siebie bimetalizmu przystąpić. Wprowadzając bowiem bimetalizm, musi koniecznie oznaczyć stosunek wzajemny obudwu metali, aby je na takiej, a nie innej zasadzie równouprawnić. Przypuśćmy, że

oznaczy ten stosunek zgodnie z dzisiejszymi warunkami na 1:22. Cóż się w takim razie stanie? Złoto, jak wiadomo, ma tendencyę do ciągłego drożenia; otóż stosunek 1:22, słuszny dzisiaj, może już jutro nie odpowiadać stanowi rzeczywistemu; a w takim razie nastąpi z krajem bimetalistycznym to, co groziło „Unii łacińskiej“ po r. 1873. Z państw sąsiednich zacznie do niego najprzód napływać srebro. Srebro to obce będzie wymieniane, czy to na targach czy też w mennicy tego państwa, na złoto, naturalnie ze stratą państwa bimetalistycznego, bo tylko 1 kilo złota za 22 srebra, podczas gdy w rzeczywistości 1 kilo złota miałby już wówczas większą wartość, przypuśćmy 23 kilo srebra. To wymienione złoto powraca za granicę, wychodzi więc z kraju podwójnej waluty; a tak kraj bimetalistyczny, straciwszy, ze szkodą materyalną, metal droższy, zostałby faktycznie monometalistycznym, i to z walutą tańszą.

Dlatego to sprawiedliwość i nauka wymaga, aby dążyć do międzynarodowego porozumienia się w tej sprawie. Przedewszystkiem zaś państwa powinny się zgodzić na jednakowe oznaczenie stosunku wartości złota do srebra, jako podstawy zaprowadzenia bimetalizmu. Tylko ta jednakowość bowiem zdoła uchronić państwo, należące do takiej Unii, od tego, aby kruszec droższy, a więc moneta lepsza, nie wychodziła z jego granic. Monometaliści przeczą, aby państwo było w stanie narzucić społeczeństwu pewien stosunek wymienny dwóch metali. Twierdzą oni, że każdy kruszec jest przedewszystkiem towarem, i że przeto o jego wartości decydują stosunki targowe, tj. stosunek podaży do popytu: państwo może oznaczyć stosunek wartości, ale nie jest w możności uczynić go stałym. Jeśli bowiem podaż jednego kruszcu się zwiększy, np. jeśli zostaną odkryte nowe jego kopalnie, to, jak twierdzą monometaliści, cena jego spaść musi, i mimo międzynarodowego układu, okażą się wszystkie złe skutki wynikające z braku równowagi w stosunku. Toż samo będzie, jeśli popyt na kruszec wzrośnie, np. jeśliby złoto weszło w modę i zaczęto wskutek tego wyrabiać z niego nowe przedmioty produkcyi przemysłowej. W takim razie bowiem jego cena zacznie wzrastać, i równowaga znów zachwiana.

To rozumowanie monometalistów jest, jak tego dowodzi prof. Milewski, z gruntu błędnem. Pomiędzy zwyczajnym towarem a materyałem monetarnym, istnieje cały szereg głębokich różnic. Użytek praktyczny metali szlachetnych jest przedewszystkiem ten, że się biją z nich pieniądze. Ztąd też o ich wartości rozstrzyga niemal wyłącznie popyt monetarny. Stosunki produkcyi i popytu przemysłowego, mają tylko na ich wartość wpływ nieznaczny. Profesor Milewski udowadnia to w swej rozprawie [1], najprzód historycznie, to jest przechodząc dzieje stosunków monetarnych od najdawniejszych czasów, i wykazując, że zawsze ustawodawstwo miało przewagę nad wpływami produkcyi i zapotrzebowania tych metali. Obok tego dowodzi teoretycznie, dlaczego ustawodawstwo m u s i mieć w tym kierunku znaczniejszy wpływ od stosunków produkcyi i od potrzeb przemysłu.

Z jego pracy wynika więc ten rezultat praktyczny, iż niema powodu, dla któregoby zgodny układ pierwszorzędnych państw (Anglii, Stanów Zjednoczonych, Francyi, Niemiec, Włoch, Austryi, Rosyi i t. d.) nie mógł ustalić stosunku wartości złota do srebra i zapobiedz deprecyacyi jednego, a drożeniu drugiego. Tem samem zasadniczy zarzut monometalistów przeciwko międzynarodowej bimetalistycznej Unii traci podstawę. Teoretycznie zwyciężyła ona w opinii cywilizowanego świata. Ostatnie dwie konferencye międzynarodowe, obradujące w Paryżu nad sposobami załatwienia kwestyi monetarnej, są znacznym krokiem naprzód w tej sprawie w kierunku bimetalistycznym. Praktycznie, taka reforma wszechświatowa natrafia na poważne trudności jedynie jeszcze z powodu odpornego stanowiska Anglii. Anglia, będąca wierzycielem całego świata, ma w tem, aby waluta drożała, bardzo wybitny interes materyalny. Bez Anglii zaś, bez tak silnego, najsilniejszego może ekonomicznie państwa, trudno o Unii myśleć. Ale i w tym kraju mnożą się oznaki, że idea sprawiedliwości, idea przełożenia interesów ogólnych nad interes pojedyńczych stanów, tkwiąca w bimetalizmie, zaczyna powoli zwyciężać.

---

[1] „Stosunek wartości złota do srebra".

Nakoniec parę słów o zamierzonej reformie waluty w Austryi, jak ją sobie prof. Milewski wyobraża. Jest ona potrzebna z dwóch powodów. Najprzód domagają się jej, jakeśmy to wykazali, stosunki obrotu pieniężnego z zagranicą. Chodzi mianowicie najprzód o to, aby zastosować naszą walutę do stosunków monetarnych państw z nami handlujących. Powtóre, Austrya ma dziś oprócz srebrnej, walutę papierową. Papier sam przez się wartości nie ma: ma ją tylko o tyle, o ile państwo daje posiadaczowi papieru rękojmię, że może wypłacić w swoim czasie tę sumę, jaka na kawałku papieru jest wyrażona. Tak więc waluta papierowa zawdzięcza całe swe znaczenie tylko kredytowi państwa. Wskutek pomyślnych warunków finansowych i politycznych, można dzisiaj na ten kredyt rachować; ale w razie jakichkolwiek zmian, może się zachwiać kredyt, a z nim i wartość papierowych pieniędzy. Ztąd zdrowa organizacya monetarna musi dążyć do zastąpienia papieru kruszcem, bo to tylko zapewnia walucie wartość niezależną od wypadków politycznych i stosunków zewnętrznych.

Są to dwa powody, zdolne usprawiedliwić potrzebę reformy waluty. Lecz jak jej dokonać? Ponieważ bimetalizm odosobniony jest wykluczony, bo — jak mówiliśmy — tylko międzynarodowa Unia bimetalistyczna może mieć widoki powodzenia, trzeba więc z konieczności obrać inną drogę. Zaprowadzenie waluty wyłącznie złotej, również nie byłoby dobre. Podrożyłoby to najprzód wartość złota, coby było może zyskiem dla sfer kapitalistycznych, ale klęską dla społeczeństwa, a powtóre, mogłoby się nie udać, tak jak się nie udało Niemcom w r. 1873. Trzebaby bowiem naraz puścić w obieg olbrzymie ilości złota, aby zastąpić niem dzisiejszą monetę srebrną i papierową, a o złoto dziś bardzo trudno, wobec zwiększonego na nie monetarnego popytu, a zmniejszonej produkcyi. To też prof. Milewski projektuje, aby „w kierunku złotej waluty uczynić tylko tyle, ile jest ściśle koniecznem, to jest tylko jeden krok, potrzebny do zniesienia waluty papierowej i zapewnienia obrotu z tymi krajami, z którymi nas łączą najżywsze stosunki handlowe“. Należy więc według niego: 1) Bić ze złota tylko 10-guldenowe sztuki.

Byłyby one głównie przeznaczone dla wypłat zagranicznych. 2) Dla obiegu wewnętrznego zatrzymać dzisiejszą monetę. Przez to nie będzie potrzeba starać się o ogromne zapasy złota, co uchyli niebezpieczeństwo jego podrożenia, zapobiegając równocześnie deprecyacyi srebra. 3) Zdrowa organizacya monetarna domaga się, aby była zniesiona niewymienność not rządowych i biletów bankowych. Dziś posiadacz monety papierowej austryackiej nie może żądać od kas państwa, aby mu wartość papieru wypłaciły kruszcem. Otóż to powinno ustać. Pieniądz papierowy można utrzymać w obiegu, ale państwo powinno przyrzec, że na żądanie wypłaci w każdej chwili wartość papieru w metalu. To usunie niezdrową cechę, jaką nosi na sobie papier austryacki jako moneta przymusowa.

Ostatni wreszcie postulat prof. Milewskiego żąda, aby oznaczając stosunek srebra do złota, uwzględnić przypuszczalne podrożenie złota, które zwiększony przez reformę Austryi popyt na ten kruszec wywoła. Uzasadniał bliżej te żądania autor w ankiecie monetarnej, do której w charakterze znawcy kwestyi waluty został przez rząd powołany. Z doniesień pism codziennych wiadomo, że wymowne jego wywody nie przeminęły bez skutku. Minister skarbu, uzasadniając przedłożenia rządowe, powołał się wprost na powagę profesora Milewskiego, cytując w jak najpochlebniejszy sposób jego nazwisko zarówno w Izbie, jak i w Kole polskiem. Reforma waluty pójdzie pod wielu względami w tym kierunku, jaki polski uczony wskazywał. Jego wymowę, jego gruntowną naukę uznały nawet tak tendencyjnie zazwyczaj sądzące ludzi organa prasy wiedeńskiej, jak *Neue Freie Presse*. Tradycya Wołowskich nie zaginęła więc na szczęście w naszym świecie uczonym.

O.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Opieka nad obłąkanymi. Umieszczenie i pielęgnowanie ich. Przez *d-ra J. Łukaszewskiego*, dyrektora zakładu dla obłąkanych w Jassach. Lwów. Nakładem autora. 1891.

Piśmiennictwo polskie, dotyczące opieki nad obłąkanymi, mianowicie zaś piśmiennictwo popularne dla szerszych kół przeznaczone, odnoszące się do tej i jej pokrewnych kwestyj, dotychczas tak jest ubogiem, że nie należy pomijać zupełnem milczeniem tak rzadkich przejawów literackiej u nas działalności na tem polu. Nie wiadomo nam, czy w Galicyi, dla której publiczności widocznie autor głównie pracę swoją przeznaczył, lub też w Warszawie, wywołała książeczka p. J. Łukaszewskiego jaką dyskusyę. Ponieważ autor jednak dotknął także stosunków w dzielnicach polskich pod rządem Pruskim będących, stosunków przez nas lepiej znanych, a zarazem wyjawił, mianowicie na samym wstępie, stanowisko, na które się nie godzimy, przeto pozwolimy sobie wypowiedzieć nasze zdanie o wartości i broszurki samej i niektórych autora poglądów.

Cel rozprawy jego jest najszlachetniejszy: pobudzenie do zwracania baczniejszej uwagi na odpowiadające potrzebom istotnym i warunkom ekonomicznym pomieszczenie obłąkanych, mianowicie z klas niższych, i do inicyatywy pojedyńczych osób w krajach, gdzie władze odnośne mają niedostateczne dotychczas środki do rozciągnienia w należytej mierze — opieki nad tego rodzaju chorymi, a nie są też do niej zmuszone tak, jak jest obecnie do tego zniewoloną nasza prowincya

na mocy wchodzącej już za rok w życie noweli do prawa organizującego tę opiekę w jak najkrótszym czasie *(Unterstützungs-Wohnsitz-Gesetz)*.

Feljetonowy sposób, w jaki autor rozpoczyna swój artykuł, nie bardzo według nas licuje z powagą cyfr i dowodów, jakie autor nagromadza w następnych rozdziałach na poparcie swojego zdania, że wzory zagraniczne wielkich zakładów dla obłąkanych, jako zbyt kosztowne, mniej są dla nas pożądanymi do naśladowania, aniżeli system obcorodzinnej opieki *(private dwelling)*, jaki od wieków istniał w belgijskiem siole Gheel, a obecnie istnieje także w Szkocyi, w Ameryce Północnej, dla pewnego rodzaju chorych, w Niemczech zaś rozwinął się od kilku lat w Ilten (w prowincyi Hanowerskiej).

Szczegóły po części historyczne, po części czysto techniczne, w jakie obfituje I. rozdział broszurki d-ra Łukaszewskiego, są też naszem zdaniem nieco za obszerne dla publiczności, która się tylko pośrednio tą kwestyą zajmuje, a zgłębić jej nie może; niektóre zaś z bliżej nam znanych szczegółów nie są tak dokładne i świeże, jakby tego wymagała pewność, z jaką autor swoje zdanie wygłasza [1], i stanowisko autora jako dyrektora zakładu obłąkanych w Jassach, a więc mogącego mieć przecież nowsze, aniżeli przed 10 laty wydane, sprawozdania podobnych instytucyj.

Pomiędzy korzyściami organizacyi obcorodzinnej opieki nad obłąkanymi, tj. pomieszczenia na wolnej stopie pod opieką włościan rozsądnych, a więc po wsiach, znacznego zastępu dotychczasowych pensyonarzy zakładów zamkniętych, podnosi autor mianowicie to, iż przy systemie pierwszym nie potrzeba się wcale oglądać na koszta instalacyi,

[1] Tak np. na str. 20, podając ceny utrzymania obłąkanych w niektórych zakładach zprzed 10 lat, a więc z 1881/2, oznacza 2,9 fr. (2,32 mk.), jako koszt utrzymania przez dzień jednego chorego w naszym zakładzie prowincyonalnym w Owinskach. Możemy zapewnić autora, że, jeżeli w pierwszych latach istnienia, póki zakład ten mało miał pensyonarzy, koszta utrzymania ich były nieco wygórowane, to wnet zmalały, mimo podrożenia znacznego artykułów żywności. I tak, choć na 680 etatowych chorych (obecnie liczba chorych jest znacznie wyższą od etatem przypuszczonej) jest w II. klasie 8, a w trzeciej 221 całkiem albo częściowo zwolnionych od opłaty, choć dla reszty pobiera się od rodziny, względnie gminy, tylko 300 za III-cią a 600 mk. za II-gą klasę, to jednakowoż z funduszów prowincyonalnych dodatek na utrzymanie całoroczne jednego chorego wynosił w r. 1885/6 tylko 361,86 mk., w r. 1888/9 166,67 mk., w r. 1889/90 158,73, a obecnie preliminowanym jest tylko na 147,61 mk.

które przy innych systemach umieszczenia takich chorych w każdej prowincyi pochłaniają miliony. — Myśl tę samą poruszyliśmy już przed paru laty (Cfr. *Now. lek.* 1889, str. 528), mówiąc o pomieszczeniu spokojnych obłąkanych po rodzinach prywatnych w Szkocyi, a poruszyliśmy ją w przewidywaniu kosztów, jakie w W. Ks. Poznańskiem sprowadzi wspomniana wyżej nowela do prawa normującego miejscowość, na którą spada ciężar utrzymywania obłąkanych — kosztów olbrzymich, tak zakupna gruntów, jak budowy i urządzenia gmachów oddzielnych dla przeróżnych kategoryj obłąkanych (uleczalnych i nieuleczalnych, idyotów, epileptyków, alkoholistów, uzdrowieńców i t. p. i t. p). — a które to koszta byłyby znacznie mniejszemi, gdyby zawczasu znaleźli się u nas lekarze na wsi lub po miasteczkach mieszkający, znający się na psychiatryi, którzyby się zajęli przygotowaniem rodzin włościańskich do tego rodzaju usług społecznych. Zakończyliśmy wtedy nasz artykulik uwagą: „Czyżby włościanin polski miał być mniej zdolnym, jeżeli tylko jest trzeźwym, do takiej opieki, aniżeli belgijski lub szkocki, czy też brakowało do tego u nas dotąd tylko szlachetnych inicyatorów?“

Czy jednakże zwyczajni lekarze w innych ziemiach polskich mają tak łatwą sposobność (z której niestety dotąd zbyt mało u nas korzystają) uczenia się praktycznie psychiatryi przez kilkoletni pobyt w zakładach obłąkanych, i mianowicie czy w Galicyi lub Kongresówce chłop stoi na takim stopniu oświaty i moralności, a zwłaszcza tak jest trzeźwym, jak w Wielkopolsce — tego rozsądzać kategorycznie nie śmiemy, boć i tam mogą być w niektórych miejscowościach wyjątkowo dobre stosunki, ale o tem sobie wątpić nieco pozwolimy.

Autor widocznie popełnia gruby błąd statystyczny, jeżeli te dzielnice wszystkie razem łączy, i obliczywszy ogół Polaków w trzech zaborach na 13 milionów, a zaś sumę już umieszczonych po zakładach w tych krajach na 2300 [1] — twierdzi, że ostatnia ta suma, a nawet „niech będzie i 3000“ — w stosunku do ilości obłąkanych, którą podaje na 36.000, jest jak 1 : 13.

Najprzód niema żadnego powodu, żeby stosunek obłąkanych

[1] Jak mało sobie zadał pracy autor w tem zestawieniu, widać z tego, że na zabór Pruski oblicza 700 pomieszczonych obłąkanych, na Galicyę 1000, na Kongresówkę co najwięcej 600. — Możemy go zapewnić, że jedyny zakład publiczny w Owinskach mieści więcej niż 700; autor zaś pominął zupełnie zakłady w Prusiech Zachodnich i Wschodnich, że nie wspomnimy już o Szląsku, w którego zakładach prócz Górnoszlązaków mieści się dużo Poznańczyków, np. dzieci w Kraschnitz.

w każdym z tych zaborów był ten sam: może być bardzo rozmaitym z powodów najrozmaitszych; a potem wogóle przyjęcie 3 obłąkanych na 1000, które może być prawdziwem obecnie w niektórych krajach na Zachodzie, np. w Anglii, może być najfałszywszem u nas.

Do elementarnych wiadomości ze statystyki psychiatrycznej należy zależność tego stosunku od zaludnienia, stanu kultury, rasy, mianowicie też od wyznania ludności. Warunki polityczne, społeczne, wyznaniowe, a nawet rasowe, różnią się jednak w trzech zaborach tak mocno, że trudno się godzić na zestawienia takie, na jakich autor buduje. U nas np. ludność katolicka wogóle — z wyjątkiem chyba stanów wyższych — podlega chorobom umysłowym mniej, aniżeli protestancka, a o wiele mniej od żydowskiej; tej zaś ostatniej jest u nas daleko mniej stosunkowo, aniżeli w Galicyi lub Kongresówce, i ciągle jej jeszcze ubywa. — Gdzie zaprowadzone bractwa trzeźwości i wstrzemięźliwości oddawna pomiędzy naszym ludem, tam jeszcze mniejsza odsetka chorób umysłowych, których źródłem, zarówno nabytych jak wrodzonych, najczęściej bywa u nas opilstwo. — Gdyby autor uwzględniał trochę bardziej te momenta, a zwłaszcza też moment religijny, byłby się nie dopuścił takiego błędu we wnioskowaniu, ani też, mając na oku różnice ekonomicznych stosunków, nie byłby obliczył ryczałtowo straty poniesionej na utrzymanie owych 36.000 chorych, nie znajdujących się w zakładach i przytułkach, na 13,140.000 franków rocznie, boć i liczenie po jednym franku dziennie od jednego takiego chorego, dobre może w jednym kraju, nie potrzebuje wcale stosować się do drugiego. Te cyfry wszystkie, jako niedosyć oparte na raportach, które istnieć muszą, przynajmniej częściowo, ale jedynie podług widzimisię autora przyjęte, osłabiają znacznie wartość jego pracy, zamiast ją podnosić.

Nie podnosi też wartości broszurki tej napaść, od jakiej swoją rozprawę zaczyna, na tych, co zapisują legaty na kościoły i t. p. instytucye, np. w Warszawie, jak gdyby tam było w istocie za wiele tego. Od kogóż z prywatnych osób mógłby się autor spodziewać zapomóg na humanitarne instytucye, o jakich marzy dla odpowiedniego pomieszczenia tych chorych, którzy jego sercu najbliżsi, skoro im swe życie poświęcił, jeżeli nie od tych osób, co gotowe wspierać każdą biedę ludzką... dla wyższej idei — religijnej? Wszakże sam, opisując tak pięknie i obszernie Gheelską osadę dla obłąkanych w Belgii, przyznaje, że jedynie pobudka religijna ją wskrzesiła i utrzymała przez wieki. Czyż myśli, że wpływ ten sam, gdyby tylko inicyatywa była

mądrze obmyślaną i w dobrej chwili daną, nie mógłby i w polskich ziemiach jeszcze teraz poruszyć do dzieła, gotowych do poświęcenia ludzi, i nagromadzić kapitały na rzecz opieki nad naszymi obłąkanymi, epileptykami i idyotami? — Zaiste, jestto kwestya, nad którą mało dotąd myślano nietylko u nas, ale nawet w innych katolickich krajach, i to z rozmaitych przyczyn. — Nieznaną mi jest wprawdzie dostatecznie literatura najnowsza, odnosząca się do tej kwestyi, choć w swoim czasie nie żałowałem zabiegów, żeby ją poznać i wiele czasu poświęciłem na korespondencye w tej mierze; nie mogę więc podawać statystyki obecnych miłosiernych instytucyj katolickich, jedynie opiece nad obłąkanymi, epileptykami lub idyotami oddanych — ale przypuszczam, że wiele nie urosła przez lat kilkanaście ich liczba.

Maxime du Camp i Taine [1] byliby bowiem niezawodnie szczególną zwrócili uwagę na ten nowy objaw nieustającego miłosierdzia chrześcijańskiego. Przy obecnym kierunku „laicyzowania“ szpitali we Francyi, panującym nietylko ze strony rządu, ale i pojedyńczych municypalności, zwłaszcza w Paryżu, nie oddano już z pewnością żadnego nowego zakładu dla obłąkanych opiece Sióstr lub Braci miłosiernych [2]; a z iluż ich powypędzano! We Włoszech podobny ruch doprowadził do tego, że tylko w Weneckim zakładzie San Servulo pozostali Bracia miłosierdzia, których czynności sam mogłem się przypatrzyć. W Austryi i na Węgrzech jeszcze tylko sześć zakładów, i to niewielkich, pozostało pod ich opieką [3]. W Galicyi niema żadnego, ani też u nas, w Wielkopolsce, choć zresztą w Prusiech, mianowicie nad Renem, takich zakładów nie brak, zwłaszcza pod kierunkiem Aleksyanów [4], których działanie najdawniej i najlepiej rozwinęło się w Belgii. Z drugiej strony zaś zaznaczyć wypada, że wśród protestanckiej ludności w Niemczech od pewnego czasu coraz mocniej rozwija się kierunek oddawania obłąkanych, a mianowicie epileptyków i idyotów, pod opiekę stowarzyszeń religijnych, czy to Dyakonów i Dyako-

---

[1] *Revue des deux Mondes* 1890 i 1891.

[2] We Francyi istnieją jeszcze duże zakłady „Braci miłosiernych“ w Chomelet pod Lille, w Lugdunie i w Dinan, a sam widziałem zakład Salezyanów dla idyotycznych dzieci dających się rozwijać, w pobliżu Nizzy.

[3] W Bernie, Gorycyi, Budzie, Zagrzebiu, Erlau i Pressburgu.

[4] Aleksyanie albo Cellińczycy zajmowali się od wieków pielęgnowaniem obłąkanych w Belgii. Od rewolucyi Francuskiej rozszerzyli się i w Nadreńskich prowincyach i mają tam główny dom w Akwizgranie.

nisek, jak w Bielefeldzie [1], czy Samarytanek, jak w Kraschnitz na Szląsku, dokąd się od nas dzieci polskiego i katolickiego pochodzenia z prowincyonalnych funduszów wysyła.

W niektórych prowincyach pruskich i w Saksonii ruch ten z prywatnej inicyatywy takie już wydał owoce, że sejmy prowincyonalne, zamiast budować nowe zakłady kosztowne, korzystają tylko z istniejących tam, założonych przez t. zw. *Innere Mission*, dopłacając im tylko razporaz pewną sumę na rozszerzenie budynków i płacąc nadto na utrzymanie każdego chorego umówioną sumę. — Czyż to, co udaje się tak świetnie w protestanckich Niemczech, nie mogłoby mieć powodzenia w katolickiej Galicyi, a nawet w Księstwie Poznańskiem? Główna wina, jeżeli w tym względzie daliśmy się innym wyprzedzić, polega zapewne nie na samym braku funduszów, ale raczej na braku inicyatorów. Że każdy sejm — prócz francuskiego chyba — z wdzięcznością przyjmie zawsze taką dobrowolną pomoc, o tem niema wątpliwości, boć utrzymanie w zakładach, w których opieka powierzoną jest zakonnikom, zawsze tańszem będzie od kosztów administracyi własnej. A że i Francya wkrótce do tego powróci, z czem przez ostatnie lata systematycznie wojowała, wydaje się nam bardzo prawdopodobnem, i to nietylko z finansowych względów. Od kilku lat pokazuje ogół zakładów dla obłąkanych w tym kraju ciągłe obniżanie się liczby wyleczeń; podczas gdy w angielskich np. zakładach wylecza się rocznie 40—41% obłąkanych oddanych w opiekę, to we Francyi, w której r. 1864 wyleczało się jeszcze 27,57%, w r. 1874 stosunek ten wynosił już tylko 25,8%, a w ostatnim roku tylko 20%.

W pismach specyalnych francuskich dyskutują obecnie nad przyczynami widocznej tej obniżki, tak niekorzystnie świadczącej o postępie psychiatryi. Jedni (Pierret) widzą przyczynę tego zastraszającego zjawiska jedynie w tem, że we Francyi za późno oddają nieszkodliwych obłąkanych z klas niższych do zakładów; drudzy temu przeczą, dowodząc, że i prywatne francuskie zakłady nie lepsze dają wyniki, aniżeli publiczne, choć wogóle zamożnych chorych wcześniej się do zakładów oddaje. — P. Sollier [2] widzi przyczynę główną w coraz bardziej niedostatecznem leczeniu chorych umysłowo w zakładach zbyt wielkich, których dyrektorowie, administracyjnemi sprawami zbytecznie

---

[1] Cfr. *Now. lek.* 1889, str. 529.

[2] P. Sollier: *Sur les causes de l'amoindrissement du nombre de guérisons dans les maisons d'aliénés.* (Progr. med. 1892, nr. 37).

obciążeni, coraz więcej zaniedbywać muszą psychiczną terapię, zastępując ją lekowaniem. Nam się zdaje, że przyczyna jest inną. — Wypędzono z zakładów opiekunki zakonne, a zastąpiono je świeckiemi, z których mała tylko liczba do chorych się przywiązuje, a jeszcze mniejsza dawać im może ten przykład i ten zapas pociechy, jakim się odznaczają ci, co najprzód umieli przezwyciężyć siebie samych. Tylko taki wpływ psychiczny może dodatnio działać i niejednego uzdrowić, a i dla tych, którzy już wyleczyć się nie dadzą, jest on nieraz pomocą, bo uspokojeniem [1].

Że o dodatnim psychicznym wpływie mowy być wiele nie może w zakładach, gdzie i lekarze i służba mówią wyłącznie innym językiem, a po wielkiej części różnią się i wyznaniem, od ogółu chorych, to rzecz prosta; nad tem zastanawiać się nie potrzeba. Nic przeto dziwnego, że my lekarze wielkopolscy wolelibyśmy, zamiast obecnej i zamiast projektowanej organizacyi tej opieki, inną, więcej miejscowe potrzeby uwzględniającą w W. Ks. Poznańskiem. Ale czemuż w Galicyi, gdzie swoboda o tyle większa i autonomia naszemu żywiołowi tak wielką daje przewagę, o tem jeszcze nie pomyślano, by za prywatną inicyatywą zadosyć uczynić potrzebie, tam zresztą daleko więcej czuć się dającej, aniżeli u nas — tego już wytłumaczyć sobie nie umiemy. Przykład brata Alberta, artysty malarza a obecnie tercyarza, który z ogrzewalni krakowskiej, co przedtem była ogniskiem łotrostwa i zakaźnych chorób, stworzył nietylko przytułek schludny dosyć, ale zarazem prawdziwe warsztaty dla najnędzniejszych wyrzutków ubóstwa krakowskiego, dla wielu epileptyków i matołków, nie mogących sobie znaleść ani zarobku ani schronienia — przykład ten budzi w nas otuchę, że, jeżeli nie ten sam mąż, to inny, jego duchem przejęty, wkrótce pomyśli o uorganizowaniu podobnej pomocy dla tysięcy obłąkanych spokojnych w całej Galicyi, i dowiedzie, że i w naszem społeczeństwie myśl szlachetna znajduje wnet poparcie szerszych kół, jeżeli

[1] Oczywiście o prawdziwie dodatnim tym wpływie można mówić tylko w pewnym okresie obłąkania. W okresie np. rozwoju lub na samym szczycie choroby psychiczna terapia ma zadanie jedynie negatywne, polegające na usunięciu wszelkich szkodliwie działać mogących czynników, czy to rozrywek, czy to strofowań moralnych lub religijnych. Dlatego też lekarz jedynie powinien rozstrzygać, czy wolno na chorego tak lub owak wpływać; ale, gdy tego potrzeba, o ileż mu łatwiej o to się postarać przy usłudze zakonnej, aniżeli świeckiej, przy pomocy osób całe życie jednej pracy się oddających, aniżeli najemników, często się zmieniających.

tylko opiera się na podstawie religijnej. Żądanie d-ra Łukaszewskiego, by bez tej podstawy społeczeństwo nasze entuzyazmowało się do opieki nad obłąkanymi, dowodzi nieznajomości naszych stosunków i nie rokuje powodzenia najlepszym zresztą zamiarom autora. — Że Tercyarze u nas już istniejący, nawet prostacy, mogliby rychlej od innych być powołanymi do tego, czego dr. Ł. się domaga, tj. do opieki nad pojedyńczymi obłąkanymi po wsiach wśród rodzin osiedlanymi, o tem się osobiście przekonałem, widząc na Górnym Szląsku, gdzie tercyarstwo jest dosyć rozpowszechnionem, ogromny wpływ kultury tego czynnika i różnicę olbrzymią w czystości pomieszkania i staranności pielęgnowania chorych wśród rodzin tercyarskich, w porównaniu do rodzin do tego zakonu nienależących. Zaiste, trzeba było zupełnego zapomnienia wpływu tej potężnej dźwigni oświaty, jaką było tercyarstwo w średnich wiekach, żeby nie pomyśleć zaraz o tem, że i obecnie wielce się ono przydać może, mianowicie w tych katolickich krajach, gdzie ogólny poziom oświaty jest niskim, do oddania usługi obłąkanym.

Ci wszyscy, co podziwiają stosunki belgijskie, o których wspominałem, dowodzą nieznajomości historyi, skoro nie wiedzą, z czego one powstały. — Nasz wiek prawdziwego eklektyzmu powinien zbierać dobre, gdzie je spostrzeże, a nawet najzagorzalszy przeciwnik wiary chrześcijańskiej i Kościoła katolickiego nie zaprzeczy, że można z ich pomocy wielce korzystać ku zwalczaniu niejednych plag i niedostatków społecznych, i że nigdy nie należy odpychać tej pomocy w takiej nawet kwestyi, jak opieka nad obłąkanymi, której lekarze, najbardziej wykształceni i idealnie moralni (jak tego się domaga dr. Ł.), s a m i rozwiązać nie potrafią.

Mam nadzieję, że uwagi moje nie zrażą szanownego Autora ku mnie, a wywołają raczej wymianę zdań, która, mojem zdaniem, byłaby w tej sprawie pożądaną. O samej broszurze d-ra Ł., mogę tylko jeszcze nadmienić, że jest napisaną stylem potoczystym i z pewną werwą, która dowodzi, że autor pisze z przekonania. Czy jednak to może wystarczyć do przekonania drugich, do celu, jaki sobie dr. Ł. zamierzył, o tem wątpić wolno.

Dr. Fr. Chłapowski.

Ruch naukowo-literacki nauczycieli szkół wyższych galicyjskich w ostatnich 25 latach.

I. *Rzut oka na warunki, pobudki, cele i środki pracy naukowo-literackiej.* Z wyjątkiem Krakowa i jego okręgu, który Austryacy zajęli dopiero w r. 1846, cała część dawnej Polski, przezwana królestwem Galicyi i Lodomeryi, należy, jak wiadomo, do Austryi od r. 1772. Dzieje oświaty i szkolnictwa naszego popłynęły w tych zabranych krajach innem korytem, aniżeli w Polsce i dzielnicach polskich, zabranych przez Prusy i Rosyę.

W Galicyi nie rozwijała np. Komisya edukacyjna swej zbawiennej działalności w duchu narodowym. W samym Krakowie i jego okręgu reformy tejże Komisyi nie miały czasu zapuścić głębszych korzeni i wydać pożądanych owoców. W r. 1780 przyszła wprawdzie do skutku Kołłątajowska reforma Uniwersytetu Jagiellońskiego, a z nią zapowiedź nowego, prawdziwie naukowego życia, ale zamiast spodziewanego rozwoju, znowu doczekała się sędziwa *Alma mater*, razem z całym narodem, zmiennych kolei i szybko po sobie następujących katastrof.

Od r. 1772 splotły się dzieje stanu nauczycielskiego i szkół galicyjskich z dziejami szkolnictwa austryackiego. Prawie wszystko, co w szkołach i dla szkół naszych, a zwłaszcza wyższych, aż do r. 1867 robiono, ujęte było w formy i wynikało z pobudek nienaturalnych, nienarodowych, przytłumiających poniekąd prawidłowy rozwój ducha i samodzielny polski polot myśli. W takich warunkach nie mógł się wytworzyć światły i dzielny, a po polsku myślący, w społeczeństwie naszem poważany stan nauczycielski, nie mogło być mowy o postępie na polu szkolnictwa narodowego, przeciwnie, panował wszędzie zamęt, niedowierzanie, zniechęcenie i obojętność. Nowe, naturalniejsze, warunki rozwoju szkolnictwa naszego, a zarazem ruchu naukowo-literackiego nauczycieli szkół wyższych, stwarza najwyższe postanowienie z dnia 22 czerwca 1867 r., zaprowadzające w szkołach galicyjskich język polski jako wykładowy [1]. To rozporządzenie, zatwierdzające uchwałę naszego sejmu, jest aktem niezmiernej doniosłości w dziejach szkolnictwa polskiego, albowiem edukacya i praca kilku milionów Polaków przybiera od tego czasu kierunek narodowy.

Na polu naszej edukacyi publicznej, przez blisko sto lat zaniedbywanem i zanieczyszczanem, zaczynają po roku 1867 działać roz-

[1] Marenzeller, *Normalien*, nr. 14.

maite narodowe czynniki. W społeczeństwie polskiem budzi się powoli poczucie obowiązku zaopiekowania się sprawą tak ważną, jak sprawa wychowania i wykształcenia młodych pokoleń. Sejm krajowy otoczył szkoły nasze jak najtroskliwszą opieką, która zwiększa się z każdym rokiem. Rada szkolna krajowa, zorganizowana również w r. 1867, rozpocząwszy z dniem 1 stycznia 1868 r. swe prace, usiłuje, ile możności, usunąć wady, zapełnić braki i oczyścić szkolnictwo nasze „z wszelkich chwastów i perzu".

Najbaczniejszą uwagę zwrócono z początku na szkoły ludowe, „jako na punkt najbardziej zagrożony, jako na wyłom, którym ciemnota, ubóstwo i zbrodnia między lud się wdzierały" [1]. Celem skuteczniejszego działania zawiązano Towarzystwo pedagogiczne, a wspaniała ta instytucya oddaje do dziśdnia krajowi znakomite usługi.

Niwa szkolnictwa wyższego, na której po roku 1867 poczyniono naprędce najpotrzebniejsze zmiany, czekała dość długo na staranniejszą uprawę. Pracowało na niej z początku, oprócz Rady szkolnej krajowej, kilku mężów gorliwych, którzy jednak mimo wysiłku nie potrafili należycie uprawić olbrzymiego łanu [2]. Ogół nauczycieli szkół wyższych zachowywał się przez dłuższy czas po roku 1867 dość biernie wskutek braku organizacyi oraz poparcia i zachęty [3]. Po chwilach jednak pewnego wahania się, oraz wobec ruchu, odbywającego się na niwie szkoły ludowej, spostrzegli nauczyciele szkół wyższych, wychowani już w duchu narodowym, i rzeczywiście po polsku myślący, że pole na którem pracują jest bardzo zaniedbane, że brak wielu najpotrzebniejszych środków do lepszej i skuteczniejszej uprawy. Porównanie naszych szkół z zagranicznemi i zakrajowemi przejęło nas strachem [4]. Mimo rozmaitych trudności i przeszkód zabrano się do pracy, skupiając siły w jedno ognisko. Towarzystwo pedagogiczne, złożone przeważnie z nauczycieli szkół ludowych, nie mogło się widocznie zajmować szkołami wyższemi w tej mierze, jak tego wymagała potrzeba. Domagano się więc już w r. 1877 utworzenia w Towarzystwie pedagogicznem odrębnej sekcyi dla nauczycieli szkół wyższych [5].

W r. 1883 z początkiem marca zawiązało się wreszcie we Lwowie „Kółko nauczycieli szkół wyższych", jako część Towarzystwa pe-

[1] *Muzeum*, 1885, str. 1.
[2] Tamże, 1885, str. 1 i nast.
[3] Tamże, 1889, str. 464, 475 i 911.
[4] Tamże, 1885, str. 5.
[5] *Szkoła*, 1887, str. 330.

dagogicznego; miało ono uzupełniać prace przez Towarzystwo podejmowane [1].

Dodatnia działalność Kółka lwowskiego i życzliwe przyjęcie, jakie znalazła myśl tworzenia podobnych kółek w innych miastach naszego kraju, skłoniły zarząd główny do podjęcia starań względem utworzenia osobnej „Sekcyi nauczycieli szkół wyższych“ w łonie Towarzystwa pedagogicznego, która, łącząc wszystkie kółka w organiczną całość, dążyć miała do popierania wszelkich spraw, umożliwiających pomyślny rozwój szkół wyższych. Ministerstwo spraw wewnętrznych jednak, w porozumieniu z Ministerstwem wyznań i oświecenia, zabroniło reskryptem z dnia 15 grudnia 1883 r. utworzenia sekcyi, podając między innymi i ten powód, że taka sekcya mogłaby naruszyć powagę zwierzchności szkolnej [2].

Mimo to udało się utworzyć osobne, cały kraj obejmujące „Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych“, które się ostatecznie zorganizowało d. 9 kwietnia 1884 r. Stowarzyszenie to, dziś już silne, jest wielkiem ogniskiem i potężną dźwignią ruchu naukowo-literackiego nauczycieli szkół wyższych.

Do ożywienia ruchu naukowego przyczyniło się w wysokim stopniu życzenie Ministerstwa oświecenia, wystosowane w r. 1885 do wszystkich Rad szkolnych, aby nad wydanemi w maju 1884 r. instrukcyami i nad zmienionym planem nauki rozpoczęła się gruntowna i wszechstronna dyskusya, do której wezwano wszystkich nauczycieli. Okólnikiem tym zerwano „z dotychczasowym systemem, według którego wszelka, choćby objektywna, krytyka wydanych rozporządzeń niemile była u góry widziana, według którego nauczyciel miał ściśle i literalnie trzymać się norm przepisanych, a niewolno mu było wnikać w powody i pobudki, które ustawodawcę do ich napisania skłoniły, niewolno mu było objawić zdania, że niejedno da się w sposób inny równie dobrze a może lepiej wykonać“ [3].

Hasła pracy rzucili nauczyciele sami. Myślący, sumienni i o rzetelny postęp młodzieży w nauce dbali nauczyciele, zawsze o tem pamiętali i pamiętają, że zapas wiadomości, nagromadzony przed egzami-

---

[1] *Muzeum*, str. 5 — i *Szkoła*, 1883, str. 126 i nast.

[2] Tamże, 1885, str. 7.

[3] Tamże, 1885, str. 54 i 65 — oraz Sprawozd. c. k. Rady szkoln. kraj. o stanie szkół średnich w latach 1884—1888, str. 147.

nem państwowym, nie wystarcza na przeciąg karyery nauczycielskiej, że należy go koniecznie odświeżać i uzupełniać. Podręcznik szkolny nie wystarcza pod tym względem, bo zawiera zazwyczaj minimum wiedzy ucznia pewnej klasy. Nauczyciel musi więcej umieć od swego ucznia, nie dlatego wprawdzie, aby zakres nauki, mającej się udzielić uczniowi, poza ramy podręcznika rozszerzać, ale na to jedynie i koniecznie, aby mógł przedmiot swój z należytą śmiałością i pewnością traktować i trudniejsze partye książki szkolnej należycie objaśnić. Im kto wyżej stanął w nauce, tem łatwiej zdoła jej innym udzielić.

Samo przygotowanie się z lekcyi na lekcyę przy pomocy zwykłych książek szkolnych nie daje tej pewności, bo umiejętność każda kroczy naprzód, prostując zakorzenione błędy i obalając stare, niejasne poglądy. Nauczyciel szkół wyższych musi mieć zupełną świadomość ruchu i postępu umiejętności, której się oddał i której uczy. Domaga się tego, krom innych względów, sama powaga nauczycielska. W podręczniku szkolnym niema wyników bieżących badań naukowych. Gdy nauczyciel oprze swój wykład li tylko na podręczniku szkolnym, może się zdarzyć — a były już takie wypadki — że ten lub ów uczeń, co zagląda w domu do gazet i pism naukowych, zawstydzi swego mistrza, prostując jego wywód najnowszemi odkryciami. A i to nieraz zauważono na posiedzeniach kół nauczycielskich, że nauczyciel cieszy się tem większem poważaniem w szkole i poza szkołą, im więcej umie, im poważniejsze naukowe stanowisko zajmuje.

Jest jeszcze jeden bodziec, ze wszystkich najważniejszy, pchający nauczyciela szkół wyższych do pracy naukowej, pobudka silniejsza od wszystkich innych, bo płynąca z najczystszej miłości Ojczyzny. Ks. Piramowicz powiedział w mowie, wygłoszonej w rocznicę otwarcia „Towarzystwa do ksiąg elementarnych“ w dniu 7 marca 1871 r., że nauczyciel, „edukacyą, którą odebrał, wyniesiony ku wyższym końcom, pogląda na ojczyznę, jako na spólną Matkę, która, poruczywszy mu do ukształcenia dzieci swoje, wyciąga od niego dobrych i pożytecznych synów“ [1]. Ojczyzna w dzisiejszem swem położeniu domaga się od nas nietylko „dobrych i pożytecznych synów“, ale i udziału w pracy naukowo-literackiej. Pracując w imię tych pobudek, stanie się nasz stan nauczycielski tem, czem jest gdzieindziej, tj. „właściwym filarem i dźwignią oświaty i nauki“ [2].

---

[1] Ks. Piramowicz, „Mowy“, str. 47. Wyd. d-ra Wisłockiego.

[2] *Muzeum*, 1889, str. 911 i 912.

Dziś, co prawda, garną się wielkie zastępy nauczycieli szkół wyższych do pracy naukowej, zapał prawie gorączkowy ogarnia koła i grona, ale — widzi to każdy — ten ożywiony, powszechny ruch zapanował wtedy dopiero, gdy się ogół nauczycieli przekonał, że stanowisko naukowe skarbi nauczycielowi pewną zasługę u góry. Nie da się zaprzeczyć, że praca rzetelna, z jakichkolwiek pobudek podjęta, że ruch naukowy wśród nauczycieli szkół wyższych, choćby zewnętrznemi pobudkami rozdmuchany, byle dobrze zorganizowany i umiejętnie kierowany, może wydać piękne owoce; kto mu się jednak bliżej przypatrzy, dostrzeże w nim dwie niebezpieczne strony, a mianowicie, że razem z ustąpieniem pobudek i on może ustać, a powtóre, że jest w wielu wypadkach płytki, li tylko dla popisu wszczęty, i że prowadzi do wątpliwych w wielu wypadkach rezultatów.

Że nauczyciel szkół wyższych winien zajmować stanowisko naukowe, to nie ulega dziś już żadnej wątpliwości. Ale i to także jest rzeczą jasną, że naukowe zajęcia nauczyciela nie powinny żadną miarą ujemnie wpływać na sumienne spełnianie obowiązków szkoły, gdyż to byłoby niemniej szkodliwe, jak zaskorupienie się w czynnościach wyłącznie szkolnych. Można jedno z drugiem wybornie połączyć. Najlepszym na to dowodem są stosunki obecne. Nauczyciele szkół wyższych zajmują się nauką bardzo skrzętnie, a przecież najwyższe władze oświecenia publicznego i nasza Rada szkolna krajowa z zadowoleniem stwierdzają pomyślny rozwój naszych szkół, co więcej, zaznaczają to wyraźnie, że naukowe stanowisko nauczycieli daje rękojmię trwałego postępu w rozwoju szkół [1]. Rzecz piękna i dobra ma swą miarę i granicę. Nauczyciel, oddając się nauce, powinien pamiętać, że piękną jest rzeczą napisać dobrą rozprawę naukową i wzbogacić nią literaturę ojczystą, ale piękniejszą, wychować kochanej ojczyźnie dzielne, zdrowe, rozumne pokolenie, a najpiękniejszą, zdziałać to, a nie zaniedbać tamtego.

Pracę naukową, zmierzającą do rzeczonych celów, ułatwiają gronom nauczycielskim biblioteki, istniejące przy każdym zakładzie naukowym, które się corocznie, w miarę potrzeb objawionych przez członków grona i w stosunku do funduszów, w nowe zaopatrują dzieła. Nadto przysługuje nauczycielom szkół wyższych prawo wypożyczania potrzebnych do pracy książek z wszystkich bibliotek uniwersyteckich

[1] *Muzeum*, 1887, str. 661; 1890, str. 317; 1892, str. 1 i nast.

w Austryi [1], a nadto abonowania kosztem funduszu zakładowego odpowiednich pism naukowych.

Prawo wypożyczania książek z bibliotek uniwersyteckich jest dla pracujących naukowo wielkiem dobrodziejstwem, które u nas tem większego nabiera znaczenia, ponieważ biblioteki nauczycielskie naszych szkół wyższych są nadzwyczaj ubogie [2]. Rada szkolna zarządziła w ostatnich latach spis książek, znajdujących się w bibliotekach szkół wyższych; być może, że zamierza w uzupełnianiu ich zaprowadzić pewne reformy, któreby były bardzo pożądane.

W niektórych bibliotekach niema dzieł niezbędnie potrzebnych — mniejsza o to, że do naukowych studyów — ale, co gorsza, do racyonalnego traktowania nauki szkolnej. Biblioteki naszych szkół wyższych nie posiadają zasobów z przeszłości i nie mogą się też obecnie podźwignąć dla braku funduszów. Rozporządzenie ministeryalne z r. 1878, znosząc wszelkie do owego czasu udzielane stałe dotacye skarbu państwa, w tem przypuszczeniu że z biegiem czasu szkoły mogły zaopatrzyć biblioteki i gabinety w potrzebne środki naukowe, było dla naszych szkół wyższych, jako w znacznej części niedawno pozakładanych, zawczesne [3]. Fundusze, jakie się obecnie na biblioteki tych zakładów przeznacza, nie pokrywają nawet wszystkich najniezbędniejszych potrzeb, raz dlatego, że są za szczupłe, a powtóre, że trzeba je dzielić na kupowanie książek polskich, ruskich i niemieckich. Najuboższy jest zazwyczaj dział literatury polskiej, chociaż powinien być w stosunku do wszystkich innych najbogatszy. Z działu tego chce korzystać nietylko nauczyciel, uczący języka polskiego, ale całe grono nauczycielskie. Braki także muszą koniecznie niekorzystnie oddziaływać na postęp nauki języka polskiego w szkole i na szerzenie znajomości literatury polskiej pomiędzy członkami grona.

Innym brakom możnaby zaradzić, np. równomiernem zaopatrywaniem działów, unikaniem zakupna zbyt drogich książek, zaprowadzeniem wszędzie ksiąg życzeń, istniejących już w wielu zakładach, do którychby wpisywano autora, tytuł i cenę dzieła, mającego się zakupić. Materyał ten mógłby bibliotekarzowi posłużyć do stosownego referatu, a gronu do przygotowania się do dyskusyi nad dotyczącymi postulatami.

---

[1] Marenzeller, *Normalien,* n-ra 538, 540, 541, 546 i 547 a i b.

[2] *Muzeum,* 1889, str. 306 i 413.

[3] Marenzeller, *Normalien,* nr. 178 — i Sprawozd. Rady szk. kr. za lata 1875—1883, str. 245.

Oto warunki, pobudki, cele i środki pracy naukowo-literackiej nauczycieli szkół wyższych. Dodać tylko trzeba, że troski o chleb codzienny, nękające stan nauczycielski, utrudniają naukową pracę w wielkiej mierze, a u bardzo wielu przytłumiają wszystkie najszlachetniejsze do niej porywy, odbierając potrzebny spokój umysłu i zmuszając do udzielania lekcyj prywatnych w celu należytego utrzymania siebie i licznej zazwyczaj rodziny.

O tych warunkach materyalnych nie godzi się zapominać, śledząc ruch naukowo-literacki nauczycieli szkół wyższych.

W przeglądzie naszym obejmiemy czas od r. 1867 do obecnej chwili, a więc ostatnie 25 lat. Okres ćwierćwiekowej, ciężkiej pracy tych, którzy wychowują przyszłe pokolenia, budzi wielkie zaciekawienie, a powtóre nietrudno dopatrzeć się w obecnych dążeniach nauczycieli szkół wyższych przełomu, nowego zapędu do pracy. Zestawienie i ocenienie dotychczasowych trudów i usiłowań może być pewną na przyszłość wskazówką.

II. *Objawy ruchu naukowo-literackiego.* Najgłówniejszem i najwłaściwszem polem pracy naukowo-literackiej nauczycieli szkół wyższych, jest szkoła, i to wszystko, co z nią pozostaje w związku; ale i poza obszarem szkolnym występują do pracy, godnej naszej uwagi. Wystarczy tu chyba zaznaczyć, że obecnie spotyka się prace nauczycieli szkół wyższych najrozmaitszego rodzaju, mniejsze lub większe, prawie we wszystkich czasopismach i wydawnictwach naukowych i literackich. Wielu z profesorów szkół wyższych bierze czynny i żywy udział w pracach naszej Akademii Umiejętności, niektórzy zajmują nawet za granicą poważne naukowe stanowisko. W ogromnej liczbie rozpraw, artykułów, recenzyj, sprawozdań, wychodzących zpod ich pióra, są rzeczy rzetelnej i trwałej wartości, ale obok nich prace bez większego znaczenia, a całość tej pracy naukowo-literackiej nie jedna nauczycielom szkół wyższych tej sławy naukowej, jakiejby się po jej rozmiarach i jakości należało spodziewać. W całym tym pozaszkolnym ruchu naukowo-literackim nauczycieli szkół wyższych można się dopatrzeć wad i braków wspólnych większej części uczonych polskich. Z tego wypływa, że w mnóstwie prac nauczycieli szkół wyższych jest zawiele drobiazgów, niekiedy bardzo dobrych, ale niema książek, któreby, obejmując jakąś większą całość pewnej umiejętności, posuwały naukę naprzód.

Przyjrzyjmy się najprzód literaturze t. zw. „programowej“. Dziwny to objaw ruchu naukowo-literackiego, ta literatura! Początkiem

swym sięga ona czasów przed r. 1867; znana jest rozprawa programowa z r. 1818. Do rozwoju literatury programowej przyczyniły się rozporządzenia władz. Już Zarys organizacyjny z r. 1849 wspomina, że bez rozprawy naukowej lub pedagogicznej nie można ogłaszać programów [1]. Ruch wzmógł się jednak dopiero w r. 1875, wskutek rozporządzenia Ministerstwa wyznań i oświaty, aby grona nauczycielskie z obowiązku ogłaszały rozprawy naukowe i pedagogiczne w programach swoich zakładów [2].

Literatura programowa galicyjskich zakładów wyższych przybrała obecnie już poważne rozmiary. Według starannego zestawienia prac programowych, dokonanego przez prof. Frąckiewicza [3], dostarczyło do programów szkół galicyjskich blisko 350-ciu nauczycieli przeszło 550 prac najrozmaitszej treści. Spotykamy się w programach galicyjskich z wielu cennemi pracami, z nazwiskami autorów, zasłużonych w dziejach naszej oświaty i nauki, całość zaciekawia nas i nie może być pominięta w dziejach szkolnictwa naszego XIX. wieku.

Ale jak z jednej strony trzeba stanowczo odeprzeć nieuzasadnioną opinię, pojawiającą się w pismach niemieckich, że w programach szkół galicyjskich niema nic ciekawego [4], tak z drugiej strony nie da się żadną miarą zataić, że drukują się w programach niekiedy takie rzeczy, które wręcz ujmę czynią dobrej sławie naukowej nauczycieli naszych szkół wyższych. Nie cytujemy nazwisk autorów i tytułów prac. Znawcy tej literatury nie potrzebują dowodów; innych odsyłamy do bibliotek szkolnych, gdzie się gromadzą programy, oraz do recenzyj, zamieszczanych w *Muzeum* i innych pismach.

Rozprawy programowe w wielu wypadkach nie mogą mieć większej wartości naukowej i wznieść się nad poziom miernoty dla wielu powodów. Rozprawa musi być w programie drukowana! W tym celu szukają dyrekcye wśród gron bezpłatnych pracowników. Gdy los łaskaw, zgłasza rozprawę doświadczeńszy autor; zazwyczaj jednak co lepszy woli pracę oddać tam, gdzie za nią płacą. Przychodzą więc niekiedy do druku prace takie, których gdzieindziej nie chciano przyjąć, albo prace autorów próbujących kroku literackiego. W ten sposób wychodzą na jaw zapleśniałe roboty egzaminowe, dawne prace seminaryjne, bez

---

[1] Marenzeller, *Normalien* I., str. LXXXIII.

[2] Tamże, nr. 482.

[3] Spraw. dyr. c. k. gimn. Wadowickiego, r. 1889.

[4] *Muzeum*, 1887, str. 37.

żadnej wartości. A gdy i takich prac i autorów braknie, wtedy wolno dyrekcyom z urzędu wezwać któregobądź członka z grona do bezpłatnego próbowania swych sił autorskich. Jest zapewne w rozporządzeniu tem głęboka myśl. Chciano nauczycieli zachęcić do pracy, szkoda tylko, że nie pomyślano o stosownem dla wszystkich autorów wynagrodzeniu. Każdy nauczyciel z pewnością odpowiedziałby jak najsumienniej zaszczytnemu zaufaniu i wezwaniu swoich wysokich władz, gdyby go stosownie za pracę wynagrodzono. Praca naukowa wymaga czasu, którego nauczyciel, obarczony wielu szkolnymi obowiązkami, zadarmo oddawać nie może, skoro zmuszony jest zużytkowywać go dla polepszenia materyalnych swych stosunków. Literatura programowa przestanie być lichą, gdy wszystkie prace programowe będą płacone.

Zanim to nastąpi, należałoby, aby sławy naukowej nauczycieli szkół wyższych nie narażać na szwank, rozciągnąć nad drukującemi się w programach rozprawami baczną kontrolę. Rada szkolna krajowa, zatwierdzając tylko tytuł pracy, nie odpowiada za jakość treści, bo jej poprostu przewidzieć nie może. Grona nauczycielskie nie powinny w swym własnym interesie dopuszczać do druku lichych prac, a zwłaszcza takich, do których cudzoziemcy z pewnością zajrzą, choćby przez samą ciekawość. Przedewszystkiem prace autorów, pierwszy krok na niwie literackiej stawiających, powinny uledz sumiennej krytyce. Wszelkie wydawnictwa mają swoje komitety redakcyjne, dlaczego ich nie mają mieć programy?!

Dobór tematów do rozpraw programowych jest w wielu wypadkach nieszczęśliwy. Szukamy nieraz rzeczy odległych, mało nas obchodzących, albo zgoła nam obcych, zamiast spożytkować naukę swą i wiedzę dla objaśnienia dziejów narodowej oświaty. Miałaby z tego ojczyzna wielki pożytek, a autor, prócz zasługi i wdzięczności, i tę ogromną korzyść, że, zastosowując swe wiadomości do rozjaśnienia swoich rzeczy nieznanych, kształciłby się w swym zawodzie, a zarazem ogarniał przedmiot większą miłością, jako sercu swemu miły. Nasuwa się myśl, że literatura programowa dałaby się skierować na lepsze tory, gdyby Rada szkolna ogłaszała z roku na rok pewną liczbę tematów konkursowych, zapewniając najlepszym pracom stosowne wynagrodzenie. W ten sposób powstałaby w gronach szlachetna emulacya, rozprawy zyskiwałyby na gruntowności, cały ruch możnaby prowadzić do celu prostą drogą.

Punktu ciężkości ruchu naukowo-literackiego należy szukać w Towarzystwie nauczycieli szkół wyższych. Z chwilą założenia tego stowarzyszenia — śmiało rzec można — rozpoczęło się naprawdę odrodzenie stanu nauczycielskiego szkół wyższych w Galicyi: powiał w gronach nauczycielskich jakiś duch nowy, podniecający do pracy i usiłowań, zwracający uwagę na obowiązki i jakość ich spełnienia, rozwinął się duch koleżeństwa i poczucie własnej godności. „Iskra, poprzednio jakby zaklęta w krzemieniu, wytrysła żywo i jasnem zabłysła światłem, przy którem stało się widocznem, że nasz stan nauczycielski rozporządza ogromem inteligencyi i na największe zasługuje poważanie, że nie jesteśmy najemnikami, zarabiającymi niechętnie na mizerny kawał chleba, ale gorliwymi i pełnymi poświęcenia obywatelami kraju, dbałymi o jego przyszłość i dobro młodego pokolenia, powierzonego naszej pieczy“ [1].

Doroczne walne zgromadzenia Towarzystwa, oraz posiedzenia kół, odbywające się kilka lub kilkanaście razy do roku, są bodaj czy nie najlepszą miarą pracy umysłowej i naukowej nauczycieli szkół wyższych, a są z pewnością najpotężniejszą dźwignią postępu, przez to właśnie, że gromadzą rozstrzelone siły w jedno ognisko. Przerzućmy karty kilku tomów *Muzeum*, czasopisma tegoż Towarzystwa, a przekonamy się o znaczeniu i doniosłości gremialnych narad. A jednak jest w *Muzeum* cząsteczka tylko owego zbawiennego wpływu, jaki wywierają posiedzenia i zgromadzenia stowarzyszonych. Któż bowiem obliczy ów niewidzialny wpływ na umysły, serca, charakter; wskaże prace naukowe, do których dały powód rozprawy zgromadzeń i posiedzeń. Na owych zebraniach dojrzało wiele pięknych myśli i reform, odczytano setki pouczających prac naukowych, sprawozdań, referatów; posiedzenia i zgromadzenia obudzają w wielu chęć do pracy, wskazują pola leżące odłogiem, rozszerzają zakres wiedzy, prostują mylne poglądy, usuwają uprzedzenia, zbliżają nauczycieli do siebie i ułatwiają wymianę myśli.

Udział członków w zgromadzeniach i posiedzeniach jest miarą żywotności Towarzystwa, miarą zainteresowania się nauczycieli sprawami szkoły i nauki. W ostatnich latach dały się słyszeć głosy poważnych osób zpośród gron nauczycielskich, że niema w zgromadzeniach Towarzystwa i w posiedzeniach kół ani tak ożywionego i licznego udziału członków, ani tak obfitego i zajmującego programu, jakiegoby się i po naszej chęci do pracy i po ogromie niezałatwionych a ważnych

[1] *Muzeum*, 1889, str. 476.

spraw spodziewać należało. W tej opinii jest nieco prawdy. Liczne ciężkie obowiązki, to zapewne jeden z najważniejszych powodów, dla których udział członków w posiedzeniach i zgromadzeniach jest nieliczny; ale i to nie da się zataić, że wielu nie przychodzi wskutek lenistwa i obojętności. Wielu zasłania się czczością programu posiedzeń, nieodpowiednim doborem tematów, lub wreszcie brakiem sekcyi dla fachowych odczytów. Zapewne dałoby się przy większej sprężystości niektórych wydziałów kół postarać o zajmujące odczyty i referaty, ale i zajmujące rozprawy, jak poucza doświadczenie, nie ściągają większej liczby członków. Jest pewna liczba członków, która stale przychodzi na posiedzenia, ale większość trzyma się zdala. Utworzenie sekcyi dla fachowych odczytów grozi, jak słusznie zauważono, rozbiciem całości, a nie przyczyniłoby się do ożywienia ruchu. Traktują się w kołach niejednokrotnie sprawy np. filologiczne, a przecież niema na takich posiedzeniach więcej filologów jak zwykle.

Częściowem odbiciem ruchu umysłowego nauczycieli szkół wyższych, objawiającego się na zgromadzeniach i posiedzeniach, jest czasopismo Towarzystwa, *Muzeum*. Zaczęło ono wychodzić z początkiem 1885 r., a z rokiem bieżącym rozpoczęło ósmy rok swego istnienia. W siedmiu rocznikach, z roku na rok się powiększających, pomieściło *Muzeum* na blisko 350 arkuszach druku kilkadziesiąt artykułów wstępnych, przeszło 150 rozpraw naukowych i artykułów treści pedagogicznej, dydaktycznej, lub dotyczących szkolnictwa, blisko 350 recenzyj dzieł najrozmaitszej treści i rozpraw programowych.

Program czasopisma zmierza do prędszego urzeczywistnienia celów Towarzystwa i zasługuje na jak największe uznanie. Dotychczas nie czepiała go się żądna krytyka: ale już niejednokrotnie omawiano sposób wprowadzenia tego programu w życie. Jedni obsypywali *Muzeum* pochwałami [1], inni ostro je skrytykowali, zauważając np., że odbiega od programu, że jest pismem nudnem i niepoczytnem, że nie umie sobie zyskać należytego uznania ani w gronach nauczycielskich, ani poza niemi [2].

I pochwały i nagany wyszły z ust osób życzliwych Towarzystwu, co właśnie jest może najlepszym dowodem, że jedne i drugie były i są

---

[1] *Muzeum*, 1886, str. 147; 1888, str. 692.

[2] Tamże, 1886, str. 351; 1888, str. 482, 575 i 689; 1889, str. 137 i 197.

uzasadnione. Pewne niesłuszne zarzuty odparła redakcya *Muzeum* [1]. Wydział Towarzystwa dokładał wszelkich starań, aby podnieść wartość pisma [2]. Bezstronna krytyka, nie tając, że *Muzeum* ma braki, nie zwali winy ani na wydział Towarzystwa, ani na redakcyę. Trzeba w krytyce koniecznie uwzględnić warunki, w jakich pismo się znajduje, oraz finansową stronę wydawnictwa. Tu tkwi źródło braków, w tę stronę trzeba pospieszyć z radą i pomocą.

Redakcya nie zapełnia szpalt *Muzeum* li tylko swemi pracami, owszem, umieszcza prawie wyłącznie prace i artykuły nadsyłane jej przez członków gron nauczycielskich. Skargi więc, podnoszone przeciw *Muzeum*, o ile są uzasadnione, dotyczą bezpośrednio samych nauczycieli szkół wyższych. Jeżeli *Muzeum* nie całkiem dobre, to wina spada na nauczycieli samych. By *Muzeum* podnieść, należy zacząć reformę od tych, co artykuły przysyłają; należy wymódz od profesorów uniwersytetów, aby spełnili dawną swą obietnicę [3] i skwapliwej pomocy pismu nie szczędzili.

Z brakiem gruntownych a zajmujących artykułów, łączy się brak dostatnich funduszów, tak nieodzownych do podniesienia wartości pisma. Sejm krajowy, podnosząc w r. 1890, w dowód uznania wartości pisma i jego znaczenia, subwencyę dla *Muzeum* z 500 na 1000 złr., okazał gotowość popierania tego czasopisma, byle się tylko nadal dobrze rozwijało. Gdy nauczyciele szkół wyższych dołożą starań, aby podnieść wartość swego organu, to może im się uda wyjednać nowe podwyższenia subwencyi, a konsekwentnie i ściągnąć doń lepsze siły.

Obok *Muzeum*, wydawanego nakładem blisko 3000 złr., postanowiono już w r. 1887 wydawać „Bibliotekę klasyków łacińskich i greckich“ [4]. Dotychczas wydano 12 tomików. Innych książek szkolnych wydało Towarzystwo własnym nakładem jedenaście, a mianowicie: do nauki języka łacińskiego trzy, tyleż do nauki języka polskiego, po jednej do nauki historyi powszechnej, logiki, botaniki, zoologii i algebry.

W r. 1888 uchwalono w Kole krakowskiem wydawnictwo „Biblioteki pisarzy polskich i obcych“ dla młodzieży [5]. W myśl tej uchwały

---

[1] Zob. uwagę poprzednią; nadto *Muzeum*, 1886, str. 655; 1888, str. 484 i 692; 1889, str. 263; 1890, str. 15.

[2] *Muzeum*, 1889, str. 2, 4, 8 i 263; 1890, str. 2, 139 i 207.

[3] Tamże, 1885, str. 107.

[4] Tamże, 1887, str. 195.

[5] Tamże, 1888, str. 672.

wydano dotychczas 5 tomików z wstępem i objaśnieniami. Cena tomika, jak na nasze stosunki, jest dosyć niska, ale w stosunku do podobnych zagranicznych wydawnictw, wysoka.

Koło krakowskie wreszcie wydaje własnym nakładem „Bibliotekę pedagogiczną", której dotychczas wyszły dwa tomiki. Wiązanie spraw bieżących szkolnictwa z przeszłemi, a zwłaszcza tak świetnemi dziejami, jakiemi są czasy Komisyi edukacyjnej, uważamy za myśl bardzo szczęśliwą, i dlatego wydawcy „Biblioteki pedagogicznej" zasługują na wszelkie uznanie. Szkoda, że to dobre a tanie wydawnictwo nie doznaje poparcia, na jakie w rzeczywistości zasługuje.

Jednym z najważniejszych objawów pracy naukowo-literackiej nauczycieli szkół wyższych, jest układanie podręczników szkolnych. Po zaprowadzeniu w szkołach języka ojczystego jako wykładowego, zależało władzy szkolnej krajowej, gronom nauczycielskim i całemu polskiemu społeczeństwu, „aby niechętnym w centralnej magistraturze żywiołom udowodnić, że przy użyciu ojczystego języka jako wykładowego nie obniży się poziom nauki" [1]. Obok wielu innych trudności, był do pokonania brak odpowiednich polskich książek szkolnych. Z przeszłości, wskutek niepomyślnych warunków, w jakich się szkolnictwo nasze rozwijało, niewiele było podręczników szkolnych, któreby można było zaprowadzać w naszych szkołach wyższych. Słusznie nawet można było twierdzić, że z chwilą zaprowadzenia w szkołach języka ojczystego jako wykładowego, książek szkolnych polskich wcale nie było [2]. „Z tych, które istniały, znaczna ilość napisaną i wydaną została według zasad obowiązujących w szkołach pruskich lub szkołach Królestwa Polskiego, nadto i organizacyą swoją dzieła te z małymi wyjątkami nie mogły znaleść zastosowania w nauce w szkołach naszych, mających organizacyę mniej więcej odmienną".

„Nagłej potrzebie, która się uczuć dała, kiedy język polski zaprowadzono w gimnazyach naszych, nie można było inaczej zaradzić narazie, jak przeróbkami i przekładami aprobowanych i używanych książek niemieckich. Znaleźli się tacy, którzy się podjęli tego trudu przetwarzania i przekształcania; niepodobna zaprzeczyć, że się wzięli gorliwie do tej pracy, że ją spełnili wogóle sumiennie, nieraz — pomimo pośpiechu nakazanego — zręcznie" [3].

---

[1] *Muzeum*, 1889, str. 475. [2] Tamże, 1889, str. 913.
[3] Tamże, 1885, str. 414.

Rada szkolna niedługo po swojem zorganizowaniu „poruczyła sprawę podręczników szkolnych osobnej komisyi: komisya wszakże, zapewne skutkiem choroby a później śmierci niektórych swoich członków, była przez kilka lat nieczynną“ [1]. Nie korzystano też z ofiary Sejmu krajowego, który umieszczał rokrocznie w budżecie kwotę 1000 złr. w. a., przeznaczoną na nagrody za najlepsze książki dla szkół wyższych, tak iż ją wykreślono w budżecie w kadencyi jesiennej r. 1884 [2]. Po znanym powszechnie elaboracie ankiety Akademii Umiejętności [3] wprowadza w nową fazę rozwoju sprawę książek szkolnych młodziutkie Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych. W r. 1884 omawia ją Koło krakowskie [4], a w roku następnym drugie walne zgromadzenie nauczycieli szkół wyższych [5]. Od tego czasu sprawa podręczników naukowych była i jest dziś jeszcze przedmiotem, który ze strony władz szkolnych gorliwej doznaje opieki.

Usiłowania i zachody, podjęte w tej sprawie przez drugie walne zgromadzenie, uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem. Sejm krajowy bowiem, przychylając się do odnośnej prośby Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych, przywrócił dawny, na cele książek szkolnych przeznaczany zasiłek roczny w kwocie 1000 złr. w. a., i oddał tę sumę do dyspozycyi Rady szkolnej, określając sposób jej użytkowania zgodnie z projektem przez Towarzystwo podstawionym [6]. Także petycya, wniesiona w tym samym przedmiocie do Rady szkolnej, doznała życzliwego przyjęcia i zapewne choć w części przyczyniła się do utworzenia komisyi naukowej w tejże Radzie [7]. Skład tej komisyi i regulamin jej działalności uchwalono d. 27 listopada 1886 r. [8].

Z chwilą utworzenia a raczej odnowienia komisyi naukowej w Radzie szkolnej i powołania do niej fachowych znawców (ekspertów), rozpoczyna się nowy okres ruchu naukowego w dziedzinie literatury szkolnej. Komisya ta wraz ze swymi ekspertami do dnia dzisiejszego kieruje sprawą podręczników.

Statystyka i ocena książek szkolnych, w chwili tworzenia się komisyi naukowej przedsięwzięta, stwierdziła, „że prawie we wszystkich przedmiotach należy stworzyć rzeczy nowe, bądź zrewidować i popra-

---

[1] *Muzeum*, 1889, str. 913. [2] Tamże, 1885, str. 418.
[3] Tamże, 1885, str. 23. [4] Tamże, 1885, str. 34 i 414.
[5] Tamże, 1885, str. 413 i nast. [6] Tamże, 1887, str. 215.
[7] Tamże, 1889, str. 59, 191 i 215.
[8] Spraw. R. szk. kr. o stanie szkół średnich w latach 1884—1888. str. 150.

wić rzeczy istniejące“ [1]. Książki szkolne, używane obecnie w naszych szkołach wyższych, są, z małymi wyjątkami, owocem trudów ostatnich lat kilku. Ilość i jakość ich świadczy chlubnie o rzetelnej, pełnej patryotycznego poświęcenia pracy członków Rady szkolnej i kół nauczycielskich, zwłaszcza gdy się zważy, że niełatwą jest rzeczą ułożyć dobrą książkę szkolną. Ale mimo wytężonej pracy Rady szkolnej i gron nauczycielskich i ofiarności Sejmu krajowego, wiele jeszcze pozostaje do zrobienia. Dążymy do tego, aby mieć swoje, oryginalne, dobre książki szkolne. Otóż daleko nam jeszcze do zupełnego wyrugowania tłumaczeń i przeróbek obcych książek. Dowodzą tego następujące daty statystyczne. Przypatrzmy się np. książkom szkolnym, używanym w gimnazyum Samborskiem w r. 1891 [2].

Pomiędzy 83 książkami szkolnemi — pomijając ruskie — używanemi w rzeczonem gimnazyum w r. 1891, jest oryginalnych, tj. przez Polaków ułożonych 42, a nieoryginalnych, tj. tłumaczonych lub zastosowanych tylko do użytku naszych szkół wyższych 41, a mianowicie:

do	nauki	religii	oryginalnych	2,	nieoryginalnych	6
„	„	języka łacińskiego	„	9	„	9
„	„	„ greckiego	„	1	„	10
„	„	„ polskiego	„	8	„	0
„	„	„ niemieckiego	„	5	„	4
„	„	historyi i geografii	„	4	„	7
„	„	matematyki	„	3	„	4
„	„	nauk przyrodniczych	„	9	„	0
„	„	propedeutyki	„	1	„	1

Stosunek podręczników oryginalnych do nieoryginalnych jest we wszystkich gimnazyach mniej więcej ten sam. Stosunek ten, wyrażony w procentach, przedstawia się tak:

do	nauki	j. greckiego	jest	książek	nieoryginalnych	91%
„	„	religii	„	„	„	75%
„	„	historyi i geogr.	„	„	„	64%
„	„	matematyki	„	„	„	57%
„	„	j. łacińskiego	„	„	„	50%
„	„	propedeutyki	„	„	„	50%
„	„	j. niemieckiego	„	„	„	44%
„	„	nauk przyrodn.	„	„	„	0%
„	„	j. polskiego	„	„	„	0%

[1] *Muzeum*, 1887, str. 63. [2] Spr. dyr. c. k. gimn. Samb. z r. 1891.

Odliczywszy książki do nauki języka polskiego, mamy nieoryginalnych książek szkolnych 57%, czyli więcej niż połowę.

Ta bądźcobądź upokarzająca liczba książek szkolnych nieoryginalnych, które prócz tego tak co do języka samego jak i pod względem zawartego w nich materyału oraz podziału i układu wiele jeszcze pozostawiają do życzenia, powinna drażnić naszą narodową dumę, winna nas zachęcać do energiczniejszej pracy i do popierania oryginalnie opracowanych książek szkolnych. Sił mamy poddostatkiem, dobrej woli nam nie brak, ale brak nam oprócz pieniędzy także wytrwałości. I tak na drugiem walnem zgromadzeniu Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych w r. 1885 jeden z niepospolitych znawców języka i literatury greckiej stwierdził, całkiem słusznie, „że pożądaną, że korzystną jest rzeczą, aby gramatyki obydwóch klasycznych języków opracowane były dla użytku szkolnego samodzielnie, tak jak tego wymagają nasz język i nasza młodzież“ [1] — a przecież mimo tej światłej rady i zachęty wychodzi po kilku latach gramatyka grecka „Curtius-Hartel-Ćwikliński“.

Wydział Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych, pragnąc wyrugować obce wydawnictwa książek szkolnych z naszych szkół, powziął piękną myśl wydawania klasyków starożytnych własnym nakładem, i wydał dotychczas kilkanaście tomików, niestety aż 82% prac obcych, zastosowanych tylko do użytku szkół polskich. Dzięki tym, którzy w te tomiki włożyli swą pracę — ale wolelibyśmy, aby na karcie tytułowej były ich tylko nazwiska, zamiast spółek Kornitzer-Sołtysik, Scheindler-Sołtysik, Gryzar-Ziwsa-Skupniewicz. Czyżby rzeczywiście nie miało być między nami i u nas tak zdolnych pracowników i tyle patryotycznej ofiarności, aby niezależnie od zagranicy, o własnych siłach, zdobyć się na oryginalne, dobre, a tanie wydawnictwa?

Tak ogromne i tak ważne pole, jakie nauczyciele szkół wyższych swym ruchem naukowo-literackim ogarniają, wymagałoby — rozumiemy to dobrze — obszerniejszego sprawozdania, a przedewszystkiem szczegółowszego przeglądu poszczególnych działów. Gdy na to miejsca niema, to sądzimy, że i niniejsze sprawozdanie, choć w ciaśniejszych rozmiarach, da dość dokładne wyobrażenie o ogólnym kierunku i stanie tego ruchu. Oceniając zalety tego, co dotychczas zrobiono, zwróciliśmy uwagę i na braki dotychczasowej pracy. Dowiedzieliśmy się, że w gronach nauczycieli szkół wyższych jest wielka chęć do pracy naukowo-litera-

[1] *Muzeum*, 1885, str. 416.

ckiej, że usiłowania mimo trudnych warunków pracy prowadzą w znacznej części do pięknych rezultatów, że jednak silnemu owemu ruchowi brak jeszcze należytego skupienia i kierownictwa, a poniekąd i jasno wytkniętego celu.

Zwłaszcza należałoby część sił skupić i spożytkować do pracy na wdzięcznem polu dziejów szkolnictwa narodowego. Domagamy się i dążymy wszyscy do tego, aby do dzisiejszej edukacyi publicznej wprowadzić więcej niż dotychczas pierwiastków narodowych. Tych pierwiastków trzeba nam szukać w dziejach naszego szkolnictwa, trzeba nam te dzieje znać! Dzieje te jednak do dziśdnia czekają na gruntowne i wszechstronne opracowanie. Część znaczna działów tych dziejów leży odłogiem; wielu chętnych nie wie, gdzie pracować, co najprzód i jak robić. Do napisania pomnikowego dzieła o naszem szkolnictwie potrzeba jeszcze długiej a skrzętnej i wytrwałej pracy. Takiem dziełem winniśmy się pochwalić, gdy za lat kilka, w r. 1900, będziemy święcili 500-letnią rocznicę odrodzenia się Uniwersytetu naszego w Krakowie.

Te wszystkie względy domagają się koniecznie urządzenia wielkiej wystawy szkolnictwa polskiego, od najdawniejszych czasów aż do dni dzisiejszych. Wystawa winna być, aby cel swój spełnić, wielka. Wystawa fragmentaryczna, nie dająca zupełnego obrazu dziejowego rozwoju naszych szkół, niczegoby nas nie pouczyła, a zamiast pokrzepić i podnieść ducha narodowego, zachęcić do pracy i przysporzyć ojczyźnie sławy i blasku za granicą, stałaby się tylko powodem upokorzenia naszego i wstydu, oraz świadectwem naszej niemocy i nieporadności.

Aby wystawa mogła pchnąć nasze szkolnictwo naprzód i nadać obecnemu ruchowi naukowo-literackiemu właściwy kierunek, winna objąć wszystkie kategorye szkół, jakie kiedykolwiek mieliśmy i teraz mamy: należałoby ją podzielić na działy tak ułożone, aby się ujawnił historyczny rozwój poszczególnych gałęzi szkolnictwa; uwydatnić wszelkie środki naukowe, pedagogiczne, dydaktyczne, metodyczne, pomocnicze. Do udziału w wystawie wypadłoby zaprosić wszystkie polskie szkoły i stowarzyszenia nauczycieli i nauczycielek, oraz wezwać nakładców i wydawców polskich książek szkolnych, jako i polskich dostawców naukowych środków pomocniczych, urządzeń szkolnych i t. p. rzeczy.

Taką wystawę należałoby połączyć z wielkim zjazdem nauczycieli, którzyby na podstawie naukowo opracowanych referatów przystąpili na zgromadzeniach do dyskusyi nad poszczególnymi działami

wystawy. Takie referaty, umiejętnie przez fachowych znawców opracowane a na posiedzeniach przedyskutowane, łącząc teraźniejszość z przeszłością i wskazując pola odłogiem leżące, stałyby się potężną dźwignią ruchu naukowo-literackiego, dostarczyłyby na długie czasy tematów do prac naukowych i literackich, o które nam teraz tak trudno.

Dziś już minęły czasy wystaw powszechnych. Wystawa szkolna, jako część wystawy powszechnej, choćby najstaranniej urządzona, nie stanie się tem, czem się stać może jako samoistna wystawa. Nie trzeba sądzić, że nie byłoby jej czem zapełnić, owszem, nasuwa się tak wielkie mnóstwo działów, że wystawa może być w całem tego słowa znaczeniu wspaniałą. Możnaby urządzić następujące działy:

I. dział: Szkoły najwyższe, jakoto uniwersytety: Jagielloński, Wileński, Zamojski, Warszawski, Lwowski; akademia politechniczna Lwowska. Każda z tych najwyższych szkół może np. zaznaczyć swe charakterystyczne zwyczaje i urządzenia, może zgromadzić portrety swych zasłużonych rektorów i profesorów, dawnych uczniów i t. d.

II. dział: Liceum Krzemienieckie.

III. dział: Szkoła korpusu kadetów w Warszawie.

IV. dział: Szkoły wyższe męskie. Tu wystąpiłyby dawniejsze kolonie akademickie i szkoły wydziałowe czyli wojewódzkie, dzisiejsze szkoły gimnazyalne i realne, tak publiczne jak prywatne. W dziale tym uwydatnią się zapomocą używanych podręczników wszystkie przedmioty, jakich w tych szkołach uczono, oraz wszystko, co każdą szkołę charakteryzować może.

V. dział: Wyższe szkoły żeńskie, zarówno publiczne jak prywatne. Tu obok przedmiotów wykładowych znajdą pomieszczenie wyroby ręczne kobiece.

VI. dział: Szkoła sztuk pięknych Krakowska.

VII. dział: Konserwatorya muzyczne.

VIII. Szkoły niższe i najniższe. Tu wystąpią wszystkie dawne i dzisiejsze polskie szkoły, uczące elementów wiedzy, potrzebnej w życiu codziennem. Ten dział może być wspaniale urządzony, bo nauczyciele t. zw. szkół ludowych doświadczali już w tym kierunku swych sił.

IX. dział: Instytuty dla ciemnych i głuchoniemych.

X. dział: Szkoły przemysłowe, handlowe i t. p.

Obok tych i tym podobnych działów, w których się uwydatnią wszelkie charakterystyczne odcienia dawnych i obecnych szkół polskich wszelkich kategoryj w całym swoim historycznym rozwoju, wystąpią działy, obejmujące całe szkolnictwo, jakoto:

XI. dział: Najwyższe nasze dawniejsze i dzisiejsze władze edukacyjne. Ustawodawstwo szkolne.

XII. dział: Towarzystwa nauczycielskie.

XIII. dział: Stowarzyszenia uczniów uniwersytetu: dawne i dzisiejsze.

XIV. dział: Seminarya kształcące kandydatów na nauczycieli. Seminarya komisyi edukacyjnej; seminarya dzisiejsze.

XV. dział: Pomoc naukowa: Bursy, ich widoki urządzenia, tak z dawnych jak i dzisiejszych czasów; Towarzystwa pomocy naukowej, portrety dobrodziejów ubogiej a pilnej dziatwy szkolnej, tabelaryczny wykaz stypendyów; portrety ludzi, których pomoc naukowa wyniosła na wyższe szczeble i uczyniła z nich pożytecznych obywateli.

XVI. dział: Biblioteki szkolne dawne i dzisiejsze. Tu wystąpiliby nakładcy i wydawcy książek szkolnych, tu wystawionoby wzorowo ułożone katalogi książek i t. d.

XVII. dział: Wszelkie środki naukowe pomocnicze, projekta urządzeń szkolnych i t. p. rzeczy. Tu byłoby miejsce dla dostawców, kupców, rzemieślników.

XVIII. dział: Wszelkiego rodzaju przedstawienia odrębnego stroju profesorów i uczniów w rozmaitych czasach. Mamy do tego działu bardzo bogaty materyał.

XIX. dział: Widoki i plany, modele i wszelkie możliwe przedstawienia i urządzenia dawnych i dzisiejszych szkół polskich.

XX. dział: Literatura i źródła dziejów szkolnictwa polskiego.

XXI. dział: Higiena szkolna, gry, zabawy, gimnastyka, śpiew i muzyka.

XXII. dział: Uwidocznienie ruchu naukowo-literackiego pozaszkolnego nauczycieli szkół polskich.

XXIII. dział: Portrety i wszelkiego rodzaju przedstawienia osób zasłużonych w dziejach szkolnictwa polskiego. Tu zgromadzilibyśmy portrety niektórych królów polskich, opiekunów szkół, członków komisyi edukacyi i t. d.

Powyższe zestawienie nie wyczerpuje widocznie wszystkiego, coby z dziedziny szkolnictwa wystawić można, daje jednak pojęcie, jakby wystawa wyglądała. Warto o niej pomyśleć, a zanim ona przyjdzie do skutku, zająć się energicznie przeglądem poszczególnych działów. Taki przegląd dostarczy wiele zajmujących tematów do odczytów i prac programowych, oraz nadarzy sposobność do kształcenia i spożytkowania sił dla dobra szkoły i kraju.

Rzucamy myśl; może ją kto podejmie.

Dr. Antoni Karbowiak.

Hoene Wroński. **Reforma absolutna, przeto ostateczna, wiedzy ludzkiej.** (Wyjątek). Wydawca *L. Niedźwiecki.* Paryż 1891. (W 8ce, str. nn. 8, n. 208).

O Wrońskim każdy słyszał — bardzo rzadki, ktoby coś z niego przeczytał. P. Niedźwiecki, chcąc zapewne filozofa, którego zdaje się być wielbicielem, z tego zapoznania wydobyć, wybiera i podaje publiczności niniejsze dziełko.

Jestto list przeznaczony dla Leona XII. papieża: „O tegoczesnej nagłości uzupełnienia Religii", jednak wysłany dopiero w dniu konklawe po Grzegorzu XVI. do „kogokolwiek, którego Duch św. w tym dniu uroczystym swojego przywezwania przez Naczelników Kościoła przeznaczy na stolicę wiarorządczą powszechnoty" [1].

Treść tego pisma, to oznajmienie o odkrytej przez siebie, a opartej na matematyce filozofii absolutnej, która wszystkie prawdy, tak dogmatyczne jak historyczne (a nawet hermeneutyczne) wyjaśni z oczywistością nie dającą się zaprzeczyć. Dogmaty wiary, już nie będą tajemnicami, ale prawdami rozumu; ztąd wszystkie herezye i schyzmy będą się musiały albo połączyć z Kościołem, albo zniknąć z powierzchni ziemi; słowem nastąpi rozwiązanie „zagadnienia Jezusa Chrystusa", jakie on podał ludzkości w słowach wyrzeczonych do Nikodema: *jeśli się kto nie odrodzi znowu, nie może widzieć Królestwa Bożego* [2], które to słowa mają znaczyć, że ludzie powinni sami sobie dać nieśmiertelność, przez rozum, czyli „stworzyć samych siebie". Aby się to jednak mogło stać, ma Papież uznać tę nową naukę i wprowadzić w życie; a to pod groźbą upadku Kościoła. Bo choć Kościół ma obietnicę wiecznotrwałości, jednak pod warunkiem, że się nie przeniewierzy swemu posłannictwu, którem właśnie jest odrodzenie ludzkości przez filozofię absolutną, czyli „Mesyanizm". Aby zaś ludy mogły przyjąć powszechnie tę nową filozofię, potrzebna jest, prócz królewskiej i papieskiej, jeszcze trzecia współrzędna z niemi władza. Władzę tę tymczasem nazywa autor „Unią absolutną", i spodziewa się jej wyłonienia, rzecz dziwna, z zakonu Jezuitów. Już to na Jezuitów wogóle bardzo jest łaskaw; zniesienie ich przypisuje kazuistyce i Masonom. Na tych ostatnich się zapatruje, jako na królestwo antychrystusowe; ale i oni przez „Mesyanizm" będą zwyciężeni.

---

[1] Jestto neologizm tłumacza; i takiemi upstrzone jest całe dzieło, tak, że nieraz trudno się domyślić, co autor w oryginale francuskim chciał powiedzieć.

[2] Jan III, 3.

Już z tej krótkiej treści tego dzieła można poznać, że wybór pana Niedźwieckiego niekoniecznie był szczęśliwy, i że ta publikacya potwierdzi tylko powszechne mniemanie, że u biednego Wrońskiego geniusz z aberracyą graniczył. Samo tłumaczenie (przypuszczamy, że to jest tłumaczenie, chociaż to nie jest nigdzie ani w tytule ani w książce powiedziane), tak bardzo purystyczne i miejscami dziwne, jednak nie jest zupełnie wolne od zwrotów francuskich. O tyle zaś szan. wydawca zrobił autorowi przysługę, że dał nam poznać jego charakter prawy, a umysł w głębi religijny, choć obałamucony filozofią niemiecką. Zasługą jest też wydawcy, że podał spis dzieł drukowanych Wrońskiego (a jest ich 55), tudzież króciuchny „Rys biograficzny", szkoda tylko, że nie dokończony.

Książkę tę warto przeczytać i z tego względu, że widać w niej początkujące idee i prądy społeczne, które później miały wezbrać w potoki, i po skutkach pokazać czem były. Niektóre z dodatnych, zmieniły się na ujemne, jak idea Rosyi przywrócicielki porządku w Europie. Inne zmieniły barwę, jak mistycyzm baronowej Krüdener a dzisiejszy spirytyzm i buddyzm europejski. Masonia, z ukrycia wyszła na biały dzień. Mimo wszystkich usterek, ciekawa to książka.

H. P.

Życie katolickie. Książka do nabożeństwa i rozmyślań dla młodych osób, w dwóch częściach. Zebrała i ułożyła *Cecylia Plater Zyberkówna.* Warszawa 1891, u Fr. Czerwińskiego. (Str. 800, LXIV).

Pod powyższym tytułem wyszła z końcem roku przeszłego książka, która powinnaby zwrócić na siebie uwagę myślącego ogółu, zwłaszcza tych, dla których życie Boże, życie religijne w duszach młodzieży nie jest rzeczą obojętną. Szanowna Autorka, zaszczytnie znana na polu wychowawczem, daje w swej książce młodym panienkom, opuszczającym opiekę rodzicielską lub szkolną, podręcznik praktyczny do nabożeństwa i rozmyślania, w którym mają wszystko, co jako dobre katoliczki wiedzieć i o czem pamiętać winny, pod względem wiary, moralności i praktyk życia pobożnego.

Praca ta ma cel jasno wytknięty. Autorka streszcza go w tych słowach: „Kreśląc te kartki dla naszej młodzieży, nie chodziło nam bynajmniej tylko o rozbudzenie jej pobożności, przez ofiarowanie nowego zbiorka modlitw, których i tak jest już u nas poddostatkiem; chodziło nam o rzecz wiele ważniejszą, a mianowicie: o rozbudzenie ducha naszej świętej wiary w sercu młodzieży, przez wpro-

wadzenie nabożeństwa w sam rdzeń życia, tak, aby to nabożeństwo, dobrze zrozumiane i praktykowane w myśl naszego św. Kościoła, oświeciło, ożywiło i zapełniło jej życie".

Zaiste, cel praktyczny i wzniosły! Czy go Autorka dopięła? Oto pytanie, na które, aby dać sumienną odpowiedź, rozpatrzmy się w jej dziele.

„Życie katolickie" składa się z dwóch oddzielnych części. Część I. zawiera różne nabożeństwa, poprzedzone zawsze treściwem ich wytłumaczeniem. Część II. zawiera objaśniające czytania i rozmyślania. Każda z tych części tworzy oddzielną całość, obie zaś związane z sobą jedną myślą przewodnią, wzajemnie się uzupełniają.

Dotąd, część pierwsza została wydaną, o niej więc tylko na teraz pomówimy.

Część ta „Życia katolickiego", jak wzmiankowaliśmy, jest zbiorem modlitw, a przyznać trzeba, zbiorem bardzo pełnym, zdolnym zadowolnić wszystkie potrzeby duszy wierzącej, która w najrozmaitszych okolicznościach życia, pragnie wznosić się ku niebu, aby tam czerpać otuchę, wsparcie i światło. Znajdzie tu więc pobożna katoliczka wszystkie główniejsze nabożeństwa i praktyki, tak do publicznego, jak i prywatnego użytku, zalecone przez Kościół św., począwszy od pacierza matczynego, aż do Ewangelii na każdą niedzielę i święto.

Oprócz modlitw i nabożeństw, znajdujących się mniej więcej w każdym obszerniejszym modlitewniku, są tu pomieszczone zupełnie nowe, lub mniej znane nabożeństwa, jak np. ślicznie napisana „Godzina święta", czyli uczczenie godziny konania Chrystusa Pana; „Nabożeństwo do Najświętszego Oblicza"; modlitwy błagalne: do Przenajśw. Krwi Chrystusowej, do Serca Jezusowego; nowenny do Opatrzności Boskiej; modlitwy przy chorych i umierających; nabożeństwo za dusze w czyścu cierpiące, i wiele, wiele innych. Ze szczególną wszakże troskliwością zajmuje się „Życie katolickie" przygotowaniem do godnego korzystania z Sakramentów świętych, mianowicie: Sakramentu Pokuty i Sakramentu Ołtarza. Rachunek sumienia ogólny i szczegółowy dla młodszych i starszych niewiast, przeprowadzony jest znakomicie z całą znajomością przedmiotu. Nabożeństwo do Najśw. Sakramentu obfite, pełne wiary i miłości, treścią i formą za serce chwyta. Msza święta, ten prawdziwy skarb wiary naszej, ale skarb niestety dla wielu zakryty, traktowaną jest ze szczególnem zamiłowaniem. Pobożni znajdują tu pięć sposobów uczestniczenia w Najśw. Ofierze, a każdy z nich uczy, porusza serce i do miłości Bożej zniewala.

Nie tyle wszakże mnogość i szczęśliwy dobór modłów stanowią wartość tej książki, ile ten duch Ewangelii, duch Kościoła św., który ją nawskróś przenika — ile ta myśl święta, co jak złota nić wszędzie jaśnieje, aby ducha tego budzić i ożywiać w głębi serca czytelnika. Usiłuje zaś budzić ducha Autorka, już to słowy Chrystusa Pana trafnie w tym celu przywodzonemi, już to ślicznemi nauczkami objaśniającemi każde nabożeństwo, każdą praktykę pobożną; już to wreszcie uwydatnieniem w każdym prawie ustępie myśli wybitnej osobnym drukiem. Słowem, skorzystano tu z każdej nastręczającej się sposobności, aby wrazić w umysły, że *Bóg jest* Duchem i Prawdą, *a ci którzy Go chwalą, potrzeba, aby Go chwalili w duchu i prawdzie*[1], i że najpiękniejsza nawet forma, jeśli pozbawioną jest myśli i ducha, zawsze pozostanie tylko martwą skorupą.

Dziwną powagą i jakąś siłą pociągającą tchną te modlitwy i uwagi, przepełnione wyrażeniami dosłownemi i parafrazami Pisma św., Ojców Kościoła, i książeczki „O naśladowaniu“. Czytając karty „Życia katolickiego“, zdaje ci się, że słyszysz głos rozumnej a tkliwej matki, i to zapewne sprawia, że wziąwszy tę książkę do ręki, trudno się od niej oderwać, a złożywszy ją, chce się do niej wrócić, jakoby do przyjaciela i powiernika. Doprawdy, książka, która zdolną jest obudzić takie uczucia, nie może zostać bez wpływu na czytelnika, a wpływ to będzie Ducha Bożego, ducha wiary i pobożności, bo nim jest ożywione „Życie katolickie“.

Kształt i wygląd zewnętrzny „Życia katolickiego“, robią miłe wrażenie. Druk czysty i wyraźny i wcale nie za drobny; szkoda tylko, że nie satynowany. Już to wogóle druki warszawskie ustępują krakowskim. Inne usterki[2], jakieby można dostrzedz, są tak małe i tak ich mało, że śmiało do omyłek drukarskich zaliczone być mogą.

Z tej oceny części I. „Życia katolickiego“ łatwo wywnioskować, ile jest pożądanem, aby część II., uzupełniająca tę pierwszą, i pewno nie mniejszej od niej wartości, co rychlej dostała się do rąk, dla których jest przeznaczoną.

Ks. A. P.

---

[1] Jan IV, 24.

[2] Zwłaszcza na str. 758 w. 16 i 15 od dołu znaczniejsza nieścisłość.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Les Grands travaux du siècle. Par *J. B. Dumont.* Paris. Hachette et Co. 1892.

Może to tytuł zbyt śmiały, bo niepodobna ogarnąć w jednym tomie ogromu tytanicznych dzieł bieżącego stulecia. Chodziło atoli o popularny wykaz dokonanych cudów, i temu niniejsze wydawnictwo bez wątpienia sprostało zapomocą licznych a doborowych ilustracyj, oraz bardzo zajmującego tekstu, który nie wyczerpuje przedmiotu, ale rozbudza ciekawość i wystarcza dla ogółu czytelników, aby im dać ocenić sumę usiłowań ręki ludzkiej i ludzkiej też myśli. Znalazło się tu miejsce na kolejowe roboty, śmiałe mosty przerzucane nad przepaścią, przekopanie Suezu, Koryntu, Panamy, budowę wieży Eiffel, udoskonalenie żeglugi Transatlantyckiej, misterne wykonanie pancerników, żelaznych klatek pałaców wystawowych, kanalizacyj, wodociągów i t. d. i t. d.

Oczywiście, pewien narodowy szowinizm głównie się skłania ku francuskim dziełom, ku robotom przez Francuzów prowadzonym. I tak wieża Eiffel nierównie szerszego doczekała się opisu od stokroć ważniejszego działu żeglugi morskiej i budowy wielkich statków kursujących lotem ptaka między Ameryką i Europą. Tunel Mont Cenis szczegółowo tu został opisany, podczas gdy podobne roboty na linii Św. Gotarda i kolei Arulańskiej krótko zaledwie są wspomniane. Zpośród najdłuższych linij kolejowych, otrzymujemy tu obszerniejszą wiadomość o drodze żelaznej, przecinającej Stany Zjednoczone od morza do morza, o linii Kanada-Pacyfik i o Transkaspijskiej i Syberyjskiej drodze. Ryciny przedstawiają nam trudności klimatyczne, zasypujące lawinami śniegu rzucone śmiało w dal szyny żelazne, po których pięć dyszących lokomotyw utorować sobie drogi nie może. Widoki sztucznych dróg, wijących się na stokach Righi i Pilatusa, oczywiście dostarczyły najpiękniejszych krajobrazów. Mamy i podziemne, podrzeczne koleje, otrzymujemy dzieje i opisy śmiałych mostów przerzuconych nad Niagarą lub Brooklyn, katastrofę zerwania mostu nad rzeką Tay, Firth of Forth, największy most w świecie, oraz projekt rzucenia podobnego przez kanał La Manche, łącząc Anglię z Francyą, co jednak utrudniłoby żeglugę, i raczej do podkopania się pod morskie głębiny zachęca.

Niedoszłe przecięcie Panamy zrzucone tu jest wyłącznie na przeciwne warunki klimatyczne, oraz na nierówność wód rzeki Chagres, zalewającej roboty po każdym deszczu. Zajmujące są ustępy dotyczące regulacyi portów, mianowicie w Nowym Jorku, gdzie rafy skaliste wydobyto z głębiny, aby znów na granicie osadzić olbrzymią latarnię morską, dar Francyi, upowszechniony ryciną posąg Wolności, oświecającej świat. Domniemane podobieństwo Rodyjskiego kolosu, odtworzone z dawnych opisów i tradycyj, dziwnie uderza tożsamością linij z nowojorską Wolnością. Podobnież trzymał on w ręku pochodnię, podobną wieńczył czoło koroną.

Książka ta jest poniekąd kalejdoskopem najznaczniejszych robót stulecia, a zdumiewa ceną, tak różną od naszych. Za gruby tom, obejmujący 256 ilustracyj, nieraz całostronnych, starannie na doskonałym papierze drukowany, nakładca żąda zaledwie ośm franków! Podobną taniość i możliwość odzyskania kosztów przy tak niskiej cenie doliczyć można do cudów współczesnych i największych wieku zdobyczy.

M.

Heinrich Heine. Sein Leben, sein Charakter und seine Werke. Dargestellt von *Heinrich Keiter*. IV. 128. Köln. Bachem. 1891.

Heine uważanym jest nieraz przez naszych bardzo nawet zkądinąd porządnych i chrześcijańskim duchem bez wątpienia ożywionych pisarzów, za wyjątkowego geniusza, któremu wszystkie słabości, wszystkie szkarady, a raczej to, co u innego pisarza tą nazwą napiętnowaćby należało, wspaniałomyślnie trzeba darować, o którym ze czcią tylko wyrażać się wolno, bo jest — poetą, geniuszem. Że Bóg dał mu istotnie niepospolite zdolności, o tem rzecz oczywista nikt nigdy nie wątpił i nie wątpi; pytanie tylko, jak tych zdolności użył i czy za takie użycie wolno mu płacić czcią, pochwałami bez ograniczeń, bez zastrzeżeń? Na pytania te wybornie odpowiada Keiter w niewielkiej, łatwej zatem do przeczytania broszurce. Talentu i wielkiego talentu Heinemu nie odmawia, znać jak umie ocenić niezaprzeczalne piękności jego wiersza; znać szczery żal, iż taki talent zmarnował się i gorzej niż zmarnował, bo truciznę prawie tylko wokoło sączył; ale ani te piękności, ani ten żal wpłynąć nie zdołał na ułagodzenie ostatecznego, a niestety! sprawiedliwego sądu: Heine jest poprostu złoczyńcą, tem gorszym, że truje nie kilku, nie kilkunastu ludzi, ale całe pokolenia! Sąd ten przekonywa tem bardziej, że wydany jest po dokładnem a grun-

townem umotywowaniu, w słowach stanowczych, lecz zawsze grzecznych, powiedziećby można, salonowych. Może, gdy Niemcy na sąd taki sobie pozwalają, zdobędą się i polscy, piszący o Heinem, literaci na odwagę, i przyznają przynajmniej, że nie jest on jeszcze straszną jakąś, nie do darowania „literacką“ herezyą.

Die Gottgeweihten Jungfrauen in den ersten Jahrhunderten der Kirche. Nach den Patristischen Quellen und den Grabdenkmälern dargestellt von *Joseph Wilpert*. Mit 5 Doppeltafeln und 3 Abbildungen im Text. Folio (str. VIII i 105). Freiburg i. B., Herder. 1892. (M. 18, oprawn. 22).

Mamy znowu pod ręką nową, znakomitą rzecz niestrudzonego archeologa Wilperta. Jak nurek wynosi on coraz to piękniejsze perły z głębin katakumbowych, ale bo też nikt drugi chyba obok mistrza Rossiego między nowszymi badaczami starożytności chrześcijańskiej nie spędził tyle dni pod ziemią, co czcigodny nasz autor. Tymczasem obrał sobie temat bardzo wdzięczny. Jak tytuł wskazuje, niniejsza książka zajmuje się instytucyą Dziewic poświęconych Bogu, w pierwszych wiekach Kościoła.

Dzieło obejmuje dwie części. W pierwszej traktuje autor w ośmiu rozdziałach (str. 1—51) o znaczeniu dziewic Bogu poświęconych w pierwotnym Kościele, o ślubach i ceremoniach, wśród których takowe składano, o stroju dziewic i wieku wymaganym przy profesyi, dalej o życiu wspólnem i początkach klasztorów żeńskich, a wreszcie o nagrodzie obiecanej dziewicom. Rozdziały te opierają się głównie na źródłach patrystycznych, choć niemało także ciekawego materyału dostarczyły autorowi malowidła i napisy katakumbowe. Nie omawiamy tych rzeczy obszerniej, bo niebawem jeszcze do nich powrócimy.

Część druga jest poświęcona głównie ikonografii dziewic. Najciekawszą i najpiękniejszą kreacyą w tym dziale starochrześcijańskiego malarstwa jest bezsprzecznie fresk w katakumbach św. Pryscylli przy *Via Salaria Nova*, w którym już Bozyusz widział obłóczyny dziewicy, i tylko w tem zbłądził, iż bez podstawy podsunął osobom na obrazie imiona historyczne. Matronę, umieszczoną w środku kompozycyi, uważał on za św. Pryscyllę, fundatorkę cmentarza, profeskę po prawej ręce matrony, za jednę z jej córek, biskupa dopełniającego aktu obłóczyn, za papieża św. Piusa, a młodzieńca asystującego przy ceremonii, za świętego kapłana Pastora. Pierwszym, który sporządził kopię tego obrazu, był uczony dominikanin Ciacconio. Reprodukcya jego wypadła

iednak bardzo nieszczęśliwie, bo figury siedzące przemieniono w stojące, kobiety w brodatych mężczyzn i t. d. Lepsza była kopia, którą Bozyusz ogłosił w swej *Roma Sotterranea*, choć i ta jeszcze wiele ma braków. Z Bozyusza dostała się ona niezmieniona w dzieła archeologiczne Arringhi'usza i Bottari'ego. Niedokładne są nowsze kopie u Perreta, Garrucci'ego, Rollera, Martigny'ego, Krausa, Liella, zawierające już to wszystkie trzy części obrazu, już też jednę. Najgorszą może jest reprodukcya ks. Davin'a. Liche kopie, a nieraz jeszcze uprzedzenia religijne, były powodem, że obrazowi temu podsuwali niektórzy archeologowie zupełnie fałszywe tłumaczenia; z mrzonkami temi rozprawia się Wilpert w rozdziale IX. Największe uznanie należy się autorowi za to, iż na podstawie fotografii, zdjętej na miejscu, sporządził nową kopię kolorowaną (zob. Tabl. I.), która tak dobrze się udała, iż Rossi i inni znawcy nie wahali się uznać jej za najlepszą reprodukcyę z katakumb.

Rozdział X. omawia malowidła, przedstawiające mądre i głupie panny, z których pierwsze uważano za wzór dziewic chrześcijańskich. W katakumbach znaleziono dotychczas tylko dwa freski, ilustrujące tę parabolę ewangeliczną. Jeden znajduje się w cmentarzu Ostryańskim przy *Via Nomentana* i sięga początków IV. wieku, drugi jest w katakumbach św. Cyryaki na *Agro Verano*. Ponieważ kopia fresku Ostryańskiego, ogłoszona przez Bozyusza, bardzo jest dowolna i niedokładna, więc Wilpert wygotował fotografię (Tabl. II. n. 5) i umożebnił w ten sposób zrozumienie malowidła. Na lunecie arkosolu widzimy tu po stronie lewej mądre panny przy uczcie niebieskiej, po prawej stoją głupie, a w środku jest zmarła w postaci Orantki, pojęta jako należąca do liczby mądrych. Fresk z katakumb św. Cyryaki publikował de Rossi w *Bullettino di archeologia cristiana* r. 1863, str. 76. Wilpert daje własny rysunek na tabl. II., n. 1. Tutaj stoi w środku Chrystus brodaty w długiej tunice, pallium i sandałach. Włos głowy spada Mu w długich lokach na ramiona, naokoło głowy ma nimb zielony, niechybny znak, że obraz powstał nie wcześniej jak w drugiej połowie IV. wieku. Prawą ręką zdaje się zapraszać mądre panny, trzymające w ręce zapalone pochodnie, do wejścia na ucztę niebieską; głupie mają pochodnie zgaszone.

W rozdziale XI. i ostatnim (str. 80—96) opisuje autor sarkofag znajdujący się na *Santo Campo* w Pizie (Tabl. III. 1), na którym chór dziewic świętych poleca zmarłą, spoczywającą w sarkofagu, Dobremu Pasterzowi, który też wysłuchał ich próśb i odnosi na ramionach owieczkę do owczarni niebieskiej. W dodatku do tego rozdziału podaje

autor szereg nagrobków dziewic z katakumb rzymskich (zob. ich *facsimilia* na tabl. III., IV., V.).

Taka jest krótka treść tego dzieła, które głośno świadczy, iż instytucya dziewic poświęconych Bogu wyrosła na gruncie czysto chrześcijańskim, a nie, jak chcą protestanci, na niwie literatury apokryficznej pierwszych trzech wieków. Jako apologia tedy jednej z najpiękniejszych instytucyj Kościoła, ma praca ta wartość nietylko dla archeologów, ale także dla teologa. A nadto, i to z uznaniem zaznaczyć należy, rozprawa Wilperta zupełnie jest samodzielną, ponieważ prócz dzieł Ojców, traktujących o dziewictwie, żadnej w nowszej literaturze o tej kwestyi nie mamy gruntowniejszej pracy.

Ks. J. Bilczewski.

L'éducation de nos filles. Par le *dr. Jules Rochard.* Paris. Hachette. 1892.

Znany higienista, współpracownik *Revue des deux Mondes*, autor ciekawych artykułów i kilku ciekawszych jeszcze książek, tym razem niesie nam w dani swe poglądy na wychowanie dziewcząt. Lecz kto raz w publicystyce swe pióro zaprawił współpracownictwem w prasie peryodycznej, nad tym zawisło przekleństwo luźności feljetonowej, i trudno się zdobyć na jednolitą całość. Znać to i w niniejszej księdze, uwitej jakoby z rozbitych części, z artykułów złożonych doraźnie w tom różnorodny, gdzie pełno kwestyj pobocznych wplątało się okolicznościowo w ramy założenia, rozszerzając onego granice. Zrazu plan księgi nader był prosty: autor trafnie określa wychowanie przygotowaniem do życia, zaczem, im to przygotowanie dokładniej odpowie warunkom i wymaganiom przyszłości, tem będzie lepsze i doskonalsze.

Trojakiem bywa to zadanie, rozpadające się na wychowanie moralne, umysłowe i fizyczne. Moralne posiada najlepsze wzory w spuściźnie po wieku XVII., w którym żyli i pisali niedościgli mistrze wychowania, jak Fénélon i pani de Maintenon. Do nich się wciąż odwołuje dr. Rochard, ich przytacza słowa i rady, co najwięcej, czerpiąc dalej niemało i z świeższego zasobu pism biskupa Dupanloup. Wychowanie moralne, dawniejsze jeszcze posiada pomniki, bo czemże są listy Ojców Kościoła do pobożnych Rzymianek, jeśli nie kodeksem najpewniejszych wskazówek, jak się zbroić na życie i w życiu kierować. Podstawy chrześcijańskie wystarczają, aby ugruntować moralną przyszłość kobiety, i byle na tych podwalinach budować, niema obawy,

aby się gmach życiowy rysował lub zwalił. Natomiast wychowanie intelektualne za dni naszych gwałtownej i spiesznej wymaga reformy, a zkądinąd wychowanie fizyczne poprostu dotąd nie istniało wcale, zwłaszcza dla dziewcząt, które ostatniemi czasy przeciążono nauką i pracą, nie bacząc wcale na uszczerbek uczyniony zdrowiu, nie walcząc z przyrodzoną skłonnością kobiet od dzieciństwa samego do unikania powietrza i ruchu, i zasiedzenia się, zadomowienia w powszednich zajęciach i spokojnych tylko rozrywkach. Obowiązkiem higieny jest przełamać to usposobienie, i zapomocą ruchu, wody i powietrza zgotować przyszłym pokoleniom zdrowe i silne matki w miejsce anemicznych i nadwątlałych istot, nie odpowiadających już zgoła swemu wysokiemu wobec ludzkości przeznaczeniu i posłannictwu.

Pod względem ruchu, dr. Rochard przeciwny jest gimnastyce atletycznej, przydającej jednę lekcyę więcej do i tak już obciążonego programatu. Zaleca natomiast przechadzki, z określonym celem i nieraz naukową korzyścią, zabawy na wolnem powietrzu, a mianowicie te gry, których Anglia tak wiele różnych podaje nam wzorów, a które budzą z sennej apatyi i ducha i muszkuły. Lepsza wentylacya domów, sypialń, sal szkolnych, jest przedmiotem osobnej troskliwości uczonego higienisty. Ubolewa, iż skutkiem lepszego opatrywania drzwi i okien niema już owych chłodnych przeciągów, które równały niegdyś atmosferę wewnętrzną i zewnętrzną, że dziś mieszkańcy zbyt dobrze ogrzanych domów wystawieni na tem łacniejsze przy wychodzeniu z nich zaziębienie. Przeklina opony, firanki, kotary i portyery, w których upatruje wygrzewalnie mikrobów, i mnoży wskazówki dotyczące powszedniej higieny mieszkania, odzieży i dyety. Oczywiście woda, a przedewszystkiem woda zimna, przewodnią gra rolę w przepisach zdrowia. Dr. Rochard część chorób słusznie odnosi do braku ochędóstwa, właściwego pewnym szczepom i narodom. Czerstwość anglosaksońskiej rasy w znacznej części pochodzi ze ścisłych warunków porządku i czystości, które się zrosły z życiem prawowitych synów Albionu. Ale cywilizacya rozszerza te prądy dodatnie. Niedawno jeszcze oznaczano arystokratów mianem „ludzi z umytemi rękami“; snać ta wyłączna ablucya wyższe cechowała sfery towarzyskie, kiedy dziś upowszechnia się ogólniejsza z wodą zażyłość, a łub angielski i ranna kąpiel w codzienne wchodzą obyczaje; zwrot to w zamierzchłą przeszłość, kiedy łaźnie miały tak niepoślednie znaczenie w porządku dnia i ekonomii zdrowia.

Dr. Rochard gwałtownie powstaje przeciw rozszerzaniu zakresu naukowego w wychowaniu dziewcząt, i powtarza, że te nowoczesne

prądy zgubnie na umysł i na siły płci słabszej wpływają, dając im ściśle tylko katalogowe, encyklopedyczne wykształcenie, a stępiając władze ducha i niszcząc zdrowie znużeniem ciała i wysileniem uwagi. Nawołuje tedy do zacieśnienia przedmiotów wykładowych w szkołach elementarnych i wyższych, i twierdzi, że nadmiar uczoności wiedzie tylko dziewczynki do wykolejenia z torów ich przeznaczenia. Tu, oczywiście rozbić się musi o szkopuł kwestyi pracy niewieściej, która wśród zaostrzonej walki o byt występuje coraz jaskrawiej. Z luźnością, cechującą niniejszą książkę, zastanawia się autor nad zawodami, które dla kobiet stoją otworem. Jest ich więcej aniżeli napozór się zdaje, a przybywa ich wciąż, dzięki zabiegliwości roztropnej i światłej filantropii. W Anglii od kilkunastu lat wychodzi osobne czasopismo, poświęcone objaśnieniom i wiadomościom uprzystępniającym różne zajęcia i pola zarobku kobietom. Ale choć i poczty i koleje, i telegrafy i różne administracye zapotrzebowały już służby niewieściej, dr. Rochard nie tai, że praca kobiet bywa wszędzie i zawsze mniej przynośną, że z natury słabszej swej organizacyi niewiasta zawsze bywa zepchnięta do podrzędnych robót i dodatkowych zajęć z niższem wynagrodzeniem.

Autor nie jest zwolennikiem mrzonek emancypacyi, otwierających kobiecie wszystkie bez wyjątku zawody. Jako lekarz, wskazuje ich fizyczną nieudolność, jako pedagog, ostrzega o niebezpieczeństwach, a do pewnego stopnia lekceważy nawet przyrodzone zdolności płci słabszej, która zdrowiem przypłaca wszelkie próby równouprawnienia i sprzeniewierzenia się właściwemu powołaniu. Z wielką miarą autor mówi o studentkach medycyny. W dziedzinie chorób niewieścich i dziecięcych mogłyby oddawać rzetelne usługi, byle się nie kusiły o chirurgiczne np. operacye, do których stanowczo większej od kobiecej potrzeba siły. Z pewną ironią dr. Rochard wspomina zresztą rzekomo świetne egzamina i chlubne patenty udzielane studentkom, dodając, iż międzynarodowa uprzejmość winna mieć swoje granice, a że jej ślady nadto się uwidoczniają w życzliwem wyrozumieniu egzaminatorów...

Zpośród mnóstwa przedmiotów, potrąconych w niniejszej książce, zajął nas ustęp o reformie pisma, które dziś wszędzie ma być sztywnem i prostem, wbrew dawnej, pochyłej kaligrafii, wyradzającej mnóstwo zboczeń kości pacierzowej. Statystyki przerażające stwierdzają tu obserwacye lekarzy i popierają rozpoczętą kampanię. Ale mało komu wiadomo, iż pierwsze hasło: prostego pisma, prostego zarazem ciała, rzuciła przed laty słynna autorka, pani Sand. W tych luźnych poglądach

wciąż spotykamy się ze zdaniem różnych sławnych ludzi, którzy wszyscy zajmowali się sprawą wychowania. Do najjędrniejszych należą zasady, głoszone przez cesarza Napoleona, który zakładając szkoły dla sierot swych legionistów, powtarzał, iż żąda przedewszystkiem użytecznego, praktycznego kierunku wychowania, z pominięciem blichtru i błyskotek dodatkowych talentów i wiadomości: „Chodzi mi o wychowanie kobiet pożytecznych, bo wtedy i przyjemnemi się staną, a gdybym je chciał tylko na przyjemne kierować, wyrosłyby na elegantki do niczego".

Nie brak mądrych rad w toku obszernej książki, która, jak to powiedzieliśmy wyżej, za podstawę dobrego wychowania stawia konieczność religijnego nauczania. Bez tego gruntu nic się nie ostoi. Ztąd autor śmiało potępia obecne prądy antychrześcijańskie, niemądrą laicyzacyę szkół i zakładów naukowych, a czyni to ze stanowiska zdrowego rozsądku, wskazując, iż moralność świecka nie wystarcza, aby utrzymać w karbach powinności słabą naturę ludzką, słabszą jeszcze naturę kobiecą, której rusztowanie katechizmowe jest konieczniejszem jeszcze, aby przejść bez szwanku przez życie.

Ze wszech miar polecić można niniejszą książkę osobom dźwigającym obowiązki i odpowiedzialności „wychowania naszych córek". Znajdą tu prawdziwą kopalnię rozrzuconych może, lecz praktycznych wskazówek, i złote ziarna zdrowych poglądów na umiejętne pielęgnowanie tych delikatnych pod względem fizycznym i moralnym zarazem roślinek, od których przecież zależy w tak szerokim zakresie przyszłość ludzkości i świata.

M.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Rząd a biskupi francuscy. — List Papieża do francuskich kardynałów. — Bluźnierstwa w *N. Freie Presse.* — Bawarscy starokatolicy. — Pomnik dla kardynała Manninga. — Prześladowanie w Ugandzie i Indyanie.

RZĄD A BISKUPI FRANCUSCY. Akcya, wywołana encykliką papieską z dnia 16 lutego do katolików francuskich, coraz to inne, raz pocieszające, to znów groźne, niepokojące, przechodzi fazy, ale ostatecznie wciąż naprzód się posuwa; zwolna, z niezmiernemi trudnościami, lecz przecież, dzięki głównie samejże niezłomnej, niczem niezrażającej się sile woli swego inicyatora, wszystkie, tak wielkie, tak liczne przeszkody z drogi usuwa, i zmierza do pożądanego, jasno z góry określonego celu. A przeszkody na tej drodze prawdziwie olbrzymie: stawiane z równą zaciętością czy lekkomyślnością przez rząd rzeczypospolitej, jak i przez legitymistycznych jej wrogów; przez tych, którzy boją się, aby nowy kierunek, aby lojalne podanie ręki rzeczypospolitej, nie przyniosło Kościołowi korzyści; jak i przez tych, którzy się lękają, aby mu na szkodę nie wyszło. Jak jedni, tak drudzy, usiłowali w pismach swych, dziennikach, przemowach, skonfiskować przestrogi udzielone w encyklice na wyłączną swą korzyść, i w ten sposób, gasząc niby ogień, coraz bardziej go rozdmuchiwali. Wobec takiego stanu rzeczy, wielu biskupów

francuskich uważało za stosowne wystąpić z listami pasterskiemi, tłumaczącemi encyklikę. Wszyscy oczywiście bez wyjątku skłaniają przed nią głowę, wszyscy zalecają najściślej do niej się zastosować; ale znowu podkreślając z szczególną siłą ten lub inny ustęp, który bardziej na sercu im leżał, tem samem nie zawsze i nie wszyscy oddają zupełnie dokładnie główną przewodnią myśl papieskiego pisma; a w każdym razie otwierają drogę nowym potokom wzajemnych żalów, gróźb z jednej, skarg i wyrzekań z drugiej strony.

Wogóle biskupi podnoszą z naciskiem w swych listach, że Papież żąda tylko zewnętrznego poddania się i posłuszeństwa istniejącemu rządowi, o ile uznania tego i posłuszeństwa domaga się dobro wspólne; żąda, aby katolicy, nie zapuszczając się w roztrząsanie bezpłodnych teoryj o wyższości pewnych form rządu i politycznych systemów, skierowali zgodnie swe usiłowania do praktycznych celów, do wywalczenia — mniejsza o to, pod jaką formą rządu — praw duchem chrześcijańskim natchnionych; wolności dla Kościoła, dla sumienia. „Niechaj zatem katolicy — czytamy w zbiorowym liście arcybiskupa z Awinionu i czterech jego sufraganów — kupią się do urn; niech w wypełnianiu obywatelskich swych obowiązków poddają się kierunkowi i radom komitetów utworzonych w celu obrony politycznych naszych i religijnych interesów; niechaj w razie potrzeby komitety takie zakładają! Obrona szkół chrześcijańskich, walka z obowiązującemi dziś prawami o rozwodach: oto w tej chwili pierwsze i najważniejsze punkty naszego programu!“ Arcybiskup z Aix, ks. Gouthe-Soulard, powtarza w swym liście pasterskim całe ustępy z powyższego pisma i zachęca zwłaszcza do formowania wyborczych komitetów; ostrzega, że wybory są rzeczą sumienia, a przez zły, nieodpowiedni wybór, ciężko można wykroczyć i przeciw Bogu i przeciw ludziom. Podobnież wyraża się wielu innych biskupów; najostrzej wszakże i najbezwzględniej wystąpił biskup z Nancy, mgr. Turinaz:

„Łańcuchy, w których Kościół francuski jęczy od lat dwunastu, stają się z dnia na dzień nieznośniejsze. Jedno po drugiem z najistotniejszych praw i wolności katolików podlega zniszcze-

niu: — tak wytyczona droga do zniszczenia chrześcijańskiej Francyi!... Minister sprawiedliwości nakazuje nam w swym okólniku, abyśmy się nie zajmowali kwestyą socyalną. Najważniejsza to dziś kwestya ze wszystkich na świecie całym się toczących — a nam, wbrew encyklice, wbrew tylokrotnym i tak silnym upomnieniom papieskim, nie ma być wolno mówić pracodawcom i robotnikom o wzajemnych ich prawach i obowiązkach! Ponieważ kradzież praktykuje się na wielką skalę i wedle ustanowionej normy, — przeto nam nie wolno jej potępić... Pytam się, czy kiedy, od dziewiętnastu wieków, duchowieństwo jakiegobądź katolickiego kraju znosić musiało równie obrzydłą, obłudną, nierozumną a bezczeszczącą tyranię?.. Kler francuski nie podda karku pod jarzmo. Walka się toczy o życie lub o śmierć: w tym względzie nie może być dzisiaj wątpliwości"...

Na pismo to — nie wchodzimy tu w pytanie, czy równie roztropne, jak śmiałe — odpowiedział minister sprawiedliwości i wyznań, Ricard, zawieszeniem biskupiej pensyi. Takiż sam wyrok wydał trybunał państwowy przeciw wszystkim biskupom Awinońskiej prowincyi kościelnej; przeciw arcybiskupowi z Aix rząd wytoczył proces, który niechybnie doprowadzić musi do identycznego rezultatu. Czy wobec wszystkich tych prądów i zdarzeń, Papież trwać będzie dalej przy swym programie; czy będzie miał energię i cierpliwość wiązać nanowo na wszystkie strony rwiące się nici? Ledwie zdążono pytanie to sobie postawić, a już nadeszła na nie odpowiedź w liście Papieża, wysłanym pod datą 3 maja do sześciu francuskich kardynałów. Papież nietylko trudnościami się nie zraża, nietylko nie cofa się z raz obranej drogi, lecz owszem, jaśniej jeszcze ją określa, dobitniej zaleca na nią wstąpić. Po paru słowach wstępu, przechodzi Ojciec św. odrazu do zaczepek i napaści, które spotkały encyklikę: „Wśród trosk":

LIST PAPIEŻA DO FRANCUSKICH KARDYNAŁÓW

Zaczepki te przewidzieliśmy. Wszędzie, gdzie agitacya stronnictw politycznych porusza głęboko umysły, jak to się obecnie dzieje we Francyi, trudną jest rzeczą, aby wszyscy zaraz oddali prawdzie tę zupełną sprawiedliwość, która jednakże jest jej prawem. Czyż atoli dlatego mieliśmy milczeć? Jakto!

Francya cierpi i My nie mieliśmy odczuć do głębi duszy boleści tej starszej córy Kościoła?...

Stwierdzaliśmy to coraz lepiej z dniem każdym, że w dążeniu do tych rezultatów działanie mężów rozumnych musiało być skrępowane przez rozdrobnienie ich sił. Ztąd pochodzi to, co powiedzieliśmy i co powtarzamy wszystkim: „Niechaj nie będzie już więcej stronnictw między Wami, przeciwnie, niech panuje zgoda zupełna, aby wspólnie podtrzymywać to, co przewyższa wszelką korzyść ziemską: religię, sprawę Jezusa Chrystusa. W tym względzie, jak we wszystkiem: szukajcie najprzód królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a reszta wam będzie przydaną".

Ta myśl przewodnia, która panuje w całej Naszej Encyklice, nie uszła uwagi nieprzyjaciół religii katolickiej. Moglibyśmy powiedzieć, że byli oni najbystrzejszymi w pochwyceniu jej znaczenia i obliczeniu jej doniosłości praktycznej. To też od czasu rzeczonej Encykliki, tej prawdziwej posłanniczki pokoju dla każdego człowieka dobrej woli, czy się bierze na uwagę jej treść, czy formę, mężowie stronnictwa podwoili bezbożną zaciekłość. Różne fakta pożałowania godne, które się dokonały w ostatnim czasie, które zasmuciły katolików, a nawet, wiemy o tem, pewną liczbę mężów nie podejrzanych o stronniczość dla Kościoła, udowodnić to mogą. Poznano jasno, dokąd chcą zmierzać organizatorowie tego wielkiego spisku, jak go nazwaliśmy w Naszej Encyklice, utworzonego na to, aby we Francyi zniszczyć chrześcijaństwo.

Ci ludzie tedy, aby dojść do swych celów, chwytając się najmniejszych pozorów i umiejąc wedle potrzeby je wywoływać, skorzystali z pewnych wypadków, któreby w innym czasie byli uważali za nieszkodliwe, aby dać wolny bieg swoim oskarżeniom, okazując przez to silne postanowienie poświęcenia swym namiętnościom interesu ogólnego narodu w tem, co tenże ma najgodniejszego szacunku.

Wobec tych dążności, wobec złego, które z nich wynika, ku wielkiej szkodzie Kościoła we Francyi, i które powiększa się z dniem każdym, milczenie Nasze byłoby Nas uczyniło winnymi wobec Boga i wobec ludzi... Ale usiłowania wszelkie stałyby się zupełnie bezpłodnemi, gdyby siłom konserwatywnym zabrakło jedności i zgody w dążeniu do ostatecznego celu, tj. do zachowania religii, ponieważ do tego zmierzać powinien wszelki człowiek uczciwy, wszelki szczery przyjaciel społeczeństwa: Encyklika Nasza wykazała to dostatecznie. Skoro atoli określono wyraźnie cel i przyjęto potrzebę jedności, by go osiągnąć, jakież są środki, któreby zapewniły tę jedność?

Wytłumaczyliśmy to również i powtarzamy to chętnie, aby nikt się nie mylił co do Naszych wskazówek: jednym z tych środków jest przyjęcie bez ubocznych myśli, z tą zupełną uczciwością, jaka przystoi chrześcijaninowi, władzy świeckiej w formie, w której istnieje faktycznie. Tak przyjęto we Francyi pierwsze cesarstwo nazajutrz po straszliwej i krwawej anarchii; tak przyjęto inne władze, bądź monarchiczne, bądź republikańskie, które następowały po sobie aż do naszych czasów... Znaleźli się atoli ludzie, należący do rozmaitych stronnictw politycznych, a nawet szczerze katolickich, którzy nie zdali sobie ściśle sprawy ze słów Naszych. Były one wszakże tak proste i tak jasne, że nie mogły, jak się zdawało, dać powodu do fałszywego tłumaczenia. Należy zastanowić się nad tem, że jakkolwiek władza polityczna zawsze pochodzi od Boga, to nie wynika ztąd, aby przeznaczenie Boże wpływało zawsze i bezpośrednio na sposoby przekazywania tej władzy, lub na odpowiednie formy, które przybiera, i na osoby, które są jej piastunami. Sama różnorodność tych sposobów u różnych narodów pokazuje dostatecznie ludzkie znamię ich pochodzenia... W polityce więcej niż gdzieindziej, zachodzą niespodziane zmiany. Olbrzymie państwa upadają lub rozdzielają się, jak starożytne królestwa Wschodu, cesarstwo Rzymskie: dynastye wypierają dynastye, jak Karlowingowie i Kapetyngowie we Francyi; miejsce form politycznych przyjętych, zabierają inne formy, jak tego licznych przykładów dostarcza nasze stulecie. Owe zmiany są dalekiemi od tego, aby w swym zawiązku były zawsze uprawnionemi; trudno nawet, aby niemi były. Jednakże najwyższe kryteryum wspólnego dobra i spokoju publicznego, nakazuje przyjęcie tych rządów ustanowionych faktycznie, w miejsce rządów dawniejszych, które faktycznie już nie istnieją, i może się zdarzyć, że zostaną całkiem obalone. Jakkolwiek się dzieje z temi nadzwyczajnemi przeobrażeniami w życiu narodów, których uprawnienie sądzić, należy do Boga, a do człowieka spożytkowywać ich następstwa: to honor i sumienie wymagają w każdym stanie rzeczy szczerego poddania się ustanowionym rządom: potrzeba go w imię tego wyższego prawa, niezaprzeczonego, nienaruszalnego, które się nazywa prawem dobra społecznego. Cóżby się stało w samej rzeczy z honorem i sumieniem, gdyby wolno było obywatelowi poświęcać dla swych celów osobistych i swych zamiłowań stronniczych dobrodziejstwa spokoju publicznego?

Stwierdziwszy w Naszej Encyklice tę prawdę dobitnie, zaznaczyliśmy różnicę między władzą polityczną a ustawodawstwem, i wykazaliśmy, że przyjęcie jednej nie pociąga za sobą bynajmniej przyję-

cia drugiego w punktach, w którychby ustawodawca, nie pomny na swe posłannictwo, stanął w przeciwieństwie do prawa Boga i Kościoła. I niechaj to wszyscy zapamiętają dobrze: rozwijać czynność i używać swego wpływu, aby naprowadzić rządy do zmiany na dobre ustaw niesprawiedliwych lub pozbawionych mądrości, jestto dawać dowód poświęcenia dla ojczyzny, równie rozsądny jak odważny, bez cienia nieprzychylności dla władz rządzących sprawami publicznemi. Któżby ośmielił się nazywać chrześcijan pierwszych wieków przeciwnikami państwa Rzymskiego dlatego, że nie uchylali czoła przed jego pogańskiemi przepisami, lecz starali się osiągnąć zniesienie tychże?

Na polu religijnem, pojmowanem w ten sposób, różne polityczne stronnictwa konserwatywne mogą i powinny się zgadzać. Ale ludziom, którzyby wszystko poświęcali dla chwilowego tryumfu swego własnego stronnictwa — choćby pod pozorem, że im się to wydaje najodpowiedniejszem dla obrony religii — możnaby łatwo dowieść, że faktycznie, wskutek zgubnego przewrotu pojęć, przekładają politykę, która rozdwaja, nad religię, która łączy. A byłoby to ich winą, gdyby nasi wrogowie, korzystając z rozdwojenia ich, jak to czynili aż nadto często, ostatecznie ich wszystkich pokonali.

Twierdzono, że głosząc te zasady, postępujemy wobec Francyi inaczej, aniżeli wobec Włoch, tak, że znajdujemy się w sprzeczności sami z sobą.

A jednak tak bynajmniej nie jest. Mówiąc katolikom francuskim, aby przyjęli rząd ustanowiony, Naszym celem nie było i nie jest nic innego, jak zabezpieczenie interesów religijnych, które Nam są powierzone. Właśnie te interesa religijne nakładają na Nas we Włoszech obowiązek upominania się bez wytchnienia o zupełną wolność, jakiej wymaga Nasz podniosły urząd Głowy widzialnej Kościoła katolickiego, nadany ku rządzeniu duszami; wolność, która nie istnieje tam, gdzie Namiestnik Chrystusowy nie jest u siebie prawdziwym władcą, niezawisłym od wszelkiej ludzkiej władzy. Cóż ztąd wnioskować, jeśli nie to, że kwestya, która Nas dotyczy we Włoszech, także jest nawskróś religijną, o ile się ona łączy z fundamentalną zasadą wolności Kościoła? W Naszem postępowaniu też wobec różnych narodów, nie przestajemy zwracać wszystkiego do tego samego celu: religii, a przez religię do zbawienia społeczeństwa i szczęścia narodów...

Parę dzienników paryskich nazwało list do kardynałów ważniejszym jeszcze aktem od samejże encykliki, ponieważ wyra-

żniej jeszcze i bardziej stanowczo przecina drogę wszelkim wymówkom czy wykrętom. Ważniejszy, lub nie ważniejszy — mniejsza o nazwę; w każdym razie, choć encyklika sama z siebie komentarza nie potrzebowała, to po tym autentycznym komentarzu narażałby się poprostu na śmiech, ktoby ją usiłował nagiąć do, dajmy na to, najszacowniejszych swych nawet, do najdroższych przekonań i upodobań.

BLUŹNIERSTWA W „NEUE FREIE PRESSE".

Zbyt dobrze znana z właściwego swego usposobienia dla chrześcijańskiej religii i Kościoła wiedeńska *Neue Freie Presse* przepełniła w ostatnich tygodniach miarę bezczelności, drukując niecne bluźnierstwa na ukrzyżowanego Zbawiciela. Bluźnierstwa te, umieszczone w romansie Adolfa Wilbrandta, wywołały oburzenie u tych nawet, którzy dla sztuki, dla poezyi, zwykli mieć pobłażliwość bez granic; zewsząd odezwały się głosy: „Gdzież prokuratorya, przeciw czemu i kiedyż wystąpi, kiedy takie bezeceństwa płazem puszcza?" W parlamencie wniósł Zallinger i towarzysze następną interpelacyę do ministra sprawiedliwości:

Zwracając uwagę W. Ekscelencyi na ohydne bluźnierstwa, zawarte we wczorajszej *N. Freie Presse* p. t. „Hermann Ifinger", zanosimy z całą możliwą siłą i stanowczością przeciw tym bluźnierstwom, przeciw niesłychanej obrazie katolickiego ludu, uroczysty protest, i domagamy się od władzy publicznej zupełnego zadośćuczynienia. Pytamy W. Ekscelencyi: 1) Co W. Ekscelencya uczynić zamierza w celu ukarania bluźnierczej tej zbrodni, popełnionej przeciw Odkupicielowi świata? 2) Jakich środków zamierza W. E. użyć, aby zapobiedz na przyszłość tego rodzaju wypadkom, obrażającym najświętsze uczucia katolickiej ludności?

Minister Schoenborn nie zwlekał z odpowiedzią: wyraził żal, że właściwe organa przeoczyły bluźnierczy artykuł przed wyjściem dziennika i nie zarządziły jego konfiskaty; a zarazem oznajmił, że prokuratorya poczyniła już odpowiednie kroki, aby popełniony występek nie uszedł właściwej, w kodeksie przewidzianej kary. Arcybiskup wiedeński, Gruscha, wystąpił ze swej strony przeciw temu zgorszeniu w porywającej mowie, wygło-

szonej w tumie św. Szczepana. Ciekawa rzecz, jak sobie w tej sprawie sądy postąpią; w jaki sposób i w jakiej mierze dzisiejszy austryacki kodeks dozwoli im ukarać „obrazę Majestatu, wobec której — jak wyraził się arcybiskup Gruscha — blednie, niknie wszelka możliwa obraza ziemskiego majestatu". A jeżeli kodeks nie zawiera odpowiednich paragrafów — pytają słusznie i rozumnie chrześcijańskie dzienniki — czy korzystając z tej sposobności, pomyślećby nie należało, aby tak rażący brak uzupełnić?

BAWARSCY STAROKATOLICY.

W sejmie bawarskim odegrała się w pierwszych dniach maja bardzo zabawna i charakterystyczna, „starokatolicka" komedyjka. Roku zeszłego ministeryum, przerywając zbyt długo niestety! prowadzoną, a w następstwach swych zbyt smutną farsę, uznało urzędowo „starokatolików" za wykluczonych z katolickiego Kościoła, a pseudo-biskupowi Reinkensowi zakazało używać biskupich, katolickich oznak. Starokatolicy zwrócili się ze skargą przeciw tej decyzyi do sejmu i znaleźli tutaj adwokata w osobie posła Hemmerleina, który stając na stanowisku „wolności sumienia", skruszył kopię za biednymi starokatolikami, pragnącymi przebierać się i nadal w sutanny katolickich proboszczów i w biskupie fiolety. Przeciw Hemmerleinowi powstali nietylko katolicy, lecz własny nawet jego stronnik i przyjaciel: Juljusz Mueller, i to równie z prawnych, jak z moralnych powodów. Z odpowiedzi ministra wyznań dowiedział się też świat właściwej cyfry zwolenników starokatolickiej sekty w Bawaryi: liczy ona 3625 członków, z tych 2400 zamieszkuje w Monachium. Przy głosowaniu, wniosek Hemmerleina odrzucono wszystkiemi głosami przeciw dwom.

POMNIK DLA KARDYNAŁA MANNINGA.

W Londynie odbył się, pod przewodnictwem księcia Norfolk'skiego, wielki *meeting*, mający na celu uradzić, jakiego rodzaju pomnikiem uczcićby należało i w najdalsze pokolenia przechować pamięć kardynała Manninga. Następca Manninga na Westminsterskiej stolicy, arcybiskup Herbert Vaughan, wniósł projekt wystawienia olbrzymiego przytułku

dla ubogich londyńskich, bez różnicy narodowości i wyznania. „Gdybyśmy spytać mogli czcigodnego kardynała, wołał mowca, jakiej pamiątki od nas sobie życzy; gdyby z grobu teraz powstał i przemówił, to bez wątpienia z ust jego posłyszelibyśmy słowa: ‚Chcecie mi pamiątkę złożyć, złóżcie ją ubogim'. Zgromadzeni przyjęli z entuzyazmem uczynioną sobie propozycyę; z entuzyazmem przyjęli ją równie katolicy, jak protestanci; z zapałem przyjęła ją i poparła prasa wszelkich barw i odcieni. „Kardynał Manning, pisał *Daily Chronicle* zdając sprawę z *meetingu,* ma prawo do pamięci ludzkiej i pozostanie w niej, bo był przyjacielem ubogich; nie wątpimy też na chwilę, że przytułek, mający uwiecznić jego pamięć, godnym będzie imienia wielkiego Manninga".

PRZEŚLADOWANIE W UGANDZIE I INDYANIE.

Z środkowej Afryki, ze stosunkowo bardzo ucywilizowanej Ugandy, dochodzą nad wyraz smutne, dla europejskich wpływów i kultury upokarzające wieści. Uganda weszła, wskutek zawartej w ostatnich czasach umowy między rządem Angielskim a Niemieckim, w sferę wpływu angielskiego. Zaledwie odnośny traktat został podpisany, a już osiedli tu i świeżo masami napływający Anglicy przemyśliwać poczęli, jak wszelką władzę zagarnąć w swe ręce; już nadciągający gromadnie, w funty szterlingów bogato zaopatrzeni, anglikańscy misyonarze, wyruszyli do walki nie przeciw Mahometanom, nie przeciw kilku milionom pogan, ale głównie i na pierwszem miejscu przeciw „Białym Ojcom" i nawróconym przez nich katolikom. Król Mwanga, dawny zacięty wróg i prześladowca katolików, poznawszy w chwili niebezpieczeństwa ich wierność, na nich głównie się oparł i sympatyj im swych nie taił; dlatego Anglicy i Mahometanie postanowili Mwangę bądźcobądź usunąć, podjudzili przeciw niemu protestanckich Ugandczyków i doprowadzili swemi intrygami do krwawych zamieszek, do formalnej wojny domowej. Połączone siły angielskie i mahometańskie spaliły i złupiły katolicką misyę, Mwangę zmusiły do szukania ratunku w ucieczce, a misyonarzów wzięły w niewolę. Ostatnie, jakkolwiek dokładne i autentyczne wiadomości

o dalszym przebiegu bolesnej tej sprawy, umieścił *Temps* w depeszy wysłanej z Zanzybaru p. d. 30 kwietnia:

„Sześciu misyonarzów francuskich, uwięzionych w angielskim forcie *Kampala,* zostającym pod komendą kapitana Lugarda, dotąd żyje; O. Moullec bardzo jest chory. Nie wiedzą, kiedy zostaną wypuszczeni na wolność; kapitan Lugard grozi odesłaniem ich do Bukombi, lub Mombassa. Dwie zakonnice znajdują się w niewoli, wespół z bardzo wielu Bagandami katolikami, traktowani narówni z niewolnikami przez Bagandów protestantów. Malinya, siostra Mwangi, trzymana w więzieniu. Misya ‚Ojców Białych': Rubaga, zniszczona i spalona. Kapitan Wiliam strzelać kazał z armat do zgromadzonych katolików, kobiet i dzieci, wśród których znajdowali się też misyonarze francuscy. Żaden misyonarz nie trafiony. Mwanga usunął się do Bodu; zastępuje go Mbogo, naczelnik Bagandów muzułmanów".

Depesza z innego krańca świata: z Elkhart w amerykańskim stanie Indyana, donosi również o niekrwawem wprawdzie, ale niemniej strasznem i dającem do myślenia prześladowaniu katolików przez protestantów. Szeroko rozgałęziony już tajny związek: „Synowie Ameryki" *(Sons of America)* ma, jak się zdaje, za główne zadanie walkę na noże z katolicyzmem i katolikami; członkowie jego muszą się zobowiązywać pod przysięgą, że nigdy nie będą dawać u siebie zatrudnienia katolikom, wyjąwszy chyba absolutnej niemożebności znalezienia innych robotników. Skutek tej przysięgi uczuć się już dał dotkliwie katolikom zatrudnionym przy kolejach żelaznych, zwłaszcza w Cleveland i Toledo; wielu znajduje się dziś bez chleba, o wiele więcej drży, nie bez racyi, o najbliższe jutro. Tak protestanci z afrykańskiej Ugandy i amerykańskiej Indyany podali sobie ręce; czemuż niestety! podają je sobie — choćby przez morza — z tak budującą zgodą wtedy tylko, gdy idzie o walkę z Kościołem katolickim?

Ks. Jan Badeni.

Walny zjazd Towarzystwa Goerresowego.

Już kilkakrotnie zdawałem tutaj sprawę ze zjazdów Towarzystwa Goerresowego. Ponieważ udało mi się brać udział w ostatniem walnem Towarzystwa tegoż zebraniu, XV-tem z rzędu, pragnę w krótkości podać obraz działania rzeczonego Towarzystwa, które w katolickim ruchu społeczeństwa niemieckiego niepoślednie zajmuje miejsce. Co rozsądna, skrzętna i konsekwentna, zwłaszcza duchem wiary natchniona praca w krótkim czasie zdołała uskutecznić, tego żywy mamy przykład na rzeczonym związku. Ze skromnych początków, w ciągu lat szesnastu Towarzystwo Goerresowe tak się rozwinęło, że nietylko wydaje bardzo znaczne, w świecie naukowym najlepszej sławy używające publikacye, ale swemi wyłącznie siłami utworzyło Instytut historyczny w Rzymie, w którym całe grono młodych uczonych oddaje się badaniom źródłowym, głównie w Archiwum Watykańskiem, rozciągając wszakże swe prace i na inne, dostępne dla badań naukowych zbiory. Rzecz prosta, że badania te dotyczą głównie historyi kościelnej Niemiec, ale pominąwszy już, że nauka katolicka jest polem zarówno dla wszystkich wierzących otworem stojącem, to każde badanie historyczne, chociażby i najbardziej specyalne, z ogólno-dziejowym biegiem wypadków w jakimś pozostaje związku i zawsze jakieś zajęcie wzbudzić może.

Jak każde inne towarzystwo, głównie naukową cechę mające, nabiera powoli pewnego kosmopolitycznego charakteru, tak i Towarzystwo Goerresowe, aczkolwiek specyalnie niemieckie i w przeważnej bardzo większości z niemieckich złożone członków, coraz więcej czucia z nauką katolicką innych krajów zyskuje i coraz więcej zagranicznych uczonych do rzędu swych członków liczy, których głównie na walnych zjazdach przyjmuje, a należy przyznać, że przyjmuje z wielką i niekłamaną gościnnością i serdecznością. I tak na przedostatnim zjeździe znajdowała się cała garstka francuskich, szwajcarskich, belgijskich i polskich uczonych. Walne zjazdy odbywają się kolejno w najrozmaitszych miastach Niemiec, co nietylko ułatwia przybywanie coraz to innym członkom, ale same posiedzenia urozmaica, czyniąc je bardzo zajmującemi przez rozmaite pomniki historyi i sztuki, do których zwiedzania daje sposobność.

Tym razem Towarzystwo zebrało się w Hildesheim, jednej z najstarszych siedzib kultury i historyi Niemiec. Zjechało się koło 300 członków z najrozmaitszych stron, sam kwiat katolickiej nauki w Niem-

czech, lub koryfeusze stronnictwa. Wymieniam między innymi barona Heeremann, prezesa Centrum berlińskiego po śmierci nieodżałowanego Windthorsta, członkowie Centrum: hr. Apeburg, Bachem, Cardacens, redaktor *Kölnische Volkszeitung*, najważniejszego po *Germanii* organu katolickiego w Niemczech. Profesorowie: Hülskamp z Monasteru, baron Hertling i Grauert z Monachium, Kurth, słynny profesor uniwersytetu w Liège, Schütz z Trewiru, Bruder i Pastor z Insbruku, profesorowie: v. Savigny, Schnürer i Resing z Fryburga, Plapmann, niepośledniej sławy astronom; słowem, świecka i duchowna katolicka Germania najdzielniejszych wysłała reprezentantów. Po wieczorze przywitalnym, którym się zwykle tego rodzaju zgromadzenia rozpoczynają, by się członkowie, przybyli często z dalekich stron, mogli ze sobą zapoznać i porozumieć, było nazajutrz nabożeństwo pontyfikalne, przez miejscowego celebrowane Biskupa, poczem nastąpiło powitanie, ustalono porządek obrad i rozdzielono materye na sekcye.

W pięknej powitalnej mowie Biskup wspomniał o zasługach Goerresa i porównał jego wpływ owoczesny z działalnością niedawno zgasłego Windthorsta, stawiając ich słusznie zebranym jako wzory najdzielniejszych naszego wieku szermierzy katolickich, poczem udzielił obecnym pasterskiego błogosławieństwa.

Nastąpił, jak się zazwyczaj dzieje, odczyt, mający związek z miejscem zebrania, a mianowicie rzut oka na historyę starodawnej biskupiej stolicy Hildesheimskiej, jednej z najstarszych, bo początku VIII. wieku sięgającej. Że też to Niemcy swoich uczonych, gruntownych, a tak interesujących dowodów nie umieją w powabniejszą przyoblec formę! Odczyt, poparty najsumienniejszą krytyką, wielce jako uczone badanie był zajmującym, ale ileż trzeba było dobrej woli, by go do końca wysłuchać — a coby z tak wyjątkowo pięknego tematu dało się wysnuć! Pierwszy bowiem zawiązek biskupstwa miał miejsce w nieco opodal położonej osadzie Elze; dopiero kiedy w podróży jakiegoś opata, relikwiarz podróżny w cudowny na krzaku różanym zawisł sposób, na tem miejscu odprawiono Mszę św. i postanowiono tamże stolicę biskupią ostatecznie założyć. Relikwiarz, którego litery i robota wyraźnie na VIII. lub IX. wiek wskazują, i krzak różany do dziśdnia istnieją. Korzenie tego ostatniego znajdują się pod fundamentami ołtarza krypty, pędy zaś swoje wypuszcza przez otwór pozostawiony w tym celu w zewnętrznym murze. Ponieważ zaś ten mur koło r. 1100 powstał, budowa zaś krypty o 200 lat jest starszą, słusznie się stolica biskupia tem tysiącletniem drzewem różanem szczyci, które co kilkanaście lat

nowe puszcza pędy i swem liściem i kwieciem całą absydę katedry pokrywa. W tym dziedzińcu obszernym, utworzonym przez absydę, i wspaniały krużganek romański, jeden z najpiękniejszych jakie istnieją, między grobowcami opatów i biskupów, można marzyć o minionych czasach i wielkościach, i walkach religijnych, politycznych i wojennych i o dawnej potędze Kościoła i wiary, które się przecie tak pięknie z tym tak żywo rozbudzonym obecnie ruchem katolickim w Niemczech wiążą. Przedmiotu do rozmyślania nie brak; choćby tylko ta postać św. Bernwarda, któremu stolica biskupia, miasto i cała okolica późniejszą swą świetność zawdzięcza. Bernward, z rycerskiego, jak się zdaje, pochodzenia, w bardzo młodych latach przywdziawszy sukienkę duchowną, wkrótce nauką, pobożnością, a zwłaszcza dzielnością charakteru tak się wyróżnił, że za wpływem Theophany, żony Ottona II., przeznaczonym został za mentora dla jej syna, cesarza Ottona III. Stosunek ten z dworem cesarskim da się wytłumaczyć łatwo przez bliskie sąsiedztwo Hildesheimu z uroczym Goslarem, gdzie cesarze z domu Saskiego lubili przesiadywać.

Z wielkich postaci średniowiecznych mnichów, opatów i biskupów, Bernward należy do jednej z najciekawszych. Jak to zwykle bywa u ludzi wyższych, gdy trafią na pole swego działania, a siłą woli i charakteru przeszkody usunąć potrafią, wszystko mu rosło w rękach, układało, rozwijało się jak najpomyślniej. Przedewszystkiem pobożny i święty, odrazu ład i karność zaprowadza, szkoły zakłada i rozwija, praw i zakresu swej dyecezyi dzielnie broni, naukę niepospolicie krzewi. Z tem wszystkiem łączy nadzwyczajną artystyczną naturę, która nietylko w teoryi, ale w praktyce najpiękniejsze kwiaty sztuki wydaje. Jakim sposobem nauczył się bardzo zamłodu sztuki obrabiania kruszców, odlewu, rzeźbiarstwa, cyzelowania, rolnictwa, i kiedy miał czas tak dalece się w nich wydoskonalić, tego nasza kronika nie opowiada; tyle tylko pewna, że pozostałe po nim dzieła sztuki, jak ogromnych rozmiarów świecznik i odrzwia bronzowe w katedrze, t. zw. kolumna Bernwarda, na wzór kolumny trojańskiej, wyobrażająca mękę Chrystusa Pana, prześliczne lichtarze i krzyż św. Bernwarda, należą do najcenniejszych zabytków romańskiej sztuki, i bądź jego samego, bądź jego uczniów i czeladników są dziełem. Krzyż mianowicie duży, szczerozłoty, bogato drogiemi kamieniami wysadzany, jest jednym z najlepszych wzorów bizantyńskiej sztuki, co się da łatwo wytłumaczyć, bo Theophana, opiekunka Bernwarda, a matka cesarza Ottona III., była księżniczką bizantyńską. Ciągłe i tak różnorodne zajęcia w obrębie dyecezyi, fundowanie wspa-

niałej bazyliki św. Michała, której sufit należy do najstarszych pomników malarstwa bizantyńskiego, nie przeszkadzały mu praw swej dyecezyi na zewnątrz zacięcie i z całą stałością bronić. Kroniki opowiadają o ustawicznych zapasach i ciągłych, czasami zbrojnych, walkach, w których ani na krok od praw swoich odstępować nie chciał. Najwięcej mu w tych opałach, które na epopeję wyglądają, dokuczyły... zakonnice. W pobliskim Gandersheim, nad rzeczką Ganderą, leżał klasztor żeński. Otóż klasztor ten, na samej granicy dyecezyi Hildesheimskiej a Mogunckiego arcybiskupstwa położony, był kością niezgody między dwiema dyecezyami. Bernward, opierając się na fundacyi z ramienia biskupstwa Hildesheimskiego, nie myślał ustąpić nad rzeczonym klasztorem juryzdykcyi, ale dumne mniszki (tak je stare kroniki nazywają) nie chcąc ulegać innej jak arcybiskupiej zwierzchności, z kobiecą zaciętością swych rzekomych praw broniły, ciągle do nowych swarów zagrzewając. Pokutowała później ta sprawa przez długie lata na rozmaitych Reichstagach niemieckich.

Znakomitymi następcami Bernwarda na stolicy biskupiej byli: św. Godehard, Bernhard i Hezilo. Pierwszy fundował kościół św. Godeharda. Jestto jeden z najpiękniejszych na świecie kościołów romańskich, odznaczający się nadzwyczajną (ze względu na ten styl) wysokością, a głównie tem, że najmniejszej niema przymieszki innego stylu. Leżący w odosobnieniu na wyniosłości, wpośród pięknej i gładkiej murawy, zewsząd widzialny, kościół św. Godeharda ze swemi trzema absydami, robi swą wielkością, prostotą i harmonią swych linij, bardzo niezwykłe architektoniczne wrażenie, tak, że się trudno od niego oderwać, a co do mnie, w chwili odjazdu z Hildesheimu jeszcze raz pobiegłem w tę stronę, by najżywszy obraz tej chwały Bożej zapomocą ludzkiej sztuki wywieźć z tego uroczego miejsca...

Przechodzimy do właściwych obrad. Sekcya filozoficzna wykazała dalszy ciąg i rozwój Rocznika filozoficznego, który ma byt zapewniony, bo mniej więcej w 400 egzemplarzach się rozchodzi. Zakończyły się obrady tej sekcyi odczytami profesora Kirschkampa z Bonn: o pierwotnych czyli podstawowych odruchach naszej duszy, przyczem wykazał, że wszystkie szkoły filozoficzne, w pojęciu miłości do definicyi św. Tomasza powrócić musiały. Słynny Jezuita Tilman Pesch miał następnie odczyt o znaczeniu nauk przyrodniczych dla czasów obecnych; wreszcie profesor Plapmann wyłożył swą teoryę o gwiazdach zmiennych.

W imieniu sekcyi prawno-państwowej, profesor Bruder z Insbruku zdawał sprawę z dalszego postępu wydawnictwa Słownika nauk

prawnych i państwowych. Sprawozdanie to wykazało, jak i przeszłą razą, ujemne strony w wydawnictwie, z powodu braku współpracowników, a mianowicie niesłowności w dostarczaniu na czas artykułów. Po dłuższej dyskusyi, uchwalono wszelkiemi siłami przyspieszyć wydawnictwo.

Następnie profesor Kurth z Liège zdawał sprawę z czynności również naukowego Towarzystwa katolickiego, a mianowicie: *Société bibliographique* w Paryżu. Jak wspominałem na wstępie, każde towarzystwo naukowe w miarę swego rozwoju nabiera powoli charakteru kosmopolitycznego. Ponieważ Towarzystwo Goerresa było wysłało swych delegatów na międzynarodowy kongres naukowy w r. z. w Paryżu odbyty, stanęła wtedy umowa pomiędzy francuskiem a niemieckiem Towarzystwem, by sobie nawzajem regularne sprawozdania o swej działalności udzielać, i właśnie z tego zadania p. Kurth w imieniu *Société bibliographique* występował.

Towarzystwo rzeczone, w r. 1868 w Paryżu zawiązane, mieści w sobie najlepszej sławy katolickich uczonych Francyi, jak Markiz de Beaucourt, A. de Barthélemy, Melchior de Voguë, Leon Gautier i t. d. Początkowo liczące 100 członków, wzrosło powoli do 8000, a mniej więcej, wziąwszy w rachubę ubytek przez śmierć, na poziomie 5000 się utrzymuje. Charakter jego nieco jest odmienny od Towarzystwa Goerresowego, pod tym względem, że obok działań czysto naukowych, zajmuje się popularyzowaniem kwestyj katolicko-naukowych, by takowe o ile możności czynić dostępnemi w niższych i najniższych warstwach społeczeństwa francuskiego, o wiele więcej od innych narodów nowem pogaństwem zarażonego.

Publikacye tego Towarzystwa nie są rozdzielone osobno stosownie do materyi, ale wydaje ono miesięcznie główny swój organ pod tytułem: *Polybiblion, revue bibliographique universelle,* zawierający w *Partie technique* prosty spis najważniejszych publikacyj katolicko-naukowych w kraju i zagranicą, a w *Partie littéraire*, krytykę i sprawozdania, wiadomości o postępach i najnowszem stanowisku rozmaitych gałęzi nauki, wreszcie najważniejsze w świecie naukowym wypadki.

Świetny ten program tylko po części jest urzeczywistniony, wskutek braku sił do podołania tak wielkiemu zadaniu, szczególnie zaś wskutek braku spójności i czucia między rozmaitemi towarzystwami innych krajów, który to brak, mimo dzisiejszej łatwości komunikacyi, jeszcze dotkliwie czuć się daje. Obok tego paryskie Towarzystwo bierze udział w rozmaitych innych wydawnictwach, już to czysto nauko-

wych, bądź popularne mających cele, które pod jego egidą wychodzą. Wogóle ze sprawozdania słynnego profesora wynieśliśmy wrażenie, że o ile Towarzystwo Goerresowe jest gruntowniejsze i pod względem naukowym o wiele cenniejsze wydaje prace, to *Société bibliographique* działaniem i wpływem swoim szersze obejmuje koła, a jak to już leży w charakterze francuskim, więcej praktycznego i zbawiennego wywiera wpływu, niż Towarzystwo Goerresa. Prawda, że w Niemczech wiece katolickie w szeroki i szczodrobliwy sposób zaspakajają wszelkie duchowe potrzeby w życiu i rozwoju społeczeństwa katolickiego.

Najważniejsze i najciekawsze pozostają zawsze rozprawy sekcyi historycznej, a z tych znowu najbardziej zasługują na uwagę sprawozdania z czynności Instytutu historycznego w Rzymie. Jak wszelkie archiwalne do jednego celu skierowane badania muszą się stać wkońcu drobiazgowemi, tak i obecne Instytutu historycznego prace nie uniknęły tego szkopułu, i potrzeba było pewnej cierpliwości i dobrej woli, by tych bardzo długich relacyj wysłuchać. Z tego rodzaju robót przygotowawczych dopiero późniejsi pracownicy korzystać zwykli, ale wiadomo każdemu historykowi, jak wielką dla przedstawienia całej epoki tego rodzaju prace są pomocą i ułatwieniem, i jak często drobny napozór szczegół w jakiej trudnej sprawie, zupełnie nowe rzuca światło i do zrozumienia i powiązania między sobą rozmaitych faktów dopomaga. Obok dokompletowania regestów papieskich i relacyj nuncyuszów, mianowicie co do nuncyatury kolońskiej[1] i praskiej, prace ostatnich lat odnosiły się głównie do wyświecenia olbrzymich działań papieży Awiniońskich, odnośnie do miłosierdzia publicznego. Już w zeszłorocznem sprawozdaniu w *Przeglądzie Powszechnym* umieszczonem, wskazywałem na ważność tych badań, i jak dalece wszelkie insynuacye i oskarżania protestanckich lub wrogo dla Kościoła usposobionych pisarzy, o marnowanie olbrzymich ze Świętopietrza płynących dochodów na gorszące dworu papieskiego zbytki, przez te najnowsze badania w niwecz obrócone zostały. Otóż dalsze w tym kierunku prace potwierdzają tylko i wyświetlają coraz bardziej tę sprawę, a każdego nieuprzedzonego w zdumienie poprostu musi wprawić ta bezustanna pieczołowitość, to nadzwyczajne rozgałęzienie działalności na wszystkie kraje i narody, by nędzę ludzką wspierać i osładzać, najrozmaitszym

[1] O ustanowieniu stałej nuncyatury w Kolonii umieściły ostatnie zeszyty Rocznika historycznego (t. XII. zeszyt 3 i 4) obszerną i bardzo ciekawą rozprawę.

potrzebom zadość czynić, materyalnie i moralnie ludzi wspierać, pocieszać i prowadzić. Zdumienie tem większe, że wiadomo, w jak niespokojnych się to działo czasach i jak wielkie burze polityczne papiestwo właśnie w tej epoce przechodzić musiało — a przecież ta sprawa dobroczynności publicznej wobec innych na papiestwie ciążących zadaniach i obowiązków bynajmniej na pierwszym planie stać nie mogła, a mimo to na cały niemal katolicki świat się rozciągała.

Badania archiwalne Instytutu historycznego w Rzymie obejmowały odnośnie do relacyj nuncyuszów głównie wiek XV. i XVI., i sam początek XVII. w., przyczem w bibliotece Chigi porobiono niespodziewane odkrycia. — Co do wieku XIV., przedstawiają dalszy ciąg wiadomości o jałmużnictwie *(eleemosina)* kuryi; najważniejsze zaś prace, kierowane przez mgr. Kirsch, profesora uniwersytetu Fryburskiego, mają za przedmiot powrót Stolicy św. z Awinionu do Rzymu (1367 i 1376). Wogóle badania Instytutu obejmują za ubiegły rok pontyfikaty Sykstusa IV. i Grzegorza II., Klemensa VI. i VII., Urbana V. i Innocentego VI.

Między publikacyami rocznemi Towarzystwa za rok 1890 i 91 najpocześniejsze zajmują miejsce: Plapmanna rozprawa astronomiczna o gwiazdach zmiennych, Keitera obszerne i bardzo ciekawe studyum o Heinem, wreszcie najciekawsza: opis podróży misyonarza ks. Schynse przez część Afryki Wschodniej w towarzystwie Stanleya i Emina Paszy. Opis ten niedługi, ale nadzwyczaj zajmujący, zasługiwałby na dłuższy rozbiór, zwłaszcza, że nam przedstawia wrażenia codzienne, narazie i przez prawdomównego świadka kreślone, i wyświecają rozmaite kwestye sporne co do stosunku wzajemnego dwóch słynnych podróżników afrykańskich, które w swym czasie tak zaciętą i długotrwałą polemikę w literaturze podróżniczej wywołały. Czyta się ta podróż z gorączkowem zajęciem, a uderza w niej prostota, z jaką misyonarz mówi o niesłychanych trudach, niebezpieczeństwach i ciężkiej pracy, której się muszą poświęcić ukryci bohaterowie wyznający wiarę Chrystusową, w najodleglejszych ziemi naszej zakątkach.

Jeżeli się nieco rozszerzyłem w mem sprawozdaniu, to dlatego, że wszelkie działanie na polu krzewienia wiary każdego wierzącego zajmować winno, a wobec tak wiela złego, co się na świecie dzieje, warto chociażby dla nadziei, dobrej otuchy i pokrzepienia, podać wiadomości o wielkich, szlachetnych, a często i tak skutecznych wysiłkach, które ludzie dobrej woli z ochotą i poświęceniem podejmują. Jestto najlepszem lekarstwem na pesymizm, który jeżeli jest prawdziwym,

stanowi najniższy duszy ludzkiej upadek, tj. rozpacz — jeżeli fałszywy, jest blichtrem i samooszukaństwem ludzi próżnych i bezczynnych, którzy wobec tego, że każde działanie dodatnie jest trudnem, wolą nic nie robić, w przekonaniu, że nic fatalnej pochyłości, którą się świat ku złemu toczy, powstrzymać i dźwignąć nie zdoła. Wreszcie obowiązkiem jest niemal każdego, gdy się dowie o jakiem zbawiennem i dodatniem działaniu, dawać o niem wiadomość i takową rozpowszechniać, choćby dla dobrego przykładu i żeby nazwiska i dzieła tylu szlachetnych pracowników nie poszły w zapomnienie [1].

Dr. Paweł Popiel.

List włościanina z Ameryki.

Jako charakterystyczny szczegół stosunków między-wyznaniowych w Ameryce Północnej, podajemy świeżo otrzymany list od jednego z naszych wiejskich emigrantów:

Amsterdam N. Y Nordamerika

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Przepraszam że jestem tak śmiały korespodętować, ale co mogę to napiszę o tej miejscowości. Tu w Amsterdamie jest nas polakow już kilkadziesiąt osob, lecz polskiego kościoła nie mamy; alę za to jest Niemiecki obrządku łacińskiego, to choć kazania niemieckie lub angielskie to msza ś. łacińska. Ksiądz tutejszy nie zna ani słowa po polsku. Każdej niedziele jest dwie Msze ś. które jeden ks. ma. Dawniej jeździli polacy o 30 mil do ślubu; teraz Sakramet małżeństwa odbywa się tutaj. Po ogłoszeniu 3-ch zapowiedzi idą młodzi w niedzielę rano do kościoła, a ponieważ nie znają języka niemieckiego ani angielskiego, to spowiedzi nie odbywają tylko udziela im rozgrzeszenia i przyjmują

[1] Towarzystwo Goerresowe, mimo bardzo znacznych na rozmaite publikacye wydatków, mimo wielkich nakładów celem utrzymania historycznego Instytutu w Rzymie, posiada stałego majątku koło 32.000 marek; liczy 1958 członków i 678 udział biorących *(Theilnehmer)*.

święte Sakramęta i potemu ślub. Są tu polacy którzy dawno mieszkają, to bywają tłumaczami do księdza. Mnie to nie koniecznie do smaku ten obrządek — W dniu 1 Listopada t. r. pojawił się jakiś cherezyjarcha tu do Amsterdamu; ogłosił plakatami że będzie miał mowę przeciw religii rz. kat. iże 50 dolarów da temu ktoby dał zarzut nie ważny wnioskowi jego; ato są jak mi tłómaczono z angieskich plakatow Że nie jest prawdą aby ś. piotr był papieżem i że nie był żonaty; znowu kto mu dowiedzie że w komunii ś. to samo ciało i ta sama krew Pana Jezusa i wiele innych rzeczy; lecz to mu się nie udało gdyż tu najwięcyj jest Arysi [1] prawdziwych katolikow ktorzy nie dosyć że nie poszli słuchać projektow jego, ale grozili mu że jak się nie wyniesie to mu życie odbiorą i wyniósł się z niczem. Kościołow katolickich jest dwa: jeden niemiecko katolicki a drugi Arysko katolicki. Arysi mają trzech księży a Niemcy jednego. My polacy najwięcy jakby do parafii chodzimy do Niemieckiej. Religiją tu wolno wyznawać jaką kto chce, lecz religija chrześcijańska [2] bardzo się rozwija i narodu polskiego prawie w kazdej częsci Ameryki jest bardzo wiele; i gdyby polacy trzymali się religii i obyczajow ojcow swoich zapewne staliby się narodem potężnem w obec tutejszyj narodowości...

Zostaję uniżony

Jan Dulęba.

---

[1] Irlandczyków, *Irish.*

[2] Katolicka.

Statystyka Kościoła polskiego w Stanach Zjednoczonych.

W załączeniu przesyłam Wam sporządzone przez siebie tablice statystyczne, które pozwolą Wam poznać dokładnie stan Kościoła polskiego i szkoły polskiej pośród emigracyi naszej w Ameryce. Obok znajdziecie także daty statystyczne, odnoszące się do całego Kościoła katolickiego włącznie polskiego w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki za rok 1891. Statystykę kolonistów polskich, księży polskich, szkół i t. d. zebrałem z *Hoffmanns Catholic Directory. Hoffmann Bros. Co. Printers to the Holy Apostolic See Milwaukee. Wis.* Statystyka ułożona jest wedle prowincyj kościelnych, z podaniem dokładnem położenia kościołów naszych w miastach większych i adresu mieszkań księży naszych.

Kiedym te tablice sporządzał, prawdziwą pociechę sprawiało mi wyliczanie tych świątyń Pańskich i szkół wzniesionych groszem ofiarnym ludu naszego. Stanowią one wspaniały pomnik solidarnej ofiarności ludu naszego, stanowią dowód religijnego poczucia i budzącego się żywo uczucia narodowego w ludzie naszym i wróżyć każą dobrze o przyszłości naszej emigracyi w Ameryce, gdy ta bez pomocy moralnej i materyalnej kraju i bez organizacyi tyle sama zdziałać już potrafiła.

Przyjrzawszy się jednak bliżej tym cyfrom, do wcale niepocieszającego dojdziemy rezultatu. Przyjąwszy ilość polsko-katolickiej ludności w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki na milion tylko, to ten milion, przedstawiając 11,6% całej ludności katolickiej Stanów Zjednoczonych, wynoszącej razem 8,579.966, posiadać powinien odpowiednio do swej liczby kościołów polskich i kaplic nie 134, ale 1088, duszpasterzy nie 144, ale 1018, szkół parafialnych nie 70, ale 380, dzieci uczęszczających do szkół parafialnych polskich nie 19.795, ale 77.178. Przyjąwszy ilość polsko-katolickiej ludności w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki na $1^1/_2$ miliona, a cyfra ta prawdopodobna, to te $1^1/_2$ miliona, przedstawiając 17.4% całej ludności katolickiej Stanów Zjednoczonych, posiadać powinno w stosunku do swej liczby kościołów polskich i kaplic nie 134, ale 1632, duszpasterzy nie 144, ale 1527, szkół parafialnych polskich nie 70, ale 570, dzieci uczęszczających do szkół parafialnych polskich nie 19.795, ale 115.767!

Cóż te cyfry mówią?! Oto wypowiadają przerażającą prawdę, że setki całe, setki tysięcy naszych wychodźców w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki się wynaradawiają i wiarę tracą, giną dla ojczyzny naszej i przepadają dla Kościoła katolickiego i dla Boga.

Czyż nie należy nam poznać dokładnie tego stanu emigracyi naszej; czy zwłaszcza duchowieństwo polskie w Ameryce nie powinno się z nim, o ile tylko możliwa, zapoznać? Czy nie dałoby się i nie trzebaby zapoznawać Amerykanów, głównie za pośrednictwem prasy, co dzieje się z Kościołem w Polsce pod zaborem rosyjskim? Od pięciu lat śledzę, czy też w tutejszych pismach spotkam odnośne wiadomości, czy znajdę w miesięcznikach gruntowniejsze jakie rozprawy w tym kierunku. W przeciągu tego czasu spotkałem się z dwiema tylko poważniejszemi pracami, zamieszczonemi w *The American Catholic Quarterly Review*, a mianowicie w zeszycie październikowym z r. 1889 i lipcowym z r. 1890. Prace te mają tytuł: *The Uniat Catholics in Russia* i *The Russian empire and the Catholic Church*. Ale któż te prace nadesłał? Irlandczyk, człowiek świecki w San Francisco, p. Bryan, J. Clinch, a właściwie przezacny pan dr. Władysław Pawlicki, który cały materyał odnośny dla pana Clinch'a zebrał, przygotował, przetłumaczył i do napisania tych rozpraw zniewolił. — Co dwóch tych ludzi dobrej woli dokonało, czyż tego samego wielu i wielu innych nie mogłoby dokonać na większą daleko skalę dla innych pism, innych dzienników? Musimy sami siebie naprzód poznać, a poznawszy się, starać się, aby i inni wiedzieli, że żyjemy i mamy warunki i prawo do życia.

Do tego właśnie poznania samych siebie, do porachowania się i ocenienia, cośmy już w Ameryce zrobili, co zrobić nam jeszcze pozostaje; do zachęcenia, daj Boże, wszystkich rodaków, co w jakikolwiek sposób pomódz mogą polskiej emigracyi w Ameryce, aby z pomocą tą się spieszyli: posłużą, sądzę, od słów wszelkich i zaklinań wymowniej i skuteczniej, następne tablice statystyczne:

Druk ukończono [illegible] 1892 r.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

Stronnica.

Zatarg szkolny chełmiński 1554—1557. Przez *d-ra Feliksa Konecznego* 1 165 324

Piękno w sztuce. Przez *ks. Maryana Morawskiego T. J.* 21

Ojciec Słoweńców: dr. Jan Bleiweis. Przez *M.* . . 35

Dzisiejszy socyalizm wobec światła rozumu (c. d.). Przez *ks. Antoniego Langera T. J.* 47 209

Listy z podróży po Azyi (c. d.). Przez *księcia Pawła Sapiehę* 69 370

Potęga drobniutkich żyjątek w przyrodzie. Przez *d-ra Franciszka Chłapowskiego* 145

Pochodzenie i rodzina ks. Piotra Skargi Powęskiego. Przez *Aleksandra Czuczyńskiego* 187

Nad serbskim Dunajem. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 236

Ks. Stanisław Sokołowski. Studyum do dziejów kaznodziejstwa XVI. wieku. Przez *ks. Kaspra Słomińskiego* 305

Pierwotna religia Hindów. Prawedyzm. Przez *ks. W. Zaborskiego T. J.* 353

Reforma waluty w Austro-Węgrzech. Przez *O.* . . . 384

Przegląd piśmiennictwa.

Stronnica.

Z piśmiennictwa krajowego:

Z najnowszych powieści polskich. *(Ks. Jan Badeni T. J.)* . . 85

Walka o monarchię 1288 do 1294. (Ustęp z dziejów Piastowskich). Napisał dr. Aleksander Semkowicz. *(Dr. K. Krotoski)* 97

Ueber Kants Transcendentale Aestetik. Eine kritische Untersuchung. Von Marian Massonius. *(Ks. K. Czajkowski T. J.)* 101

Krytyka krytyki i literatury. Nieznany utwór Juliusza Słowackiego. Z autografu poety wydał dr. B. Erzepki. *(R. K.)* 105

Stwórca i stworzenie wobec rozumu i wiary. Napisał ks. dr. Antoni Trznadel. *(Ks. W. Dł.)* 261

Dzieje Święte, w krótkości opowiedziane przez ks. I. Schustera, d-ra św. Teol. Z 46 obrazkami w tekscie. Dla oddziału niższego szkół ludowych. Wydanie szóste przerobione 264

W Brazylii. Notatki z podróży. Przez ks. Zygmunta Chełmickiego. Z licznemi ilustracyami w tekscie. 2 tomy . . . 265

Walter v. Plettenberg, landmistrz inflancki, wobec Zakonu, Litwy i Moskwy. 1500—1525. Dr. Feliks Koneczny *(Dr. Kazimierz Krotoski)* 267

Książę Adam Czartoryski podczas powstania listopadowego. Przyczynek do charakterystyki, oparty na własnych jego pismach. Napisał L. Gadon. Z trzema portretami księcia Adama Czartoryskiego. *(W.)* 271

Wyjątki z pomników języka polskiego w. XIV.—XVI. Do użytku w klasie V. szkół średnich. Roman Zawiliński. *(R. Koppens T. J.)* 273

Dudka Białaruskaja, Macièja Buraczkà. *(Tytus Sopodźko)* . . 276

Sprawozdanie z wiecu w Toruniu dla katolickiej ludności polskiej w dniach od 27 do 29 września 1891. Ułożył ks. dr. Antoni Wolszlegier 280

Opieka nad obłąkanymi. Umieszczenie i pielęgnowanie ich. Przez d-ra J. Łukaszewskiego, dyrektora zakładu dla obłąkanych w Jassach. *(Dr. Fr. Chłapowski)*. 405

Ruch naukowo-literacki nauczycieli szkół wyższych galicyjskich w ostatnich 25 latach. *(Dr. Antoni Karbowiak)* 413

Hoene Wroński. Reforma absolutna, przeto ostateczna, wiedzy ludzkiej. (Wyjątek). Wydawca L. Niedźwiecki. *(H. P.)* 432

Życie katolickie. Książka do nabożeństwa i rozmyślań dla młodych osób, w dwóch częściach. Zebrała i ułożyła Cecylia Plater Zyberkówna. *(Ks. A. P.)* 433

Z piśmiennictwa zagranicznego:

Mémoires de la Duchesse de Goutant. *(M.)* 107

Die Sentenzen Rolands, nachmals Papstes Alexander III. Zum ersten Male herausgegeben von P. Fr. Ambrosius M. Gietl O. Pr. 111

Stronnica.

Les monarchistes sous la troisième République. Par Louis Teste. *(M.)* 112

Compendium Theologiae moralis. Auctore Augustino Lehmkuhl Societatis Jesu sacerdote. Editio III. ab auctore recognita. *(Ks. H. P.)* 113

Enquête sur l'évolution littéraire. Par Jules Huret. *(B. A.)* 281

Les enfants en prison, étude anecdotique sur l'enfance criminelle. Par Guy Tomel, du Journal des Débats, et Henri Rollet, avocat à la cour d'appel. *(D. E.)* 284

Catholiques allemands. Par A. Kannengieser. *(N.)* 285

Aus meinem Leben. Wahrheit und keine Dichtung. Von Dr. Franz Lorinser. Erster und zweiter Band. *(J.)* 286

Les Grands travaux du siècle. Par J. B. Dumont. *(M.)* . . 436

Heinrich Heine. Sein Leben, sein Charakter und seine Werke. Dargestellt von Heinrich Keiter 437

Die Gottgeweihten Jungfrauen in den ersten Jahrhunderten der Kirche. Nach den patristischen Quellen und den Grabdenkmälern dargestellt von Joseph Wilpert. *(Ks. J. Bilczewski)* 438

L'éducation de nos filles. Par le dr. Jules Rochard. *(M.)* . 440

Z pism czasowych:

Czasopismo serbskie: Bosanska Vila (Босанска Вила), list za zabavu, pouku i književnost, godina VI, u Sarajevu 1891. Wlasnik i urednik Nikola Kašiković. *(Tytus Sopodźko)* . 114

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

KWIECIEŃ.

Sprawy Kościoła: Encyklika papieska do francuskich katolików. — Wrażenie we Francyi. — Oświadczenia ministeryum Loubeta. — Węgierskie wybory. — Walka o szkołę w amerykańskich Stanach Zjednoczonych. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 124

Sekty rewolucyjne w Chinach 135

Zaborcza polityka rosyjska w Bułgaryi, Austryi, Turcyi, Palestynie, Japonii i innych krajach 139

Z dzienniczka polskiego misyonarza w Anglii 143

MAJ.

Sprawy Kościoła: Anarchistyczne zamachy w kościołach francuskich. — Antyklerykalny związek. — Polityka Papieża we Francyi. — Nowy „kurs“ w Berlinie. — Kwestya szkolna we Lwowie, Innsbrucku i Lincu. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 288

Stronnica.

Ppzyjęcie Gregoryańskiego kalendarza przez pewną część Ormiańskiego narodu 297
Polacy w Chicago, wedle chicagowskich gazet 298
Katolicyzm w Ameryce 302

CZERWIEC.

Sprawy Kościoła: Rząd a biskupi francuscy. — List Papieża do francuskich kardynałów. — Bluźnierstwa w *N. Freie Presse.* — Bawarscy starokatolicy. — Pomnik dla kardynała Manninga. — Prześladowania w Ugandzie i Indyanie. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 444
Walny zjazd Towarzystwa Goerresowego. Przez *d-ra Pawła Popiela* 454
List włościanina z Ameryki 461
Statystyka Kościoła polskiego w Stanach Zjednoczonych. Przez *Modesta Maryańskiego* 463

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. M. Morawski T. J.